Niezapomniane wrażenie
REZYDENCJA BELMONT
TAMERA ALEXANDER

Tamera Alexander

Niezapomniane wrażenie

Tom I z serii Rezydencja Belmont

Tłumaczenie Anna Pliś

Tytuł oryginału:
A Lasting Impression (Belmont Mansion)

Autor:
Tamera Alexander

Tłumaczenie z języka angielskiego:
Anna Pliś

Redakcja:
Agata Tokarska

Korekta:
Natalia Lechoszest
Dominika Wilk

Skład:
Alicja Malinka

ISBN 978-83-65843-80-7

© 2011 by Tamera Alexander by Bethany House Publishers, a division of Baker Publishing Group
© 2018 for the Polish edition by Dreams Wydawnictwo

Rzeszów, wydanie I

Dreams Wydawnictwo Lidia Miś-Nowak
ul. Unii Lubelskiej 6A, 35-310 Rzeszów
www.dreamswydawnictwo.pl

Druk: drukarnia Opolgraf

Jeśli nie zaznaczono inaczej, wszystkie cytaty z Pisma Świętego podano za Biblią Tysiąclecia.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana, przechowywana jako źródło danych, przekazywana w jakiejkolwiek mechanicznej, elektronicznej lub innej formie zapisu bez pisemnej zgody wydawcy.

Dla Deborah Raney.

Moja Droga, za najlepsze pod słońcem paluchy z masłem orzechowym, przyjmij ode mnie to... z wyrazami wdzięczności.

Jesteśmy bowiem Jego dziełem, stworzeni w Chrystusie Jezusie dla dobrych czynów, które Bóg z góry przygotował, abyśmy je pełnili.

Ef 2,10

Wstęp

Książka, którą macie przed sobą, to w większości fikcja, jednakże znajdziecie w niej wplecionych też kilka faktów i postaci historycznych. Jednym z przykładów jest rezydencja Belmont w Nashville, wzniesiona w 1853, a istniejąca do dziś. Również pani Adelicia Acklen, bohaterka powieści, energiczna kobieta wyprzedzająca swoją epokę, rzeczywiście zamieszkiwała tamten dom.

Oprócz Adelicii Acklen także wiele innych postaci zostało zainspirowanych rzeczywistymi osobami żyjącymi w tamtych czasach – ludźmi, którzy pracowali w Belmont oraz je odwiedzali. Natomiast charaktery tych postaci i wydarzenia przedstawione w książce są w zupełności wytworem mojej wyobraźni i tak należy je rozumieć.

Kiedy po raz pierwszy przekroczyłam próg Belmont i dowiedziałam się o Adelicii, jej wyjątkowej osobowości oraz niezwykłym życiu, wiedziałam, że będę chciała stworzyć opowieść, w której znajdzie się ona, jej wspaniały dom oraz ten szczególny czas w historii naszego kraju. Po ponad dwóch latach poszukiwań i pisania powstała książka *Niezapomniane wrażenie*, która jest zwieńczeniem tego marzenia. Zapraszam Was, abyście do mnie dołączyli i byśmy mogli wspólnie po raz kolejny otworzyć wrota historii, po czym wkroczyć w inne miejsca i wieki. Dziękuję, że ofiarowaliście mi swój czas. To dla mnie bardzo ważny dar – doceniam to i staram się nigdy nie traktować go jako coś oczywistego.

Dziękuję, że chcecie ze mną ruszyć w kolejną podróż!

Tamera

1

DZIELNICA FRANCUSKA, NOWY ORLEAN, LUIZJANA
7 WRZEŚNIA 1866

Claire Laurent wpatrywała się w ustawione przed nią na sztaludze ukończone płótno i chociaż pewnie nie zasługiwało ono na miano arcydzieła, wiedziała, że ten obraz był do tej pory jej najlepszym. Dlaczego więc odczuwała takie rozczarowanie? Piekielne fałszerstwo żłobiło w jej wnętrzu strużkę niczym pot spływający pod warstwami krynoliny i koronek. Przeczesała dłonią włosy i wrzuciła brudny pędzel do kubka z terpentyną, doskonale zdając sobie sprawę z tego, czemu tak było. A ta świadomość powodowała tylko jeszcze większe wyrzuty sumienia.

Jej wzrok spoczął na prawym dolnym rogu płótna, tam gdzie było miejsce na sygnaturę. Nie potrafiła się zebrać, by podpisać ten obraz. Nie tym nazwiskiem. Ze wszystkich pejzaży, martwych natur i portretów, które malowała, żadne nie wydawało jej się prawdziwie własne... Dopiero to.

Przesycony wilgocią, nabrzmiały i ciężki od niesionej zapowiedzi deszczu wiatr dolatywał od strony otwartego na piętrze okna. Wyjrzała z sypialni na zewnątrz, wdychając ostre, słone powietrze niesione od zatoki. Patrzyła na rozciągający się poniżej Vieux Carré [1], Stary Plac, który malowała tak wiele razy, że mogła zamknąć oczy i nadal widziałaby każdy szczegół – rzędy domów o pastelowych elewacjach, balkony z czarnymi dekoracyjnymi balustradami wykonanymi z metalu oraz wiszące donice,

z których spływało kwiecie późnego lata. To wyjątkowe połączenie tworzyło urok i piękno charakterystyczne dla tej właśnie części miasta.

Nic dziwnego, że od razu zakochała się w Nowym Orleanie, pomimo trudnych chwil, jakich tu doświadczała w ciągu ostatnich miesięcy.

Miarowe tykanie zegara na kominku wyznaczało upływające sekundy. Westchnęła z wyuczoną swobodą. Podniosła się ze stołka i przeciągnęła. Ostatnio późno kładła się spać i wcześnie wstawała, co nie pozostało bez wpływu na jej samopoczucie, ale nie było innego wyjścia. Ten obraz wymagał dużo więcej czasu, niż przewidywała. O wiele za dużo, o czym nieustannie przypominał jej ojciec.

Była już prawie druga trzydzieści, a musiała „opuścić galerię nie później niż o trzeciej” – jak wyraźnie zaznaczył jej tata. Miała świadomość, że nie powinna się przejmować takimi żądaniami. Nie po raz pierwszy wymagał, by wyszła, podczas gdy on „naradzał się” z klientami galerii. I wcale nie było tak, że nie wiedziała, co robił w tym czasie i na czym polegała ich rodzinna działalność.

Ostatnimi tygodniami był coraz bardziej poruszony, a to też bynajmniej nie ułatwiało ich kontaktów. Choć w żadnej mierze nie dało się go określić łagodnym, zazwyczaj nie wyróżniał się ciętym językiem. Od niedawna jednak jednym spojrzeniem mógłby nawet rozciąć świeżo upieczony bochenek.

– Claire Elise? *Où es-tu?* [2]

Znieruchomiała, słysząc jego głos.

– *Oui* [3], papo. Tu, na górze.

Zerknęła znowu na płótno, walcząc ze śmiesznym pragnieniem, by je ukryć. Coś w środku nie chciało pozwolić, żeby on widział ten obraz. Jeszcze nie teraz. A gdyby to mogło od niej zależeć, najlepiej nigdy. Może

powie mu, że nie skończyła? Wystarczy jednak, że spojrzy na nią, a będzie wiedział. Nigdy nie umiała dobrze udawać... Nie tak jak on.

Szybkie kroki w górę schodów potwierdziły, że i tak nie miała czasu, by upchnąć obraz za szafą, a przykrycie go zasłoną nie wchodziło w rachubę, bo ostatnie pociągnięcia pędzla były zbyt świeże. Może gdyby przyznała się, co dla niej znaczyło to dzieło, pozwoliłby jej je zatrzymać.

Ale przeczuwała, że ta rozmowa będzie wyglądała podobnie jak ta wcześniejsza, pół roku temu, tuż po śmierci jej matki. Wtedy to powiedziała mu, na tyle dobitnie, na ile potrafiła, że nie chce już więcej malować „w ten sposób". I choć ojciec nigdy jej nie uderzył, to w tamtej chwili czuła, że miał ochotę. Dlatego też nie zamierzała ponownie poruszać tego tematu.

Aż do teraz.

– Aha... – Odgłos kroków ucichł w wejściu znajdującym się za jej plecami. – Wreszcie skończyłaś, czy tak?

Ton jego głosu nie był już tak ostry, jak rano, co dawało jej nadzieję, że może poprawił mu się humor.

– Tak... Skończyłam – odparła. Przygotowując się już na jego reakcję, czyli nieprzejednaną krytykę, zrobiła krok w bok. Czuła, że w środku jest kłębkiem nerwów.

Patrzył. Następnie zamrugał. Raz i drugi raz.

– *Jardins de Versailles*... [4] po raz kolejny. – Mięsień jego szczęki się napiął. – Nie na taki obraz się umawialiśmy. – Spojrzał na nią, a potem znowu na płótno. W jego rysach odmalował się surowy, głęboki podziw. – Ale... dostrzegam pewną poprawę.

Claire poczuła, jak jej zdenerwowanie topnieje wobec najdrobniejszego wyrazu pochwały. Nagle jednak zobaczyła to...

Ten charakterystyczny błysk w jego oku. Ojciec doceniał sztukę na swój własny sposób, lecz w sercu był człowiekiem interesu. Duma z jej talentów

artystycznych nie miała szans z korzyściami, jakie miał nadzieję uzyskać poprzez sprzedaż obrazów, które malowała. Jej obrazów...

Ironia tej myśli przygniotła serce Claire ciężarem, który wzbudził w niej niespodziewane i jednocześnie groźne poruszenie odwagi.

– Papo, ja... – Słowa uwięzły jej w gardle, a przecież on nawet nie zwrócił jeszcze na nią wzroku. – Chciałabym o czymś z tobą porozmawiać. O czymś bardzo ważnym dla mnie. Wiem, że nie jesteś...

Jego dłoń się uniosła i Claire przeszył dreszcz. Ale zdawało się, że on tego nie zauważył.

– To nie jest pejzaż, który – zgodnie z naszą umową – miałaś teraz namalować. Nie jest to też coś, co opisywałem klientowi, ale... – Urwał. Przyglądał się badawczo jej przedstawieniu pałacu Ludwika XIV i otaczających go ogrodów, po czym westchnął teatralnie. – Biorąc pod uwagę, że właściwie nie mamy czasu oraz to, że klient wyjątkowo mocno pragnie wejść w posiadanie jakiegoś François-Narcisse'a Brissauda... będzie musiało wystarczyć. – Skinął lakonicznie, jakby w tym właśnie momencie podjął wewnętrzną decyzję. – Tak. Z pewnością zdołam go przekonać o wartości tego obrazu. W końcu... – Uśmiechnął się sam do siebie. – ...te wielkie paryskie galerie często dostarczają nie te płótna, co trzeba. Ale następnym razem, Claire... – Spojrzał na nią z góry surowym wzrokiem. – Masz wykonać skrupulatnie co do najdrobniejszych szczegółów to, na co się umawiamy.

Przyglądała się uważnie jego twarzy. Bardzo bolały ją te słowa, pod wieloma względami. Jednak najgorsze było...

– Znalazłeś kupca na ten obraz? Zanim go zobaczył na własne oczy?

Kąciki ust mężczyzny uniosły się w pełnym satysfakcji uśmiechu i znowu skupił się na jej dziele.

– Mówiłem ci, że tak będzie. Wieści się roznoszą. Po dwóch latach niestrudzonych wysiłków nasza skromna mała galeria w końcu zyskuje w tym mieście renomę, na jaką zasługuje. Tak jak i zaufanie klientów, które również z czasem zdobędziemy. Wszystko dzięki moim umiejętnościom negocjacji. – Przechylił głowę lekko na bok. – Choć muszę przyznać, że twoja gra światłem, te odcienie w ogrodzie, to, jak połączyłaś to wszystko tym razem... Widzę, że wzięłaś sobie do serca moje rady.

Claire nic nie powiedziała, od dawna nauczona, że tak było najlepiej, jeśli chodzi o przyjmowanie jego uwag.

Zwrócił w jej stronę udobruchane oblicze.

– Gdybym stanął bliżej... – Co właśnie uczynił, mówiąc: – Jestem prawie pewien, że poczułbym zapach bzu rozgrzanego południowym słońcem.

Znieruchomiał nagle, a ona podążyła za jego wzrokiem w kierunku lewego dolnego rogu obrazu. Ten dodatkowy szczegół był tak nieznaczny, tak niepozorny, iż ktoś mógłby go przeoczyć, gdyby nie przyjrzał się dokładnie. Stąd też nie była zaskoczona, że dopiero teraz go zauważył.

– Abella... – powiedział ledwie słyszalnym głosem. Imię jej matki w jego ustach brzmiało jak najświętsza modlitwa, jaką Claire kiedykolwiek słyszała. Chociaż wcale nie słyszała ich tak wiele, a już żadnej od niego. – N-namalowałaś ją – wyszeptał.

Dziewczyna poczuła, że od emocji zaczęło ją piec pod powiekami, i było to wywołane tak załamaniem jego głosu, jak i tęsknotą za kobietą przedstawioną na obrazie. Namalowała swoją *maman* [5] stojącą boso na brukowanej ścieżce, na wpół ukrytą za krzewem bzu, z koszykiem kwiatów przewieszonym przez rękę. Miała leciutko uniesiony podbródek, jakby kogoś wypatrywała, a kaskady jej kasztanowych loków, które odziedziczyła Claire, falowały lekko w wyimaginowanym powiewie wiatru.

Claire wpatrywała się w wizerunek matki tak długo, aż delikatne pociągnięcia pędzla rozmazały się przed jej oczami w bezładną kałużę kolorów. Minęła już cała dekada od tamtego popołudnia w Wersalu, ich ostatniej wycieczki do pałacu przed opuszczeniem Paryża i Francji na zawsze. Miała wtedy dziewięć lat, ale wspomnienia dni spędzonych w tamtym miejscu z rodzicami, gdy spacerowała po ogrodach i karmiła się dziecięcymi marzeniami o życiu w takim pałacu, głęboko zapadły jej w serce i wciąż były wyjątkowo żywe. Powietrze przepełnione kwiatowymi zapachami, symfonia natury wyrażona w szumie drzew, feeria barw... Każdy szczegół zapisał się dokładnie w jej pamięci i był skrzętnie skrywany.

Te właśnie wspomnienia stanowiły najszczęśliwsze obrazy jej życia. A ostatnie sześć miesięcy... najbardziej samotne.

Myślała, że była dostatecznie przygotowana na śmierć matki. Przez ponad rok obserwowała, jak choroba zżera ją od środka. Choć czuła ulgę, wiedząc, że mama już więcej nie cierpi, zdarzały się takie dni, gdy nieprzenikniona i mroczna pustka rozwierała się w niej tak szeroko i bezdennie, iż Claire obawiała się, że pochłonie ją całą.

– Była taka piękna – rzekł głosem wątłym i pełnym znużenia, które przerastało przeciętne znużenie czterdziestodwulatka. Wyciągnął rękę, jakby chciał dotknąć płótna, ale nagle się zatrzymał. Jego dłoń drżała.

Claire przyjrzała mu się uważniej. Te cienie pod oczami... Od jak dawna tam były? A zmarszczki na czole? Czyżby wyżłobione żalem? I pewnie zmartwieniem... Ale o co? O po raz kolejny spóźniony czynsz? O sprzedaż drogich dzieł sztuki, które kupił na kredyt, wbrew jej zdroworozsądkowym sugestiom?

Spojrzała z powrotem na swoje dzieło.

– Nie planowałam jej umieszczać na obrazie, papo. Ona... po prostu... tak się tam pojawiła... sama wyszła spod mojego pędzla.

Przez dłuższą chwilę ojciec milczał. Następnie westchnął długo i przeciągle.

– Obraz musi się najpierw zrodzić w sercu artysty, zanim może być urzeczywistniony na płótnie.

Claire poczuła, że serce zabiło jej szybciej. To pierwsza lekcja malarstwa udzielona jej przez matkę... ale to było tak dawno temu. Nawet trudno było uwierzyć, że on to nadal pamięta. Ona, wręcz przeciwnie, pamiętała wszystko, czego nauczyła ją mama. Gdyby tylko jeszcze odziedziczyła zdolności Abelli Laurent. Matka twierdziła, że tak się stało, a nawet że była bardziej utalentowana. Mimo to papa jasno dawał jej do zrozumienia, że nie.

Oczywiście nigdy nie powiedział jej wprost, że cokolwiek robiła, to wciąż nie było wystarczająco dobre. Jednak wiedziała, że tak właśnie myślał. Wywnioskowała to z tego, czego nie mówił.

Ręka ojca przesunęła się w bok i przez ulotną jak marzenie chwilę Claire wyobraziła sobie, że pogłaszcze ją po policzku. Zawsze tego pragnęła, bo mama mówiła jej, że kiedyś to robił, ale ona nie sięgała pamięcią tak daleko. Czekała, a oddech uwiązł jej w gardle. Czuła się raczej jak dziecko niż jak dorosła kobieta.

Odwrócił się.

– Też za nią tęsknię – wyszeptał. – Niech ci się nigdy nie wydaje, że jest inaczej.

Zrobiło jej się głupio i poczuła, że niepotrzebnie się łudziła, więc schyliła głowę, by ukryć cierpienie.

– Nie wydaje mi się tak, papo.

Bywało, że parę lat temu kwestionowała miłość między rodzicami. Przede wszystkim ze strony ojca. Zwłaszcza w tych ostatnich dniach, gdy było już jasne, że medycyna nie może nic pomóc, i lekarze porzucili wszelkie nadzieje, a Claire błagała go, żeby posłał matkę do sanatorium.

– Ludzie tak chorzy jak *maman* wyjeżdżają tam i czasem ich stan się poprawia – mówiła mu.

Ale w odpowiedzi wybuchał gniewem.

– Takie wyjazdy kosztują, Claire Elise! A my nie mamy tylu pieniędzy. Chyba że będziesz malować zamiast niej. Szybciej i lepiej, niż malujesz teraz.

Więc pracowała, dniami i nocami, przez wiele miesięcy, aż do końca. Doglądając matki, która nie przestawała jej uczyć, tak jak to robiła, od kiedy Claire była małą dziewczynką. Czasami nie podnosząc się z łóżka, gdy była zbyt słaba, by siedzieć lub stać. Ale po jakimś czasie okazało się, że nieważne, jak bardzo błagała ojca albo jak wiele malowała, papa uparcie obstawał przy swoim i matka ostatecznie zmarła we własnym pokoju.

Ojciec odchrząknął.

– Masz szczęście, że na siedemnaście razy, kiedy Brissaud malował *Jardins de Versailles*, w każdym obrazie umieścił jakiś inny szczegół.

Claire kiwnęła głową, bo wiedziała to tak samo dobrze jak on. Podobnie jak to, że wszystkie siedemnaście oryginałów *Jardins de Versailles* jak i te cztery, jakie namalowała przed tym, na który patrzyli, były w obiegu. Jeśli ktokolwiek dotarłby do tych czterech, a wkrótce pięciu dumnych posiadaczy „oryginałów” François-Narcisse’a Brissauda nabytych w Galerii Dzieł Sztuki Europejskiej w Nowym Orleanie i uświadomił im istnienie pozostałych siedemnastu...

Ojciec wskazał ręką na stojący na kominku zegar, a następnie spojrzał na nią znacząco i wyszedł, kierując się na schody prowadzące w dół.

Claire wzięła swoją torebkę i odwróciła się do wyjścia, ale jeszcze raz zerknęła na płótno. Nie zastanawiając się nad konsekwencjami, złapała za pędzel, zanurzyła go w farbie i drżącą dłonią podpisała obraz własnym nazwiskiem. Choć wiedziała, że i tak będzie musiała to później zmienić.

Jednak teraz widok własnego nazwiska na czymś, z czego była tak dumna, oraz świadomość, że papie się to nie spodoba, przyprawiały ją o miłe uczucie.

Kiedy szła przez kuchnię, zauważyła, że drzwi prowadzące do galerii obrazów są otwarte. Papa nigdy na to nie pozwalał. Zawsze gdy przestępowała ten próg, czuła się, jakby wkraczała do innego świata. Miękkie, puszyste dywany, żyrandole z brązu, obrazy olejne i rzeźby, bordowe, jedwabne tapety na ścianach, które idealnie komponowały się z aksamitnymi obrusami zdobiącymi stoły. Wszystko to nabyte na kredyt, gdy wprowadzali się do tego budynku dwa lata temu. Zakupione z zamiarem stworzenia wrażenia bogactwa i dostatku, jakkolwiek była to cienka i licha okleina.

Ponownie uderzyła ją różnica między galerią a częścią mieszkalną. Zatrzymała się koło tylnego wejścia z ręką na zasuwce i zebrała w sobie całą odwagę.

– Papo... jeśli chodzi o ten obraz, który dzisiaj ukończyłam. Bardzo chciałabym porozmawiać z tobą o możliwości zatrzy...

– Nie! Nie ma mowy!

Niespodziewana fala gorąca zalała jej wnętrze.

– Ale on jest wyjątkowy. Przynajmniej dla mnie. Namaluję drugi, szybciej, dokładnie według twoich wytycznych. Cokolwiek zechcesz...

– Odpowiedź brzmi: „nie”! – Jego twarz przybrała gniewny wyraz. – Ten obraz jest już sprzedany.

– Przecież tam jest *maman*...

– Potrzebujemy tych pieniędzy, Claire Elise! Wierzyciele czekają na spłatę, a ty guzdrałaś się już tak długo, że zbyt wiele mnie to kosztowało. Po raz kolejny!

Świadoma tego, że ponownie wchodzi na grząski teren, zrobiła krok dalej.

– Mam jeszcze inny obraz, papo. Mój własny, którego ci jeszcze nie pokazywałam. Może klient mógłby...

– On chce Brissauda! Czy nie powiedziałem ci tego wystarczająco jasno? – Na szyi wystąpiły mu czerwone plamy. – Nasi klienci nie są zainteresowani jakimś kiepskim, bezmyślnym naśladownictwem... – Westchnął ciężko i pokręcił głową, jakby nagle dotarła do niego siła jego własnych słów. – Przepraszam, Claire, ale stało się. Nie ma już o czym rozmawiać. Może z czasem uda nam się sprzedać i twoje obrazy, jednak teraz twój talent po prostu nie wyróżnia się... niczym. Potrzeba czasu, by go rozwinąć. Będzie najlepiej dla ciebie, jeżeli pozostaniesz na razie przy kopiowaniu. Całkiem dobrze ci to wychodzi.

Głęboko w sercu poczuła niedające się wysłowić ukłucie. Skrzywiła wargi z goryczą.. Chciała coś odpowiedzieć, ale jeszcze bardziej pragnęła powstrzymać płacz, a jeśli tylko otworzyłaby teraz usta...

– Musisz zrozumieć... – Zacisnął mocno powieki. – Właśnie na to pracowaliśmy przez te wszystkie lata. Żeby mieć swoją galerię i renomę.

– Tak, papo, renomę, ale naszego nazwiska. Naszej pracy. Nie czyjejś innej, którą my...

– Pomyśl o swojej matce, o tym, jak ciężko pracowała. Dla nas jako rodziny. Dla ciebie.

Jego twarz przybrała wyraz takiej czułości, o jakiej Claire już prawie całkiem zapomniała, a której wcale też nie ufała do końca.

– Twoja *maman* poświęciła tak wiele, by dać ci to wszystko, Claire. I lepsze życie w Ameryce – mówił. – Jak myślisz, dlaczego tu przyjechaliśmy? Dlaczego tak ciężko oboje pracowaliśmy przez te wszystkie lata? To dla ciebie...

Już to wszystko kiedyś słyszała. Była wdzięczna za to, co dała jej matka... i ojciec, ale wiedziała, że ich starania przynosiły korzyści nie tylko jej. Także jemu. To mama jej o tym powiedziała. W tych ostatnich dniach mówiła wiele ważnych rzeczy. Claire nie miała nawet do końca pewności, czy to było majaczenie po laudanum [6], czy wypowiedzenie wreszcie prawdy na głos.

Choć chciała wierzyć, że w głębi serca ojciec pragnął dla niej jak najlepiej. Przecież był jej papą.

Wpatrując się w niego, widziała jego mocno zarysowane ramiona i żelazną determinację i czuła, że jej wewnętrzne przekonania słabną. Otworzyła drzwi, ale zaraz przypomniała sobie o czymś i wyciągnęła dłoń. To sprawiało, że czuła się jak żebrak i jeszcze bardziej darzyła ojca niechęcią.

On wcisnął jej w rękę trzy monety, o jedną więcej niż zwykle.

Odwróciła się bez słowa podziękowania czy pożegnania.

– Baw się dobrze w kawiarni, tylko nie siedź za długo. Po południu czeka nas praca – mówił sztucznie lekkim tonem. Zawsze tak robił, gdy ulegała. – I nie zapomnij przynieść czegoś słodkiego dla mnie i wuja Antoine’a.

Claire zatrzymała się w pół kroku.

– Wuj Antoine wrócił?

Skinął głową, jakby to miała być błaha informacja, ale wiedział, że było wręcz przeciwnie.

– Wkrótce tu przyjedzie, aby mi pomóc. Poprosiłem go, żeby został i spotkał się z tobą, jeżeli znajdzie czas. Więc teraz się pospiesz. – Machnął dłonią. – Zostaw nam interesy. To nasza działka – dodał.

Claire przeszła przez wybrukowaną cegłami drogę, starając się, jak zawsze, zagłuszyć wewnętrzny ból. Uskakiwała przed furmankami i powozami, które przetoczyły się obok z łoskotem, mając nadzieję, że dotrze do celu, zanim nabrzmiałe niebo wypełni swoją stalowoszarą groźbę.

Mieszkali w Nowym Orleanie od dwóch lat – najdłużej w jednym miejscu, od kiedy przybyli do Ameryki, i wreszcie zaczynała się tu czuć jak w domu, co pewnie oznaczało rychłą przeprowadzkę. Ale sama myśl o wyjeździe wzbudzała w niej lęk.

Wuj obiecywał, że nie dopuści do tego ponownie, że odwiedzie ojca od takiej decyzji. Jednak zbyt dobrze znała upór papy.

Wuj Antoine...

Z powoli ustępującym niepokojem czekała, aż powóz przejedzie przez ulicę i będzie mogła przejść. Wuj potrafił łagodzić napięcia pomiędzy nią a papą.

Antoine DePaul miał mniej więcej tyle lat co ojciec, ale nie był z nią ani trochę bliżej spokrewniony niż Ludwik XIV. Mimo to darzyła go tak wielką sympatią, jakby byli rodziną. Często podróżował i ostatnio interesy wezwały go na Północ na ponad miesiąc. Zbyt długo. Nie mogła się już doczekać, żeby zobaczyć, jakie najmodniejsze buty kupił tym razem. Jego znakiem rozpoznawczym było obuwie ze skóry aligatora, ale podczas ostatniego wyjazdu do Nowego Jorku zaopatrzył się również w takie ze strusia i z anakondy. Cały wuj Antoine...

Skręcając za kolejnym rogiem, wzięła głęboki wdech i otrząsnęła się z resztek rozczarowania. Poprawiający nastrój aromat drożdżowych *beignets* [7] i kawy z domieszką cykorii poruszał w jej sercu miłe nuty

jakże żywych wspomnień z dzieciństwa. A to wszystko dzięki kawiarni Café du Monde, która znajdowała się zaledwie przecznicę dalej.

Zrobiło jej się lżej na duchu, jak zawsze, kiedy wychodziła na zewnątrz i spacerowała, kiedy była poza galerią.

Przypomniała sobie ten pierwszy raz, gdy zobaczyła Antoine'a DePaula – w Nowym Jorku, tuż po ich przyjeździe do Ameryki dziesięć lat temu. Wydawał jej się taki wysoki i szykowny. Potrafił ją rozśmieszyć bez większego wysiłku. To takie szczęśliwe zrządzenie losu, że spotkali go od razu po zejściu ze statku na ląd. I on wtedy także dopiero co przypłynął z Francji.

– Jaki ten świat mały, nawet w tej olbrzymiej, nowej rzeczywistości – skwitował papa.

Wuj był również doświadczonym handlarzem dziełami sztuki, ale miał też w sobie urok, który zdawał się przyciągać klientów na pęczki, szczególnie w postaci żeńskich adoratorek. W niedługim czasie został partnerem biznesowym jej ojca. A w końcu stał się im tak bliski jak członek rodziny.

Rozległ się grzmot i szare niebo wypełniło ciążącą wcześniej zapowiedź. Claire ruszyła biegiem w stronę pasiastej markizy kawiarni. Czuła się trochę jak zmokły szczur i pewnie też tak wyglądała. Otrzepała pokrytą kroplami deszczu spódnicę i poukładała mokre loki najlepiej, jak potrafiła.

– *Bonjour, madame!* [8] – Uśmiechnęła się do kobiety za kontuarem i złożyła zamówienie, z zadowoleniem zauważając, że kawiarnia nie była zbytnio zatłoczona.

Balansując z dwoma kreolskimi pączkami na talerzyku oraz dodatkowymi dwoma spakowanymi do torebki na wynos, chwyciła jeszcze kawę i poszukała wolnego stolika. Poprzedni klient zostawił po sobie

dzisiejszą gazetę, więc przejrzała wiadomości, delektując się jedzeniem, popijając aromatyczny napój i oblizując palce z cukru pudru, gdy nikt nie patrzył. Po jakimś czasie poskładała gazetę, odłożyła ją na bok i rozkoszowała się resztą kawy. Otrzepała cukier puder ze spódnicy, ale biały pył nie chciał całkowicie zniknąć z czarnego materiału jej jedynej sukni żałobnej.

Czy naprawdę minęło już sześć miesięcy od śmierci matki? Czasem wydawało się, że dużo więcej, a jednocześnie, jakby to było wczoraj.

Deszcz ustał, więc nieśpiesznie ruszyła w stronę domu, z zaskoczeniem spostrzegając, jak szybko zapadał zmrok i jak ciepłe oraz ciężkie było wciąż powietrze. Zaczęła się zastanawiać, które dzieło sztuki, o ile w ogóle jakieś, ojciec mógł sprzedać podczas jej nieobecności.

Pomyślała o swoich *Jardins de Versailles*, jednak wiedziała, że ta ostatnia kopia przynajmniej na jakiś czas była jeszcze bezpieczna. Wynikało to z faktu, że obraz François-Narcisse’a Brissauda, znanego „paryskiego mistrza”, którego dzieł szczególnie pożądano, nie mógł być sprzedany z galerii sztuki w Nowym Orleanie, póki nie wyschła farba.

Większość klientów ich galerii przychodziła w poszukiwaniu kopii znanych obrazów. Kiedy tylko papa otrzymywał zadatek, chętnie realizowała takie zamówienia, podpisując się własnymi inicjałami, na co on pozwalał. Amerykanie kochali wszystko, co europejskie, i posiadanie dobrej kopii dzieła jakiegoś europejskiego artysty było bardzo modne. Taka praca jej nie przeszkadzała. W zasadzie nawet bardzo jej się podobała. Ponieważ ci ludzie dobrze wiedzieli, że kupują kopię. Imitację. Podróbkę.

Gdy jednak ktoś przychodził, by nabyć dzieło uznanego artysty, François-Narcisse’a Brissauda, którego styl jej matka nieustannie studiowała i nauczyła się naśladować, podobnie jak Claire, to ci ludzie byli przekonani, że kupują coś, co ma prawdziwą wartość.

Tak naprawdę jednak podpis artysty na płótnie był podrobiony, tak samo jak dokumenty, które jej ojciec i wuj Antoine preparowali, by poświadczyć autentyczność obrazu. To, co robili, nie było właściwe i ona dobrze o tym wiedziała. To była kradzież.

Nigdy nie rozumiała, dlaczego jej matka zgodziła się w ogóle na coś takiego. *Maman* nie poruszała tego tematu, a ona nie naciskała, nawet pod koniec jej życia. Wydawało jej się to tak trywialne, kiedy z jej matki boleśnie i nieuchronnie ulatywało życie.

Wciąż pamiętała ten moment, gdy dawno temu po raz pierwszy widziała pejzaż, który jej matka namalowała pod obcym nazwiskiem. Claire miała wtedy jedenaście lat i pomyślała sobie, że ktoś się pomylił. Albo że ktoś, nie wiadomo kto, podrobił dzieło jej matki.

Niedługo potem została wysłana do kolejnych szkół z internatem. Ale zanim ukończyła siedemnasty rok życia, znała już prawdę. Kiedy zaś *maman* była zbyt chora, by utrzymać samodzielnie pędzel, Claire stworzyła swój pierwszy falsyfikat z nazwiskiem François-Narcisse Brissaud u dołu, podczas gdy ojciec stał tuż za jej plecami.

Obowiązek, który od tak wielu lat ciążył na Abelli, został przekazany córce. I ta „odpowiedzialność”, jak to nazywał ojciec, stała się ciężkim brzemieniem na jej ramionach.

Z każdym krokiem, który przybliżał ją do domu, czuła rosnące napięcie.

Gdy znajdowała się daleko od galerii, z dala od swojego ojca, miała wrażenie, jakby była kimś zupełnie innym, żyjącym jakimś innym życiem. Tymczasem po prostu marzyła, aby tak mogło być. Musiała jednak znaleźć jakiś sposób, by ją wysłuchał, żeby zrozumiał.

Ku własnemu zaskoczeniu wcale nie potrzebowała wiele czasu, by wymyślić, co chce powiedzieć: „Papo, postanowiłam, że zatrzymam dla siebie ten obraz ogrodów wersalskich. Zapłacę ci za niego, jeśli będziesz

chciał”. Choć nie wiedziała, jak miałaby to zrobić. To on zajmował się finansami, a przychody z działalności galerii nie były znaczne w ciągu ostatnich miesięcy, o czym wciąż jej przypominał, pomimo tego, że obrazy się sprzedawały. „Ale chcę go zatrzymać. I co więcej, nie zamierzam dłużej brać w tym wszystkim udziału. Namaluję, cokolwiek zechcesz, pod warunkiem, że na płótnie będzie moje nazwisko”. Właśnie tak. Westchnęła. Słowa przychodziły z taką łatwością, dopóki nie stała przed nim, dopóki nie mierzył jej wzrokiem.

Weszła przez kuchnię. Cisza panująca w domu sprawiła, że poczuła ukłucie rozczarowania. Czyżby wuj Antoine już wyszedł? Czy całkiem się z nim rozminęła?

Postawiła torebkę na stole kuchennym razem z opakowaniem zawierającym *beignets*. Powinna zacząć przygotowywać kolację, choć wcale nie była głodna. Wiedziała jednak, że papa będzie. Otworzyła drzwi do galerii i zerknęła do środka. Pojedynczy kandelabr migotał słabym światłem świec na komodzie ustawionej pod ścianą. Resztę ogromnego pomieszczenia spowijały cienie i półmrok.

– Papo?

Zauważyła, że ze sztalugi zniknęła kopia obrazu Alexandre-François Caminade’a *Księżna Orleanu*, którą namalowała dwa miesiące temu i podpisała własnymi inicjałami. Również pusty był stojący obok postument, na którym znajdowała się wcześniej rzeźba zatytułowana: *Nydia, niewidoma kwiaciarka z Pompei*, niewielkich rozmiarów oryginał autorstwa Randolpha Rogersa, znanego, a jednocześnie jej ulubionego rzeźbiarza.

Trafiło im się wyjątkowo owocne popołudnie.

Zganiła papę, kiedy zakupił rzeźbę Rogersa. Była zbyt droga na ich możliwości w sytuacji, gdy nie mieli na nią pewnego kupca, a jednak i tak

to zrobił, mówiąc, że rozsądnym jest, by przez ich ręce przechodził raz na jakiś czas autentyk. Najwyraźniej to akurat była dobra decyzja, bo udało mu się sprzedać *Nydię* w ciągu tygodnia.

Pokręciła głową i odwróciła się, by go odszukać. Ależ musi być zadowolony z siebie i pewnie będzie jej wypominał, że...

Coś zachrzęściło jej pod butami. Spojrzała pod nogi. Wszędzie leżały odłamki szkła.

Dopiero wtedy usłyszała niski jęk dochodzący zza drzwi.

Powoli pchnęła skrzydło. Panującą w domu ciszę przerwało nad wyraz głośne skrzypnięcie. Po chwili jej wzrok przyzwyczaił się do słabego oświetlenia i wówczas go dostrzegła – po drugiej stronie pokoju, leżącego twarzą do podłogi.

– Papo! – Podbiegła do ojca, a potłuczone szkło rozpryskiwało się pod każdym jej krokiem. – Papo, jesteś cały? – Pochyliła się niżej i potrząsnęła go za ramię. Bez skutku. – To ja, papo. Claire... Słyszysz mnie?

Oddychał ciężko, jakby bardzo cierpiał.

Z wielkim wysiłkiem odwróciła mężczyznę na plecy, tak delikatnie, jak potrafiła. Jęknął, a ona wzdrygnęła się z obawy, że przyprawiła go o dodatkowy ból. Odgarnęła włosy z twarzy i poczuła na dłoniach coś mokrego i lepkiego.

Spuściła wzrok. Wszystko zakołysało się przed jej oczami.

Na przodzie koszuli ojca widać było ciemną plamę, tak samo jak na jej dłoniach. Zakręciło się jej w głowie. Lękając się tego, co jeszcze może odkryć, wyciągnęła dół koszuli z jego spodni, odsłaniając tym samym rozcięcie na brzuchu. Sądząc po ilości krwi, rana była głęboka. *Och, papo...*

– Otwórz oczy – wyszeptała ze ściśniętym sercem. – Proszę, otwórz oczy.

Nie otworzył.

Podbiegła do biurka i z dolnej szuflady wzięła stertę świeżych ściereczek do polerowania, a następnie chwyciła świecznik. Musiała zatamować krwawienie, tyle wiedziała. Migoczący krąg światła podążył za jej ruchem, omiatając ściany pokryte bordową tapetą. Tam, gdzie padała jasność, pokój przybierał różową poświatę.

Nagle znieruchomiała.

Zmrużyła powieki i podniosła wyżej świecznik, starając się upewnić, czy to, co widzi, a w zasadzie czego nie widzi, jest prawdą. Tak było.

Wszystkie dzieła sztuki zniknęły.

2

Claire zadrżała. Ogarnęło ją uczucie, jakby wcale nie była tu sama z ojcem. A jednak najwidoczniej nikogo poza nimi tutaj nie było. Skupiła się na tym, by zatrzymać krwawienie, ale do głowy cisnęły się jej liczne pytania. Kto obrabował galerię i zaatakował papę? Kto mógłby tak bezczelnie zaryzykować napaść na tej ruchliwej ulicy? I gdzie był wuj Antoine?

Jednak najgorsze pytanie, którego nie potrafiła uciszyć, aż dudniło jej w głowie: Co takiego zrobił ojciec? Jaki „interes” poszedł tak źle, że ktoś posunął się do takiego kroku?

Doświadczenie podpowiadało jej, że zapewne nie był niewinny.

Miała śliskie od potu dłonie. Wiedziała, że potrzebuje pomocy. Lekarza. Ale nie mogła zostawić ojca samego.

– Claire... – Mężczyzna zamrugał i otworzył oczy.

– Tak, papo. – Wsunęła swoje dłonie w jego. – Jestem tu.

Mrugał nadal, jakby trudno mu było pozbierać myśli.

– Co się stało, papo? Kto ci to zrobił?

Zacisnął palce wokół jej dłoni z dużo większą siłą, niż mogła się po nim spodziewać. Na jego zmarszczonym czole rysowała się niepewność.

– Nie jesteś... ranna?

Pokręciła głową.

– Nie, papo. Nie jestem ranna.

Dostrzegła cień uśmiechu... Zaraz potem próbował usiąść.

– Nie, powinieneś leżeć i się nie ruszać – zaleciła. – Nie wstawaj. Krwawisz. Potrzebujesz lekarza.

– Potrzebuję tylko... – Skrzywił się, a każdy oddech kosztował go tak wiele. – ...żebyś stąd wyszła. Natychmiast! Tu nie jest bezpiecznie dla...

– Nigdzie stąd nie idę, papo. Chyba że po lekarza.

Pomimo jej starań, by go zatrzymać, ojciec podparł się i usiadł. Pot lał mu się po twarzy.

– Byli tu... ludzie, Claire. Ludzie... – Wykrzywił twarz i westchnął w pozbawionym humoru śmiechu. – ...którzy byli, lekko powiedziane, dość niezadowoleni z zakupu jednego z obrazów Brissauda.

Dziewczyna próbowała wyczytać w jego oczach, co usiłował jej przekazać.

– Chcesz powiedzieć, że... oni wiedzą? O... falsyfikatach? – Ledwie była w stanie wydusić z siebie to słowo.

– Podejrzewają. – Patrzył surowo z mocno zaciśniętymi szczękami. – Pytali, kto to namalował.

Powietrze nagle uleciało z jej piersi.

– C-co im powiedziałeś?

– Nikt nie wie o tobie... na razie. – Wypuścił ze świstem powietrze. – Dlatego też musisz stąd uciekać. Jeśli wrócą i zobaczą cię tu...

Drewniane deski podłogi w jej sypialni nad nimi skrzypnęły i Claire zamarła.

– Papo, co powinniśmy...

– Ciii! – wyszeptał, a wyraz jego twarzy był surowy. – Mówiłem ci, że to nie...

Ze schodów dobiegł odgłos kroków. Ktoś schodził i to szybko. Oczy ojca zrobiły się wielkie z przerażenia. Nigdy nie uda jej się samej go stąd wydostać, a nie mogła go też zostawić. Nie chciała. Nie w tym stanie.

Niezależnie od tego, co uczynił. Wstała i rozejrzała się w poszukiwaniu czegoś, czego mogłaby użyć jako broni. Sięgnęła po kandelabr.

Drzwi prowadzące z kuchni do galerii otworzyły się szeroko.

– Wuj Antoine! – Claire westchnęła gwałtownie. – Gdzie byłeś? Papa jest ranny. Krwawi i potrzebuje...

– Wiem. Lekarz już tu jedzie. – W trzech długich susach wuj znalazł się koło nich. Jego odzienie, zawsze staranne i stylowe, było teraz wymięte i poplamione. Miał ranę ciętą u góry lewego policzka. Skóra wokół rozcięcia była zaczerwieniona i napuchnięta.

Claire wstała, ale nogi odmawiały jej posłuszeństwa.

– Co się stało? Kto to zrobił?

Mężczyzna posłał spojrzenie w stronę ojca, a ten z kolei odwrócił wzrok.

Claire rzuciła drwiąco:

– Któryś z was musi mi powiedzieć. Chyba zasługuję na to, żeby wiedzieć, co...

Wuj Antoine złapał ją za nadgarstek, na tyle mocno, że skrzywiła się z bólu.

– Musisz mnie posłuchać, *ma chère* [9]. Bardzo uważnie. Mamy mało czasu i to nie pora na twoje głupie pytania. – W jego głosie pojawiła się jakaś obca nuta. Puścił ją i wyciągnął skórzaną sakiewkę z kieszeni płaszcza. – Tu masz wszystko, czego potrzebujesz.

Spojrzała na woreczek, a potem znów na niego, uświadamiając sobie, co zawiera. Co to znaczyło... Jej matka zawsze miała przy sobie podobną sakiewkę, kiedy we dwie wyruszały na spotkanie „niespodziewanej przygody”, jak to określała, gdy Claire była młodsza.

– Nie. – Claire usłyszała swój szept, zanim zdążyła przemyśleć tę odpowiedź.

Na twarzy wuja błysnęło pełne surowości zaskoczenie.

Dziewczyna nie ruszyła się ani o krok, choć czuła, że traci równowagę, jakby ktoś wyrwał jej spod nóg dywan... po raz kolejny. Co za ironia! To życie, którego chciała się wyrzec jeszcze godzinę temu, nagle nabrało takiego znaczenia i tchnęło takim poczuciem bezpieczeństwa, jakiego nie chciała się pozbywać, pomimo wielu niewesołych chwil.

– Mam dość uciekania, wuju. Przeprowadzek z jednego miejsca na drugie. – Objęła spojrzeniem także ojca. – Wiem, że nie mogę tu zostać, ale nie chcę już tego więcej. Mówiłam ci o tym, papo. A ty sam twierdziłeś, iż nikt nie wie, że to ja malowałam te obrazy. Mogłabym się przenieść do innej części miasta i...

– Ty mnie w ogóle nie słuchasz, Claire! – W głosie wuja nie było ani śladu serdeczności. – Nie mamy czasu na takie rozmowy. Oni mogą tu wrócić lada chwila. – Zerknął w stronę drzwi. – Tu nie jest bezpiecznie dla nikogo z nas. Nie po tym, co się dzisiaj stało.

Claire zgarbiła ramiona i pragnąc, by jej głos był tak samo silny i pewny jak jego, rzekła:

– A ja mam wrażenie, że to ty mnie nie słuchasz, wuju. Wiem, że papa nigdy nie liczył się z moim zdaniem. – Nagle poczuła, że straszliwie zaschło jej w gardle. – Jeśli ty i papa chcecie wyjechać i ciągnąć to dalej gdzie indziej, jedźcie. Ale ja nie zamierzam brać już w tym udziału. – Przełknęła, o mało co nie dławiąc się własnymi słowami, gdy dostrzegła furię bijącą z twarzy mężczyzny. – Poradzę sobie sama. Będę...

Jego dłoń pojawiła się znikąd i na jej policzku rozlało się gorąco. Claire pewnie by się przewróciła, gdyby nie chwycił jej za ramię.

– Posłuchaj mnie! – Wuj Antoine przyciągnął ją bliżej. – Wyjeżdżasz, *ma chère*. To dla twojego dobra, musisz mi zaufać. Już zorganizowałem dla

ciebie przejazd. A teraz przestań zachowywać się jak rozpieszczona panienka i idź spakować torbę.

Jej twarz płonęła i Claire miała wrażenie, jakby patrzyła na kogoś zupełnie obcego. Nigdy nie mówił do niej w ten sposób, a tym bardziej nie podniósł na nią ręki. Mierzył ją teraz beznamiętnym i nieugiętym wzrokiem. Powoli wszystkie elementy tej aż nazbyt dobrze znanej układanki zaczęły do siebie świetnie pasować.

– Ty wiedziałeś... – Zmrużyła oczy wobec tej prawdy, która do niej dotarła i która odbijała się również w jego spojrzeniu. – To dlatego nie było cię tak długo. Byłeś na Północy... Ty wiedziałeś, że mamy znów wyjechać. A mimo to... – Okłamał ją. Tak samo jak papa. – Obiecałeś... – wyszeptała przez dławiące ją łzy. – Obiecałeś, że nie będziemy...

– Antoine ma rację, Claire. Zachowujesz się jak dziecko.

Łzy zamgliły jej obraz. Zwróciła powoli wzrok na ojca. Miał kamienną twarz, bez najmniejszego śladu wyrzutu.

– Zdawałaś sobie sprawę, że w końcu znów przyjdzie ten dzień. – Przyciskał zakrwawiony materiał do boku. – Cieszę się tylko, że twoja *maman* tego nie widzi. Twój egoizm bardzo by ją bolał.

Claire zamrugała szybko. Egoizm? I to padło z ust jej ojca, który nie odezwał się ani słowem, gdy wuj ją spoliczkował.

Wuj Antoine rozluźnił uścisk na jej ramieniu.

– Rodzina była najważniejsza dla twojej matki, *ma chère*. Na pewno chciałaby, żebyśmy byli razem. Sama dobrze o tym wiesz.

Dziewczyna spuściła wzrok na przedramię, za które teraz ją trzymał i podobnie jak wcześniej tego dnia, poczuła jakieś wewnętrzne rozdarcie. Zmusiła się, by przytaknąć ruchem głowy, i patrząc znów na niego, usłyszała w pamięci słowa, które matka szeptała w kółko podczas niespokojnych sennych majaczeń po laudanum: „Uważaj, kogo darzysz

miłością”... Claire nie była pewna, czy *maman* chciała ostrzec ją czy może samą siebie, ale po raz pierwszy w życiu uświadomiła sobie, że można kochać kogoś, myśląc, że ten ktoś odwzajemnia miłość, a potem nagle odkryć... że tak wcale nie jest. I możliwe, że nigdy tak nie było.

– Dokąd jedziemy... wuju?

Mężczyzna rozluźnił się, a na jego twarzy odmalowała się ulga na ten przejaw zdrowego rozsądku.

– Daleko stąd, *ma chère*. Twój ojciec i ja wkrótce do ciebie dołączymy. Musimy jeszcze... dopilnować interesu. – Uniósł dłoń, tym razem powoli, i dotknął jej policzka. Claire ze wszystkich sił powstrzymywała się, by się nie cofnąć. – *Je suis désolé* [10] – wyszeptał. – Poniosło mnie. Ale to tylko dlatego, że tak bardzo się o ciebie martwię.

Dziewczyna milczała.

W końcu wuj Antoine machnął ręką, mówiąc:

– A teraz idź już spakować torbę. Tylko to, co najpotrzebniejsze. Powóz będzie tu lada chwila. I, Claire... – Zmierzył ją szybko wzrokiem.

Ona również spojrzała po sobie i wzdrygnęła się na ten widok.

– Nie zapomnij się przebrać.

Na górze w swoim pokoju Claire drżącymi dłońmi zapaliła lampę olejną. Szamotała się z guzikami od sukni, świadoma tykającego na kominku zegara.

Dostrzegła w lustrze własne odbicie i wiedziała, że szybko nie zapomni tego widoku. Z jej spojrzenia wyzierały zdrada, gniew i poczucie krzywdy. I znużenie przenikające ją do szpiku kości.

Rozebrała się do długiej koszuli i halki, a następnie wyszorowała dłonie i twarz w misie stojącej na toaletce. Woda była letnia, powietrze ciepłe, a ona wciąż czuła chłód. Żałując, że nie ma drugiej sukni żałobnej, przeglądała garderobę w poszukiwaniu najciemniejszego stroju. Musi jej

wystarczyć rudobrunatny. W głowie układała listę rzeczy, które musi spakować.

Jak mogła być tak głupia? Tak naiwna. Tak... łatwowierna. Powinna przewidzieć, że tak będzie. Spodziewała się podobnego zachowania po papie. Ale ze strony wuja Antoine’a? Jego zachowanie wzbudzało w niej szczególne poczucie krzywdy.

Co z ludźmi, którzy napadli na jej ojca i ukradli dzieła sztuki? A co, jeśli oni wrócą? Albo odkryją, że to ona była fałszerką? Co mogą jej zrobić?

Pospieszając się jeszcze bardziej, męczyła się z drobnymi, perłowymi guziczkami z przodu sukni, decydując się w końcu zostawić te u góry kołnierza niezapięte. Wyciągnęła dodatkową suknię z szafy, zwinęła ją i wsadziła do torby, po czym odepchnęła od siebie kolejną falę emocji, która wzbierała w jej wnętrzu.

Drżącymi dłońmi szybko dorzuciła pozostałe rzeczy z szuflady biurka, w tym pamiątkowy medalion z zegarkiem po matce. Następnie odwróciła się w stronę obrazu.

Ale jej *Jardins de Versailles* zniknęły.

Godzinę później, stojąc na pokładzie parowca Natchez, Claire wpatrywała się w rozmywające się światła nadbrzeża, które ginęły w ciemnej nocy. Łódź drżała, olbrzymie koło łopatkowe rozcinało nieprzeniknione wody delty, a silniki ryczały tak, że drewniany pokład pod jej stopami wibrował, kiedy statek posuwał się naprzód, zostawiając za sobą równy ślad prowadzący na północ, w górę Missisipi.

Złapała za boczną barierkę, odrętwiała z wyczerpania i obaw. Po jej policzkach płynęły gorące, nieme łzy, a ona zerkała ukradkiem na otaczających ją pasażerów, nie mogąc przestać myśleć o tych ludziach, którzy złupili galerię. Ale nikt nie patrzył w jej stronę.

Wszystkie dzieła sztuki zniknęły. Trudno było nawet powiedzieć, jaką wartość materialną przedstawiały. Jak jej papa i wuj Antoine podniosą się po takiej stracie? *Maman* próbowała namówić ojca, żeby ubezpieczył najdroższe dzieła, jednak on stwierdził, że to by tylko ściągnęło na nich uwagę, mogłoby wzbudzać podejrzenia, a to z kolei doprowadziłoby ich do ruiny. Ale wyglądało na to, że ruina i tak ich dosięgnęła.

Księżyc w pełni świecił jasno, zaś jego promienie odbijały się w wodzie, marszcząc się i falując na śladzie, który zostawiali za sobą. Powietrze pachniało solą tak, iż dało się wyczuć słony smak w gardle.

Jakaś jej część pragnęła zostać i zająć się ojcem. Jednakże gdy czekała na trapie z wujem Antoine’em u boku, podnosząc dłoń do policzka, z którego zniknęło już zaczerwienienie – co jednak nie zmniejszało poczucia krzywdy – uświadomiła sobie, że pragnienie to wynikało raczej z obowiązku niż z czułości. Brutalna prawda o różnicy pomiędzy tymi uczuciami działała na nią trzeźwiąco. Mimo to wciąż modliła się w myślach, by nic mu się nie stało.

Doktor przybył zaledwie kilka chwil przed powozem.

– Pani ojciec stracił wiele krwi, panno Laurent, ale mogę zapewnić, że wszystko będzie z nim dobrze.

– Jest pan pewien? – zapytała wtedy.

Lekarz skinął głową. To nie był ten sam lekarz, którego widywała wcześniej na mieście. Był młodszy i bardziej konkretny.

– Nie mam co do tego wątpliwości. Zatem może pani bez zmartwienia wyruszyć w podróż.

Claire zmarszczyła brwi, wsłuchując się w szum fal uderzających o kadłub. Skąd ten doktor wiedział, że przygotowywała się do wyjazdu? Zaraz jednak domyśliła się, że pewnie podsłuchał jej rozmowę z wujem Antoine’em. Ich wymiana zdań wiele mówiła.

Tennessee. To tam według jego słów mieli zacząć od nowa. I to jeszcze na dodatek w Nashville. Widziała przelotnie część tego miasta dwa lata temu, gdy przejeżdżali przez nie, kierując się do Nowego Orleanu, i wcale nie wydawało jej się Atenami Południa, jak je określił wuj Antoine. Z tamtej wizyty najbardziej zapadło jej w pamięć, jak przygnębiające wrażenie wywarli na niej tamtejsi mieszkańcy. Zniechęceni i przegrani. Nawet sam krajobraz wydawał się pogrążony w żałobie, jeśli to w ogóle było możliwe.

Deszcz, który padał wcześniej w ciągu dnia, znowu powrócił, więc Claire poszukała schronienia w przedziale najtańszej klasy. Kabina była długa i słabo oświetlona. Rzędy ławek ciągnęły się wzdłuż wąskich korytarzy, sprawiając, że przestrzeń ta wydawała się jeszcze mniejsza, niż była w rzeczywistości. W środku znajdowali się nieliczni pasażerowie, w większości mężczyźni.

Claire znalazła miejsce w najodleglejszym końcu pomieszczenia i usiadła obok jedynej rodziny – ojca, matki i czwórki małych dzieci. Złożyła płaszcz, który wzięła ze sobą, i zrobiła z niego prowizoryczną poduszkę, po czym ułożyła na nim głowę i zamknęła oczy. Czując kołysanie statku, wyobrażała sobie, że jest w hamaku, takim, jaki ojciec od lat obiecywał im kupić, ale nigdy tego nie zrobił.

Półtora dnia później Natchez dobił do portu w Mobile, w stanie Alabama. Spragniona i zgłodniała, gdyż jej zapasy żywności się wyczerpały, Claire zeszła z pokładu i znalazła stację kolejową. Zaspokoiwszy najważniejsze potrzeby osobiste, pobiegła przez ulicę do sklepu wielobranżowego. Nie było jeszcze pierwszego gwizdka do odjazdu pociągu, więc miała trochę czasu.

Wzięła paczkę krakersów opakowanych w brązowy papier i napój oraz trójkątny kawałek sera z witryny na ladzie. Ponownie rozważyła ten zakup

i odwróciła się, dyskretnie przeliczając pieniądze w portmonetce, po czym zaczęła odkładać ser, ale wstrzymała się. Była tak głodna... Pozostały prawie dwa dni do przyjazdu do Nashville. Przecież mówiła papie i wujowi Antoine'owi, że będzie potrzebowała więcej pieniędzy, ale oni uparli się, że dostała wystarczająco.

Rozejrzała się wokół siebie, jednak nikogo nie dostrzegła. Popatrzyła na swoją otwartą torebkę, a potem znów na ser. Następnie na pełne towarów półki sklepowe. Z pewnością właściciel radził sobie na tyle dobrze, że nie będzie mu brakować...

Z raptowną stanowczością Claire odłożyła ser na miejsce i cofnęła rękę, jakby mogła się poparzyć. *Nie zrobię tego więcej!* Koniec z oszustwami. Koniec z kradzieżą. I kłamstwem.

– Czy coś jeszcze dla pani?

Claire odwróciła się z zaskoczeniem. Odziany w fartuch właściciel sklepu miał na twarzy uśmiech, ale coś w jego rysach zdradzało, że widział, co miała zamiar uczynić. Spuściła głowę.

– Nie, dziękuję. To mi wystarczy. – Czując, że jej twarz płonie, przeliczyła monety i oddała wszystko poza jedynym centem, który jej został.

Nagle rozległo się gwizdnięcie. Podwójne.

Już podwójne?! Wyglądnęła przez okno i dostrzegła, że bagażowy podnosi drabinkę i wciąga ją do wagonu pasażerskiego. Szybko złapała zakupy i wtedy jej torebka zsunęła się z lady, a cała zawartość rozsypała się po podłodze.

Zgrzytając zębami, przyklęknęła i zgarnęła swoje rzeczy, a potem chwyciła płócienną torbę, którą podał jej uprzejmy sprzedawca.

– Dziękuję panu!

Jego życzliwość ani na chwilę nie zniknęła.

– Niech Bóg będzie z panią.

Claire pobiegła w stronę pociągu, wołając do bagażowego. Na jego twarzy o niskim czole odmalował się ostrzegawczy wyraz, kiedy w ostatniej chwili dopadła wejścia, i zanim zdążyła znaleźć wolne miejsce w ostatnim przedziale, pociąg ruszył ze stacji.

Roztrzęsiona z głodu, sięgnęła do płóciennej torby po opakowanie krakersów i...

Natrafiła na coś dłonią.

Powoli, nie dowierzając własnemu zmysłowi dotyku, wyciągnęła trójkątny kawałek sera owinięty w woskowany papier, a także opakowanie krakersów i zakupiony przez nią napój. Nadal jednak czuła jakiś ciężar na dnie torby, więc zerknęła do środka i zobaczyła wszystkie monety, którymi płaciła.

Omal się nie rozpłakała, gdy wspomniała pożegnalne słowa sprzedawcy: „Niech Bóg będzie z panią”. Zjadła krakersy i ser aż do ostatniego okruszka, przyrzekając sobie, że odpłaci za uprzejmość tego mężczyzny. Nie wiedziała ani jak, ani kiedy, ale któregoś dnia uczyni coś dobrego dla kogoś, tak jak on to zrobił dla niej.

Oparła głowę o szybę, a rytm stalowych kół na żelaznych szynach działał na nią usypiająco. Zastanawiała się, jak się miewa jej ojciec, jednocześnie marząc, by ten bilet, na który podróżowała, mógł ją zabrać jak najdalej od niego i wuja Antoine’a, choć teraz już nawet nie umiała myśleć o nim jako o wuju. Dotknęła policzka i powróciło ukłucie gniewu. Z każdą mijającą minutą, zwiększającą dzielący ich dystans, rosła jej determinacja, żeby sprzeciwić się im obu i zacząć samodzielnie od nowa.

Wyciągnęła medalion z zegarkiem po matce i sprawdziła godzinę, po czym dotknęła miniaturowej podobizny twarzy mamy. Była taka piękna...

Zawsze podobało się jej, kiedy ludzie mówili, że są bardzo do siebie podobne.

Kołysanie pociągu w zmowie z jej pełnym brzuchem w końcu stopniowo przekonało powieki, by się zamknęły. „Niech Bóg będzie z panią”... Miała nadzieję, że słowa właściciela sklepu się spełnią. Że Bóg był z nią. Albo – co ważniejsze – że On wiedział, dokąd ona podąża.

Żałowała, że nie pomyślała o tym, by spakować Biblię, z której czytała matce podczas jej ostatnich dni. Tę, którą dostała na wyjazd do szkoły z internatem, ale nawet nie przyszło jej to do głowy. Aż do teraz. Chociaż nie znała słów Pisma Świętego na pamięć, wspominała, jak te fragmenty i obietnice pocieszały jej matkę. I ją też.

Otulił ją sen i kiedy odpływała na kolejnych falach dryfującej świadomości, zdała sobie sprawę, że chce znaleźć ten właśnie rodzaj pokoju, że chce wierzyć, iż Stwórca życia ma dla niej przygotowany plan. A kolejnego popołudnia, gdy schodziła na płytę peronu w Nashville, pragnęła tej wiary bardziej niż czegokolwiek innego na świecie.

3

Claire podążała za tłumem pasażerów wysiadających na stacji, przystając jedynie na chwilę, by wybrać drogę poprzez zatłoczony peron. Popołudniowe wrześniowe słońce zwieszało się nad zamglonym zachodnim horyzontem, a cudowny powiew, wolny od dymu i sadzy, muskał ciepłem jej szyję. Była pewna, że cały piasek i kurz pomiędzy Luizjaną a Tennessee kleił się teraz do jej skóry. Pozostała część pokrywała grubą warstwą rozwichrzone włosy.

Swędziało i bolało ją wszystko i czuła się do cna wyczerpana. Cieszyła się, że w końcu dotarła na miejsce, a jednocześnie, patrząc na rozciągające się przed nią Nashville, wcale się nie cieszyła.

Z pewnością to musiało być piękne miasto, może nawet i urocze – ale przed wojną. Jednakże nie mogła zagłuszyć wrażenia straty i porażki, które jej się narzucało. Na wąskich uliczkach widocznych ze stacji stały ściśnięte rzędy zabudowań, głównie ceglanych, choć zdarzały się też pojedyncze drewniane domy. Większość budynków była opuszczona, zaś ich okna zabite deskami. Pozostałe były podniszczone lub zrujnowane, i sądząc po ich wyglądzie, również dawno niezamieszkałe. Kilka przecznic dalej wznosiła się wieża kościoła pozbawiona wszelkich dekoracji i samotna na horyzoncie niczym latarnia morska widmo.

Nieliczne znaki drogowe przechylały się, jakby garbiąc się i uginając pod niewidzialnym ciężarem. W miejscach, gdzie kiedyś dumnie rosły drzewa – Claire potrafiła sobie nawet wyobrazić stateczne topole

i sykomory, które mogły zdobić te nijakie ulice – teraz tylko brud porastał wypalone pnie oraz sterty gruzu i śmieci. A ludzie...

Ich miny odpowiadały otoczeniu.

Żołnierze wciąż noszący mundury niegdyś dumnej armii stali w grupkach po dwóch lub trzech. Szare, wełniane tkaniny były obszarpane i wytarte, a płaszcze wisiały smętnie na ich wychudłych ramionach. Murzyni przechadzali się po ulicach, dużo liczniej niż w Nowym Orleanie, jednak żaden z nich nie obnosił się z euforycznym uśmiechem dopiero co wyzwolonego człowieka. Wręcz przeciwnie, wyraz ich twarzy nosił znamię tego samego przygnębienia, jakie widniało na obliczach tych pokonanych, którzy walczyli, przynajmniej częściowo o to, żeby tamci nadal pozostali niewolnikami.

Zaledwie miesiąc temu czytała w *New Orleans Picayune*, że stan Tennessee został w końcu na nowo przyjęty do Unii po ponad roku od zakończenia wojny. Ale patrząc na miasto i wnioskując po wciąż żywych śladach wojny, Claire nie mogła pozbyć się wrażenia, że tu wciąż płaciło się za wojnę.

I właśnie to miejsce wybrali papa i wuj Antoine?!

Kiedy sięgnęła do torebki po zegarek matki, żeby sprawdzić godzinę, natknęła się na kartkę. Wyciągnęła ją. To był adres, który wuj zapisał na oberwanym kawałku papieru listowego pochodzącego zapewne z jednej z jego licznych podróży. Była to firmowa papeteria Galerii Perrault w Nowym Jorku. Akurat tego miasta nie miała ochoty już nigdy więcej odwiedzać. Chociaż w porównaniu do Nashville...

Wuj Antoine poinstruował ją, żeby zgłosiła się pod ten adres zaraz po przyjeździe, i zapewnił, że dobrze się nią tam zajmą do czasu, aż oni do niej dołączą. Ale teraz, gdy dzieliło ich jakieś osiemset kilometrów, wcale nie

czuła takiego samego przymusu, by dostosować się do jego zaleceń, jak tamtego wieczoru, kiedy wyjeżdżała.

Jednakże... Nie miała żadnego innego miejsca, w którym mogłaby się zatrzymać, poza tym... cokolwiek by to nie było. Ani nie miała już więcej pieniędzy, bo wydała ostatnie drobne na skromne racje żywności podczas swojej wyprawy. Kiedy stojąc z torbą podróżną w dłoni, zastanawiała się nad tym, jej przelotne marzenie o niezależności i przygodzie rozsypało się żałośnie u jej stóp. Została jej tylko jedna możliwość.

– Przepraszam... – zatrzymała bagażowego. – Czy byłby pan tak uprzejmy i wskazałby mi, jak dotrzeć pod ten adres?

– Oczywiście, proszę pani – odparł zaczepiony. Zerknął na kartkę. Zaraz potem uniósł brew. – Będzie daleko stąd, ale to może być przyjemny spacer w takie ładne popołudnie. No i miła dzielnica miasta. Dużo sklepów i galerii.

Zachęcona jego słowami, Claire skupiła się, gdy tłumaczył jej drogę, i próbowała wyrysować sobie w głowie mapę. Podziękowała mu i ruszyła. Nie zdążyła jednak nawet dojść do końca peronu, kiedy jej uwagę przykuła ogromna drewniana skrzynia, którą właśnie wyładowywano z jednego z wagonów towarowych. Jak i stojący obok skrzyni mężczyzna.

Claire domyśliła się, że na pewno nie był pracownikiem stacji. Nie mógł nim być, sądząc po wykwintnym kroju garnituru. Oraz po sposobie, w jaki patrzyli na niego inni, oczekując na polecenia.

– Ostrożnie, panowie. Proszę! – Zrzuciwszy z siebie marynarkę, podszedł do robotników kolejowych i pomógł delikatnie ściągnąć skrzynię po pochylni. Wysiłek rysujący się na twarzy mężczyzn wskazywał, że zawierała coś cennego.

– Chce pan przeprowadzić inspekcję, panie Monroe? – zapytał jeden z robotników, ocierając pot z czoła. W jego głosie wybrzmiewała nutka

irlandzkiego zaśpiewu. – Zanim zapakujemy to na wóz, sir?

– Nie, w porządku, Jacobs. Zrobimy to w domu. Jeśli będą jakieś problemy, skontaktuję się z galerią.

Galerią?! Claire zrobiła krok w ich stronę, ciesząc się, że znaki na stacji częściowo ją zasłaniają, ukrywając jej zainteresowanie.

– To przejechało taki szmat drogi z Rzymu, sir? – zapytał robotnik. – Tego Rzymu we Włoszech?

– Tak. – Monroe się uśmiechnął. To był prosty gest, który wydawał się przychodzić mu równie naturalnie, co oddychanie. – Ale rzeźbiarz jest Amerykaninem.

Amerykanin... Claire usiłowała odczytać napisy na boku skrzyni, cokolwiek, co mogłoby dostarczyć jej więcej informacji, jednak niczego nie dostrzegła.

– Toż to się wierzyć nie chce, sir – wtrącił inny pracownik, przeciągając z charakterystycznym dla Południa akcentem. Jego błyszcząca w słońcu skóra miała kolor kawy. – Ta wytworna pani, to łona przepłynęła cały tyn wielki łocean tyko po to, coby kupić coś, co zrobił jedyn z naszych kolesi...

„Jedyn z naszych kolesi”... Claire uśmiechnęła się szeroko, z radością zauważając, że pan Monroe uczynił to samo.

Monroe wynagrodził każdego robotnika napiwkiem i wymienił uścisk z Jacobsem, chwytając go za przedramię, tak jak to często czynili starsi mężczyźni, choć był dwa razy młodszy od Jacobsa. Ten gest był przyjacielski, szczery i wyrażał zażyłość. Co szczególnie zaskakiwało, zważając na fakt, że Monroe z pewnością piastował wysoką rangę w społeczeństwie.

Nie dziwiło jednak to, że był żonaty. „Ta wytworna pani”... Zapewne chodziło o żonę pana Monroego. Choć Claire wolałaby sobie wyobrażać, że

ta „wytworna pani” to była jego matka albo starsza siostra, a może jakaś wiekowa, bogata ciotka. Życie byłoby wtedy dużo bardziej interesujące.

Ośmielona tym, że nikt jej nie widział, przyglądnęła się mu uważniej. Można było użyć tu słowa „przystojny”, jednakże to brzmiałoby tak, jak określenie *Dawida* Michała Anioła „odpowiednim”. Fakt, że na widok tego mężczyzny, przyszła jej na myśl rzeźba nagiego Dawida, sprawił, iż się zarumieniła. Nie przeszkadzało jej to jednak w tym, by dalej patrzeć i się uśmiechać.

Pan Monroe był wysoki i dobrze zbudowany. Miał w sobie pewien rodzaj swobody i szczerości. I poruszał się z taką bezpretensjonalną pewnością siebie, która przyciągała uwagę innych. Nie wspominając już nawet o jego uśmiechu...

Mężczyzna podniósł skórzaną torbę na ramię, podobną do tej, którą nosił w interesach wuj Antoine.

– Wieczorem będę wypatrywał wozu i pomogę wam rozładować. – Ruszył powoli w kierunku oczekującej na niego karety. Całkiem niezły środek lokomocji dla całkiem niezłego mężczyzny...

Wspiął się do środka i po dwóch stuknięciach drzwi stangret zaciął konia.

Sama nie wiedząc dlaczego, Claire odczekała, aż kareta zniknęła w głębi ulicy, a potem wyszła zza znaku i poszła w swoją stronę. Bardzo żałowała, że nie mogła zobaczyć zawartości tej skrzyni! To była jakaś rzeźba, bo pan Monroe wspominał coś o amerykańskim rzeźbiarzu. Pewnie w marmurze. A może odlana z mosiądzu?

Jej wyobraźnia się rozszalała i dziewczyna przeczesywała w głowie listę artystów, których znała. Szybko też zawęziła wybór do jednego i zachichotała.

A co, jeśli ta skrzynia zawierała dzieło Randolpha Rogersa?! Już sama myśl o takiej możliwości sprawiła, że przyspieszyła kroku. Jakież by to było ekscytujące! I jak droga musiała być taka rzeźba. Wiedziała, że Rogers żądał całkiem sowitego wynagrodzenia, ale żeby wysyłać statkiem coś o takiej masie aż z...

Uświadomiwszy sobie ciąg własnych myśli, Claire o mało co nie przewróciła oczami. Dała się ponieść. Och, ale tak dobrze się czuła. Tak lekko. Prawie... beztrosko.

Pół godziny później odnalazła Elm Street, uroczą uliczkę pełną sklepików, biegnącą z dala od głównej, ruchliwej arterii. Kiedy jednak dotarła do celu, przystanęła na chwilę, by sprawdzić adres w zapiskach, zastanawiając się, czy aby na pewno czegoś nie pomyliła.

Spuściła wzrok na kartkę, a następnie znów go podniosła. Numer w adresie odpowiadał cyfrom na mosiężnej tabliczce nad wejściem. Choć wuj Antoine nie wspominał nic o tym, czym mieli się zajmować w Nashville, Claire zakładała, że razem z papą będą kontynuować swoje interesy. A może – oby – się myliła. Jednakże na dłuższą metę to i tak nie miało dla niej znaczenia. Była bardziej niż pewna, że chce się uwolnić od ich planów na jej życie. Nawet jeśli teraz jeszcze wcale nie miała pomysłu, jak to uczynić.

Biorąc głęboki wdech i licząc – albo bardziej ufając – że Bóg ma własny plan, otworzyła drzwi.

4

Dobry wieczór, droga pani. W czym mogę pomóc?

Zamykając za sobą drzwi, Claire uśmiechnęła się do starszej kobiety siedzącej za biurkiem.

– Dobry wieczór pani. – Postawiła na ziemi swoją torbę podróżną, z przyjemnością uwalniając się od tego ciężaru. – Chciałam zobaczyć się z panem Samuelem Broderickiem, o ile go zastałam. Nazywam się Claire Laurent. Wydaje mi się, że pan Broderick powinien mnie oczekiwać.

Kobieta zmarszczyła brwi. Wyglądała na nieco zagubioną.

– To nazwisko nic mi nie mówi, moja droga. Przepraszam.

Nadzieja dziewczyny nagle się ulotniła. Zerknęła za siebie na napisy na szybie w wejściu do sklepu.

– Ale to jest firma przewozowa Brodericka, prawda?

– Tak, oczywiście! – Skonsternowaną minę zastąpił promienny uśmiech. – A ja jestem pani Broderick! – Wyciągnęła rękę i wylewnie poklepała Claire po dłoni. – Tak miło, że nas pani odwiedziła, moja droga. Akurat nie ma mojego męża, lecz na pewno przekażę mu, że pani tu była. Te sobotnie popołudnia są dla nas takie pracowite, pani rozumie... – Uśmiech ani na chwilę nie zniknął z jej twarzy, ale widać było, iż oczekuje, że odwiedzająca zaraz wyjdzie.

Claire wiedziała, że nie należy się gapić, jednak nie mogła się powstrzymać. Odniosła wyraźne wrażenie, że ta urocza pani była nie do końca przy zdrowych zmysłach. I to nie tylko dlatego, że akurat był poniedziałek.

Nie chciała naciskać na staruszkę, by dowiedzieć się czegoś więcej, ale w obecnych okolicznościach nie miała wyboru.

– Czy może wie pani, kiedy wróci pani mąż? Muszę bardzo pilnie z nim porozmawiać.

– Kiedy mój mąż wróci... – wyszeptała pani Broderick, mrugając szybko powiekami. Spuściła wzrok na biurko i zaczęła poprawiać i tak już równo poukładane sterty papierów. Na jej twarzy na nowo zagościł wyraz zagubienia. – Nie... nie wydaje mi się, żeby miał wrócić. Mój Samuel... on już... – Przycisnęła dłoń do piersi i załkała. – Och...

Claire okrążyła biurko i podbiegła do staruszki, obawiając się, że ta zaraz zemdleje.

– Pani Broderick, czy wszystko...

– Mamo! – W bocznych drzwiach pojawił się jakiś mężczyzna. Poruszał się z prędkością, której trudno się było spodziewać po jego pokaźnej sylwetce. – Co ty robisz na dole? – zapytał stanowczym tonem, jednocześnie obejmując matkę i poklepując ją delikatnie po ramieniu. Zerknął na Claire raz i za chwilę jeszcze drugi raz, tym razem uważniej i niezbyt po dżentelmeńsku, gdyż jego spojrzenie zsunęło się nieco zbyt nisko.

Claire wiedziała, że wszystkie guziki jej sukni były pozapinane, ale nie mogła się powstrzymać, by nie sprawdzić dla pewności. Kiedy znów podniosła oczy, on odwrócił wzrok.

– Już dobrze, mamo – szeptał. – Jestem tu. Oddychaj głęboko...

Pani Broderick robiła, co jej przykazano, opierając się na swoim synu, i wyglądało na to, że odzyskała spokój.

Claire cofnęła się o krok, czując się nie na miejscu i trochę odpowiedzialna za tę sytuację, ale jeszcze bardziej zmęczona. Te dni spędzone w podróży dawały się jej teraz we znaki.

– Proszę przyjąć moje przeprosiny. Nie zamierzałam tej pani niepokoić – wytłumaczyła.

– To nie pani wina. Proszę się tym nie obarczać. – Jego potężna sylwetka się poruszyła, a następnie wskazał palcem w stronę Claire, jakby właśnie coś sobie uświadomił. – O ile się nie mylę, a chyba nie, pani jest panną Laurent.

Z jakichś dziwnych powodów, których sama nie umiała wyjaśnić, Claire najchętniej by zaprzeczyła. Odparła jednak:

– Tak, to ja. – Wiedziała, że z pewnością powinna poczuć ulgę w związku z tym, iż ten człowiek znał jej nazwisko, bo to oznaczało, że jej oczekiwał, co z kolei wskazywało, że była tu, gdzie powinna być, przynajmniej według planu wuja Antoine’a. Mimo to nie mogła się otrząsnąć z przytłaczającego ją poczucia, że to nie jest odpowiednie miejsce. I choć domyślała się już, jak on się nazywa, zapytała: – A pan to kto?

– Samuel Broderick – odparł. – Młodszy – dodał w taki sposób, jakby chciał jej tym zaimponować. Nie trafił. – Odziedziczyłem tę firmę po moim ojcu... który zmarł kilka lat temu.

Claire skinęła lekko głową.

– Tak mi przykro z powodu pańskiego ojca, sir. A pani męża, pani Broderick. – Skłoniła się także w kierunku starszej kobiety.

Pani Broderick się wyprostowała, skupiając na niej wzrok.

– Czy my się znamy, kochana?

Dziewczyna się uśmiechnęła.

– Mam na imię Claire. Poznałyśmy się przed chwilą.

Odniosła wrażenie, że nagle w oczach kobiety zapaliło się jakieś światełko.

– Ach! To pani jest tą kobietą, o której opowiadał nam ten miły człowiek. Słyszałam, jak mój syn z nim rozmawiał o pani. – Ujęła dłoń Claire i wyglądała tak, jakby zaraz miała się rozpłakać. – Tak bardzo mi przykro z powodu pani oj...

– Czas już iść na górę, mamo! – Mężczyzna wszedł pomiędzy nie i ujął matkę za łokieć. – Sama wiesz, jak bardzo lubisz kolację! – Poprowadził ją w stronę drzwi, rzucając jeszcze przez ramię: – Za chwilkę tu zejdę, panno Laurent. Będziemy wtedy mieli okazję lepiej się poznać.

Czas mijał, a Claire czekała i walczyła z pokusą, by wyjść. Lepsze zapoznanie się z Samuelem Broderickiem wcale nie było priorytetem na jej liście, o ile w ogóle tam się znajdowało. Miała niemiłe odczucia, kiedy był w pobliżu, a mama często jej radziła, aby słuchała swojego wewnętrznego głosu. Gdyby tylko miała dokąd pójść albo jakiekolwiek pieniądze, żeby zapłacić za hotel, wyszłaby, nawet nie obejrzawszy się za siebie.

Oceniając po jakości mebli w gabinecie i po ogólnym otoczeniu, wnioskowała, że firma przynosiła zyski. Ciekawiło ją jedynie, w jaki sposób prowadzenie galerii sztuki w Nashville mogło wiązać się z firmą przewozową?

Broderick wrócił jakiś czas później i zamknął drzwi frontowe na zasuwkę. Claire poczuła dreszcze, gdy metal z trzaskiem wskoczył na swoje miejsce, ale tłumaczyła sobie, że to nic takiego. W końcu widziała przez okno, że pozostali sklepikarze również już zamykali.

– Mama jest naprawdę uroczą osobą. Musi jej pani jednak wybaczyć, panno Laurent. Czasem nie jest w stanie trzeźwo myśleć.

Claire pokiwała głową, nie do końca wiedząc, co ma odpowiedzieć.

– Mógłbym zaproponować pani coś do picia? Mam herbatę, kawę albo... – Rozciągnął usta w fałszywym uśmiechu. – ...coś mocniejszego po

trudach podróży. I do tego może ciepła kąpiel. Mogę ją pani przygotować na górze.

Claire spłoniła się i wzdrygnęła z zażenowaniem.

– W tym momencie, panie Broderick, najchętniej dowiedziałabym się, w jakim pensjonacie pan DePaul zarezerwował mi nocleg. Jestem zmęczona po podróży i chętnie bym odpoczęła.

– Och... – Mężczyzna się roześmiał, jakby był zmieszany, choć nie podejrzewała, by był zdolny do podobnych uczuć. – Nie ma takiej potrzeby, żeby wynajmować pensjonat, panno Laurent. Razem z panem DePaulem zgodziliśmy się, że może pani pozostać u mnie do czasu ich przyjazdu. I... – dodał, zerkając w stronę schodów – oczywiście z moją matką. Proszę... niech pani pozwoli, zaprowadzę panią do pokoju.

Wcale nie skora do tego, by iść gdziekolwiek z tym mężczyzną, Claire rozważała swoje możliwości i w końcu niechętnie ruszyła za nim na górę. Część mieszkalna budynku była dużo większa, niż mogła przypuszczać, i równie miła, o ile nawet nie milsza niż pomieszczenia biurowe na dole. Firma przewozowa Brodericka rzeczywiście musiała sobie świetnie radzić.

Przeszła za Samuelem Broderickiem – młodszym – przez cały korytarz, do pokoju na samym końcu. Otworzył pchnięciem drzwi i wszedł przed nią.

Dotknęła dłonią zamka w drzwiach i zauważyła, że jest zepsuty.

– Och, tak. – Mężczyzna podszedł bliżej. – Miałem zamiar to naprawić. Zrobię to jutro z samego rana.

Skinąwszy głową, Claire zwiększyła dystans między nimi i przesunęła dłonią po solidnym krześle ze szczebelkowym oparciem, które aż się prosiło, by nim zaklinować drzwi. Ale łóżko... Już czuła, jak miło będzie wtulić się w pościel. Łóżko wyglądało niebiańsko!

– Pan DePaul mówił mi, że jest pani uzdolnioną artystką. I że te pani prace – w jego głosie wybrzmiała nutka rozbawienia – są szczególnie

poszukiwane. DePaul wydawał się wyjątkowo zainteresowany tym, by mogła pani nadal malować. Powiedział, że kilka zamówień czeka na realizację. A kiedy pani skończy... – Jego twarz nabrała teraz konspiracyjnego wyrazu. – ...pani obrazy zostaną wysłane aż z Europy i przypłyną oczywiście z certyfikatami potwierdzającymi autentyczność.

Claire zmierzyła go wzrokiem, słysząc, że jej uprzednie podejrzenia co do zamiarów papy i wuja właśnie się potwierdzają. Domyślała się, przynajmniej do pewnego stopnia, jaki miał być udział Brodericka w tym planie. Podrabianie dokumentów przewozowych. Wiedziała, że to była integralna część tego, czym się zajmowali.

Po raz kolejny jednak przyrzekła sobie, że teraz będą to już robić bez niej.

– Mam nadzieję, że będzie tu pani wygodnie, panno Laurent. – Pan Broderick przesunął po niej rozpalonym spojrzeniem, przyprawiając ją tym samym o dreszcze.

Nie chcąc go zachęcać do dalszej konwersacji ani niczego innego, Claire stała wyprostowana, starając się sprawiać wrażenie dużo pewniejszej siebie, niż była w rzeczywistości.

– Jestem taka zmęczona, panie Broderick. Chyba udam się już po prostu na spoczynek.

Zerknął w kierunku wanny na nóżkach, która znajdowała się w kącie.

– Z radością przygotuję pani kąpiel, jeśli...

– Nie... dziękuję. Nie potrzebuję.

– W takim razie może rano. – Uśmiechnął się niespiesznie. – Jeżeli tylko czegoś będzie pani potrzebowała, czegokolwiek, wystarczy, że mi pani powie. Moja sypialnia jest po drugiej stronie korytarza. – Wskazał na drzwi. – I nie śpię głęboko.

Żałując, że nie ma już teraz innego miejsca, do którego mogłaby się udać, Claire postanowiła, że pierwszą rzeczą z rana będzie poszukanie innego zakwaterowania.

– Dziękuję, panie Broderick. Mam wszystko, czego mi potrzeba.

Claire zamknęła drzwi i położyła torebkę na komodzie. Rozejrzała się wokół siebie za torbą podróżną, po czym westchnęła, zgrzytając zębami. Zostawiła ją na dole koło biurka.

Odczekawszy kilka oddechów, otworzyła drzwi sypialni na milimetr, a potem jeszcze trochę i wyjrzała na zewnątrz. Nie chciała ryzykować kolejnego spotkania z gospodarzem.

Na korytarzu było pusto i przeszła już połowę drogi do schodów, kiedy dotarły do niej jakieś głosy. Zawahała się, a następnie szaleńczym tempem przebiegła obok otwartych drzwi, modląc się w duchu, żeby nikt jej nie zauważył.

Z poczuciem, że zachowuje się absurdalnie, schodząc po stopniach na palcach, jakby miała jakieś złe zamiary, przeszła przez pokój i wzięła swoją torbę. Jej wzrok zwróciło słabe światło z zewnątrz i Claire przystanęła na chwilę, by wyjrzeć przez okno.

Po obu stronach drogi stały latarnie gazowe, a ich płomienie zza przydymionych szybek migotały w pomarańczowozłotych odcieniach. Wyglądało to tak pięknie w zestawieniu z purpurowym zmierzchem, że aż odczuła tęsknotę za... Zacisnęła dłoń na skórzanej rączce. Tęsknotę za czym? Za miejscem, które mogłaby nazwać domem? Za swoją *maman*? Zawsze... Za papą i tą relacją, której całe życie pragnęła, ale nigdy nie miała? Być może...

Nie pozwalając sobie na dalsze takie rozważania, wróciła z powrotem na palcach na piętro. Zatrzymała się na chwilę na górze schodów, nasłuchując jakichś oznak obecności aż nazbyt życzliwego gospodarza.

– Po prostu wydawało mi się właściwe, Samuelu, żeby wiedziała o czymś takim.

Claire kompletnie zamarła.

– Będzie wiedzieć, mamo. Kiedy tylko ten miły pan wróci. Pamiętasz pana DePaula. Przyniósł ci kwiaty i słodkości. Napisał w telegramie, że to on chce jej o tym powiedzieć, że nie mamy nic mówić. On wie lepiej i powinniśmy się zastosować do jego życzeń.

Claire nie ruszała się z obawy, że skrzypnięcie podłogi mogłoby ją zdradzić. Wuj Antoine chciał ją o czymś poinformować osobiście. Ale o czym? Ze środka pokoju dobiegło brzęknięcie talerzy i szuranie kroków. Spodziewała się, że w każdej chwili na korytarz mógł wyjść pan Broderick i zastać ją w tym miejscu. I co ona by wtedy...

– I bądź dla niej miła, mamo. Mamy mieć na nią oko, zanim on nie wróci. Jasno to wyraził. A ona będzie mi teraz pomagała się tobą zająć. Czyż to nie jest miłe? Koniec z moim gotowaniem. I zapewni ci kobiece towarzystwo do rozmów.

Claire zmarszczyła czoło. Miała pomagać w opiece nad panią Broderick? I gotować?

Dobiegło ją lekkie westchnienie oraz skrzypnięcie fotela na biegunach.

– W porządku, Samuelu. Ale nadal mi się wydaje, że córka ma prawo wiedzieć, że jej ojciec umarł.

Claire zamrugała i cały jej świat zatrzymał się w jednej chwili. Słyszała te słowa wystarczająco wyraźnie, ale trudno jej było pojąć ich sens. Instynktownie zrobiła krok w tył...

Niestety pod obcasem jej buta była pustka. Upuściła bagaż i próbowała chwycić się barierki, nie zdołała jej jednak dosięgnąć. Ześliznęła się o jeden stopień i kolejny i dopiero wtedy udało jej się chwycić poręcz. Torba

zjechała po schodach i z hukiem wylądowała na samym dole. Rozległ się odgłos ciężkich kroków i zaraz potem zjawił się Broderick.

– Panno Laurent! Czy wszystko w porządku? – Złapał ją i praktycznie wyciągnął na górę po schodach.

– Mój ojciec – wyszeptała Claire.

„Córka ma prawo wiedzieć, że jej ojciec umarł”. Te słowa kotłowały się jej w głowie i miała wrażenie, że uleciało z niej całe powietrze.

– Proszę... – Otoczył ją mocno ramieniem w pasie. – Pomogę pani wrócić do pokoju.

Claire próbowała go odepchnąć, lecz był silny i zawzięty.

– Przykro mi, że to pani usłyszała. Ale... – Wprowadził ją do sypialni, po czym posadził na łóżku i sam usiadł obok. – Otrzymałem dziś rano telegram. Tak mi przykro, że dowiedziała się pani w ten sposób. – Głaskał ją po plecach, a jego dłoń zsuwała się coraz niżej.

Claire odsunęła się jak oparzona.

– Proszę przestać! – Wzniosła dłoń. – Proszę mnie po prostu zostawić samą...

– Jest pani zdenerwowana, to normalne. – Przesunął się i ponownie otoczył ręką jej ramiona. – Wiem, co to znaczy, gdy się traci jednego z rodziców.

Claire próbowała wstać, ale on tylko mocniej ją uścisnął. Dopiero wtedy zauważyła, że zamknął drzwi do pokoju.

– Chciałbym pani pomóc, panno Laurent. – Ujął jej dłoń. – Myślę, że moglibyśmy...

– Proszę mnie zostawić!

Zignorował jej prośbę. Rozpalone spojrzenie, które widziała u niego wcześniej, zmieniło się teraz w pożar. Nawet osoba tak niedoświadczona jak Claire domyślała się, że to nie zapowiadało nic dobrego. Zrobiło jej się

mdło i specjalnie na chwilę osunęła się na niego całym ciężarem ciała, a kiedy tylko poczuła, że rozluźnił uścisk, wyrwała się, zeskoczyła z łóżka i uciekła.

Rzuciła się do drzwi, otworzyła je i była już przy schodach, gdy usłyszała za plecami jego kroki. Powstrzymując instynktowną chęć, by obejrzeć się za siebie, złapała za barierkę i zbiegła, przemierzając po dwa stopnie naraz. Tam chwyciła swoją torbę podróżną. Zapomniała jednak o zasuwce w drzwiach!

Przygotowując się już na ból, uderzyła w nią pięścią. Zamek puścił.

– Panno Laurent, proszę wrócić! Wydaje mi się, że źle pani zrozumiała moje inten...

Claire wybiegła na zewnątrz, słysząc wciąż za sobą jego głos. Wspomnienie jego dłoni na jej ciele pchało ją mocniej, na kolejną ulicę i kolejną, i jeszcze kolejną, aż zupełnie straciła orientację. Paliło ją w płucach i bolało w boku. Miała wrażenie, że torba waży tonę i wpija się mocno w ramię.

Wśliznęła się w jakąś alejkę, upuściła na ziemię bagaż i zgięła się wpół, kładąc ręce na kolanach. Oparła się o ścianę jakiegoś budynku, by nie upaść, i nasłuchiwała, jednak nie docierało do niej nic poza odgłosem własnego przyspieszonego oddechu. Skręcało ją w żołądku, lecz ta mimowolna pretensja była daremna. Nie jadła nic od wielu godzin, a jednak nie była głodna. Już nie.

Papa odszedł... zmarł. Zdusiła w sobie szloch. To wydawało się takie nierealne! Lekarz powiedział jej, że tata wydobrzeje. Ogień palący ją w środku zelżał nieco, ale rwanie w piersi nie. Hałas na końcu alejki sprawił, że podniosła głowę.

Jakiś mężczyzna wyłonił się zza rogu chwiejnym i nierównym krokiem, trzymając w dłoni butelkę. Chyba jej nie zauważył, a ona nie zamierzała

dać mu na to szansy. Złapała za torbę i popatrzyła w obie strony, nie wiedząc, dokąd ma iść. Wiedziała jedynie, że nie może tu zostać.

5

Claire dotarła do kolejnego skrzyżowania i rozejrzała się wokół, próbując zorientować się w nieznanym jej mieście. Chyba nie było jeszcze tak późno, ale ulice już opustoszały. Latarnie rozświetlające ciemność nie wydawały się jej już tak urocze, jak wcześniej, a nogi bolały ją od długiego biegu w butach na obcasie.

Zatrzymała wzrok na wznoszącej się kilka przecznic dalej wieży i ruszyła w tamtą stronę, wspominając inną, podobną do tej noc, kiedy razem z matką wybrały się na jedną ze swoich „niespodziewanych przygód”. *Och,* maman*, jakże bym chciała, byś mogła tu być* – pomyślała.

Spróbowała otworzyć główne drzwi, ale były zamknięte, podobnie jak okno. Obeszła budynek i znalazła... drugie wejście.

Zapadka się uniosła.

Claire wśliznęła się do środka i zamknęła za sobą bezszelestnie, wytężając wzrok w ciemności. Ledwie ważąc się oddychać, stała niczym posąg i nasłuchiwała najdrobniejszego znaku, który świadczyłby o tym, że może nie jest tu sama.

Ale słyszała jedynie łomotanie własnego serca.

Blade światło księżyca przebijało lekko przez zasłonięte okno po drugiej stronie pomieszczenia i jej wzrok stopniowo się przyzwyczajał. Znajdowała się w jakimś zagraconym schowku. Posuwając się po omacku, dotarła do zamkniętych drzwi. Gałka bez trudu się przekręciła i Claire zajrzała przez wąską szparę. W twarz uderzył ją chłodny powiew. Wyczuła słabą woń czegoś charakterystycznego i znów wciągnęła powietrze,

stwierdzając, że to pewnie wyobraźnia płata jej figle. A jednak... czuła środki antyseptyczne, których zapach lekko, choć niepodważalnie spowijał świątynię.

Postąpiła o krok naprzód i spojrzała do góry.

Sięgające niemal do sufitu okna dominowały w tym wysokim na dwie kondygnacje pomieszczeniu, a drzewa wraz z nimi rzucały różnorakie cienie na rzędy drewnianych ławek.

Zamierzając przejść na tył kościoła, gdzie było ciemniej, podeszła do ławki na środku i przystanęła. Ta ławka była wyścielana. Inne nie.

Od razu zadecydowała. Rozsznurowała trzewiki, zdjęła je i westchnęła, rozmasowując obolałe stopy. Wyciągnęła płaszcz z torby, by go wykorzystać jako koc, i zwinąwszy się na boku, wetknęła sobie jeszcze torbę pod głowę.

Była tak wyczerpana, że natychmiast zamknęły się jej oczy. Widziała wyraźnie twarz papy, choć to oblicze matki pragnęła pamiętać. Przytuliła mocniej policzek do swojej prowizorycznej poduszki.

Zmęczona ponad wszelką miarę, wcale nie była pewna, czy Bóg rzeczywiście teraz jej słucha. Wierzyła, że On jest w stanie usłyszeć każdą myśl. I wiedziała, że czasem to przekonanie może bardziej irytować niż pocieszać, ale w tej chwili chwyciła się tego jak ostatniej deski ratunku. I modliła się, żeby Pan wsłuchał się w jej serce. Potrzebowała teraz Jego pomocy bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

~

Zaraz po obudzeniu Claire zamrugała szybko, bo słońce świeciło jej prosto w twarz. Osłaniając oczy, nieco się podniosła. Ostre, dręczące uczucia ścisnęły jej żołądek, gdy tylko powróciły fragmenty wspomnień tego, gdzie była i jak się tu dostała.

Papa...

Położyła się z powrotem i wpatrywała w rzeźbione belki pod sufitem, poddając się fali żalu po nim i po jego decyzjach oraz relacji, której nigdy nie mieli. Nie mogła jednakże zlekceważyć dwóch niezaprzeczalnych prawd. Mimo że boleśnie odczuwała tę stratę, była ona niczym w porównaniu do pustki, którą przeżywała po odejściu matki. Co z jakiegoś niewiadomego powodu tylko spotęgowało obecny żal.

Drugą prawdą było to – choć nawet samo myślenie w ten sposób wydawało się niewłaściwe – iż jego odejście, niezależnie od tego, jak bardzo pragnęła, by dalej żył, potwierdziło w niej tylko, że podjęła dobrą decyzję, aby zacząć samodzielne nowe życie. Okoliczności nie były takie, jakich się spodziewała, ale zamierzała wykorzystać tę szansę.

Wuj Antoine powiedział Samuelowi Broderickowi... *Cóż za odrażający typ!* – dodała w myślach. Powiedział mu, żeby nie informował Claire o śmierci papy. Niewątpliwie zamierzał przekazać jej to osobiście po swoim przybyciu, aby zmusić ją albo próbować przekonać, by została i ciągnęła dalej „rodzinny interes". Jak ona w ogóle kiedykolwiek mogła myśleć, że Antoine DePaul rzeczywiście się o nią troszczył? I jak mogła darzyć go taką przychylnością? Była tak naiwna!

„Uważaj, kogo darzysz miłością"... Słowa matki powracały w myślach. Odwróciła się na swojej ławce. Mięśnie obolałe po spaniu zbyt długo w jednej pozycji sprawiły, że odruchowo spróbowała się przeciągnąć i uderzyła łokciem w oparcie. Ból przeszył jej rękę, promieniując w górę i dół ramienia. Jęknęła... Ale natychmiast uciszyło ją głośne skrzypnięcie drzwi.

– Jesteś pewna, że powinnyśmy tu przychodzić? – wyszeptał damski głos. – Pora jest nieznośnie wczesna.

– Wszystko w porządku – uspokoiła ją druga kobieta. – Drzwi otwierają o siódmej rano na modlitwy, ale nikogo innego tu nie ma, więc chodź!

Sądząc po szybkim rytmie kroków, Claire domyśliła się, że kobiety się spieszyły. Szły środkiem przejścia, prosto w jej kierunku.

Licząc, że w związku z hałasem, jaki same robiły, nie usłyszą jej, Claire chwyciła swoją torbę podróżną oraz płaszcz i zsunęła się z ławki, a następnie wczołgała się pod nią. Przyciągnęła bliżej siebie spódnicę i swoje rzeczy, prosząc w duchu, by nieznajome jej nie dostrzegły. Chwilę później dwie młode kobiety przemknęły obok niej, kierując się w stronę przodu świątyni.

– Nie wiedziałam, że chodzisz tu do kościoła.

– Nie chodzę. – W głosie drugiej kobiety odezwała się niecierpliwość. – Ale ona tu chodzi. A ja chcę tę posadę! To powinno się liczyć. A poza tym każdy wie, że lepiej jest modlić się w kościele.

– Dlaczego lepiej?

Ciekawa odpowiedzi na to pytanie, Claire uniosła się na łokciu, ostrożnie, by nie uderzyć głową w spód ławki.

– Bo... głupia – sapnęła niespokojnie – to pokazuje Bogu, że zależy ci na tyle, że zbierasz się i robisz coś, a to daje ci przewagę wobec innych ludzi, którzy się na tyle nie pofatygowali. To również podnosi twoje szanse na to, że On da ci to, o co prosisz.

Claire dostrzegała w wyjaśnieniu nieznajomej pewne braki. Często w jej życiu było tak, że robiła wszystko, co mogła, by uprosić Boga, że zachowywała się tak, jak On mógłby chcieć, a nie tak, jak sama by chciała. A mimo to On wciąż odmawiał.

Ze swojego punktu obserwacyjnego Claire zauważyła, że jedna z kobiet klęczy. Dopiero wtedy – trochę wstyd przyznać – dotarło do niej, że podsłuchuje ich rozmowę.

– Co skłania cię do pewności, że i tak dostaniesz tę posadę? Połowa dziewcząt, które znam, była u niej na rozmowie o pracę i je odesłano.

– Ponieważ to ja mam najlepsze kwalifikacje, Susanno. I wiem, jak obracać się w kręgach pani Acklen. Ojciec twierdzi, że ostatnim razem, gdy była w banku, podziękowała mu osobiście po imieniu!

– Tak... jednak w ogłoszeniu była mowa o osobach biegłych w prowadzeniu dokumentacji i skrupulatnych. A ty masz nawet problem, żeby utrzymać swoje flakony z perfumami w porządku na toaletce. No i nie mówisz też po francusku.

Claire stuknęła głową w ławkę od spodu, a potem zamarła.

– Co to było?! – Dobiegł ją szorstki szept. Spódnica stojącej kobiety szeleściła, kiedy ta obracała się na różne strony.

Claire wstrzymała oddech.

– To pewnie tylko jakiś wóz albo coś na zewnątrz. A w ogóle to, *excusez-moi* [11], umiem mówić po francusku! *À quelle heure arrive le train?* [12]

Claire wypuściła powoli powietrze, a następnie wzięła głęboki wdech. Kobieta ubiegająca się o tę posadę miała znośny akcent, co wcale nie oznaczało, że naprawdę znała język.

– Susanno, zamierzasz się ze mną modlić czy nie? Dzisiaj jest ostatni dzień rozmów o pracę, więc to moja jedyna szansa!

Claire patrzyła, jak wymieniona z imienia nieznajoma klęka obok swojej apodyktycznej przyjaciółki, i zastanawiała się, jak długo tu jeszcze będą. Miała nadzieję, że szybko stąd wyjdą, bo nie chciałaby, żeby ją znaleziono ukrywającą się pod...

Nie minęła dłuższa chwila, a pełna tupetu kobieta wstała i wyprostowała się. Claire uśmiechnęła się sama do siebie. Wyglądało na to,

że w kwestii zapewnienia sobie przychylności Wszechmogącego nie liczył się zbytnio czas trwania modlitwy.

– Muszę się przygotować na rozmowę.

Susanna podniosła się z klęczek.

– Mówiłaś chyba, że to dopiero w południe.

– To prawda! Ale potrzebuję, by wszystko było idealne. Widziałaś ją na mieście. Wiesz, jak ona się ubiera, jak zawsze perfekcyjnie wygląda. Ja też muszę tak wyglądać. I musisz mi w tym pomóc. Proooszę...

Westchnąwszy ze znużeniem, przyjaciółka odparła:

– Dobrze, pomogę ci. Tylko obiecaj mi, że szepniesz słówko w sprawie mojego młodszego brata, gdy tylko cię zatrudnią.

Kobieta pisnęła cicho.

– Tak! Obiecuję. Ale niczego nie mogę zagwarantować.

Szybkie kroki zwiastowały ich przejście, więc Claire znieruchomiała.

– Twój brat będzie musiał ciężko pracować, żeby dostać tę pracę i ją utrzymać. Nie mogę sobie pozwolić, by ryzykować własną reputacją dla kogokolwiek...

Główne drzwi kościoła skrzypnęły, otwierając się, i zaraz znowu się zamknęły.

Claire westchnęła z ulgą. Poczekała jeszcze chwilę, żeby się upewnić, że jest sama, a potem wyskoczyła spod ławki, wyciągając ze sobą wszystkie swoje rzeczy. Kiedy sięgała, by podnieść z podłogi trzewiki, zwróciła uwagę na stan swojej sukni. Była pokryta kurzem! Calusieńka – od góry po rąbek spódnicy, podobnie jak pończochy na nogach.

Sapiąc, otrzepywała się najlepiej, jak potrafiła, a jej plany na ten dzień uległy znacznej zmianie po tym, czego się właśnie dowiedziała. Nie miała bladego pojęcia, jak to zrobić, ale musiała się dostać na rozmowę o pracę z... panią Acklen, kimkolwiek ona była, i to jeszcze dzisiaj! Ponieważ

potrzebowała pracy i pieniędzy, by móc zapłacić za jedzenie i jakieś zakwaterowanie. W końcu umiała prowadzić dokumentację i była skrupulatna, a przede wszystkim mówiła płynnie po francusku!

Zmarszczyła brwi. Miała bardzo poskręcaną halkę pod suknią, ale to w zasadzie nic dziwnego...

Sięgnęła pod spód i szeleszcząc, wytrzepała porządnie wszystkie warstwy, a potem, balansując na krawędzi ławki na jednej nodze, a następnie na drugiej, poprawiła i zabezpieczyła pończochy. Czując, że również jej gorset i koszula pod nim poprzesuwały się i nie są na swoim miejscu, poprawiła je kilkoma szybkimi szarpnięciami i podrzutami. Później zajęła się fryzurą, próbując ją doprowadzić do jakiegoś ogólnego porządku. Wiedziała, że i tak nie ma się co za bardzo wysilać, bo całą głowę miała w pyle i kurzu.

Pragnęła teraz przede wszystkim skorzystać z długiej, gorącej kąpieli, zmienić ubrania i udać się na rozmowę o pracę z panią Acklen – a wszystko to jeszcze przed popołudniem. Co mniej więcej znaczyło, że potrzebowała cudu. Albo nawet kilku.

Jej wzrok powędrował w stronę przedniej części świątyni, gdzie jeszcze chwilę temu klęczały obie kobiety. Wpatrywała się w to miejsce, zastanawiając się, czy aby nie podejść tam i nie poprosić Boga o pomoc tak formalnie. Jednakże męczyło ją jakieś uporczywe uczucie dyskomfortu. Czuła się dziwnie i wydawało się jej nieuczciwym proszenie Go o tak wielką przychylność, kiedy ona sama nie zrobiła nic, co mogłoby choć trochę zasługiwać na taką hojność.

Nieco zniechęcona i nieprzygotowana, sformułowała jednak w głowie prośbę i właśnie odwróciła się, by podnieść trzewiki z podłogi, gdy dostrzegła mężczyznę – i to nie byle jakiego – który opierał się o filar na końcu ławki. I ją obserwował!

Sądząc zaś po kpiarskim uśmieszku, w którym unosił się kącik jego ust, robił to już od pewnego czasu.

6

W mgnieniu oka Claire przywołała w pamięci każdą kobiecą poprawkę, której właśnie dokonała... i poczuła ciepło na twarzy. Najchętniej odwróciłaby się i uciekła, a kiedy dostrzegła rozbawienie na obliczu pana Monroego, zrobiło się jej jeszcze cieplej. Dlaczego to właśnie on musiał się tu pojawić w tej chwili? Ożywiony *Dawid* Michała Anioła, choć kompletnie odziany. Był wyższy, niż się jej wydawało wczoraj na dworcu, i dużo bardziej spostrzegawczy.

Postąpił krok naprzód.

– Proszę przyjąć moje przeprosiny, szanowna pani, że panią zaskoczyłem – powiedział. Skłonił się w pas, jak to czynili dżentelmeni z Południa, ani na chwilę nie spuszczając z niej oczu. – Zazwyczaj świątynia jest wolna o tak wczesnej porze. – Ta sama spuścizna, która dyktowała maniery mężczyzny, zdobiła również aksamitem głęboki tembr jego głosu.

Na jego twarzy mignęło rozbawienie, co tylko wzmogło dyskomfort Claire. A jednak nie był to tego rodzaju dyskomfort, który odczuwała pod pożądliwym spojrzeniem Samuela Brodericka. Nie przeszkadzałby jej wzrok pana Monroego, przynajmniej nie wtedy, kiedy... się poprawiała.

Musiała powiedzieć coś, cokolwiek, na swoją obronę, dlatego chwyciła się resztek godności, które jej pozostały, i rzekła:

– Prawdziwy dżentelmen powinien dać znać o swojej obecności, sir. Od samego początku. – Jej reprymenda nie zabrzmiała tak przekonująco, jak tego pragnęła.

– To prawda, powinien. – Niezrażony, uśmiechał się dalej. – Tak jak to uczyniłem. I to nawet dwa razy.

Zmrużyła oczy.

Wzniósł dłoń, jakby prosił ją o uwagę, a następnie odchrząknął. Głośno... nie raz, ale dwa razy. Aż zaczął się krztusić w trakcie tej demonstracji. Albo przynajmniej udawał, że się krztusi. Dosyć wiarygodnie, łapiąc się jednocześnie za pierś i sięgając do najbliższej ławki, by się oprzeć.

Pomimo całego skrępowania Claire nie mogła powstrzymać śmiechu. I właśnie to zapewne zamierzał osiągnąć, o czym była przekonana, patrząc na czujny błysk w jego oku. Zastał ją w najbardziej żenującym momencie, choć sama nie była pewna, jak bardzo żenującym. Czy widział, jak wyczołgała się spod ławki, gdzie się chowała? Z pewnością zauważyłaby go tam w takim wypadku.

Niezależnie od tego była w stanie dostrzec to, co teraz jej oferował – okazję, by złagodzić tę sytuację i wyjść z niej z twarzą. Więc chwyciła się jej obiema rękami, licząc, że będzie przynajmniej w połowie tak samo przekonująca i że on nie zauważy jej nieobutych stóp.

– Cóż... to była bardzo sugestywna demonstracja, sir. – Jej niepokój powoli ustępował, jednak wciąż powstrzymywała uśmiech. – Nie potrafię zrozumieć, jak mogłam, najwyraźniej, nie dosłyszeć tak jawnego przejawu pańskiej obecności.

Jego ciemne brwi nieco się uniosły. Jednak szybko zapanował nad twarzą, co mówiło jej, iż wiedział, jak się prowadzi tę grę, pewnie nawet dużo lepiej niż ona sama.

– To też było powodem mego zdziwienia, droga pani. I prawdę mówiąc, mojego szczerego rozczarowania, gdy nie pospieszyła mi pani na ratunek. Mogłem się zadławić na śmierć! Właśnie tu, na tej podłodze.

– To by była niewypowiedziana strata dla nas wszystkich...

Zmarszczył czoło, pozorując wyraz zranienia i niedowierzania. Była pewna, że udaje, bo widziała ledwie dostrzegalnie uniesione kąciki jego ust.

W normalnych okolicznościach nigdy nie pozwoliłaby sobie na tak swobodną i błyskotliwą wymianę zdań z nieznajomym, ale ten mężczyzna nie wydawał się jej obcy. Przynajmniej niezupełnie. Obserwując go poprzedniego dnia na dworcu, zauważyła, że nie było w nim pretensjonalności, a wręcz wyróżnia się szczerością, i teraz pragnęła zaufać temu pierwszemu wrażeniu. Bardzo.

Ku jej zaskoczeniu ruszył do niej przez całą długość ławki i zatrzymał się w przyzwoitej odległości. Dzieliło ich przynajmniej pół metra, ale ten dystans i tak wydawał się dużo bliższy. On sam wydawał jej się dużo bliższy.

Skłonił się ponownie w jej kierunku, mówiąc:

– Cóż za maniery z mojej strony... Nie przedstawiłem się. Sutton Monroe, do usług szanownej pani.

Podała mu dłoń, a on ją ujął i ucałował. Poczuła ciepło jego oddechu, miękkość jego ust i... zawód, że zbyt szybko ją puścił. Trudno jej było się pohamować, by się nie gapić. Sutton Monroe. To nazwisko do niego pasowało.

Pod wpływem impulsu dygnęła z dystynkcją godną dworu cesarza Napoleona, uważając, by nie odkryć nieobutych stóp.

– Claire Elise Laurent... – Uniosła głowę. – Miło pana poznać, panie Monroe. I proszę przyjąć szczere przeprosiny za to, że narażałam pańskie życie, tak jak się tego najwyraźniej dopuściłam poprzez swoje niedopatrzenie.

Jego uśmiech przemienił się teraz w niebezpiecznie rozbrajający.

Nagle uświadomiła sobie, że jej swobodne przekomarzanie się z nim mogło dać mu niewłaściwe wrażenie na temat tego, jaką kobietą była naprawdę. Spojrzała w jego oczy w kolorze morza i zauważyła w nich kuszący błysk... Teraz wiedziała już, że wpadła w tarapaty. Nie dlatego, żeby dostrzegała jakieś skazy w jego moralności, ale dlatego, że nie potrafiła przestać na niego patrzeć... Na niewypowiedzianą pewność siebie widoczną w jego rysach oraz niedającą się odeprzeć siłę jego osobistego uroku przebijającą z jego ruchów. Na gładko ogoloną szczękę i pełne usta... Na to, jak jego ciemne włosy beztrosko opadały na bok czoła i zawijały się na skroniach...

Znów napotkała te oczy...

Zalało ją ciepło, trochę podobne do tego przed chwilą, lecz... zupełnie inne tym razem. Inne na jakiś dobry... bardzo dobry sposób.

Jego żartobliwe zachowanie całkowicie przekonało ją, że ta „wytworna pani” wspomniana we wczorajszej rozmowie przez jednego z pracowników musiała być albo jego matką, albo jakąś starszą, bogatą ciotką, a nie żoną. Nie umiała sobie wyobrazić, by ten mężczyzna, po tym jak złożył śluby wierności i wyłączności, mógł uczynić cokolwiek, co zszargałoby tę przysięgę.

– Pani pozwoli, że zadam pytanie, panno Laurent?

Uniosła brew.

– Jedno, panie Monroe.

– Czyżbym wyczuwał ślad Francji w pani głosie?

– *Oui, monsieur* [13]. Urodziłam się w Paryżu. – Przechyliła głowę na bok. – *Parlez-vous français*, panie Monroe? [14]

Wzruszył niepewnie ramionami.

– *Un peu* [15], ale niezbyt dobrze. Jednakże... – Na jego twarzy odmalowała się rozkosz. – Bardzo podoba mi się pani kraj.

Wszelka wesołość uleciała.

– Był pan we Francji?

– *Oui, mademoiselle Laurent* [16] – rzekł. Jego zniecierpliwiony ton i francuski akcent dotykały w sercu Claire takich miejsc, że nawet nie spodziewała się, iż jakiekolwiek słowa mogą to uczynić. – W zasadzie byłem w Paryżu w marcu tego roku.

Przeliczyła to szybko w głowie. *Tylko sześć miesięcy temu*.

– Jaki był Paryż? Co pan tam zwiedzał?

Spojrzał na nią zdziwionym wzrokiem, więc pospieszyła z wyjaśnieniami.

– Moja rodzina opuściła Paryż, gdy miałam zaledwie dziewięć lat. Od tamtego czasu nie nadarzyła się okazja, by tam wrócić. – W pamięci stanęły jej jak żywe sceny z przeszłości, którym jak zawsze towarzyszyły również znane zapachy. – Najbardziej pamiętam tamte aromaty. Ogrody Tuileries, mijane praktycznie na każdym rogu ulicy otwarte drzwi *pâtisseries* [17].

– Mmm... – Mężczyzna zamknął na chwilę oczy, jakby również przywoływał te wspomnienia. – Świeże *croissants* [18], parująca *café au lait* [19]...

– *Pain au chocolat* [20] – wyszeptała, czując, że cieknie jej ślinka.

– I jeszcze inne ciastko... – Zmrużył powieki. – Takie z wielu warstw z kremem waniliowym i...

– Napoleonka! – uzupełniła Claire. Jej żołądek skręcił się z głodu. Przycisnęła dłoń do brzucha, żeby powstrzymać burczenie. – A czy odwiedzał pan może pałac wersalski?

Zachwyt w jego oczach mógłby wystarczyć za odpowiedź.

– *Oui, mademoiselle*. Mieliśmy tę przyjemność zatrzymać się tam na noc.

– Nocował pan w Wersalu? W samym pałacu? – Kimże był ten mężczyzna... – Pańska rodzina musi być bardzo wpływowa, panie Monroe.

Powinna była zachować to spostrzeżenie dla siebie, jednak wymknęło się jej, zanim zdążyła pomyśleć.

Wpatrzony w nią, zamrugał kilka razy, jakby nagle dotarła do niego jakaś brutalna świadomość. Odwrócił wzrok i na jego twarzy pojawiło się prawie chłopięce zawstydzenie – a może to smutek...

– Proszę o wybaczenie, panie Monroe. Nie chciałam powiedzieć niczego niestosownego albo...

– Nie. – Pokręcił głową, a uśmiech powoli wracał na jego usta, wciąż tak samo autentyczny, choć teraz może trochę bardziej powściągliwy. – W porządku, panno Laurent. Nic się nie stało, zapewniam panią. – Jego postura, i tak wyprostowana jak strzała, w tej chwili jeszcze bardziej się usztywniła. – Czy pozwoli mi pani na jeszcze jedno pytanie, panno Laurent? – Spojrzał na nią z zamyśleniem. – Tym razem... bardziej do rzeczy.

Coś się zmieniło między nimi i obecny ton ich rozmowy wcale nie był dla Claire komfortowy. Nie miała jednakże wyboru, więc skinęła głową.

– Oczywiście, panie Monroe.

– Czy ma pani w zwyczaju... ukrywać się pod kościelnymi ławkami?

A zatem widział, jak się wyczołgiwała.

Odwróciła wzrok, ale zaraz uświadomiła sobie, że tak właśnie zawsze robił papa, gdy ją okłamywał. Myśl o ojcu groziła płaczem, ale powstrzymała łzy – nawet łatwiej, niż by przypuszczała – przypominając sobie, jak się czuła przez jego kłamstwa.

Zwróciła z powrotem oczy w stronę pana Monroego i napotkała jego bystre spojrzenie. Nie chciała kłamać, jednak ile prawdy miała powiedzieć temu mężczyźnie, to była już zupełnie inna kwestia.

– Nie, panie Monroe, nie mam. Stało się tak dlatego, że kiedy dostrzegłam kościół, postanowiłam wejść do środka. – Próbowała dorzucić uśmiech, uważając, że to może pomóc rozładować napięcie, ale nie potrafiła zatrzymać go na twarzy. – Wtedy, niedługo po mnie, do kościoła weszły dwie kobiety. – Wskazała na drzwi wejściowe, ale on nie odrywał od niej wzroku. Uważnego wzroku. – Wydawały się mnie nie zauważać, a ja nie chciałam przerywać ich rozmowy, która przybrała dość osobisty charakter, więc... – Oblizała wargi, uświadamiając sobie, że zaczyna mówić chaotycznie i że wcale nie szło jej łatwo mówienie skróconej, prawdziwej wersji, nie wdając się jednocześnie w kłamstwo. Jednego była pewna... Im mniej powie, tym lepiej dla niej. – Więc ukryłam się pod ławką. Nie zamierzałam oczywiście podsłuchiwać, daję na to panu szczere słowo. Chciałam tylko, żeby one nie... – Kiedy dotarło do niej, co właśnie miała powiedzieć, wykrzywiła usta, wiedząc, że nie było usprawiedliwienia dla jej zachowania, jakkolwiek niewinne by ono nie było. Wiedziała to wtedy i wiedziała również teraz. – Zrobiłam to, żeby mnie nie zobaczyły i żeby nie czuły się skrępowane... gdyby odkryły, że byłam świadkiem ich rozmowy.

Spojrzenie mężczyzny zrobiło się stalowe. Rozejrzał się dookoła. Czego mógł szukać? Sama nie wiedziała. Następnie jego wzrok zatrzymał się na jej rozsznurowanych trzewikach leżących na podłodze. W jego rysach odbiło się powątpiewanie, po którym zaraz nastąpił pytający wyraz i Claire szybko starała się wymyślić coś, co mogłoby to wytłumaczyć. On zaś popatrzył na nią ponownie, tym razem jeszcze bardziej przenikliwie, jakby widział ją po raz pierwszy, i nagle wszelkie możliwe uzasadnienia, które przyszły jej na myśl, stały się beznadziejnie płytkie.

Tym wzrokiem – skrupulatnym i badawczym, przesunął po całej jej sylwetce, ale nie jakoś lubieżnie, tylko raczej metodycznie, jak detektyw

rozwiązujący zagadkę. Albo, co gorsza, wyczuwający zbrodnię. Nieoczekiwanie pytający wyraz w jego oczach zastąpiło zrozumienie. A Claire poczuła, że od nowa zalewa ją ogromna fala skrępowania.

Patrząc na siebie jego oczami, nagle boleśnie uświadomiła sobie, że jej suknia jest bardzo pomięta, a włosy w nieładzie. Najbardziej jednak w tym wszystkim zabolało ją to, że ze wszystkich mężczyzn, jakich do tej pory spotkała, akurat z tym chętnie nawiązałaby bliższą znajomość. A dodatkowo wolałaby, żeby dobrze o niej myślał, a może nawet również pragnął ją lepiej poznać.

Spuściła wzrok.

– Mogę to wyjaśnić, panie Monroe. Przyjechałam wczoraj do Nashville i miejsce, w którym kazano mi zatrzymać się na noc, było... zupełnie nieodpowiednie.

Spojrzał na ławkę, a potem znów na nią.

– Więc spała pani tutaj? Całą noc?! – zapytał tak, jakby to było coś nie do pomyślenia.

Oczywiście, dla mężczyzny z taką pozycją i bogactwem, z takiego towarzystwa i z takimi koneksjami to mogło wydawać się nieprawdopodobne.

– Daję panu słowo, sir, że nie zniszczyłam w kościele niczego. Ja tylko weszłam... – Kiwnęła głową w kierunku za jego plecami. – ...tamtymi drzwiami. Wejście z zewnątrz nie było zamknięte na klucz. I poszłam spać. Właśnie przygotowywałam się do wyjścia, gdy dostrzegłam, że pan stoi. I mnie obserwuje!

Miała się już pohamować i nie dodawać tego ostatniego zdania, ale kiedy mówiła, dostrzegła nieznaczny wyraz skruchy w jego rysach i teraz się nawet cieszyła, że to powiedziała. Być może wzbudzenie w nim wyrzutów sumienia jakoś jej pomoże.

Przez dłuższą chwilę nic nie odpowiadał. A ona zaczęła się domyślać, że pewnie próbuje zdecydować, co z nią zrobić. Czy zgłosi władzom lokalnym wtargnięcie na teren prywatny, czy raczej zaprowadzi ją przed biskupa albo pastora czy kogokolwiek, kto był odpowiedzialny za ten kościół. Tak czy siak, nie zapowiadało to dla niej niczego dobrego, tym bardziej ze względu na nowe życie, które chciała zacząć.

Przyszło jej na myśl, żeby uciec – po prostu złapać swoje rzeczy i rzucić się do drzwi, ale wiedziała, że i tak by mu nie umknęła. Nawet gdyby miała na nogach buty. Jednakże uświadomiła sobie też, że nigdy nie uda jej się dostać na tę rozmowę o pracę u pani Acklen, jeśli będzie tu tak po prostu stać i tłumaczyć się przed nim.

W końcu pokręcił głową, chyba bardziej do siebie niż do niej.

– Czy ma pani gdzie bezpiecznie dzisiaj przenocować, panno Laurent?

Claire zwróciła na niego wzrok, nieco się uspokajając. A więc nie zamierzał jej przesłuchiwać. Pierwsze wrażenie, że jest to życzliwy człowiek, było całkiem słuszne.

– Dziękuję za troskę, panie Monroe. Tak, mam zamiar znaleźć takie miejsce.

Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, jednak zaraz je zamknął, westchnąwszy.

– Mam nadzieję, że zrozumie mnie pani dobrze. Nie chciałbym naruszać granic. Zapewniam, że nie mam takich intencji, ale...

W ciągu jego lekkiego wahania Claire nabrała dręczącej pewności, że to przesłuchanie, którego, zdawało się, uniknie, było nadal całkiem prawdopodobne.

– Ja również w dobrej wierze nie mogłabym tak po prostu pozwolić...

Nagle drzwi wejściowe do budynku się otworzyły i oboje się odwrócili.

Do środka wszedł jakiś mężczyzna dźwigający pudło. Skręcił w lewo, a potem zatrzymał się i obrócił na pięcie w ich stronę, zerkając sponad ładunku trzymanego na rękach.

– Monroe? Ty wciąż tutaj?

Przenosząc wzrok to na jednego, to na drugiego mężczyznę, Claire modliła się w duchu, by to była właśnie ta okazja, na którą czekała, i zaczęła się zastanawiać, jak szybko dałaby radę uciekać w samych pończochach.

Za murami kościoła słychać było z oddali bicie zegara. Pan Monroe wyciągnął kieszonkowy zegarek z kamizelki i pstryknięciem otworzył złotą pokrywę. Równie szybko zamknął go i rzekł:

– Dzień dobry, ojcze Bunting. W samą porę. Ta młoda dama właśnie chciała się z ojcem spotkać.

Claire nie umknęło znaczące spojrzenie, które – musiała przyznać – pan Monroe posłał nad wyraz umiejętnie w stronę ojca Buntinga.

Kapłan postawił pudło na ławce i odparł:

– Czyżby... panie Monroe?

Mężczyzna skinął głową na Claire, żeby poszła przed nim głównym przejściem, co też, jakkolwiek niechętnie, uczyniła, niosąc w ręce swoją torbę, płaszcz i trzewiki. Marzyła teraz, aby ziemia się pod nią otworzyła i pochłonęła ją w całości. I to najlepiej razem z Suttonem Monroem.

– Ojcze, chciałbym przedstawić pannę Claire Elise Laurent z... – Monroe odwrócił się w jej stronę, dodając: – Proszę mi wybaczyć, panno Laurent. Nie mogę sobie przypomnieć... Pani mówiła, że skąd przyjechała?

Ponieważ wcale o tym nie wspominała, o czym on doskonale wiedział. Dało się to jasno wyczytać ze sposobu, w jaki na nią patrzył.

– Z Luizjany, panie Monroe. Przyjechałam do Nashville wczoraj, jak już panu wspominałam wcześniej.

A co, oboje mogą w to grać.

– Hm, Luizjana... – powtórzył, jakby akurat ta wiadomość była dla niego szczególnie interesująca. – Ojcze Bunting, chciałbym przedstawić pannę Claire Elise Laurent z Luizjany. Ma pewną... osobistą sprawę, którą chyba chętnie omówiłaby z ojcem. Jeśli oczywiście ma ojciec chwilkę?

Teraz to Bunting spojrzał na niego znacząco.

– Ależ oczywiście, tak. Panno Laurent... – Kapłan wskazał dłonią, by usiadła na najbliższej ławce, i Claire dostosowała się, układając obok siebie wszystkie swoje rzeczy.

Podniosła oczy na Suttona Monroego, ale on ani trochę nie onieśmielił się pod jej spojrzeniem. Wręcz przeciwnie, wyglądało, jakby na nie czekał. Gdyby tylko wiedział, jak bardzo potrzebowała wyznać to, co leżało jej na duszy, nie puściłby jej tak łatwo. Żałowała, że nie zaufała mu bardziej, opowiadając o wydarzeniach ostatnich dni. Być może wtedy miałby dla niej więcej zrozumienia.

Ale co się stało, już się nie odstanie.

– Panno Laurent... – Kącik jego ust znowu uniósł się w zalotnym uśmiechu. – Cieszę się, że mogłem panią poznać. I to tak... dogłębnie. A teraz, jeśli mi wybaczycie, czekają na mnie jeszcze pewne zobowiązania w mieście. Gdyby potrzeba było mojej pomocy... – Zwrócił się w stronę duchownego. – Wie ojciec, gdzie mnie szukać. – Po czym wyszedł z kościoła, nawet nie obejrzawszy się za siebie.

Claire patrzyła, jak zamykają się za nim drzwi.

Choć to spotkanie z Suttonem Monroem było nad wyraz miłe, żałowała, że w ogóle go poznała. Kiedy wspominała w myślach ich rozmowę, zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem jakieś drobne ziarenko czegoś, co mogłoby się rozwinąć w wyjątkową znajomość – może, w jakimś innym czasie i miejscu – właśnie nie zniknęło z jej życia na dobre.

I jakoś dziwnie zaczęła już opłakiwać tę stratę.

7

Czyżby potrzebowała panienka wyznać, co pani leży na duszy?

Claire skończyła sznurować botki i zwróciła uwagę z powrotem na duchownego. Skąd on wiedział, czego tak naprawdę potrzebowała...

Zaraz, przecież był kapłanem. Oczywiście, że wiedział. Poczuła, że trzęsie się od środka.

– Tak. Tak, proszę ojca...

Chociaż jej rodzice byli katolikami – przynajmniej we Francji, według tego, co mówili – nie zabierali jej do kościoła. Dlatego też nigdy wcześniej nie spowiadała się przed księdzem.

Wzięła głęboki wdech i próbowała zrobić znak krzyża, jednak sama nie do końca była pewna, czy nie wyszło jej to raczej jak jakaś gwiazda.

– Obarczyłam... – Zacisnęła mocno powieki. *Jak to się mówiło?* – ...Pana Boga kolejnymi śmiertelnymi grzechami – rzuciła szybko, a potem zamilkła. Po chwili jednak podniosła wzrok i dostrzegła, że kapłan się uśmiecha.

– O ile się nie mylę, panno Laurent, to mówi się chyba: „Obraziłam Pana Boga następującymi grzechami”.

Wypuściła powietrze, które do tej pory wstrzymywała.

– Oczywiście. – Zaśmiała się cicho. – To ma więcej sensu.

– I jest krótsze – dodał, patrząc uprzejmie i bez potępienia.

Claire skinęła głową, wdzięczna, że trafił jej się taki cierpliwy ksiądz. Kusiło ją, żeby wbić wzrok ponownie w drzwi, ale się powstrzymała.

– Proszę mi wybaczyć, ojcze, jestem trochę podenerwowana.

– Rozumiem, panno Laurent. Nie musi się pani spieszyć.

Ten siedzący przed nią mężczyzna bez koloratki wcale nie wyglądał na księdza, a raczej na zwykłego człowieka, co też pomogło jej się trochę uspokoić. Pochyliwszy się do przodu, powiedziała:

– Muszę coś wyznać. Zanim się wyspowiadam... – dorzuciła, by nie było wątpliwości. A potem wyszeptała: – Zazwyczaj nie jestem katoliczką.

Mężczyzna roześmiał się na te słowa i pochylił tak samo jak ona.

– Domyśliłem się. Podzielę się z panią czymś w sekrecie... – Rozejrzał się wokół, jakby chciał się upewnić, że byli sami. – Ja też zazwyczaj nie jestem katolikiem.

Wpatrywała się w niego, niepewna, co ma o tym myśleć, podczas gdy w jego rysach pojawiła się jakaś figlarność.

– Nie rozumiem. Myślałam, że...

– Nie jestem księdzem, panno Laurent – powiedział. – Jestem pastorem. – Machnął dłonią, wskazując na otoczenie. – Jestem duchownym w tym kościele. Pierwszym Kościele Prezbiteriańskim w Nashville. – Zerknął na nią. – Dopuściłem do tej sytuacji, bo, choć pan Monroe nie powiedział tego wprost, to dał mi do zrozumienia, że chce mi pani coś wyznać. Albo raczej powinna mi pani o czymś powiedzieć. – Przerwał na chwilę, a potem dodał: – Pan Monroe to zaufany członek tego Kościoła i naszej społeczności. Traktuję go jak dobrego przyjaciela i cieszę się, że on również mnie tak postrzega. A zatem... – Rozluźniwszy się, oparł rękę na oparciu ławki. – Jeśli chciałaby mi pani zdradzić, co pani leży na sercu... – Wzruszył niezobowiązująco ramionami. – Albo co też pani chodzi po głowie, służę pomocą. Choć nie mogę pani zaoferować spowiedzi, jakby to zrobił kapłan, jestem gotów wysłuchać pani jak człowiek, który ze wszystkich sił stara się

podążać za Chrystusem i który wesprze panią najlepiej, jak będzie umiał. Jeżeli, oczywiście, jest pani skłonna się tym ze mną podzielić.

Claire rozważała wszystko, co powiedział, wyobrażając sobie rozbawienie Suttona Monroego, który chwilę temu opuścił kościół, pozostawiwszy ją, by wyznała swoje postępki przed „księdzem”. Gdyby nie to, że miała ochotę go udusić, może nawet wydawałoby się jej to zabawne.

– Zatem, o ile dobrze zrozumiałam, wielebny Bunting...

Czekał cały czas tak samo cierpliwie.

– Jeśli zdecydowałabym, że nie chcę... niczego wyznawać, nie muszę, tak?

Pokiwał głową.

– I jeżeli chciałabym teraz wstać i wyjść, nikt by nie mnie zatrzymywał.

– Zgadza się.

Naraz poczuła, jakby z ramion spadł jej wielki ciężar. Znów mogła normalnie oddychać. Kusiło ją, żeby posunąć się dalej i opowiedzieć pastorowi, o wszystkim, co zrobiła, bo ostatecznie doszła do wniosku, że, jeśli popatrzeć na to z boku, wcale nie zrobiła nic tak strasznego. Nie zniszczyła ani nie przywłaszczyła sobie niczego. A drzwi przecież nie były zamknięte.

– Cóż... – Podniosła się. – Dobrze wiedzieć, gdyż... w zasadzie nie mam nic do wyznania. Przynajmniej nic takiego, co byłoby grzechem śmiertelnym.

Spojrzała w stronę ołtarza z przodu, gdzie wcześniej klęczały kobiety, i w duchu podziękowała Bogu, że odpowiedział na jej modlitwę o ratunek. Teraz mogła wyjść i udać się na rozmowę o pracę... Zerknęła na swoją suknię. Mogła, choć ubrana była jak włóczęga. I nie miała ani centa w swojej...

Moja torebka! – zaświtało jej nagle w głowie.

Rozejrzała się wokół siebie, jednak dostrzegła tylko torbę podróżną.

Przebiegła przejściem między ławkami w stronę miejsca, gdzie spała. Nic. I w tym momencie przed oczami stanął jej obraz, który boleśnie przeszył jej wnętrze. Zostawiła ją w firmie przewozowej, na komodzie w sypialni. Och, jak mogła zachować się tak...

Zrobiło się jej niedobrze i zaczęła gorączkowo przeszukiwać kieszenie spódnicy, sięgając do samego dna i modląc się, by wyczuła ten charakterystyczny dotyk metalu, ale kieszenie miała puste. Zamknęła oczy. Żal rozdzierał jej serce. Zostawiła w torebce pamiątkowy medalion z zegarkiem po matce.

W oczach błysnęły jej łzy i już nie zdołała zrobić nic, aby je powstrzymać.

– Czy coś się stało, panno Laurent?

Usłyszawszy za plecami głos wielebnego Buntinga, Claire nie była w stanie się nawet odezwać. Wciąż stała z odwróconą twarzą. Jeżeli Samuel Broderick młodszy był tym, za kogo go uważała, już pewnie rozplanował, co zrobić z zawartością jej torebki. I na pewno do tej pory już ją znalazł. Mógł sobie wziąć z niej wszystko. Nie zależało jej... oprócz tego medalionu. Tak bardzo chciała odzyskać najcenniejszą pamiątkę po matce.

Pociągnęła nosem i poczuła, że ponad jej ramieniem pojawiła się chusteczka.

– Panno Laurent, proszę pozwolić sobie pomóc. Musi mi tylko pani powiedzieć, co mógłbym uczynić.

Nieco nieufnie wzięła chusteczkę, otarła łzy i nos. W końcu odzyskała mowę.

– Nie mam nic – rzekła. – Żadnych pieniędzy, żadnej rodziny, żadnego miejsca, by się zatrzymać, ani dokąd pójść. – Odwróciła się znów w jego stronę. – I... – Jakże trudno to było wyznać! – Zeszłą noc przespałam

w ojca kościele. Właśnie tutaj. – Wskazała na jedyną wyścielaną ławkę i łzy trysnęły na nowo. – A kiedy dzisiaj rano przyszły tu dwie kobiety na modlitwę, ukryłam się pod ławką, żeby mnie nie widziały, żeby nie wpaść w kłopoty. Wtedy też podsłuchałam ich rozmowę. Zdaję sobie sprawę, że to nie było dobre. – Gwałtownie wciągnęła powietrze. – A potem wstałam i... – Zaczęła gestykulować. – Akurat gdy... poprawiałam swój wygląd, podniosłam wzrok i zobaczyłam, że obserwuje mnie pan Monroe. Widział, jak wyczołgiwałam się spod ławki i...

Pastor Bunting, który darzył ją cały czas uważnym spojrzeniem, pokiwał tylko głową.

– Pan Monroe był bardzo życzliwy i później... przekazał mnie wielebnemu. A ja... – Wzięła głęboki wdech, czując, jak ciężar ostatnich dni coraz mocniej ją przytłacza. – A ja właśnie wczoraj dowiedziałam się, że mój ojciec zmarł.

Duchowny klepał ją po ramieniu, kiedy płakała i mówiła mu o tym wszystkim. Pominęła szczegóły związane z kradzieżą w galerii sztuki... i o tym, czym zajmowała się wraz z rodzicami. Akurat takie informacje z pewnością utrudniłyby jej rozpoczęcie nowego życia.

A poza tym teraz miała to już za sobą. Albo wkrótce będzie miała.

– Przepraszam – wyszeptała po dłuższej chwili. – Bardzo się rozwlekłam i zajęłam ojcu zbyt dużo czasu.

– Ciii... Proszę się o nic nie martwić. Jest pani dokładnie tu, gdzie powinna być, panno Laurent. Jestem co do tego święcie przekonany.

Pociągnęła nosem i wtedy przypomniało jej się to, co zauważyła wczoraj wieczorem.

– Ten kościół pachnie trochę jak szpital.

Wziął głębszy wdech i zmarszczył brwi.

– Ja już tego nie wyczuwam. Zdaje się, że przywykłem. Ten budynek był podczas wojny przekształcony w szpital. Wyniesiono wszystkie ławki i od jednego kąta do drugiego upchnięto ponad tysiąc pryczy. – Poszurał czubkiem buta po podłodze. – Najwyraźniej te drewniane deski, które nie chcą łatwo oddać plam, zatrzymały również tamten zapach.

Claire osuszyła oczy, słuchając jego ponurego tonu. Rozejrzała się wokół siebie, patrząc teraz na świątynię z większym nabożeństwem, i ku własnemu zdziwieniu powoli zaczęła się uspokajać.

– Lepiej? – zapytał cicho.

Wzruszyła ramionami, a potem kiwnęła głową. Czuła się rzeczywiście zaskakująco lepiej po tym, gdy wszystko z siebie wyrzuciła. Choć nie do końca wszystko...

– Jest coś, w czym mógłby mi ojciec pomóc, ale to tak wiele, że nie ważę się nawet prosić.

– Może to wcale nie jest tak dużo, jak się panience wydaje, moja droga.

Na chwilę odwróciła od niego wzrok.

– Te kobiety, o których mówiłam... te, których rozmowę podsłuchałam...

Skinął głową na potwierdzenie.

– Jedna z nich wspominała o rozmowie o pracę u jednej z dam w mieście. Takiej, która uczęszcza do tego kościoła.

Na jego twarzy błysnęło zrozumienie.

– Zapewne chodzi o panią Adelicię Acklen. – Przyglądał się Claire przez moment. – Czy panienka wie, kim jest pani Acklen?

Zaprzeczyła ruchem głowy z poczuciem, że powinna chyba jednak wiedzieć.

Wielebny Bunting zerknął do tyłu na drzwi.

– A czy zna pani kogoś, kto u niej pracuje? Powiedzmy, jakąś osobę, która mogłaby polecić panią osobiście?

Claire znów pokręciła głową, czując, że z chwili na chwilę jej szanse maleją.

– Jednak wydaje mi się, że mogę mieć odpowiednie kwalifikacje na tę posadę. – Uniosła ramię, a potem pozwoliła mu opaść. – Przynajmniej z tego, co zasłyszałam – dodała ciszej.

– I chciałaby pani udać się na rozmowę o pracę.

Przytaknęła.

– Tylko że rekrutacja kończy się dzisiaj. A ja potrzebowałabym czystej sukni i jakiegoś miejsca, by się umyć i...

– Już niech nic pani nie mówi, panno Laurent. Od razu muszę powiedzieć, że to leży poza zakresem moich kompetencji i możliwości.

Claire poczuła, że coś ścisnęło jej serce.

– Rozu...

– Ale! Znam pewną świętą, u której możemy szukać pomocy. To święta Chrissinda.

Claire podniosła wzrok.

– Tyle że ja nie jestem katoliczką. – Unosząc brwi, dorzuciła: – Tak jak i wielebny.

Uśmiechając się szeroko, chwycił jej torbę podróżną i wskazał w stronę drzwi prowadzących do schowka.

– Wyjdźmy tylnym wyjściem. Chrissinda to moja żona, panno Laurent, ale mówię, że jest świętą, jeśli mnie ktoś pyta, czy znam jakiegoś.

Claire wzięła pozostałe rzeczy i poszła przodem do schowka, zauważając po drodze, o ile ta przestrzeń była mniejsza w świetle dziennym.

– Nie będzie miała nic przeciwko, że bez zapowiedzi przyprowadzi jej ojciec do domu jakąś nieznajomą?

– Gdyby moja żona dowiedziała się o całej tej sytuacji i o tym, że nie przyprowadziłem pani do domu, wychłostałaby mi plecy, jak to się mówi tu w Tennessee.

Claire roześmiała się, wyobrażając sobie tę scenę, rozbawiona samym faktem, że w ogóle powiedział jej coś takiego. Przystanęła przy tylnych drzwiach, przez które weszła wieczorem, czując, że musi dokończyć swoją „spowiedź”.

– To właśnie tędy weszłam, wielebny. Chyba ktoś zapomniał zamknąć tych drzwi.

Pastor Bunting dotknął zamka.

– Nie zapomniałem, panno Laurent – odparł cicho. – Zostawiłem je wczoraj otwarte... idąc za Bożym głosem.

~

– Działaj ostrożnie, Monroe. Jeśli będziesz na nich zbyt mocno naciskać, mogą oddać... tak jak zrobili w przypadku twojego ojca.

Sutton Monroe przyglądał się poczerniałej ziemi, którą trzymał w dłoni, i mógłby przysiąc, że wciąż wyczuwał swąd spalenizny. Osmalone pozostałości jego rodzinnego domu – czarne kominy i piec na drewno przechylające się na bok – wystawały z gruzów, jakby błagały, by o nich nie zapomniano. O ile w ogóle mógł kiedykolwiek zapomnieć. Zacisnął ziemię w pięści, a potem wypuścił ją między palcami.

– Mówi pan, że nie powinienem się tym zajmować, sir?

– Mówię, byś działał ostrożnie, gdy będziesz się tym zajmował.

Słysząc jednocześnie przestrogę i bezpieczną radę w głosie starszego mężczyzny, Sutton obejrzał się za siebie.

Dosiadający swej klaczy, odziany w charakterystyczny dla niego wysoki czarny cylinder, Bartholomew Holbrook spoglądał tak, jakby mógł

patrzeć jego własny ojciec, gdyby wciąż żył.

– Wiem, że nie ma sensu próbować cię odwodzić, skoro się na coś uparłeś, synu. – W westchnieniu Holbrooka słychać było nutę pretensji. – Być może sprawiedliwość jest po twojej stronie, ale ona zawsze kosztuje. A twoja matka ma teraz tylko ciebie. Miej to na uwadze. Niezależnie od tego, jaką cenę będziesz musiał zapłacić, ona również ją zapłaci. I zapamiętaj sobie... ją będzie to bolało jeszcze bardziej. – Wbił w niego wzrok. – Tak jak i pewną młodą damę, której na razie nie wymieniajmy z nazwiska.

Sutton pozwolił, żeby rada jego duchowego ojca dotarła prosto do serca, świadom jednocześnie tego, o co pytał ten czcigodny prawnik w typowy dla siebie, zawoalowany sposób. Bartholomew Holbrook był znany nie tylko z tego, że nieprzerwanie od czterdziestu lat prowadził swoją kancelarię prawną w Nashville, ale również z tego, że potrafił wyciągać potrzebne mu informacje.

Jednakże w ciągu tych kilku lat współpracy Sutton nauczył się od starszego wspólnika niejednego... na przykład, jak uniknąć takich prób. Nie był jeszcze gotów, by rozmawiać z kimkolwiek akurat na ten temat. Ponieważ sam jeszcze nie podjął ostatecznej decyzji. Miał nadzieję, że te kilka dni, które w zeszłym miesiącu spędził w Nowym Jorku z Carą Nettą LeVert i jej rodziną, pomogą w podjęciu decyzji. Ułatwią ją. Jednak tak się nie stało.

Cara Netta była wytworną młodą kobietą. Inteligentną, życzliwą i piękną. Znali się od lat i dobrze rozumieli. Miała posag, dla którego o jej rękę rywalizowali wszyscy kawalerzy z Południa. Wszyscy mu mówili, że on i Cara Netta stanowiliby idealną parę. Choć szczerze mówiąc, trudno mu było dostrzec, dlaczego ktoś mógłby obecnie twierdzić, że on byłby idealnym partnerem dla kogokolwiek. Nie był w stanie zaoferować żonie

zbyt wiele w ramach zabezpieczenia finansowego. Wszystko przez wojnę. A prędzej dałby się powiesić, niż pozwoliłby, żeby to kobieta go utrzymywała.

Cara Netta wiedziała o tym – jakby to w ogóle był sekret – co tym lepiej świadczyło o jej charakterze. W ciągu ostatnich miesięcy nawiązali pewne wzajemne porozumienie, takie natury miłosnej, i ona nieraz dawała mu do zrozumienia, że jego sytuacja finansowa nie jest dla niej istotna, ale dla niego była. Mimo że jeszcze się nie oświadczył, wiedział, że ona czekała i spodziewała się tego, tak jak jej matka i siostra.

Aczkolwiek do tej pory nie było na to odpowiedniego czasu i to nie uległo zmianie. Dopóki nie będzie całkowicie pewien, że ten nowy rząd nie odbierze jego ziemi i nie pozbawi go prawa przysługującego mu z tytułu urodzenia. Kiedy tylko to wszystko zostanie uregulowane, będzie mógł myśleć o małżeństwie. Przynajmniej tak to sobie tłumaczył. I w zasadzie tak też myślał.

Wpatrywał się w ziemie, które od trzech pokoleń należały do jego rodziny. Wawrzynowy Zakątek, tak nazwali te okolice jego dziadkowie. Teren, który zostanie pozbawiony nazwiska jego rodziny, jeśli Armia Unii dopnie swego. Oczami wyobraźni widział miejsce, gdzie dawniej stała obora i stajnie oraz wędzarnia, za którą dziadek uczył go strzelać.

Przeniósł wzrok w stronę spalonych szczątków domu z dzieciństwa i powrócił inny obraz – ojca leżącego twarzą do ziemi, zaledwie kilka metrów od miejsca, gdzie teraz stali. Zawrzała w nim krew i umocnił się w powziętym postanowieniu.

– Czy dowiedział się pan nazwiska przewodniczącego komisji rewizyjnej z Armii Unii?

– Jeszcze nie. Ale to wysoki rangą unionista. Przekazano mu wszystkie dowody. – Dopiero po chwili Holbrook podjął: – Jeden z ludzi w komisji

poinformował mnie w zaufaniu... podobnie jak ja przekazuję to tobie...

Widząc pytające spojrzenie starszego mężczyzny, Sutton kiwnął głową na znak zgody.

– Powiedział mi, że byli pod wielkim wrażeniem pisemnej obrony, którą przedstawiłeś w imieniu ojca. Mówił, że to było najbardziej dogłębne i dobrze sformułowane wyjaśnienie, jakie do tej pory otrzymali. Co już samo z siebie wiele znaczy.

– Mimo wszystko wolałbym, żeby pozwolili mi zeznawać osobiście.

Holbrook wyprostował się w siodle, wywołując tym samym skrzypienie skórzanego sprzętu.

– Jest zbyt wiele tego rodzaju spraw i zajęłoby to dużo więcej czasu, niż mają. Poza tym osobiste zeznania wyjaśniałyby za dużo, co oznacza, że rząd będzie się temu sprzeciwiał.

Sutton odpowiedział pozornym uśmiechem, jednak czuł, że w środku się w nim gotuje. Jego ojciec był tak pokojowo nastawionym mężczyzną. Najbardziej łagodnym i kochającym człowiekiem, jakiego znał. Jego życie nie powinno było się tak zakończyć. I nawet jeśli Sutton z jednej strony wiedział, że to nie jego wina, z drugiej był przekonany, że to on ponosi odpowiedzialność za jego śmierć.

To przez niego ojciec nie podpisał tamtego dnia przysięgi wierności Unii. Pamiętał swoją ostatnią rozmowę z ojcem na ten temat i czuł, że coś się w nim łamie. Oddałby wszystko, by móc się cofnąć w czasie i odbyć ją jeszcze raz.

– Jeszcze jedno, synu. Decyzje wydawane przez komisję rewizyjną są ostateczne. Nie ma możliwości apelacji. Niezależnie od tego, kto ją wnosi ani jak dobrze jest napisana.

Sutton przerzucił wodze swojego ogiera i wskoczył na siodło. Truxton parsknął i bryknął pod nim, żądny, by ścigać się z wiatrem i zażywać

wolności. Jakże dobrze Sutton rozumiał te pragnienia. Z tą różnicą, że on gnał za wolnością, której – jak się obawiał – być może nigdy nie będzie w stanie doścignąć.

Przepełniła go gorycz, poczucie niesprawiedliwości całej tej sytuacji. Północ uparła się, by obedrzeć go ze wszystkiego. Zabili mu już ojca i spalili rodzinny dom. A teraz chcieli zabrać jego ziemie, jego dziedzictwo i przyszłość. Pomyślał o swojej matce. Niejako także i ją mu zabrali. Już nigdy nie będzie taka jak kiedyś. Nie po tym wszystkim, czego była świadkiem. Gdyby tylko wtedy tam był, tego popołudnia, kiedy to się wydarzyło...

Opuścił na moment powieki. Matka przekazała mu wszystkie koszmarne szczegóły. Unionista podjechał pod ich dom pod w pełni uzbrojoną eskortą. Ojciec wyszedł mu na spotkanie i stanął u góry stopni prowadzących na werandę z wyciągniętą dłonią. Matka opowiadała, że potem nastąpiły zarzuty, a zaraz po nich groźby... i ultimatum. A na sam koniec kapitan wyciągnął broń i wystrzelił z bliska. Minęły już prawie dwa lata, a to wciąż wydawało się tak nierealne.

Teraz zaś rząd utrzymywał, że to jego ojciec pierwszy wyciągnął broń. Jego ojciec – pacyfista, lekarz poświęcający się ratowaniu życia. Ten, który nigdy w życiu nawet nie posiadał pistoletu, przynajmniej z tego, co Sutton pamiętał. Jako chłopak uczył się strzelać od dziadka, bo ojciec nie chciał go uczyć. Sam tego nigdy nie rozumiał i pewnie nie zrozumie.

Gdyby tylko mógł porozmawiać z kimś z tej komisji. Złożyć osobiste odwołanie. Według tego, co od czasu do czasu mówił mu pan Holbrook, mowy końcowe były jego największym atutem jako prawnika.

Odsunął w głowie ten niedający się zapomnieć widok ojca i ponaglił konia, zrównując krok z klaczą Holbrooka. Jechali w milczeniu obok siebie,

ścieżką pod cedrowym baldachimem prowadzącą do głównej drogi, a dalej do miasta.

W oddali biły dzwony kościelne, a ich dźwięk płynący ponad dachami przyciągnął uwagę Suttona do położonej bliżej, zaledwie dwie przecznice dalej, wieży. *Mademoiselle Claire Elise Laurent* – wspomniał. Ani imienia, ani kobiety nie dało się łatwo zapomnieć. Z przyjemnością oderwał myśli od wcześniejszych spraw i skupił się na tym miłym rozproszeniu, choć wiedział, że pewnie nie powinien, szczególnie w świetle jego związku z Carą Nettą.

Mimo wszystko żałował, że nie miał więcej czasu tego poranka. Chciał pomóc pannie Laurent dużo bardziej, niż był w stanie, ale ta młoda dama tak naprawdę potrzebowała pastora Buntinga. Z niejednego powodu.

Usta drgnęły mu w uśmiechu. Ten wyraz jej twarzy, kiedy odwracał się do wyjścia... Jakby chciała go żywcem obedrzeć ze skóry. Miała charakterek, to było pewne. Jednak wyczuwał u niej też jakiś rodzaj nieśmiałości. I coś na kształt przerażenia. Co w zasadzie było zrozumiałe, jeśli przybyła do miasta i odkryła, że tak naprawdę nie ma dokąd się udać i gdzie spać. Tylko jaka kobieta podróżuje samotnie i bez potwierdzonego miejsca docelowego?

– Mildred otrzymała wczoraj list od twojej matki.

Wyrwany z zadumy Sutton obejrzał się, próbując wyczytać coś z twarzy pana Holbrooka. Jego matka napisała też do niego, trzy miesiące temu. Odpisał jej od razu, ale nie dostał odpowiedzi. To była dłuższa przerwa w ich zwykłej korespondencji, lecz nie traktował tego jako powodu do zmartwień. Przynajmniej do tej pory.

Matka zawsze miewała takie napady, kiedy była niespokojna, i wiele wysiłku kosztowało ją przelanie myśli na papier. Te ataki jednak nasiliły się od śmierci ojca.

– Mildred pozwoliła mi przeczytać list w przekonaniu, że nie zdradzi jej zaufania. I tak się stało. – Zdawało się, że prawnik stara się ostrożnie dobierać kolejne słowa. – Twoja matka wykazuje... lekką poprawę.

Sutton z powrotem skupił uwagę na drodze.

– Co można rozumieć, że wciąż nie jest z nią dobrze. Przynajmniej nie na tyle, by mogła wrócić.

Milczenie Holbrooka było wystarczającą odpowiedzią.

– Wspominała coś o tym, że być może kiedyś wróci, ale przyjazd do Nashville będzie dla niej trudny, niezależnie od tego, jak wiele czasu minie. Wydaje mi się, i Mildred się ze mną zgadza, że zachęcenie jej do jeszcze kilku miesięcy odpoczynku byłoby wskazane. Sądząc po tym, co pisała w liście, pobyt u twojej ciotki jest miły i działa jak balsam na jej duszę.

Sutton miał już coś powiedzieć, lecz tylko skinął głową. Jeśli matka chciała przedstawiać swoją relację z ciocią Loreną jako coś miłego i działającego jak balsam na duszę – nawet był w stanie wyobrazić sobie te słowa z jej ust – niech i tak będzie, ale on wiedział lepiej. Mimo wszystko brakowało mu jej, a jednocześnie zdawał sobie sprawę, że powrót matki do Nashville byłby teraz dużo trudniejszy. Dla nich obojga.

Kiedy razem z Holbrookiem dotarli do skrzyżowania, gdzie mieli się rozstać, Sutton ruszył przed siebie. Zaraz jednak ściągnął wodze, słysząc, że towarzysz zawołał go po imieniu.

Starszy prawnik bawił się rondem cylindra, a na jego twarzy malował się coraz bardziej ponury wyraz.

– Nawet nie próbuj osobiście kontaktować się z komisją rewizyjną, Suttonie. W takim wypadku nie tylko stanąłbyś przed bardzo wpływowym człowiekiem, lecz także zakwestionowałbyś edykt wydany przez rząd Stanów Zjednoczonych.

Sutton skierował swojego rasowego konia bliżej.

– Rządu, który zamordował mojego ojca, odarł go z honoru i spalił do gruntu jego dom. A teraz próbuje zniszczyć jego nazwisko i wszystko, na co pracował całe życie. To nie jest rząd reprezentujący dobrze rozumianą unię, sir.

– Nie – odparł Holbrook. – Ale to jest *de lege lata* [21].

Sutton westchnął, dobrze znając to łacińskie określenie. „Tak, jak stanowi prawo”.

– A *de lege ferenda* [22]?

Czyli tak, jak powinno stanowić prawo.

Wzrok Holbrooka był nieprzejednany.

– Potrzeba czasu, by uleczyć państwo. Zwłaszcza gdy serca ludu są wciąż poranione i krwawią. Po obu stronach barykady. – Wychylił się w jego stronę. – Sam sobie przypominam o tym każdego poranka: „Do Mnie należy pomsta – mówi Pan” [23]. Ten sam Pan nakazuje, byśmy przestrzegali prawa swojego kraju i podporządkowali się naszym władcom. A także...

– A co, jeśli nasi władcy zawzięli się, żeby...

Prawnik wzniósł dłoń.

– Czy mogę skończyć, panie Monroe?

Ta lekka reprymenda ukłuła go i mając świadomość tego, jak wiele znaczył dla niego Bartholomew Holbrook, Sutton kiwnął głową.

– Tak jest, sir. Proszę o wybaczenie.

W oczach starszego mężczyzny mignął znaczący błysk. On tak samo lubił dyskutować.

– Jak już mówiłem, Pan wzywa swój lud, by postępował sprawiedliwie, choć jesteśmy stworzeniem pełnym wad. – Jego krzaczaste brwi się uniosły. – Ale rząd, sam w sobie i z siebie, nie może być bardziej uczciwy i sprawiedliwy niż jakakolwiek z firm tutaj. – Wskazał ręką na witryny

sklepowe ciągnące się wzdłuż ulicy. – Sprawiedliwość nie pochodzi z instytucji, panie Monroe, lecz z serc ludzi. O ile tylko ci ludzie szukają Boga z całego serca... – Zmrużył oczy. – A o to, mój dobrze rokujący młody przyjacielu, proszę Pana w twojej sprawie, aby komisja rewizyjna szukała Bożej woli i żeby wydała w tej sprawie uczciwy wyrok. Modlę się także o to, byś ty szukał sprawiedliwości we własnym sercu i pogodził się z przeszłością, niezależnie od tego, czy sprawiedliwość przyjdzie pod taką postacią, jakiej oczekujesz, czy nie.

Bartholomew Holbrook jak zawsze przemawiał z wielką mądrością, a jednak Sutton nadal miał ochotę się z nim nie zgodzić. Jednak po latach doświadczenia – i słysząc, że zegar kościelny bił trzy razy, co oznaczało, że jeśli się nie pospieszy, zaraz się spóźni na kolejne spotkanie – wiedział, że to i tak nie miało sensu. Przynajmniej nie dzisiaj.

Pochylił głowę.

– Wezmę pańską radę pod szczerą rozwagę, sir.

Na twarzy Holbrooka pojawił się smutny uśmiech.

– Suttonie, jesteś mi jak syn. Jesteś bystry i utalentowany, możesz osiągnąć dużo więcej niż ja w wieku dwudziestu siedmiu lat. I niezależnie od tego, co teraz przeżywasz, wierzę, że uda ci się otrząsnąć po tej stracie. Nie pozwól, by ta sama nienawiść, która pchnęła tamtych ludzi do morderstwa twojego ojca, teraz zżerała ciebie. Jeżeli tak się stanie, oni wygrają po raz drugi.

W tej radzie Sutton słyszał nutę ukochanego głosu ojca i musiał odwrócić wzrok. Chwycił za kraj kołnierza.

Holbrook wyciągnął dłoń i uścisnął przedramię mniej doświadczonego prawnika.

– Wiem, że po tym, jak podjąłeś się pracy dla tak szanownego chlebodawcy, masz na głowie mnóstwo spraw zawodowych, ale mam dla

ciebie propozycję. I wydaje mi się, że okaże się ona wyjątkowo ciekawa, a jednocześnie, na co mam nadzieję, wyjątkowo trudna do odrzucenia.

Monroe czekał, a jego zainteresowanie lekko wzrosło.

– To jest taka sprawa, że jeśli byłbym młodszy, nawet bym nie rozważał dopuszczenia do niej kogokolwiek. Nawet ciebie, mój drogi chłopcze.

Sutton uśmiechnął się, ale jego zainteresowanie utrzymywało się nadal na tym samym poziomie. Znał możliwości perswazji Holbrooka.

– Będzie to wymagało wiele wysiłku i czasu. Dlatego też proponuję ci współpracę. Potrzebuję twojej młodości i wytrzymałości oraz twojej nieustępliwości.

– Cóż to za sprawa, sir?

Starszy pan uniósł dłoń.

– Jeżeli wygramy tę sprawę, panie Monroe, twoje nazwisko będzie na pierwszych stronach wszystkich gazet w kraju i na szczycie list najbardziej poszukiwanych prawników. Już do końca będziesz miał zapewnioną przyszłość finansową.

– Czego dotyczy ta sprawa... panie mecenasie? – ponowił pytanie Sutton. Ten ostatni komentarz wzbudził w nim ciekawość.

Jego towarzysz się zaśmiał.

– Tego, co zwykle... kradzież, chciwość, oszustwo. Przymioty, które sprawiają, że ludzkość jest tak fascynująca i tragiczna jednocześnie. – Holbrook nachylił się do niego. – Wieloletni klient naszej firmy zakupił oryginalny obraz Rafaela w jednej z galerii Nowego Jorku i kiedy chciał go ubezpieczyć, odkrył... że choć obraz w rzeczywistości był oryginalny, to jego certyfikat został z jakiegoś powodu podrobiony. Co z kolei doprowadziło naszego klienta do pytania o autentyczność innego „oryginału”, który zakupił z tej samej galerii dwa lata wcześniej. Okazało się wtedy, że tamten obraz był falsyfikatem. Galeria zaprzecza, by wiedzieli

coś na ten temat, chociaż dowody świadczą o czymś przeciwnym. Przygotowując materiał do procesu, odkryliśmy jeszcze drugie dno tej nieczystej sprawy.

– Co takiego, sir?

W rysach Holbrooka odmalowała się żarliwość.

– Nasz klient posiada, jakby to można określić, dosyć pokaźne zbiory dzieł sztuki, podobnie jak jego znajomi. Wynajął śledczych, z których relacji wynika, że ten proceder może mieć znacznie większą skalę, niż przypuszczaliśmy na początku. Nasz klient pragnie oczywiście pozwać galerię za straty finansowe, ale chce też, by ten, kto stoi u szczytu tego wszystkiego, musiał za to odpowiedzieć. I jest gotów nam zapłacić, całkiem sowicie, byśmy podjęli współpracę z tymi śledczymi i dopilnowali, żeby tak się stało.

Sutton pokiwał głową, a jego apetyt wzmógł się już na dobre.

Dawniej, gdy zastanawiał się nad studiowaniem prawa, kariera adwokata była dla niego środkiem do celu – by mógł robić to, czego naprawdę pragnął w życiu. Jednak z czasem i pod wpływem Bartholomew Holbrooka prawo zaczęło żyć w jego wnętrzu i zasiało w nim pasję do prawdy, którą niosło. Ale taką miłością, jaką darzył prawo, kochał jeszcze coś innego... O ile nie bardziej.

Bawił się wodzami Truxtona, wspominając, przez ile lat musiał oszczędzać, by kupić sobie tego rasowego konia, a także inne, które Północ skonfiskowała mu podczas wojny. Prawdopodobieństwo, że jego marzenie z dzieciństwa się ziści, było tak samo nikłe, jak to, że otrzyma uczciwy wyrok ze strony komisji rewizyjnej.

Pan Holbrook znał te jego pragnienia i Sutton zastanawiał się, czy fakt, że teraz proponuje mu współudział w prowadzeniu tej sprawy, nie był

sposobem na to, by pomóc mu pozbierać porozbijane przez wojnę kawałki tego marzenia.

– Zastanów się nad tą propozycją, Suttonie, a kiedy już podejmiesz decyzję, daj mi znać. Tylko jedna rzecz... pod żadnym pozorem, niezależnie od tego, czy się zdecydujesz, czy nie, nie wolno ci nikomu mówić, że firma zajmuje się tą sprawą. Jeśli informacje o prowadzonym przez naszego klienta śledztwie by wyciekły, obawiam się, że wszelkie dowody, których szukamy i potrzebujemy, szybko zostałyby skrupulatnie ukryte.

– Rozumiem, sir. I doceniam pańskie zaufanie. – Monroe wyciągnął dłoń w stronę Holbrooka i z wdzięcznością przyjął mocny uścisk prawnika. – Dam panu odpowiedź w ciągu tygodnia.

– A ja od razu dam ci znać – ciągnął dalej Holbrook – kiedy tylko będę miał jakieś informacje na temat decyzji komisji rewizyjnej.

Sutton kiwnął głową.

– Dziękuję, sir. Za... wszystko.

Holbrook chciał już ruszyć, ale jeszcze się zatrzymał. Przepełniony wspomnieniami uśmiech rozprostował zmarszczki czasu i cierpienia wyryte na jego twarzy.

– Czasami, Suttonie... kiedy patrzę na ciebie, mogę dostrzec także jego. Kochał cię, wiesz o tym. Jak brata.

Monroe poczuł, jak boleśnie przelewają się przez niego obrazy minionych lat.

– Ja również go kochałem, sir. I noszę go w sercu cały czas.

Sekundy mijały jedna po drugiej, a żaden z nich nie przerywał tej ciszy, aż w końcu Holbrook, poprawiwszy rondo cylindra, rzekł:

– Cóż... – Westchnął głośno. – Życz mi szczęścia. Właśnie jadę na spotkanie ze śledczym. Już od lat tego nie robiłem. Czuję się znów jak

świeżo opierzony adwokat. Pomimo tego, że jeszcze przed południem będę się musiał ratować lekami na reumatyzm.

Rozstali się i Sutton ruszył przez miasto. Kiedy dotarł do wyjazdu, skierował się na wschód, poganiając Truxtona do galopu. Wiedział, że starszy prawnik nie popierał składania wniosku do wojskowej komisji rewizyjnej, by rozpatrzyli sprawę śmierci jego ojca. Nie uważał tego za coś złego, ale po prostu bezużytecznego w obecnych okolicznościach.

A mimo to Sutton wiedział, że Bartholomew Holbrook go rozumiał.

Stracił swojego jedynego syna na polu bitwy niecałe dwadzieścia pięć kilometrów na południe od miasta, zaledwie kilka dni po tym, gdy doktor Stephen Monroe na oczach żony został zastrzelony na własnej werandzie. To Sutton powiedział Holbrookowi o jego synu. Mark Holbrook – jego najlepszy przyjaciel, z którym znał się od szóstego roku życia – na jego rękach wydał ostatnie tchnienie tuż po tym, jak pocisk typu Minié wydarł mu dziurę w piersi.

Sutton przeszedł z galopu w cwał, a potem poluzował rumakowi wodze. Pomsta należała do Pana – wiedział to dobrze, ale czasem miał wrażenie, że Pan tak powoli wymierza sprawiedliwość... Zbyt wolno, jak na te pragnienia, które żywił w sercu.

8

Pastorze, proszę mi powiedzieć, jak daleko jeszcze do posiadłości pani Acklen? – Nerwy zdominowały jej zapał. Claire wychyliła się na siedzeniu odkrytego powozu i ponad ramieniem „świętej Chrissindy” zerknęła na wielebnego Buntinga, który trzymał w dłoniach lejce.

– Zjazd jest już przed nami. – Rzucił jej powściągliwy uśmiech. – Mówiłem panience, że to na peryferiach.

Mówił, że to trzy kilometry od centrum Nashville. Nalegał również, by razem z panią Bunting mogli z nią pojechać. Claire była wdzięczna za towarzystwo, jak i za podwiezienie.

Im bardziej oddalali się od miasta, tym piękniejsze otaczały ich widoki. Niezłomne sosny stały ramię w ramię z klonami oraz dębami o bujnych koronach, tworząc w ten sposób flanki skąpanej w słońcu drogi gruntowej. Co pewien czas w rzędach tych drzewnych żołnierzy tworzyły się wyrwy, przez które można było dostrzec sięgające aż po horyzont wiejskie pejzaże. Claire nie spodziewała się, że okolice Nashville okażą się tak piękne – nawet pomimo tych licznych powalonych niewątpliwie podczas wojny pni olbrzymich drzew. Zwłaszcza po tym, co widziała w mieście.

Mogła przebyć ten dystans na nogach – była przyzwyczajona do dużo dalszych spacerów – ale popołudniowy upał i wilgoć były trudne do zniesienia, nawet gdy podróżowało się powozem. A zakurzone drogi zniszczyłyby doszczętnie tę elegancką szmaragdową suknię i dopasowany do niej żakiet, które pożyczyła od pani Bunting.

Przejrzała zawartość garderoby pani pastorowej i chociaż pozostałe suknie kobiety były z pewnością ładne, ten komplet był bez wątpienia najlepszy. Claire nie miała serca, by przypominać „świętej Chrissindzie”, że wciąż była w żałobie po matce. I po ojcu także.

W ciszy wyliczała w pamięci wszelkie akty życzliwości i małe cuda, których dokonała pani Bunting w tak krótkim czasie. Kto by pomyślał, że żona pastora będzie umiała tak misternie upiąć włosy? Dotknęła palcem kosmyka spuszczonego na kark.

– Podejrzewam, że te grube włosy panienki nie wyschły jeszcze do końca. – Pani Bunting poklepała ją po ramieniu. – Ale nikt nie zauważy, proszę mi wierzyć. Wygląda panienka wspaniale! – Zacisnęła wargi i przyglądała się fryzurze Claire. – Ile ja bym dała za takie loki... Nie wspominając już nawet o kolorze.

Claire domyślała się, że powiedziała to, by odwrócić jej uwagę i uspokoić nerwy, więc uśmiechnęła się w podziękowaniu. To prawda, że czuła się wspaniale, bo miała czyste włosy, tak jak i resztę ciała, dzięki luksusowej kąpieli lawendowej, którą przygotowała jej pani Bunting. Mogłaby moczyć się w tamtej ciepłej wodzie z mydłem całymi dniami.

Później opowiedziała tej kobiecie wszystko, co mówiła już pastorowi, i szybko odkryła, że Chrissinda Bunting była w każdym calu tak święta, jak to przedstawiał jej mąż.

Pastor zerknął na nią.

– Kiedy dojedziemy, panno Laurent, wejdę z panią do środka i przedstawię panienkę. Następnie poczekam na zewnątrz z żoną, aż skończycie rozmowę.

– Ja też idę do środka! – Pani Bunting szturchnęła go w odpowiedzi. – Nawet sobie nie myśl, Robercie Franklinie Bunting, że przejechałam całą tę

drogę tylko po to, żeby siedzieć i czekać w powozie. – Puściła oko do Claire. – Nie mogłabym przegapić takiej okazji, by zobaczyć Belmont.

Choć Claire podejrzewała, że posiadłość i dom były piękne, była przekonana, że z pewnością nie dorównują tym, które widywała w Luizjanie. Nie zamierzała jednak wypowiadać na głos tak impertynenckiej opinii.

Wtedy przypomniała jej się inna raczej zbyt bezpośrednia uwaga, która jej się wymknęła – w zasadzie nie tak dawno, bo tego dnia rano – i tknęło ją jakieś złe przeczucie. *Sutton Monroe* – wróciło jej w myślach. Ten człowiek nawet nie wiedział, że jego próba wyciągnięcia z niej wyznania win przyniosła jej tak wiele dobra! Niezależnie jednak od tego, jakie intencje miał naprawdę, chciałaby, żeby mógł się o tym dowiedzieć. Żałowała, że nie ma mu jak tego przekazać. I podziękować.

Kusiło ją, by zapytać o niego pastora, mając na uwadze, że byli znajomymi. Niestety mógłby potraktować to jako zbyt bezczelne z jej strony, a nie chciała już dodawać kolejnych niestosowności do własnego i tak nieco zszarganego pierwszego wrażenia. To nie świadczyłoby za dobrze o jej charakterze, a przecież chciała, żeby państwo Buntingowie dobrze o niej myśleli. Byli tacy hojni...

Ta myśl jedynie wzmogła w niej poczucie winy spowodowane tym, że nie była z nimi do końca szczera w kwestii swojej sytuacji. Ale jak miała tak po prostu powiedzieć im o wszystkim i nadal oczekiwać od nich pomocy? Nie mogła. Potrzebowała tej okazji, tej pracy! By mieć jak zadbać o własne utrzymanie.

Zastanawiała się, czy śmierć ojca wpłynęła jakoś na decyzję Antoine’a DePaula w sprawie przyjazdu do Nashville. Mogła tylko żywić nadzieję, że tak i że nie będzie musiała się z nim ponownie spotykać.

Powóz podskoczył na wyboju i Claire chwyciła się skraju siedziska.

– Jeszcze raz państwu dziękuję. Doceniam wszystko, co państwo dla mnie zrobili.

– Cała przyjemność po naszej stronie, moja droga – odparła pani Bunting, ściskając jej dłoń.

– Zgadzam się z żoną. Cieszę się, że mogliśmy to uczynić, panno Laurent, ale dajemy pani tylko tę przysłowiową wędkę. Reszta należy do pani. W notatce, którą przesłałem wcześniej pani Acklen, nie przedstawiłem żadnych szczegółów na temat pani osoby i doświadczenia. Podałem jedynie pani imię i nazwisko oraz poprosiłem, by z mojej rekomendacji zgodziła się przyjąć panią na rozmowę o pracę dzisiaj po południu.

Co też pani Acklen natychmiast uczyniła, jak zauważyła Claire. To wiele mówiło o szacunku, jakim kobieta darzyła pastora. Pani Acklen odpowiedziała w błyskawicznym tempie. Pismo sporządzone na wysokiej jakości papierze listowym, idealnie wykaligrafowane, stanowiło, co następuje:

Drogi Wielebny Bunting,
zgadzam się. Będę oczekiwać Państwa o wpół do piątej.
Z serdecznymi pozdrowieniami
Adelicia Franklin Acklen.

Adelicia Franklin Acklen – pomyślała Claire. Niezwykle dystyngowane nazwisko.

Pani Acklen była wdową – bardzo zamożną wdową, jak powiedzieli jej państwo Buntingowie – i miała czwórkę dzieci w wieku od sześciu do szesnastu lat. Po śniadaniu żona pastora pokazała jej ogłoszenie o pracę w gazecie z poprzedniego dnia.

Claire wyciągnęła wycinek z kieszeni spódnicy i po raz kolejny przejrzała wymagania, zastanawiając się, jakie pytania mogą paść podczas

rozmowy i przygotowując w głowie możliwe odpowiedzi.

To ogłoszenie nie znajdowało się w tym samym dziale, co inne oferty pracy dla asystentek, urzędników czy sekretarek, ale zajmowało zupełnie oddzielną sekcję. Także opis nie był skrócony, jak to było w przypadku innych ofert. Najwyraźniej pani Adelicia Acklen nie przejmowała się tym, że płaci się od słowa.

Nazwa stanowiska sprawiała, że Claire uśmiechała się. Lista wymagań wręcz przeciwnie.

LIAISON [24] *PANI ADELICII FRANKLIN ACKLEN*

Poszukiwana młoda kobieta o nienagannym charakterze i miłym usposobieniu, posiadająca wzorowe kompetencje w zakresie pisania listów, rachunkowości oraz organizowania wydarzeń towarzyskich. Musi być skrupulatna i dokładna z natury, a także posiadać umiejętność wykazania inicjatywy oraz dojrzałość. Wymagana biegła znajomość angielskiego i francuskiego. Przed zgłoszeniem się na rozmowę o pracę w Belmont należy przesłać do przejrzenia życiorys i referencje.

– Wiem, co zapewne panienka myśli – wyszeptała pani Bunting, zerkając na wycinek z gazety. – „Czy istnieje w ogóle ktoś, kto jest w stanie sprostać tym wymaganiom?”

Claire złożyła kartkę i wsunęła ją z powrotem do kieszeni. Jej pewność siebie kurczyła się coraz bardziej.

– Tak, proszę pani. Właśnie tak myślałam. – Co ona w ogóle robiła, ubiegając się o taką posadę? Oczywiście była skrupulatna i mówiła płynnie po francusku. To nie był problem. Tak naprawdę najbardziej martwił ją wymagający ton tego ogłoszenia. Te ogromne oczekiwania, które kryły się między wierszami.

Przesuwała palcami po wykończonym koronką rękawie pożyczonego żakietu, żałując, że przed tą rozmową nie zdołała się dowiedzieć czegoś więcej na temat pani Acklen. Zanim jednak wyartykułowała tę myśl, pastor Bunting zwolnił konia i skręcił w boczną drogę, prowadząc powóz w stronę masywnych kolumn wyrzeźbionych z wapienia.

Claire pochyliła się do przodu, niewytłumaczalnie przyciągana pięknem i przepychem, jakie rozciągały się przed jej oczami.

Zanurzone we wszelkich odcieniach stonowanej zieleni i słonecznych żółcieniach widoki sprawiały wrażenie, jakby stanowiły raczej część jakiegoś obrazu, a nie rzeczywistości. Jednak najbardziej jej wzrok przykuł dom wznoszący się w oddali na szczycie wzgórza w rozkwicie lilioworóżowego splendoru.

Wielebny Bunting zaśmiał się cicho, podobnie jak jego żona.

– Witamy w Belmont, panno Laurent – rzekł. – Domu pani Adelicii Acklen.

9

Określenie „piękny” nawet w połowie nie oddawało splendoru rezydencji Belmont. „Zapierający dech w piersi” mogło być lepsze, choć i tak nie do końca spełniało swoją rolę. Kluczyli ścieżką, wzdłuż której rosły drzewa. Minęli powozownię oraz stajnie i po raz kolejny Claire zauważyła pozostałości po wiekowych drzewach – ich spalone pnie świadczyły o stoczonych tu bitwach.

Dostrzegła też sarnę, a w zasadzie jelenia, zaczajonego w cieniu sosny. Tylko że to nie był zwykły jeleń. Ten był żeliwny i odzwierciedlał prawdziwie królewską postawę zwierzęcia, które czekało w pogotowiu, z głową na wieki uważnie wzniesioną, pięknie prezentując poroże i niezmiennie starając się złowić zapach niesiony przez wiatr. Pełna zachwytu Claire uśmiechnęła się, gdy pojawiły się kolejne zwierzęta – psy, lwy i kilka innych jeleni – wszystkie żeliwne, tak jak ich nieustraszony przywódca. Albo skrywały się w cieniu drzew, albo stały, czuwając pod kwitnącymi zaroślami.

Droga stopniowo robiła się coraz szersza, a potem skręciła i posiadłość powitała ich po raz drugi, prezentując pełne przepychu, mieniące się wszelkimi kolorami ogrody. Rezydencja znajdowała się na szczycie wzgórza, w pełnym widoku, choć nadal była jeszcze oddalona, ale Claire mogła już napawać oczy jej widokiem. Belmont – albo raczej po francusku *Belle Monte*, co znaczyło „piękna góra” – było rajem dla artysty. I dziewczyna zachwycała się tym, ile trudu musiała zadać sobie pani Acklen, by wywrzeć tak niezwykłe wrażenie na swoich gościach.

W trzech okręgach zaaranżowano ogrody francuskie. Największy z nich mieścił się najbliżej domu, a jego mniejsze kopie schodziły w dół zbocza w kolejności od największego do najmniejszego. Powóz, postukując, mijał przecinające się ścieżki, które łączyły okręgi, i pluszczące fontanny, które tryskały pośród morza róż, jaśminów gwiazdkowych i bukszpanu. Na rozległym terenie widać było licznych ogrodników, którzy przycinali i sadzili, strzygli i oczyszczali.

Claire próbowała sobie wyobrazić, jak daleko można sięgnąć wzrokiem z wieży, którą dostrzegła niedaleko w ogrodzie, kiedy coś na wprost niej błysnęło w słońcu tak, iż osłoniła oczy, żeby mieć lepszy widok.

Marmurowe rzeźby! Tak liczne, że trudno było ocenić, ile dokładnie ich było, porozstawiane to tu, to tam pośród rozległych ogrodów. Popołudniowe promienie słońca odbijały się od posągów, które błyszczały oślepiająco jasno, kontrastując z zielonym dywanem trawnika. I te altany... odcinające się stonowaną bielą na tle późnoletniego kwiecia aż zapraszały, by do nich wejść i odpocząć.

Zaśmiała się sama do siebie. To wszystko było tak...

– Piękne, prawda? – zagaił wielebny.

Westchnęła.

– Bliżej mi do określenia „oszałamiające”.

– Nie widziała panienka jeszcze nawet połowy tego wszystkiego. – Po głosie słychać było, że się uśmiecha. – O tam... – Wskazał na ośmioboczny budynek. – ...jest pawilon niedźwiedzi.

– Słucham? – zapytała Claire, marszcząc brwi ze zdziwienia.

Pani Bunting pokiwała głową i odparła:

– Tak, moja droga, pawilon niedźwiedzi. Pani Acklen trzyma dzikie zwierzęta na swojej posesji. Jej nieżyjący już mąż, Boże świeć nad jego duszą... – dodała nieco ciszej. – ...trzymał lwa lub tygrysa ku uciesze swojej

i swoich gości. Tak przynajmniej nam mówiono. Pan Acklen odszedł, zanim przeprowadziliśmy się do Nashville, więc nie mieliśmy zaszczytu go poznać. Ale w ostatnich latach, o ile dobrze mi powiedziano, pani Acklen ograniczyła swoje zainteresowanie większymi gatunkami do niedźwiedzi.

– I aligatorów, nie zapominajmy – dorzucił pastor.

Claire spojrzała na niego, by sprawdzić, czy aby nie żartował. Ale wyraz jego twarzy świadczył o tym, że z pewnością nie.

Duchowny machnął ręką przed sobą, mówiąc:

– Tam dalej znajduje się jezioro, w którym pani Acklen trzyma aligatory. Przywiozła je z Luizjany.

Dziewczyna wzdrygnęła się odruchowo. Co za osoba przywozi aligatory z tak daleka? I trzyma je na swojej posesji?

Ciężkie stąpanie końskich kopyt zagłuszyło plusk mijanych fontann. Claire zauważyła marmurową rzeźbę, która przedstawiała młodą kobietę przycinającą winorośl koło altany. Unieruchomionej w kamieniu na wieki kobiecie brakowało lewej dłoni, a w prawej pozostał jej tylko jeden palec.

– Zniszczenia z czasu wojny.

Odwróciwszy się, Claire dostrzegła, że pastor patrzy w tym samym kierunku co ona.

– Z czasu, gdy Armia Unii przejęła kontrolę nad tymi terenami. Żołnierze obozowali tu wszędzie, a generałowie zajęli dom. – W jego głosie dało się wyczuć ślad goryczy. – Tutaj stoczono jedną z ostatnich bitew, w otoczeniu rezydencji, a potem jeszcze bliżej miasta. Większość sąsiadów pani Acklen straciło wszystko, łącznie z domami, ale Belmont wyszło z tego bez większego uszczerbku.

Patrząc na posiadłość, Claire próbowała sobie wyobrazić tamte sceny. Pełno żołnierzy, palące się ogniska obozowe, chaos bitwy, dym i echo wystrzałów. Zupełne przeciwieństwo obecnej sielanki.

Przed nimi wyłoniła się rezydencja i w tym samym momencie dziewczyna poczuła nerwowy ucisk w żołądku. Teraz żałowała, że zjadła na lunch dodatkową bułeczkę z szynką.

Wielebny Bunting prowadził klacze szerokim łukiem podjazdu i zatrzymał powóz tuż przed chodnikiem z wapienia. Czekał tam już na nich starszy Murzyn. Miał na sobie czarny garnitur i wypastowane na najwyższy połysk buty, które błyszczały tak, jak jego ogolona głowa.

Skłonił się w pas i rzekł:

– Witamy, pastorze Bunting. Pani Bunting, to zaszczyt panią widzieć ponownie – mówił dystyngowanie, starannie wymawiając każdą sylabę.

– Dzień dobry, Eli. – Wielebny zaciągnął hamulec, a następnie obszedł powóz i pomógł wysiąść żonie. – Mamy umówione spotkanie z panią Acklen o wpół do piątej.

– Oczywiście, sir. Lady Acklen czeka na państwa w środku. – Pomógł Claire, gdy schodziła po stopniach.

Jej dłoń wydawała się tak drobna przy jego grubych, spracowanych i starych jak jego głos rękach. Ale uścisk mężczyzny był mocny jak stal.

– Dzień dobry, szanowna pani. – Posłał Claire uśmiech, który nie mógł zostać nieodwzajemniony. – Nazywam się Eli. – Pochylił głowę. – Witamy w Belmont.

– Dziękuję, panie Eli. – Dziewczyna dygnęła szybko, z radością zauważając, że jego uśmiech stał się jeszcze szerszy. – Jestem panna Claire Elise Laurent.

– Tak, szanowna pani. – W jego ciemnych oczach błysnęła jakaś iskierka. – Niewątpliwie tak jest.

Zerwał się lekki powiew wiatru. Tak jakby dom szeptem powtórzył jej nazwisko, więc Claire uniosła wzrok w odpowiedzi.

Pierwsze, co zauważyła – poza ogromem rezydencji – to kolumny korynckie zamykające ganek. Następną rzeczą był kolor tego dworu. Z daleka wydawało się, że jest to jakiś różowawy odcień, ale z bliska widać było wyraźnie, jaką naprawdę barwę miał tynk – ciepły czerwonobrązowy, idealnie podkreślony przez białe wykończenia. Front budynku zdobiły balkony, a ich czarne, żeliwne, koronkowe balustrady przypominały te, jakie widywała w Nowym Orleanie, na Vieux Carré, który tak bardzo kochała.

Stojąc u stóp schodów, Claire przesunęła wzrokiem od podstawy jednej z kolumn w górę, aż do ośmiokątnej wieżyczki wieńczącej dach rezydencji. Kiedy tak stała, zadzierając głowę, przeszył ją dreszcz niepokoju i ekscytacji z powodu otwierających się przed nią perspektyw. Tak wiele zależało od najbliższych kilku chwil.

– Możemy? – zapytał pastor.

Claire dopiero teraz zauważyła, że państwo Buntingowie na nią czekają.

Ruszyła za nimi w górę schodów, w stronę zdobionego wejścia, pomna, że ma na sobie krynolinę, i koncentrując się na tym, by nie zahaczyć gdzieś ozdobnym rąbkiem sukni. Mimo że starała się trwać w nadziei, wiedziała, że istnieje duże prawdopodobieństwo, iż już nigdy tu nie wróci, więc chciała zapamiętać możliwie najwięcej szczegółów.

Drzwi wejściowe oraz naświetla nad nimi zdobiły kwatery różowego grawerowanego szkła weneckiego. Nawet boczne naświetla obramowujące wejście miały kolorowe szybki w odcieniach zieleni, czerwieni i fioletu. Po obu stronach chodnika kamienne lwy pilnowały olbrzymich żeliwnych naczyń, z których wylewało się fioletowe, żółte i białe kwiecie, uderzające do głowy swoim słodkim zapachem.

Claire chłonęła każdy detal. *Wyśmienite!* Gdzie tylko spoczął jej wzrok, widziała piękno.

Obejrzała się za siebie na bogactwo ogrodów – rzeźb, fontann – i chociaż zdawała sobie sprawę, że to jest niedorzeczne, nie potrafiła się otrząsnąć z wrażenia, że już tu kiedyś była. Wtedy właśnie uświadomiła sobie, skąd to uczucie, to *déjà vu*... Pod wieloma względami rezydencja Belmont wyglądała jak miniaturowy amerykański Wersal.

Drzwi wejściowe otworzyła im starsza kobieta, która ich przywitała i zaprosiła do środka. Jej ubiór przywodził na myśl elegancką gospodynię. Choć miała przyjemną powierzchowność, a może nawet w latach młodości mogła uchodzić za piękną, Claire od razu wiedziała – tak jak się wie, że nie należy zaciskać dłoni na łodydze róży – że z tą kobietą nie ma żartów.

– Dzień dobry, pastorze. Pani Bunting. – Kobieta zamknęła za nimi drzwi i zerknęła na Claire znad ciemnych okularów zsuniętych na środek smukłego nosa. – Panno Laurent. – To nie było łagodne zagajenie. – Nazywam się Routh i jestem ochmistrzynią w Belmont.

Claire dygnęła, przez moment obawiając się, że zapomni, jak to się robi.

– Miło mi panią poznać, pani Routh.

Chłodny wyraz twarzy ochmistrzyni zdradzał, że miała wątpliwości co do prawdziwości tych słów.

Pastor wystąpił krok do przodu i rzekł:

– Pani Routh, byłoby dla mnie zaszczytem, jeśli mógłbym osobiście przedstawić pannę Laurent pani Acklen, o ile to...

– Żadna z kandydatek nie potrzebowała osobistej prezentacji, pastorze. – Ton tej wypowiedzi wahał się między uprzejmym a protekcjonalnym. – Jestem przekonana, że panna Laurent jest w stanie sama się zaprezentować w takiej sytuacji. W przeciwnym wypadku... – Posłała Claire taksujące spojrzenie. – ...wypadałoby się w ogóle zastanowić nad zasadnością przystąpienia do rozmowy o tę posadę.

Claire czekała, obserwując ich oboje. Tak samo jak żona pana Buntinga.

W końcu duchowny roześmiał się lekko, jakby niezrażony.

– Oczywiście, pani Routh. Ma pani rację. Panna Laurent jest jak najbardziej zdolna do tego, by przedstawić się z pełną gracją i godnością.

– Doskonale w takim razie. – Pani Routh wskazała dłonią na prawo. – Czy zechcą państwo rozgościć się w pokoju *tête-à-tête* na czas rozmowy panny Laurent? Możemy w tym czasie zaproponować państwu *croissants* i *café au lait*. Pani Acklen przywiozła oryginalne przepisy ze swojej ostatniej podróży po Europie. Ten rodzaj poczęstunku szybko zdobył serca rodziny Acklenów i jestem przekonana, że stanie się również ulubionym w całym Nashville, gdy tylko pani Acklen zaprezentuje je podczas najbliższego balu.

– To naprawdę miło z pani strony, pani Routh. – Wyraz cierpliwości ani na chwilę nie zniknął z twarzy pastora. – Tak, z przyjemnością się tam udamy, a propozycja poczęstunku brzmi zachęcająco. – Dziękując ponownie pani Routh, wskazał gestem żonie, by poszła przodem do gabinetu dla gości, co też pani Bunting uczyniła, posyłając jednak Claire po kryjomu ostatnie spojrzenie z życzeniem powodzenia.

W tej samej chwili Claire dostrzegła rzeźbę ustawioną na cokole przed kominkiem. Nie zauważyła jej wcześniej, bo widok ten zasłaniali jej państwo Buntingowie. Emocje sprawiły, że jej oczy wypełniły się łzami i wszystko wokół się rozmazało.

Przebywała w jednym pomieszczeniu z arcydziełem Randolpha Rogersa. I to nie tylko arcydziełem, ale jego *tour de force* [25].

Widziała fotografię tej rzeźby, ale nigdy nawet nie śniła, że mogłaby ją oglądać osobiście. Podeszła bliżej. Gładkie linie idealnie wyrzeźbionej w marmurze kobiecej twarzy, ten przejmujący wyraz pełen uwielbienia i miłości. I to w jaki sposób Rogers stworzył klęczącą kobietę, która wznosi

ku górze błagalny wzrok, niepomna na to, że suknia ześliznęła się ze smukłego ramienia, odsłaniając kształtną prawą pierś.

To też sprawiło, że Claire – choć była zakochana w tej rzeźbie i jej autorze – zaczęła się zastanawiać nad stosownością umieszczenia tego dzieła na samym środku wejściowego holu. Dosyć odważny wybór. Odsuwając jednak kwestie ekspozycji na bok, Claire zaczęła sobie przypominać, że *Rut zbierająca pokłosie* była pierwszym dziełem Randolpha Rogersa i jednocześnie, oceniając z dalszej perspektywy, jego najlepszym. Instynktownie wyciągnęła dłoń, by dotknąć lekko wysuniętej prawej dłoni Rut.

– Panno Laurent!

Wzdrygnąwszy się, Claire cofnęła szybko rękę, czując się dziwnie zaskoczona. I zupełnie nie na miejscu.

Sądząc po piorunującym spojrzeniu z góry, które pani Routh posłała w jej stronę, Claire domyślała się, że ochmistrzyni też tak uważa. Miała również wrażenie, że kobieta zadała jej jakieś pytanie, którego jednak ona nie usłyszała.

– Tak, proszę pani? – Dygnęła znów, tym razem przepraszająco, ale dostrzegła ponownie wyraz dezaprobaty w oczach ochmistrzyni. Żałowała, że nie może cofnąć tego ostatniego gestu. – Przepraszam, proszę pani, ale...

– Nazywam się pani Routh, gdyby przypadkiem zdążyła już pani zapomnieć, panno Laurent.

– Nie, proszę pani, ja... – Claire pokręciła szybko głową. – Nie, pani Routh, nie zapomniałam. Po prostu widok tej rzeźby bardzo mnie przejął. Jest tak piękna, a ja od dawna podziwiałam...

– Belmont to wspaniała posiadłość, panno Laurent. – Lewa brew kobiety uniosła się tak wysoko, że aż wydawało się, iż musi to boleć. – A pani Adelicia Acklen jest kobietą o wielkim bogactwie i obyciu

kulturalnym, posiadającą niezrównane oko do najwybitniejszych dzieł sztuki. Lepiej, żeby sobie to pani zapamiętała...

Claire otworzyła już usta, by coś odrzec.

– ...i starała się docenić sztukę w tym domu przez ten czas, jaki tu pani spędzi. – Pani Routh przesunęła po niej wzrokiem z góry na dół. – Który zapewne, o ile się nie mylę, będzie wyjątkowo krótki.

Claire szczerze pragnęła odpowiedzieć coś na swoją obronę, ale wiedziała, że to tylko poróżni je jeszcze bardziej. Dlatego też nie odezwała się i postarała jak najlepiej opanować wyraz twarzy. Na dodatek zazdrościła tej kobiecie umiejętności mówienia otwarcie i bez cienia wahania tego, co myślała. Ile razy sama chciała tak się zachować wobec ojca? Nigdy jednak się na to nie zdobyła...

Pani Routh zrobiła krok w jej stronę.

– Czy wyraziłam się wystarczająco jasno, panno Laurent?

Starając się nawet nie mrugnąć, Claire skrzyżowała spojrzenie z ochmistrzynią.

– Raczej tak, pani Routh. Wyraża się pani ze szczególną jasnością i bezpośredniością.

– To cechy, które też mogłyby się pani przydać, panno Laurent.

Claire pewnie poczułaby się urażona taką uwagą... gdyby to nie była prawda.

– Proszę tutaj poczekać – zaordynowała ochmistrzyni, obracając się. – Powiadomię panią Acklen o pani przybyciu.

Pani Routh przeszła ze zdecydowaniem przez drzwi po lewej stronie marmurowego kominka, a gęsty czerwono-złoty dywan w kwieciste wzory wygłuszał jej i tak już ciche kroki. Nawet na drewnianej podłodze malowanej w biało-czarne romby przypominające płytki jej nogi nie czyniły najmniejszego hałasu. A Claire potrafiła sobie wyobrazić, jakie

przerażenie musiały odczuwać pokojówki, które nagle wyczuwały za plecami czyjąś obecność i odwracając się, z zaskoczeniem zauważały panią Routh zerkającą znad swoich ciemnych, opuszczonych do połowy nosa okularów.

Claire została sama w głównym holu i gdy tak rozglądała się wokół siebie, jeszcze mocniej dotknęło ją wcześniejsze poczucie niższości. Po prawej stronie na ścianie wisiał portret niezwykle przystojnego mężczyzny odzianego w czarny garnitur i coś, co, jak się domyślała, było rodową szkocką kratą Acklenów. Najwyraźniej nieżyjący już pan Acklen miał szkockich przodków. Zastanawiała się, jak dawno temu odszedł. Tego Buntingowie nie mówili.

Po lewej znajdował się inny portret, większy – prawie naturalnych rozmiarów. Kobieta trzymała za rękę małą dziewczynkę. Zapewne pani Adelicia Franklin Acklen, pani w Belmont. Dama była elegancka i piękna, o delikatnie zarysowanych kościach policzkowych, szeroko rozstawionych oczach i porcelanowej cerze.

Było też coś w jej powierzchowności, w lekkim przechyleniu brody i intensywności jej spojrzenia, co sprawiało, że piękno tej kobiety nabierało głębi. A nawet pewnej mistyki. Sprawiało, że osoba oglądająca obraz zastanawiała się co zajmowało myśli pani Acklen w chwili, gdy pędzel artysty uwieczniał jej podobiznę.

Claire przyjrzała się bliżej namalowanej damie, szczególnie wpatrując się w jej oczy. Było w nich coś niezwykłego... Ale trudno było stwierdzić, co dokładnie. Artyści często byli dużo bardziej życzliwi dla osób, które malowali, niż czas i natura. Stąd też Claire zastanawiała się... czy pani Acklen miała tak samo pociągającą twarz, była tak urodziwa i pewna siebie, jak to przedstawił malarz.

Wypuściła z płuc powietrze, które przez dłuższy czas wstrzymywała, i rozejrzała się dookoła głównego holu. Już wkrótce się dowie.

Wszystko, na co patrzyła, emanowało bogactwem i prestiżem. Począwszy od pełnych przepychu draperii i bogato zdobionych tapet, przez marmurowy kominek oraz kwiecisty angielski dywan typu Wilton, pokrywający całą powierzchnię podłogi, aż po ozdobną oprawę wspaniałego, odlanego z brązu żyrandola – sądząc po wyglądzie – gazowej lampy.

I jeszcze to mnóstwo obrazów...

Claire zerknęła w głąb korytarza, w którym zniknęła ochmistrzyni, a który teraz był pusty. Potem zrobiła dwa niepewne kroki w stronę przyległego pokoju, gdzie dostrzegła idealnie zorganizowane rzędy książek. Biblioteka... Zajrzała do środka i poczuła, jak przyspiesza jej tętno.

Na ścianie nad biurkiem znajdowały się dwa pejzaże, wykonane z takim realizmem, iż czuła się prawie tak, jakby mogła dotknąć tamtej rzeczywistości. A te zapierające dech w piersiach kolory... Obrazy przedstawiały porośniętą bujną roślinnością włoską wieś z czekającymi na zbiory winnicami. Zaryzykowała jeszcze kolejny krok, by z bliska lepiej się przyjrzeć tym płótnom, i zauważyła w kącie rzeźbę.

Nie potrafiła powstrzymać uśmiechu. Choć figura nie była tak duża jak Rut, także to dzieło poznała. *Rebeka u studni*. Claire nie miała wątpliwości, że była to rzeźba Chaunceya Bradleya Ivesa. Przeszył ją dreszcz ekscytacji. Rezydencja Belmont to nie tylko mieszkanie. To galeria sztuki!

Poczuła zawroty głowy od rozemocjonowania i zaczęła się zastanawiać, jakie inne skarby kryły się w tym...

Nagle w korytarzu rozległy się kroki. Claire skoczyła w przerażeniu z powrotem na miejsce, gdzie pierwotnie stała. Brakowało jej tchu i była pewna, że ktokolwiek nadchodził, z pewnością usłyszy, jak wali jej serce.

W wejściu po drugiej stronie od kominka ukazała się młoda dziewczyna. Jej skóra miała prześliczny brązowawy odcień, a gibka sylwetka zaczynała nabierać rysu kobiecości. Gdy tylko zauważyła Claire, znieruchomiała.

– Dzień dobry, proszę pani. – Jej głos był lekki jak puch, tylko trochę przyćmiony delikatnym akcentem. – Czy mogę jakoś służyć pomocą?

Claire uśmiechnęła się na to pytanie. Dziewczyna była bardzo elokwentna jak na swoje lata.

– Mam umówioną rozmowę o pracę z panią Acklen – rzekła Claire. – Pani Routh poprosiła, żebym tu poczekała, aż wróci. Nazywam się Claire Laurent.

Dziewczyna skłoniła głowę.

– A ja Eva. Eva Snowden. – Wyraźnie uciekła wzrokiem od spojrzenia Claire. – Ma pani cudownie piękne włosy, proszę pani – wyszeptała już dużo mniej formalnym tonem, zerkając za siebie, po czym dodała: – Jak to pani robi?

Claire dotknęła włosów, zastanawiając się, co się z nimi dzieje i czy będzie miała jeszcze czas, żeby je poprawić, nim powróci pani Routh. Spojrzała na siebie w lustrze o złoconych ramach, które wisiało nad kominkiem, i zmarszczyła czoło.

– Nie do końca rozumiem... – Jej włosy wyglądały tak jak zwykle. Może poza tym, że były teraz staranniej ułożone po zabiegach pani Bunting.

Eva zerknęła na Claire z boku.

– Jak to pani robi, że one się tak kręcą? I te loki się trzymają...

– Och... o to chodzi. – Claire się uśmiechnęła. – Kręcą się naturalnie, ale nie są wcale takie piękne, gdy pada deszcz.

Eva pokiwała głową, jakby wyobrażała sobie ten widok.

– Stają się takie skołtunione? Jak mokry pudel?

Claire zamrugała z zaskoczeniem, sama nie wiedząc, co ma na to odpowiedzieć. Ale i tak nie miałaby czasu, bo pani Routh wmaszerowała właśnie do holu. Zatrzymała się raptownie przy rzeźbie Rut i spojrzała pod nogi.

– Evo?

– Tak, pani Routh? – Dziewczęcy głos przez respekt stał się jeszcze bardziej piskliwy.

– Co to ma być?

Claire popatrzyła na dywan, w miejsce, które wskazywała pani Routh, a potem z powrotem na Evę, która już tam podchodziła.

Dziewczyna przyklęknęła i podniosła pojedyncze źdźbło słomy.

– Przepraszam, pani Routh. Pewnie tego nie zauważyłam, proszę pani.

– Tak, na to by wyglądało. – Usta kobiety się zwęziły, najwyraźniej tak samo jak jej cierpliwość. – Można by pomyśleć, że miałaś wystarczająco dużo czasu, żeby do tej pory posprzątać ten bałagan. Przecież rzeźba została przywieziona wczoraj wieczorem.

Claire dostrzegła przykrość na twarzy Evy i ogarnęło ja współczucie. Ale nagle dotarły do niej ostatnie słowa pani Routh: „przywieziona wczoraj wieczorem”. Przesunęła wzrok z ochmistrzyni na rzeźbę, a tabun jej wspomnień popędził w stronę wczorajszej sceny na kolei. I tamtej skrzyni. I tamtego mężczyzny, który kierował jej wyładowaniem. Zmrużyła powieki. Na ile prawdopodobne mogło być to, że *Rut zbierająca pokłosie* była tą... Nie... to niemożliwe.

A jednak... Monroe powiedział robotnikom, że pomoże im wyładować skrzynię wieczorem. I wspominał też o rzeźbie, która wyszła spod ręki amerykańskiego rzeźbiarza. A Randolph Rogers był amerykańskim rzeźbiarzem!

Strzałka wskazująca prawdopodobieństwo takiego zbiegu okoliczności przechylała się z wprawiającym Claire w zdenerwowanie zgrzytem w stronę przeciwną do tej, którą wolałaby widzieć.

Sutton Monroe wiedział, że miała na sumieniu bezprawne wtargnięcie do kościoła, gdzie spędziła noc na jednej z ławek jak zwykły włóczęga. Jeszcze w drodze do Belmont chciała mu podziękować. Teraz jedynie modliła się w duchu, żeby nie miał żadnego związku z posiadłością ani panią Adelicią Acklen. Gdyby jednak tak było, mógłby nie darzyć jej takim zaufaniem jak pastor czy pani Bunting, którzy jej wiele pomogli. Wszystko zaczęło się od przeczucia wielebnego, by nie zamykać drzwi do schowka. Drzwi, które otworzyły jej drogę także tutaj. Drogę, którą Sutton Monroe mógł zamknąć jednym swoim słowem. Co oznaczałoby, że jej rozmowa o pracę zakończyłaby się, jeszcze zanim by się zaczęła.

10

Proszę ze mną, panno Laurent. Pani Acklen czeka.

Claire zamrugała. Czuła, że ma serce w gardle.

– T-tak, pani Routh, oczywiście. – Posłała wymuszony uśmiech w stronę Evy i ruszyła za ochmistrzynią, rzucając ostatnie spojrzenie na rzeźbę i licząc, że jej podejrzenia co do Suttona Monroego okażą się jednak bezpodstawne.

– Wolałabym, żeby to było dzisiaj, panno Laurent!

Odwróciwszy się, Claire zauważyła, że pani Routh była już dobre sześć kroków przed nią. Przyspieszyła, a jej obcasy zastukały rytmicznie na drewnianej podłodze malowanej w biało-czarne romby.

Minęły rozdzielne schody wychodzące od strony wielkiego salonu, który właśnie otwierał się przed nimi. Przestronny pokój zwieńczony był sklepieniem kolebkowym, które razem z podwójnym rzędem kolumn korynckich stanowiło dzieło sztuki samo w sobie. Ściany w pastelowych kolorach idealnie komponowały się z wysokim sklepieniem, sprawiając, że pomieszczenie wydawało się jeszcze większe i bardziej przestronne. Pani Routh skręciła w lewo, a Claire za nią, choć nie mogła sobie darować i obejrzała się jeszcze za siebie.

Piękno mahoniowych stopni podkreślał czerwony pluszowy dywan, na którym pewnie jej noga nigdy nie postanie. W połowie wysokości schody się rozdzielały i łukiem prowadziły na pierwsze piętro, jedne lewą, drugie prawą stroną. Cóż za elegancja...

Starając się dostosować tempo do pani Routh, Claire zaczęła wyobrażać sobie, jakby to było uczestniczyć w przyjęciu zorganizowanym w Belmont. Schodzić po tych schodach w rytm muzyki granej na instrumentach smyczkowych i melodyjnych rozmów zaproszonych gości. Wokół migotające żyrandole lamp gazowych z brązu, porcelana i kryształy...

Kobieta tak raptownie zatrzymała się przed parą przeszklonych drzwi, że Claire o mało co w nią nie wpadła. Wykonała szybki krok wstecz, jednak pani Routh to zauważyła, a jej spojrzenie spod mocno przymrużonych powiek mówiło samo za siebie.

Ochmistrzyni zapukała lekko w szybę, a następnie przekręciła gałkę i wskazała Claire, by ruszyła przodem.

Od pierwszej chwili, gdy Claire ujrzała panią Adelicię Acklen – siedzącą na zaokrąglonej sofie na środku pokoju – wiedziała, że artysta, który stworzył portret pani z Belmont wiszący w głównym holu, ani trochę nie musiał jej upiększać. Dama była olśniewająca. Choć kilka lat starsza niż na obrazie, wciąż posiadała cechy tej wyjątkowej ciemnowłosej piękności. Miała idealną cerę z lekkim śladem letniego słońca na policzkach i to mądre, przenikliwe spojrzenie, które pędzel malarza starał się uwiecznić.

Nawet siedząc, Adelicia Acklen emanowała władczością. Była wyraźnie kobieca, a jednak niezaprzeczalnie onieśmielająca. Dlatego też wszystkie wątpliwości na nowo wpiły się swoimi szponami w serce Claire.

Płynnym ruchem ręki pani Routh wskazała na swą pracodawczynię.

– Proszę pozwolić, że przedstawię panią Adelicię Acklen. Pani Acklen, to jest panna Claire Laurent przybyła na rozmowę.

Claire dygnęła, czując się jak nędzarz przed królewskim obliczem.

– To dla mnie zaszczyt panią poznać, pani Acklen. – Uniosła wzrok. – I móc przebywać w pani domu.

Pani Acklen skinęła głową dystyngowanie niczym królowa.

– Moje uszanowanie, panno Laurent. – Przeniosła spojrzenie na ochmistrzynię. – Pani Routh, czy mogłaby pani dopilnować, by kolację podano dokładnie o szóstej? Proszę też zadbać, by wszystkie dzieci były na niej obecne. Chyba będę miała wyjście dzisiaj wieczorem, po kolacji.

– Tak, proszę pani. Kolacja o szóstej. Powiem dzieciom.

– I proszę przekazać Evie, żeby przygotowała moją kremową koronkową suknię. Tę zdobioną perłami. Chcę się ubrać jeszcze przed kolacją.

– Wedle pani życzenia.

„Przekazać Evie, żeby przygotowała suknię”... Czyżby ta młoda dziewczyna była osobistą pokojówką pani Acklen? Claire usłyszała stuknięcie zamka i zauważyła, że po lewej stronie były jeszcze drugie drzwi, również zamknięte. Spojrzała z powrotem na panią Acklen, żałując, że nie zna lepiej etykiety. Zwłaszcza wobec kogoś o takim majątku. Ale już sam zdrowy rozsądek podpowiadał jej, że powinna czekać, aż właścicielka rezydencji zaprosi ją bliżej siebie.

Dama przywołała ją prawie niezauważalnym gestem ręki, po czym zerknęła na drugą sofę ustawioną dokładnie na wprost tej, na której sama siedziała. Claire szybko zajęła miejsce i wygładzała swoją suknię – a w zasadzie suknię pani Bunting – cały czas próbując dorównać niemożliwie perfekcyjnej posturze pani Acklen.

Doleciała ją miła woń cynamonu i goździków – tak swojska i pocieszająca w tym okazałym otoczeniu. Claire kusiło, by przyjrzeć się dokładniej wystrojowi tego pokoju – meblom, rzeźbie, którą widziała teraz kątem oka, oraz obrazom zdobiącym każdą ścianę – ale się nie odważyła. Nie teraz, gdy rozmówczyni patrzyła na nią tak uważnie.

Wskazując dłonią na srebrny serwis stojący na stoliku obok, pani Acklen zapytała:

– Może ma pani ochotę na filiżankę herbaty? To specjalna mieszanka, którą Cordina, główna kucharka w Belmont, przygotowuje dla nas każdej jesieni. – Znaczący uśmiech zdradzał jej słabość do tej przyjemności. – W tym roku zamówiłam ją trochę wcześniej. Nie wiem, co Cordina tam dodaje, ale jest przepyszna.

Claire otworzyła już usta, by przyjąć propozycję, gdy nagle przez myśl przeszły jej trzy wstrząsające wizje: że tłucze delikatną porcelanę swojej potencjalnej pracodawczyni, że rozlewa herbatę na najlepszy kostium pani Bunting i że nie dostaje tej pracy. Zaschło jej w gardle na myśl, że ma odmówić, ale zaprzeczyła ruchem głowy.

– Nie, dziękuję, proszę pani. Doceniam jednak szczodrość.

Odchylając głowę, pani Acklen napiła się z porcelanowej filiżanki.

– Wielebny Bunting najwyraźniej bardzo sobie panią ceni, panno Laurent – zauważyła. – A ponieważ ja niezwykle cenię wielebnego Buntinga... – Uśmiechnęła się, darząc ją uważnym spojrzeniem. – Z tego względu właśnie siedzi tu pani teraz w moim apartamencie o tej późnej popołudniowej porze ostatniego dnia rozmów o pracę na stanowisko mojej osobistej *liaison*.

Claire zauważyła, że pani Acklen wymawia to słowo z francuskim akcentem i jednocześnie natychmiast uświadomiła sobie, u kogo pani Routh doskonaliła upodobanie do bezpośredniości. Zaczęła się również zastanawiać, czy przypadkiem pani w Belmont nie ma zamiłowania do wszystkiego, co francuskie. Gdyby się tak okazało, to byłby dla Claire dodatkowy atut.

Czuła, że zaczynają już ją boleć plecy od siedzenia w wyprostowanej pozycji, więc opuściła ramiona i starała się sprawiać wrażenie spokojnej, jakby przyszły kierunek, w jakim podąży jej życie, wcale nie zależał od wyniku tych kilku najbliższych chwil.

– Jestem bardzo wdzięczna za możliwość rozmowy, pani Acklen. Wielebny Bunting i jego żona okazali mi wiele życzliwości. Bardzo cenię ich oboje.

Z całego serca pragnęła, by kobieta nie zapytała przypadkiem, od jak dawna zna państwo Buntingów. Dla ich dobra... i dla swojego własnego.

Skinąwszy po królewsku, pani Adelicia Acklen z cichym brzęknięciem odłożyła filiżankę na spodek i odstawiła je na bok. Złożyła skromnie ręce na kolanach, jakby przygotowywała się, żeby pozować do portretu, a następnie jedną dłonią dotknęła wisiorka, który miała z przodu na sukni. Dopiero wtedy Claire uświadomiła sobie, że właśnie na ten przedmiot się zapatrzyła.

– Przepraszam, pani Acklen. – Zaśmiała się nerwowo. – On jest taki piękny. I wyjątkowy.

– To róg myśliwski i głowa ogara. – Musnęła palcami wisiorek. – Prezent od cesarza Napoleona i cesarzowej Eugenii, który otrzymałam w ogrodach Tuileries po zakończonym polowaniu na lisa.

Claire zamrugała. To ona pochodziła z Francji, a tymczasem ta kobieta brała udział w polowaniu na lisa z cesarzem i cesarzową... W jednym momencie poczuła się taka malutka.

– Piękny.

– *Merci beaucoup, mademoiselle* [26]. – Pani domu się uśmiechnęła, przypatrując się jej z głębszym zainteresowaniem. – Była może pani przypadkiem w tym pięknym kraju?

– *Oui, madame* [27] – odparła łagodnie Claire, wcale nie taka skora, by ujawniać swoje pochodzenie, teraz gdy znała już zakres koneksji pani Acklen. – Pochodzę z Paryża. Ale dorastałam tutaj, w Ameryce.

Pani Acklen skinęła głową.

– Nie jest pani pierwszą Francuzką ubiegającą się o tę posadę. – Wygładziła po bokach upięte wysoko włosy. – Pojawiło się tu ich kilka, jak sobie pani zapewne jest w stanie wyobrazić.

– Och, tak, oczywiście. – Claire poczuła, jak coś ją przytłacza, gdy okazało się, że jej największy atut właśnie traci na wartości.

Właścicielka rezydencji przyjęła ponownie wytworną pozycję.

– Ale wróćmy do naszych spraw, dobrze? Czy mogłabym zobaczyć pani życiorys, panno Laurent?

Claire miała na to gotową odpowiedź.

– Tak naprawdę nie przyniosłam życiorysu, proszę pani. Dowiedziałam się o tej posadzie dopiero dzisiaj rano, więc nie miałam czasu, żeby go przygotować. Jednakże, jeśli pani pozwoli, jestem gotowa opowiedzieć pani o sobie i o tym, dlaczego wydaje mi się, że sprawdziłabym się na tym ważnym stanowisku.

Dziewczyna uśmiechała się, licząc, że to zniweluje przepaść pomiędzy oczekiwaniami a rzeczywistością. Ale jej uśmiech pozostał nieodwzajemniony.

Pani Acklen uniosła palec wskazujący – nawet nie całą rękę... Ale ten drobny gest niósł w sobie cały ciężar niezadowolenia.

– Proszę pozwolić, że podsumuję, czy dobrze panią zrozumiałam, panno Laurent...

Claire czekała, a sztywna serdeczność tonu, w jakim zwracała się do niej kobieta, wcale jej nie pocieszała.

– Od czasu, kiedy dowiedziała się pani o tej posadzie dzisiaj rano... – Pani Acklen szybko zerknęła za siebie. – ...aż do godziny za kwadrans piąta po południu, nie była pani w stanie znaleźć czasu ani pióra i kartki, by spisać swoje doświadczenie i talenty, żeby pokrótce określić pani indywidualne, darowane przez Boga cechy, co mogłoby przekonać mnie, że

jest pani faktycznie właściwą młodą damą, która mogłaby zająć to bardzo ważne stanowisko. Czy tak właśnie miałam zrozumieć to, co przed chwilą mi pani przekazała?

Claire czuła, że jej policzki płoną, jakby ktoś ją uderzył. Nagle uleciały jej wszystkie odpowiednie na tę okazję myśli.

Oblały ją zimne poty, co tylko pogorszyło jej sytuację, bo znów zaczęła się martwić o pożyczony kostium. Koniecznie musiała się teraz skupić! Musiała wymyślić, co odpowiedzieć.

– To prawda, mogłabym spisać to wszystko na kartce, proszę pani. Ale to nie byłby formalny życiorys, jaki wiem, że mógłby być oczekiwany przez kogoś takiego jak pani.

– A zatem zamiast przynieść coś poniżej oczekiwań, panno Laurent... – Mądre i przenikliwe spojrzenie pani Acklen było bezlitośnie wymierzone w Claire. – ...nie przyniosła pani niczego?

Oniemiała z zażenowania Claire czuła, że język przyrósł jej do podniebienia, i nagle uświadomiła sobie, że ma otwarte usta. Natychmiast je zamknęła. Próbowała wziąć głęboki oddech, ale sztywna pozycja oraz gorset, który dzisiaj zacisnęła jeszcze mocniej, by wyglądać modnie, uniemożliwiały jej to. Dopiero wyobrażenie, że leży omdlała na nieskazitelnym kwiecistym dywanie tej wytwornej pani zmobilizowało ją.

– Jeśli pozwoli mi pani przedstawić moją wiedzę i umiejętności, jestem przekonana, że okażą się one bardziej niż właściwe. – *Bardziej niż właściwe!* Ledwie udało jej się ukryć grymas twarzy, gdy dotarło do niej, co mówi. Nie to planowała powiedzieć! – To znaczy chciałam... jeżeli pozwoli mi pani zaprezentować swoje mocne strony...

Twarz pani Acklen przesłoniła irytacja i Claire szybko starała się odzyskać straconą pozycję.

– Jestem wyjątkowo doświadczona w prowadzeniu księgowości i mam wrodzone zamiłowanie do detali. Organizowałam zagospodarowanie biblioteki...

Zmusiła się do uśmiechu, który jednak szybko umarł na jej ustach krótką, patetyczną śmiercią. Rzeczywiście organizowała zagospodarowanie biblioteki: rodzinnej, która składała się z marnych trzydziestu ośmiu niewielkich woluminów i jednego tomiszcza, jakim był gruby słownik. Miała wtedy zaledwie pięć lat, zatem wyczyn ten – dokonany w zupełności z jej własnej inicjatywy – naprawdę wydawał się całkiem poważnym osiągnięciem.

Dopóki nie popatrzyła na to oczami Adelicii Acklen.

Claire oblizała suche wargi, zastanawiając się, czy w ten sposób narusza etykietę.

– Mówię płynnie po francusku i wiele osób twierdzi, że jestem bardzo komunikatywna. Chociaż... – Jej śmiech, który miał być wyrazem skromnej samokrytyki, wyszedł raczej jak jakiś cienki pisk. – Jestem świadoma, że w tym momencie tego nie widać. W końcu mam też znakomity charakter pisma. Z chęcią mogę zademonstrować, jeśli tylko będzie pani chciała.

Interpretując brak odpowiedzi rozmówczyni jako wyraźne „nie”, Claire czekała i zastanawiała się, czy powinna mówić dalej, czy po prostu przeprosić i uciec z rezydencji, nie oglądnąwszy się nawet za siebie.

Cisza huczała jej w uszach i ze wszystkich sił starała się nie poddać tym uczuciom, które ściskały jej gardło.

Po trwającej nieznośnie długo przerwie pani Acklen sięgnęła po filiżankę. Upiła łyk i odstawiła ją z powrotem, a następnie niespiesznie wzięła wdech i westchnęła.

– Panno Laurent... Czy mam rozumieć z wcześniejszego braku przygotowania, że przybyła pani na tę rozmowę również bez wymaganych

referencji?

Jedynie dzięki sile woli Claire udało się nie uciec od spojrzenia tej kobiety. Co ona sobie wyobrażała, przyjeżdżając tutaj? Ale tak właśnie było. Nie miała pojęcia, co to za miejsce, ani też, jak bardzo wymagającą osobą jest Adelicia Acklen.

– Nie, pani Acklen. Przepraszam. Nie mam ze sobą referencji. Niedawno przybyłam do Nashville, a więc nie miałam okazji, by...

Okazji do czego? Wszystko, co przychodziło Claire do głowy, brzmiało jak marna wymówka albo po części kłamstwo. A co gorsza, czuła, że pani Acklen też o tym wie.

Milczenie wzmagało się z chwili na chwilę i Claire czuła już pieczenie gorących łez, kiedy nadzieje, jakie pokładała w tej rozmowie, zostały starte na pył.

Zagryzła wewnętrzną stronę policzka. Nie będzie płakać. Nie przed tą kobietą, która pewnie nigdy nie uroniła ani jednej łzy w całym swoim pełnym przywilejów i bogactwa życiu.

Wbiła wzrok w dłonie mocno splecione na kolanach i pomyślała o portrecie mężczyzny z wejściowego holu, a zaraz potem dotarło do niej, że była niesprawiedliwa. Jednak patrząc na to wszystko, co miała pani Acklen... Jak ktoś taki jak ona mógł zrozumieć, co czuje Claire?

Głuche tykanie zegarka umieszczonego gdzieś w tym pokoju wyznaczało mijające sekundy.

Nie tak wyobrażała sobie, że ułoży się jej życie. W tej chwili nie potrafiła dokładnie określić, jak je sobie wymarzyła, ale wiedziała, że nie tak. Za trzy miesiące skończy dziewiętnaście lat, a nie miała ani rodziny, ani domu, ani nawet z czego się utrzymać. Wszystko, co posiadała, było w jej torbie podróżnej zostawionej w domu pastora i jego żony. Nie

wiedziała nawet, gdzie spędzi najbliższą noc. I tak już wystarczająco nadużyła życzliwości Buntingów.

Czując na sobie intensywne spojrzenie pani Acklen, odnosiła wrażenie, że kobieta oczekuje wyjaśnienia, dlaczego jej cenny czas jest marnowany. I słusznie. Niezależnie od tego, z jaką oschłością potraktowała ją właścicielka rezydencji, Claire zdawała sobie sprawę, że zmarnowała czas ich obu.

Już miała przeprosiny na końcu języka, gdy zauważyła czasopismo wystające zza poduszki na sofie, którą zajmowała pani Acklen. Gdy tylko rozpoznała okładkę, ogarnęło ją takie ciepło.

Godey's Lady's Book. Ten miesięczny periodyk był przez wiele lat ulubionym czasopismem jej i *maman*. Czytywały go razem i przemierzały całą kulę ziemską dzięki zbiorom opowiadań i wierszy publikowanych w tej gazecie. Cieszyły się nowinkami ze świata mody i kultury. Widok tego czasopisma i fakt, że kobieta taka jak Adelicia Acklen również je czyta, wniosły w jej serce dziwną słodycz i nową falę tęsknoty za matką.

Pomimo tej niefortunnej rozmowy o pracę Claire wiedziała, że ma kwalifikacje, by zostać osobistą asystentką pani z Belmont. I coś w środku mówiło jej, iż to nie był przypadek, że tutaj trafiła, że podsłuchała rano rozmowę tych kobiet. Gdyby tylko pani Acklen wiedziała, co Claire musiała przejść, by się tu znaleźć, i jak wielką szansą było dla niej to spotkanie, jak bardzo potrzebowała pracy i okazji, aby zacząć nowe życie...

A jakie miejsce mogło być bardziej odpowiednie na własną działalność artystyczną niż Belmont? Byłaby tutaj otoczona ponadczasowym pięknem, które być może – a przeczuwała, że na pewno – zainspirowałoby ją do stworzenia czegoś prawdziwie wartościowego. Może innego obrazu takiego jak tamte *Jardins de Versailles*. Albo nawet lepszego...

A pobyt w Belmont miał jeszcze jeden plus... Jeśli odpowiednie osoby, które obracają się w kręgach towarzyskich pani Acklen, zobaczą jej pracę, to może docenią jej talent i...

Claire czuła rosnącą desperację koncentrującą się na tym jednym. To pozwoli jej zyskać uznanie, którego tak bardzo pragnęła, a które już prawie była w stanie poczuć. I wtedy tak jak Randolph Rogers ze swoją *Rut zbierającą pokłosie*, stworzy coś, co będzie dotykać i inspirować innych, coś, co potwierdzi jej talent, coś, co będzie nosić jej nazwisko i dzięki czemu zyska uwagę i szacunek krytyków.

Wzięła głęboki wdech, a następnie wypuściła powietrze z wyuczonym opanowaniem. Tylko w jaki sposób miała wpłynąć na panią Adelicię, by zmieniła zdanie? I wtedy właśnie zrozumiała. To było tak proste i miała to przed sobą przez cały czas.

Podniosła wzrok. Minęło zaledwie kilka sekund, ale wydawało jej się, że wszystko trwało dużo dłużej.

– Pani Acklen, ma pani rację. Bardzo mi przykro, że zjawiłam się tutaj tak nieprzygotowana na tę rozmowę. Muszę jednak coś pani wyznać, ale zanim to uczynię, chciałam prosić panią, żeby niezależnie od tego, co sobie o mnie pani pomyśli, nie obarczała pani pastora albo pani Bunting odpowiedzialnością za to, że nie udało mi się wywrzeć pozytywnego wrażenia.

Pani Acklen przyglądała się jej teraz z nowym błyskiem zainteresowania w oku.

– Dobrze, panno Laurent. Ma pani moje zapewnienie. W końcu właściwym jest, by każdy brał odpowiedzialność za swoje własne niedostatki.

Ten ostry jak brzytwa komentarz zabolał Claire, ale wyczuwając, że piasek jej klepsydry już się przesypuje, wychyliła się do przodu i zaczęła:

– Przyjechałam do Nashville wczoraj. Poprzez serię nieszczęśliwych wydarzeń wieczorem znalazłam się w koś...

Aż podskoczyła na gwałtowne pukanie do drzwi, które znajdowały się za jej plecami.

Zaskoczona, a jednocześnie podenerwowana tym, że im przeszkodzono, pani domu zerknęła w tamtą stronę.

– Tak, proszę.

Płynny ruch niedawno naoliwionych zawiasów zapowiedział czyjeś wejście.

– Pani Acklen – zaczął mężczyzna. – Muszę porozmawiać z panią o... och, przepraszam, że przeszkodziłem. Nie wiedziałem, że ma pani gościa.

Od razu rozpoznawszy ten głos, Claire nawet się nie poruszyła... poza lekkim odwróceniem głowy tak, by Sutton Monroe nie mógł dostrzec jej twarzy.

11

Claire trwała zupełnie nieruchomo, czując się, jakby ktoś przyłapał ją na gorącym uczynku. W każdym momencie Sutton Monroe mógł ją rozpoznać i wtedy zniknie wszelka szansa na zdobycie zaufania pani Acklen. O ile w ogóle miała choć przez chwilę taką szansę.

Właścicielka rezydencji spojrzała ponad nią i uśmiechnęła się z wcześniej niezauważalną słodyczą.

– W porządku, panie Monroe. Nigdy pan nie przeszkadza. Zaraz tu kończę. Czy może pan poczekać?

– Oczywiście, proszę pani. Będę w gabinecie.

– Doskonale. – Pani Acklen skinęła głową. – Dziękuję.

Słysząc kroki wychodzącego mężczyzny, Claire wzięła głęboki oddech. Czy ją poznał? Chociaż biorąc pod uwagę, że siedziała do niego plecami i to, że rano w kościele wyglądała zupełnie inaczej, nic dziwnego, że nie...

– Och! Jeszcze jedno, panie Monroe...

Claire po raz kolejny się spięła.

Pani Acklen wskazała dłonią na mały stolik stojący zaraz po lewej stronie Claire.

– Czy byłby pan tak dobry podczas oczekiwania przeglądnąć dla mnie jeden dokument? Dzisiaj podczas pana nieobecności pan Olensby przesłał akta. Oczekuje odpowiedzi do jutra rana i zapewniłam go, że ją otrzyma.

Słysząc, że mężczyzna znów się zbliża, Claire pochyliła głowę udając, że skupia się na przyczepionej do rękawa nitce. Widziała jego rękę, gdy

sięgał po teczkę.

– Natychmiast do tego siądę, pani Acklen – odparł. – I jeszcze raz proszę mi wybaczyć, że zakłóciłem pani spotkanie.

Pani domu machnęła dłonią, jakby nie potrzebowała tych przeprosin.

– To rozmowa o pracę, panie Monroe. Nie żadne osobiste odwiedziny. I tak już prawie skończyłyśmy. Zaraz do pana dołączę.

Claire w milczeniu odliczała kroki pana Suttona, kiedy szedł w stronę drzwi, a ta uparta nitka zdawała się chyba wrosnąć w materiał.

Pani Acklen z powrotem zwróciła na nią uwagę.

– Zatem, panno Laurent... na czym to pani skończyła?

Kroki Monroego się zatrzymały. A Claire skuliła się w sobie, czując, jakby ten gorący uczynek, na którym została złapana, palił ją żywym ogniem. Ją i jej przyszłość.

Pani Acklen ponownie skierowała wzrok na mężczyznę.

– Czy coś się stało, panie Monroe?

Claire słyszała, jak on podchodzi po raz drugi, i wiedziała, że nie ma nawet co ukrywać twarzy, tak jak to czyniła wcześniej.

– Panna Laurent? – Jego głos przepełniało niedowierzanie.

Serce waliło jej tak mocno w piersi, że nawet nie była w stanie wziąć oddechu, ale starała się przybrać na twarz jak najmilszy wyraz i podnosząc wzrok, odparła:

– Pan Monroe...

Pani Adelicia pochyliła się lekko do przodu.

– Wy dwoje się znacie?

Na obliczu Suttona odmalowały się podejrzliwość oraz niepewność i do Claire szybko dotarło, że to jej pozostawia odpowiedź na pytanie pani Acklen.

– N-nie, proszę pani. Nie znamy się. Przynajmniej formalnie się nie poznaliśmy. Ale nasze drogi przecięły się dziś rano w... Pierwszym Kościele Prezbiteriańskim.

Claire czekała, aż on doda coś od siebie. Ale mężczyzna milczał i tylko patrzył.

– Rozumiem... – Pani Acklen spoglądała to na nią, to na niego, a w jej oczach wyraźnie błyszczało zaintrygowanie. – W takim razie proszę pozwolić, że dokonam właściwego przedstawienia. – Podniosła się, podobnie jak Claire. – Panie Monroe, chciałabym przedstawić pannę Claire Laurent, która ubiega się o posadę mojej *liaison*. Panno Laurent, ten wytworny dżentelmen to pan Willister Sutton Monroe, najbardziej obiecujący młody prawnik w Tennessee. Pan Monroe jest odpowiedzialny za prowadzenie interesów dla Belmont oraz moich innych inwestycji. Bez niego nic bym nie zrobiła.

Claire dygnęła, zachęcona użyciem przez panią domu wyrażenia w czasie teraźniejszym – „ubiega się”. Może to oznaczało, że wciąż jeszcze była dla niej jakaś nadzieja. Kiedy jednak uniosła wzrok i spotkała się ze spojrzeniem Willistera Suttona Monroego, w jego oczach wyczytała całkiem odwrotne przesłanie.

– Niezmiernie mi miło formalnie się z panem poznać, panie Monroe.

Skłonił się sztywno.

– Wręcz przeciwnie, panno Laurent. Cała przyjemność po mojej stronie.

Sposób, w jaki to powiedział, i ten aksamitny dźwięk jego głosu sprawiły, że Claire zadrżała, ale nie był to miły dreszcz. Niechętnie dostosowując się do zwyczaju, podała mu dłoń, a on krótko musnął ją wargami, tak jak już to czynił tego poranka. Jednak tym razem, kiedy skończył, uścisnął jej palce nieznacznie i posłał jej brzemienny w znaczenie uśmiech. Sama nie rozumiała, skąd to wie, ale była pewna, że pragnął

zamienić z nią słowo na osobności. Słowo, którego wcale nie chciała słyszeć.

– Pozostawię panie, byście mogły skończyć rozmowę. – Odwrócił się z teczką w ręce, ale zatrzymał się jeszcze przy drzwiach. – Trochę tu duszno, pani Acklen. Czy może chciałaby pani, żebym zostawił uchylone drzwi?

Pani Acklen kiwnęła głową na znak zgody.

– Tak, proszę, panie Monroe. Dziękuję za pańską czujność.

Claire nie umknęło spojrzenie, który pan Monroe posłał w jej stronę, gdy wychodził. Co tylko potwierdziło jej przypuszczenie. To wcale nie czujność powodowała mężczyzną. Chciał słyszeć ich rozmowę. I w zasadzie wcale nie mogła go za to winić.

Właścicielka rezydencji zajęła ponownie swoje miejsce na sofie i zaprosiła gestem Claire, by uczyniła to samo.

– Panno Laurent, pani pozwoli, że ze względu na czas będę z panią szczera.

– Proszę, pani Acklen, jeśli tylko pozwoli mi pani...

I znowu palec wskazujący wzniósł się w ten sam sposób, uciszając ją.

– Doskonale potrafię osądzić ludzi, panno Laurent. I jakkolwiek doceniam pani zainteresowanie tą posadą i odwagę, która skłoniła panią, by pojawić się tu dzisiaj... – Na ustach kobiety zagościł figlarny uśmiech. – ...oraz to, jak zachowała się pani w obliczu poważnego zażenowania, a także fakt, że wzięła na siebie pani odpowiedzialność za swój brak gotowości... Obawiam się jednak, że charakter tej posady oraz jej wysokie wymagania, zwłaszcza w świetle nadchodzących wydarzeń, przekraczałyby pani obecne możliwości. Jest pani jeszcze młoda, panno Laurent. Musi się pani wiele nauczyć i zdobyć sporo doświadczenia. Wprawdzie muszę przyznać, że dostrzegam w pani potencjał.

Claire nie była pewna, czy serce ścisnęło jej się w efekcie odmownej decyzji pani Adelicii Acklen, czy z powodu nieoczekiwanego komplementu, jaki otrzymała od tej kobiety. A może ze względu na wytrącającą ją z równowagi świadomość, że Willister słuchał tego wszystkiego zza drzwi.

Cokolwiek to było, poczuła jednak wyjątkowy przypływ śmiałości. Przypomniawszy sobie jednocześnie, że wielebny Bunting nie bez powodu zostawił otwarte drzwi do schowka, wiedziała, że jeśli wyjdzie bez powiedzenia wszystkiego, co chciała, będzie tego już na zawsze żałować.

Wzięła zatem pokrzepiający wdech i zaczęła:

– Dopiero dzisiaj rano, pani Acklen, po raz pierwszy dowiedziałam się o istnieniu Belmont – powiedziała cicho, prawie szeptem, by nie brzmieć jak żebrak, choć tak się czuła. Miała też nadzieję, że może dzięki temu nie będzie słyszalna w pokoju obok. Sutton Monroe i tak już pewnie myślał o niej niezbyt dobrze. Nie trzeba było dawać mu kolejnego powodu do takiej opinii. I chociaż zależało jej, i to dużo bardziej, niż powinno, na jego zdaniu, jeszcze bardziej liczyło się to, co chciała powiedzieć pani Acklen. – Proszę mi wierzyć, ale z całym uszanowaniem dla pani muszę przyznać, że... nigdy nie słyszałam też o pani osobie. Pomimo tego jestem tu, siedzę w tym pokoju i rozmawiam z panią. I zaczynam wierzyć, że pewne wydarzenia, które doprowadziły mnie aż tutaj... a może nawet wszystkie, sama nie wiem... nie miały miejsca bez powodu.

Pani Acklen słuchała w milczeniu. I jakoś z nieznacznego błysku w oku kobiety i lekkiego pochylenia tego delikatnego podbródka Claire wywnioskowała, że na nowo zyskała zainteresowanie swojej rozmówczyni. Dlatego też chwyciła się go, zdecydowana, by możliwie najlepiej wykorzystać tę szansę.

Choćby nie wiadomo jak ulotna albo niefortunna ona była.

~

Sutton stał po drugiej stronie otwartych drzwi, w saloniku, przekonany, że musi bronić interesów swojej pracodawczyni. Mimo że znajdował się poza zasięgiem wzroku obu pań, był pewien, iż panna Laurent wiedziała, że on tu jest. Posłał jej spojrzenie, które mówiło, że będzie nasłuchiwał. Nie ufał jej. I chociaż to, co teraz mówiła – o swoim przyjeździe do Nashville poprzedniego dnia – wydawało mu się dosyć wiarygodne, nie wierzył, iż nigdy nie słyszała o Belmont ani o pani Acklen. Bawił się trzymaną w dłoniach teczką. Już nie raz słyszał takie historie...

Iluż to łowców fortuny odpędził stąd w przeszłości? I ile razy zjawiali się tu zupełnie obcy ludzie, twierdząc, że są spokrewnieni z Adelicią? A te całe pochody próżniaków z Północy, którzy przybywali uzbrojeni w teczkę, gdzie kryły się ich plany na „intratne” inwestycje. Nawet dalecy krewni zjawiali się tu czasem pod przykrywką pragnienia nawiązania relacji z „ukochaną bliską”. Którą to, oczywiście, miała być Adelicia Acklen. I za każdym razem wszyscy chcieli tego samego. Pieniędzy. A jednym z jego obowiązków było dopilnować, by ich nie dostali. Albo otrzymali tylko to, co chciała im dać właścicielka Belmont.

Może i pozornie panna Claire Laurent nie przypominała żadnego z tamtych szarlatanów, a jednak coś w jej osobie wydawało się... nie do końca właściwe. Może wynikało to z faktu, iż wiedział, że spędziła poprzednią noc w kościele – i to na osobistej wyścielanej ławce Adelicii.

A o tym panna Laurent jakoś dotąd nie wspomniała.

– ...po tym, gdy opuściłam stację kolejową, pani Acklen, odkryłam, że miejsce, w którym miałam się zatrzymać, okazało się... zupełnie nieodpowiednie. Dlatego też...

Zupełnie nieodpowiednie. Dokładnie takiego samego określenia użyła względem niego dzisiaj rano. Chociaż w zasadzie nie świadczyło to o tym, że kobieta kłamała... Jednak wydawało mu się zbyt dużym zbiegiem okoliczności. Jej pojawienie się w mieście akurat w tym czasie, a potem w rezydencji w ostatni dzień, gdy prowadzono rozmowy o pracę. Nie wspominając już o tym, że była Francuzką. To nie mógł być przypadek, szczególnie biorąc pod uwagę, że Adelicia, jak każdy doskonale wiedział, kochała wszystko, co francuskie.

Ta kobieta uwielbiała Paryż. To właśnie tam przyszedł jej do głowy pomysł, by zatrudnić osobistą *liaison*, nie bez uprzedniej subtelnej sugestii z jego strony. Potrzebowała talentu kobiecej towarzyszki, która podzielałaby jej zainteresowania organizowaniem przyjęć, przygotowywaniem list zaproszonych gości i menu, doborem bukietów na stoły i tworzeniem artystycznej aury, którą Adelicia pragnęła mieć podczas swoich wieczorów wysublimowanej rozrywki. Stąd pomysł takiej asystentki.

– ...dlatego też, kiedy zobaczyłam kościół, postanowiłam sprawdzić, czy drzwi są otwarte. I...

Bieg myśli Suttona stanął raptownie w miejscu. A więc panna Laurent rzeczywiście zamierzała opowiedzieć Adelicii o kościele. Ale przecież to oczywiste. Bo wiedziała, że gdyby nie powiedziała, on by to zrobił za nią. Słuchał, ledwie będąc w stanie uwierzyć w to, co mówiła.

Weszła przez niezamknięte drzwi prowadzące do schowka? To zbyt nieprawdopodobne. Wielebny Bunting był bardzo skrupulatnym człowiekiem. Nie mógł przez pomyłkę zostawić otwartej świątyni.

Sutton uśmiechnął się, gdy Adelicia również podważyła prawdziwość tej wersji.

– Tak, proszę pani, daję słowo. Drzwi nie były zamknięte na klucz. I najwyraźniej to wcale nie był przypadek. Wielebny Bunting powiedział mi, że...

Nagle z pokoju dla gości doszedł śmiech, który zagłuszył słowa panny Laurent, i Sutton zmarszczył brwi na to nieoczekiwane zakłócenie. Kogóż to mogła o tej porze gościć pani domu? Najwidoczniej coraz bardziej udzielała się towarzysko. I dobrze wiedział, kto się do tego przyczynił...

Matka Cary Netty, pani Octavia Walton LeVert. Stały się sobie z Adelicią wyjątkowo bliskie.

– Czyli mam rozumieć, panno Laurent, że spała pani wczoraj w kościele? – Głos Adelicii przepełniało niedowierzanie. Nie należała do kobiet, które łatwo było przekonać.

– T-tak, pani Acklen, tak właśnie powiedziałam. Ale musi pani zrozumieć, że naprawdę nie miałam dokąd pójść. Nie znam nikogo w tym mieście i... moje środki pieniężne są obecnie dość ograniczone.

Sutton wbił wzrok w dywan pod stopami. Ostatnie słowa panny Laurent dźwięczały mu w uszach jako sygnał ostrzegawczy.

– W porządku, panno Laurent. I to właśnie w tym kościele spotkała pani pana Monroego?

– Tak, proszę pani. Właśnie miałam wychodzić, niczego nie zmieniwszy we wnętrzu świątyni, kiedy obróciłam się i... zobaczyłam, że on tam stał.

Kiedy panna Laurent relacjonowała ich spotkanie – swoje spostrzeżenia dotyczące tamtej chwili, które były tak podobne do jego wniosków – Sutton uśmiechnął się, jakby na nowo przeżywając rzeczoną sytuację. Po tym jak otworzył boczne drzwi, zauważył młodą kobietę – bardzo piękną młodą kobietę – która dokonywała właśnie różnych zabiegów mających na celu poprawić jej wygląd, nie wyłączając z tego poprawiania bielizny. Niezbyt częsty widok w świątyni. Albo w zasadzie w ogóle niespotykany.

Kościół jako miejsce modlitwy wcale nie był jego celem dzisiejszego poranka, tak jak i żadnego innego. Przychodził tam raczej, by odwiedzić miejsce, gdzie tak wielu mężczyzn – i chłopców – których znał, jego przyjaciół, zmarło po bitwie. To miejsce, gdzie sam leżał, wpatrując się w krokwie na suficie i zastanawiając się, czy również umrze.

– Mówiła pani wcześniej, że przybyła z Nowego Orleanu, panno Laurent. Co w ogóle skłoniło panią do wyjazdu?

Po pytaniu Adelicii nastąpiło długie milczenie.

– Chętnie zostałabym dalej w Nowym Orleanie, proszę pani... – mówiła ściszonym i pełnym smutku głosem. – Ale nie miałam już takiej możliwości. *Maman* – moja matka – zmarła pół roku temu. A mój ojciec... on... – Głos panny Laurent się załamał.

Sutton wychylił się jeszcze bardziej do przodu. Nasłuchiwał. Czekał.

– Zmarł w nieoczekiwanych okolicznościach. Otrzymałam wiadomość o jego śmierci dopiero po przyjeździe do Nashville.

Sutton spuścił głowę, czując się teraz jak intruz... zwłaszcza że miał świadomość, iż ona wie o jego obecności.

– Proszę przyjąć moje najszczersze wyrazy współczucia, panno Laurent. – W głosie Adelicii pojawiła się wyjątkowa łagodność. – Zarówno z powodu ostatniej straty, jak i śmierci pani *maman*.

Wspominając, jak gwałtownie jego życie się zmieniło, gdy dowiedział się o śmierci ojca, Sutton współczuł pannie Laurent jej sytuacji, bo wiedział, przez co musiała teraz przechodzić. Na nowo ogarnął go smutek po stracie – taty, Marka Holbrooka i tak wielu innych. Przynajmniej teraz rozumiał, dlaczego w jej oczach widział takie przerażenie i zagubienie tego poranka. *Jeśli tylko to, co mówiła Adelicii, było rzeczywiście prawdą* – poprawił się sam w myślach.

W większości to brzmiało prawdopodobnie, jednak jako pracownikowi pani Adelicii Acklen płacono mu za to, by nie ufał tak łatwo każdemu. Bo jeżeli panna Laurent faktycznie przeżywała żałobę, dlaczego w takim razie nie miała na sobie żałobnego stroju?

– Mam nadzieję, że zrozumie mnie pani, ale muszę o to zapytać, panno Laurent. Jeśli to, co pani mi powiedziała, jest prawdą, dlaczego nie nosi pani żałobnej sukni?

Czasem przerażało go, jak bardzo tok myślenia jego i Adelicii był podobny.

– Moja jedyna suknia żałobna została pobrudzona tuż przed wyjazdem do Nowego Orleanu. I jak już wcześniej wspominałam szanownej pani, przyjechałam do Nashville dopiero wczoraj. Moje bagaże zostały nadane oddzielnie, więc obecnie nie mam własnej garderoby. Tak naprawdę to, co mam na sobie, należy do pani Bunting.

– Tak... Poznałam ten kostium, kiedy tylko weszła pani do pokoju.

Sutton pokręcił głową. Cała Adelicia! Zawsze szczera.

Cisza się przedłużała.

– Panno Laurent... – Adelicia westchnęła. – Doceniam, że opowiedziała mi pani to wszystko. Jest pani bardzo otwartą osobą, a pani szczerość godna pochwały. Jednakże, znowu, w świetle szczególnych zobowiązań, jakich wymaga to stanowisko, oraz uwzględniając pani brak doświadczenia w...

– Pan Monroe? Wszystko dobrze, sir?

Sutton odwrócił się i spostrzegł Cordinę, która patrzyła na niego z drugiego końca pokoju.

Zapomniał, że zostawił uchylone drzwi do głównego holu, i patrząc na jej nieufny wyraz twarzy, poczuł się jeszcze bardziej nieswojo. Dlatego że znał Cordinę. A jej pełne powątpienia spojrzenie mówił mu, iż dobrze wiedziała, że podsłuchiwał.

Co więcej, ta dłoń oparta na szerokim biodrze jasno świadczyła, że wcale tego nie pochwala.

12

Sutton przeszedł przez całą długość saloniku, zmierzając w stronę Cordiny, gdyż nie chciał, by Adelicia albo panna Laurent słyszały jego rozmowę.

– Tak, Cordino. Wszystko dobrze, dziękuję. Pani Acklen przeprowadza rozmowę o pracę i właśnie... chciałem sprawdzić, czy nie potrzebuje mojej pomocy.

Główna kucharka w Belmont wcale nie musiała znać prawdziwych powodów, dla jakich tu tkwił. Nawet jeśli wiedziała praktycznie o wszystkim, co się działo w rezydencji.

Cordina skinęła w stronę tamtego pokoju.

– Nie ufa pan tyj osobie, co tu jest u pani Acklen, prawda, sir?

Powściągnął uśmiech, który cisnął mu się na usta. Był przyzwyczajony do jej szczerości i przenikliwości.

– Ja tego nie powiedziałem.

– Nie, sir, nie powiedział pan. – Zmierzyła go wzrokiem z góry na dół, tak jak to nieraz czyniła, odkąd skończył trzynaście lat. – Ale tak to zrozumiałam. – Przysunęła się bliżej. – Myśli pan, że lady już zadecydowała, którom z nich zatrudni?

„Lady”... Niektórzy starsi Murzyni od lat w ten sposób tytułowali panią Acklen. Pokręcił głową, zerkając z powrotem w stronę pokoju.

– Jeszcze nie. Pani Acklen na pewno to omówi ze mną później.

Adelicia zgodziła się, by mógł wyrazić swoje zdanie, zanim podejmie ostateczną decyzję, ponieważ to on będzie ściśle współpracował z wybraną

młodą damą.

– Myśli pan, że lady wybierze tom napuszonom damulkę, co przechadzała się tutej wcześnij, kręcąc tym małym tyłeczkiem? – Cordina przedrzeźniła ruch bioder.

Sutton się uśmiechnął.

– Boże, miej nas w opiece, jakby to ją miała wziąć. – Co musiałoby się stać po jego trupie.

Kobieta zaśmiała się nisko.

– Widziałam jak ta słodka dziewuszka zyrkała na pana, kiedy tu była, sir. Mhm... – Zacisnęła usta, ale w jej oczach tańczyły iskierki rozbawienia. – Lepij niech się pan pilnuje, panie Monroe. Ta kobitka szukała tu nie tylko pracy u naszyj lady.

– Dziękuję za ostrzeżenie, Cordino. Zachowam je troskliwie w pamięci.

Uśmiechnęła się i poklepała go po ręce.

Jej dłoń była szorstka od pracy w kuchni. Nie wiedział, ile mogła mieć lat, ale wolał nie pytać. Był pełen podziwu, jak ta jedna kobieta umiała poradzić sobie z tym wszystkim, co musiała robić, a na dodatek być na bieżąco z plotkami, zarówno tymi dotyczącymi domu, jak i służby.

Kiedy tylko nie miała humoru i nie chciała rozmawiać – co zdarzało się sporadycznie – szedł do Eliego, jej męża, który wiedział, jak przymilić się tej kobiecie, by ją nakłonić do współpracy. Cordina i Eli byli nieodłączną częścią Belmont. Pomimo wojny, która przetoczyła się przez te tereny i która została przegrana, to czarnoskóre małżeństwo pozostało z Adelicią. Sutton podziwiał ich lojalność.

Niektórzy niewolnicy Belmont – służący, jak się sam poprawił w myślach – zniknęli zaraz po zakończeniu wojny. Co oczywiście mogli uczynić zgodnie z nowym porządkiem. Niewolnicy pracujący w jego rodzinie, wszyscy siedmioro, uciekli zaraz po śmierci jego ojca i po tym,

jak ich dom został zrównany z ziemią. W zasadzie i tak nie było gdzie zostawać...

Ale uważał, że mogli pomóc jego matce przynajmniej w tych pierwszych dniach po tragedii. Okazać choć trochę wdzięczności za to, jak zawsze ich traktowali jego rodzice – sprawiedliwie i uczciwie. Raczej jak najemnych pomocników niż niewolników, dużo lepiej niż inni. Ale teraz to wszystko uległo zmianie, nawet jeśli nie wszystkie przemiany mu odpowiadały.

– Chyba powinnam wracać do kuchni, sir. Trza sprawdzić, czy kolacja się dobrze gotuje. – Cordina rzuciła okiem na zegar stojący na kominku.

Sutton podążył za jej wzrokiem. Było dużo później, niż mu się wydawało.

– Coś smakowicie pachniało, kiedy przechodziłem wcześniej koło schodów.

Uniosła brew.

– Pieczony kurczak z fasolą i świeża kukurydza z kremowym sosem. A na deser ciasto z jeżynami. O ile zaraz zabiorę się do roboty. Pani Routh przykazała, że ma być punkt szósta, a ja jeszczem nigdy się nie spóźniła z kolacją. I nie zamierzam... O, nie, sir.

Wyszła z pośpiechem, a Sutton ruszył w kierunku gabinetu, ale zmieniwszy zdanie, postanowił poczekać jednak w głównym holu, licząc, że uda mu się przeprowadzić własną „rozmowę o pracę” z panną Laurent. Choć wcale nie z tych samych pobudek, z których przepytywał poprzednie damy.

Usiadł i starał się skupić, żeby przejrzeć trzymane w dłoni akta, jednakże myślami powędrował w kierunku propozycji złożonej mu wcześniej przez Holbrooka. Chociaż musiał jeszcze rozważyć wszystkie kwestie, wiedział już, że zgodzi się na współpracę w tej sprawie. Jak

mógłby odmówić? Ta oferta brzmiała jak spełnienie marzenia każdego prawnika, a on potrzebował pieniędzy.

Drzwi do pokoju *tête-à-tête* otworzyły się nagle i podniósłszy wzrok, spostrzegł pastora i panią Bunting.

– Monroe! – Wielebny wyciągnął do niego dłoń. – Miałem nadzieję, że cię tu dzisiaj spotkam. – Bunting wskazał na żonę. – Razem z moją małżonką właśnie wychodziliśmy do ogrodów na krótką przechadzkę. Może chciałbyś do nas dołączyć?

Sutton uścisnął dłoń duchownego i nawet nie musiał się długo zastanawiać co... a w zasadzie kto sprowadził ich tutaj z tak daleka. Zerknął w stronę pokoju gościnnego i zauważył, że Adelicia i panna Laurent rozmawiają koło drzwi. Kandydatka na posadę asystentki miała nisko pochyloną głowę, ale Sutton nie był w stanie usłyszeć, o czym mówiły.

– Dziękuję za propozycję, wielebny, jednak jestem zmuszony odmówić. Czekam, żeby móc porozmawiać z panią Acklen.

– Tak jak i my. – Ton pani Bunting zdradzał zniecierpliwienie. – Przynajmniej mamy nadzieję, że będziemy mogli chociaż się przywitać. O ile, oczywiście, nie jest zbyt zajęta.

Sutton się uśmiechnął.

– Jestem przekonany, że pani Acklen z przyjemnością skorzysta z okazji, by państwa spotkać. Bardzo się cieszyła, że podzieliła się pani przepisem na ciasto wiśniowe. Cordina upiekła je w zeszłym tygodniu. – Przechylił się w jej stronę i konfidencjonalnie ściszając głos, dodał: – Proszę nie mówić pani Acklen, ale William i Claude wylizali do czysta talerze, kiedy ich mama nie widziała.

Chrissinda Bunting rozpromieniła się w uśmiechu.

– Dzieci zawsze będą dziećmi, panie Monroe.

– Tak, proszę pani, zawsze! – Liczący sobie odpowiednio jedenaście i dziewięć lat, William i Claude często potwierdzali prawdziwość tego powiedzenia. Pragnąc odciąć się od tego, co dziecięce, William był wyjątkowo zaangażowany we wszelkiego rodzaju psikusy i na każdym kroku próbował wciągnąć młodszego brata w jakąś bójkę. A ich młodsza siostra, Pauline, niejednokrotnie stanowiła główną ofiarę ich wygłupów. Ale Pauline była córeczką mamusi i całkiem dobrze sobie radziła.

– Pastorze, pani Bunting! – Adelicia weszła do głównego holu z rękami rozciągniętymi w powitalnym geście. – Cóż za radość, że mogę państwa znowu spotkać. Jak miło, że zdecydowali się państwo towarzyszyć pannie Laurent w podróży do Belmont.

Ponieważ Adelicia wdała się w rozmowę z Buntingami, Sutton dostrzegł okazję, by zagadnąć pannę Laurent. Mimo że nie dostała tej posady, chciał jej zadać parę pytań, przede wszystkim po to, żeby zaspokoić własną ciekawość.

Stała z boku, milcząc i wodząc niepewnie wzrokiem, co też było całkowicie zrozumiałe. Podszedł, mając już w głowie gotowe pytania. Wydawało mu się, że celowo unika patrzenia na niego. Otworzył już usta, by coś rzec, kiedy ona podniosła wzrok. Jej zaczerwienione oczy były przepełnione nieufnością, a spojrzenie czujne, niczym u łani, która spostrzegła, że jest na celowniku.

Powstrzymawszy swoją reakcję, Sutton od razu uświadomił sobie, że Adelicia zapewne niezbyt delikatnie odmówiła jej tej posady. Adelicia Acklen! Był wdzięczny za szansę, jaką dała mu ta kobieta, ale czasem miał wrażenie, że nie do końca była świadoma, jak brutalna potrafi być jej bezpośredniość.

Wszystkie pytania, które chciał zadać Claire Laurent, nagle uciekły mu z głowy. Poza jednym...

– Proszę wybaczyć moją prostolinijność, panno Laurent, ale... mam nadzieję, że nie czuje się pani źle? – zapytał cicho, nie chcąc ściągać uwagi pozostałych osób i tym samym jeszcze dodatkowo jej upokarzać.

Uśmiechnęła się bez przekonania.

– Nie, panie Monroe. Mam się dobrze. Dziękuję. – Zerknęła szybko w stronę Adelicii i przytknęła dłoń do brzucha.

Sutton był pewien, że zrobiła to nieświadomie. A jednocześnie ten gest był tak wymowny. Chciał powiedzieć coś, co mogłoby dodać jej otuchy, a nie brzmiałoby protekcjonalnie.

– Czy mogę pana o coś zapytać, panie Monroe?

Zaskoczony jej prośbą, skinął głową.

– Oczywiście, panno Laurent.

– Co pan sądzi na temat mojej rozmowy o pracę z panią Acklen?

Jej pytanie, pozornie niewinne, było tak naprawdę czymś zupełnie przeciwnym. Mówiła mu w ten sposób, że wiedziała – albo mocno podejrzewała – iż podsłuchiwał ich rozmowę. Jako prawnik z podziwem zwrócił uwagę na ten sprytny wybieg. Miał też nadzieję, że ona również doceni jego równie bezpośrednią replikę.

– Odpowiedź na pytanie, które pani insynuuje, panno Laurent... brzmi: tak. Akurat słyszałem...

– Akurat pan słyszał?

Pomimo jej bladości i śladów łez Sutton wyczuł u tej młodej damy niezłomną determinację. Albo desperację. Jednakże w tej chwili – o ile dobrze interpretował wyrażające upór uniesienie podbródka – cała jej frustracja skupiała się na nim.

– Jak już pani wie, panno Laurent, jestem pracownikiem pani Acklen. W świetle tego faktu z pewnością rozumie pani, dlaczego uznałem za konieczne, by celowo słuchać waszej rozmowy.

Otworzyła już te swoje delikatne usta, żeby coś odpowiedzieć.

– I... – Uniósł głowę, naśladując jej gest. – ...w odpowiedzi na pytanie, które pani postawiła...

Zmarszczyła czoło i wyglądała teraz jak mała dziewczynka. Gdyby nie przejęcie malujące się na jej twarzy i świadomość, jaki był wynik tamtej rozmowy, mógłby się nawet uśmiechnąć.

– Uważam, że pani prezentacja była pełna godności. Zwłaszcza w takich okolicznościach. – Chociaż wciąż miał wątpliwości, czy wyjawiłaby Adelicii całą prawdę o tym, gdzie spędziła zeszłą noc, gdyby nie podejrzewała, że on słucha.

– Czy słusznie się domyślam, że słyszał pan również, kiedy wyjaśniałam, w jaki sposób się poznaliśmy?

– Tak, szanowna pani, słusznie – powiedział. Wahał się, czy wyjawić jej swoje wątpliwości dotyczące motywacji kryjących się za szczerością Claire. Siłą przyzwyczajenia z pewnością by to zrobił, jednak uwzględniając to, że ich drogi już więcej się zapewne nie skrzyżują – co też niosło w sobie dużo większe rozczarowanie, niż mógłby przypuszczać – stwierdził, że zachowa te spostrzeżenia dla siebie. – Chciałbym również zapewnić, iż pomimo mojego wcale nie złośliwego rozbawienia tak naprawdę wszedłem do tej świątyni pod koniec pani... hm... publicznych ablucji.

Obserwował ją, licząc, iż jego słowa sprawią, że się spłoni. Nie przeliczył się.

– Publiczne ablucje? – Jej policzki oblane były rumieńcem. – To brzmi jeszcze gorzej, niż było w rzeczywistości.

– Ma pani rację. – Spojrzał na nią. – Czy określenie „damskie podrygi” byłoby właściwe, panno Laurent?

– Nie, właściwszym byłoby już więcej o tym nie wspominać, panie Monroe. – Coś w jej oczach zaiskrzyło, jakby ktoś odpalił w jej wnętrzu zapałkę.

I w jakiś sposób, którego Sutton nie potrafiłby uzasadnić, nawet gdyby próbował, czuł się zaszczycony tym, że to do niego było zaadresowane to światło.

Adelicia dobrze uczyniła, że jej odmówiła. Claire Laurent nie była najlepszą kandydatką na tę posadę. Wiedział to, a jego instynkty rzadko go zawodziły w takich kwestiach. A mimo to żałował, że nie będzie miał okazji jej bliżej poznać. Co jednak, biorąc pod uwagę jego porozumienie z Carą Nettą LeVert oraz niepewną sytuację finansową, byłoby jednocześnie niestosowne i niemądre. I najlepiej było o tym żalu zapomnieć.

Musiał jej natomiast przyznać jedno. Choć sprawiała wrażenie, że tak bardzo zależało jej na tej posadzie, całkiem dobrze przyjęła odmowę. Dlatego też starał się jakoś ją pocieszyć.

– Jak z pewnością pani wie, panno Laurent, było wiele kandydatek na to stanowisko, więc nie powinna pani...

– Panno Laurent?

Odwrócił się i to samo zrobiła Claire.

Adelicia stała sama w otwartych drzwiach frontowych. Wskazała dłonią.

– Jak pani widzi, państwo Buntingowie czekają na panią.

Sutton wyjrzał na zewnątrz i rzeczywiście pastor z żoną siedzieli już w swoim powozie. Nawet nie słyszał, kiedy wyszli.

Panna Laurent podbiegła do drzwi.

– Pani Acklen, chciałam... – Mocno zacisnąwszy wargi, pochyliła głowę. – Chciałabym, żeby wiedziała pani, że... – Podniosła powoli wzrok,

jakby samo skrzyżowanie spojrzenia z Adelicią miało ją zaboleć.

I jak się domyślał Sutton, pewnie tak było.

– Panno Laurent, myślę, że powiedziała mi już pani wszystko, co konieczne. – Adelicia zerknęła na zewnątrz i pomachała w odpowiedzi do pani Bunting, uśmiechnąwszy się uprzejmie. Kiedy z powrotem zwróciła oczy na dziewczynę, jej uśmiech stał się chłodny. – Jestem przekonana, że wyraziłam się aż nazbyt jasno. Czyż nie?

Dolna warga panny Laurent drżała.

– Tak, proszę pani – wyszeptała, nie podnosząc ponownie wzroku. Dygnęła i wyszła, nie oglądnąwszy się nawet za siebie.

Właścicielka rezydencji zamknęła drzwi, zanim panna Laurent dotarła do ostatniego stopnia, ale Sutton wciąż jeszcze był w stanie dostrzec kobiecą sylwetkę poprzez czerwone szkło naświetla. Eli odprowadził ją do powozu i pastor Bunting skierował konie alejką do wyjazdu.

Adelicia zwróciła się w kierunku gabinetu.

– Jeśli zechce pan do mnie dołączyć, panie Monroe, chętnie dowiem się, co pan myśli.

Sutton nawet się nie poruszył. Patrzył tylko na swoją pracodawczynię, wiedząc, że będzie musiał być bardzo ostrożny w tym, co zaraz powie. Zdarzyło się już kiedyś, że był świadkiem sporadycznego okazywania bezduszności ze strony Adelicii. Bogata ponad miarę – tak że mało kto się tego domyślał, a jeszcze mniej ludzi mogło to pojąć – była przyzwyczajona, by zawsze stawiać na swoim. Gotowa walczyć o to i dopiąć swego.

Przypomniał sobie podróż, jaką odbyli do Luizjany pod koniec wojny, i poczuł chłód docierającej do niego świadomości. Tamta decyzja mogła ją wiele kosztować... a tak naprawdę kosztowała ich wszystkich. Ale w końcu, jak to się mówi na wyścigach, wyszła na prostą. Opłaciło się jej i to w dwójnasób.

Pracował dla niej, a wcześniej dla jej nieżyjącego już męża, na różnych stanowiskach podczas tych minionych ośmiu lat, a ją i jej rodzinę znał osobiście jeszcze dłużej. Miewała chwile wielkiej hojności, które sprawiały, że brakowało mu słów, ale potrafiła być również bardzo krytyczna wobec innych, jeśli nie spełniali jej wygórowanych wymagań. Mimo to nawet wtedy nie widywał, by traktowała kogoś o niższej randze społecznej tak bezceremonialnie.

Przystanęła i obejrzała się za siebie.

– Jakiś problem?

– Tak, proszę pani. Jest jeden.

Zrobiła krok w jego stronę.

– Nie jest pan zadowolony z mojej decyzji.

– Nie, proszę pani. Nie z pani decyzji, ale ze sposobu, w jaki pani z miejsca odprawiła tę kobietę.

Adelicia mierzyła go wzrokiem, a potem w jej oczach błysnęły iskry.

– Odprawiłam ją?

Kiwnął głową, nie chcąc się dać zmanipulować w ten sposób, w jaki kierowała innymi. Umiała być bardzo przekonująca i jednocześnie tak życzliwa, że często jej rozmówca nie zdawał sobie sprawy, że to, na co się zgadza, wcale nie jest naprawdę jego własnym wyborem.

Zacisnęła wargi.

– Mam rozumieć, że uważa pan, iż zachowałam się niegrzecznie podczas pożegnania z nią?

– Właśnie tak, proszę pani. Nie pożegnała się z nią pani. Po prostu... pokazała jej pani drzwi. To nie w pani stylu traktować kogoś takiego jak panna Laurent z takim brakiem łaskawości.

– Kogoś takiego jak panna Laurent? – powtórzyła. – Co pan przez to rozumie?

– Kogoś o dużo niższej randze, pani Acklen. I kogoś, kto jeszcze chwilę wcześniej podzielił się z panią bardzo osobistą i bolesną historią.

– Aha... – rzekła powoli. – Dziękuję, że mi to pan wyjaśnił. Być może ja również powinnam zacząć od wyjaśnienia panu czegoś, panie Monroe.

Sutton dostrzegł od razu subtelny chłód w jej głosie i wiedział, że trafił prosto w jej serce. A nieczęsto czynił to wobec niej i zazwyczaj nie bez powodu. Czekał.

– Nie odprawiłam z miejsca panny Laurent. Po prostu chciałam zapobiec sytuacji, kiedy po raz kolejny by mi dziękowała.

Zaśmiał się surowo.

– Dziękowała pani? Za co? Za to, że jej pani nie zatrudniła? Za to, że ją pani poniżyła? – Westchnął, żałując, że w ogóle zaczął ten temat. – Zgadzam się z pani decyzją o jej odprawieniu, pani Acklen. Chciałem tylko powiedzieć, że wolałbym, żeby pani...

– Ale ja ją zatrudniłam, panie Monroe. – Zmrużyła powieki. – Panna Laurent nie poinformowała pana o tym?

Przez chwilę wszystko, co powiedziała, nie miało najmniejszego sensu. Następnie poczuł w środku gorącą falę.

– Zatrudniła ją pani?! Nie przedyskutowawszy tego ze mną wcześniej? – Jak tylko to wyrzekł, uświadomił sobie, że przekroczył dozwolone granice. – Przepraszam, pani Acklen. Powinienem był powiedzieć...

– Nie interesuje mnie, co pan powinien był powiedzieć, panie Monroe. Mam dość ludzi wokół mnie, którzy mówią to, co myślą, że chciałabym usłyszeć. Zatrudniłam pana i pomimo że liczni próbowali zająć pańskie miejsce, wciąż pan tu pracuje właśnie dlatego, że mówi pan to, co myśli. To, co wydaje się panu właściwe. I nigdy nie było inaczej.

Na jej obliczu odmalowało się coś na wzór uznania.

– To właśnie podziwiał w pańskiej osobie pułkownik Acklen, Panie świeć nad jego duszą... I ja również to sobie cenię. Tę odwagę mówienia na głos tego, co ma pan w sercu. – Zerknęła ponad jego ramieniem na drzwi frontowe. – Panna Laurent także posiada tę cechę, kiedy się ją przyciśnie. Choć ośmielę się rzec, że... – Ponownie skupiła na nim wzrok. – ...brakuje jej wprawy, którą pan już w tej dziedzinie posiadł.

Słysząc w jej głosie nutę rozbawienia, Sutton wypuścił z płuc długo wstrzymywany oddech.

– Podejrzewam, że to dlatego, iż mam znacznie więcej praktyki, szanowna pani.

Roześmiała się.

– *Touché* [28], panie Monroe. *Touché*...

Zmęczony i skonsternowany tą sytuacją, mężczyzna przesunął dłonią po karku. Choć nie chciał tego przyznać, po części odczuwał jakąś nadzieję w związku z perspektywą kolejnego spotkania z panną Laurent. Ale ogólnie, ze względu na poczucie odpowiedzialności za ochronę osobistych dóbr pani Acklen, jak i jej finansowego imperium, wcale się nie cieszył.

– Czy może mi pani pomóc zrozumieć, z jakiego powodu ją pani zatrudniła? Oboje wiemy, że to nie ona posiada największe kwalifikacje i... – Poczuł pulsowanie z tyłu głowy. – Szczególnie frustrujące jest dla mnie to, że umówiliśmy się – co pani sama zaproponowała – że omówimy kandydatury, zanim podejmie pani decyzję.

– Pamiętam o tym, panie Monroe. Jednakże... – Wzruszyła ramionami. – ...to najbardziej przekonująca młoda dama, a ja nie należę do osób, które łatwo przekonać, jak sam pan zapewne wie.

Wpatrywał się w nią, świadomy, że nie musiał odpowiadać.

Kobieta podeszła do okna, od strony którego sączyło się popołudniowe słońce prześwitujące przez szkło weneckie i rzucające ciepłą poświatę na

wejściowy hol.

– Głównym powodem, dla którego ją zatrudniłam, jest to, że ona nie wie, kim jestem. – Przycisnęła całą dłoń do szyby i rozłożyła palce. – Była jedyną kandydatką, która nie patrzyła na mnie, oceniając i darząc skrywaną pogardą. Ponieważ nie jest stąd... Nie wie tego, co wiedzą wszyscy inni w mieście.

Ból w jego głowie przybrał na sile. Znowu to? Myślał, że już udało jej się to przezwyciężyć.

– Pozostałe kandydatki nie oceniały pani. Z pewnością część z nich zbyt gorąco pragnęła pani zaimponować i zapewne miały niewłaściwe priorytety, mimo to nie wyczuwałem żadnej pogardy wobec pani.

– I bynajmniej nie oczekiwałam tego od pana. – Odwróciła na chwilę wzrok. – W końcu pan jest mężczyzną... – Ponownie spojrzała na kwitnące ogrody. – Ale tak było, czułam to. U wszystkich... poza nią.

Sutton znów rozcierał ból w karku, żałując, że nie może teraz dosiadać Truxtona i mknąć przez pola. Nigdy nie zrozumie kobiet. Zwłaszcza tej.

Adelicia zwróciła się twarzą w jego stronę.

– Każdy na moim miejscu zrobiłby to samo. Pan również tak mówił.

– I wciąż się tego trzymam, szanowna pani. Podjęła pani dobrą decyzję, by jechać do Luizjany. To był trudny wybór i niósł ze sobą pewne konsekwencje, ale...

– Konsekwencje, których jednak nie doceniłam.

– Ale one miną. Trzeba czasu. Dopiero ostatnio wróciła pani z podróży zagranicznej. To nastawienie minie. Zobaczy pani.

Miał wrażenie, że była zmęczona, o czym świadczyło lekkie przygarbienie ramion. Adelicia była bardzo zamkniętą w sobie osobą i te rozmowy o pracę mogły być dla niej obciążające. Podobnie jak ostatnie dwa lata. Brzęk i stukot talerzy dobiegające z rodzinnej jadalni zapowiadały

porę kolacji i Monroe myślami powrócił do przyczyny, od której wyszła ich rozmowa.

– Jeszcze jedno pytanie, proszę pani... Skoro panna Laurent wiedziała, że dostała tę pracę, dlaczego sprawiała wrażenie tak skrępowanej, gdy wychodziła?

Adelicia zacisnęła mocno usta i uciekła spojrzeniem w bok. Od razu rozpoznał to zachowanie. Coś było na rzeczy.

W zamyśleniu dotknęła broszki zdobiącej górę jej sukni.

– Była zachwycona, kiedy jej powiedziałam, że zostanie moją osobistą asystentką. Jednakże nasza rozmowa zakończyła się w nieco... posępnym tonie.

– Mówi pani... posępnym?

– Moja umowa z panną Laurent została zawarta na okres próbny. – Uniosła lekko podbródek. – Oznajmiłam jej, że jeśli nie uda jej się wypełnić zadania, które jej powierzę, natychmiast ją zwolnię i dopilnuję, by już nigdy nikt nie najął jej nigdzie w Nashville ani Tennessee.

Sutton gwałtownie wypuścił powietrze, nie mogąc uwierzyć w to, co słyszy.

– Powinna pani postarać się następnym razem być bardziej bezpośrednia, szanowna pani. Ona musi sobie teraz z duszą na ramieniu myśleć: „Bój się Boga! W co ja się wpakowałam”.

Adelicia machnęła lekceważąco ręką.

– Boga to ona się już boi, panie Monroe. Brakuje jej tylko wiary w siebie. Ta dziewczyna potrzebuje kogoś, kto o to zadba. Kto ją wypchnie, gdy będzie trzeba.

– A skąd pani o tym wie?

– Ponieważ, kiedy na nią patrzę... – Zawahała się, a w jej spojrzeniu przez chwilę mignęła bezbronność, która jednak zaraz została przesłonięta

przez zwykłą pewność. – Widzę siebie... jakieś wieki temu.

Sutton był tak zaskoczony jej szczerością, że nie wiedział, co ma odpowiedzieć.

Odwróciła spojrzenie i skupiła uwagę na rzeźbie przywiezionej poprzedniego wieczoru. Wpatrywała się w nią z zamyśleniem. Po jakimś czasie odkaszlnęła i rzekła:

– Czy wie pan może, kiedy przyjedzie kolejna?

Słysząc, że ich poprzednia rozmowa została definitywnie zakończona, Sutton zrozumiał, że nie ma sensu naciskać. I szczerze powiedziawszy, czuł, że powinien już iść. Wcześniej wymówił się od uczestnictwa w kolacji z rodziną, pragnąc spędzić czas z dala od wszystkiego i wszystkich. Jednak ta rzeźba, o którą zapytała – a którą ostatnio zakupiła w Rzymie – miała dla niej szczególne znaczenie.

– Nie, proszę pani, nie wiem, ale powinna być już wkrótce. Sprawdzę ponownie w firmie przewozowej.

– Doskonale, panie Monroe. Dziękuję.

Posłała mu uśmiech, w którym rozpoznał propozycję rozejmu, a on go odwzajemnił.

Kobieta ruszyła w kierunku wielkiego salonu, jednak zaraz przystanęła.

– Jeszcze jedno, panie Monroe. Proszę bacznie obserwować pannę Laurent. Nie wiem co, ale coś ukrywa. Albo przed czymś się ukrywa... Czuję to.

Skinął głową, wcale nie zaskoczony ani jej uwagą, ani prośbą. Wyczuwał to samo.

– Dobrze, proszę pani. Tak zrobię. Przeprowadzę ją przez zwykłe formalności, które stosujemy tu wobec wszystkich nowo zatrudnionych.

– Świetnie. Ale chciałabym, aby w przypadku panny Laurent posunął się pan jeszcze o krok dalej. Wspomniała, że pochodzi z Nowego Orleanu.

Chciałabym, żeby skontaktował się pan z kimś znajomym w tamtej okolicy, by sprawdził, czy to, co powiedziała na rozmowie o pracę, jest prawdą. Przecież stał pan za drzwiami i słuchał... czyż nie?

Uśmiechnął się bez zmieszania.

– Tak, proszę pani. Wyślę pocztą takie zapytanie jeszcze w tym tygodniu.

Gdy Sutton przemierzał tereny należące do rezydencji, kierując się do stajni, i gdy siodłał Truxtona, a potem ponaglał rumaka do galopu, jadąc w stronę oddalonych pól, ponownie myślał nad prośbą pani Acklen. Chciała, by obserwował pannę Laurent, która, jak sam się w pełni zgadzał, coś ukrywała. Miał tylko nadzieję, że motywacje, które kryły się za przyjazdem tej młodej damy do Belmont, nie okażą się szkodą dla majątku albo dla samej Adelicii. Bo jeśliby tak było, osobiście gotów był dopilnować, by w pełni za to zapłaciła. Choć zapewne, kiedy Adelicia Acklen się z nią rozprawi, nie pozostanie jej już wiele z dobrej reputacji.

13

Lepij je sprawdzić te buty, panienko Lołerent. Leje jak z cebra, więc może panienka będzie chciała ich porządnie wytrzeć, zanim tutej wejdzie. U lady dużo pięknych dywanów i chodników.

Claire spoglądnęła na nogi i dostrzegła błoto przyklejone do obcasów, dlatego szybko dostosowała się do sugestii Murzynki, a w środku ją aż ścisnęło. Nie pierwszy raz, odkąd opuściła wczoraj Belmont.

Podczas nocy, którą spędziła w pokoju gościnnym państwa Buntingów, budziła się wielokrotnie i zalewały ją zimne poty, gdy tylko z całą mocą docierało do niej to, co zrobiła. Wciąż słyszała w głowie słowa pani Acklen: „Jeśli nie spełni pani moich oczekiwań, zostanie pani zwolniona w trybie natychmiastowym”. Ale jeszcze gorsze było to, co usłyszała potem – że pani Adelicia dopilnuje, by nikt nigdy nie zatrudnił jej w Nashville ani w Tennessee. I to przyprawiało ją o dreszcze.

Może praca dla najbogatszej kobiety w Nashville – albo i w całym Tennessee, z tego, co się dowiedziała – wcale nie była kluczem do spełnienia jej marzeń. Tak, to prawda, właścicielka Belmont ceniła sztukę i miała znajomości w odpowiednich kręgach, ale tak naprawdę nie była jedyną osobą, która podziwiała autentyki. Co by zrobiła Adelicia Acklen, gdyby się dowiedziała, że jej osobista asystentka jest fałszerką? Czy raczej była...

Claire przesuwała po raz kolejny podeszwy przez czyszczak do butów, czując, że ma coraz bardziej spocone dłonie. Kobieta, która jej otworzyła – zapewne kucharka, co dziewczyna wnioskowała po świeżo

wykrochmalonym fartuchu – przedstawiła się jej chwilę wcześniej i Claire wiedziała, że powinna zapamiętać imię. Jednak ze względu na wzburzone nerwy zdążyła już zapomnieć.

I tak się cieszyła, że nie trafiła na panią Routh. Ochmistrzyni przerażała ją prawie tak samo jak pani Acklen.

– Ma panienka malutkie stópki, panno Lołerent.

Claire zmusiła się do uśmiechu. Podobało jej się, jak ta kobieta wymawiała jej nazwisko tak jakoś przeciągając samogłoski, że wychodziły z tego trzy sylaby. Papa od razu poprawiłby taką wymowę. Co jakoś dziwnie sprawiało, że Claire nigdy nawet nie próbowała tego robić.

Tarła tak mocno, iż miała wrażenie, że zaraz włosie szczotek wytrze jej dziurę w podeszwach, a potem sprawdziła je ponownie.

– Wygląda na to, że już dobrze, panno Lołerent – rzekła kobieta, uśmiechnąwszy się szeroko. – Takie czyściutkie, że mogliby my teraz z nich jeść jak z talerza. Niech panienka weźnie tu swoją torbę i wejdzie do środka.

Claire sięgnęła po torbę podróżną i jeszcze raz mignął jej w oddali odjeżdżający alejką powóz pastora Buntinga. Była wdzięczna pastorowi i jego żonie za możliwość noclegu. Chociaż i tak prawie w ogóle nie zmrużyła oka.

Przechodząc przez próg rezydencji, nie była w stanie się otrząsnąć z wrażenia, jakby wchodziła do klatki dzikiego zwierzęcia – i to z własnego wyboru. Pełne przepychu piękno tego dworu nie zmieniło się przez noc, ale świadomość powagi jej sytuacji – tak. I sama sobie była winna.

Chociaż w głowie kłębiły się jej niezliczone obawy i niekończące się wizje tego, co może pójść nie tak, była zdecydowana, by wykorzystać tę szansę najlepiej, jak będzie umiała, ale pierwsze zadanie, jakie jej przydzielono – zaplanowanie przyjęcia urodzinowego dla Williama, syna

pani Acklen, który właśnie skończył jedenaście lat – było nie lada wyzwaniem.

Choć nie poznała jeszcze solenizanta, próbowała sobie wyobrazić, co mogłoby się podobać chłopcu w jego wieku i z jego wychowaniem. Wydawało się jej, że pomysły, które przygotowała, były dość ciekawe i jej samej bardzo by się podobały, gdyby miała tyle lat co William. Zdawała sobie również sprawę, że pani Acklen nie będzie patrzeć na koszty.

Claire ruszyła za kobietą przez wejściowy hol, przyglądając się z radością wspaniałej i milczącej jak kamień Rut. Drzwi do biblioteki były zamknięte i zastanawiała się, czy może pani Acklen pracowała w środku. Miała tylko nadzieję, że jej pracodawczyni nie czekała na nią.

Przyjechała dużo później, niż zamierzała.

Niepogoda i błotniste drogi wcale nie pomogły, ale główną przyczyną opóźnienia był postój na stacji kolejowej, bo chciała sprawdzić, czy dojechały jej bagaże.

Po pobieżnym przeglądnięciu księgi bagażowy oznajmił, że nie odnotowano przywiezienia żadnych należących do niej pakunków. Jednak Claire doskonale wiedziała, że jeśliby tak było, zgodnie z wytycznymi Antoine’a powinny były zostać przekierowane do firmy przewozowej Brodericka. Kiedy więc pracownik kolei zapytał, na jaki adres wysłać kufry, Claire miała już powiedzieć, że do Belmont, ale zaraz się powstrzymała. Chciała uniknąć ryzyka, że Antoine mógłby próbować ją tam odwiedzić. Dlatego też przekazała bagażowemu, że pojawi się na stacji jeszcze za kilka dni.

Idąc dalej za odzianą w fartuch kobietą, Claire weszła do wielkiego salonu. W powietrzu czuć było jakąś bogatą woń ziół. Biorąc wdech, stwierdziła:

– Coś pięknie pachnie.

– To pewnie moja pieczeń wieprzowa, panno Lołerent. W rozmarynie i tymianku, które uzbierałam dzisiej rano z ogrodu. Zobaczy panienka, jak się będzie rozpływać w ustach, i to już wkrótce. – Przystanęła i wskazała dłonią na kąt z dala od widoku. – Proszę tu po prostu schować tę torbę na razie. Wszyscy czekają na panią.

Claire zamarła.

– Czekają na mnie?! Kto na mnie czeka?

– Pani Acklen i jej dzieci, no i pan Monroe. Co do jednego czekają w jadalni, tam na końcu korytarza. Ale nie jakoś długo. Jeszcze zupy nie skończyli.

– Nie skończyli zupy...? Ja nie wiedziałam... – W panice wepchnęła torbę w kąt i próbowała wygładzić dłońmi pomiętą suknię, jednocześnie dostrzegając plamy błota na rąbku spódnicy. Usiłowała sobie przypomnieć dokładnie, ale była przekonana, że pani Adelicia nie wspominała nic o kolacji. Powiedziała po prostu, żeby przyjechała po południu. *Och*... Claire się wzdrygnęła. Spóźnienie już pierwszego dnia! Pani Acklen na pewno zmierzy ją takim spojrzeniem...

– Proszę się uspokoić, panienko. – Kobieta delikatnie dotknęła jej ramienia. – Ni ma się czym tak nerwować, to tylko kolacja, dziecino. I jedzą ciut wcześniej, bo lady wychodzi wieczorem. – Uśmiechnąwszy się, westchnęła ostentacyjnie pełnią swojej obfitej piersi. – Idzie do tej cudacznej opery w mieście.

Claire pokręciła głową.

– Ale ja nie jestem odpowiednio ubrana na kolację i... – Udało się jej przelotnie zerknąć w lustro i wzięła gwałtowny wdech. Te loki, nad którymi tak usilnie pracowała, starając się je poskromić, tworzyły teraz jeden wielki bałagan chaotycznie pokręconych loczków. Jak to ta dziewczyna wczoraj określiła, opisując jej włosy, gdy są mokre? „Stają się takie skołtunione?

Jak mokry pudel?” Claire próbowała poukładać kręcone włosy, ale na niewiele się to zdało.

Nagle odezwał się ostry dźwięk dzwonka.

– To lady – wyszeptała kucharka. – Znaczy, że skończyli zupę i czekają na danie główne. – Mrugnęła do niej i wzięła ją za rękę, uścisnąwszy tak mocno jak mężczyzna. – Podamy panienkę razem z pieczenią wieprzową. Chodźmy!

Claire nie miała wyboru.

Z każdym krokiem czuła się coraz mniejsza i teraz miała wrażenie, iż trzyma się kurczowo dłoni kobiety. Zanim weszły do jadalni, służąca poluźniła uścisk i puściła Claire przodem. Wszystkie oczy zwróciły się w jej stronę i rozmowy przy stole ucichły.

– Pani Acklen, jest już panna Lołerent. Prosiła pani, żeby ją przyprowadzić.

Po tym wstępie dziewczyna musiała już wyjść do przodu. Dygnęła i uniosła głowę. Skrzyżowawszy przelotnie spojrzenie z panem Monroem, zaraz wróciła do niego wzrokiem i zatrzymała się. Miał na sobie czarny surdut, świeżo wykrochmaloną białą koszulę oraz fular i wyglądał nad wyraz szykownie. Claire domyśliła się, że on również wychodzi do opery.

Pan Monroe wstał, tak jak i obaj chłopcy siedzący obok niego. Jeden z nich wyglądał wyraźnie na starszego i był uderzająco podobny do mężczyzny, którego portret widziała w holu wejściowym. Claire przesunęła wzrokiem wzdłuż stołu.

Pani Acklen, odziana w przepiękną niebieską suknię, siedziała u szczytu. Widać było po niej pewną nieugiętość, a jej enigmatyczna mina oraz spojrzenie, jakim zmierzyła ją szybko od stóp do głów, mówiły same za siebie. Po jej lewej stronie siedziała dziewczynka o jedwabistych ciemnych włosach przewiązanych zdobną w koraliki wstążką. Miała

ciemne oczy o przenikliwym spojrzeniu. Obok dziewczynki usadzono najmłodszego chłopca, który tkwił na skraju krzesła, jakby gotowy zeskoczyć w każdej chwili. Jego oczy były dokładnie tego samego kształtu i pięknego brązowego koloru co u rodzeństwa.

– Witamy, panno Laurent. – Pani Acklen z uprzejmym uśmiechem zaprosiła gestem Claire na wolne krzesło, akurat na wprost miejsca, gdzie siedział pan Monroe. – Wspaniale, że wreszcie zaszczyciła nas pani swoją obecnością.

Ta subtelna reprymenda nie uszła uwagi Claire i dziewczyna żałowała, iż nie może powiedzieć, że powóz Buntingów przewrócił się po drodze podczas strasznego wypadku i z trudem wygrzebała się z tej masakry, ledwie uchodząc z życiem, stąd jej spóźnienie. Ale oczywiście byłoby to kłamstwem, a prawdziwe powody wydawały się zbyt miałkie.

Stojąc obok wolnego krzesła, dziewczyna spuściła głowę, ciesząc się jedynie, że stół przesłaniał jej zabłocony rąbek sukni.

– Proszę przyjąć najszczersze wyrazy skruchy za moje spóźnienie, pani Acklen – odezwała się Claire. Cisza w pomieszczeniu ciążyła, jakby dodatkowo akcentując brak wystarczającego uzasadnienia, i Claire ugryzła się w język, aby nie powiedzieć czegoś jeszcze, bo zdawała sobie sprawę, że to i tak nic by jej nie pomogło.

– Pani pozwoli, panno Laurent. – Pan Monroe nagle wyrósł za nią i przytrzymał jej krzesło, gdy siadała.

Podniosła na niego wzrok, wyczuwając lekki zapach wawrzynu i przypraw korzennych.

– Dziękuję, panie Monroe.

– Cała przyjemność po mojej stronie – wyszeptał, ale nie skrzyżował z nią spojrzenia. Zaraz też wrócił na swoje miejsce.

Ta sama kobieta, która otworzyła jej drzwi, wróciła z trzema pomocnicami. Wszystkie niosły półmiski i naczynia pełne jedzenia. W ciągu chwili na stole pojawiła się uczta, która sprawiała, że ślinka ciekła. Purée z batatów, tak puszyste i delikatne, poukładane było w idealne kopczyki na ozdobnej paterze z kości słoniowej, a srebrny półmisek wypełniały grube plastry obtoczonego w ziołach pieczonego schabu. Zaraz potem pojawiły się naczynia z fasolą półksiężycowatą w kremowym sosie oraz salaterka ze słodką kukurydzą. Dopiero jednak pieczone jabłka, które wciąż skwierczały od karmelizowanego cukru z cynamonem, wywołały okrzyk zachwytu ze strony córki pani Acklen.

Claire jeszcze nigdy nie widziała równie wystawnego posiłku. Czyżby rodzina Acklenów jadała tak codziennie? Nie potrafiła sobie nawet wyobrazić... Ale najbardziej zachwyciło ją to, co miała w szklance. Ona i wszyscy inni. Aż po same brzegi wypełniał ją lód. Trzaskający i strzelający, kiedy służące nalewały coś, co wyglądało na lemoniadę.

– Czy ma pani ochotę na bułkę, panienko?

– Tak, poproszę. – Claire podniosła wzrok i rozpoznała Evę. W tym momencie poczuła się tak, jakby spotkała przyjaciółkę. – Dziękuję ci, Evo.

Eva skinęła nieznacznie i bardzo poprawnie, dużo poważniej, niż można by się spodziewać po jej wieku.

– Nie ma za co, proszę pani.

Dopiero wtedy Claire zwróciła uwagę na swój talerz. Przepiękna porcelana z ozdobną krawędzią i złotym nazwiskiem Acklen wymalowanym na środku. Dotknęła złoconego brzegu i wcale nie musiała się zastanawiać, czy to złoto było prawdziwe.

Kiedy już wszystkim podano, służące opuściły jadalnię. Została jedynie kobieta, która wprowadziła Claire.

– Czy potrzebuje pani jeszcze czegoś, pani Acklen?

Dama westchnęła z pełnią aprobaty.

– Nic już nie przychodzi mi do głowy, Cordino. Jak zawsze stanęłaś na wysokości zadania.

Cordina – powtórzyła w myślach Claire, tym razem starając się zapamiętać.

– Cieszę się, pani Acklen, ale to nie tylko ja, psze pani. Pełno mam w kuchni pomocnic. – Skłoniła się. – Mam nadzieję, że będzie państwu smakowało.

Gdy Cordina wychodziła, pani domu pochyliła głowę, tak jak i reszta stołowników. Claire poszła za ich przykładem.

– Za wszystkie dary, dobry Boże, które otrzymamy i które już otrzymaliśmy z wielkiej hojności... – W głosie pani Acklen słychać było wyraźną pokorę i szacunek, które zwróciły uwagę Claire.

Unosząc nieznacznie wzrok, zerknęła kątem oka, na wszelki wypadek ostrożnie, gdyby okazało się, że dzieci patrzą. Ale nie patrzyły. Trzymały głowy posłusznie spuszczone i miały zamknięte oczy, tak jak i ona chyba powinna.

Zaryzykowała spojrzenie na przeciwną stronę stołu i wstrzymała oddech. Pan Monroe pochylał głowę, jednak tylko trochę. Obserwował ją. Posłała mu wątły uśmiech, a on jeszcze słabiej odwzajemnił go i szybko spuścił wzrok.

– ...ześlij nam mądrość i roztropność, byśmy umieli dobrze korzystać z dóbr, którymi nas obdarzasz...

Claire zmarszczyła lekko brwi. Sądząc po wczorajszej wymianie zdań z panem Monroem, wydawało się jej, że rozstali się w przyjacielskich stosunkach, ale to, co dziś dostrzegała w jego oczach, trudno było nazwać ciepłym powitaniem.

I nagle coś przyszło jej do głowy... I wcale nie było to pocieszające. Wczoraj zaczął mówić, akurat gdy miała wychodzić, jednakże im przerwano. Była wtedy tak zaabsorbowana, że nawet o tym nie pomyślała... aż do teraz. Wspomniał, że zgłosiło się wiele kandydatek, więc nie powinna...

Przejmować się? Claire zamrugała szybko. Czy to właśnie chciał jej powiedzieć? Że nie powinna się przejmować tym... że nie dostała tej pracy. Zakładał, że pani Acklen ją odprawiła.

– ...i daj, byśmy nigdy nie zapominali o tych, którzy nie mają tyle szczęścia...

Claire wbiła wzrok w parę unoszącą się ponad jedzeniem. Domyślała się, że pani Acklen szczególnie polegała na prawnej pomocy pana Monroego, ale wyczuwała tu również jakiś osobisty związek. Zatem jego dobra opinia była równie ważna, by okres jej zatrudnienia został wydłużony.

– Przez Chrystusa, Pana naszego...

Claire szybko ponownie schyliła głowę i zamknęła oczy.

– ...amen.

– Amen – powtórzyła ze wszystkimi, starając się, żeby nie spojrzeć w kierunku pana Monroego.

Z widelcem w dłoni pani Acklen skinęła głową po królewsku i rozpoczęto kolację.

– Dzieci, chciałabym wam przedstawić pannę Claire Laurent. Mówiłam wam już o niej trochę. Będzie pracowała ze mną w ciągu najbliższych kilku dni, by zaplanować przyjęcie urodzinowe Williama.

Claire uśmiechnęła się do chłopca, który siedział obok pana Monroego, przekonana, że to właśnie musiał być William.

– Może pamiętacie, że panna Laurent urodziła się w Paryżu – kontynuowała pani Acklen.

Jej córka przechyliła się do przodu i popatrzyła na drugą stronę stołu.

– My dopiero co stamtąd wróciliśmy! – Wydęła dolną wargę. – Tam jest tak ładnie!

Claire znów się uśmiechnęła.

– To prawda. Ale tu też jest pięknie.

Mały chłopczyk obok niej przysunął się bliżej.

– A mama zna cesarza Francji. Czy ty też go znasz?

– Niestety, nie miałam przyjemności go poznać. – Claire sączyła lemoniadę, delektując się chłodnym płynem miło spływającym po jej gardle i ciesząc się, że uwaga chłopca szybko przekierowała się na wyraźną miłość do batatów.

– Panno Laurent, pani pozwoli, że przedstawię swoje dzieci. – Pani Acklen spojrzała na starszego chłopca siedzącego po jej prawej stronie. – To mój najstarszy syn, Joseph. Ma szesnaście lat i niedługo wraca do szkoły. Spędzi więc z nami jeszcze tylko ten weekend.

Joseph był przystojnym młodzieńcem, obdarzonym bujnymi brązowymi włosami, i bez wątpienia był synem mężczyzny z portretu.

– William to nasz solenizant. Skończył jedenaście lat, gdy byliśmy w Nowym Jorku zaraz po powrocie z Europy. Obiecałam mu, że urządzimy dla niego prawdziwe przyjęcie już tu na miejscu. – Pani Acklen uśmiechnęła się promiennie. – A obok pani, panno Laurent, siedzi Claude, który ma dziewięć lat. Jest bardzo inteligentny i kochany jednocześnie, więc musi się pani mieć na baczności. A to... – Poklepała córeczkę po ramieniu. – To Pauline, która ma sześć... ale zachowuje się na dwanaście. – Uśmiechnęła się. – Te dzieci to mój największy skarb.

Claire rozejrzała się dookoła stołu.

– Nic dziwnego. Bardzo miło mi was wszystkich poznać.

Joseph kiwnął głową prawie identycznie, jak to czyniła jego matka, a William ledwie na nią spojrzał. Tylko Claude i Pauline uśmiechnęli się do niej miło.

Claire odwzajemniła to i skierowała kolejne pytanie do najmłodszych.

– Lubicie chodzić do szkoły? Spotykać się z przyjaciółmi?

Ale w nagrodę otrzymała tylko milczenie, a Claude i Pauline patrzyli na swoją mamę.

– W zasadzie, panno Laurent, prywatna guwernantka dzieci wraca do Belmont dopiero za dwa tygodnie. – Ton pani Acklen – choć pełen wytworności – niósł w sobie napomnienie i Claire skinęła tylko głową, a Claude i Pauline wydali okrzyk zachwytu. Pani Adelicia uciszyła ich jednym gestem dłoni. – Panna Heloise Cenas towarzyszy nam już od wielu lat. Jest niezrównana, jeśli chodzi o edukację dzieci. Nie wiem, co byśmy bez niej zrobili.

Claire miała już na końcu języka: „To bardzo miło”, jednakże stwierdziła, że ograniczenie się do prostego przytaknięcia i skupienie na swoim posiłku będzie bezpieczniejsze.

Minęło trochę czasu i pokój wypełniał jedynie dźwięk srebrnych sztućców pobrzękujących na delikatnej porcelanie.

– Z pewnością, panno Laurent – podjęła pani Acklen – obmyśla już pani wspaniałe plany na przyjęcie urodzinowe Williama.

Słysząc w tym stwierdzeniu pytanie, Claire w pośpiechu przełknęła kęs fasoli i popiła łykiem zimnej lemoniady, która pomogła ostudzić jej myśli.

– Tak, proszę pani. – Uśmiechnęła się znów do Williama, lecz on wciąż tego nie odwzajemniał, więc Claire zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem szczegóły nie miały być dla niego niespodzianką. – Zamierzałam najpierw omówić je z panią... na osobności.

Pani Acklen pokręciła głową.

– Wydaje mi się, że William byłby ciekawy tego, co pani zaplanowała. – Zerknęła na syna, którego wyraz twarzy świadczył teraz o znacznie większym zainteresowaniu niż chwilę wcześniej. – Zatem... proszę nam wszystkim powiedzieć, panno Laurent. O czym pani obecnie myśli?

Claire odłożyła widelec z boku talerza, spoglądając ukradkiem na swoje purée z batatów. Otarła usta serwetką i zaczęła:

– A więc... – Czuła coraz większą ekscytację, gdy wyobraziła sobie tę scenę. – Jedenaste urodziny to wyjątkowy czas w życiu dziecka i...

Rzuciła okiem na Williama, którego twarz nagle przybrała wyraz obojętności.

– I... – Próbując rozpaczliwie zebrać myśli, zaczęła się zastanawiać, co takiego powiedziała, że wywołała taką reakcję chłopca. – Pomyślałam, że moglibyśmy zaprosić jego przyjaciół, zapewne bardzo licznych.

Wrażenie braku zainteresowania ze strony chłopca przerodziło się teraz w jawne znudzenie.

Claire stwierdziła, że pominie przygotowany wstęp i przejdzie od razu do najlepszej części.

– Dzisiaj rano rozglądnęłam się po mieście i znalazłam cudowny sklep z marionetkami. Pomyślałam, że moglibyśmy...

– Tylko nie znowu marionetki! – westchnął Claude. – Oglądaliśmy je w Europie. Cały czas, w kółko...

Pauline wyprostowała się.

– A ja lubię marionetki! Zwłaszcza jak jedna bije drugą! – Stuknęła widelcem o łyżkę. Ale tylko raz, bo matka zmitygowała ją jednym spojrzeniem.

– Marionetki są dla dzieci – orzekł William, wzdychając i przewracając oczami. – A ja już nie jestem dzieckiem.

– Dobrze, dobrze... – Pani Acklen uniosła brodę. – Proszę, zachowaj te komentarze dla siebie i pozwól pannie Laurent skończyć. Jestem pewna, że ma jeszcze inne pomysły.

Choć wiedziała, że nie powinna, Claire zerknęła ponad stołem i spostrzegła, że pan Monroe siedział ze wzrokiem wbitym w talerz, co tylko pogrążyło ją w jeszcze większym skrępowaniu.

– Oczywiście, proszę pani... Mam inne pomysły – powiedziała. Wzięła wdech, starając się, by ten wymuszony entuzjazm brzmiał jak najbardziej autentycznie, i licząc, że pani Acklen nie uzna jej kolejnej propozycji za zbyt pobłażliwą. – Musiałabym jeszcze, oczywiście, zgłębić to od strony technicznej, ale wyobraźcie sobie, jak wspaniale byłoby odbyć lot balonem napełnionym ciepłym powietrzem! – Przerwała na chwilę, by tak wypuszczony pomysł pochwycił i uniósł jej słuchaczy. – Moglibyśmy wynająć baloniarza, żeby wziął dzie... – Ugryzła się w język. – ...żeby zabrał Williama i jego przyjaciół w podniebną podróż. Balon byłby, oczywiście, przywiązany, tak by wszystko odbyło się bezpiecznie. Ograniczylibyśmy w ten sposób ryzyko urazów albo nieszczęśliwego wypadku.

Claire trudno było stwierdzić, z jakim przyjęciem spotkał się ten pomysł, więc ciągnęła dalej:

– Widziałam już wcześniej takie balony. Raz – przyznała. – To dość piękny widok, a takie doświadczenie wydaje się niezapomniane.

Mina pani Acklen i jej synów przywodziły na myśl zadowolenie. Mała Pauline z wielkimi z radości oczami zdawała się być na granicy podekscytowania, ale również nic nie mówiła. Dopiero wyraz twarzy Suttona Monroego – ten błysk współczucia, choć bardzo ulotny – tłumaczył wszystko.

Claire odchrząknęła. Spłoniła się z zażenowania.

– Rozumiem, że tego państwo też już próbowali...

– W Paryżu – odparł William z nutą triumfu. – Lataliśmy balonem nad miastem. Bez przywiązywania.

– Jakkolwiek... – Pani Acklen rzuciła ostre spojrzenie w kierunku średniego syna, a potem zwróciła wzrok znowu na asystentkę. – Pani opis tego doświadczenia jest bardzo właściwy, panno Laurent. To była rzeczywiście niezapomniana część naszej podróży.

Claire potrafiła się w tej sytuacji zdobyć jedynie na proste skinienie głową.

– Cóż... – Pani Acklen zadzwoniła srebrnym dzwonkiem stojącym obok jej nakrycia. – Myślę, że na teraz wystarczy tych rozmów o przyjęciu.

Claire skłoniła głowę, a reszta podjęła normalną rodzinną konwersację. Wyczuła uważne spojrzenie ze strony pana Monroego, ale nie odważyła się podnieść wzroku ponad stół. Ostatnią rzeczą, jakiej mogła pragnąć, była jego litość.

Słysząc kroki w korytarzu, spojrzała szybko na talerze pozostałych osób. Wszystkie były puste. Tylko jej niedojedzony w połowie. Chociaż poniosła sromotną porażkę w kwestii oczarowania ich swoimi pomysłami, nie straciła apetytu, ale nie śmiała prosić o więcej czasu na dokończenie.

Zamiast obiadu przyniesiono jej talerzyk z deserem i Claire rozmazanym wzrokiem wpatrywała się w swoją porcję *petits fours glacés* [29]. Jej matka zawsze uwielbiała te drobne lukrowane ciasteczka. Claire zacisnęła zęby aż do bólu, nie chcąc się poddać prawdzie, która powoli przeszywała jej serce. Wiedziała, że tu nie pasowała. Do tego domu, do tego stanowiska, do tego urojonego świata.

I co gorsza – przesunęła wzrokiem na miejsce naprzeciwko siebie – Sutton Monroe również doskonale o tym wiedział.

14

Czy mógłbym z panią pomówić, panno Laurent? – Po tym, jak unikała jego wzroku podczas deseru oraz jak szybko opuściła jadalnię, Sutton miał pewność, że rozmowa z nim była ostatnią rzeczą, jakiej mogła pragnąć. I wcale jej się nie dziwił. Nie po tym, co przeszła.

Rozumiał, że pragnęła teraz jak najszybciej się wycofać i że musiała być bardzo skrępowana, ale chciał jej odpowiednio pogratulować zdobycia tej pracy, niezależnie od tego, jak obecnie na to patrzyła. I co równie ważne, chciał położyć podwaliny dla ich współpracy, jakkolwiek krótka by ona nie miała być.

Zatrzymała się koło schodów i odwróciwszy w jego stronę, przybrała na twarz uśmiech oraz poprawiła nerwowo suknię.

– Tak, panie Monroe, oczywiście, ale nie chciałabym, żeby przez tę rozmowę ze mną spóźnił się pan do opery.

Sądząc po nieznacznym drgnięciu widocznym na jej twarzy, Sutton domyślił się, że stara się, by w jej głosie nie dało się słyszeć przykrości, której doświadczała, jednak on i tak to zauważył i wyczuwał jej ból.

– Jest jeszcze trochę czasu do wyjścia. I obiecuję, że zajmę pani tylko chwilę. – Uśmiechnął się, licząc, że to ją uspokoi, ale drobne linie koło jej oczu napięły się tylko jeszcze mocniej. – Proszę pozwolić, że przekażę pani oficjalne wyrazy powitania w Belmont, panno Laurent, wraz z gratulacjami w związku z tym, że została wybrana pani na to stanowisko. Jeśli tylko mógłbym jakoś pani pomóc, polecam się do usług.

– To bardzo miło z pańskiej strony, panie Monroe. Doceniam pański gest.

Sutton przyglądał się jej uważnie, zastanawiając się, czy zdawała sobie sprawę, jak kiepsko jej idzie kłamanie. Nie chodziło bynajmniej o to, że jej słowa były kłamstwem *per se* [30], ale z pewnością nie mówiła teraz tego, co miała na myśli. Adelicia miała rację. Rzeczywiście trzeba będzie nad nią popracować.

Nie spiesząc się, bez słowa sprawdził godzinę na zegarku kieszonkowym. Jeśli mieli razem pracować – co pani Acklen wyraźnie dała mu do zrozumienia, przynajmniej przez ten najbliższy czas – musieli sobie co nieco wyjaśnić, ale wielki salon nie był najlepszym miejscem do takiej rozmowy.

Zerknął w stronę, gdzie Adelicia życzyła właśnie dzieciom dobrej nocy, a potem z powrotem na pannę Laurent.

– Ogrody są szczególnie piękne o tej porze. Może zechciałaby je pani ze mną obejrzeć, panno Laurent?

– To wyjątkowo miła propozycja, panie Monroe. Jednakże nie chciałabym opóźniać pana w pańskich planach. I wciąż jeszcze ktoś musi pokazać mi mój...

– Panno Laurent... – Wyglądało na to, że trzeba się z nią obchodzić stanowczo. – Proszę o możliwość porozmawiania z panią na osobności. Wolałbym zrobić to teraz, jeżeli byłaby pani tak uprzejma. W przeciwnym razie możemy się spotkać rano po śniadaniu.

Na jej pięknej twarzy zaczęły się kłębić emocje – strach, przerażenie, a w końcu rezygnacja. Zmarszczywszy brwi, skinęła głową, aż jej kasztanowe loki podskoczyły. Wskazał gestem, żeby poszła przed nim, i uśmiechnął się za jej plecami.

Adelicia zwróciła na niego uwagę i kiwnęła nieznacznie głową. Odpowiedział tym samym. Chociaż nie kazała mu wyraźnie odbyć tej rozmowy z panną Laurent, wiedział, że to należało do jego powinności. Dla pani Acklen to był znak, że spełnia jej polecenie, by mieć tę młodą damę na oku.

Powietrze na zewnątrz było chłodniejsze i Sutton cieszył się lekkim wiaterkiem. Deszcz już przestał padać, pozostawiając po sobie głębsze odcienie zieleni i woal wilgoci, który spowijał każdą powierzchnię. Wziął wdech i czując zapach niezliczonych róż z ogrodów Adelicii, z ulgą stwierdził, że najcięższe dni tego lata już minęły.

Kiedy schodzili po schodach, podał pannie Laurent ramię. Wsunęła swoją dłoń, ale gdy tylko jej drobna stopa zeszła z ostatniego stopnia, szybko cofnęła rękę. Uśmiechnął się ponownie. Kiepsko jej szło udawanie, nie umiała mówić, co myśli, jednak dało się u niej wyczuć jakąś niezależność. Ciekawe połączenie.

Szli spacerem w stronę głównej fontanny i zanim dotarli do pierwszego ogrodu, przerwał ciszę.

– Cieszę się, że znalazła pani czas, żeby ze mną porozmawiać, panno Laurent. I zastanawiam się... – Spojrzał na nią. – ...czy może chciałaby pani zacząć, czy ja mam to zrobić?

Zwolniła kroku.

– Co ma pan na myśli?

– Chodzi mi o to, że oboje chcemy sobie coś powiedzieć. Ja mogę zacząć, jeśli pani chce, ale może też pani mówić pierwsza.

Zatrzymała się.

– Obawiam się, że źle mnie pan ocenił, panie Monroe. Ja... nie mam nic pilnego, co chciałabym panu powiedzieć.

– Jest pani pewna?

Zamrugała, jakby z niedowierzaniem.

– Raczej tak.

– Dobrze w takim razie. – Wskazał dłonią w stronę altany, spodziewając się, że może będzie chciała usiąść, ale ona zaprzeczyła ruchem głowy. Zatem szli dalej. – Po pierwsze, jeśli mi wolno, chciałbym oświadczyć, że według mojej oceny podczas kolacji poradziła sobie pani z wielkim wdziękiem i godnością.

Zerknęła na niego.

– Wolno panu, panie Monroe. Dziękuję. Jednakże... nie sądzę, że po to właśnie pan mnie tu ściągał.

Pozwolił sobie na jawny uśmiech, doceniając jej szczerość. To już pewne osiągnięcie.

– Ma pani rację, nie po to. Główną rzeczą, którą chciałem pani powiedzieć, panno Laurent... – Bardzo pragnął wyrażać się z taką wytworną szczerością, jaką zawsze podziwiał u swego ojca. – To fakt, że chociaż nie popierałem decyzji pani Acklen o zatrudnieniu pani na stanowisko asystentki, szanuję jej wybór. I moje wcześniejsze zapewnienie o chęci pomocy pani na wszelki możliwy sposób było jak najbardziej szczere.

Kiedy dotarli do miejsca, gdzie alejka skręcała, zerknął za siebie w stronę domu, by sprawdzić, czy aby nie oczekiwała już na niego karoca. Zadrżał na samą myśl o zbliżającym się wieczorze. Po wyjeździe do Europy miał już do końca życia dość opery, tak jak i całej towarzyskiej otoczki takich wydarzeń.

Szli w milczeniu, aż panna Laurent stanęła przy jednej z licznych rzeźb, które Adelicia gromadziła na przestrzeni wielu lat.

– Dlaczego nie chciał pan, bym została przyjęta na to stanowisko? – zapytała cichym głosem, całą uwagę skupiając na wypolerowanym

marmurze, który przedstawiał młodą kobietę przycinającą winnicę koło altany.

Przyglądając się jej bacznie z profilu, Sutton zastanawiał się, jak miał ubrać w słowa tę odpowiedź, by jej nie urazić. Ale też nie wprowadzić w błąd. A już na pewno nie chciał zdradzać, jakim zaufaniem darzyła go pani Acklen.

– Gdyż nie wydawało mi się, panno Laurent, żeby w ogóle można było panią zaliczyć do najlepiej wykwalifikowanych kandydatek. Przykro mi...

Wpatrywała się w niego, a następnie kiwnęła głową – powoli, jakby stopniowo przyjmowała to, co do niej powiedział. Szli dalej alejką, a gdy dotarli do rozwidlenia, Sutton wybrał odnogę prowadzącą z powrotem w kierunku rezydencji.

– Na jakim stanowisku pracuje pan w Belmont? – zapytała po chwili.

– Jestem plenipotentem pani Acklen. Pomagam również zarządzać jej finansami, co, między innymi, oznacza, że chronię ją oraz jej dobra przed ludźmi, którzy próbują ją wykorzystać. – Starał się ocenić jej reakcję, może wychwycić ślad wyrzutów sumienia albo coś, co wskazywałoby na zakłopotanie.

Dostrzegł obie te rzeczy – tuż przed tym, zanim uciekła wzrokiem.

Kiedy zbliżyli się do głównej fontanny, zauważył w oddali karocę zmierzającą podjazdem w ich stronę.

– Możemy? – Podał jej ramię i weszli po schodach do portyku. Już w wejściowym holu usłyszał dobiegające z pokoju obok głosy Adelicii i pani Routh. – Czy pani Routh pokazała już, gdzie będzie pani mieszkała?

– Jeszcze nie.

– W takim razie pani pozwoli. Tędy. – Poprowadził ją przez wielki salon w kierunku północno-wschodniego skrzydła.

– Może niektórzy by się ze mną nie zgodzili, gdyż okna pani pokoju nie wychodzą na ogrody, ale uważam, że ma pani najpiękniejszy widok, jaki można mieć w Belmont. – Otworzył drzwi do sypialni, wciąż starając się rozgryźć, co miał znaczyć ten pełen poczucia winy wyraz, który jeszcze przed chwilą widział na jej twarzy, wobec tej pozornej niewinności. – Wiem o tym najlepiej, bo sam mieszkałem tu na początku.

– Nie mieszka pan już w Belmont?

– Mieszkam, ale w innym budynku. W galerii sztuki znajdują się pokoje dla gości. Zajmuję jeden z nich.

Dostrzegł jakiś błysk w jej spojrzeniu.

– W Belmont jest galeria sztuki?

Potwierdził ruchem głowy, czując się, jakby patrzył na rezydencję po raz pierwszy, tym razem jej oczami.

– Proszę wejść i zobaczyć. – Odciągnął na bok zasłony, odsłaniając widok na bujne łąki pokrywające w większości sto osiemdziesiąt akrów, otaczających posiadłość. Teren, który on i Truxton znali na pamięć.

Dziewczyna podeszła bliżej okna.

– Jak z obrazu... – wyszeptała. – Te wszystkie kolory...

– A może być jeszcze piękniej. – Wskazał na linię drzew w oddali. – To są klony. Za kilka tygodni to całe zbocze stanie w ogniu jesieni.

Westchnęła, a jej oddech odbił się parą na szybie.

– Jesień to była ulubiona pora roku mojej matki... I moja też.

Sutton przyglądał się jej z boku, przypominając sobie o stracie, która ją ostatnio dotknęła.

– Przykro mi z powodu śmierci pani rodziców, panno Laurent.

– Dziękuję, pani Monroe. – Dopiero po chwili spojrzała znowu na niego. Na jej policzkach było widać ślady niemych łez.

Choć wiedział, że powinien już iść, zauważył, że wcale nie ma ochoty. Nie mógł się pogodzić z tym, że musi ją zostawić w tak melancholijnym nastroju.

– Czy jest coś, co mógłbym dla pani uczynić, panno Laurent? Kiedy pomyślę, że wyjdę...

Otarła policzek.

– W zasadzie tak. Może mnie pan przestać tytułować panną Laurent. To dosyć uciążliwe, nie wydaje się panu?

Uśmiechnął się.

– Jeśli zatem pani pozwoli, czy mógłbym zwracać się do pani po imieniu w mniej formalnych sytuacjach?

– Tak, może pan. – Podniosła wzrok. – Ale tylko wtedy, gdy ja będę mogła się do pana zwracać Willister.

Sutton uświadomił sobie, że dał się złapać w jej pułapkę.

– Może pani, jeżeli tylko będzie pani chciała, żebym nie odpowiadał. – Ruszył do drzwi. – Jestem przekonany, że wkrótce się tu zjawi pani Routh gotowa na wszelkie pytania. – Skłonił się jej krótko. – Dobrej nocy, Claire.

Dygnęła w odpowiedzi.

– Dobrej nocy... Willisterze.

Dopiero po trzecim akcie, kiedy kurtyna opadła, Sutton uświadomił sobie, jaki błąd popełnił tego samego wieczoru, a dodatkowo rozdrażniony wysokim vibratem głównego sopranu, szarpał nerwowo za kołnierzyk. Starając się być szczerym z Claire, najprawdopodobniej wbił tylko klin pomiędzy nich i tym samym udaremnił zobowiązanie, jakie złożył pani Acklen, by mieć jej asystentkę na oku.

Sam przyznał przed tą dziewczyną, że nie uważa jej za wykwalifikowaną na to stanowisko. Przez to ona nawet nie będzie szukać u niego rady, bo to tylko dowodziłoby, że ma rację. Zatem zamiast budować

ich współpracę, która przyczyniłaby się do osiągnięcia celu postawionego przez jego mocodawczynię, w zasadzie *bona fide* [31] dał Claire powód, by się mu nie zwierzała. Ani nie ufała.

Siedząc za panią Acklen w drugim rzędzie jej prywatnej loży, wpatrywał się z góry w tłum śmietanki towarzyskiej Nashville. Choć nie znosił imienia Willister, tym razem wyraźnie na nie zasłużył.

15

Przyznaję, że nie są to zupełnie nieatrakcyjne propozycje na przyjęcie, panno Laurent, jednakże liczyłam raczej na trochę więcej... pomysłowości z pani strony. To musi być wydarzenie, które William i jego przyjaciele zapamiętają na długo, o którym ich rodzice będą mówić, a nie jakieś świętowanie skupione wokół...

Claire siedząca po drugiej stronie biurka w bibliotece aż się wzdrygnęła, kiedy Adelicia sięgnęła po leżącą na blacie listę pomysłów, które ona spisywała do późna. Skończyła dobrze po północy, akurat wtedy, gdy pani Acklen i Sutton wrócili z opery.

– ...klaunów, wyścigów w workach, gry w krokieta, toczenia koła, skakankach oraz... – Kobieta zerknęła na nią sponad okularów do czytania. – Osłów?

Na twarzy pani Acklen odmalował się wyraz dezaprobaty i zmęczenia, tak że Claire spuściła wzrok.

Westchnąwszy, pani Adelicia przesunęła kartkę z powrotem w jej stronę.

– Zakładam, panno Laurent, iż wie pani, że na terenie tej posiadłości jest zoo. Zatem proszę mnie poprawić, jeśli się mylę, ale nie potrafię zrozumieć, w jaki sposób zabawa z osłami – a tym bardziej zrobionymi z papieru – miałaby urzec czterdzieścioro siedmioro dzieci.

W krótkiej chwili czystego obłędu Claire przyszło do głowy, by poprawić swoją pracodawczynię, że to nie są dzieci – ponieważ William też tam będzie – jednak szybko oprzytomniała.

– Tak, proszę pani. Zdaję sobie sprawę z istnienia tutaj zoo. Ale te osły to tak naprawdę *piñatas.* Piniata to figurka zrobiona z *papier mâché* [32], wypełniona...

– Wiem, czym jest piniata, panno Laurent! Chcę po prostu pani powiedzieć, że żaden z tych pomysłów mnie nie przekonuje. I jestem pewna, że nie przekona także Williama. – Pani Acklen zdjęła okulary i zaczęła rozmasowywać nasadę nosa. – Dziewięć dni, panno Laurent. Dziewięć dni... Tylko tyle zostało do przyjęcia. – Roześmiała się z udręką. – A my nie mamy nawet wybranego menu. Ale oczywiście nie możemy tego zrobić, zanim nie zdecydujemy, jaki będzie motyw przewodni.

Jakaś część Claire chciała delikatnie przypomnieć tej kobiecie, że planowały jedynie przyjęcie urodzinowe dziecka, nie towarzyskie wydarzenie roku w Nashville. Zaraz jednak sobie przypomniała, że to „przyjęcie urodzinowe dziecka” miało decydujące znaczenie dla jej zatrudnienia. Musiało jej się to udać.

– Przepraszam, pani Acklen. – Claire podniosła się, gotowa wrócić do swojego zadania. – Jeśli nie ma pani nic przeciwko, pójdę już i przygotuję nowe pomysły.

– Ciekawsze tym razem, proszę, panno Laurent. A co z upominkami dla gości? Czy ma już pani jakieś pomysły?

– Upominki dla gości?

Pani Acklen zamrugała kilka razy i zamknęła oczy. Po chwili otworzyła je i odparła:

– Tak, upominki dla gości, panno Laurent. Taki drobny wyraz uznania dla zaproszonych, by podziękować im za ich obecność.

Claire poczuła ciepło oblewające całą jej twarz.

– Tak, oczywiście, proszę pani. Dziś przed południem zamierzam udać się do miasta. W zasadzie właśnie teraz miałam to zrobić. Postaram się

również o propozycje upominków.

– Czy zamówiła już pani karetę?

Z dłonią na gałce drzwiowej Claire pokręciła głową.

– Nie, proszę pani. Myślałam, że mogę się przejść. Jest tak miło na zewnątrz i z przyjemnością...

– Proszę wziąć jedną z karet. – Pani Acklen popatrzyła znad biurka. – Rąbek pani sukni i tak już jest cały pokryty kurzem. Nawet nie chcę sobie wyobrażać, jak by wyglądał, gdyby nim pani przeciągnęła po ulicach Nashville całkiem mokrych od wczorajszego deszczu.

Claire spojrzała w dół. Spędziła pół godziny, czyszcząc dolną część spódnicy, bo jej druga suknia wciąż jeszcze była poplamiona błotem.

– Dobrze, proszę pani.

– I czy mam sądzić, panno Laurent, po braku pani sukni żałobnej, iż pani kufry nadal nie zostały przywiezione? – zapytała teraz nieco łagodniejszym tonem.

Claire przebierała w palcach materiał.

– Zgadza się, proszę pani, nie zostały. Kiedy będę w mieście, zatrzymam się przy stacji i jeszcze raz sprawdzę.

– Dobrze, proszę tak zrobić. I proszę przekazać bagażowemu, żeby je tutaj przysłano. Nie ma potrzeby odbywać wciąż niepotrzebnych wycieczek, skoro jest tyle pracy. W zasadzie mam parę znajomości w Nowym Orleanie. Możemy wysłać telegram z prośbą, by sprawdzono, gdzie są pani rzeczy i...

– Nie, proszę pani – odparła pospiesznie Claire, a przerażenie zaciskało się szponami na jej szyi. Ostatnią rzeczą, jakiej mogła pragnąć, było to, by jakiś znajomy pani Acklen odwiedzał galerię, gdzie mieszkała. – To znaczy... chciałam powiedzieć, że nie ma takiej potrzeby. Jestem pewna, że kufry wkrótce dotrą.

Pani Adelicia spojrzała na nią stanowczo.

– Jeśli pani kufry nie dojadą dzisiaj... trzeba będzie zrobić coś innego – rzekła.

– Coś innego?

– Tak, panno Laurent. – Pani Acklen wygładziła przód swojej perfekcyjnie wyprasowanej pastelowej sukni. – Jutro wieczorem będziemy mieć na kolacji gości i potrzebuje pani odpowiedniego *ensemble* [33] na tę okazję. A także stosownej sukni żałobnej.

Claire zacisnęła mocniej dłoń na gałce, zbierając w sobie całą odwagę.

– Rozumiem, jednakże w tym momencie nie mam wystarczających środków i kupno nawet jednej sukni...

– Och, tak, pamiętam, mówiła pani o tym. Proszę się nie martwić. Potrącę koszt sukni z pani wynagrodzenia. – Chwyciwszy pióro wieczne, pani Acklen napisała coś na papierze listowym, a następnie podała jej. – Proszę odwiedzić ten sklep i zapytać o panią Perry. Ona pani pomoże.

Claire ujęła delikatną kartkę z papieru lnianego i wpatrując się w nazwę sklepu oraz adres, zastanawiała się, dlaczego ta nazwa ulicy wydawała jej się znajoma. Zacisnęła mocniej palce, gdy to do niej dotarło.

– Czy ma pani jakieś pytania dotyczące tego, co zapisałam, panno Laurent?

Dziewczyna podniosła wzrok.

– Nie, proszę pani. Nie mam pytań. Dziękuję. – Otworzyła już drzwi, żeby wyjść, o niczym innym tak bardzo nie marząc jak o tym, by je za sobą jak najszybciej zamknąć.

– Panno Laurent?

Skrywając przerażenie, Claire zwróciła się z powrotem twarzą w stronę pani Acklen.

– Słucham panią?

– Nie trzeba przepraszać, jeśli się nie zrobiło nic złego. Pomyliła się pani, sądząc, że pani pomysły na przyjęcie były warte uwagi, jednakże nie popełniła pani żadnego przestępstwa. Wyraz skruchy za wykroczenia a przyznanie się do błędu to dwie całkiem różne odpowiedzi na zupełnie różne okoliczności.

Claire utkwiła wzrok w mówiącej i czekając, zastanawiała się, czy jej pracodawczyni już skończyła.

– Dobrze, proszę pani. Rozumiem. Prze... – Ugryzła się w język. – Przepełnia mnie wdzięczność za to, że zwróciła mi pani na to uwagę. Dziękuję. – Czując, że pot się z niej leje pod halką, Claire jednocześnie odniosła wrażenie, że dostrzegła radosny błysk w oku pani Acklen. Kiedy zamykała za sobą drzwi, spojrzała jeszcze raz, by się upewnić, ale tym razem doszła do wniosku, że najwyraźniej tylko sobie to wyobraziła.

Zamek zaskoczył na swoje miejsce, a Claire oparła się o framugę w wejściowym holu i westchnęła.

– Aż tak źle?

Zerwała się natychmiast. Pan Monroe – a raczej teraz już Sutton – stał w przejściu prowadzącym do wielkiego salonu.

Pozbierawszy szybko myśli, potrząsnęła przecząco głową.

– Nie, wszystko w porządku.

Od razu przypomniało jej się jego wczorajsze wyznanie. Choć podejrzewała, co on może myśleć na jej temat, zabolało ją, kiedy powiedział wprost, że nie uważa jej za wykwalifikowaną na to stanowisko. Starając się sprawiać wrażenie pewnej siebie, uśmiechnęła się na siłę.

– Jestem po prostu trochę zmęczona, bo późno poszłam spać. I czeka mnie pracowity dzień. Zatem, jeśli wybaczysz... – Ruszyła w kierunku swojej sypialni, sama nie wiedząc po co. Chyba tylko po to, żeby wyglądać na osobę, która wie, co robi.

Podążył za nią.

– A czym będzie wypełniony ten pracowity dzień... Claire?

– Wyjazdem do miasta... Suttonie.

– Czy zamówiłaś już karetę?

Zatrzymała się w pół kroku.

– Właśnie to miałam teraz uczynić.

– Doskonale w takim razie.

Widząc jego coraz większe rozbawienie, zrobiła krok i rozejrzała się wokół siebie, zastanawiając się, gdzie iść i kogo poprosić o rzeczony środek lokomocji. Wczoraj wieczorem pani Routh oprowadziła ją pospiesznie po parterze rezydencji, ale reszta domu pozostała jedynie w zakresie jej wyobraźni, gdyż ochmistrzyni stwierdziła tylko chłodno, że: „prywatne pokoje rodziny znajdują się na piętrze”. Co też Claire zrozumiała jako przestrogę, by nie wchodzić na górę.

Sutton odchrząknął.

– Eli na pewno z przyjemnością pośle po karetę. – Machnął dłonią w kierunku drzwi. – Jest z przodu.

Claire przytaknęła ruchem głowy.

– Oczywiście.

Powinna była wiedzieć. Skierowała się w stronę holu wejściowego.

Sutton poszedł za nią.

– Poproś o Armsteada, to stangret pani Acklen. Chętnie też dotrzymam ci towarzystwa, jeśli tylko zechcesz.

– Nie – odparła szybko. Może trochę zbyt szybko, co uświadomiła sobie po fakcie. – Dziękuję, Suttonie, jednak... podejrzewam, że twój dzień również jest wypełniony, a ja mam kilka różnych spraw do załatwienia. – W tym jedną, co do której wciąż zastanawiała się, czy będzie to mądre, ale wiedziała na pewno, że nie mogłaby tego zrobić w jego towarzystwie.

– Rozumiem. – Pokazał gestem, by weszła przed nim do holu. – Czy wybrałaś już motyw przewodni przyjęcia?

Rzuciła mu takie spojrzenie, że tylko uniósł dłonie w geście poddania się.

– Ja tylko pytałem.

– Nadal nad tym pracuję. Ale jestem już coraz bliżej.

To nie do końca było kłamstwo. Chociaż wciąż nie miała pojęcia, co zrobić, była coraz bliżej prostą drogą eliminacji. Jakaś łączna liczba wszystkich możliwych pomysłów na przyjęcia urodzinowe dzieci, kurczyła się w zastraszającym tempie z tego powodu, że po prostu nie podobały się Adelicii Acklen. Zatem tym samym Claire była coraz bliżej.

Drzwi do biblioteki się otworzyły i ze środka wyszła pani domu. – Och, pan Monroe. Cieszę się, że pana tu zastałam. Właśnie otworzyłam telegram... – Pani Acklen podniosła kartkę. – Myślę, że uzna go pan za wyjątkowo obiecujący. – Skinąwszy głową również na Claire i teraz widać było w jej oczach jakiś wyraźny błysk. – Panie LeVert wyjeżdżają wkrótce z Nowego Jorku i zapytały, czy mogą zatrzymać się po drodze w Belmont. Zjawią się tu w pierwszym tygodniu października.

– Październik... To tylko trzy tygodnie. – Głos Suttona się nagle zmienił. – To wspaniałe nowiny!

Claire zerknęła w bok. Nie znała Monroego szczególnie dobrze, ale wystarczająco, by wiedzieć, że wcale nie uważał tego za coś wspaniałego.

Pani Acklen złożyła telegram.

– Panno Laurent, panie LeVert to wyśmienita rodzina, z którą podróżowaliśmy po Europie. Madame LeVert jest moją drogą przyjaciółką i pisała, że jej córki również będą jej towarzyszyć. – Poklepawszy krótko Monroego po ręce, dorzuciła: – Chyba muszę poprosić Cordinę, żeby przygotowała taką zupę cebulową, którą dzieliliście się z Carą Nettą

któregoś wieczoru. Pamięta pan? W tej restauracji nieopodal Luwru. Znów będzie tak jak w Paryżu.

Sutton przytaknął, odwzajemniając jej uśmiech, ale to wydawało się jakieś sztuczne. Właściwie sprawiał wrażenie raczej skrępowanego wizytą pań LeVert.

Jedyne, co zastanawiało Claire, to pytanie, kim była Cara Netta.

Niechętnie musiała przyznać, że pani Acklen miała rację. Gdyby spróbowała dostać się do miasta na piechotę, to byłaby katastrofa. Drogi przedstawiały tragiczny widok mieszaniny błota i łajna. Samo przejście przez ulicę bez pośliźnięcia się albo wdepnięcia w coś obrzydliwego stanowiło nie lada osiągnięcie. A ten smród...

Skrzywiła się, omijając coś, i nawet nie chciała zgadywać, co to było. Popołudniowe ciepło tylko wszystko pogarszało.

– Tutaj, proszę pani... – Stangret zeskoczył z ławki. – Proszę pozwolić, że ja to wezmę.

Claire podała mu pakunek.

– Dziękuję ci, Armstead. – Przyjęła jego wyciągniętą dłoń i najlepiej, jak potrafiła, otrzepała błoto z butów, zanim weszła do karety. Tej samej, w której widziała Suttona na stacji kolejowej. Już wtedy zauważyła z zewnątrz, że to był całkiem miły powóz. Ale jego wnętrze... Miękka skórzana wyściółka i gruby wytłaczany welur. Kwintesencja elegancji.

– Jest pani gotowa wracać, panno Laurent?

Claire zerknęła przez okno na rozciągającą się przed nią Elm Street, wciąż się wahając. Wypuściła powietrze z płuc. Ledwie była w stanie dostrzec na samym końcu ulicy szyld firmy przewozowej Brodericka. Coś w środku podpowiadało jej, by wracać do Belmont, tak jak sugerował Armstead, ale chciała odzyskać medalion z zegarkiem po matce i drażniło

ją to, że ktoś taki jak Samuel Broderick miał go teraz w posiadaniu. O ile jeszcze tak było.

Załatwiła już wszystkie sprawunki i zatrzymała się na stacji. Według rejestru żadne kufry nie zostały dostarczone na jej nazwisko, co pozwalało jej dojść do wniosku, że Antoine DePaul również nie przybył do Nashville.

Spoglądając w głąb ulicy, rozważała wszystkie za i przeciw, aż w końcu podjęła decyzję.

– Muszę się jeszcze zatrzymać w jednym miejscu, jeśli możemy, Armstead. To na tej ulicy, niedaleko stąd.

– Dokądkolwiek panienka zechce. Proszę tylko powiedzieć.

Gdy kareta dotarła do skrzyżowania, Claire stuknęła w drzwi, tak jak ją poinstruował stangret. Mężczyzna zatrzymał powóz i pomógł jej zejść, zerkając na znajdujący się za jego plecami sklep z cygarami.

– To tu panienka chciała dojechać, panno Laurent?

– Nie. – Claire się uśmiechnęła, przyglądając się bacznie przechodniom i licząc, że nie dostrzeże nikogo znajomego. – Stąd pójdę na piechotę. Zaraz wrócę.

– Dobrze, proszę pani. – Poprawił kapelusz. – Będę tu na panienkę czekał.

Podziękowała mu i zmierzała w stronę domu Brodericka. Zwolniła, kiedy była już bliżej. Wzięła głęboki wdech, a następnie wyjrzała zza rogu i zerknęła przez witrynę sklepu. Pani Broderick siedziała przy biurku, tak jak wówczas, gdy spotkały się po raz pierwszy.

Claire miała wrażenie, że bardzo rzuca się w oczy, więc odczekała chwilę. Serce jej waliło, a kiedy nie dostrzegła ani śladu Samuela Brodericka młodszego, otworzyła drzwi i weszła do środka. Czuła się, jakby od chwili, gdy tutaj była ostatnio, minęły całe tygodnie, a nie kilka dni.

Pani Broderick podniosła wzrok.

– Dzień dobry, droga pani. W czym mogę pomóc?

Claire szukała w jej spojrzeniu jakiegoś znaku, że starsza kobieta ją poznała.

– Jak się pani dzisiaj miewa?

Na twarzy pani Broderick pojawiło się jakieś zakłopotanie.

– Czułabym się lepiej, jakbyśmy nie mieli tyle pracy.

– Oczywiście. – Claire rozejrzała się po pustym sklepie. – Widzę właśnie. A tak przy okazji... czy jest jeszcze ktoś inny?

– Nie, droga pani, nie ma. Obawiam się, że jestem tu tylko... – Nagle zrobiła przerażoną minę. – Ojej... Nie miałam tego nikomu mówić. Och, Boże jedyny...

– W porządku. – Dziewczyna poklepała ją po dłoni. – Nie powiem nikomu. Obiecuję. – Spojrzała na schody prowadzące na piętro. Pani Broderick najwyraźniej jej nie pamiętała i Claire była pewna, że po tej wizycie również o niej zapomni. – Zastanawiam się, proszę pani, czy ktoś ostatnio zwrócił tu torebkę. A może... jakiś medalion?

– Medalion... – Kobieta zaczęła szukać czegoś na blacie biurka. – Miałam kiedyś medalion, ale ktoś go zabrał. – W oczach stanęły jej łzy.

Claire zerknęła przez okno na zewnątrz, a potem obeszła szybko biurko, czując jedynie drobne wyrzuty sumienia w związku z tym, co zamierzała teraz zrobić. W końcu to chodziło o jej torebkę.

– Pani Broderick, może chciałaby pani na chwilę udać się na górę? Tam pewnie byłoby pani wygodniej.

Starsza kobieta kiwnęła głową.

– Tak, tam mi lepiej. Nie ma tyle ruchu. I nic nikomu nie zabierają.

Pani Broderick zachwiała się, wstając, więc Claire otoczyła ręką wątłe ramiona kobiety, by jej pomóc. Z lekką trudnością pokonały schody i kiedy

starsza pani została już wygodnie usadzona w swoim fotelu bujanym, Claire przyniosła jej szklankę wody. Kobieta napiła się, a potem oparła się i zamknęła oczy.

Claire dyskretnie przeszukała pokój pani Broderick, po czym wyszła, zostawiając za sobą uchylone drzwi, i na palcach przeszła na korytarz, nasłuchując najdrobniejszego dźwięku. Sprawdziła sypialnię, gdzie zostawiła swoją torebkę, a następnie pomieszczenia, które najwyraźniej należały do Samuela Brodericka, choć w chwili, gdy przekroczyła próg sypialni, miała ochotę jak najszybciej ją opuścić. Na końcu przeszukała pozostałe pokoje, ale wszystko na darmo.

Odwróciła się już do wyjścia, kiedy jej wzrok przykuły drzwi na końcu korytarza. To chyba bieliźniarka... idealne miejsce, gdzie mężczyzna mógłby ukryć damską torebkę. Przeszła na palcach dzielącą ją od szafy odległość i skrzywiła się, gdy otwierane drzwi skrzypnęły. To nie była bieliźniarka. To jeszcze inna sypialnia, a na komodzie porozrzucane były męskie przybory toaletowe.

Na krześle zaś leżała znajoma skórzana torba z inicjałami A.D. Na jej widok włosy stanęły Claire dęba. *A zatem on tu już jest. W Nashville!*

Nagle, czując się, jakby ktoś ją obserwował, dziewczyna obróciła się za siebie. Jednak nikogo nie było. Chciała już zamknąć drzwi do sypialni i jak najszybciej stąd wyjść, ale się zawahała. Nie będzie miała kolejnej szansy, by sprawdzić jego pokój, bo wiedziała, że kiedy tylko opuści ten dom, nigdy już tu nie wróci. Trzęsła się i pot lał się jej pod halką, mimo to przeszukała każdą szufladę, każdą skrytkę, nawet skórzaną torbę, starając się odłożyć wszystko na swoje miejsce.

Jednakże to nie myśl o powtórnym spotkaniu z Antoine’em DePaulem przerażała ją najbardziej. Był oszustem i kłamcą, wyjątkowo utalentowanym w obu tych dziedzinach, ale pomimo tamtej sytuacji, gdy ją

uderzył, była przekonana, że nie był agresywny. Jednakże wystarczyło jedno jego słowo, żeby ją zniszczyć – ją i jej szansę w rezydencji Belmont. I coś jej mówiło, że kiedy tylko się dowie o jej decyzji, by nie malować dla niego już więcej, gotów będzie to właśnie uczynić.

A nawet przysporzy mu to ogromnej satysfakcji.

Nie znalazła ani torebki, ani medalionu z zegarkiem. Niczego też, co należałoby do jej ojca albo matki. Ani żadnych kufrów. Musiała pogodzić się z tym, że medalion zginął na zawsze. Zamknęła drzwi i przebiegła korytarzem. Gdy mijała sypialnię pani Broderick, słyszała, że kobieta cicho pochrapuje.

Claire przystanęła u szczytu schodów, nasłuchując, czy przypadkiem nikt nie przyszedł, a potem zaczęła schodzić. Wtedy nagłe skrzypnięcie drzwi na dole zmroziło ją w miejscu.

16

Stojąc nieruchomo na trzecim stopniu od góry, Claire słyszała, jak drzwi do sklepu się zamykają, a potem rozległ się głuchy odgłos kroków. Czmychnęła z powrotem na piętro i przylgnęła plecami do ściany. Podczas przeszukiwań nie zauważyła nigdzie wyjścia bezpośrednio z tej kondygnacji, więc jej jedyną drogą ucieczki były schody.

Odgłosy stąpania były coraz bliżej, a ona stała bez ruchu, bojąc się nawet zrobić krok, żeby nie zdradziło jej skrzypnięcie desek pod nogami. Cóż za głupota... że w ogóle tu wróciła. Czy to był Samuel Broderick? A może Antoine? Sama nie wiedziała, którego z nich obawiała się bardziej.

– Broderick, jesteś tam? – zawołał jakiś mężczyzna.

Claire wzięła upragniony oddech. To nie był głos Antoine’a DePaula. Tylko jak to będzie wyglądało, jeśli nagle, jak gdyby nigdy nic, zejdzie po schodach? Przez chwilę, która wydawała jej się wiecznością, czekała, aż drzwi do sklepu ponownie zostaną otwarte i się zamkną. Ale tak się nie stało. Czyżby ten mężczyzna czekał na powrót Brodericka?

Claire zaryzykowała i zrobiła dwa kroki, by zerknąć w dół schodów. Nie dostrzegła nikogo. Ten ktoś mógł sobie czekać na właściciela firmy, ale ona nie zamierzała. Wymyśliwszy prawdopodobnie brzmiące wyjaśnienie dla swojej obecności tutaj, ruszyła na parter.

Na krześle przy biurku siedział jakiś dystyngowany starszy dżentelmen. Gdy zeszła, spojrzał na nią, a następnie wstał i zdjąwszy czarny cylinder, rzekł:

– Dzień dobry, szanowna pani.

Claire starała się sprawiać wrażenie spokojnej.

– Dzień dobry, sir.

Zerknął za nią.

– Broderick chyba się nie ukrywa gdzieś tam, prawda?

Błysk w jego oku mówił jej, że sobie żartuje.

– Nie, sir. Nie ukrywa. Z powodu matki wróci za jakiś czas – rzekła i wskazała dłonią na schody. – Właśnie pomogłam pani Broderick dojść do jej sypialni. Ledwo trzymała się na nogach.

– Aha... – Kiwnął głową. – To bardzo miło z pani strony, młoda damo. My niedołężni staruszkowie potrzebujemy od czasu do czasu trochę pomocy.

Claire uśmiechnęła się, choć nie użyłaby słowa „niedołężny”, by opisać tego dżentelmena. Był posunięty w latach, to prawda, ale jego spojrzenie wciąż było bystre i podejrzewała, że jego umysł podobnie.

Pragnąc jak najszybciej wyjść, dygnęła.

– Mam nadzieję, że miło spędzi pan popołudnie, sir.

– Taki mam zamiar, szanowna pani.

Dołączył do niej przy drzwiach, najwyraźniej również stwierdzając, że jednak już wyjdzie. Claire otworzyła i ze względu na różnicę wieku chciała go przepuścić.

On pokręcił głową.

– Nie, proszę pani. Damy zawsze przodem.

– Dziękuję, sir. – Uśmiechnęła się i ruszyła w głąb ulicy, zwracając szczególną uwagę na przechodniów i modląc się w duchu, by nie spotkać nikogo znajomego.

Gdy dotarła do karety, Armstead był już gotowy.

– Dostała pani to, co chciała, panno Laurent?

– Nie – odparła po chwili milczenia. – Nie dostałam. Ale... to nic takiego.

Przyjęła jego pomocną dłoń i wsiadła do karety, a potem oparła się na wyścielanym siedzeniu. Ze wszystkich prezentów, jakie otrzymała od matki, ten medalion z zegarkiem był jej najdroższy.

Gdy tylko to przebiegło jej przez myśli, uświadomiła sobie, że to nieprawda. Nadal miała dwa najcenniejsze dary otrzymane od mamy. Jeden był w niej głęboko, tak głęboko, jak potrafi sięgnąć tylko miłość matczyna. A drugi – złożyła palce, jakby chwytając pędzel – był również bezpiecznie złożony tam, skąd nikt nie mógł go wydrzeć.

Kareta z szarpnięciem ruszyła do przodu i Claire złapała się bocznych drzwi. Domyślała się, że jej kufry zostały już dostarczone i teraz znajdowały się tam, gdzie umieścił je Antoine, ale konfiskata rzeczy z tamtych skrzyń – podobnie jak utrata medalionu po matce – była niczym w porównaniu do szansy, by zacząć od nowa bez obciążającej ją przeszłości. Nie były też warte tego, co mogła stracić, gdyby Antoine dowiedział się, gdzie przebywała, lub gdyby pani Acklen albo Sutton poznali prawdę o jej dotychczasowym życiu.

Nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że wyląduje w takim miejscu jak Belmont, i miała nadzieję, że właśnie Belmont będzie ostatnim miejscem, w jakim Antoine DePaul mógłby jej szukać. Prędzej czy później będzie musiał sobie poradzić bez niej... tak jak ona była zdecydowana, by żyć bez niego.

Gdy tylko kareta wyjechała zza rogu, Claire dostrzegła starszego dżentelmena, którego spotkała w sklepie. Wyróżniał się w tłumie czarnym cylindrem. Wspinał się po stopniach do wysokiego ceglanego budynku. Odczytała nazwę na mosiężnej tablicy przywieszonej na prawo od

podwójnych drzwi z wiśniowego drewna. „Kancelaria adwokacka Holbrook i Wickliffe”.

Zerknęła ponownie na mężczyznę i z zaskoczeniem zauważyła, że patrzy w stronę karety. Uniósł dłoń, jakby do niej machał. Niepewna, czy ją widział, czy nie, również podniosła rękę, a on się uśmiechnął.

~

Następnego dnia rano Claire obudziła się jeszcze przed świtem. Wciąż była zmęczona, ale nie mogła spać. Budziła się kilka razy w nocy, martwiąc się o Antoine’a i o to, że on może ją w jakiś sposób znaleźć. Za każdym razem pocieszała się, że przecież Nashville nie było takie małe. Z pewnością uda jej się ukryć pośród dwudziestu pięciu tysięcy ludzi. A jednak wiedziała, że powinna zachować wzmożoną czujność, gdy będzie udawać się od czasu do czasu do miasta, a jeszcze lepiej robić wszystko, by zminimalizować liczbę takich wypraw.

Ziewnęła i przeciągnęła się, z niechęcią myśląc, że będzie musiała wyjść z ciepłego łóżka. Obiecała pani Acklen wczoraj wieczorem po kolacji, że oprócz udzielenia odpowiedzi na stos oczekującej korespondencji po południu przedstawi również gotowy plan na przyjęcie urodzinowe. Torba pełna przykładowych upominków dla gości stała w kącie po drugiej stronie pokoju i Claire sądziła, że spodobają się pani Adelicii, zwłaszcza po wprowadzeniu kilku drobnych zmian, które planowała.

Ale co do meritum – Claire westchnęła w mroku – wciąż nie miała pomysłu na rozrywkę, której rodzina Acklenów nie próbowała jeszcze podczas swoich wojaży po przeróżnych obcych krajach gdzieś po drugiej stronie świata. „Lataliśmy balonem nad miastem. Bez przywiązywania”. –

Przewróciła oczami, przypominając sobie ten komentarz Williama, jak i ich krótką rozmowę wczoraj po południu, która ani trochę jej nie pomogła.

Wszystko, co przekazał, to było to, iż pragnie dorosłego przyjęcia, gdzie będą mogli robić coś wyjątkowego. Powiedział to z taką szczerością, że prawie wybaczyła mu wcześniejsze, pełne wyższości i władczości traktowanie. Prawie...

Jak to musi być, wychowywać się wśród tego wszystkiego? Nie znać niczego poza dostatkiem i elegancją? Obawiała się, że przy obecnych poglądach młodego Williama życie poza Belmont może się poniekąd okazać dla niego rozczarowaniem. Tak jak pewnie wkrótce i dla niej, jeśli się nie ruszy i czegoś nie zrobi.

Odgarnęła kołdrę i zapaliła lampkę na stoliku koło łóżka, zastanawiając się, czy przypadkiem pani domu nie ma już konkretnego pomysłu i tylko czeka, aż ona go odkryje. Planowanie tego przyjęcia było próbą. Pani Acklen jasno to wyraziła. Tylko próbą czego?

Na początku Claire powiedziałaby, że próbą jej umiejętności zorganizowania szczegółów, tak jak to było napisane w ogłoszeniu, ale teraz sama nie była pewna. Może to stanowiło próbę jej cierpliwości? Jej pomysłowości? Hartu ducha? Jej oddania i pragnienia pracy dla pani Acklen? Być może wszystkiego po trochu. O cokolwiek mogło chodzić, Claire prosiła teraz Boga, by jej pokazał, co ma robić, bo ona coraz szybciej zbliżała się do granic swoich możliwości.

Skorzystawszy z urynału, namoczyła szmatkę w ciepłej wodzie z mydłem znajdującej się w misie stojącej na toaletce i przemyła skórę. Opłukała tkaninę w czystej wodzie i powtórzyła cały zabieg, a następnie osuszyła się świeżym ręcznikiem. Zanim skończyła, na jej rękach i nogach pojawiła się gęsia skórka.

Ubrała się szybko, wybrawszy jedną z dwóch sukni, które przywiozła ze sobą do Belmont, z radością zauważając, że ktoś wyprał jej ubłocony dół i zwrócił ją do szafy starannie wyprasowaną.

Nie zastosowała się do poleceń pani Acklen i wczoraj w mieście kupiła tylko jedną suknię, a nawet to był kolosalny wydatek jak na jej skromne środki. Miała nadzieję, że pani Adelicia będzie zadowolona z jej wyboru, ale to się dopiero okaże.

Umyła zęby i spięła włosy, z zadowoleniem doceniając swoje zakwaterowanie. Sypialnia wyposażona w skromne sosnowe meble, bawełniane zasłony i prosty kominek nie miała w sobie bogactwa charakterystycznego dla reszty domu, lecz była jednocześnie dużo przyjemniejsza niż którykolwiek z jej dotychczasowych pokoi. A prostota bardzo jej odpowiadała.

Pokój ten podobał się jej jeszcze z jednego względu – ponieważ kiedyś to była sypialnia Suttona. Dzięki temu to miejsce było jej bliższe. I bardziej pociągające.

Zegar na gzymsie kominka wskazywał wpół do piątej. Wzięła szal i wyśliznęła się cicho z pokoju, a potem ruszyła ciemnym korytarzem w kierunku wielkiego salonu. Już wcześniej dowiedziała się, że sypialnia pani Routh była również przy tym korytarzu, ale po drugiej stronie. Dzięki Bogu! Jej ograniczony kontakt z ochmistrzynią jak do tej pory przebiegał w uprzejmej atmosferze, jednakże wiedziała, że pani Routh wciąż nie była zbyt entuzjastycznie nastawiona wobec faktu, że to Claire została zatrudniona.

Dziewczyna przystanęła przed wejściem do wielkiego salonu, nadal nie mogąc uwierzyć, że naprawdę mieszka w takim miejscu... przynajmniej tymczasowo.

Blade światło księżyca wpadało do salonu, rzucając srebrną poświatę. Nawet najdrobniejszy dźwięk nie przerywał ciszy. Było coś pocieszającego w tej chwili, gdy mogła tak stać w środku tej olbrzymiej rezydencji pełnej śpiących dookoła ludzi. Zawsze marzyła o większej rodzinie i zazdrościła dzieciom Acklenów relacji z rodzeństwem dużo bardziej niż ich pełnego przywilejów wychowania.

Głód wyznaczył kierunek, jaki obrała, więc ruszyła przez salon. Światło księżyca ułatwiało jej lawirowanie pomiędzy stolikami i krzesłami poustawianymi w kilku grupach w pokoju. Nie po raz pierwszy z podziwem spojrzała na olbrzymi, niemalże naturalnych rozmiarów obraz królowej Wiktorii, który wisiał nad miejscem, gdzie rozdzielały się schody. Królewska czerwień szaty władczyni wydawała się teraz poszarzała w słabym świetle. Mogła być zaskoczona wielkością tego portretu, ale nie faktem, że był obecny w tym domu. Zwłaszcza w kontekście królewskich koneksji, które najwyraźniej tak bardzo ceniła pani Acklen.

Szła dalej korytarzem w kierunku rodzinnej jadalni i przystanęła dopiero, gdy dotarła do schodów prowadzących do znajdującej się w podziemiach kuchni. Pani Routh nie uwzględniła tego pomieszczenia w swoim skróconym planie oprowadzania i Claire czuła, jakby to była impertynencja, że chce tam zejść sama.

Spojrzała w dół ciemnej klatki schodowej i wydawało jej się, że słyszała brzęk garnka. Pani Acklen powiedziała jej, że gdy tylko będzie chciała, może dołączyć podczas śniadania do rodziny, jednak Claire liczyła na poranny spacer jeszcze przed wschodem słońca i marzyła teraz, żeby – jeśli to tylko możliwe – posilić się przed wyjściem jakąś wczorajszą bułką albo babeczką kukurydzianą, a także filiżanką kawy.

Trzymając się poręczy, zeszła do pierwszego spocznika i zerknęła w dół, skąd dojrzała słabą poświatę zza kuchennych drzwi. Nadzieja na coś

smacznego mamiła ją dalej, więc zeszła do nich i spróbowała wymacać w ciemności gałkę drzwiową, jednak jej nie znalazła. Ostatecznie pchnęła lekko drzwi, a one od razu się otworzyły.

Przywitał ją miły aromat jajek smażonych na bekonie oraz kawy, jednak nie była gotowa na to, kogo zobaczy przy kuchni.

– Sutton!

Odwrócił się z niejakim wyrazem skruchy.

– Ciii... – Uśmiechając się, przyłożył palec do ust. – Jak Cordina mnie znów tu przyłapie, to już po mnie!

Claire zaśmiała się i pozwoliła, by zamknęły się za nią drzwi. Sama była zaskoczona tym, jak bardzo ucieszyła się z tego spotkania.

– Co ty tu robisz tak wcześnie?

– Nie mogłem spać. A ty?

Pokręciła głową.

– Ja też nie.

– Głodna? – Wskazał na stojącą na ladzie miskę świeżych jaj.

– Umieram z głodu.

– Chodź... – Przywołał ją gestem dłoni. – Ty tu mieszaj, a ja wbiję jeszcze kilka jajek.

Claire wykonała, o co ją prosił, czując się, jakby robili coś niedozwolonego. I było jej z tym bardzo dobrze. Kuchnia była zaskakująco dobrze oświetlona dzięki lampom olejnym przymocowanym do ścian. Tylko w trzech z nich płonął ogień, ale białe gipsowe ściany najwyraźniej wzmagały efekt.

– Chciałam cię wczoraj zapytać... – Przyjęła bardziej formalny ton. – Jak się udał środowy wieczór w operze?

Westchnął.

– Długi i dla mnie: zmarnowany.

Znów się roześmiała i kontynuowała mieszanie, podczas gdy on dodawał dwa jajka, które ubił w oddzielnej miseczce. Uniósł pokrywkę drugiej patelni i odstawił ją na bok, ukazując osiem plastrów bekonu – złocistych i chrupiących.

Spojrzała na niego.

– Ależ masz apetyt!

– Zawsze. Ale chętnie się podzielę. – Przełożył bekon na talerz. – A ty? Lubisz operę?

Claire skupiła wzrok na jajecznicy, bo znów dotknęło ją to odczucie „bycia nie na miejscu”, którego doświadczyła w trakcie kolacji pierwszego wieczoru w Belmont. Jednakże nie zamierzała tego po sobie pokazać.

– W zasadzie... Nigdy nie byłam w operze. – Skrzywiła twarz w grymasie. – Ale to pewnie też byłby dla mnie zmarnowany czas.

Błysnął zębami w szerokim uśmiechu i Claire wiedziała, że udało się jej to powiedzieć wystarczająco przekonująco. Coraz lepiej jej szło ukrywanie tego, czego nie chciała przyznać przed innymi. Ściągnęła patelnię z palnika.

– Jajka gotowe.

– Tak jak i... – Sutton przerwał, chwyciwszy za ścierkę. – To! – Otworzył piekarnik i wyciągnął blachę rumianych bułeczek.

Claire patrzyła to na niego, to na bułeczki.

– Gdzie nauczyłeś się gotować? Większość mężczyzn, jakich znam nie ma pojęcia o kuchni. – W tym samym momencie uświadomiła sobie, że nie zna zbyt wielu i ma na myśli głównie ojca oraz Antoine’a DePaula. – Poza etapem konsumpcyjnym. – Wzięła talerze, które jej podał.

– Nie dożyjesz do mojego wieku, jak się nie nauczysz radzić sobie w kuchni. Przynajmniej jeśli chcesz jeść.

Trzymała talerze, a on nakładał jedzenie.

– Oj, oj, panie Monroe. Nie jest znów pan taki stary. – Uśmiechnęła się słodko, przypuszczając, że był tylko kilka lat od niej starszy. – Zostało ci jeszcze dobre dziesięć lat, aż będziesz musiał chodzić o lasce.

Udawał, że robi gniewną minę.

– Cóż za bezczelność po tym, jak zrobiłem ci śniadanie.

Wzięła głęboki wdech.

– Które cudownie pachnie! – Zaniosła talerze na mały stolik i zajęła jedno z dwóch krzeseł. Podążył tuż za nią z filiżankami parującej kawy.

Chwyciła widelec gotowa do jedzenia, ale zauważyła wyciągniętą dłoń Suttona i wyczytała w jego oczach łagodną sugestię. Trochę skrępowana tym, że właśnie pokazała, iż nie ma tego w zwyczaju, odłożyła widelec z powrotem na stół i bez słów wsunęła dłoń w jego rękę.

Pochylił głowę.

– Boże Ojcze, dziękujemy Ci dziś za ten posiłek i dar przyjaźni... – mówił tak, jakby Ten, do którego się zwracał, siedział tuż obok, a nie był w całkiem innej rzeczywistości. – I za wszystkie łaski, które otrzymujemy bez naszych zasług, ale których tak bardzo potrzebują nasze dusze. Przez Chrystusa...

– Amen – wyszeptała jednocześnie z nim, uświadamiając sobie, że zanim ją puścił, delikatnie uścisnął jej dłoń.

– A więc... – Nabrał porcję jajecznicy. – Jaki masz plan na dziś?

Claire usłyszała pytanie, jednak myślami wciąż była przy tamtej modlitwie... Tak prostej i szczerej. Nazwał ich przyjaciółmi. Czuła się tym bardziej poruszona, niż pewnie powinna. Ale od tak dawna nie miała „przyjaciela”. Od czasów szkoły, a nawet wtedy nigdy nie żyła blisko z innymi dziewczętami. Zawsze czuła się wyobcowana, inna. Nigdy nie potrafiła do końca pokonać tej przepaści.

Wiedząc, że Sutton na nią patrzy, wróciła myślami do jego pytania.

– Mam po południu spotkanie z panią Acklen w sprawie...

– Przyjęcia. – Posłał jej żartobliwie złowieszcze spojrzenie.

Pokiwała głową.

– Obawiam się, że wciąż nie jestem na to gotowa. Ale będę! Pomyślałam, że poranny spacer może mi pomóc poruszyć wyobraźnię.

Uniósł filiżankę kawy, jakby wznosił toast.

– Mnie to zawsze pomaga. Czy ktoś oprowadził cię już po majątku?

Skończyła kawałek bekonu i miała ochotę oblizać palce, jednak się powstrzymała.

– Pani Routh pokazała mi parter rezydencji, ale nie widziałam przyległych terenów ani żadnych innych zabudowań. Jednakże dzisiaj rano zamierzałam przespacerować się po polach, które widać z okna mojego pokoju. I chciałabym dodać... – Z widelcem w dłoni wskazała na talerz. – To jest przepyszne, mości panie, dziękuję.

– Nie ma za co, waćpanno. – Mrugnął do niej i kiedy te szaroniebieskie oczy skupione były na niej, poczuła, że w środku robi się jej ciepło i miękko. Miała wrażenie, że jej wcześniejsze napięcie odpuszcza i niknie niczym drewniane wióry pochłaniane przez płomień. Czymkolwiek było to uczucie, wiedziała, że jest dobre, a także kuszące. Tak kuszące, że jednocześnie przerażające. Co takiego miał w sobie Sutton Monroe, że działał na nią w ten sposób? Że sprawiał, iż chciała się przed nim otworzyć. Być blisko...

Pewnie byłoby zupełnie inaczej, gdyby próbował zwrócić na siebie uwagę, tak jak to czynili inni mężczyźni. Ale on wydawał się w ogóle nie zauważać, że miał na nią taki wpływ.

– Łąki to dobry wybór na spacer. – Upił trochę kawy. – Są bardzo piękne. Jest tam taki stary indiański szlak prowadzący w dół do strumienia.

– Wychylił do końca filiżankę i zerknąwszy na kawiarkę, zaczął się podnosić z miejsca.

Claire wyciągnęła dłoń.

– Pozwól, że ci naleję. – Przyniosła kawiarkę z kuchni i nalała do jego filiżanki, a potem do swojej, ciesząc się tą chwilą, gdy mogła patrzeć na niego, a on nie wpatrywał się w nią.

– Zatem powiedz mi, Claire... – Oparł się wygodnie na krześle. – Jak długo mieszkałaś w Nowym Orleanie?

Jej czujność wzmogła się nieco wobec takiego nieoczekiwanego pytania, choć przecież nie było jakoś bardzo osobiste. Ale wiązało się z jej przeszłością.

– Mieszkaliśmy tam jakieś dwa lata.

– Podobało ci się to miasto?

Odniosła kawiarkę na kuchnię.

– Ogólnie tak.

– A gdzie mieszkałaś? Możliwe, że będę znał tę część. Bywałem wiele razy w Nowym Orleanie w interesach z panią Acklen.

Claire zajęła swoje miejsce i napiła się kawy, zyskując w ten sposób trochę na czasie. Z doświadczenia wiedziała, że większość ludzi lubiło rozmawiać o sobie, ale nie ona. I nie zamierzała podawać mu nazwy ulicy, przy której mieszkali. Przede wszystkim dlatego, że to doprowadziłoby go prosto do galerii.

– Mieszkaliśmy nieopodal Vieux Carré w Dzielnicy Francuskiej.

Wybałuszył oczy.

– A więc musisz znać Café du Monde.

Uśmiechnęła się, jednak tylko po to, żeby zamaskować swoje zaniepokojenie. Te dwa różne światy stawały się sobie zbyt bliskie i to zbyt szybko.

– Tak, bywałam tam, ale... – Machnęła ręką, chcąc zmienić temat. – Pytałeś o mój dzień... A opowiesz coś o swoim? Podejrzewam, że będzie pracowity i masz pełno spraw, które trzeba poprowadzić i wygrać, mowy końcowe, które musisz wygłosić...

Wpatrywał się w nią i przez chwilę miała wrażenie, że zauważył, iż specjalnie zmieniła temat. A potem uśmiechnął się z tą zwykłą lekkością.

– Żadnych spraw ani mów końcowych, ale tak, będzie pracowity. Najpierw jednak pozwól, że zadam jeszcze jedno pytanie.

Pochylił się bliżej, oparłszy przedramiona na stole, a Claire zamarła. *Nie będę kłamać. Nie będę kłamać* – powtarzała w myślach.

– Czy pozwolisz się oprowadzić po terenach majątku dzisiaj wieczorem? Z przyjemnością ci wszystko pokażę.

Kamień spadł jej z serca.

– Z wielką chęcią, Suttonie... Tylko czy pani Acklen nie wspominała coś o gościach na kolacji?

Skrzywił się i kiwnął głową.

– Worthingtonowie! Nieomal zapomniałem...

Claire sięgnęła po jeszcze jedną bułeczkę.

– Sądząc po twojej reakcji, domyślam się, że kimkolwiek są ci państwo Worthingtonowie, nie należą do twoich ulubionych gości.

– Nie, nie, państwo Worthingtonowie to bardzo miłe małżeństwo i jestem pewien, że czeka nas żywiołowa dyskusja przy kolacji.

Claire ugryzła bułkę i czekała z uniesionymi brwiami.

– Worthingtonowie lubują się w sztukach pięknych. Szczególnie pani Worthington. Ona i Adelicia... pani Acklen... brały udział w aukcji obrazów organizowanej w mieście rok temu na rzecz sierocińca i skończyło się na tym, że się przebijały wzajemnie o jeden obraz. Wszystko odbywało się bardzo kulturalnie, ale zainteresowanie pani Worthington tym obrazem

znacznie wzrosło, gdy tylko zobaczyła, że pani Acklen też ma na niego oko. Zrobiła się z tego niezła scena. Cała sprawa trafiła kolejnego dnia do gazet.

Claire słuchała, starając się nie dać po sobie poznać, że samo wspomnienie o aukcji sztuki, obrazach i licytacjach jakoś szczególnie ją obchodziło.

– Potrafię sobie wyobrazić, że takie sytuacje mogą się często zdarzać pani Acklen. Jej zdanie w dziedzinie sztuki i wielu innych sprawach musi być szczególnie poważane przez resztę społeczeństwa.

Sutton odpowiedział dopiero po chwili:

– Zdanie pani Acklen i jej poczynania nigdy nie przechodzą niezauważone. To nie podlega wątpliwości.

Claire nerwowo sączyła kawę, po raz kolejny uświadamiając sobie z całą mocą realia sytuacji, w jakiej tkwiła. Belmont był najlepszym, a zarazem kategorycznie najgorszym miejscem, w jakim mogła się znaleźć. Wpływy pani Adelicii w świecie sztuki w Nashville sięgały wyjątkowo daleko i cieszyły się wielkim uznaniem. Gdyby ta kobieta wyraziła swoją aprobatę dla jakiegoś obrazu albo – co ledwie mieściło się w głowie – gdyby Claire przypadkiem namalowała coś wartościowego, co chciałaby licytować pani Acklen, inni ludzie z pewnością także zwróciliby na to uwagę. Poczynając na przykład od pani Worthington. Choć była to wyjątkowo miła wizja, wiązała się też z równie gorzką świadomością, że jeśli pani Acklen odkryłaby prawdę o interesach prowadzonych przez rodzinę dziewczyny, to byłby koniec. Z pewnością dopilnowałaby, żeby Claire nigdy nie znalazła pracy w całym Tennessee. A zwłaszcza, by nie mogła już dalej malować. Claire wcale nie było trudno uwierzyć, że może wypełnić tę obietnicę.

Sutton wstał i zebrał talerze.

– Mam umówione spotkania w mieście rano i po południu, ale powinienem wrócić na kolację. Co też sprowadza mnie do mojego wcześniejszego pytania... Jeśli będziemy mieć czas po posiłku, byłbym zaszczycony, gdybym mógł oprowadzić cię po majątku. Jeżeli nie, to może podczas weekendu. Pani Acklen chciała, żebyś w dniu przyjęcia wiedziała, co i gdzie jest.

Serce Claire się ścisnęło. A więc to pani Adelicia poprosiła go, by ją oprowadził. Choć w zasadzie to nic nie zmieniało. Przecież ona i Sutton byli tylko znajomymi. I – o czym nie powinna zapominać – on sam powiedział jej wprost, że nie uważa jej za wykwalifikowaną na to stanowisko.

Te myśli wpłynęły na nią otrzeźwiająco, dlatego przybrawszy uśmiech na twarz, odparła:

– Będzie mi miło, jeśli pokażesz mi posiadłość, Suttonie. Dziękuję.

Wzięła filiżanki, wciąż odczuwając jakieś zadowolenie z faktu, że zapuściła się na dół do kuchni, i wspominając wyraz jego twarzy, gdy otworzyła drzwi. Co też przypomniało jej...

– Mówiłeś, że będzie po tobie, jak Cordina się dowie, że znów tu jesteś. Dlaczego?

– Ja to panience zara wytłumaczę, panno Lołerent.

Claire o mało co nie upuściła filiżanek. Obróciła się na pięcie i dostrzegła Cordinę stojącą za nią w wejściu. Zupełnie jej wcześniej nie zauważyła. Opierając dłonie na biodrach, kucharka patrzyła na nich w taki sposób, że lepiej, by ktoś zaraz ich usprawiedliwił. I to szybko!

17

Cordina sapnęła, patrząc na kuchenkę.

– Znowu pana przyłapałam, panie Monroe, jak się pan tutej rządzi w mojyj kuchni. Jakby mnie tu wogle nie było.

Claire patrzyła szeroko otwartymi oczami, nie wiedząc, co powiedzieć. I czy w ogóle powinna się odzywać. Nie mogła uwierzyć, że Cordina mówi do kogoś w ten sposób! A tym bardziej do Suttona Monroego. Zupełnie nie przypominała tamtej kobiety, która przywitała ją w rezydencji. Claire chciała już zgłosić się do pomocy, by posprzątać ten bałagan, ale bała się, żeby nie pogorszyć sytuacji. Spojrzała na Suttona, oczekując jakichś wskazówek.

On jednak był zaskakująco spokojny.

– Ależ, Cordino... Już o tym kiedyś rozmawialiśmy. Potrafię całkiem...

– Przychodzi tutej, używa mojyj kuchenki. Robi te takie proste jaja po swojemu. – Kobieta uniosła patelnię po jajecznicy i powąchała. – Bez krztyny sera. Phi! – Potrząsnęła głową i popatrzyła spode łba na pozostałe bułeczki. – Daję głowę, że nawet nie zaproponował tyj biednyj dziewczynie masła do tych starych, twardych bułek. Ani mojego dżymu. – Wzniosła dłonie ku niebu. – Jezusieńku, ratujże! Tyn człowiek odziera mnie z całyj radości.

Do Claire zaczęło powoli docierać, o co Cordina tak się denerwowała. Nie chodziło o to, że Sutton korzystał z jej kuchni, ale że sam sobie zrobił śniadanie.

Zachichotała w środku i spróbowała złowić jego spojrzenie. Jednak on nie patrzył w jej stronę. Choć cała sytuacja wydawała jej się zabawna, wyczuła jednocześnie, że kucharka była rzeczywiście poirytowana.

Prawie w ogóle się nie zastanawiając, udała, że kaszle, i wtedy dopiero uwaga Suttona i Cordiny skupiła się na niej. Wzięła gwałtowny wdech i rzuciła:

– O mało co nie udławiłam się tymi starymi, twardymi bułkami – wyszeptała, trzymając się za gardło. – Gdybym tylko... – Zakaszlała ponownie. – ...mogła dostać trochę dżemu. – Nie wiedząc, czy uda się jej jeszcze dłużej powstrzymać uśmiech, poczuła przypływ nowych aktorskich sił, kiedy dostrzegła, że oboje zaczynają się uśmiechać.

Sutton zerknął na nią, kręcąc głową.

– Mówisz poważnie?

Cordina się roześmiała.

– Brawo, panienko Lołerent! My kobity musimy trzymać się razem.

Claire w końcu uśmiechnęła się nieznacznie, zadowolona ze swojego niewielkiego przedstawienia – ale jeszcze bardziej z radosnego błysku w oczach Suttona.

– Kobiety – wyszemrał pod nosem, a potem spojrzał na nią krytycznie. – Kto by pomyślał, że jest pani zdolna do takiej obłudy, panno Laurent. Najwyraźniej pani nie doceniłem. – Kącik jego ust uniósł się w cierpkim uśmiechu. – Więcej nie popełnię tego błędu.

Cordina śmiała się w głos, Claire tak samo, ale jeszcze mocniej zaśmiewała się w duchu. Może to tylko jej wyobraźnia, ale wydawało jej się, że zauważyła w jego tonie jakąś poważną nutę. Zaraz też sobie przypomniała, jak istotne dla niej było mieć go po swojej stronie.

Zarówno jako znajomego, jak i przyjaciela.

Kiedy w końcu wyszła na spacer, słońce było już nad horyzontem, choć cisza nadal jeszcze spowijała dom. Zgodnie z tym, co powiedział Sutton, wyraźnie wydeptana ścieżka prowadziła przez trawiaste łąki, przecinała linię klonów i dalej kierowała się w stronę położonego poniżej strumienia.

Kolejne pół godziny minęło jej na zwiedzaniu i poznawaniu okolicy, odkrywaniu różnorodnych gatunków polnych kwiatów, drzew i krzewów, wśród których odnajdywała już pierwsze ślady nadchodzącej jesieni – te drobne plamy kolorów, jakie skrywała natura. W ciągu ostatnich dni brakowało jej spacerów, więc teraz cieszyła się przeświturającymi przez drzewa promieniami słońca oraz błękitem nieba i nagle zatęskniła za czystym płótnem, pędzlem i paletą, by móc to wszystko uchwycić.

Gdy tak spacerowała, myślała o wydarzeniach, które przywiodły ją do Belmont, i nie umiała się pozbyć wrażenia, że to tak właśnie miało być. „Nic się nie dzieje bez przyczyny, Claire”. – Usłyszała wyraźnie w głowie głos matki. Trudno jej było nawet zliczyć, jak często padały te słowa. Patrząc wstecz, Claire zastanawiała się, czy mama mówiła to, by dodać jej odwagi czy by przekonać samą siebie.

Sponad wzgórza dobiegło do niej ciche, przeciągłe gruchanie gołębicy. Claire zapatrzyła się w bezchmurne niebo. Odkąd opuściła Nowy Orlean i znalazła się w Nashville, nawet nie zdawała sobie sprawy, jak ciężko jej było na duchu. Czuła dojmującą pustkę z powodu swojej samotności, a jednocześnie przytłaczał ją nieznośny ciężar wyrzutów sumienia.

Tłumaczyła sobie, że to nie jej wina, że nie chciała podrabiać tamtych obrazów. Jednak robiła to. I wiedziała, że zrobiłaby to samo, gdyby tylko dzięki temu miała uzyskać pieniądze na lekarstwa dla matki albo jakiekolwiek inne środki, które mogłyby sprawić, by jej *maman* wciąż żyła.

Kiedy jednak pomyślała sobie, że jej matka była przytłoczona tym samym poczuciem wstydu od tak dawna... Brzemię winy, które *maman*

dźwigała na swoich ramionach, było wyraźnie widoczne w przeddzień jej odejścia.

Claire usiadła na płaskiej, pokrytej porostami skale i przyciągnęła kolana do klatki piersiowej. Nadal widziała w pamięci mamę leżącą na łożu śmierci.

„Wody” – wyszeptała wtedy matka. Claire poczuła przypływ emocji, gdy w pamięci, niczym najdroższe klejnoty na wystawie, stanęły jej obrazy tych ostatnich godzin. Napełniła filiżankę i przytknęła matce do ust, ale ona pokręciła głową. Więc Claire namoczyła czystą tkaninę w chłodnej wodzie i otarła rozpalone gorączką czoło i twarz. Jednakże matka znów zaprotestowała, a w jej oczach pojawiły się łzy. Serce Claire ścisnęło się żalem na ten widok. Jej matka nigdy nie płakała. I kiedy dziewczyna po raz kolejny chciała podać jej wodę do ust, kobieta wyszeptała coś, co było wtedy niejasne...

„Wylej ją na mnie” – błagała. Claire wpatrywała się w nią, nie rozumiejąc i podejrzewając, że laudanum przyćmiło zdolność rozumowania mamy. Jednak ona wiedziała, o co prosiła, nawet jeśli jej córka tego nie rozumiała. Claire wypełniła polecenie matki. Filiżanka za filiżanką polewała wodą słabowite ciało, tak aż materac przemókł, a matka łkała. Tym razem były to łzy radości, a nie żalu. „*Merci beaucoup, l’amour de moi*” [34] – wyszeptała *maman,* a ból i cierpienie na jej twarzy zastąpił pokój. Pokój, który wciąż był tak nieosiągalny dla Claire, chociaż ze wszystkich sił go pragnęła.

Dziewczyna otarła policzki i rozejrzała się wokół siebie. Na łące nie było nikogo, a z miejsca, gdzie siedziała, ledwie mogła dostrzec szczyty dachów rezydencji. Była sama. Przypomniała sobie tę prostą, szczerą modlitwę Suttona. Chciała sama sformułować taką prośbę do Boga, jakby był tuż koło niej, ale słowa, które przychodziły jej do głowy, wydawały się

tak sztuczne... Albo nawet gorzej. Takie na siłę. Jakby się próbowała targować z Bogiem, przekonać Go, że jest warta Jego czasu i uwagi, mimo że w głębi czuła się wręcz odwrotnie: podróbką... falsyfikatem... niewystarczająco dobrą. I nie chodziło tu o obrazy, ale o nią samą!

Siedziała tak przez chwilę, pragnąc, by lęk zniknął z jej serca, by mogła poczuć w środku ciepło słońca, tak jak je czuła na twarzy.

Kiedy postanowiła wracać, domyślała się, że pewnie dochodzi już dziewiąta. W drodze powrotnej zastanawiała się jeszcze nad innymi propozycjami na przyjęcie Williama, jednak nic nie wydawało jej się warte przedstawienia Adelicii Acklen. Ale pomysł przyjdzie. Musi.

Gdy zbliżała się do rezydencji, kusiło ją, żeby odbić w bok i obejrzeć budynek, w którym mieszkał Sutton. Ten, gdzie była też galeria sztuki. Lecz praca najpierw.

Przed posesję zajechała karoca i Claire zwolniła kroku. Wydawało jej się, że to nie była żadna z karet należących do Belmont, ale nie miała pewności, gdyż jej pracodawczyni posiadała ich kilka. Kiedy z powozu wysiadło dwóch panów, a malutka Pauline oraz Claude zbiegli po schodach, by ich przywitać, Claire stwierdziła, że poszuka tylnego wejścia. Nie chciała przypadkiem przeszkodzić pani Acklen w jakimś spotkaniu z zaproszonymi gośćmi.

Za domem jak okiem sięgnąć rozciągały się wzgórza i łąki. Po jednej stronie, gdzieś pomiędzy rezydencją a stajnią i powozownią, znajdowało się pięć identycznych ceglanych chatek ustawionych ciasno w idealnym rządku wzdłuż grupy zwalistych sosen. Podejrzewała, że mieszkali tam służący i od razu zwróciła uwagę na kontrast pomiędzy tymi zabudowaniami a innymi im podobnymi, które widywała, a które zwykle zbudowane były ze spróchniałych desek. To dobrze świadczyło o pani Acklen. Chociaż...

Czy to cegła, czy drewno, nic nie mogło zmienić faktu, kim są mieszkający tam ludzie. Lub kim byli. Z tego, co widziała od czasu przybycia do Nashville, pomimo że wojna zniosła niewolnictwo, rany wcale się jeszcze nie zabliźniły. A nawet nie zaczęły się goić.

Idąc dalej dookoła posesji, zauważyła czarnoskórego chłopca, który kucał pod drzewem nieopodal. Sądząc po wzroście, mógł mieć jakieś dziewięć albo dziesięć lat. Kopał czymś w ziemi. Chyba jakimś patykiem. Nagle znieruchomiał, pochylił się jeszcze niżej i sięgnął do dziury, którą zrobił. Pomacał w niej i coś wyciągnął.

Przybliżył ten przedmiot do twarzy, podmuchał na niego i obejrzał go jeszcze raz, a następnie uśmiechnął się szeroko i wsadził to do kieszeni spodni. Zaraz potem zaczął kopać od nowa. Claire przyglądała mu się z rozbawieniem. Cokolwiek tam znalazł i czegokolwiek nadal szukał, był tym kompletnie zauroczony. Taki mały zbieracz.

Zobaczyła jakieś drzwi z tyłu domu i chciała je otworzyć, lecz były zamknięte. Zapukała, ale nikt nie odpowiedział. Spróbowała z kolejnymi. Te również były zamknięte. Do nich także pukała, jednak i tu nikt nie otwierał.

Odwróciła się w stronę chłopca przekonana, że on będzie wiedział, którędy wejść do środka.

– Przepraszam, ale... – Nie słyszał, że podeszła, i aż podskoczył na dźwięk jej głosu, wytrzeszczając oczy jak spodki.

– Jezusieńku, ale mie pani przestraszyłaś.

Claire starała się powstrzymać śmiech.

– Przepraszam, nie chciałam.

Zaczął chichotać, co rozbawiło ją jeszcze bardziej, bo kiedy się śmiał, trzęsły mu się uszy. Wręcz skakały. Teraz już nie potrafiła się opanować i też się roześmiała.

– To pani jest pomocniczką lady?

– Tak. Przynajmniej na razie. – Claire wyciągnęła do niego rękę. – Nazywam się Claire Laurent.

Patrzył długo, zanim uścisnął jej dłoń.

– Ezekiel. Ale mówią mi Zeke. – Podniósł wzrok. – Masz pani rzeczywiście piękne włosy, proszę pani. Ciocia mi mówiła.

– Dziękuję, Zeke. – Dygnęła. – A kto jest twoją ciocią?

– Ciocia Cordina. Prowadzi kuchnię u lady. – Wskazał dłonią na rezydencję. – Ona i wujek Eli byli u lady dużo wcześniyj, nim się urodziłem.

Cordina? I Eli?

– Twoja ciocia Cordina i wujek Eli są małżeństwem?

Wyszczerzył ponownie zęby w uśmiechu.

– Tak, psze pani. Ale nigdy nie mieli dzieci. – Wzruszył ramionami. – Więc bardzo troszczą się o mnie i moje rodzeństwo.

– Mogę cię o coś spytać, Zeke?

– Tak, psze pani.

– Czego szukałeś w ziemi, kiedy tu przyszłam?

Uśmiechnął się i sięgnął do kieszeni.

– Przyszłem dzisiej rano poszukać łusek po nabojach, ale znalazłem też pięciocentówkę. – Podniósł monetę, pękając z dumy. – Trochę tu czasem kopię. – Pogrzebał czubkiem buta w ziemi. – Chyba lubię znajdować rzeczy.

– Hmmm, a może chciałbyś znaleźć coś dla mnie?

– A czego pani szukasz?

– Drogi z powrotem do domu, tak żeby nie trzeba było zachodzić od przodu.

Uszy chłopca znów się poruszyły i tak jak Claire się spodziewała, od razu wskazał, które drzwi były otwarte.

Zeke poprowadził ją przez labirynt pomieszczeń piwnicznych. Po krótkiej wizycie w kuchni nawet nie zdawała sobie sprawy, jak duże to były przestrzenie i ile się w nich mieściło. Półki pełne żywności i innych zapasów pokrywały całe ściany. A przecież nie widziała nigdzie upraw ani pól. Zapytała więc o to Zeke’a.

– Tak, psze pani. Mamy tu farmę. Tam, za tym zmyślnym kwietnym domkiem.

Za oranżerią – pomyślała Claire i skinęła głową.

– Hodujem tam wszystko, co trza. Proszę uważać na głowę, panno Laurent. Trochu tu nisko.

Claire schyliła się i przeszła przez drzwi.

– Lady ma tyż swoje plantacje. W Luizjanie. Uprawiajom tam głównie bawełnę. Ale ja nigdym nie widział tamtych pól.

Pani Acklen posiadała plantacje bawełny w Luizjanie? Oprócz tego wszystkiego tutaj? Z chwili na chwilę Claire coraz bardziej rozumiała, skąd się brało bogactwo jej pracodawczyni. Chętnie podpytałaby jeszcze Zeke’a o różne sprawy, ale wprowadził ją do kuchni, gdzie razem z Suttonem jadła rano śniadanie. W środku wrzała praca i unosił się zapach pieczonego chleba, który sprawił, że natychmiast zrobiła się głodna.

Kobiety stojące przy palnikach i inne, mieszające w misach przy ladzie, odwróciły się naraz i patrzyły teraz na nią. Claire uśmiechnęła się, zauważając, że była też wśród nich Cordina.

Zeke podszedł do jednej z drobnych kobiet.

– To moja mama, Maria. Gotuje dla lady i jej rodziny – powiedział z dumą, jednocześnie obejmując matkę w talii.

Claire dygnęła. Pamiętała, że widziała już tę kobietę, gdy usługiwała do kolacji.

– Mario, miło cię poznać. Masz wspaniałego syna.

– Dziękuję, panno Laurent – odparła kucharka cicho, tuląc głowę syna.

Claire nie zdziwiła się nawet, że Maria znała jej nazwisko. Wieści w Belmont szybko się niosły.

– A to... – Zeke wskazał na kolejne osoby – Rena i Harriet oraz Ive i MaryAnn. One też pracują w kuchni, ale czasami pomagają pani Routh na górze.

Claire kiwnęła głową, witając się.

– Tutaj jest Amanda. Ona też jest kucharkom. I panna Betsy, o tam... – Chłopiec wskazał na starszą kobietę siedzącą przy stole, na którym rozłożona była srebrna zastawa i ceraty. – To mama Amandy, Ive i Harriety. Prócz Eliego to ona jest u lady najdłużyj.

– Miło was poznać – przywitała się Claire, podziwiając siłę tych rodzinnych więzi i zastanawiając się, ilu służących pracowało w Belmont.

Zapytała o to Zeke’a, gdy ruszyli w górę schodów prowadzących do domu.

– Chyba będzie nas z jedenaście. Nie licząc ogrodników i pracowników, których najmuje lady.

Z góry dobiegł cichy tupot i spotkali się na schodach z Evą niosącą naręcze ubrań. Skłoniła grzecznie głowę w stronę Claire, a potem spojrzała gniewnie na Zeka’a.

– Eli o ciebie pytał, chłopcze! Lady ma gości i trzeba napoić ich konie. Lepiej, żebyś zaraz się znalazł na górze albo ci się dostanie od Eliego... i od twojej mamy, jak jej tylko powiem!

Zeke skoczył, rzucając pospiesznie przez ramię „do widzenia”, i pognał w górę schodów.

– Co za chłopak... – Eva pokręciła głową, ale Claire wyczuła w jej głosie śmiech, jakby podobało jej się dyrygowanie młodszym. Przynajmniej trochę.

Claire zmierzyła wzrokiem pranie.

– Czy to ty wyczyściłaś moją suknię, Evo? Tę ubłoconą?

W oczach dziewczyny pojawiła się niepewność.

– Tak, proszę pani. Czy wszystko było dobrze?

– Och, tak! Wspaniale. Po prostu zastanawiałam się, komu mam podziękować.

Eva się uśmiechnęła.

– Ja pomagam głównie przy praniu, ale moja mama jest osobistą pokojówką pani Acklen i uczę się, by kiedyś zająć jej miejsce.

– Hmmm, świetnie ci idzie, Evo. Dziękuję.

Eva poszła dalej w dół lekkim krokiem, a Claire w górę, mając nadzieję, że pani Acklen jej nie szuka. Zniknęła na dużo dłużej, niż planowała. Kiedy już prawie doszła do swojego pokoju, pomyślała ponownie o Zeke’u i o tym, jak jego uszy się trzęsły, gdy się śmiał. I nagle przypomniało jej się to, co powiedział: „Chyba lubię znajdować rzeczy”.

Przystanęła w korytarzu prowadzącym do jej sypialni. To było to! Ten pomysł, którego szukała! Ruszyła szybko do pokoju, chcąc jak najszybciej zapisać na papierze idealny temat przewodni na przyjęcie urodzinowe Williama. I wtedy właśnie przyszło jej do głowy, że może, ale tylko może, Bóg pomimo wszystko ją wysłuchał.

18

Było już dawno po kolacji z Worthingtonami. Sutton ściągnął wodze i zatrzymał Truxtona koło stajni, kiedy słońce chyliło się nisko nad zachodem, malując niebo odcieniami ciemnego pomarańczu. Zsiadł z konia, podenerwowany tym, że jest aż tak spóźniony, ale chyba jeszcze bardziej wezwaniem do sądu od prawnika z Saint Francisville w Luizjanie, które po południu dostarczono do kancelarii prawniczej.

Sprawa ciągnęła się już od ponad dwóch lat i zaczynał się zastanawiać, czy całe to fiasko z bawełną zostanie kiedykolwiek wyjaśnione. Przeklinał tamten dzień, gdy wciągnęli w to pana Alexandra Walkera i jednego był pewien... Adelicia nie będzie zadowolona.

Wprowadził Truxtona do stajni. Cieszył się z tego dystansu, który musiał pokonać, by dotrzeć do domu, gdyż miał czas, żeby zebrać myśli.

– Dobry, panie Monroe.

Sutton podniósł wzrok.

– Dobry wieczór, Zeke. Jak się masz dzisiaj?

– Dobrze, sir. Późno pan przyjechał.

– Później, niż planowałem – odparł, wzdychając.

– Pan da, zajmę się nim, sir. – Chłopak chwycił jedną dłonią wodze Truxtona, a drugą trzymał tak, by pokazać, co w niej ma.

Rozbawiony nieco Sutton zmrużył oczy, żeby rozpoznać słabo oświetlony przedmiot, jakby wcale nie wiedział, co chłopak chowa w dłoni.

– Udało ci się coś dzisiaj wykopać?

– Tak, sir, udało. Coś wyjątkowego. – Zeke wyszczerzył zęby w uśmiechu, tak iż cały promieniał. – Mówiłem panu, że tutej jest ukryty skarb.

Sutton zerknął bliżej na trzymaną przez chłopca monetę.

– Żartujesz. Naprawdę to tu znalazłeś?

– Tak, sir. Serio. To też znalazłem. – Zeke zanurzył dłoń w kieszeni i wyciągnął kolekcję zużytych łusek. – To pewnie z tej bitwy, co tutej była.

Sutton kiwnął głową.

– Na pewno. – Wiedział, jak bardzo chłopak lubił słuchać opowieści o wojnie, a szczególnie o bitwach stoczonych w tych okolicach. Jednak dla niego rozmowy o tamtych chwilach wcale nie były łatwe i teraz nie był w stanie podjąć tematu. Nie dzisiaj.

– Muszę iść do rezydencji. Pani Acklen na mnie czeka. – Potarmosił włosy Zeke'a, gdy ten skinął głową. – Gratuluję znaleziska. I dzięki, że doglądniesz Truxtona. Zawsze porządnie się sprawiasz i Truxton cię lubi.

Chłopak uśmiechnął się szeroko.

– Dziękuję, sir.

Sutton ruszył posuwistym krokiem, choć mięśnie jego nóg były zmęczone po szybkiej jeździe z miasta. Poluzował krawat i rozsunął kołnierzyk. Rezydencja była już w zasięgu wzroku, a z otwartych okien w gabinecie padało światło lampy. Zasłony falowały na wietrze. Gdy podszedł bliżej, wydawało mu się, że usłyszał ciche kobiece głosy.

Po raz kolejny zobaczył w pamięci obraz Claire z rana, kiedy zapytał ją, czy lubi operę. Przypomniawszy sobie jej odpowiedź, poczuł się, jakby znów dostał prztyczka. Próbowała ukryć prawdziwe uczucia, ale udawanie nie było jej mocną stroną. Powiedziała, że wcale nie chciałaby iść do opery, jednak tak nie było. A to tylko sprawiało, że czuł się w środku taki mały – bo nie umiał docenić tego, czego ona bardzo by pragnęła.

Zaraz potem przyszedł następny obraz i Sutton uśmiechnął się, wspominając, jak udawała, że się dławi. Urocze. Była z siebie taka dumna, przez co to wszystko wyglądało jeszcze bardziej komicznie. Starał się ze wszystkich sił, by nie gapić się na nią podczas śniadania, ale wcale nie było mu łatwo. Już wtedy, gdy spotkał ją pierwszy raz w tamtym kościele, całą zakurzoną, w pomiętej sukni wydała mu się piękna. Ale dzisiaj rano w kuchni... Była wprost oszałamiająca! Taka jeszcze trochę zaspana... i te dołeczki, kiedy się śmiała, to, jak od razu dołączyła do niego, by przygotować śniadanie. Chyba nawet nie zauważyła, gdy ich ramiona ocierały się o siebie – westchnął – ale on tak... Dostrzegał u niej wszystkie szczegóły, jakich nie powinien widzieć mężczyzna, który był prawie po słowie z inną kobietą. Nie chodziło o to, że nigdy nie myślał o Carze Netcie. Raczej o to, że nigdy nie myślał o niej w ten sposób, w jaki myślał o Claire Laurent. Ta świadomość wcale go nie pocieszała.

Kiedy wspinał się po frontowych schodach, od strony otwartego okna docierały do niego urywki rozmowy.

– Tak, proszę pani. Dokładnie tak to sobie wyobrażałam. Myślę też, że...

– Ten pomysł rzeczywiście mnie przekonuje, panno Laurent. Chłopcy przeciwko dziewczynkom...

Sutton pokręcił głową. To z pewnością przekonywało Adelicię. Ta kobieta miała w sobie żyłkę do rywalizacji. I to niemałą! Podejrzewał, że Claire również. Niech Bóg ma je w swej opiece, jeśli kiedyś staną po przeciwnych sobie stronach. Claire pewnie pozwoliłaby wygrać swojej pracodawczyni, tak jak powinna, choć wcale nie był tego pewien. Pani Acklen zaś po prostu postawiłaby wszystko na jedną kartę i nigdy nie dopuściłaby możliwości, by się poddać. Cóż za połączenie...

Szkoda, że Adelicia nie zatrudniła kogoś bardziej prostolinijnego. Kogoś, kto nie patrzyłby na niego w taki sposób, że czuł się raczej jak jakiś

szkolniak, a nie dorosły mężczyzna. Ale tu chodziło nie tylko o urok Claire. Często bywał w towarzystwie pięknych kobiet, jednak nie zajmowały jego myśli tak jak ona. Nie sprawiały, że chciał wymyślać kolejne preteksty, by ponownie je spotykać. Wiedział, że to zainteresowanie jej osobą nie było roztropne. Po pierwsze, pracowała dla pani Acklen. Po drugie, miał ją obserwować... co z pewnością czynił, lecz w pewnym stopniu kierowały nim osobiste pobudki.

W holu wejściowym panowała ciemność tylko w niewielkim stopniu rozcieńczona światłem lamp palących się w małym gabinecie. Ich migotliwy blask rzucał poświatę na rzeźbę przed kominkiem, przez co *Rut zbierająca pokłosie* wyglądała trochę upiornie. Nie dziwił się Adelicii, że kupiła tę figurę. Była cudowna! Wciąż jednak dziwiło go, że ustawiła ją w tak znaczącym miejscu, gdzie każdy wchodzący do domu mógł od razu ją zobaczyć. Dosyć odważny wybór.

Kiedy przyglądał się z bliska realistycznemu przedstawieniu, które wręcz sprawiało wrażenie żywej osoby, przypomniała mu się biblijna opowieść o Rut i próbował sobie wyobrazić, jak Booz mógł zareagować na taki widok, jakkolwiek niezamierzony ze strony Rut. Ten biedny mężczyzna nie miał szans wobec smutnego spojrzenia młodej kobiety i jej urzekającej powierzchowności...

– Dobry wieczór, panie Monroe.

Sutton odwrócił się, zaskoczony głosem tuż za plecami.

– Pani Routh... – Uśmiechnął się, by ukryć zaskoczenie. Ta kobieta zawsze umiała go jakoś podejść. – Nie wiedziałem, że pani tu jest. Jak się pani dziś miewa?

– Dobrze, sir. Dziękuję. – Pochyliła głowę w służalczym geście. – Słyszałam, że pan przyjechał i chciałam się upewnić, że niczego panu nie będzie brakować, zanim udam się na spoczynek.

– To bardzo miło z pani strony, pani Routh, ale niczego nie potrzebuję. Przyjechałem po prostu, żeby się spotkać z panią Acklen. Potem zaraz idę spać.

– Rozumiem, sir. W takim razie życzę miłego wieczoru. – Zrobiła dwa kroki, ale zaraz przystanęła i odwróciła się w jego stronę. – Zastanawiam się, sir, czy... mogłabym o coś zapytać... – Ściszyła głos. – Coś, co wolałabym, aby pozostało w największej tajemnicy.

– Oczywiście, pani Routh.

Przywołała go gestem, by poszedł za nią do wielkiego salonu. Sutton był przyzwyczajony do wyjątkowo ostrożnej natury pani Routh. Ta wdowa była przyjaciółką Adelicii – i równą jej urodzeniem w społeczeństwie kobietą – zanim kilka lat temu przedwczesna śmierć nie zabrała jej męża, Francisa. Od tamtego czasu została wierną pracownicą pani Acklen.

Na początku nie podobał mu się ten układ. Zatrudnianie dobrych przyjaciół często kończy się katastrofą. Ale ta kobieta wypełniała swoje obowiązki ochmistrzyni wyjątkowo dobrze i utrzymywała cały dom w idealnym porządku. Była też wobec Adelicii niezwykle lojalna... Czasem jednak ta lojalność prowadziła ją do podejrzliwości w takich sytuacjach, gdy zupełnie nie było to potrzebne. Tak jak zapewne i teraz.

Pani Routh przystanęła przy klatce schodowej, rozejrzała się wokół i zbliżyła w jego stronę.

– Chodzi o... – Zerknęła w głąb holu wejściowego. – ...o tę nową pracownicę.

Jego zainteresowanie wzrosło.

– O pannę Laurent?

Kiwnęła głową, a w jej rysach odmalowała się niechęć.

– Nie chciałabym przekraczać swoich kompetencji, sir, ale... zastanawiam się po prostu, co my tak naprawdę o niej wiemy.

Gdyby Sutton nie znał jej lepiej, pomyślałby, że próbuje wyciągnąć z niego jakieś plotki. Jednak nie pani Routh. Była szczera oraz prawa i oczekiwała tego samego od innych.

– Czy jakieś zachowanie panny Laurent sprawiło, że poddaje pani w wątpliwość jej zamiary?

Przez oblicze kobiety przemknęło przerażenie.

– Nie, sir, i proszę, by nie traktował pan tego, co mówię, jako sugestię, że ta młoda kobieta miałaby zrobić coś niewłaściwego. Chodzi jedynie o to, że... hm... Weźmy na przykład dzisiejszy poranek. Przyłapałam ją w saloniku, kiedy przypatrywała się jednej z rzeźb pani Acklen. Stała tam i po prostu się na nią gapiła. – To powiedziawszy, kobieta uniosła brew.

– Zastała ją tam pani, gdy gapiła się na rzeźbę? – Sutton musiał powstrzymywać uśmiech.

– Tę przedstawiającą małą dziewczynkę.

Sans Souci [35]. Adelicia kupiła ją w Rzymie podczas ich podróży.

– Może po prostu ją podziwiała.

– Też tak pomyślałam. Na początku. A potem zobaczyłam, jak przykuca i zaczyna szukać czegoś przy postumencie. – Pochyliła się bliżej rozmówcy. – Kiedy zapytałam ją, czego szukała, odparła, że patrzyła, kto jest autorem.

Sutton uśmiechnął się, bez trudu wyobrażając sobie całą tę sytuację.

– Może tak właśnie było.

Pani Routh spojrzała na niego, jakby mu chciała powiedzieć, żeby nie był naiwny, i wtedy dotarło do niego, co tak naprawdę mogła insynuować.

– Czy pani sugeruje, pani Routh, że panna Laurent... przyjechała do Belmont z niezbyt szlachetnych powodów?

Nawet nie umiał ocenić wartości kolekcji dzieł sztuki, jakie posiadała Adelicia. Nie tylko rzeźb i obrazów, ale całej biżuterii, wiekowych woluminów i pamiątek rodzinnych oraz podarunków od zagranicznych

dygnitarzy. Od lat ją namawiał, by skatalogowała to wszystko. Pewnie potrzeba by było wielu tygodni, aby zostało to właściwie przeprowadzone. Ale żeby Claire Laurent miała być złodziejką dzieł sztuki? Na samą myśl o tym chciało mu się śmiać.

Pani Routh nagle odwróciła wzrok, a na jej twarzy malowało się poczucie winy.

– Przepraszam, sir, że w ogóle poruszyłam ten temat. Nie powinnam była tego robić bez właściwych...

Sutton dotknął jej ramienia.

– Pani Routh, nie powinna pani robić sobie wyrzutów z powodu tego, że żywi pani jakieś obawy, jeśli chodzi o dobro pani Acklen. Doceniam pani troskę i uwagę, tak jak i sama pani Acklen. I proszę być pewną, że szczególnie uważnie przypatrujemy się każdej osobie, która jest zatrudniana w Belmont.

Kiwnąwszy ugodowo głową, ochmistrzyni życzyła mu dobrej nocy. Jednakże Sutton odczuł jakieś ukłucie niepokoju, gdy wracał z powrotem do wejściowego holu, gdyż miał świadomość, że wcale zatrudnionej ostatnio osobie nie „przypatrzył się szczególnie uważnie”, tak uważnie, jak to zawsze czynił. Przynajmniej nie, zanim zaczęła tu pracę. To wszystko przez pospieszną decyzję pani Acklen.

Wysłał list do swojego kolegi w Nowym Orleanie, tak jak go proszono, ale na odpowiedź trzeba będzie czekać jeszcze kilka tygodni. Zastanawiał się, czy nie posłać telegramu. Choć ostatnim razem, kiedy to uczynił, a zapytanie zawierało potencjalnie drażliwe informacje, odzew szybko stał się pożywką dla plotek. Zatem dopóki nie otrzyma odpowiedzi na swój list, będzie musiał po prostu uważnie obserwować Claire. I jeżeli odkryje, że w środku nocy wynosi przez główne drzwi jakieś rzeźby, od razu ją zdemaskuje.

Uśmiechnął się na samą myśl o tym i podszedł bliżej do drzwi gabinetu, z którego dobiegały ściszone głosy.

– Proszę zatem opowiedzieć mi coś więcej o ciastach. Wie pani, jak przygotować napoleonkę?

Rozpoznając tłumiony entuzjazm w głosie Adelicii, Sutton zbliżył się jeszcze bardziej i zauważył, że drzwi do gabinetu są lekko uchylone. Cokolwiek Claire wymyśliła tym razem, pani Acklen najwyraźniej się to spodobało. I to bardzo! Choć wątpił, by jeszcze teraz tak otwarcie się do tego przyznała. Adelicia była bardzo wielkoduszna, lecz nie umiała szybko zaufać. I wcale się jej nie dziwił, po tym wszystkim, co przeszła.

Od razu przypomniał mu się list, który miał w kieszeni.

Wyłonił się zza ściany, która go zasłaniała, i zapukał do drzwi. Otworzyły się szerzej.

– Dobry wieczór paniom.

Claire kucała koło krzesła pani Acklen. Ich głowy uniosły się jednocześnie.

– Dobry wieczór, panie Monroe. – Adelicia zaprosiła go gestem do środka. – Musi pan mieć za sobą bardzo pracowity dzień.

– Tak, szanowna pani. Można to tak określić.

Adelicia na dłużej skrzyżowała z nim spojrzenie, on zaś bez jednego słowa wiedział, iż domyśliła się już, że przynosi złe nowiny. Wiedział też, że to musi poczekać, aż Claire wyjdzie.

Uśmiech Adelicii nie zniknął ani na chwilę.

– Przegapił pan wspaniałą kolację z Worthingtonami – rzekła. – Cordina po raz kolejny przeszła samą siebie, a pani Worthington była szczególnie zachwycona tą nową rzeźbą w holu.

Sutton przysiadł na jednym ze smukłych krzeseł, które zawsze wydawały mu się trochę niewygodne.

– Czyżby zaproponowała, że ją od pani kupi?

– W zasadzie tak. Na swój subtelny sposób. – Adelicia zmrużyła powieki. – A ja, oczywiście, uprzejmie odmówiłam.

Sutton pokręcił głową i zwrócił całą uwagę na Claire, co bardzo pragnął uczynić, odkąd tylko wszedł do pokoju.

– Co ja tu słyszałem o napoleonce?

Oczy Claire błysnęły. Przytknęła palec do ust.

– To jeden z deserów, które będziemy podawać podczas przyjęcia urodzinowego Williama – wyszeptała, jakby ktoś mógł podsłuchiwać za rogiem. – Spisałam przepis dla Cordiny... – Zerknęła na Adelicię. – ...i wcześniej, jeszcze w tym tygodniu znajdę trochę czasu, żeby jej pomóc przyrządzić to ciasto. Taki... powiedzmy, próbny deser.

Sutton dostrzegł ukradkowe spojrzenie, które posłała mu Claire, i uśmiechnął się. Widział, że Adelicia również się uśmiecha, choć czekała, by się dowiedzieć, jakich to złych wiadomości nie chciał jej przekazać.

Jakby wyczuwając tę niemą wymianę pomiędzy nimi, Claire podniosła się z miejsca. Sutton odruchowo zrobił to samo. Dopiero wtedy zauważył jej suknię. A raczej to, jak ta suknia wyglądała na niej! Głęboki antracyt uwydatniał błękit jej oczu, a krój wspaniale podkreślał jej kształtną kibić. Gdy dotarło do niego, że się gapi, odwrócił szybko wzrok i spotkał się z nad wyraz czujnym spojrzeniem Adelicii.

Odchrząknął i musiał sam sobie przypomnieć, by przełknąć ślinę.

– Pięknie pani dzisiaj wygląda, panno Laurent. Czy to nowa suknia?

Jakby instynktownie przesunęła dłonią po tkaninie, posyłając w jego stronę uśmiech, po którym od razu pożałował, że nie przyjechał kilka godzin wcześniej.

– Tak. – Zerknęła na Adelicię. – Widząc, że moje kufry jeszcze nie przyjechały, pani Acklen zaproponowała, żebym kupiła coś

odpowiedniejszego na dzisiejszą kolację i... nadającego się bardziej na czas noszenia żałoby.

Dało się wyczuć delikatną zmianę w jej głosie i Sutton skinął głową, przypomniawszy sobie, że straciła ostatnio rodziców.

– Cóż... – Claire się odwróciła. – Jeśli pan i pani wybaczą... – Zaczęła zbierać rzeczy z małego stolika. Wszystko, co najwyraźniej dotyczyło przyjęcia urodzinowego Williama. – Ja już się pożegnam i życzę dobrej nocy.

Adelicia wstała.

– Oczywiście, panno Laurent. Rzeczywiście zrobiło się późno. Dziękuję jeszcze raz za pani aktywny udział w dyskusji podczas dzisiejszej kolacji. Nie wiedziałam, że tak dobrze się pani orientuje w świecie sztuki.

Sutton podniósł wzrok, od razu zwracając uwagę na ten komentarz, który zasiał w nim lekkie wątpliwości.

– Och... – Claire odwróciła oczy. – Nie jestem aż tak dobrze zorientowana, proszę pani, po prostu bardzo lubię sztukę. Szczególnie malarstwo.

– Zauważyłam. – Pani Acklen podniosła coś ze stołu. – Panie Monroe, widział pan, co panna Laurent zaplanowała jako upominki dla gości? Są bardzo ładne.

„Bardzo ładne”. To była wyjątkowa pochwała z ust Adelicii. Umieściła zabawkę na jego dłoni. Kiedy byli w Europie, zauważył dzieci, które bawiły się takimi grubymi drewnianymi dyskami. W środku przywiązany był sznurek i cel zabawy wydawał się prosty – pozwolić dyskowi opaść, a następnie ruchem nadgarstka należało go poderwać i zwinąć. Na boku trzymanej przez niego zabawki eleganckim pismem wymalowano bordową literę „A”. Spersonalizowane, jak widać.

Czuł, że obie panie obserwują go, czekając na reakcję, więc skinął głową.

– Ładne. Bardzo ładne.

– To *joujou* – powiedziała Claire, podchodząc bliżej. – Przynajmniej tak na to mówimy we Francji. Znaczy tyle co mała zabawka. Dzięki pomocy Eliego dzisiaj udało mi się skontaktować z tutejszym stolarzem. Był tak miły, że przygotował dla mnie prototyp.

– Proszę przewrócić na drugą stronę, panie Monroe – poinstruowała go Adelicia z uśmiechem w głosie. – Niech pan zobaczy, co panna Laurent tam namalowała.

Wykonał polecenie i chociaż nie potrafił wyjaśnić dlaczego, poczuł pewien niepokój pomieszany z zaskoczeniem.

19

Sutton przesunął się w stronę lampy i przytrzymał *joujou* bliżej światła, zaskoczony precyzją szczegółów, które Claire udało się uchwycić na miniaturowym przedstawieniu rezydencji Belmont. Malutki wizerunek posiadłości namalowany na zabawce w identycznym jak w naturze czerwonawym odcieniu zawierał wszystkie detale, takie jak: białe kolumny, balkony z czarnymi żeliwnymi barierkami, kopułę, gzymsy, a nawet figury zdobiące linię dachu.

Obserwował rysunek jeszcze dokładniej i wtedy do niego dotarło... przedstawiając najważniejsze szczegóły architektoniczne rezydencji, udało się jej w jakiś sposób ująć to porywające uczucie, którego doświadcza się, gdy po raz pierwszy widzi się ten wspaniały majątek. I to wszystko na małej zabawce. Nic dziwnego, że Adelicia była zadowolona. On też byłby zadowolony, gdyby nie te niedające mu spokoju wątpliwości co do osoby Claire. Uwagi pani Routh sprzed kilku chwil tylko wzmogły ten niepokój.

– Pani to namalowała, panno Laurent? – spytał Sutton. Słysząc w swoim głosie niedowierzanie, szybko się wytłumaczył: – To znaczy nie chciałem pani urazić. Jestem po prostu... zaskoczony. I pod wrażeniem.

– Nic się nie stało, panie Monroe. – Twarz Claire promieniała od doświadczanego uznania. – Miło mi, że się panu podoba, że państwo oboje są zadowoleni. Tak jak omawiałyśmy to już z panią Acklen, motywem przewodnim przyjęcia będzie temat: „Ukryte skarby”. Umieścimy każde *joujou* na dnie worka ściąganego na sznurek, który następnie wypełnimy słodyczami.

– I... – Adelicia sięgnęła po coś leżącego na stole za nią. – Rozdamy również to. Nazywa się to *bombonnière*, co po francusku znaczy: „pudełko słodyczy”. Panna Laurent wymyśliła, żeby na nich też namalować rezydencję, niech pan zobaczy. – Wskazała na taki sam obrazek, który Claire stworzyła na wieczku, tylko tym razem większy. – Damy je rodzicom jako dowód naszej wdzięczności, a w środku będzie – ukryta niczym skarb – mieszanka migdałów w lukrze i prażonych orzechów nerkowca.

– Świetny pomysł, drogie panie. – Sutton musiał przyznać, że temat był wspaniały. – Wygląda na to, że mają panie już wszystko zaplanowane i to w typowym dla Belmont stylu.

– To prawda.

Entuzjazm Claire zdradzał jej radosne oczekiwanie, które tak bardzo chciałby podzielać. Pomagając jej zebrać wszystkie rzeczy do pudełka, myślał, że ona pewnie nawet nie zdaje sobie sprawy z tego, jak ważne dla jej pracodawczyni było to dziecięce przyjęcie. Nie chodziło jedynie o urodziny Williama. To stanowiło pierwszy mały krok pozwalający Adelicii na powrót do społeczności po tym, jak jej rodzina wróciła z Europy.

Ta wielka podróż w trakcie ich nieobecności była na ustach wszystkich z Nashville. Przynajmniej tak mu mówiono. A wystawny remont domu oraz odnowienie ogrodów, które zarządziła Adelicia jeszcze przed wyjazdem, tylko dolały oliwy do ognia plotek, na wiele miesięcy. Dlatego też szczególnie cieszył się z faktu, że Claire dopilnowała wszystkich detali.

Dygnąwszy uprzejmie, asystentka życzyła dobrej nocy i wyszła. To ulotne spojrzenie za siebie, które posłała w jego stronę przy wyjściu, sprawiło, że serce zabiło mu szybciej, niż powinno.

Adelicia natychmiast zwróciła się w jego kierunku, ale Sutton odczekał chwilę. Przeszedł przez gabinet i wyjrzał na zewnątrz na cichy korytarz, a następnie zamknął drzwi. Wiedział, że nie ma co ubierać tych nowin w piękne słówka. Jego pracodawczyni zawsze wolała bezpośrednie informacje.

Wyjął kopertę z kieszeni i wyciągnął w jej stronę.

– To od prawnika z Saint Francisville w Luizjanie. Sąd okręgowy orzekł, że musi pani zapłacić panu Alexandrowi Walkerowi dwadzieścia pięć tysięcy dolarów za jego pomoc przy sprzedaży bawełny.

Adelicia z kamienną twarzą wzięła kopertę, usiadła na krześle i przeczytała list. Następnie szybko złożyła go z powrotem, nic nie odpowiadając. Jednak Sutton mógł nieomalże usłyszeć jej myśli.

Zajął miejsce na krześle obok niej.

– Wiedzieliśmy, że tak się może stać.

Miała mocno zaciśnięte usta.

– Żona pana Walkera spotkała się z nami w Nowym Orleanie rano tamtego dnia ponad dwa lata temu. Zgodziła się na zapłatę w kwocie pięciu tysięcy dolarów, obiecując w zamian udział jej męża. Czy to nic nie znaczy? – Zwróciła się do niego. – Pan tam był. Ich prawnik też. Przyjęcie zapłaty tamtego dnia stanowi w świetle prawa czynność konkludentną. Czyż nie, panie Monroe?

Wiedział, że nie musi jej wykładać meandrów prawa. Ta kobieta wyrosła na książkach prawniczych z biblioteki jej ojca i – według tego, co mówił jej nieżyjący mąż, który był jednym z najlepszych prawników, jakich znał Sutton – zaczęła omawiać z ojcem różne sprawy już w wieku ośmiu lat. Wiedział, że to było nierealne, ale pomyślał sobie, że sama byłaby świetnym prawnikiem.

– Pani Acklen, chciałbym, żeby prawo było tak jednoznaczne, jednak oboje wiemy, że nie jest. W idealnym świecie...

– Proszę, niech mi pan oszczędzi wykładu na temat idealnego świata, panie Monroe. W idealnym świecie sprawiedliwość zawsze byłaby ślepa, a wszystkie wyroki byłyby słuszne – powiedziała tak, jakby miała przed sobą studenta pierwszego roku prawa.

Sutton ugryzł się w język, świadomy, że była zdenerwowana i rozczarowana. Tak samo jak on, kiedy po raz pierwszy przeczytał ten list. On jednakże miał luksus trzech minionych godzin, podczas których mógł przetrawić swoją frustrację. Jej dano jedynie trzy minuty. A poza tym chodziło o jej pieniądze, nie jego.

– Proszę przyjąć moje przeprosiny, proszę pani, jeśli moje słowa brzmiały jak banał. Nie chciałem, ale to nie zmienia faktu, że... – Z najgłębszym szacunkiem i szczerą troską o nią zmierzył się z nią wzrokiem. – Jest pani wyjątkowo bogatą i znaną wdową, która dokonała szczególnie istotnej rozgrywki podczas burzliwego dla tego kraju okresu.

– Doglądałam tylko swoich własnych spraw, panie Monroe. W taki sposób, jaki wydawał się mi najlepszy.

– Jestem tego świadomy, ale ludzie nie zapomnieli, że była pani oskarżona przez unionistów o „współudział z rebeliantami”. Konfederaci zaś określili panią kobietą Unii.

Prychnęła drwiąco.

– Wie pan dobrze, że moim celem było ocalić bawełnę. I zadałam sobie wiele trudu oraz wiele ryzykowałam, aby to uczynić. Proszę nie zapominać o moim uwięzieniu! Przez trzy dni trzymano mnie w areszcie domowym! – Westchnęła z irytacją. – Nie mogłam tak po prostu stać i patrzeć, jak trzy lata pracy i potencjalnych przychodów zostałyby spalone do cna, tylko

dlatego, by zaspokoić nienasycone pragnienie destrukcji jakiegoś tam generała.

Sutton pochylił się w jej stronę.

– Oczywiście, ja to wiem. Byłem tam – przypomniał jej łagodnie. – Proszę mnie zrozumieć, pani Acklen. Nie kwestionuję motywów pani działań. Staram się tylko zobrazować, jak zapewne patrzył na tę sprawę sąd okręgowy.

– Widzę, co chce pan powiedzieć, panie Monroe, ale nie potrafię dostrzec związku pomiędzy tym a człowiekiem, który zgadza się przyjąć określoną zapłatę za swoje usługi, tylko po to, żeby później zmienić zdanie i składać sprawę o większą sumę, gdy odkrył, jak wiele pieniędzy otrzymał jego pracodawca. – Wziąwszy głęboki wdech, wstała i podeszła do okna. – Takie postępowanie jest nieuczciwe i złe i nie powinno zostać wynagrodzone. Ani przez sąd, ani tym bardziej przeze mnie!

Znużony walką w tej prawniczej potyczce Sutton oparł głowę na dłoniach, siląc się, by znaleźć odpowiednie słowa dla kolejnych myśli, a jednocześnie wiedząc, że musi jakoś je zwerbalizować. W końcu się wyprostował i rzekł:

– Zachęcałem już, żeby odpuściła pani tę sprawę, i moja rada w tym względzie się nie zmienia. Co się stało, to się nie odstanie. I tak jak sama pani przyznała, drugi raz postąpiłaby pani tak samo. Jednakże... mimo że wojna się skończyła, nadal jest wiele napięć i wciąż kwestionuje się wierność niektórych ludzi.

– Tak jak i moją.

– Tak, proszę pani. Tak jak i pani. – Przypomniawszy sobie, jak powiedziała mu kiedyś, że woli, gdy mówi jej prawdę, ciągnął dalej, licząc, że nie zmieni zdania, aż on skończy. – Jak sama pani wie... sąd jest tak sprawiedliwy, jak zasiadający w nim sędzia i ława przysięgłych. To ludzie

są odpowiedzialni za interpretację prawa, a przecież każdy z nas ma swoją przeszłość, doświadczenia i tym samym pewne uprzedzenia.

Spojrzał na nią, ale nadal wpatrywała się w okno.

– Pod koniec wojny... kiedy większości ludzi trudno było znaleźć pożywienie i schronienie dla swoich rodzin – co zresztą nadal nierzadko ma miejsce – udało się pani wyprowadzić w pole dwie armie i przetransportować dwa tysiące osiemset bel bawełny przez wrogie szeregi. I sprzedała je pani... za milion dolarów, a potem wyruszyła pani w wielką podróż po Europie. Tymczasem inni, powiedzmy sędzia albo ludzie zasiadający w ławie przysięgłych – obserwował ją uważnie, próbując wyczytać coś z jej postury – wrócili do swoich domów, które zostały doszczętnie spalone, i do swojego życia, które zostało rozerwane na strzępy. – Zacisnął mocno powieki. – Proszę, niech mnie pani uważnie posłucha, pani Acklen. Nie osądzam pani. To nie o to chodzi. Ale jestem stanowczo przekonany, że ta decyzja sądu okręgowego na korzyść pana Walkera jest w rzeczywistości potępieniem pani wyborów i fortuny, jaką zgromadziła pani podczas wojny.

Adelicia nadal wpatrywała się w otwarte okno, a Sutton czekał, wsłuchując się w tykanie zegara odmierzającego kolejne sekundy. W końcu odwróciła się w jego stronę.

– Pan Walker nigdy nie dostanie ani centa więcej niż te pięć tysięcy dolarów, które już otrzymał i na które na początku się zgodził.

Sutton spojrzał z rezygnacją.

– Dokładnie to spodziewałem się od pani usłyszeć. Dlatego też zacząłem już pierwszy szkic apelacji do Sądu Najwyższego Luizjany. Pewnie zajmie im to kilka miesięcy, żeby zapoznać się z tą sprawą i wydać ostateczny wyrok, ale ufam, że jeśli decyzja sądu okręgowego podyktowana

była osobistymi uprzedzeniami, zostaną one z pewnością skorygowane w końcowym orzeczeniu Sądu Najwyższego.

Skinęła głową.

– Dobrze, panie Monroe. Bardzo dobrze. Jestem wdzięczna, że działa pan, jak zawsze, z należytą starannością.

– Nie ma za co, szanowna pani. – Westchnął. – A teraz, skoro nie ma już innych spraw, myślę, że udam się na spoczynek. Dobrej nocy, pani Acklen. – Skłonił się szybko i odwrócił do wyjścia.

– Jeszcze jedno, panie Monroe.

Sutton zwrócił się w jej stronę, przyzwyczajony do jej częstego przypominania sobie o „jeszcze jednym”.

– Czy otrzymał już pan jakieś wieści od komisji rewizyjnej? Czy wydali już wyrok?

Samo wspomnienie o komisji rewizyjnej wzbudziło w nim przypływ emocji i żalu, z którymi nie chciał się teraz mierzyć.

– Nie, proszę pani. Jeszcze nie. Z pewnością powiem pani, gdy będę coś wiedział. – Odwrócił się, by wyjść.

– Proszę o wyrozumiałość, panie Monroe, ale w związku z tym tematem... mam jeszcze jedno pytanie.

Stłumiwszy westchnienie, Sutton po raz kolejny się odwrócił. Z całą pewnością mogła wyczytać z jego wyrazu twarzy, że dla niego to już zamknięty temat. Ale nie dla niej.

Jednakże nie była w stanie wytrzymać jego spojrzenia.

– Muszę to wiedzieć, żebym mogła w końcu spokojnie zasnąć, gdy złożę głowę na poduszce... – Jej ton i sposób zachowania nabrały jakiejś niepewności. – Kiedy myśli pan o ojcu, świeć Panie nad jego duszą, i o tym, co rząd chce teraz uczynić, próbując zabrać pańskie rodzinne ziemie, pańskie dziedzictwo... Czy choć przez moment przeszło panu przez

myśl, by porównywać swoją sytuację z moją i... – Na chwilę odwróciła wzrok. – Czy kiedykolwiek pomyślał pan o mnie źle z powodu wyborów, jakich dokonałam, i tego, co one przyniosły?

Zaskoczyła go tym pytaniem. Fakt, że nie było jej obojętne, co myślał, i że bała się, iż mógłby mieć coś przeciwko niej, sprawił, że poczuł dziwne pieczenie pod powiekami. Spuściwszy oczy, odparł:

– O ile dobrze rozumiem, pyta mnie pani, czy kiedy przyjeżdżam do Belmont i widzę tę wspaniałą posiadłość, darzę panią niechęcią z tego względu, że nie straciła pani domu podczas wojny... i czy w sytuacji, gdy ja straciłem swoje dobra, odczuwam zazdrość o pani fortunę, i to tak niemałą w tamtym czasie, która jeszcze się powiększyła w wyniku pani decyzji, by walczyć o ochronę swoich własnych interesów podczas wojny. – W końcu spojrzał na nią. – Czy dobrze zrozumiałem pani pytanie?

Słyszał jej oddech z drugiego końca pokoju.

– Tak, panie Monroe. Dobrze i z typową dla pana dokładnością.

Dostrzegając w jej spojrzeniu szczerość, postąpił o krok w jej stronę.

– Skłamałbym, gdybym odparł, że takie pytania nigdy mnie nie dręczyły. To prawda – wyszeptał. – I nadal od czasu do czasu tak miewam. – Przełknął z trudem. – Jednakże nie oceniam pani z powodu pani wyborów czy ich konsekwencji. Wierzyła pani, że to Bóg kieruje panią do Luizjany. Patrzyłem, jak wymanewrowywała pani tę bawełnę przez tereny zajęte przez Armię Konfederacji, używając wozów i mułów unionistów. – Uśmiechnął się nieznacznie i zobaczył, że zrobiła to samo. – Ale tamtej nocy nie chroniła pani tylko swojej bawełny. Chroniła pani spuściznę swego zmarłego męża oraz zabezpieczenie finansowe pani dzieci. – Jeśli o mnie chodzi... – Westchnął. – Ja również mierzę się z konsekwencjami własnych wyborów, choć nie były one tak korzystne. Odmówiłem podpisania przysięgi wierności Unii i chwyciłem za broń, stając przeciwko

Unii. Mój ojciec... – Oczy piekły go coraz bardziej. – Mój ojciec chciał podpisać przysięgę, żeby zachować pokój, by zasiać ziarno nowego narodu, ale ja... – Wziął głęboki wdech, wspominając tę ostatnią rozmowę z ojcem. – Ja przekonałem go, by tego nie czynił, tłumacząc mu, że podpisując to, zdradzi rodzinę i przyjaciół. A przede wszystkim... mnie. I w końcu to on zapłacił cenę, którą ja powinienem był zapłacić.

– Panie Monroe, nie jest pan odpowiedzial...

Uniósł dłoń.

– Nie – wyszeptał. – Gdyby była pani na moim miejscu, czułaby pani dokładnie to samo.

Jej twarz przybrała bardziej czujny wyraz, po czym kobieta spuściła głowę.

– I jeżeli cokolwiek to znaczy, wydaje mi się, że Bóg mógł dopuścić, by tamta bawełna się spaliła, nawet pomimo pani walki, by ją ocalić. Ale On pozwolił, aby pani ją ocaliła i sprzedała. Myślę, że taki był Boży zamiar.

– I jaki byłby tego cel, panie Monroe?

Pokręcił głową, sięgając dłonią w stronę klamki.

– To, pani Acklen, pozostaje już pomiędzy panią a Stwórcą.

Zamknął za sobą drzwi. A kiedy jakiś czas później kładł się do łóżka, sam w kwaterach dla gości usytuowanych przy galerii sztuki, gdy w przeciwległym skrzydle towarzyszyły mu jedynie bezcenne obrazy i rzeźby, odepchnął od siebie wszystkie bolesne myśli i chwycił się pierwszej miłej, która przyszła mu do głowy.

Claire.

To nic dziwnego, że o niej myślał, tłumaczył sobie. W końcu byli znajomymi, i przyjaciółmi. Pozwolił, by to określenie się w nim zadomowiło. Zdawał sobie sprawę, że niezbyt dobrze określało jego

uczucia wobec tej kobiety, ale podejmowanie takich rozważań prowadziło na kolejne rozdroża.

Na biurku leżał ostatni list Cary Netty i wiedział, że powinien na niego odpowiedzieć. Wkrótce miała przyjechać, a on wcale nie był aż tak entuzjastycznie nastawiony wobec perspektywy ponownego spotkania z nią, jak powinien. Głównie z uwagi na to, jak rzekomo daleko zaszedł ich związek. Właściwie jakaś część w nim obawiała się jej przyjazdu, co tylko potęgowało jego wyrzuty sumienia.

Podniósł się, przetrzepał kilka razy poduszkę i spróbował się ułożyć wygodniej.

„Nie wiedziałam, że tak dobrze się pani orientuje w świecie sztuki” – odbiła mu się echem w głowie uwaga Adelicii skierowana do Claire. Oraz to, co powiedziała mu pani Routh.

Nie martwił go fakt, że Claire tak dobrze malowała, ale to, że nic o tym nie wspominała. Ani słówkiem. Nic takiego sobie nie przypominał. A to wydawało się nieprawdopodobnym przypadkiem, że ktoś równie utalentowany malarsko i najwyraźniej „dobrze zorientowany w świecie sztuki” tak po prostu pojawia się znikąd i zaczyna pracować dla najbogatszej i być może najbardziej wpływowej osoby w świecie artystycznym Nashville w stanie Tennessee. A może i nawet we wszystkich południowych Stanach.

20

Z pędzlem w dłoni Claire obróciła się na krześle, by sprawdzić godzinę na stojącym na kominku zegarze. Gdyby tylko mogła na chwilę zatrzymać czas. Tydzień minął jej zbyt szybko, a jeszcze tyle trzeba było zrobić. Był już piątkowy wieczór. Przyjęcie jutro o pierwszej, dokładnie za osiem godzin, a musiała jeszcze przygotować trzy *joujou* i cztery *bombonnière* oraz napisać i poukrywać wskazówki do gry w podchody.

Mimo to czerpała wielką przyjemność z każdej minuty tych przygotowań, szczególnie z malowania. A także z uznania pani Acklen, które, jak miała nadzieję, dobrze rokowało dla niej w kwestii pozostania na stanowisku *liaison*. Pani Adelicia zaakceptowała motyw przewodni, upominki dla gości, zaproszenia i menu – co do najdrobniejszych szczegółów. Nawet William wydawał się podekscytowany planami na ten dzień.

Claire przeprostowała plecy, po czym zdmuchnęła kosmyk włosów z oczu. Zaczynał ją łapać skurcz w prawej dłoni, więc przerwała, by rozluźnić palce, a potem namalowała „A” na kolejnym *joujou*, dodając kilka eleganckich zawijasów, aby wydobyć głębię.

Trzymając zabawkę za krawędź, ostrożnie odwróciła ją i zaczęła malować z drugiej strony. Zamrugała kilka razy, gdyż oczy zaczęły jej łzawić. Wiedziała, że ten obraz już na zawsze wyryje się w jej pamięci po tym, jak wymaluje go dziesiątki razy.

Jakiś czas później u drzwi sypialni rozległo się pukanie.

– Kapitanie Laurent?

Uśmiechnęła się.

– Proszę, wejdź, Willisterze.

Żadnej reakcji.

Kusiło ją, żeby wziąć go na przeczekanie, ale stwierdziła, że nie mają czasu.

– Proszę, wejdź, Suttonie.

Drzwi otworzyły się natychmiast.

– Melduję gotowość, kapitanie Laurent. – Podszedł do niej i zasalutował.

Uśmiechnęła się szeroko. Dał jej to śmieszne przezwisko, kiedy się dowiedział, jak licznych służących zaciągała do pomocy minionego tygodnia.

– Spocznijcie, kapralu.

– Kapralu? Wczoraj byłem porucznikiem.

– Tak, ale wczoraj przyniosłeś mi kawałek ciasta dyniowego. – Zerknęła na niego wyczekująco.

Z błyskiem w oku szturchnął ją po przyjacielsku w ramię.

– Ależ z ciebie rozpuszczony oficer!

Śmiejąc się, wróciła do pracy.

– Jeszcze parę minut i będę gotowa.

– Ile czasu zajmuje ci namalowanie takiego jednego obrazka? – zapytał, uklęknąwszy obok niej.

– Tylko jakieś trzydzieści minut właściwego malowania... – Dokończyła ostatnie pociągnięcia pędzla na miniaturowej rezydencji i postawiła *joujou* na krawędzi, żeby farba wyschła, na tyle ostrożnie, by zabawka nie stoczyła się z biurka. – Ale muszę potem czekać, żeby dodać detale.

– Hmmm... bardzo czasochłonne.

– Tak. – Włożyła pędzel do kubka z terpentyną. – Lecz mam nadzieję, że tego warte.

Wyprostował się.

– Bez wątpienia te upominki dla gości będą bardzo udane. Tak jak i wszystko inne. – Zerknął w stronę okna. – Ale chyba powinniśmy już zacząć. Z tego, co mówiłaś wczoraj wieczorem, będziemy mieć dużo pracy, a teraz szybko robi się ciemno.

– Wyjechali już?

Pokiwał głową.

– Kareta właśnie odjechała. Pani Acklen powiedziała, że wróci z dziećmi, jak już będzie po zmroku.

– Doskonale! Powinno nam wystarczyć czasu, jeśli się pospieszymy. Czy mógłbyś, proszę, wziąć ten koszyk z komody? – Wskazała dłonią. – A ja wezmę to. – Chwyciła kwadratowe kawałki ceraty, które wcześniej poprzycinała, a także niebieskie oraz różowe wstążki. – Jesteśmy gotowi.

Był ubrany dużo swobodniej, niż kiedykolwiek go widywała – bez marynarki i krawata – i podobała jej się ta odmiana. Bardzo! Biała koszula dobrze się układała na jego ramionach i torsie, a podwinięte rękawy ukazywały umięśnione przedramiona. Modnie skrojone szare spodnie leżały na nim idealnie, jak zdążyła zauważyć w przelotnym spojrzeniu, na które sobie pozwoliła... dwa razy.

Widywali się w ciągu tygodnia, ale głównie podczas kolacji i zawsze w towarzystwie innych osób. Sprawiał wrażenie zatroskanego i chciała go nawet o to zapytać, bo zastanawiała się, czy to nie przez coś, co powiedziała lub zrobiła. Może jednak miało to związek z częstymi ostatnio spotkaniami za zamkniętymi drzwiami z panią Acklen. Cokolwiek to było, do tej pory nie nadarzyła się dobra okazja, by o to zapytać. Aż do teraz...

– Myślałam, że możemy zacząć tutaj. – Wskazała na oplecioną winoroślą altanę najbliżej domu. – Naprawdę dziękuję ci, że mi przy tym pomagasz, Suttonie. Wiem, że miałeś bardzo pracowity tydzień. Zdaje się, że pełen spotkań. – Zerknęła na niego. – Mam nadzieję, że wszystko w porządku. Że... nie stało się nic złego...

– Wszystko dobrze. I z przyjemnością mogę ci pomóc. – Zaprosił ją gestem, by pierwsza weszła do altany, a potem poszedł za nią. – Od momentu, gdy na początku w ogóle nie miałaś pojęcia, co zrobić z przyjęciem Williama, aż do teraz osiągnęłaś bardzo dużo w wyjątkowo krótkim czasie.

Chociaż jego zachowanie wydawało się całkiem swobodne, wyczuła, że unika wcześniejszego pytania, co tylko wzmogło jej ciekawość tematu tych spotkań z panią Acklen. Kiedy rozkładała ceraty na ławce w altanie, ta ciekawość nagle przerodziła się w złe przeczucie.

A co, jeśli te rozmowy dotyczyły jej osoby? Kwestii, czy dostanie tę pracę? Albo jeszcze gorzej... może dowiedzieli się czegoś o niej? Albo o galerii w Nowym Orleanie? Na samą myśl o tym wzdrygnęła się z przerażeniem. Wiedząc, że Sutton ją obserwuje, zdusiła swoje obawy najlepiej, jak potrafiła.

– Dziękuję, Suttonie. Otrzymałam wiele cennej pomocy.

– Masz również sporo ciekawych pomysłów. Pani Acklen jest wyraźnie pod wrażeniem. – Popatrzył na nią. – Jak i ja.

Zamarła.

– Dziękuję... Nawet nie wiesz, ile dla mnie znaczy słyszeć to z twoich ust.

Wyglądał teraz na zmieszanego.

– Dlaczego? Czyżby dlatego, że powiedziałem ci, że nie uważam cię za najbardziej wykwalifikowaną na to stanowisko?

– Nie. – Sięgnęła po koszyk z karteczkami, który trzymał. – Dlatego, że cenię sobie twoje zdanie. Nie chciałabym cię poprawiać, ale... – Spojrzała mu prosto w oczy, na nowo przeżywając gorycz tamtej uwagi. – Powiedziałeś, że wydaje ci się, że w ogóle nie można mnie zaliczyć do najlepiej wykwalifikowanych kandydatek.

Na jego twarzy pojawiło się nagłe przerażenie i złapał się za pierś, jakby wbiła mu sztylet. Zrobił chwiejny krok w tył, a wstrząs na jego twarzy zastąpiła agonia. Zaraz potem wypadł z altany i swoim *derrière* [36] wylądował na trawie.

Z szeroko rozwartymi oczami patrzyła na to w niedowierzaniu, a w środku zbierało się jej na śmiech. Była zaskoczona, że zrobił coś takiego, a jednocześnie zachwycona. Zabolało ją to, co wtedy od niego usłyszała, i chciała, żeby o tym wiedział. I, och... jakże dobrze było móc powiedzieć to, co chciała, i to w tej właśnie chwili, gdy chciała! I jeszcze wywołała tym taką reakcję! Dodało jej to niesamowitej odwagi.

Spojrzała na niego z góry i uniosła wyniośle brew.

– Jeśli masz zamiar tak siedzieć i się gapić, to zajmie nam to całą noc.

Zerwał się z ziemi z szerokim uśmiechem, a następnie otrzepał i nisko skłonił.

– Jestem do pani usług, *mademoiselle*. Najpierw jednak... – Dołączył z powrotem do niej w altanie. Wcześniejsze rozbawienie gdzieś zniknęło. – Proszę przyjąć moje przeprosiny. Nie chciałem cię zranić, Claire. Najbardziej cenię sobie szczerość. Jednakże... wiem, że czasem potrafię być zbyt bezpośredni.

Claire bacznie mu się przyglądała i musiała się mocno powstrzymywać, by się przed nim nie otworzyć. By nie powiedzieć mu wszystkiego o falsyfikatach, galerii i rodzinnym interesie. Przeciwnie do tamtego poranka, gdy poznali się w kościele, teraz miała ochotę wszystko wyznać.

Jakaś jej część wierzyła, że jeśli powie mu teraz prawdę, on ją zrozumie i jej wybaczy. Ale inna część... Mówiła jej, jakże to głupi pomysł. Sutton Monroe był prawnikiem. Reprezentował prawo, które ona łamała. Jeżeli powiedziałaby mu cokolwiek, to oznaczałoby koniec wszystkiego. Nie mogła ryzykować, bo nie miała dokąd odejść ani nikogo, do kogo mogłaby się zwrócić.

– Przeprosiny przyjęte – odparła w końcu, wiedząc, że wcale na nie nie zasłużyła. Ani na jego życzliwość. Zupełnie spontanicznie wyciągnęła dłoń i zapytała: – To co, jesteśmy przyjaciółmi?

Wpatrywał się w nią przez chwilę, a później tą swoją ciepłą i silną dłonią chwycił jej rękę, patrząc tak, jakby chciał powiedzieć coś innego. Zaraz potem pojawił się ten jego uśmiech.

– Przyjaciółmi – powtórzył cicho i uścisnął mocno jej dłoń.

Przez kolejne dwie godziny obchodzili wokół całą posiadłość i pisali oraz ukrywali wskazówki dla obu zespołów przewidzianych na jutrzejsze zawody. Łącznie dwadzieścia cztery instrukcje. I Claire była pewna, że jeśli uczestnicy przyjęcia będą choćby w połowie tak dobrze się bawić, urodziny okażą się wielkim sukcesem.

Zawijali każdą wskazówkę w kawałek ceraty, a następnie przewiązywali to różową albo niebieską wstążką i wtykali je we wgłębienia rzeźb, wsuwali w szpary poluzowanych spoin między cegłami wieży ciśnień oraz wpychali do pawilonu niedźwiedzi, gdzie czarny niedźwiedź mocno spał za kratami i nawet nie poruszył się na ich widok. Wtykali je w dekoracyjne metalowe wykończenia altany, w pęknięcia na korze starych magnolii, a jedną nawet umieścili w paszczy kamiennej kobry zwiniętej u szczytu fontanny w oranżerii.

W chłodzie lodowni Sutton wspiął się na skalistą ścianę i zostawił wskazówkę dla chłopców wystającą ze szczeliny, tak by była łatwo

zauważalna. Claire najpierw schowała notatkę dla dziewczynek za wielką bryłą lodu w kącie, ale potem przemyślawszy to jeszcze raz, stanęła z pomocą towarzysza na bryle i wetknęła wskazówkę w szparę pomiędzy dwoma skałami, gdzie również była dobrze widoczna.

Kiedy wyszli z lodowni, ssąc po kawałku lodu, które odłamał przy użyciu toporka, zostały im już tylko dwie wskazówki. Claire zrównała z nim krok i ruszyli na tyły posiadłości, by dotrzeć do ostatniego punktu.

Claire westchnęła, czując, że niemal kręci się jej w głowie od przepychu majątku i różnorodności zabudowań.

– Jak pani Acklen zdołała to wszystko tak wymyślić? – Spojrzała w dół zbocza w kierunku oranżerii. – Posiada takie kwiaty i drzewa, o których nigdy nawet nie słyszałam, nie mówiąc o ich oglądaniu na żywo. Można mieć wrażenie, jakby się było w zupełnie innym kraju.

Sutton pokiwał głową.

– Ona lubi to, co rzadkie. A także to, co piękne.

– Czy znałeś już panią Acklen, gdy budowała tę rezydencję?

– Kiedy ona i jej zmarły już mąż ją budowali – poprawił delikatnie. – Tak, znałem ją. Chociaż, oczywiście, nie tak dobrze, jak teraz. To było jakieś... trzynaście lat temu. Mój ojciec był od dawna lekarzem rodziny Acklenów. Był też dobrym przyjacielem męża pani Adelicii, Josepha. A pan Acklen był z kolei moim mentorem, gdy zaczynałem studiować prawo.

Szli dalej w milczeniu. Do Claire powoli docierało to, co usłyszała. Podejrzewała, że istnieje pomiędzy nimi bliższy związek i teraz już to rozumiała. To także uzasadniało oddanie Suttona wobec pani Acklen. Adelicia, jak ją wcześniej określił, była nie tylko jego pracodawczynią. Była wieloletnim przyjacielem rodziny.

– Dotarliśmy! – Sutton wspiął się po schodach do budynku, w którym mieli zostawić dwie ostatnie wskazówki. Budynku, który jutro z pewnością

będzie w centrum zainteresowania zarówno chłopców, jak i dziewczynek.

Gdy po raz pierwszy zwiedzała te strony, zastanawiała się, co znajdowało się w tym podłużnym, wąskim pawilonie. Teraz zaś uśmiechała się do siebie, wspominając wskazówkę, jaką wymyślili i ukryli z Suttonem w lodowni. Wskazówkę, która – miała nadzieję – doprowadzi dzieci właśnie tutaj. Mężczyzna nalegał, żeby niektóre instrukcje się rymowały, gdyż twierdził, że wtedy będą ciekawsze. Odparła na to, że przez to będzie tylko trudniej je napisać, ale rzeczywiście zapadały w pamięć.

– Podejdź w skupieniu – wyrecytowała pierwszą linijkę wskazówki ukrytej w lodowni – w tor wzrok utkwiony... – Przeszła przez drzwi, które przed nią otwierał.

– Celuj starannie – podjął, wchodząc tuż za nią – a będzie trafiony.

– Zastęp dziesięciu... – Przystanęła na chwilę, by jej oczy przyzwyczaiły się do słabego oświetlenia. – ...słupków gotowy.

– Czeka na mocny... – Dołączył do niej. – ...kuli szturm bojowy! – Końcówkę wypowiedział trochę niższym głosem, niczym aktor odgrywający rolę.

Claire roześmiała się na te wygłupy.

– Tor do gry w kręgle. – Rozejrzała się wokół siebie i potrząsnęła przecząco głową. – Kto by pomyślał?

– Skoro ma się pawilon niedźwiedzi, trzeba mieć też kręgielnię.

– Och, rzeczywiście. Niewątpliwie. Bo przecież oboje wiemy, jak bardzo niedźwiedzie lubią grać w kręgle.

Z radością wsłuchiwała się w brzmienie jego śmiechu, gdy chowała swoją wskazówkę w otworze na palec jednej z mniejszych kul. Nie mogła się już doczekać ostatniego przystanku ich wycieczki – budynku, który pragnęła zobaczyć od pierwszej chwili, kiedy o nim usłyszała. Budynku, do

którego próbowała się dostać w ciągu tygodnia, ale okazało się, że jest zamknięty. Miała tylko nadzieję, że Sutton nie zapomniał.

On również ukrył swoją wskazówkę i kiedy wyszli znów na zewnątrz, słońce chyliło się już nisko nad horyzontem, przedzierając się przez różową mgłę. Jak zawsze po dżentelmeńsku, Sutton podał jej ramię przed zejściem ze schodów i Claire położyła na nim swoją dłoń. Żałowała jedynie, że nie może jej zostawić tam, gdy będą szli dalej ścieżką.

Wróciła myślami do czegoś, o czym wcześniej mówił.

– Twój ojciec... Jest lekarzem?

– Był lekarzem. – Jego głos odbił się w ciszy zbliżającej się nocy. – Zmarł podczas wojny.

– Och, Suttonie... Tak mi przykro. – Zwolniła kroku. On jednak szedł dalej tym samym tempem, więc ponownie przyspieszyła. – Zginął w bitwie? – zapytała po chwili.

Nie odpowiedział od razu.

– Nie – wyszeptał. – Nie w bitwie.

Patrzyła przed siebie, czekając, czy powie coś jeszcze.

– A... mogę zapytać o twoją matkę? Wciąż żyje?

Westchnął, chyba trochę pogodniej.

– Tak, moja mama wciąż żyje, ale nie tu w Nashville. Mieszka z ciotką Loreną, swoją starszą siostrą, w Karolinie Północnej. Przeprowadziła się tam po śmierci taty, bo zbyt trudno jej było zostać w Nashville. Moja matka zawsze była... dość wrażliwa emocjonalnie. I to jeszcze się pogłębiło po śmierci ojca.

Claire pokiwała głową, zastanawiając się nad tą uwagą o „wrażliwości emocjonalnej”. Chyba jednak rozumiała, przynajmniej do pewnego stopnia, jak trudno musiało być jego matce żyć tutaj po śmierci męża. Sama nie

potrafiła sobie wyobrazić, że miałaby zostać w Nowym Orleanie i mieszkać nad galerią w sytuacji, gdy zarówno jej ojciec, jak i *maman* odeszli.

Zauważywszy przed sobą galerię sztuki, uśmiechnęła się. Nie zapomniał.

Przed nimi wyłaniał się majestatyczny dwupiętrowy ceglany budynek. Był na tyle duży, że mógł służyć za hotel. Sprawiał też wrażenie okazałego. Przynajmniej z zewnątrz. Detale architektoniczne ginęły już w półmroku, ale i tak znała je na pamięć, gdyż oglądała ten obiekt wystarczająco często, odkąd przyjechała do Belmont.

Fasadę budowli zdobiły przestronne eleganckie balkony w europejskim stylu, a wejście okalały białe kolumny, prowadząc wzrok ku obserwatorium wieńczącemu ten wspaniały budynek.

Sutton wyciągnął klucz i wsunął go do zamka.

– Twój skromny dom – powiedziała cicho.

– Nie do końca. Połowę zajmuje galeria sztuki. Reszta mieści pięć apartamentów dla gości odwiedzających Belmont oraz kwatery dla ich służby.

– Z których wszyscy, oczywiście, lubią grać w kręgle.

– Ale tylko z niedźwiedziami – odparł bez zająknięcia. Otworzył przed nią drzwi. – Proszę, kapitanie.

Claire weszła do środka, lecz zaraz przystanęła, bo było zbyt ciemno. Na frontowej ścianie ciągnęły się rzędy okien, ale grube zasłony – jak już wcześniej w tym tygodniu zauważyła – były zaciągnięte i tym samym blokowały dostęp naturalnego światła. Wiedziała, że to po to, by chronić obrazy. Jednakże miały też drugą funkcję: poskramiać ciekawość wścibskich gapiów. Takich jak ona.

– Poczekaj tu. – Dotknął jej ramienia. – Przyniosę lampę.

Sutton wyszedł z zasięgu jej wzroku i tylko echo jego kroków wyznaczało wielkość tego pomieszczenia.

– Dzisiaj jest już późno, więc tylko pokrótce cię oprowadzę, ale możesz wrócić innego dnia. Wydaje mi się, że będzie ci się podobać. Zwłaszcza że jesteś tak... dobrze zorientowana w świecie sztuki.

Jego uwaga zawisła w ciszy. Rozpoznała słowa, które wypowiedziała pani Acklen, jednak wyczuła w głosie Suttona jakiś nacisk, którego nie potrafiła trafnie zinterpretować, nie widząc wyrazu jego twarzy.

– Pani Acklen wyraziła się wtedy zbyt wspaniałomyślnie. Zapewniam cię, że nie znam się aż tak dobrze na rzeczy.

– A ja cię zapewniam, Claire... – Zapalił zapałkę i przytknął do knota, po czym z lampą rzucającą świetliste kręgi na ściany wokół, ruszył z powrotem w jej stronę. – Zapewniam cię, że pani Acklen nigdy nie jest zbyt wspaniałomyślna.

O coś mu chodziło... Widziała to po jego szczerym wyrazie twarzy. I cokolwiek to było, wyczuła, że czekał na odpowiedni moment, by poruszyć ten temat. W pierwszej chwili miała wrażenie, jakby chciał ją podejść... ale zaraz przypomniała sobie, że wcześniej wobec niego próbowała tego samego. Niestety bez powodzenia.

– Pani Acklen była wyraźnie zachwycona twoim uczestnictwem w dyskusji podczas tamtej kolacji z Worthingtonami. Musiałaś wywrzeć niesamowite wrażenie.

Coś jej się nie podobało w tonie jego głosu, ale nie potrafiła dokładnie określić co.

– Raczej bym tak tego nie nazwała. Po prostu starałam się włączyć w rozmowę, gdy uznałam to za właściwe. To też było dla mnie nie lada wyczynem. W zasadzie... – Próbowała przybrać bardziej konspiracyjny ton,

licząc, że przywróci tym ich wcześniejszą lekkość rozmowy. – Pani Worthington jest całkiem rozmowna, zwłaszcza po trzeciej lampce wina.

Posławszy w jej stronę niezbyt przekonany uśmiech, wskazał na korytarz i Claire poszła za nim. Światło lampy tworzyło złotą poświatę pomiędzy nimi.

– Chyba nie doceniasz powagi swojego udziału w tamtej rozmowie, Claire. Pani Acklen chwaliła twoją znajomość malarstwa. A to nie jest kobieta, która lekko rozdaje pochwały, o czym oboje doskonale wiemy. Ciekaw jestem... Co takiego dokładnie powiedziałaś?

Claire zerknęła na niego, zastanawiając się, dlaczego aż tak go to interesowało.

– Podczas kolacji pani Worthington omawiała kilka obrazów i ich autorstwo przypisała pewnemu artyście. Akurat znam prace tego malarza i wiedziałam, że ich nie namalował, więc... – Uniosła ramiona i zaraz je opuściła. – Delikatnie poprawiłam błąd i podałam właściwe nazwisko.

– Rozumiem...

Stukot ich kroków odbijał się od ścian.

Sutton przystanął w wejściu i lekko ujął ją pod ramię.

– Mogę? W środku jest dość ciemno i nie chciałbym, żebyś wpadła na Michała Anioła.

Claire poczuła, że usta same się jej otwarły.

– Chcesz powiedzieć...

– Nie. – Uśmiechnął się. – Droczę się z tobą. Pani Acklen nie posiada nic jego autorstwa. Przynajmniej na razie.

Przystanęli przy obrazie i Sutton uniósł lampę.

– *Ślub Jakuba i Racheli*. Siedemnasty wiek, malarz włoskiego pochodzenia. Niestety chyba nie pamiętam nazwiska.

Wciąż uśmiechając się po tej uwadze o Michale Aniele, Claire nie rozpoznała obrazu, a nagryzmolony niewyraźnie podpis wcale jej w tym nie pomógł. Ale ten obraz był olśniewający.

– Te kolory są tak głębokie, nawet w tym świetle.

– A ten tutaj... – Przeszedł parę kroków dalej. – ...to *Wenus w kuźni Wulkana* pędzla... – Sutton zawahał się, jakby próbował sobie przypomnieć.

Jana Brueghela, młodszego. Claire rozpoznała dzieło, ale nie zamierzała nic mówić. Nie w świetle tego, co uprzednio wspominał o jej wiedzy z zakresu sztuki.

– Piękne.

Ale słowo „piękny” nie oddawało tego w pełni. Tych drobnych pociągnięć pędzla, tego ruchu. Idealne! Mogłaby siedzieć i studiować to godzinami.

Sutton popatrzył na nią, a Claire, nie wiedząc czemu, odniosła wrażenie, że jego wcześniejsze wahanie było celowe, by sprawdzić, czy uzupełni jego braki. Szybko odwróciła wzrok, bo zaczęło się w niej coraz mocniej kłębić jakieś niemiłe uczucie.

Poprowadził ją do kolejnego pomieszczenia.

– Uważaj, bo tu są poustawiane skrzynie.

Claire obeszła je i Sutton ponownie uniósł lampę.

– A te cztery obrazy...

Claire dostrzegła pierwsze płótno i nogi się pod nią ugięły. *Antonio Canaletto!*

– ...to ulubione dzieła Adelicii. Ich autorem jest Canaletto. To jest *Grande Canale*, potem *Kościół Santa Maria della Salute*, następnie *Most Rialto* i w końcu... – Odsunął lampę na bok. – ...*Kościół Frari*. Chyba udaje mi się zapamiętywać malarzy i tytuły tylko tych najdroższych dzieł.

Claire ledwie była w stanie oddychać. W zasadzie pierwszy obraz nosił tytuł *Canale Grande*, ale tym razem również nie zamierzała go poprawiać. Cieszyła się ze słabego oświetlenia i jak najlepiej potrafiła, próbowała ukryć emocje, a chciało jej się płakać, tak była poruszona spotkaniem z takimi arcydziełami.

– Wszystkie są... bardzo ładne.

Dwa razy miała okazję wykonywać kopię tego pierwszego obrazu i sprzedano je pod jej inicjałami. Wtedy wydawało jej się, że dość dobrze uchwyciła kolory oryginału. Myliła się. Niebo z pierzastymi obłokami było w odcieniu ceruleum, a nie lazuru, zaś weneckie domy ciągnące się wzdłuż kanału raczej bladoszarobeżowe niż złocistobrązowe. Rozejrzała się po pomieszczeniu i zauważyła inne płótna wiszące obok, choć nie była w stanie widzieć samych obrazów.

– Czy to wszystko są oryginały?

– Tak... chociaż pani Acklen w istocie posiada również kilka kopii. Ale tylko takich, które malowali wybitni uczniowie odbywający praktyki pod surowym okiem autora oryginalnych dzieł. – Zaśmiał się cicho. – Znasz Adelicię Acklen... czyżbyś spodziewała się po niej czegoś innego?

Poczuła bolesne zetknięcie z rzeczywistością. Nie, oczywiście, nie mogło być inaczej. Dlaczego ktoś taki jak pani Acklen miałby w ogóle pragnąć taniej imitacji prawdziwego dzieła? A tym bardziej falsyfikatu? Taki obraz byłby bezwartościowy. Niewystarczająco dobry. Nigdy nie byłby wystarczająco...

Sutton przysunął bliżej lampę i z trudem się powstrzymała, by nie odwrócić wzroku.

– Claire, dlaczego nigdy wcześniej nie wspominałaś o swojej wiedzy o sztuce? Albo o tym, jak bardzo jesteś utalentowana, jeśli chodzi o malarstwo? Takie coś powinno chyba wcześniej wyjść na jaw. Zwłaszcza

przy takiej pracodawczyni jak pani Acklen i w takiej rezydencji jak Belmont.

Claire wyczuła całkowitą zmianę w głosie mężczyzny i teraz w jego spojrzeniu wyczytała to, co przedtem tylko trochę zdradzał jego ton – podejrzliwość i nieufność. Ogarnęła ją panika – była pewna, że on zna prawdę.

21

Claire spuściła oczy i zacisnęła mocno powieki. Nie była w stanie zebrać myśli, gdy on znajdował się tak blisko i tak się w nią wpatrywał. Jak udało mu się to odkryć? Przecież się pilnowała, by nic nie wspominać, by nic się jej nie wymknęło. Powinna podnieść wzrok, ale nie mogła. Gdy spojrzy na niego, on dostrzeże prawdę wypisaną na jej obliczu. Jednak wiedziała, że musi. W przeciwnym razie potwierdzi, że coś ukrywa.

Przełamała się i uniosła głowę. Dostrzegła w jego oczach ślad wątpliwości. Może jednak nie miał żadnych informacji...

Może wypytywał po prostu dlatego, że był prawnikiem... i robił to, co należało do jego obowiązków. Kiedyś wspominał jej, że płacą mu za to, żeby był podejrzliwy, a ona traktowała go wymijająco. Co, patrząc z perspektywy czasu, nie było najmądrzejsze z jej strony.

– Suttonie, ja... – Po części liczyła na to, że on coś powie, że jakoś jej przerwie, ale nie. Nigdy wcześniej nie zeznawała w sądzie, ale teraz właśnie tak się czuła. Nie mogła mu powiedzieć prawdy, a jednocześnie nie zamierzała też kłamać. – Nigdy wcześniej nie wspominałam o tym, bo... w porównaniu do tego wszystkiego... – Wskazała dłonią dookoła siebie, a w jej głowie uformowały się słowa, które z zawstydzenia paliły jej język. – ...moja wiedza, tak jak i zdolności... niczym się nie wyróżniają. – Gdyby tylko wiedział, jak szczere było to, co teraz powiedziała. Jeszcze nigdy wobec nikogo nie była tak szczera. Nawet wobec *maman*. – Ale postanowiłam, że będę się uczyć, doskonalić. Z czasem i w miarę

nabywania doświadczenia... I obiecuję, że to nie będzie kolidować z moją pracą jako *liaison* pani Acklen. O ile, oczywiście, dostanę tę posadę.

Przez dłuższą chwilę nic nie mówił i Claire pochyliła głowę, czekając, aż oświadczy jej, że wie o galerii w Nowym Orleanie oraz o tym, czym zajmowała się jej rodzina i kim była ona sama.

On jednak wyciągnął dłoń, po czym odgarnął kosmyk włosów z jej skroni.

– Popatrz na mnie, Claire.

Obawiając się tego, co zobaczy i co on powie, nie potrafiła się przemóc.

– Kapitanie Laurent... – Zaśmiał się cicho. – Popatrz na mnie. To rozkaz!

Powoli uniosła wzrok, a jej serce zabiło mocniej na jego widok, choć wcale nie powinno.

– Pozwól, że ja powiem pierwszy – zarządził. – Nie jestem ekspertem w dziedzinie sztuki, ale uwierz mi na słowo, Claire... twój talent na pewno nie jest przeciętny.

Wypuściła powietrze, a w środku poczuła zalewającą ją ulgę. I nagle zdała sobie sprawę, że stoją w półmroku zupełnie sami i że ten mężczyzna bardzo ją pociąga. Jego humor, prawość, ciepło, jego... sylwetka jak spod dłuta Michała Anioła.

– Chcę cię o coś zapytać, Claire, i oczekuję szczerej odpowiedzi.

Domyśliła się, że czeka na jej reakcję, więc pokiwała głową, czując, że klamka zapadła.

– Czy starałaś się o posadę u pani Acklen z zamiarem wykorzystania jej koneksji i reputacji, by podnieść swoje szanse w świecie sztuki?

– Nie – rzekła. – Zanim przybyłam do Belmont, nie wiedziałam, kim była pani Acklen. Powiedziałam jej to podczas naszej rozmowy o pracę. Nawet nigdy wcześniej o niej nie słyszałam, aż do dnia, gdy... – Wcale nie

miała ochoty przypominać mu o tamtej sytuacji. – ...podsłuchałam w kościele rozmowę nieznajomych kobiet. Daję słowo, Suttonie. Poza tym nigdy nie zrobiłabym niczego, co mogłoby zaszkodzić jej dobremu imieniu. Albo twojemu.

Obserwował ją w niewzruszonym skupieniu, ale tym razem była całkiem spokojna.

W końcu na jego twarzy pojawił się blady uśmiech.

– Doceniam to, Claire. Dziękuję. Chyba powinienem cię już odprowadzić. Jutro twój wielki dzień.

Ponownie ujął ją pod ramię i ruszyli z powrotem w stronę holu.

Claire czuła taką bliskość z nim, jakiej wcześniej nie miała okazji doświadczyć. Wydawało jej się, że on też to czuł, choć nie była do końca pewna. Wiedziała jednak, że udało jej się zdobyć jego zaufanie i nie miała zamiaru tego zaprzepaścić.

Sięgnął do drzwi, ale jeszcze się zatrzymał.

– Zaryzykuję ostatni strzał, lecz podejrzewam, że skoro nie wiedziałaś wcześniej, kim jest pani Acklen, nie wiesz także nic na temat aukcji sztuki, którą sponsoruje co roku na wiosnę. Tej, której częścią jest licytacja dzieł debiutujących artystów.

– Debiutujących artystów? – zapytała Claire, starając się, by to zabrzmiało jak najbardziej naturalnie.

Jednak po jego chytrym uśmiechu zrozumiała, że się jej to nie udało.

– Cóż... – Otworzył przed nią drzwi. – Myślę, że to wystarczy za odpowiedź.

~

– Przypomnijmy zasady, by mieć pewność, że wszyscy wiedzą, jaki jest cel gry...

Sutton z pistoletem w dłoni słuchał, jak Claire zwraca się do tłumu. Wyglądała pięknie, gdy stała tak na szczycie frontowych schodów rezydencji w tej swojej szarej sukni, a jej elegancko upięte jesiennomiodowe loki błyszczały w słońcu.

Podekscytowanie było wręcz namacalne, tak jak ciepło tego wrześniowego popołudnia, a bezchmurnemu niebu towarzyszył błogi, delikatny wietrzyk.

Chłopcy i dziewczęta, zebrani na niższych stopniach, byli już podzieleni na dwie drużyny. Szeptali coś między sobą, a na ich twarzach gościły szerokie uśmiechy. Rodzice stali razem za nimi z wyrazem młodzieńczej niecierpliwości. Nawet Adelicia ubrana w swoją ciemnośliwkową suknię, w której Sutton nie przypominał jej sobie wcześniej, wyglądała, jakby też chciała wziąć udział w tym wyścigu.

– Pamiętajcie, musicie się trzymać kursu i kierować tylko tam, gdzie prowadzą was wskazówki. – Claire wydawała się równie podekscytowana jak dzieci. – To, że drużyna dziewczynek znajdzie wskazówkę w jakimś miejscu, wcale nie oznacza, że instrukcja dla chłopców też tam będzie. Niektóre wskazówki mogą okazać się trudniejsze do rozszyfrowania. To dotyczy zwłaszcza... – Zerknęła porozumiewawczo w stronę Suttona. – ...tych, które się rymują.

Uśmiechnął się na ten osobisty przytyk, a także z radości, że może na nią popatrzeć. Już za pierwszym razem, gdy się spotkali, zauważył, że jest piękna. Nawet pomimo potarganych włosów i pomiętej sukni. A im lepiej ją poznawał, dostrzegał tego piękna coraz więcej. Dobrze się bawił wczoraj wieczorem, tworząc i ukrywając wskazówki. Kiedy ostatni raz tak się śmiał? Nie potrafił sobie przypomnieć.

A potem te chwile w galerii sztuki...

Ten ułamek sekundy, gdy w mgnieniu oka praktycznie stracił rozum i zapragnął, by wziąć tę kobietę w ramiona i ją pocałować! Wyobrażał już sobie, że tuli w dłoni jej policzek i kosztuje jak wina tych kształtnych, różowych ust. Oczywiście natychmiast się opamiętał, bo wiedział, że musi się pohamować. I nadal musiał...

Wziął głęboki wdech, a następnie powoli wypuścił powietrze z płuc. On i Claire byli znajomymi. Znajomymi na przyjacielskiej stopie, między którymi istniała dobra relacja współpracowników. Którzy umieli sobie pożartować i rozmawiać bez końca na różne tematy... ale tylko tyle. Claire nigdy się nie zdradziła, by czuła wobec niego coś więcej poza przyjacielską sympatią. Zatem doszedł do wniosku – i tak uważał do wczorajszego wieczoru – że ich żywiołowe wymiany zdań są wystarczająco bezpieczne. Jednakże to zaskakujące pragnienie, które poczuł wobec niej w galerii, sprawiło, że zmienił zdanie.

Musiał powiedzieć jej o Carze Netcie... To powinno pomóc. A jednak nie umiał jakoś poruszyć tego tematu. To nie było właściwe, żeby mężczyzna snuł marzenia na temat jakiejś kobiety, gdy był w związku – czy czymś podobnym – z zupełnie inną.

Cara Netta była dobra i życzliwa, uprzejma i miła, a także pochodziła z szanowanej rodziny, na samo nazwisko której otwierały się drzwi. Miała wszystko, czego mężczyzna mógł pragnąć u żony i wiedział, że za kilka dni zjawi się tu w Belmont i będzie oczekiwać oświadczyn. Tych, których on nadal nie był w stanie jej zaoferować.

Może będzie mógł, jeśli komisja rewizyjna wyda sprawiedliwy wyrok. Albo jeżeli ta sprawa, którą formalnie zgodził się prowadzić wraz z panem Holbrookiem, okaże się rzeczywiście tak obiecująca, jak ją określił starszy prawnik.

Domniemane przypadki artystycznych oszustw okazały się liczniejsze, niż oceniano na początku, jednak zebranie przez śledczych potrzebnych dowodów będzie wymagało czasu. Aktualnie wydawało się to prawie niemożliwe. Tymczasem on razem z Holbrookiem zbierał zeznania od klientów i krok po kroku, budowali sprawę. I jeśli uda im się wnieść ją do sądu i wygrać... To w jego przypadku zmieniałoby wszystko. Wynagrodzenie dla kancelarii i przynależny mu udział mogłyby otworzyć drogę do założenia własnej stadniny rasowych koni.

Zbierając z powrotem myśli, Sutton skupił się znów na Claire i twarzach dzieci, gdy kobieta kończyła opisywać zajęcia na czekające ich popołudnie. Tak ciężko pracowała, by to przyjęcie okazało się sukcesem. I dobrze wiedział, że owocem jej wysiłków będzie odbudowanie relacji Adelicii z niechętnym jej otoczeniem. Jeśli Adelicia nie da Claire tej pracy po tym wszystkim...

Pomyślał o liście, który skierował do znajomego w Nowym Orleanie, i poczuł wyrzuty sumienia. Zaraz jednak przypomniał sobie, że to Adelicia chciała, by wysłać takie pismo. Mimo to fakt, że od niego wyszło takie zapytanie, a teraz zbliżył się do Claire, sprawiał, że czuł się, jakby był wobec niej trochę nieuczciwy. Pomimo tego, że po prostu robił to, co należało do jego obowiązków.

Był pewny, że nie wiedziała nic o aukcji dzieł sztuki. Nikt nie dałby rady udawać takiego zdziwienia. Zwłaszcza Claire. Ona nie umiała kłamać. Jednak pomimo tego, że wierzył w to, co mu powiedziała, wciąż był przekonany, że coś ukrywa, ale doszedł do wniosku, że to pewnie nic ważnego. Gdyż widział jej szczerość. Czuł to.

– W takim razie uwaga! Dałam już każdej drużynie podpowiedź, gdzie szukać pierwszych wskazówek, zatem...

Pomiędzy młodymi rozległy się podekscytowane głosy i Claire uniosła dłonie, by poprosić ich o jeszcze chwilę skupienia. Rozmowy zniżyły się do szmerów.

– Zatem na dany sygnał... – mówiąc, spojrzała w stronę Suttona. – ...możecie zaczynać. Pierwsza drużyna, która zbierze wszystkie wskazówki i wróci tu do mnie na schody, wygrywa, a każdy członek wygranego zespołu otrzyma nagrodę. Czy macie jakieś pytania?

– Tak, proszę pani – wyrwał się William, stojący na czele swojej drużyny. – Co zrobią dziewczyny, gdy chłopcy zbiorą wszystkie swoje wskazówki jako pierwsi? – Członkowie jego grupy aż zarżeli ze śmiechu i zaczęli go poklepywać po plecach.

– Będziemy już na was czekać tu na tych schodach, Williamie Acklen. To właśnie będziemy robić! – rzekła obcesowo mała blondynka, a jej uśmiech był równie prowokacyjny, co piękny. Sutton widział, że William rozmawiał z nią wcześniej, i pomyślał sobie wtedy, że są jeszcze trochę za młodzi, by myśleć o amorach, jak to określał jego dziadek. Ale wyczuł zainteresowanie chłopca.

A ten uśmiech, który teraz posłał jej William, rozwiewał wszelkie inne wątpliwości.

Wśród śmiechów Claire zerknęła na Suttona i skinęła głową. Uniósł wysoko pistolet.

– Do startu... – krzyknęła.

Sutton odbezpieczył pistolet. Chłopcy pochylili się w przód, a w ich oczach błyszczało pragnienie zwycięstwa. Dziewczęta chwyciły za spódnice, gotowe, by skoczyć przed siebie.

– Gotowi...

Dzieci i rodzice wstrzymali oddech.

– Start!

Sutton wystrzelił i obie drużyny ruszyły. Dziewczynki wybiegły w jednym kierunku, a chłopcy w przeciwnym. Z obu stron dobiegały śmiechy.

– A pozostałym gościom – zwróciła się do rodziców Claire – pragniemy podziękować za obecność. Podczas gdy nasi mali poszukiwacze przygód uganiają się za ukrytymi skarbami, pani Acklen zaprasza, by częstowali się państwo francuskimi wypiekami, które ostatnio odkryła w trakcie podróży z rodziną po Europie. Na stołach po lewej... – Wskazała dłonią. – ...znajdą państwo ciasta wraz z ich nazwą, opisem oraz historią. Na stole koło głównej fontanny dostępna jest *café au lait*. W imieniu pani Acklen oraz wszystkich w Belmont pragnę jeszcze raz państwu podziękować za przybycie na przyjęcie z okazji jedenastych urodzin Williama. Smacznego!

Rozległ się aplauz i Sutton się uśmiechnął. Choć przed rozpoczęciem była cała w nerwach, teraz Claire Laurent sprawiała wrażenie, jakby całe życie przewodziła zgromadzeniom. Podszedł do niej, ze słowami:

– Świetnie, kapitanie.

Uśmiechnęła się do niego szeroko, a potem, odwróciwszy się, zrobiła minę, którą tylko on mógł dostrzec.

– Mam nadzieję, że drużyny rozszyfrują wszystkie wskazówki. Jeśli im się nie uda, to będzie twoja wina.

Roześmiał się.

– W porządku, ale jestem przekonany, że już nie da się mnie zdegradować niżej od kaprala.

– Cóż, zobaczymy...

– Świetna robota, panno Laurent.

Oboje odwrócili się i dostrzegli Adelicię schodzącą po schodach z biegnącymi u jej boków Pauline i Claude’em. Ku radości Suttona, tuż za nimi szła matka Adelicii.

– Pani Hayes – rzekł, kłaniając się w pas. – Wspaniale móc panią znów zobaczyć. – Mała Pauline wyciągnęła do niego ręce i wziął ją w ramiona, ciesząc się uściskiem dziewczynki.

Pani Hayes wysunęła dłoń ubraną w koronkową rękawiczkę, którą Sutton ucałował.

– Cała przyjemność po mojej stronie, panie Monroe. Nie mogłabym opuścić przyjęcia z okazji jedenastych urodzin mojego wnuka. Zwłaszcza po tym, jak na początku tygodnia Adelicia szczegółowo opisała mi ciasta, upominki dla gości i zabawy. Chociaż nie do końca rozumiem, jaki jest cel, by specjalnie przeciwstawiać dziewczynki chłopcom. Przecież wszyscy wiemy, że odpowiednio wychowana młoda dama zawsze pozwoli chłopcu wygrać. Wszelkie zachowania przeciwne temu uważane byłyby za nielicujące z etykietą.

Sutton dostrzegł ulotne zmarszczenie brwi Adelicii i jeszcze mniej subtelny wyraz zmieszania na twarzy Claire.

– To po prostu taka zabawa, pani matko – rzekła Adelicia, a na jej twarzy z powrotem zagościł uśmiech. – I ośmielę się twierdzić, panno Laurent, że to przyjęcie William oraz jego koledzy, a także ich rodzice zapamiętają na wiele kolejnych lat. Tak jak i ja.

Sutton od razu zwrócił uwagę, że mówiła to wyjątkowo uprzejmym tonem, a wyraz aprobaty, który rozświetlił spojrzenie Claire, sprawił, że również w nim coś drgnęło.

– Dziękuję, pani Acklen. – Claire dygnęła. – Cieszę się, że jest pani zadowolona.

– Może napijemy się czegoś, dzieci? – zapytała Adelicia.

– Ja chcę napoleonkę! – zawołała Pauline.

Cmoknąwszy ją szybko w policzek, Sutton postawił dziewczynkę, która razem z bratem zbiegła po schodach. Adelicia z panią Hayes schodziły

dystyngowanie ramię w ramię. Sutton cieszył się, że znów może widzieć swoją pracodawczynię w towarzystwie ludzi z Nashville, choć zauważył również, że goście wcale nie tłoczyli się wokół niej tak jak niegdyś.

Podał ramię Claire, mówiąc:

– A ty jesteś gotowa na napoleonkę?

Zgodziła się z trochę wątłym entuzjazmem.

– Zdaje się, że pani Hayes nie podoba się przyjęcie.

– To nieprawda. Jest po prostu trochę bardziej... konserwatywna w niektórych kwestiach. Znam ją od wielu lat i mogę powiedzieć, że była pod wrażeniem tego, co dzisiaj zrobiłaś. I tego, że jej córka... cię zatrudniła.

– Przynajmniej na jakiś czas. – Claire posłała w jego stronę blady uśmiech.

Kiedy zeszli po schodach, przykrył dłonią jej rękę, którą wciąż trzymała na jego ramieniu.

– Nie pozwól, by ta jedna uwaga zepsuła ci cały dzień, dobrze? – Żartobliwie uszczypnął jej podbródek, z zadowoleniem zauważając, że uśmiech wrócił na miejsce.

– Dziękuję ci, Suttonie.

– Och, panno Laurent! Czy możemy porozmawiać?

– Czy jest możliwość, żeby wynająć panią na przyjęcia?

Widząc grupę zdeterminowanych matek zmierzających w ich stronę, Sutton oddalił się, wiedząc, że Claire poradzi sobie z nimi bez jego pomocy. Ruszył do stołów, by razem z gośćmi delektować się wypiekami, które przenosiły go z powrotem na ulice Paryża i do wybornych francuskich piekarni.

Claire dołączyła do niego jakąś godzinę później i usiedli razem w altanie. Tak jak rodzice, z uśmiechem obserwowali grupy chłopców

i dziewczynek biegających od rzeźby do zabudowania, od zabudowania do rzeźby, a potem jeszcze w stronę nisko zwieszających się gałęzi magnolii.

Przez większość wyścigu wydawało się, że zespoły idą łeb w łeb... do momentu, gdy Sutton zauważył, iż dziewczynki biegną już do lodowni.

– Oj – wyszeptał pod nosem i od razu dostrzegł promienny uśmiech Claire. – Claire Laurent, jak to możliwe, że jesteś odpowiedzialna za przyjęcie Williama i jednocześnie chcesz, żeby jego drużyna przegrała? To jego urodziny! – Sprawdził, czy pani Hayes nie ma w pobliżu i dodał: – Poza tym to nie licuje z etykietą.

Zmierzyła go wzrokiem.

– Nigdy nie powiedziałam, że chcę, by dziewczynki wygrały. Przynajmniej nie na głos.

Pokręcił głową. Ona i Adelicia były ulepione z jednej gliny. Lekki wiaterek poruszył kosmykiem na skroni Claire i Sutton uśmiechnął się sam do siebie, przypominając sobie, co dziewczyna przygotowała dla zwycięskiej drużyny. Nawet pogoda dostosowała się do jej planów.

– Chciałem cię zapytać... Jak wpadłaś na pomysł tej zabawy?

Uniosła brodę.

– Wymyśliłam to. Sama. – Popatrzyła na niego znad małego zadartego noska. – Bez pańskiej pomocy, miły panie.

Sutton spojrzał na nią. Cóż za opryskliwa mała...

– Zainspirowałam się poszukiwaniami Zeke’a.

Zmarszczył czoło, zupełnie nie rozumiejąc.

– Zeke podsunął ci ten pomysł?

Pokiwała głową i upiła łyk kawy.

– Któregoś poranka obserwowałam go, jak kopał w ziemi. Był zupełnie pochłonięty tym zajęciem i tak dobrze się bawił. Znalazł pięciocentówkę i jakieś łuski. Później znowu przypomniał mi się Zeke i zaczęłam

zastanawiać się, ile radości Williamowi i jego znajomym dałaby taka okazja, żeby... Co? – Zmrużyła oczy. – Dlaczego się uśmiechasz?

Po tej odpowiedzi Sutton patrzył na nią z satysfakcją, której wcale nie zamierzał wyjaśniać.

– Nic takiego, ja po prostu...

Wyciągnęła rękę i złapała go za ramię.

– Dziewczynki wybiegły z lodowni – wyszeptała. – Ale nadchodzą już chłopcy!

Natychmiast podniósł wzrok i dostrzegł Williama, który przewodził swojej coraz bardziej wyczerpanej drużynie. Chłopcy wcisnęli się do lodowni i nie minęło nawet trzydzieści sekund, gdy znowu wypadli na zewnątrz, biegnąc prosto do kręgielni.

– To by było na tyle, jeżeli chodzi o trudność rymowanych wskazówek.

Chłopcy gnali w kierunku swojego ostatniego celu, pokonując ten dystans dużo szybciej niż dziewczynki, które właśnie dotarły do schodów.

Sutton wstał.

– Będą niebawem.

– Nawet szybciej. – Claire również podniosła się i pomaszerowała w stronę rezydencji, a Sutton za nią.

Kilkoro rodziców również ruszyło w tamtym kierunku.

Niecałe trzy minuty później dziewczęta wyskoczyły z kręgielni niepomne, by zachować resztki wdzięku i godności. Sukienki miały zadarte do kolan, a wstążki we włosach powiewały swobodnie. Gnały przez trawnik, zerkając za siebie i piszcząc, gdy tylko dostrzegły chłopców szybko podążających za nimi.

Sutton jeszcze nigdy nie widział czegoś takiego i był pewien, że całe Belmont także. Rozejrzał się wokół, by sprawdzić, czy pani Hayes nie ma

waporów. Ale starsza pani kibicowała ze wszystkimi innymi. Oczywiście chłopcom.

A poza tym widok twarzy Claire był czystą rozkoszą. Tak jak i Adelicii, która stała za nimi na schodach.

– Dalej! – Usłyszał szept Adelicii i od razu wiedział, której drużynie dopinguje. Najwyraźniej płeć przeważyła nad związkiem krwi, przynajmniej na czas zawodów. Pozostali rodzice również kibicowali dzieciom, wykrzykując słowa zachęty, gdy ich pociechy biegły w stronę mety.

Wygrana jednak była już pewna.

22

Drużyna dziewczynek pod przewodnictwem małej blondynki z charakterem, którą już wcześniej można było poznać, teraz rzuciła się w górę schodów. Z zarumienionymi policzkami i radością na twarzy dziewczęta zbiły się w grupkę, jakby chciały bronić swojej pozycji, podczas gdy ich przywódczyni przekazała w ręce Claire równo poskładany stosik wskazówek.

– Proszę, panno Laurent. – Blondyneczka wzięła głęboki wdech, a jej oczy jaśniały. – Oto wszystkie wskazówki ułożone po kolei. – Uśmiechnęła się. – Ach! Ale to była zabawa! – Jej koleżanki pokiwały głowami, przepełnione triumfem.

Ciesząc się z ich satysfakcji, Claire przeliczyła karteczki, by upewnić się, że znalazły wszystkie, i kiedy William ze swoimi znajomymi wspiął się po schodach, wiedziała już, kto zwyciężył. Sądząc po niezbyt dobrze skrywanym rozczarowaniu na twarzy Williama, on też już wiedział.

Claire zrobiła krok w przód i rzekła:

– Gratulacje dla obu drużyn za tak błyskawiczne ukończenie wyścigu. Zatem... bezsprzecznym zwycięzcą Wyścigu za Ukrytym Skarbem jest... drużyna dziewcząt!

Dookoła rozległy się wiwaty, chociaż aplauz chłopców wydawał się trochę wymuszony. Nawet pani Hayes miała uśmiech na twarzy.

Czekając, aż ucichną okrzyki i gratulacje, Claire obróciła się i zobaczyła, że Sutton wyciąga już dwie duże skrzynie, które czekały w wejściowym holu. Jak na zawołanie. Bezgłośnie skierowała w jego

stronę słowo „dziękuję”. Z każdym dniem coraz bardziej ceniła tego mężczyznę.

– A teraz nadszedł czas, by rozdać zwycięzcom nagrody. – Sięgnęła do pierwszej skrzyni i ostrożnie wyjęła wspaniały czerwono-żółty latawiec, który Sutton pomógł jej złożyć dzisiaj rano.

Uniosła go wysoko i dziewczynki zaczęły klaskać z radości, a chłopcy zwiesili głowy. I wtedy wpadła na pomysł...

– Kiedy będę rozdawać dziewczętom ich nagrody... – mówiła dalej, wiedząc, że chłopcy wkrótce podniosą wzrok. – Chciałabym, żeby chłopcy ustawili się w linii w dół schodów, począwszy od Williama, a następnie kolejno odliczyli. I koniecznie zapamiętajcie numer!

– Co ty robisz? – wyszeptał za jej plecami Sutton.

– Improwizuję – odparła również szeptem, rozdając dziewczynkom niezłożone jeszcze latawce i gratulując każdej.

– Tylko czemu mnie to jakoś przeraża...?

Uśmiechnąwszy się z wyższością, udawała, że ignoruje jego uwagę.

– Proszę, by przywódczyni drużyny dziewczynek podeszła tu do mnie. – Blondynka wykonała polecenie. – Zaś resztę młodych dam proszę, aby stanęły w linii w dół schodów, tak jak chłopcy.

Claire zerknęła na Williama, by sprawdzić, czy chłopak domyślił się już, co zamierzała zrobić. Jego ponura mina wskazywała, że raczej nie, ale Claire była pewna, że szybko na to wpadnie.

– Po waszej lewej stronie są specjalne stoły, na których czekają na was wypieki i poncz. Kiedy będziecie się częstować, proszę, by każda młoda dama odszukała dżentelmena, który ma odpowiadający jej numer. Przykładowo, panna Sally Forthright, przywódczyni drużyny dziewczynek, ma numer jeden, tak jak pan William Acklen w drużynie chłopców. – Claire

się uśmiechnęła, gdy dostrzegła błysk w oku solenizanta. – A więc Sally z Williamem...

Chłopiec i dziewczynka przesłali sobie wstydliwe spojrzenia, a Claire kontynuowała:

– Kiedy skończycie poczęstunek, waszym kolejnym zadaniem będzie złożyć latawiec Sally, a następnie wziąć go na pierwszy lot. Jak widzicie, nawet pogoda dopisuje.

Mogłaby przysiąc, że piersi chłopców uniosły się dumnie o kilka centymetrów, tak jak i szersze stały się uśmiechy dziewczynek. Dzieci nieznacznie kiwały głowami, co wskazywało, że zarówno chłopcy, jak i dziewczynki w głowie kolejno odliczają przeciwległy rząd, by sprawdzić, kto im przypadnie.

– Niezła z ciebie improwizatorka – szepnął Sutton za jej plecami.

Wyciągnęła do tyłu rękę, próbując go pacnąć, ale nie trafiła. Usłyszała tylko jego śmiech.

Reszta atrakcji przebiegała nawet lepiej, niż to sobie wyobrażała, i kiedy ostatnia karoca odjechała sprzed Belmont koło szóstej wieczorem, Claire czuła się wykończona, a jednocześnie zadowolona dużo bardziej, niż się mogła spodziewać.

Zdecydowała, że zrezygnuje z kolacji i zamiast tego uda się na drzemkę. Nie rozebrawszy się nawet z sukni, zasnęła, gdy tylko przytknęła głowę do poduszki. Kiedy obudziła się jakiś czas później, sypialnię spowijało już słabe, szare światło zmierzchu. W powietrzu unosił się chłód.

Poczuła ukłucie głodu i zmrużyła oczy, by odczytać godzinę z zegara na kominku. Wpół do dziewiątej. Nawet nie tak późno, jak jej się wydawało. Sutton dobrze mówił, że coraz wcześniej robi się już ciemno.

Zeszła z łóżka, licząc, że uda jej się znaleźć jakąś bułkę albo dwie w zapasach wczorajszego pieczywa, które Cordina zbierała po kolacji. To

powinno jej wystarczyć do śniadania.

Wielki salon pogrążony był w ciszy. Pomieszczenie oświetlała pojedyncza lampa, a cienie w kątach coraz mocniej dominowały ponad jej słabym światłem. Gdzie byli wszyscy? Jakieś głosy dobiegały z pokoju *tête-à-tête*.

Najpierw myślała, że to Sutton i pani Acklen, ale kiedy skierowała się w stronę ciemnego holu wejściowego, uświadomiła sobie, że ten męski głos nie należał do Suttona.

– Luciusie... – Śpiewny śmiech pani Acklen niósł się wyraźnie przez zamknięte drzwi. – Nie mam pojęcia, skąd ty bierzesz te wszystkie swoje anegdoty.

– To nie anegdoty, Adelicio. To po prostu moje życie.

Rozległa się kolejna fala śmiechu.

– Podejrzewam, że to po prostu twój sposób opisywania sytuacji sprawia, że brzmią tak śmiesznie.

Claire uśmiechnęła się, słysząc tę rozmowę, ale... kim był ten Lucius?

Nie chcąc podsłuchiwać, odwróciła się szybko, by odejść, kiedy z cienia wynurzyła się ciemna sylwetka. Serce o mało nie wyskoczyło jej z piersi.

– Pani Routh! – Z ręką na piersi Claire wzięła kilka głębszych wdechów. – Śmiertelnie mnie pani przestraszyła. Co pani tu robi?

– Byłam w gabinecie, żeby sprawdzić, czy okna są pozamykane, panno Laurent. Ale co pani tu robi?

– Właśnie zbudziłam się z drzemki. Miałam iść do kuchni, kiedy usłyszałam rozmowę i... – Choć nie widziała w mroku twarzy pani Routh, Claire czuła dezaprobatę ochmistrzyni. Czy już nigdy nie zdobędzie jej sympatii? – Przyszłam tu, by zobaczyć, czy Sut... – Ugryzła się w język. – Czy pan Monroe tu jest, ale to nie on. A ponieważ nie zamierzałam podsłuchiwać, właśnie miałam wyjść...

Drzwi do pokoju *tête-à-tête* otworzyły się i w holu zrobiło się jasno.

W wejściu stanęła pani Acklen z lampą oliwną w dłoni. Za nią pojawił się jakiś dżentelmen, którego Claire widziała już tego dnia podczas przyjęcia.

Pani Adelicia zatrzymała się, pytając:

– Pani Routh? Panna Laurent? Czyżbym przegapiła jakieś spotkanie? – Uśmiechnęła się niemalże jowialnie.

– Nie, proszę pani – odparła pani Routh nieco milszym tonem. – Doglądam właśnie moich wieczornych obowiązków, a panna Laurent, zdaje się, zmierzała do kuchni.

– Ach, tak, panno Laurent. – Pani Acklen poświeciła lampą w stronę Claire. – Brakowało nam pani podczas kolacji. Cordina powiedziała, że udała się pani na spoczynek. Mam nadzieję, że teraz czuje się pani bardziej wypoczęta?

– Tak, proszę pani, o wiele bardziej. Dziękuję. – Zerknęła na dżentelmena, który urzeczony wpatrywał się w panią Adelicię.

– Cieszę się zatem. Bo od poniedziałku rano... – Pani Acklen posłała jej znaczące spojrzenie. – Czeka nas wiele pracy.

Claire patrzyła uważnie, zastanawiając się, czy jej pracodawczyni rzeczywiście pragnie przekazać jej to, co Claire się wydawało.

– Ch-chce pani powiedzieć, że...

– Tak, panno Laurent. Gratuluję! Dostaje pani tę posadę.

Tak długo modliła się i miała nadzieję, iż usłyszy te słowa, że teraz trudno jej było nawet w to uwierzyć. A sądząc po kamiennym wyrazie twarzy pani Routh, ochmistrzyni również miała podobny problem.

– Dziękuję, pani Acklen. Obiecuję, że każdego dnia będę się starać i sumiennie pracować.

– Tak, tak, panno Laurent – odrzekła pani Adelicia, kiwając głową. – Nie spodziewałabym się niczego innego. A teraz proszę się posilić. Cordina powiedziała, że zostawi pani kolację na talerzu koło kuchenki.

Claire, niemalże unosząc się nad ziemią, sfrunęła do kuchni i wzięła przygotowany talerz oraz szklankę mleka, a potem udała się z powrotem do swojego pokoju. Marzyła, by móc podzielić się tą nowiną z Suttonem, choć podejrzewała, że on i tak już wie.

Szybko poradziła sobie z kotletem wieprzowym, batatami i fasolką, a następnie co do ostatniego okruszka wyjadła chleb kukurydziany, który Cordina posmarowała dla niej grubo masłem. Oblizała stopione masło z palców, czując, że jeszcze nigdy nic nie smakowało jej tak bardzo.

„Obżarta jak bąk”, jak to kiedyś określił Eli, przebrała się w koszulę nocną i zgasiła lampę, żałując, że przed pójściem spać nie udało jej się porozmawiać z Suttonem. Gdy odkryła kołdrę, zerknęła jeszcze przez okno i zamarła.

W oddali, w tej samej okolicy, gdzie widziała kopiącego Zeke’a, ktoś klęczał i tak jak Zeke grzebał w ziemi. Podkradła się bliżej okna, lekko pochylona, by jej nie dostrzegł, ciesząc się jednocześnie, że zgasiła już światło. Patrzyła i czekała, choć sama nie wiedziała na co.

Kimkolwiek był ten człowiek, kopał powoli, a potem znowu wygładzał powierzchnię ziemi. I wtedy dopiero to do niej dotarło. Ten ktoś nie odkopywał. On zakopywał! Wówczas ta osoba się wyprostowała i Claire aż wstrzymała oddech. Sutton! Poznała go po posturze i sposobie poruszania się.

Przesunął się o kilka metrów i od początku wykonał to wszystko, co już widziała. Wtedy znów przypomniał jej się Zeke i to, jak opowiadał, że znalazł tam zakopane monety i inne rzeczy.

Patrzyła, jak Sutton sięga do kieszeni, następnie upuszcza coś – zapewne monetę – do dziury, a potem wyrównuje znowu ziemię, rozglądając się uważnie na boki podczas tej czynności. Kto by pomyślał... Okazało się zatem, że Sutton rzeczywiście poddał jej pomysł na ten cudowny motyw przewodni przyjęcia urodzinowego Williama.

Z uśmiechem pokręciła głową i wsunęła się pod kołdrę, przebierając nogami pod szeleszczącą pościelą, by się rozgrzać.

Srebrne promienie księżyca przecinały przestrzeń pokoju, poruszając się wraz z konarami drzew za oknem, które uginały się i falowały na wietrze. Marzyła o tym, aby móc powiedzieć Suttonowi prawdę. Tak samo jak marzyła – choć było to głupie i nierealne – by zależało mu na niej równie mocno, jak jej zaczynało zależeć na nim. Chociaż dobrze wiedziała, że nie powinna, gdyż i tak nic nie mogłoby z tego wyjść. Jak bowiem ktoś byłby w stanie kochać osobę, której nie zna? A Sutton jej nie znał. Nie tak naprawdę. A gdyby ją poznał, wcale nie pochwalałby tego, co by zobaczył, gdyż wszystko, co było dla niego ważne – uczciwość, honor, stanie na straży prawa – ona w swoim życiu splamiła.

Nie kłamała jawnie, ale nie mówiła też prawdy. Czy kłamstwo a niemówienie całej prawdy było tym samym? Nie uważała tak. Jednakże w tej właśnie chwili tak czuła, ponieważ była pewna, że gdyby miała powiedzieć Suttonowi prawdę – o swojej przeszłości, o obrazach, które podrabiała, i jej rodzinnej galerii, gdzie je sprzedawali – on poczułby, iż go okłamywała. Jego i panią Acklen. I miałby rację, a to bez wątpienia byłby jej koniec. Koniec Belmont. Koniec z nim. I koniec z jej nowym życiem.

Nie... ujawnienie prawdy kosztowałoby ją zbyt wiele. Poza tym teraz miała już to za sobą. Czyż jej postanowienie, by zacząć od nowa, by postępować lepiej, by nigdy nie kraść ani nie kłamać, ani nie podrabiać czegokolwiek więcej nie było wystarczające?

23

Jest pani pewna, że nie mówię za szybko, panno Laurent? Czy pani nadąża? – Pani Acklen przeszła przez gabinet do sekretarzyka i zerknęła ponad ramieniem Claire.

– Tak, proszę pani. Zapisałam wszystko. Łącznie z świątecznym menu oraz ilościami wszystkiego i tym, co należy zamówić od której firmy.

Przyzwyczajona już do kontroli pani Acklen, Claire podała pracodawczyni kartki, by ta mogła je przejrzeć. Bolała ją ręka od pisania pod dyktando przez całe rano i nie zmieniał tego fakt, że pióro wieczne, którym się posługiwała, było najlepszym, jakiego do tej pory używała, a stalówka niemalże sama sunęła po papierze.

W tym momencie rozległo się delikatne pukanie.

– Proszę wejść – zawołała Adelicia, odwracając się w kierunku drzwi. – Ach! Panna Cenas, jak się pani dzisiaj miewa?

Claire podniosła wzrok i dostrzegła, że guwernantka uśmiecha się w jej stronę, więc odwzajemniła miły gest, bezgłośnie mówiąc jej: „dzień dobry”. Już wcześniej poznała nauczycielkę i uważała ją za najbardziej zorganizowaną osobę, jaką kiedykolwiek spotkała.

Panna Heloise Cenas dokonywała cudów z dziećmi i na polu ich edukacji. Bez jednego gniewnego słowa, bez podniesionego głosu ta elokwentna kobieta wykładała lekcje w taki sposób, że nawet Claire złapała się na tym, że od czasu do czasu słucha pod klasopracownią, która była dogodnie usytuowana w wolnej sypialni koło wielkiego salonu.

Panna Cenas przystanęła w drzwiach.

– Dobrze, pani Acklen, dziękuję. Tak się cieszę, że jestem z powrotem w Belmont. Przepraszam, że pani przerywam, ale chciałam przypomnieć, że razem z dziećmi wyjeżdżamy na cały dzień. Robimy wyprawę do miasta, by zobaczyć się z Josephem juniorem. Zjemy z nim wspólnie lunch i obejrzymy jego nowe mieszkanie przy szkole.

– W porządku, panno Cenas. Proszę pamiętać, żeby zabrać koszyk smakołyków, które Cordina przygotowała dla niego dzisiaj rano. A ja napisałam do niego długi list jeszcze wczoraj, zanim udałam się na spoczynek. Jest w salonie na małym stoliku, chyba że pani Routh już go... – Pani Acklen przerwała i zwróciła się do Claire. – Przepraszam na chwilkę, panno Laurent. Muszę się upewnić, że wszystko jest przygotowane dla Josepha.

Pani Acklen wyszła z pokoju, by dopilnować spraw. Skinąwszy szybko głową, panna Cenas zamknęła za nimi drzwi. Claire z radością przyjęła chwilę ciszy.

Przeciągając się, rozprostowała plecy oraz ramiona i wyjrzała przez okno, gdzie ciężko pracowali ogrodnicy Belmont. Wyglądało na to, że ci mężczyźni każdego dnia trudzili się od świtu do zmroku. Nic dziwnego, że ogrody zawsze były idealne.

Zajęła miejsce na sofie i przejrzała egzemplarz *Godey's Lady's Book*.

Przez cztery z minionych pięciu poranków, wyłączając niedzielę, razem z panią Acklen barykadowały się w tym pokoju i pracodawczyni dyktowała, a Claire notowała. Wszystko – począwszy od oficjalnych listów, przez odpowiedzi dla właścicieli firm, po kolejne spisy planowanych przedsięwzięć, jakie należało ukończyć, tak jak zamówienie z Nowego Orleanu świeżych ostryg na świąteczną kolację.

W niedzielę rano cała rodzina łącznie z Claire udała się na nabożeństwo w kościele. Najwyraźniej teraz, skoro była już stałym pracownikiem, pani

Acklen oczekiwała od niej udziału w świętowaniu, co w gruncie rzeczy było dla Claire akceptowalne. Podobało jej się nabożeństwo, zwłaszcza kazanie wielebnego Buntinga, i chociaż wyprawa do kościoła oznaczała wyjazd do miasta, był on ostatnim miejscem, w jakim mogła się spodziewać spotkania z Antoine'em DePaulem.

Jedyną rzeczą, z powodu której nie była za bardzo szczęśliwa, to odkrycie, że dokładnie ta ławka, na której spędziła tamtą noc, była osobistą ławką pani Acklen. Zrobiło jej się ciepło, gdy wspomniała cichy komentarz Suttona wypowiedziany, kiedy wychodzili ze świątyni: „Nigdy wcześniej nie zwróciłem na to uwagi, ale ta ławka jest tak wygodna, że można byłoby na niej spać".

Uśmiechnęła się sama do siebie. *A to drań!*

Choć nad wyraz hojnie wynagrodził tę uwagę kolejnego dnia, kiedy pod drzwiami swojej sypialni odkryła bukiet polnych kwiatów z dołączoną notką: „Gratulacje z okazji dobrze wykonanej pracy, Kapitanie. Z uszanowaniem – uniżony kapral".

Niezbyt zainteresowana magazynem, odłożyła go na stół i zauważyła gazetę wystającą spod tygodnika *Harper's Weekly*. Gazeta wydawała się jej z jakiegoś powodu dziwnie znajoma i gdy tylko ją odsłoniła, uświadomiła sobie czemu...

Czyżby pani Acklen prenumerowała *New Orleans Picayune*? Choć, pomyślała, w zasadzie nie było to takie niewiarygodne, skoro jej pracodawczyni posiadała plantacje w...

Uwagę Claire przykuł jeden z nagłówków, przez który serce ścisnęło się z bólu.

MĘŻCZYZNA ZAMORDOWANY
PODCZAS PRÓBY RABUNKU

Wstrzymując oddech, przebiegła wzrokiem artykuł i – chociaż było to okrutne – z ulgą stwierdziła, że tekst dotyczył mężczyzny zabitego w trakcie próby kradzieży w składzie kupieckim i sprawa nie miała żadnego związku z jej ojcem, czego się wcześniej obawiała.

Trochę uspokojona, sprawdziła datę wydania gazety. Dziesiąty września. Przeliczyła dni. To było akurat wtedy, gdy dotarła do Nashville. Nie mogła się powstrzymać i przejrzała resztę periodyku, a jej wzrok przesuwał się pomiędzy kolumnami na pierwszej stronie. Następnie przeszła do drugiej i trzeciej. Zanim dotarła do ostatniej strony, zaczęła wierzyć, że...

Nagle zabrakło jej tchu, kiedy dostrzegła nagłówek na samym dole, i nagle jakby zniknął cały dystans, który dzielił ją od jej dawnego życia... Ostatnia kolumna, ostatni artykuł po prawej. I tylko kilka słów. Była w stanie przeczytać go jednym spojrzeniem.

KRADZIEŻ W GALERII I MORDERSTWO

Jak już wcześniej donoszono, nieznani sprawcy okradli Galerię Dzieł Sztuki Europejskiej w Dzielnicy Francuskiej i zbiegli ze znacznymi zbiorami o nieokreślonej wartości. Pośrednik sztuki i współwłaściciel, Bernard Gustave Laurent, który, jak już pisaliśmy, został pchnięty nożem podczas kradzieży, zmarł w piątek w wyniku obrażeń. Prywatny pochówek miał miejsce w sobotę.

Claire poczuła, że pieką ją oczy, a w środku przelewają się najróżniejsze emocje. Jednak najważniejszą wśród nich była panika! A co, jeśli pani Acklen albo Sutton przeczytają to i zauważą nazwisko jej ojca? A może już widzieli? Choć miała pewność, że gdyby tak było, toby jej powiedzieli.

Żadne z nich nie wzbraniało się przed konfrontacją. Zaraz po panice przyszedł żal... że nie mogła być na pogrzebie własnego ojca.

Ale najbardziej zaskakujące dla niej było współczucie. To była cała spuścizna jej ojca. Krótki artykuł w gazecie. Tak zwięzły i bezosobowy. Jak jakiś przypis albo mało znacząca wzmianka.

Niespodziewanie znikąd przed oczami stanęła jej zwodniczo urodziwa twarz Antoine'a DePaula. Za żadne skarby nie chciała znowu go spotkać. Nie po tym, jak zakosztowała życia poza jego i papy zasięgiem, poza murami galerii, w której czuła się tak...

Na dźwięk zamykanych gdzieś poza gabinetem drzwi Claire zerwała się z sofy. Musiała ukryć tę gazetę, zanim pani Acklen...

Drzwi małego gabinetu się otworzyły.

– Jak zawsze pani Routh dopilnowała, by wszystko było w najlepszym porządku – oświadczyła jej pracodawczyni, odwracając się, żeby zamknąć za sobą. – Zatem Joseph będzie na pewno wiedział, że jego nieobecność jest bardzo odczuwalna tu w domu. Na czym to skończyłyśmy, panno Laurent?

Stojąc obok sofy, Claire odłożyła *Godey's Lady's Book* na wierzch czasopism, wśród których tymczasowo ukryła tamtą gazetę.

– Właśnie przeglądałam pani zapiski z dzisiejszego poranka. – Wręczyła pani Acklen kartki, a serce wciąż jeszcze waliło jej w piersi.

Ale pani Adelicia nie zaczęła czytać.

– Panno Laurent, proszę szczególnie zwracać uwagę, gdzie odkłada pani pióro.

Claire szybko podniosła je z biurka.

– Dobrze wiem, że jestem przewrażliwiona, jeżeli chodzi o ten sekretarzyk, lecz to niezwykle cenny antyk. Dar od mojego ojca... – Pani Acklen przesunęła dłonią po nieskazitelnym, drogim blacie z drewna

wiśniowego. – Biurko przybyło na żaglowcu Mayflower. Ojciec odrestaurował je dla mnie z okazji moich osiemnastych urodzin. To niesamowite, że gdy go otrzymałam, miał już ponad dwieście lat.

– Jest piękny – stwierdziła Claire, sprawdzając, czy przypadkiem atrament nie wyciekł gdzieś na blat.

– Tak, i wolałabym, by tak pozostało. – Kobieta, kiwając głową, przeglądała notatki. – Pani pismo jest wzorowe, panno Laurent. Wydaje mi się jednak, że wskazany byłby kurs stenografii. Przydałaby się pani taka umiejętność i mogłaby pani oszczędzić wiele bólu.

Dopiero wtedy Claire uświadomiła sobie, że właśnie w tej chwili rozmasowywała prawą dłoń.

– Nic mi nie jest, pani Acklen, naprawdę, ale z chęcią nauczę się tego, jeśli uważa to pani za istotne.

– Uważam, panno Laurent... – Westchnąwszy, przeszła przez pokój i otworzyła okno.

Przez ciężkie brokatowe zasłony przebił się wspaniały chłodny powiew.

– Uważam, że w tym tygodniu za długo siedziałyśmy zamknięte w pokoju. W powietrzu czuć już jesień i chętnie bym z tego skorzystała. – Odwróciła się, a w jej oczach widać było jakiś błysk. – Czy może przypadkiem... jeździ pani konno?

Pół godziny później – gdy gazeta była już na dnie kosza na śmieci w kuchni – Claire siedziała w damskim siodle na grzbiecie pięknej, niewielkiej czarnej klaczy o imieniu Athena. To żywiołowe zwierzę trochę niecierpliwiło się pod nią, ale Claire jakoś sobie radziła.

Armstead, stangret pani Acklen, pomógł swojej pracodawczyni wsiąść na siodło wspaniałego gniadosza. Ogier wyglądał identycznie jak ten przedstawiony na olejnym obrazie w saloniku oraz na jego replice z brązu

w małym gabinecie. Obraz ukazywał panią Adelicię sprzed kilku lat trzymającą wodze konia – jak należało się spodziewać, czystej krwi.

Pani Acklen umiejętnie wymusiła na olbrzymim zwierzęciu, by dołączyło do pięknej klaczy, i Athena, parskając, rzuciła głową, jakby wyzywała na pojedynek tego rasowego przywódcę. Ogier, wyższy o jakieś trzydzieści centymetrów od Atheny, zerknął na nią tylko przelotnie.

Kobieta wychyliła się w przód i poklepała konia po szyi.

– Jak dawno temu jeździła pani konno, panno Laurent?

Claire musiała się zastanowić.

– Powiedziałabym, że jakieś dwa lata temu, ale kiedy przybyliśmy do tego kraju, mieszkaliśmy najpierw nieopodal stadniny. Właściciel był na tyle życzliwy, że pozwalał mi jeździć popołudniami w zamian za udzielanie lekcji sztuki jego córkom. Więc... – Pozwoliła sobie na pewny siebie ton. – Jestem całkiem dobrym jeźdźcem, albo przynajmniej byłam.

– Czyżby? – zapytała pani Acklen, przesunąwszy po niej wzrokiem, jakby w ten sposób mogła ocenić umiejętności jeździeckie Claire. – Niech się pani nie da zwieść rozmiarom Atheny, panno Laurent. To bardzo żywiołowa klacz, która potrafi przefruwać ponad tymi polami. Obawiam się jednak, że może zrobić się nieco złośliwa, gdy przegra z Bucephalusem.

„Przegra z Bucephalusem”? A kto tu mówił o jakichś wyścigach? Claire przesunęła dłonią po grzywie Atheny, zastanawiając się, czy powinna powiedzieć to, co cisnęło się jej na język. Roztropność mówiła: „nie”, ale wygrała chęć przyjacielskiej rywalizacji.

– Z tego, co podpowiada mi moje skromne doświadczenie, pani Acklen, uważam, że często to właśnie najmniej faworyzowany koń wygrywa.

Athena zarżała, jakby wyrażając aprobatę, a Claire wychyliła się w przód, by wynagrodzić klacz kilkoma klepnięciami w szyję.

Pragnienie rywalizacji wyraźnie błysnęło w oczach pani Adelicii.

– Hmmm... popatrzcie, popatrzcie. Zdaje się, że panią lubi.

– Czyżby była pani zaskoczona?

– Nie, nie, nie zaskoczona. – Pani Acklen posłała w jej stronę cukierkowy uśmiech. – Athena po prostu zazwyczaj woli mężczyzn. Ostatnie dwie kobiety, które próbowały ją dosiąść, od razu zrzuciła z grzbietu. Możemy ruszać? – Nie czekając na odpowiedź, uderzyła szpicrutą i Bucephalus ruszył przed siebie.

Gapiąc się z szeroko otwartymi ustami, Claire wyczuła napięcie Atheny. Dała lekki impuls nogą i klacz puściła się kłusem.

Pani Adelicia wyznaczyła stałe tempo, prowadząc przez pola i wzdłuż strumienia do znajdującej się poniżej doliny. Claire jechała z boku, usiłując nie pozwolić Athenie wyprzedzić Bucephalusa, co wydawało się głównym celem klaczy. Claire zastanawiała się, czy powinna nawiązać jakąś rozmowę, ale po tym, jak przez tyle godzin słuchała dyktowania, stwierdziła, że woli ciszę i szum wiatru wśród traw. Domyśliła się, że pani Acklen również.

Klony, te same, które Sutton wskazał jej kiedyś z okna jej sypialni, zaczęły już pąsowieć. A wystarczył najdrobniejszy ślad koloru, by poruszyć wyobraźnię dziewczyny. Pani Adelicia wypłaciła jej już pierwsze wynagrodzenie – dużo więcej, niż Claire spodziewała się zarabiać. Stąd też planowała jeszcze w tym tygodniu zakupić płótna i farby, aby przygotować się na uchwycenie tego arcydzieła, gdy kolory natury osiągną szczytową formę.

– Piękne, prawda? – rzuciła pani Acklen, cały czas skupiając wzrok przed sobą.

Claire wiedziała, że nie do końca o to pytała, ale też nie było to pytanie retoryczne.

– Belmont to jedno z najpiękniejszych miejsc, jakie widziałam. Kiedy po raz pierwszy zobaczyłam rezydencję, pomyślałam, że wygląda jak miniaturowy amerykański Wersal.

Pani Adelicia się roześmiała.

– Skoro ja widziałam na własne oczy piękno Wersalu, domyślam się, że pani również...

Claire pokiwała głową.

– Przyjmę to jako komplement.

– Z takim zamiarem to mówiłam, szanowna pani.

Athena ponownie przyspieszyła kroku i Claire musiała ściągnąć wodze, by ją powstrzymać. Pani Acklen miała rację. Najwyraźniej klacz uparła się, żeby zająć miejsce Bucephalusa.

Pani Adelicia trąciła ogiera, by przeszedł w szybszy kłus, i mijając, zerknęła na Athenę. Claire byłaby gotowa pomyśleć, że jej pracodawczyni kusi to zwierzę. I ją!

– Czy znajduje pani ostatnio czas na malowanie, panno Laurent?

Claire słyszała, że w tym pytaniu jest coś więcej niż ciekawość.

– Nie, proszę pani, do tej pory nie. Ale mam na to nadzieję w ciągu nadchodzących tygodni.

Sutton z pewnością przekazał pracodawczyni, że Claire pragnie się zająć profesjonalnie malarstwem i jak zareagowała na wiadomość o wiosennej aukcji dla debiutujących artystów. Mógł to traktować jako część swoich obowiązków, co oczywiście rozumiała.

– Obiecuję, pani Acklen, że moje aspiracje w tym zakresie nie będą kolidować ze zobowiązaniami wobec pani.

– Dziękuję za to zapewnienie, panno Laurent. Z pewnością tego dopilnuję. – Pani Acklen spojrzała na nią. – Może zaryzykuję i powiem, że istotnie ma pani talent, ale potrzeba wielu lat doświadczenia, by zdobyć

wprawę konieczną, by zyskać uznanie na aukcji debiutujących artystów. Nie chciałabym, żeby robiła sobie pani zbyt wielkie nadzieje.

To była odpowiedź na pytanie, czy Sutton jej powiedział. Czując się wystarczająco ostrzeżona i upokorzona, Claire pozwoliła, by ten temat umarł.

Kiedy jechały dalej, zerknęła ukradkiem na pracodawczynię. Adelicia Acklen prezentowała taką wytworność i pewność siebie. Czy zawsze posiadała te atrybuty? Choć Claire wciąż czuła się podwładną – tak jak zresztą powinna – miała też wrażenie pewnej zażyłości z panią Acklen, jako że była wtajemniczona w wiele jej poglądów i upodobań.

Ilość korespondencji, którą otrzymywała i na którą odpowiadała pani Acklen, mogła zawrócić w głowie. Umysł tej kobiety wydawał się być w bezustannym ruchu. Ustalała daty kolacji i popołudniowych herbatek na najbliższe trzy miesiące w przód, tworząc listy gości i menu oraz komponując potoczyste zaproszenia, z uwzględnieniem nawet koloru papeterii na daną okazję oraz tego, czy będzie wolała na stołach róże, bo to ulubione kwiaty tego a tego, czy raczej gardenie i storczyki. Upominki dla gości z okazji przyjęcia urodzinowego Williama spotkały się z tak dobrym przyjęciem, że pani Acklen zastanawiała się, czy Claire mogłaby pomalować kolejny komplet szkatułek na słodycze dla dam zaproszonych na najbliższą herbatkę. Zaś na wiosnę chciała zorganizować bal „jakiego jeszcze nie widziano w Nashville”.

Claire wzięła głęboki wdech i zwróciła twarz w stronę słońca, pozwalając, by ciepło koiło jej przepełnioną myślami głowę. Skoro przyjęcie urodzinowe dziecka wymagało tyle czasu i planowania, nie potrafiła sobie nawet wyobrazić, ile pracy będzie trzeba, żeby urządzić taki bal. Oczywiście, pozostało jeszcze kilka miesięcy, ale szybko zbliżało się już kolejne wydarzenie. Wizyta rodziny LeVert, od której dzielił ich

zaledwie tydzień. Prawie o tym zapomniała pośród przygotowań do przyjęcia urodzinowego.

I chociaż pani Acklen nie przydzieliła jej żadnych oficjalnych zadań w związku z nadchodzącą wizytą zaprzyjaźnionych pań, wspomniała, że madame LeVert mogłaby potrzebować pomocy w przepisywaniu. Claire nie miała pojęcia, jak długo matka z córkami planowały tutaj zostać, ale według tego, co mówiła Cordina, która wiedziała o wszystkim, ostatnim razem zatrzymały się w Belmont na całe dwa miesiące. Główna kucharka bardzo pochlebnie wyrażała się o całej rodzinie, ale to poznania Cary Netty – młodej damy, z którą, zgodnie ze słowami pani Acklen, Sutton dzielił się zupą cebulową w Paryżu – Claire wyczekiwała najbardziej. A jednocześnie z największą niechęcią.

Pani Adelicia skierowała Bucephalusa w lewo, w stronę obsadzonej drzewami ścieżki, i ogier zaczął prychać i schodzić na bok, jakby chciał, by puszczono go wolno. Pani Acklen trzymała go jednak na szlaku. Claire podziwiała, jak jej pracodawczyni radzi sobie z żywiołowym gniadoszem, podobnie jak z zachwytem patrzyła na samego konia. Wspaniałe zwierzę! Godne króla. Albo królowej, w tym akurat przypadku.

Droga stawała się coraz węższa i Claire zwolniła Athenę, by zajęła miejsce za ogierem. Klacz zarżała, jakby poczuła się urażona tą sytuacją.

– Muszę przyznać, pani Acklen, że Bucephalus to piękny koń.

– Prawda? Nazwałam go na cześć konia Aleksandra Wielkiego. Ojciec czytał mi po raz pierwszy historię młodego Aleksandra, gdy miałam zaledwie siedem lat. Ale już wtedy bardzo mnie to zainspirowało. Na pewno zna pani tę opowieść.

Claire zrobiło się ciepło na twarzy i wyprostowała się w siodle, zadowolona, że pani Acklen jej teraz nie widzi.

– Nie, proszę pani, nie znam.

– Och... cóż, będziemy musiały to nadrobić. Ojciec bardzo pilnował, bym posiadała odpowiednią wiedzę z zakresu filologii klasycznej. Czytał mi to codziennie przed snem. Był wyjątkowo utalentowanym gawędziarzem. Po tylu latach wciąż jeszcze pamiętam, jak brzmiał jego głos, gdy przykładałam głowę do jego piersi, zwinięta na kolanach, i słuchałam. Miał taki głęboki i mocny głos. Potrafił idealnie oddać każdą postać.

Słowa pani Acklen tworzyły w wyobraźni Claire wyjątkowo żywy obraz, aż poczuła z niepokojem wdzierającą się do jej serca zazdrość. Wąska ścieżka wyszła na szeroką łąkę skąpaną w złotych promieniach i Claire szturchnęła Athenę, by znów zrównała krok z Bucephalusem, choć klacz wcale nie potrzebowała zachęty.

– Proszę spojrzeć! Tam! – zawołała pani Acklen, wskazując dłonią.

Na horyzoncie w oddali Claire zauważyła konia oraz jeźdźca i od razu wiedziała, kto to był. Ten niewymuszony wdzięk...

– Wygląda, jakby frunęli.

– Pan Monroe jest wyśmienitym jeźdźcem. A Truxton, jego koń czystej krwi, niemalże dorównuje Bucephalusowi.

Patrzyły, aż Sutton zniknął za grzbietem wzgórza, a potem popędziły konie.

Wspomnienia dotyczące ojca, którymi pani Acklen podzieliła się z Claire, wskrzesiły obrazy z jej własnej przeszłości. W ostatnich dniach częściej myślała o papie i prawie zaczęła żałować, że nie ma już pośpiechu i stresu związanego z planowaniem przyjęcia. Czasami te wspomnienia niosły smutek, który poruszał ją do łez, ale zazwyczaj, szczególnie późno w nocy, kiedy cały dom był pogrążony we śnie, przepełniały ją żalem mającym w sobie jakiś inny rodzaj smutku. Takiego, który sprawiał, że bez

łez popadała w poczucie winy i zastanawiała się, czy gdyby się bardziej postarała, udałoby im się mieć taką relację, jakiej zawsze pragnęła.

– Na pewno pani również ma dobre wspomnienia swojego ojca, panno Laurent. Panie świeć nad jego duszą...

W głosie pani Acklen słychać było łagodną zachętę, jednak Claire nie zamierzała się przyznać, że jej relacja z własnym ojcem w niczym nie przypominała tego, czego doświadczyła od swojego taty jej pracodawczyni, zwłaszcza po tym, gdy okazało się już, że nie miała i tego szczęścia, by szkolić się w zakresie filologii klasycznej.

– Z pewnością to pani zrozumie, pani Acklen, ale... trudno mi teraz rozmawiać o moim ojcu. – Próbowała to powiedzieć życzliwie, lecz nawet sama wyczuwała gorycz własnych słów.

I najwyraźniej pani Acklen również, co widać było po ostrożności wypisanej na jej twarzy.

– Tak, rozumiem, panno Laurent. – W jej głosie dało się słyszeć współczucie. Ściągnęła wodze i Claire zrobiła to samo. – Ale jeśli pozwoli pani na pewną radę, która może być pocieszająca... Mijający czas naprawdę pomaga. Choć teraz to może wydawać się marną pociechą, rzeczywiście sprawia, że ból staje się coraz mniejszy.

Obruszywszy się, Claire odwróciła wzrok. Wiedziała, że pani Acklen chciała dobrze, mimo to nie potrafiła nie porównywać uprzywilejowanego życia tej kobiety ze swoim zwykłym. To prawda... Pani Adelicia straciła męża i ojca, ale miała już wtedy dwa razy tyle lat co Claire. Umieranie było częścią życia. Jednak utrata rodzica, kiedy ma się rodzinę i własne dzieci, to całkiem co innego niż sytuacja, gdy taka strata oznacza utratę wszystkiego – rodziny, domu, własnego miejsca. Nawet zabezpieczenia w życiu.

– Kiedy pani straciła ojca, pani Acklen?

– Siedem lat temu – odparła jej pracodawczyni, patrząc ponad łąką.

– Oczywiście pani matka, pani Hayes, jest wciąż z panią.

Dama powoli spojrzała za nią.

– Tak, panno Laurent. Jak sama pani dobrze wie. I mam również siostry i braci, którzy mieszkają niedaleko. – Pani Acklen wpatrywała się, jakby próbowała odczytać myśli Claire. – Czy o coś jeszcze chce mnie pani zapytać, panno Laurent? Albo coś mi powiedzieć?

Dziewczyna przełknęła, wciąż czując w ustach gorzki posmak żalu, ale też pewne ostrzegawcze tknięcie. W końcu to była jej pracodawczyni. Pochyliła głowę i odparła:

– Nie, proszę pani. Nic.

– W takim razie proszę pozwolić, że powiem to za panią.

Claire podniosła wzrok.

– Uważa pani, że nie wiem, jak to jest stracić rodzica w pani wieku. I ma mi pani za złe, że zasugerowałam, iż to rozumiem. – Uniosła brew. – Czy mam rację?

Czując, że jej policzki płoną, Claire ledwie była w stanie utrzymać podniesioną głowę. Było jej wstyd, że tak łatwo dało się ją przejrzeć. Chociaż nadal jakaś część w niej czuła się usprawiedliwiona.

– Tak, proszę pani. To... podsumowywałoby całkiem trafnie mój tok myślenia.

– Zatem jest on całkiem słuszny, panno Laurent.

Dziewczyna zmarszczyła czoło, jeszcze mocniej zaciskając dłonie na wodzach.

– Nie mam pojęcia, jak to jest stać nad grobem rodziców w tak młodym wieku jak pani dziewiętnaście lat. Miałam to szczęście, że mogłam mieć kochającego ojca przez czterdzieści jeden lat mojego życia. A moja matka jest... – Pani Acklen zamrugała szybko i na chwilę zacisnęła szczękę. – Moja matka jest dla mnie wielkim darem, którym dane mi jest się nadal

cieszyć. – Wzięła wdech i otworzyła już usta, jakby miała mówić dalej, ale zaraz je zamknęła.

Nastąpił bolesny moment ciszy.

Claire układała w głowie słowa przeprosin, kiedy pani Acklen zwróciła się w jej stronę.

– Nie tylko pan Monroe może dzisiaj mknąć ponad łąkami, panno Laurent. – Wychyliła się w przód w siodle, a w jej oczach płonął ogień. – Powiedziała pani, że potrafi jeździć konno. Proszę to udowodnić!

24

Zadyszany po jeździe Sutton skierował Truxtona na ostatnie wzniesienie, podziwiając siłę i wdzięk, z jaką koń przemierzał przestrzeń, jakby to wcale nie był pagórek, ale płaski teren.

Czuł miły ból mięśni, kiedy ściągnął wodze i pochylił się, by poklepać ogiera po szyi.

– Dobra robota, brachu – wyszeptał.

Nigdy mu się to nie nudziło i potrzebował takiej przejażdżki po długim porannym spotkaniu z Bartholomew Holbrookiem.

Holbrook sprawiał wrażenie, jakby w tych ostatnich dniach odmłodniał co najmniej o dziesięć lat, swobodnie rzucając faktami o tym, kiedy i kto kupował dzieła sztuki, ile wydano, skąd i dokąd nadano konkretny obraz, łącznie z nazwami galerii. Wszystko to, by przejrzeć informacje, jakie do tej pory zgromadzili śledczy. Entuzjazm starszego prawnika był zaraźliwy i Sutton również był pełen optymizmu, patrząc na postępy, które poczynili.

Z drugiej strony zaś nie miał żadnej wiadomości od komisji rewizyjnej i jego nadzieje w tej sprawie zaczynały blednąć. Tryby sprawiedliwości w ostatnim czasie obracały się do bólu wolno i zdecydowanie w nieodpowiednim kierunku. Jak zauważył, codziennie gazety obu frakcji, zarówno *Republican Banner* oraz *Union and American*, donosiły o wyrokach w podobnych sprawach. I bez wyjątku wszystkie były na korzyść nowej Unii.

Jednakże pojawiła się jedna informacja, którą starszy prawnik mu dzisiaj dostarczył. Sutton był pewien, że niezamierzenie. Nazwisko:

pułkownik Wilmington.

Ten człowiek stał na czele komisji rewizyjnej i to on miał powiadomić Holbrooka o wyroku. Po wyjściu z kancelarii Sutton skierował się prosto do rządowych biur po drugiej stronie miasta. Nie wiedział jeszcze dokładnie, co powie pułkownikowi, kiedy się z nim spotka, oprócz tego, że nie zamierzał ujawniać, od kogo dowiedział się o nim i jego stanowisku.

Ale Wilmingtona nie było w biurze i Sutton stwierdził, że nie będzie zostawiał wiadomości sekretarce. Nie widział sensu. Komisja rewizyjna nie chciała już od niego niczego więcej. Zaskoczenie mogło być więc jego najlepszą taktyką. Oczywiście nie planował zasadzki na tego człowieka. Pragnął jedynie możliwości, żeby powiedzieć prawdę o tym, co przydarzyło się jego ojcu. Zapoznanie się z tym na piśmie to jedno, a możliwość spojrzenia w oczy syna zamordowanego mężczyzny była czymś zupełnie innym.

Sutton rozciągnął się i rozmasował kark, stwierdzając, że musi odsunąć od siebie te myśli – przynajmniej na razie. Skierował Truxtona bliżej szczytu, czekając, aż dobrze znany widok przyniesie mu jak zawsze poczucie pokoju.

To było miejsce, które lubił już od dzieciństwa. Łagodne wzgórza bujnie porośnięte i zieleniące się od cedrów, sosen, dębów oraz topoli falowały w nieprzerwanym rytmie, który był równie miły dla oka, jak i dla duszy. Dalej widok Nashville, które tak bardzo się zmieniło od czasów, gdy był chłopcem. Nie potrafił sobie wyobrazić życia poza Tennessee ani też nigdy takiego nie pragnął.

Linia dachów rezydencji wznosiła się ponad szczytami drzew, a figury na attyce bieliły się w popołudniowym słońcu. Ogrody Adelicii dumnie prezentowały bogactwo kolorów i nawet z tej odległości...

Jego wzrok przykuł jakiś ruch na łąkach poniżej. Wychylił się do przodu w siodle, mrużąc oczy, gdyż nie był w stanie uwierzyć, w to, co widział. To było jednocześnie jak przeczucie i koszmar – Adelicia i Claire mknące przez pola, ich konie idące łeb w łeb, ciała pochylone w przód, rozwiane włosy. Zażarta determinacja w pełnej krasie.

Westchnął.

– Ach, wy dwie...

Nie martwił się o Adelicię. Była doskonałym jeźdźcem na świetnie wyszkolonym rasowym koniu. Ale Claire...

Zawrócił Truxtona i ruszył pędem w dół, pragnąc je spotkać, zanim dotrą do rezydencji. Nie miał pojęcia, jakie doświadczenie z końmi posiadała Claire. Najwidoczniej potrafiła jeździć konno. Tyle że ściganie się po łąkach, gdzie letnia trawa skrywa skały i różne nory, było czymś zupełnie innym niż trucht po miejskich ulicach albo przez pole. Co w ogóle Adelicia sobie myślała, pozwalając na taką nonszalancję?

Miał tylko nadzieję, że Claire dosiada Athenę, choć nie mógł być pewien. Ta zadziorna, nieustraszona i inteligentna mała klacz była wystarczająco rącza i zwinna, by sobie poradzić zarówno z jeźdźcem, jak i sama.

Sutton dotarł do podnóża pagórka i zwrócił Truxtona w kierunku domu. Ogier wyskoczył przed siebie, odpowiadając na najdrobniejsze komendy z pełnym entuzjazmu posłuszeństwem. Kopyta dudniły, choć wydawały się wcale nie dotykać ziemi. Sutton nie potrafił już zliczyć, jak wiele godzin poświęcił, żeby wyszkolić tego konia, ale każda chwila była tego warta.

Jechał nisko pochylony, a pęd powietrza smagał go po twarzy i Sutton wiedział z pewnością wynikającą z jego dawnego chłopięcego marzenia, które teraz dojrzało, że to właśnie było to, co pragnął robić w życiu. Szkolić konie – i to rasowe – by mogły stawać do wyścigów.

W mgnieniu oka Truxton pokonał strumień i Sutton zauważył dwie amazonki wspinające się po ostatnim pagórku prowadzącym do Belmont. Niestety kobiety były przynajmniej trzydzieści metrów przed nim. Dojeżdżały do rezydencji od południa, więc od stajni oddzielał je dom.

Sutton był pewien, którą drogę wybierze Adelicia – ścigał się z nią już wcześniej – a po tym, jak Claire spoglądnęła najpierw w lewo, a następnie w prawo, wiedział, że dziewczyna wciąż się wahała. W ostatniej chwili Adelicia odbiła w lewo i skierowała się na tyły posiadłości. Claire skręciła w prawo i tak samo zrobił on.

Z ulgą zauważył, że na podjeździe przed domem nie stały żadne karety. Claire miała prostą drogę do stajni. W połowie trasy, kiedy domyślał się, iż była już pewna, że wygra, spomiędzy drzew wypadła Adelicia na Bucephalusie. I znowu szły łeb w łeb.

I właśnie wtedy zza rogu wyjechała kareta, zmierzająca drogą w szybkim tempie. Najwyraźniej rywalki również to dostrzegły, bo jednocześnie zmieniły tor i zwróciły się prosto na zagrodę. Adelicia nie zwolniła ani na chwilę. Razem z Bucephalusem idealnym łukiem przeskoczyła ponad drewnianym ogrodzeniem. I – ku zdumieniu Suttona – wyglądało na to, że Claire z Atheną też tak chcą uczynić. Aż do ostatniej sekundy... Gdy Claire się zawahała.

Wyczytał to z jej postury, ze sposobu, w jaki trzymała wodze, i widział, jak pewność klaczy osłabła wobec zwątpienia dziewczyny. Athena zahamowała ze ślizgiem, usztywniając nogi, a Claire przeleciała w powietrzu prosto ponad drewnianym płotem.

25

Claire! – Sutton zeskoczył z konia, jednym susem pokonał ogrodzenie i pobiegł w stronę miejsca, gdzie upadła i leżała teraz na boku. Uklęknął i ostrożnie, starając się nie spowodować kolejnego urazu, zakrył jej nogi spódnicą i odgarnął włosy z twarzy. – Claire... – Pochylił się nad nią. Jej rozdarta na ramieniu szara suknia odkrywała zadrapanie do krwi. – Jesteś cała?

Zamrugała i zamknęła powieki.

Sprawdził jej puls na szyi, tak jak widział, że robił to kiedyś jego ojciec. Bicie serca było mocno wyczuwalne. Przyspieszone, ale tego można się było spodziewać.

– Panno Laurent! – Usłyszał za sobą szybkie kroki Adelicii. – Panie Monroe, czy ona jest ranna? Czy ma coś złamanego? – Przyklęknęła z pobladłą twarzą.

– Jeszcze nie wiem. – Starając się poskromić własne przerażenie, Sutton przesunął dłonią po lewym ramieniu Claire i potwierdził, że jest całe. Prawa ręka wciąż tkwiła pod jej ciałem.

– Zeke! – zawołała przez ramię Adelicia. – Jedź po doktora. Natychmiast!

Sutton ujął dłoń Claire, mówiąc:

– Claire, musisz mi powiedzieć, gdzie cię boli. Nie chcę cię ruszać, dopóki nie będziemy mieć pewności, że nie masz nic złamanego.

Zamrugała kilka razy, po czym uniosła powieki. Odwróciła głowę i spojrzała na niego, mrużąc oczy, jakby chciała lepiej widzieć. Adelicia

pogłaskała jej czoło i policzek. Sutton zwrócił od razu uwagę na ten matczyny gest. Ale co ona sobie wcześniej wyobrażała? Takie wyścigi...

– Claire? – zawołał głośniej. – Jeśli mnie słyszysz, musisz mi powiedzieć, gdzie cię boli. Tylko tyle, Claire.

Wzięła wdech.

– Dobrze... – Skrzywiła się z bólu. – Jak tylko w końcu przestaniesz cały czas powtarzać moje imię...

Wygięła usta w bladym uśmiechu i Sutton odetchnął z niepewnym poczuciem ulgi. Chciał ją wziąć w ramiona i mocno przytulić, ale się opamiętał. Będzie jeszcze na to czas później. A jeśli nie, znajdzie odpowiednią sposobność.

Adelicia otarła brud z policzka dziewczyny.

– Proszę nam powiedzieć, czy jest pani ranna, panno Laurent?

Powoli, z pomocą Suttona, Claire przekręciła się na plecy. Wzięła głęboki wdech, a następnie wypuściła powietrze. Teraz już miała wyraźniejsze spojrzenie.

– Głównie... to zraniona została moja duma.

Adelicia zaśmiała się z westchnieniem, po czym pochyliła głowę.

– Cóż, nie powinnam była stawiać pani takich wyzwań, panno Laurent. Nie wiem, co mi przyszło do głowy. Czy może mi pani wybaczyć?

Sutton zerknął na swoją pracodawczynię. To nie jej przeprosiny go zaskoczyły. Adelicia umiała się przyznać, gdy wiadomo było, że się myliła. Była kobietą o stanowczych poglądach, ale też damą o wyjątkowym charakterze. Zdziwiło go raczej to lśnienie w jej oczach.

Claire popatrzyła na nią.

– Oczywiście, że pani wybaczę, pani Acklen... – Uśmiechnęła się. – Jeśli tylko oświadczy pani, że to ja wygrałam.

Sutton powstrzymał uśmiech, widząc równie wyraźny błysk w oczach Adelicii, jak i Claire.

Teraz już służący z domu i z ogrodów dołączyli do stajennych i obserwowali to wszystko z oddalenia. Za przyzwoleniem Claire i z pomocą pani Acklen Sutton zbadał jej ręce i nogi, a potem szyję i ramiona. Dzięki Bogu, nie miała nic złamanego. Pomógł jej usiąść, opierając o siebie, dopóki nie przeszły jej zawroty głowy.

Następnie na żądanie Adelicii wziął Claire w ramiona i zaniósł do domu, idąc powoli, by nią nie trząść, i cały czas starając siebie samego przekonać, że to, co czuł do tej kobiety w jego objęciach... było tylko przyjaźnią.

Claire ostrożnie, starając się poruszać jak najmniej, wygładziła przykrycie na kolanach. Dudnienie w głowie dopiero teraz zaczynało ustępować. Była zażenowana swoim wyczynem, który widziała nie tylko Adelicia, ale też Sutton. Wciąż wydawało się jej, że robią wokół niej zbyt wiele zamieszania. Czuła się jak kompletna idiotka.

Doktor James Denard odłożył stetoskop do skórzanej torby i stwierdził:

– Panna Laurent powinna teraz leżeć, pani Acklen, przynajmniej przez dzień albo dwa. Ale nie widzę oznak poważnych urazów. – Następnie zwrócił się w stronę Claire. – Co wydaje się wyjątkowym wyczynem, młoda damo, biorąc pod uwagę to, co opisał mi pan Monroe. Zdaje się, że miała pani bardzo nieciekawy upadek.

Claire czuła, że stojący przy nogach łóżka Sutton wpatruje się w nią, ale nie potrafiła się zmusić, by na niego popatrzeć.

– Jestem pewna, że to nie było aż tak dramatyczne, jak to panu przedstawiono, doktorze Denard.

– Przerzucenie ponad ogrodzeniem... – oświadczył Sutton rzeczowym, a nawet graniczącym z sarkazmem tonem. – I wylądowanie prawie pięć

metrów dalej. Ma pani rację, panno Laurent, wcale nie tak dramatyczne.

Słysząc troskę w jego głosie, zaryzykowała spojrzenie i czy to z tego powodu, że leżała pod kołdrą w ubraniu, czy raczej z powodu sposobu, w jaki na nią patrzył, zrobiło jej się wyjątkowo gorąco.

Po tym upadku próbowała zrozumieć, jak to się stało – by móc zachować twarz, ale sama sobie była winna i dobrze o tym wiedziała. Chciała zaimponować swojej pracodawczyni, udowodnić, że sobie poradzi. Jednak w ostatniej minucie wpadła w panikę. Wypadek był po prostu wynikiem jej braku doświadczenia.

– Czy wyjdzie z tego, doktorze? – zapytał Sutton, zbliżając się do łóżka.

– Zapewniam, że wszystko będzie z nią dobrze – rzekł doktor Denard i założył z powrotem marynarkę. – Ale na razie proszę się powstrzymać od jazdy konnej, panno Laurent. A ze względu na ten wielki guz z tyłu głowy prosiłbym też, żeby przez jakiś czas nie kładła się pani spać. Przynajmniej do... – Zerknął na zegarek kieszonkowy. – ...do czasu, kiedy zwykle udaje się pani na spoczynek. Czyli przez jakieś pięć, sześć godzin od teraz. Jasne? – Spojrzał pytająco najpierw na panią Acklen i Suttona, którzy skinęli głowami, a następnie na Claire.

– Tak, sir. – Claire zmusiła się do uśmiechu, ale nie wiedząc czemu, nie miała pewności, czy był z nią do końca szczery, jeśli chodzi o jej uraz. Chociaż poza tym, że była cała obolała i łomotało jej w głowie, czuła się normalnie. Zatem czemu perspektywa czuwania wydawała jej się tak nieosiągalna? Teraz pragnęła jedynie zamknąć oczy i spać przez kilka dni.

Doktor Denard wziął swoją lekarską torbę.

– Proszę się liczyć z tym, że przez jakiś czas będzie się pani czuła obolała, panno Laurent. Ten siniec na pani biodrze przejdzie przez stadium różnych odcieni fioletu i czerni, zanim się zagoi. – Posłał jej przelotny uśmiech. – Ale jeszcze raz zapewniam, że wszystko będzie dobrze.

Claire pokiwała głową, choć nadal czuła męczący niepokój.

Doktor przeszedł do drzwi sypialni, jednak jeszcze się zatrzymał, zerkając sponad okularów na panią Acklen.

– Pani Acklen, jeśli jej bóle głowy się pogłębią albo zacznie wymiotować, proszę bezzwłocznie po mnie posłać.

– Dobrze, doktorze. – Pani Adelicia podeszła do niego bliżej. – Dziękuję, że tak szybko pan do nas przybył. Odprowadzę pana do wyjścia.

Zostawiła uchylone drzwi.

Sutton przysunął sobie zza biurka krzesło i stawiając je koło łóżka Claire, usiadł okrakiem w typowy męski sposób.

– Więc... od czego zaczynamy? Szachy czy warcaby?

– Ani to, ani to. Chciałabym odpocząć.

Przechylił się w jej stronę.

– A więc... przeżyjesz.

– Na to by wyglądało... – Claire zmusiła się do uśmiechu, jednak teraz myślała tylko o tym, jak ostatniego wieczoru w Nowym Orleanie zapytała lekarza o stan ojca. On też jej wtedy powiedział: „Mogę zapewnić, że wszystko będzie z nim dobrze”. A potem jej ojciec zmarł.

Nie obawiała się teraz śmierci. Spadła tylko z konia, a nie została pchnięta nożem, ale to właśnie myśl o śmierci – o tym, że życie się kończy i staje się twarzą w twarz z Bogiem – sprawiała, że przeszywał ją dreszcz. Nie była gotowa. Nie wiedziała dokładnie dlaczego... mimo to wiedziała, że nie była. Chciała pokoju, który jej matka odnalazła w jakiś sposób pod sam koniec.

Tylko że wolałaby go znaleźć, zanim nadejdą ostatnie godziny jej życia.

– Jeszcze nie, śpiochu. – Sutton delikatnie uścisnął ramię Claire, widząc, że jej oczy znów uciekają. – To rozkaz doktora. Nie ma jeszcze nawet ósmej.

Zmarszczyła czoło, nie otwierając oczu.

– Ale ja jestem taka zmęczona, Suttonie – wyszeptała. – I proszę, już więcej nie grajmy w warcaby. Pozwól mi odpocząć minutkę.

– Wybacz, nie mogę. – Szturchnął ją znowu w ramię. Żadnej reakcji, więc zanurzył wilgotną ściereczkę w wodzie, wycisnął ją, a następnie przyłożył Claire do policzka.

Wzięła gwałtowny wdech i otworzyła szeroko oczy.

– Przepraszam, ale nie możesz zasnąć. Jeszcze nie teraz. – Pogładził jej zmierzwione włosy. – Czy wciąż boli cię głowa?

– Łomocze... – Skrzywiła się. – Jakby ktoś walił w bęben.

– Doktor powiedział, że możesz dostać pół dawki laudanum, ale tylko po tym, jak zjesz jeszcze trochę zupy Cordiny.

– Cordina zrobiła zupę?

– Tak, pytasz już o to po raz trzeci. – Uśmiechnął się i pomógł jej usiąść wyżej na łóżku.

Wychodząc, doktor powiedział Adelicii, że pamięć Claire może być nieco zaburzona przez kilka pierwszych godzin. Sutton nie dziwił się temu, bo pamiętał dobrze, jak jego ojciec leczył pacjentów po urazach głowy. A Claire uderzyła głową dość mocno.

– To zupa ziemniaczana. Twoja ulubiona. Przynajmniej tak mówiłaś jakieś... pół godziny temu, gdy trochę zjadłaś.

Claire posłała mu spojrzenie, które mówiło, że sama nie była pewna, czy powinna mu wierzyć, czy nie, jednak najwyraźniej stwierdziła, że nie będzie się z nim sprzeczać w tej kwestii.

Z miską zupy w dłoni przesiadł się na krawędź łóżka i nabrał pełną łyżkę, a następnie przytknął do jej ust.

– Mogę jeść sama.

Sięgnęła po łyżkę, ale on odsunął rękę, kręcąc głową.

– No i znowu, panno Laurent, odziera mnie pani z całej radości.

Westchnąwszy, uśmiechnęła się znacząco i otworzyła usta. Po kilku łyżkach popatrzyła na niego, a jej spojrzenie było niepokojąco mgliste.

– Czy kiedykolwiek myślałeś o śmierci, Suttonie?

Zamarł.

– Claire, moja droga, wyzdrowiejesz. Wiem, że pewnie teraz wcale tego nie czujesz po tym upadku, ale...

– Nie... Rozumiem to. Tylko pytam, czy ty kiedykolwiek myślałeś o śmierci?

– Każdy o niej myśli. Czasami.

Przyjmując kolejną łyżkę zupy, podniosła na niego wzrok, a wyraz jej twarzy zdradzał, że chciała – a nawet oczekiwała – dłuższej odpowiedzi.

– Tak. – Nabrał kawałek ziemniaka. – Myślałem o tym. Wiele razy. Zwłaszcza podczas wojny.

– Ty walczyłeś – powiedziała cicho, raczej stwierdzając niż pytając.

– Tak jak inni.

– Byłeś ranny? – Wzięła do ust kolejną porcję.

– Zostałem postrzelony. W ramię. Miałem jednak szczęście, bo kula przeszła na wylot.

Gładkie, mleczne czoło dziewczyny pokryło się zmarszczkami.

– Bolało?

Roześmiał się.

– Tak, troszkę.

Spuściła wzrok.

– Przepraszam, to było głupie pytanie.

Gdy Sutton wspomniał chwile, kiedy leżał w tym kościele, mając na sobie krew Marka Holbrooka, jak i własną przesiąkającą jego ubrania,

w sytuacji, gdy jego ojciec został pochowany kilka dni wcześniej, poczuł, że opuszcza go humor.

– Wokół mnie umierali ludzie. Ja też myślałem, że umrę. – Ponownie zanurzył łyżkę w misce, ale Claire pokręciła głową, nie spuszczając ani na chwilę wzroku z jego oczu. Odłożył miskę na bok.

– Bałeś się? – zapytała nieśmiało.

Spojrzał na nią, zastanawiając się, skąd te wszystkie pytania. Jednak nie przeszkadzały mu.

– Tak... bałem się.

– Byłeś... gotowy?

Sutton poczuł w środku jakiś ucisk, jakby ktoś zawiązał mu wokół serca linę i mocno zaciągnął supeł. Nikt jeszcze nigdy nie zadał mu takiego pytania. Nawet Cara Netta, kiedy raz krótko rozmawiali o tamtej nocy.

Pozwolił, by minęła chwila. Nie miał wyboru, bo nie był w stanie nic powiedzieć z powodu ucisku w gardle.

– Tak – wyszeptał. – Byłem gotowy. I jednocześnie... nie. – Bawił się w palcach brzegiem kołdry. – Nie wiem, czy jakiś mężczyzna, wiedząc, że idzie na wojnę... nie mierzy się z możliwością, iż może już nigdy nie wrócić. Pogodziłem się z tym, co ma nadejść. Jeśli Bóg zadecydowałby, że chce mnie do siebie wezwać... – Wiedział, że nigdy nie zapomni tej chwili, gdy dotarło do niego, jak bardzo było to realne, kiedy trzymał wycelowaną strzelbę, słyszał wokół świst pocisków i huk wybuchów armatnich. – Byłem pewien, że uczyniłby to. Tak na wszelki wypadek wszyscy mieliśmy przy sobie listy. Nadal go mam.

– Nosisz go jeszcze przy sobie?

To pytanie, tak jak i ona sama, sprawiło, że zrobiło mu się ciepło. Była piękną kobietą – i z zewnątrz, i w środku. Jednak starał się teraz o tym nie myśleć.

– Nie, nie noszę. A czemu pytasz? – Zerknął na nią podejrzliwie, licząc, że rozluźni trochę atmosferę. – Wiesz coś, czego ja nie wiem?

Uśmiechnęła się, ale tylko na chwilę.

– Powiedziałeś najpierw, że tak. A potem, że nie. Dlaczego nie?

Ta kobieta nie poddawała się łatwo. Podobało mu się to w niej. Jednak Sutton wahał się, czy powinien jej dokładnie odpowiadać. Nie wstydził się powodów, dla których chciał jeszcze trochę tu zostać, ale to nie było coś, czym łatwo mógł się z kimkolwiek dzielić. Choć oczywiście Claire nie była „kimkolwiek”.

– Ponieważ było jeszcze coś, czego w życiu nie zrobiłem, a chciałem. Coś, czego nadal pragnę.

Ożywiła się.

– Co takiego?

Potrząsnął głową, przypominając sobie reakcję Cary Netty, gdy wtajemniczył ją w swoje marzenie o hodowli rasowych koni.

– Nie będę się śmiać, Suttonie, obiecuję. I nie powiem nikomu, jeśli tak wolisz.

Wierzył jej.

– Lubię swój zawód prawnika i daje mi to satysfakcję... i szczerze powiedziawszy, nie wiem, czy zupełnie bym chciał to porzucić. Ale w przyszłości bardzo pragnąłbym... założyć własną stadninę rasowych koni.

Jej spojrzenie pojaśniało.

– Ale nie chodzi tylko o to, że chciałbym mieć stadninę – dodał wyjaśniająco. – Chciałbym szkolić konie. Sam. Przygotowywać je do wyścigów. Chciałbym też naprawiać ogrodzenia, pomagać rodzącym klaczom wydać potomstwo na świat. Chciałbym zajmować się tym w każdym wymiarze.

Wyraz zachwytu widoczny na jej twarzy był dla niego niczym największy skarb.

– To cudowne marzenie, Suttonie. Wierzę, że kiedyś je spełnisz.

Jak ona to robiła? Patrząc jej w oczy, naprawdę uwierzył, że pewnego dnia będzie miał własną stadninę. Gdy podzielił się tym pragnieniem z Carą Nettą podczas ich podróży po Europie, zareagowała bardzo żywiołowo, jednakże jej kolejne pytania dotyczyły jego praktyki prawniczej i tego, kiedy mógłby zostać wspólnikiem Holbrooka, i czy to nie było dużo lepszą okazją dla niego niż hodowla koni. Jednakże nie mógł jej całkiem winić za taką reakcję. Nie po tym, gdy celowo wspomniał, że starszy prawnik przyznał, że być może w przyszłości zostaliby wspólnikami.

A jednak Cara Netta już nigdy nie poruszała z nim tematu stadniny koni. I teraz, z perspektywy czasu, wiedział, że to właśnie ta reakcja przyczyniła się do jego wahania co do pogłębienia ich związku. Przynajmniej na początku. Obecnie był jeszcze zupełnie inny powód. Ten powód miał jakieś sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu, kasztanowe włosy i zielononiebieskie oczy i patrzył na niego – również w tej chwili – w sposób, który wywoływał w nim poczucie, że nie ma dla niego nic niemożliwego.

Oprócz wyjawienia jej prawdy o Carze Netcie. Co i tak musiał zrobić. Panie LeVert miały przyjechać w ciągu kilku najbliższych dni, ale jak miał jej powiedzieć, żeby nie wyszło na to, iż cały czas ukrywał przed nią prawdę? Czego przecież nie robił. Tylko po prostu na początku wcale nie wydawało mu się to ważne. A im lepiej się poznawali, tym mniej było odpowiedniej okazji, żeby to uczynić. Tylko że to oznaczało, iż będzie musiał sam stworzyć taką okazję. Nawet teraz.

– Dziękuję ci, Claire, za to wotum zaufania. Zapytałbym cię również o twoje marzenia, ale wydaje mi się, że już to wiem. – Zerknął na

dodatkowe *joujou*, które leżało na kominku. – Chcesz malować. I wziąć na wiosnę udział w najbliższej aukcji dzieł sztuki, prawda?

– Tak – odparła, wygładzając kołdrę. – Jeśli tylko uda mi się namalować coś, co będzie wystarczająco dobre.

– Jestem pewien, że to ci się uda. Masz wielki talent. I cokolwiek postanowisz namalować, na pewno będzie cudowne.

Wpatrywała się w jego oczy i miał wrażenie, że chce coś powiedzieć, więc czekał. Ona jednak milczała, więc stwierdził, że to jednak jego kolej.

– Coś, co...

– To miłe...

Zaczęli jednocześnie i zaraz się roześmiali.

– Przepraszam. – Wskazał dłonią. – Proszę, mów pierwsza.

Skłoniła głowę.

– Chciałam tylko powiedzieć, że miło wiedzieć, iż masz w życiu coś, czego pragniesz, a czego jeszcze nie osiągnąłeś. Zwłaszcza w sytuacji, gdy tak daleko już zaszedłeś w karierze. – Spuściła wzrok na chwilę, a potem znów podniosła oczy, w których widać było wyraźny błysk. – I to, w jaki sposób o tym mówisz, jak jaśniejesz... od razu widać, że to dla ciebie wiele znaczy.

Sutton przyglądał się jej badawczo.

– Mógłbym to samo powiedzieć o tobie, kiedy oglądałaś obrazy w galerii. Ta miłość i podziw dla sztuki promieniuje od ciebie, Claire. I mogę się tylko domyślać... – Zmrużył oczy, jakby starał się to ocenić. – Ale daję głowę, że widać to również w twoich obrazach. Nie mogę się już doczekać, gdy zobaczę jakieś twoje dzieła na czymś innym niż *joujou* czy pudełka na słodycze.

Przez chwilę miała taki wyraz twarzy, jakby chciała się rozpłakać, jednak zaraz przechyliła się i zarzuciła mu ramiona na szyję.

– Dziękuję ci, Suttonie.

Zaskoczony jej reakcją, ale jednocześnie ucieszony, otulił ją delikatnie ramieniem, uważając, by nie urazić jakichś miejsc, które mogły być posiniaczone po upadku.

– Mogę cię o coś prosić? – wyszeptała, a na szyi poczuł ciepło jej oddechu. – Jako taką przysługę?

Wytrącony z równowagi jej bliskością i poruszony nieśmiałością w jej głosie, odsunął się wbrew własnym pragnieniom.

– Proś, o co chcesz, o ile tylko nie będę musiał złamać prawa. Sądom w Tennessee... i pani Acklen mogłoby się to nie spodobać.

Na jej twarzy na moment pojawiła się konsternacja, a potem Claire roześmiała się ochryple.

– Nie, to nie narusza prawa.

Uśmiechnął się, poruszony płochliwym wyrazem jej twarzy, ale również ich bliskością. Lekarz wcześniej osłuchiwał ją i guziczki jej sukni przy szyi nie były zapięte, a kołnierz lekko się rozchylał. Nie widział nic, czego nie powinien, jednak to, co widział, powodowało takie myśli, na które nie powinien sobie pozwalać, a tym bardziej ich podtrzymywać.

W miękkim, kuszącym zagłębieniu u dołu jej szyi było widoczne silne, miarowe tętno. I jeszcze te usta. Usta, których uśmiech bez większego wysiłku siał spustoszenie w jego umyśle, a oczy, które... odczytywały każdą myśl, jaką żywił w tej chwili. Tak mu się przynajmniej wydawało.

Sutton wziął wdech i w tym samym momencie dziewczyna się zawstydziła. Jeśli wcześniej nie wiedziała, że mu się podoba – a podejrzewał, że nie – teraz już na pewno musiała wiedzieć, albo chociaż podejrzewać. Czy powinien coś powiedzieć, czy raczej to zignorować? Nigdy nie był dobry w tym drugim, więc zdecydował się na przeprosiny.

– Przepraszam – wyszeptał. – Nie powinienem był się tak gapić.

Spuściła na chwilę wzrok na dłonie, a w kącikach jej ust drgał uśmiech zażenowania.

– Nie przeszkadza mi... twoje zainteresowanie.

Podejrzewał, że gdyby trafił go piorun w środku burzy, wywołałby mniejszy efekt niż to jej nieśmiałe wyznanie. Kiedy tak na nią patrzył, zalewało go coraz większe ciepło i miał wrażenie, jakby czas zwolnił – wiedział, że musi zwrócić tę rozmowę i swoje myśli na jakieś bezpieczniejsze tory.

– A więc... – Sapnął, urywając ich kontakt wzrokowy i licząc, że na twarzy nie widać tego ciepła, które paliło go wewnątrz. – O co chciałaś mnie poprosić?

Mógłby przysiąc, że dostrzegł jakąś obawę w jej twarzy. Może zamierzała coś powiedzieć, ale jeszcze się zawahała.

– Chciałam cię poprosić... gdy tylko wyzdrowieję i kiedy doktor powie, że znów mogę jeździć konno... zastanawiałam się, czy...

– Nauczę cię skakać przez przeszkody – dokończył za nią, wyczytując to w jej spojrzeniu. I już sam nie mógł się doczekać ich pierwszej lekcji. – To będzie dla mnie zaszczyt. A jak cię wyszkolę, to będziesz mogła mierzyć się z każdym ogrodzeniem i strumieniem na wschód od Missisipi.

Jej uśmiech był wystarczającą nagrodą.

– Dziękuję ci, Suttonie. A teraz twoja kolej. Chciałeś mi coś powiedzieć?

Próbował zdecydować się, jak najlepiej wyjawić prawdę o Carze Netcie, ale niezależnie, jak układał – i przeformułowywał – te słowa w głowie, wiedział, że nie potrafi powiedzieć tego, co planował jeszcze przed chwilą. Bowiem – po tym, co się przed chwilą stało – jak miał jej oświadczyć, że jego i inną kobietę łączy takie porozumienie? A musiał.

Tylko jak miał w dobrej wierze zaręczyć się z Carą Nettą, szczerze deklarując jej swoje uczucia i oddając życie, gdy nie miał wątpliwości, że jego serce należy do Claire?

Podniósł się z łóżka, zerkając na zegar na kominku.

– Chciałem jedynie powiedzieć, że jest wpół do dziesiątej i zgodnie z zaleceniami doktora możesz już iść spać. – Nie umiał się powstrzymać i pochylił się jeszcze, by ucałować ją w czoło. – Będę tu, gdy się zbudzisz.

26

Czy przekazała pani Cordinie listę szczegółowych rozporządzeń na dzisiejszą kolację?

– Tak, proszę pani. – Claire uśmiechnęła się w duchu na widok swojej pracodawczyni, która kręciła się niecierpliwie w pobliżu frontowego okna, co chwilę przez nie wyglądając. W ciągu kilku ostatnich dni pani Acklen dokładała wszelkich starań, by mieć pewność, że wszystko jest gotowe na przyjazd pań LeVert... a także na wystawną kolację na ich cześć. Całe Belmont przepełniał dreszcz oczekiwania. – Spotkałam się z Cordiną dzisiaj rano. Zgodnie z pani życzeniem będą wszystkie przysmaki, które lubi madame LeVert. Ciasto ze świeżym kokosem, ciepły kompot z gruszek i jabłek, schab Cordiny z rozmarynem i tymiankiem... – recytowała z pamięci całe menu.

– A co z listą gości? Nikt nie przesłał rezygnacji w ostatniej chwili? Albo dodatkowego potwierdzenia?

– Nie, proszę pani. Lista gości się nie zmieniła. – Nawet tego nie konsultując, Claire przygotowała winietki na stół dla każdego, kto będzie zasiadał w gościnnej jadalni – pani Acklen, panie LeVert, Sutton i pani Hayes. A także bracia i siostry pani Adelicii wraz ze swymi współmałżonkami. Pełna sala. Claire czuła się zaszczycona tym, że pani Acklen zastrzegła, by jej asystentka też tam z nimi jadła zamiast z panną Cenas i dziećmi w rodzinnej jadalni.

– Hmmm... – Pani Acklen milczała przez chwilę. – A więc... panu Polkowi nie udało się zmienić wcześniej ustalonego spotkania?

– Podejrzewam, że nie, proszę pani. Nie informował nas o niczym takim, zatem zakładam, że raczej nie zjawi się dzisiaj wieczorem.

Kiwając głową, pani Acklen stanęła tyłem do niej i zapatrzyła się przez okno.

Claire nigdy nie zapytałaby o coś takiego, ale zastanawiała się, co łączyło panią Acklen z Luciusem Polkiem. Tamtego wieczoru po przyjęciu urodzinowym Williama wydawało się, że darzą się przyjaźnią, a potem jeszcze pan Polk bywał dwukrotnie na kolacji w Belmont. Jednakże należało uwzględnić fakt, iż jej pracodawczyni była bardzo zamożną i atrakcyjną wdową, a to połączenie przyciągało uwagę niejednego mężczyzny.

Pani Acklen przysunęła się bliżej okna, a Claire wychyliła się z fotela, również zerkając na zewnątrz. Też już chciała, by panie LeVert w końcu przyjechały, choć z zupełnie innego powodu.

Poza uwagą sprzed kilku tygodni, kiedy pani Acklen wspomniała, jak Sutton i Cara Netta dzielili się zupą cebulową w Paryżu, aż do tego tygodnia nikt nie wymieniał nazwiska tej kobiety. Nigdy więcej też nie pojawiało się w połączeniu z imieniem Suttona. Więc niezależnie od tego, co ich łączy – albo łączyło – Claire doszła w końcu do wniosku, że najwyraźniej nie chodziło o nic poważnego. Przecież gdyby tak było, powiedziałby jej coś do tej chwili. Zwłaszcza w świetle tego, co zaszło pomiędzy nimi tego wieczoru po wypadku.

Oczywiście nic tak naprawdę się nie wydarzyło. W każdym razie nic widocznego na zewnątrz. Jej twarz oblało ciepło. To, jak na nią patrzył... Znała to spojrzenie.

Czasami zdarzało się, że niektórzy mężczyźni tak właśnie na nią patrzyli, choć wcale nie było to dla niej miłe. Sutton jednak należał do zupełnie innej kategorii i myśl o tym, że on się w nią wpatrywał, była

czymś, o czym nawet nie śmiała marzyć. Czuła wdzięczność za to, że siedział przy niej tamtego wieczoru, pomagając jej, by nie zasnęła. Później musiał dłużej pracować w mieście, wyjeżdżał przed śniadaniem i wracał po kolacji. Mówił, że przygotowuje się do jakiejś sprawy sądowej, która miała mu zająć jeszcze kilka miesięcy. Ucieszyła się, gdy jej to powiedział, bo już zaczynała myśleć, że próbuje jej unikać.

„Uważaj, kogo darzysz miłością”... Wspomnienie słów matki mignęło jej w pamięci niczym ostrzeżenie i zwróciła się myślami ku ojcu. Czyżby rada matki była czymś więcej niż ostrzeżeniem? Zważając na to, jakim człowiekiem był papa, Claire nie mogła tego wykluczyć. Jednakże... jeśli Sutton rzeczywiście czuł wobec niej coś więcej niż przyjaźń – a tak się jej właśnie wydawało – wiedziała, że takie ostrzeżenie nie było w tej sytuacji konieczne. Ponieważ Sutton był całkiem inny niż papa. Ten mężczyzna był życzliwy, szczery i dobry i nigdy by jej nie okłamał. Z pewnością też nie próbowałby jej zmuszać do czegoś, czego nie chciałaby robić. A tym bardziej do czegoś złego.

Była zaskoczona, gdy powiedział, że nie uczyniłby niczego, co stałoby w sprzeczności z prawem. Szybko dotarło do niej, że sobie żartował, ale ta luźno rzucona uwaga przypomniała jej po raz kolejny o przepaści, jaka ich dzieliła. Chociaż mogła mu się podobać – co już samo w sobie było miłe – wiedziała, że nie powinna zbyt wiele oczekiwać. Człowiek o takim statusie społecznym i przeszłości jak Sutton nie mógłby nigdy poważnie brać pod uwagę znajomości z nią, gdyby znał prawdę.

A jednak... to, jak się wobec niej zachowywał, dawało jej nadzieję...

– Wygląda pani już na całkiem zdrową – zauważyła pani Acklen, zerkając za siebie. – Nie ma pani jakichś powracających dolegliwości po tamtym upadku?

„Tamtym upadku”... Tak właśnie wszyscy, łącznie ze służbą, określali jej żałosną próbę przeskoczenia przez płot zagrody.

– Nie, proszę pani. Żadnych dolegliwości. Siniak na biodrze ładnie się goi, a bóle głowy już minęły. Doktor Denard powiedział, że za kilka tygodni mogę znów zacząć jeździć konno.

– Słyszałam, że pan Monroe będzie panią uczył skakać.

– Powiedział to pani?

– Kiedyś o tym wspomniał. Pan Monroe jest zdolnym jeźdźcem i wspaniałym nauczycielem. Wyszkolił kilka moich rasowych koni. Co też wraz z jego prawniczym wykształceniem stanowi ciekawe połączenie u mężczyzny.

Claire w zupełności się z tym zgadzała.

– Mamo? – Pauline zajrzała przez drzwi. – Czy pani Tavie już przyjechała?

– Jeszcze nie, kochanie. – Pani Acklen przeszła przez gabinet i ucałowała córeczkę w czoło. – Ale już niedługo. Poproszę panią Routh, by powiedziała pannie Cenas, kiedy tylko pani Tavie przyjedzie, żebyś mogła przywitać się z nią i z jej córkami. A teraz uciekaj z powrotem na lekcje. Mam nadzieję, że po kolacji opowiesz nam, czego się nauczyłaś.

Dziewczynka kiwnęła głową, rzucając Claire pełen podekscytowania uśmiech, a potem wybiegła.

Claire pomyślała o laurkach z życzeniami powrotu do zdrowia, które dostała od dzieci. Pastelowy obrazek Pauline przedstawiał jakąś odzianą w różową suknię bajkową postać, która frunęła wysoko ponad ziemią. Malunek Claude’a, zdaniem Claire, był dużo bliższy prawdy i pokazywał ją lecącą ponad ogrodzeniem, prosto na głowę, z ustami szeroko otwartymi w krzyku.

William, bez rysunku – przecież był „zbyt duży na taką dziecinadę” – zapytał po prostu, czy mogłaby pokazać mu jeszcze raz, jak to zrobiła. Trąciła go żartobliwie pięścią w ramię i otrzymała w odpowiedzi szeroki uśmiech.

W porównaniu do tego wrażenia bycia nie na miejscu, którego doświadczyła tuż po przyjeździe, Claire musiała przyznać, że obecnie dużo bardziej czuła się częścią tego domu. Oczywiście nie jak członek rodziny ani ktoś równy, ale akceptowana. Tak jakby dopiero zaczynała się tu odnajdywać, i to było wspaniałe uczucie.

– Mam dla pani nowe zadanie, panno Laurent... – rzekła pani Acklen, poprawiając koronkową serwetkę ułożoną ozdobnie na oparciu sofy. – Chciałabym, żeby nauczyła pani Pauline podstaw rysunku i akwareli. Uważam, że ma dar do pracy twórczej, a panna Cenas, choć ma ogromną wiedzę z zakresu historii sztuki, posiada jednak pewne braki, jeśli chodzi o zdolności plastyczne.

– To będzie dla mnie zaszczyt, proszę pani!

Claire była zachwycona perspektywą nauczania dziewczynki, a jeszcze bardziej świadomością, że pani Acklen tak jej zaufała.

– Proszę jednak mieć na uwadze, że zakładam tylko jakiś miesiąc... do czasu, aż mistrz Giovanni Domenico z Włoch sprowadzi się do gościnnej rezydencji przy galerii w mieście. Wtedy Pauline będzie tam uczęszczać na nauki z malarstwa olejnego na płótnie. Ale wierzę, że kilka przydatnych wskazówek od pani w zakresie podstawowych zasad będzie stanowiło przydatny fundament dla lekcji z artystą malarzem.

Gdy dotarła do niej treść tej prośby, Claire starała się ukryć rozczarowanie. Pani Acklen chciała, żeby przekazała Pauline podstawowe umiejętności, co najwyraźniej wskazywało, że jej pracodawczyni uważała,

iż nie poradziłaby sobie z nauczeniem czegokolwiek więcej nawet sześcioletniego dziecka.

Ale żeby Giovanni Domenico, mistrz malarstwa, miał dawać nauki sześciolatce? Bogactwo miało swoje przywileje.

– Oczywiście, pani Acklen. Zrozumiałam. Z chęcią popracuję z Pauline w tej dziedzinie.

– Bardzo dobrze. – Pani Acklen przesunęła dłonią po odlanej z brązu rzeźbie Bucephalusa, a na jej twarzy odmalowało się zamyślenie. – Ile odpowiedzi otrzymaliśmy do tej pory na zaproszenie na poczęstunek w październiku?

Claire zerknęła w swoje notatki, choć i tak dobrze znała stan rzeczy, ale wcale nie miała ochoty go wyjawić. W poniedziałek po przyjęciu urodzinowym Williama wysłała trzydzieści zaproszeń i każdego dnia pani Acklen pytała o rozwój sytuacji.

– Jak dotąd dostaliśmy cztery odpowiedzi, proszę pani... – I to od matki pani Adelicii, dwóch sióstr i żony pana Jamesa Polka, bliskiej znajomej, lecz to Claire zachowała dla siebie. – Ale wciąż jest jeszcze czas. Poczęstunek ma się odbyć dopiero za miesiąc.

Pani Acklen milczała i Claire wyczuła, że była urażona tym brakiem odpowiedzi w stosownym terminie. Szczerze powiedziawszy, Claire też tego nie rozumiała. Jaka kobieta mogłaby odmówić zaproszenia na poczęstunek u pani Adelicii...

– Kareta! – Pani Acklen westchnęła cicho. – Są już! – Wygładzając przód sukni, wyszła z gabinetu, nawet nie obejrzawszy się za siebie.

Claire pospieszyła w stronę otwartego okna i patrzyła, jak stangret manewruje na drodze między ogrodami różanymi, rzeźbami i fontannami. Powóz zatrzymał się tuż przed frontowymi schodami, więc dziewczyna, nie

chcąc, by ją widziano, zrobiła krok w tył i zerkała zza kotary. Eli otworzył drzwi karety i skłonił się nisko.

Pojawiła się wyciągnięta elegancko, okryta rękawiczką dłoń i Claire wychyliła się w przód, żeby zobaczyć, do kogo należy.

Korzystając z pomocy Eliego, kobieta wysiadła i Claire od razu wiedziała, że była to madame Octavia LeVert – chluba całego Mobile w stanie Alabama, wnuczka George'a Waltona, członka Drugiego Kongresu Kontynentalnego, jednego z trzech reprezentantów Georgii, którzy podpisali *Deklarację niepodległości Stanów Zjednoczonych* oraz... byłego gubernatora, jeśli Claire dobrze zapamiętała. Poczciwa Cordina... Znajomość z nią dawała niesamowicie wiele korzyści.

Suknia madame LeVert była przewspaniała, stylem przypominająca te, które Claire widziała w ostatnim wydaniu *Godey's*. Dziewczyna zerknęła na własną, nową szarą suknię, tak zwyczajną, i choć ona odpowiadała jej pozycji społecznej, nagle Claire poczuła się nie dość elegancko ubrana.

– Witaj ponownie w Belmont, droga Octavio... – Głos pani Acklen dobiegał przez otwarte okno. – To spotkanie cieszy moje serce.

– Tak jak i moje, Adelicio. Dziękujemy za to, że mogłyśmy się u ciebie zatrzymać po drodze. Dziewczęta i ja jesteśmy przeszczęśliwe, że możemy się zobaczyć z tobą i...

Kiedy obie kobiety wymieniały uściski, Eli pomógł wyjść z powozu kolejnej damie. Z tego, co przekazała jej Cordina, Claire domyślała się, że jest to starsza z sióstr. Zaraz potem wyłoniła się trzecia pani i Claire wzięła gwałtowny wdech.

Cara Netta.

Kobieta o gęstych puklach w głębokim odcieniu czerni, ciemnej niczym skrzydła kruka, i o oczach, które – nawet z tej odległości – choć niebieskie, mieniły się fioletem, wyglądała zachwycająco. Te delikatne rysy i ta smukła

kibić. A jej suknia i... *décolletage* [37]. Claire położyła dłoń na swojej zdecydowanie mniej odważnej górze sukni i nagle uwaga pani Acklen o zupie cebulowej nabrała zupełnie nowego znaczenia.

– Panno Laurent?

Claire zerwała się, a serce podskoczyło jej do gardła.

– Pani Routh!

Ochmistrzyni podeszła bliżej.

– Przyłapałam panią na zaglądaniu zza kotary, prawda?

Claire odsunęła się od okna.

– Nie, proszę pani... Po prostu usłyszałam karetę i...

– I teraz skoro już pani wie, że przyjechały panie LeVert, pani Acklen byłaby wdzięczna, gdyby wyszła pani z ukrycia i mogła zostać odpowiednio przedstawiona.

Po raz kolejny żałując, że tak kiepsko zaczęła się jej znajomość z tą kobietą, Claire odłożyła na stolik trzymane w dłoni kartki i rzekła:

– Oczywiście, proszę pani.

Pani Routh natychmiast zebrała kartki i ułożyła w idealnym ładzie na zabytkowym sekretarzyku.

– Proszę pamiętać, panno Laurent, że madame Octavia LeVert jest nie tylko ogólnie lubianą osobą publiczną, ale również najdroższą przyjaciółką pani Acklen. I ufam, że dołoży pani wszelkich możliwych starań, aby pobyt pań LeVert tu w Belmont przebiegał zarówno miło, jak i... harmonijnie.

Zastanawiając się nad tym szczególnym doborem słów gospodyni, Claire skinęła głową.

– Oczywiście, pani Routh.

Kobieta poprowadziła ją do wejściowego holu.

– Podobnie jak matka, obie córki madame LeVert są zachwycające – mówiła dalej ochmistrzyni. – Tak utalentowane i wytworne. Nic dziwnego,

że przyciągają spojrzenia najwyśmienitszych dżentelmenów z Nashville.

To stwierdzenie wcale nie było zaskakujące dla Claire po tym, gdy ujrzała siostry. A fakt, że pochodziły z zamożnej rodziny – i zapewne wniosą to bogactwo w posagu – z pewnością gwarantowało im dobre perspektywy na zamążpójście, zwłaszcza w tych trudnych czasach. Zaskakujące jednak było to, że pani Routh aż tak się rozgadała. To chyba najdłuższa wypowiedź, jaką słyszała z ust tej kobiety od chwili swojego przyjazdu. I szczerze powiedziawszy, Claire wolała jej stoickie milczenie.

Gospodyni otworzyła drzwi i Claire dostrzegła, że Sutton zmierza drogą w kierunku rezydencji. Dosyć osobliwe, że wracał tak wcześnie, skoro ostatnio musiał pracować do późna. Choć przecież wiedział, że oczekiwali dziś pań LeVert.

– Och, pan Monroe, jak zawsze w porę. – Pani Routh rozciągnęła usta w uśmiechu, który jednak nie obejmował jej spojrzenia. – Panie LeVert od dawna darzą go sympatią, co on również odwzajemnia. Z pewnością niedługo sama pani to dostrzeże.

Ton głosu ochmistrzyni sprawiał wrażenie, jakby próbowała coś przekazać Claire, jednak nie wprost. A to już w ogóle nie było w stylu pani Routh.

Teraz już Claire wcale nie miała takiej ochoty, by poznać panie LeVert, jak wcześniej. Po raz ostatni sprawdziła suknię i wyszła przed portyk, wstydząc się zejść po schodach i wmieszać w burzę uścisków i poufałości.

Widok takich czułości powinien być miły jej sercu, ale zamiast tego sprawił, że poczuła ogromne pragnienie, by być taką jak one, i ta tęsknota przyćmiła wszystko i spuściła zasłonę na ten jej niepewny i urojony żywot, jaki obecnie wiodła. Nie miała nikogo, z kim mogłaby się tak serdecznie witać po długiej nieobecności, ani żadnego miejsca, gdzie mogłaby się „zatrzymać po drodze”, gdyby gdziekolwiek miała podróżować. I stojąc tak

u szczytu schodów, przypatrując się temu wszystkiemu, poczuła się samotna i taka nieważna...

Ale dopiero kiedy zobaczyła, jak Cara Netta odwraca się i dostrzega Suttona, a potem biegnie, by się z nim przywitać, obejmuje go i cmoka w policzek – a on odwzajemnia jej uścisk – zaczęła rozumieć, o co chodziło pani Routh.

27

Nadeszła chwila, której Sutton obawiał się najbardziej. I fakt, że tak bardzo się tego bał – nawet w momencie, gdy obejmował Carę Nettę – dodatkowo wzmógł jego wyrzuty sumienia. A to, że Claire stała, patrząc na nich z wejściowych schodów, tylko pogarszało sprawę. Powinien jej był powiedzieć o Carze Netcie. Wiedział to już tamtego wieczoru po jej wypadku i wiedział również teraz. Przez cały ubiegły tydzień rozmyślał, zastanawiał się... Ale nie potrafił zdecydować, jak miałby jej wyjaśnić to, co działo się w jego sercu. Może dlatego, że sam wciąż nie był tego pewien.

– Pan Monroe!

Odwrócił się i zobaczył, że madame LeVert idzie prosto w jego kierunku z wyciągniętymi ramionami, i z radością zrzekł się córki na rzecz matki. Uścisnęli się i Sutton po raz kolejny przypomniał sobie, jak ważna dla Adelicii jest ta kobieta oraz jej rodzina.

– Ależ miło panią znów spotkać, madame LeVert. Wspaniale pani wygląda. – Wciąż miał w zasięgu wzroku Claire, która stała trochę z boku na portyku. – Wydaje mi się, że ten przedłużony pobyt w Nowym Jorku dobrze się przysłużył szanownej pani.

– Mój drogi chłopcze, to nie Nowy Jork przyczynił się do mojego dobrego nastroju. To oczekiwanie na spotkanie z panem, Adelicią i ponowną wizytę w Belmont podtrzymywało mnie na duchu.

Ciągle jeszcze, gdy ją widział, przypominał mu się jej nieżyjący już mąż. Brakowało mu ciętego dowcipu doktora LeVerta oraz jego

wnikliwych spostrzeżeń i wiedział, że trzy najważniejsze kobiety dla Henry’ego LeVerta wciąż opłakują jego odejście sprzed dwóch lat.

– Jak ona się miewa? – wyszeptała madame LeVert. – Już dawno nie widziałam, by wyglądała na tak wypoczętą i zadowoloną.

– Wzięła sobie do serca pani sugestię, nie bez mojej usilnej zachęty, i po powrocie zatrudniła osobistą asystentkę – rzekł cicho.

Oczy madame LeVert pojaśniały i Sutton skinął w stronę Claire, która powoli wycofywała się w kierunku domu. Wzrok damy podążył za jego spojrzeniem i Claire znieruchomiała, jakby ją przyłapano na gorącym uczynku. Na jej twarzy pojawiła się niepewność, więc Sutton posłał jej uśmiech w nadziei, że to rozwieje jej podenerwowanie.

– Obecnie pomaga pani Acklen niemalże we wszystkich dziedzinach i skutecznie oraz z wdziękiem wykonuje swoje obowiązki. – Przysunął się jeszcze bliżej i dodał: – Adelicia jest dość zadowolona.

– To szczególna pochwała, panie Monroe. Teraz jeszcze bardziej jestem ciekawa poznać tę asystentkę. – Uśmiechnęła się i poklepała go po ramieniu. – Każdy, kto podoba się Adelicii Acklen, podoba się również mnie.

– Mamo, czy mogłabyś już dłużej nie monopolizować dla siebie najbardziej przystojnego kawalera na całym Południu?

Sutton bez trudu spojrzał prosto w twarz Diddie, najstarszej córki madame LeVert, i ze spokojem odparł:

– Z pewnością mogłaby, panno LeVert. Gdyby tylko był tutaj taki.

Wszyscy się roześmiali. Wszyscy oprócz Diddie.

– „Panno LeVert”? Czyż to tak teraz zamierzasz się do mnie zwracać, młody człowieku?

Sutton obdarzył ją uśmiechem.

– Witaj, Diddie. Jak się masz?

– Jestem wykończona, Suttonie, i bolą mnie plecy. – Rozpromieniła się i obdarzyła go uściskiem. – Ale najbardziej cieszę się, że mogłam w końcu wysiąść z tej karety na twardy grunt. I to jeszcze na wspaniały grunt Belmont. Czuję się prawie, jakbym wróciła do domu.

Diddie – zawsze tak bezpretensjonalna, mówiąca, co ma na myśli, a jednak nie bez swojego uroku. Sutton zastanawiał się, jak zresztą już nie raz, dlaczego jeszcze nie wyszła za mąż. Z pewnością nie chodziło o brak zainteresowanych. Miała ledwie trzy albo cztery lata więcej od niego i zawsze wypominała mu, że jest młodszy.

Tematy rozmów się wyczerpały i Sutton popatrzył w stronę rezydencji, gdzie Claire zaczęła właśnie schodzić po stopniach. Wiedząc, że sama by się na to nie zdecydowała, zdążył zauważyć dyskretny sygnał Adelicii, nakazującej, żeby do nich dołączyła – szybkie machnięcie nadgarstkiem, gest, który zazwyczaj stosowała wobec służby.

Fakt, że użyła tego znaku w stosunku do Claire... jakoś dziwnie go dotknął.

– Brakowało nam ciebie, Suttonie. – Cara Netta ujęła go pod ramię. – Bardzo. – Przysunęła się bliżej.

Słysząc te słowa, zauważył znaczące uśmiechy otaczających go kobiet i czuł, że spiął się w sobie, a jednocześnie cieszył się, że Claire była jeszcze tak daleko od nich.

– Nam również was brakowało. Bałem się już, że pani Acklen od nowa zrobi remont całej rezydencji w oczekiwaniu na wasze odwiedziny.

Adelicia zaśmiała się, uciszając jego uwagę, a Sutton w tym czasie próbował bezskutecznie choćby minimalnie zwiększyć dystans pomiędzy nim a Carą Nettą.

Młoda dama pogładziła dłonią jego ramię, a następnie uścisnęła go, mówiąc:

– Ogrody są tutaj takie wspaniałe, Suttonie. Może mógłbyś mi je pokazać po kolacji.

Sutton, zaskoczony jej śmiałością, a także odważną ekspozycją biustu dzięki mocno wydekoltowanej sukni, pokiwał uprzejmie głową i nagle dotarło do niego całkiem wyraźnie, w jak patowej sytuacji się znalazł. Uświadomił sobie, że Cara Netta wcale nie zachowywała się zbyt śmiało, jeśli uwzględnić ich porozumienie oraz te długie miesiące spędzone we wspólnej podróży po Europie.

To jego własne zachowanie sprawiało, że czuł się nieswojo. To, na ile pozwolił sobie zbliżyć się do Claire. Dopuścił do przyjacielskiej relacji, która nie była stosowna dla mężczyzny w jego położeniu, jakkolwiek niewinna wydawała się na początku. Ale to wszystko nie było winą Cary Netty, tylko jego własną i teraz on musiał to naprawić.

Cara Netta uścisnęła jego rękę i wtedy dotarło do niego, że czeka na odpowiedź.

– Tak – wyszeptał. – Z przyjemnością pokażę ci później ogrody. Będziemy mieć okazję, żeby porozmawiać.

– I... – Uśmiechnęła się. – Lepiej się poznać.

Coś ścisnęło go w gardle na jej spojrzenie.

– Suttonie...

Odwrócił się, zadowolony, że Diddie im przerwała.

– Musisz poprosić Carę Nettę o sonatę.

Minęła chwila, zanim dotarło do niego, o czym mówiła. W końcu przypomniawszy sobie, zatuszował lukę w pamięci dżentelmeńskim ukłonem i jednocześnie wykorzystał tę okazję, by uwolnić się od czułości Cary Netty, wciąż mając na uwadze, że Claire stoi tuż za Adelicią, czekając, aż ktoś ją przedstawi. Uczyniłby to sam, ale to był przywilej Adelicii jako pani Belmont i pracodawczyni Claire.

– Nie wątpię, że Cara Netta opanowała do tego czasu sonatę Haydna. Która to była...

– Numer trzydzieści siedem, sonata D-dur – podpowiedziała Diddie, a w jej oczach widać było pełną miłości dumę. – O, tak, opanowała po mistrzowsku. Sama nie wiem, jak ona to robi, że gra tak żywiołowo. I bezbłędnie!

Cara Netta posłała siostrze żartobliwie gniewną minę.

– Nie powinnaś tak zmyślać, Diddie. – Zerknęła na Suttona. – Choć rzeczywiście potrafię ją już zagrać całkiem znośnie.

– Całkiem znośnie? – Madame LeVert pokręciła głową.

– Dzisiaj wieczorem, po kolacji. – Adelicia popatrzyła na Carę Nettę, a w jej spojrzeniu malowała się radosna pobłażliwość. – Powinnaś zagrać tę sonatę. Nalegam! I wtedy sami zadecydujemy, czy można użyć tu określenia, że utwór ten został opanowany po mistrzowsku.

Cara Netta dygnęła.

– Jak sobie pani życzy, pani Acklen, ale błagam, aby mnie nie winić, jeśli jacyś goście nabawią się nagle bólu głowy. – Jej uwaga wywołała stłumiony śmiech.

– Ach... panno Laurent. – Adelicia przywołała gestem Claire, by podeszła.

Sutton próbował złowić spojrzenie Claire, jednak bez powodzenia. Jej niepokój był zrozumiały. Panie LeVert były, każda na swój sposób, onieśmielające dla każdego. A razem wzięte... i to jeszcze z Adelicią...

– Dziękuję, że pani do nas dołączyła, panno Laurent. – Adelicia zatoczyła ręką łuk. – Proszę pozwolić, że przedstawię pani madame Octavię Celeste Valentine Walton LeVert, najwytworniejszą z moich znajomych i tę, którą mam wielki zaszczyt nazywać moją drogą przyjaciółką. – Adelicia bez słów ujęła dłoń wspomnianej kobiety i obie spojrzały sobie w oczy. –

A te dwie cudowne damy to jej córki, panna Octavia Walton LeVert, zdrobniale Diddie.

Diddie z uśmiechem skłoniła głowę.

– A ta ciemnowłosa piękność – Adelicia otoczyła ramieniem Carę Nettę – to panna Henrietta Caroline LeVert, którą zwiemy Carą Nettą. A wy, drogie panie, pozwólcie, że przedstawię pannę Claire Elise Laurent, moją osobistą *liaison*... utalentowaną oraz pracowitą młodą damę, która na nowo wnosi w moje życie cenny dar jakże potrzebnego porządku.

Claire skłoniła się nisko, fałszywą pewnością siebie i wdziękiem maskując tę nerwowość, o której obecności Sutton był przekonany.

– Madame LeVert, to dla mnie zaiste zaszczyt.

Uśmiechnęła się w stronę Diddie i Cary Netty, zwracając się do nich:

– Miło mi także panie poznać.

Madame LeVert wyciągnęła dłoń.

– Panno Laurent, nie minęło nawet pięć minut od mojego przyjazdu, a już słyszałam najwyższe pochwały na pani temat ze strony pana Monroego.

Dopiero wtedy Claire spojrzała na Suttona, a on uśmiechnął się do niej, zadowolony, że może dostrzec cień tego samego na jej twarzy, a wraz z nim jakieś inne emocje, których nie potrafił odgadnąć. A przecież zwykle tak dobrze ją odczytywał. Robiła się coraz lepsza w ukrywaniu swoich uczuć i wcale mu się to nie podobało. Tak samo jak fakt, że Cara Netta znów splotła rękę z jego ramieniem i wcisnęła się bliżej w jego bok.

Wzrok Claire przesunął się w miejsce, gdzie Cara Netta go dotykała, a potem szybko uciekł w inną stronę.

– Będzie mi miło skorzystać z pani pomocy – mówiła dalej madame LeVert – przy pisaniu pewnych zaległych listów... oczywiście za przyzwoleniem Adelicii.

Claire otworzyła już usta, by odpowiedzieć, ale pani Acklen ją ubiegła.

– Będzie zachwycona, gdyby mogła ci pomóc, Octavio. Panna Laurent może zacząć, gdy tylko sobie tego zażyczysz. I wy także dziewczęta, jeśli będziecie czegoś potrzebowały, nie wahajcie się ją o to prosić. Będzie do waszej dyspozycji i z radością wam pomoże, by wasz pobyt w Belmont był tak miły, jak to tylko możliwe. Prawda, panno Laurent?

– Tak, proszę pani. – Claire skłoniła głowę. – Z radością.

Ale radość była ostatnią rzeczą, jaką czuł Sutton. To samo niemiłe wrażenie, które odniósł przed momentem, pojawiło się ponownie. Może działał mu na nerwy sposób, w jaki przedtem Adelicia skinęła na Claire ruchem nadgarstka albo to, jak teraz odpowiedziała za nią.

A może, westchnął w duchu, chodziło o jego własną frustrację i rozczarowanie samym sobą, które właśnie odczuwał.

Claire była w gościnnej jadalni, kiedy zaproszeni na kolację zaczęli się zjeżdżać. Dopracowując ostatnie szczegóły, starała się, jak umiała, odsunąć myśli, które dręczyły ją od czasu przyjazdu pań LeVert – myśli o Carze Netcie. Albo dokładniej – o Carze Netcie i Suttonie.

Dość szybko uświadomiła sobie, że określenie „przyjaciele” nie było w tym przypadku wystarczające. Nie po tym, jak ta kobieta patrzyła na niego, dotykała i dosłownie zagarniała go dla siebie. Sutton na pewno wiedział o uczuciach, jakie Cara Netta żywiła wobec niego. Musiałby być ślepy, żeby tego nie dostrzegać, a akurat on z pewnością nie był ślepy. Ten człowiek umiał wszystko zauważyć.

Hmmm... albo prawie wszystko. Gdy przyjechały panie LeVert usilnie się starała ukryć cierpienie wraz z ukłuciem zazdrości, które wciąż ją skręcało od środka. W zasadzie nie mogła sobie rościć żadnych praw do Suttona, a już na pewno nie w sytuacji, kiedy na świecie żyły takie kobiety

jak Cara Netta. Poza tym Claire wiedziała, że dodatkową przeszkodą była jej przeszłość.

Wygładziła zmarszczkę na obrusie i przesunęła kandelabr o kilka milimetrów. Gdzieś koło jej serca rodził się jakiś promieniujący ból.

Wyprostowała się, pragnąc zignorować to uczucie, i spojrzała na porcelanową zastawę oraz kryształowe kieliszki. Jeśli straciłaby Suttona, straciłaby coś – a raczej kogoś – kto i tak nigdy nie był jej. A więc w zasadzie nie straciłaby nic. Przynajmniej tak to sobie wciąż tłumaczyła. Bez ustanku...

Sądząc po przelotnych spojrzeniach Suttona, miała wrażenie, że chciał z nią porozmawiać tego popołudnia, ale pomiędzy zobowiązaniem dotyczącym pomocy madame LeVert w pisaniu listów a przygotowaniami do uroczystej kolacji nie miała na to czasu.

Nie... To nieprawda. Po prostu nie chciała z nim jeszcze rozmawiać, nie teraz, gdy przeczuwała, co on planuje jej przekazać – że odwzajemnia uczucia Cary Netty. Jaki mężczyzna mógłby je odrzucić? Zatem udawało jej się unikać sytuacji, kiedy byliby sam na sam, co wcale nie było takie trudne w Belmont.

W korytarzu wybił zegar, przywołując ją z powrotem do rzeczywistości. Po raz kolejny sprawdziła listę, odznaczyła rozłożenie winietek – poustawianych zgodnie z wytycznymi pani Acklen – a następnie kwiaty, w tym dekorację na środku stołu oraz bukiety na zabytkowym kredensie, a także upominki, które wedle życzenia pani Acklen miały być ułożone na każdym nakryciu. Pudełka cygar dla panów i perfumowane koronkowe chusteczki dla pań.

Odsunęła się o krok w tył, by przyjrzeć się efektowi, i wzięła głęboki wdech. Za pięć szósta. Nie było czasu do stracenia. Spojrzała na winietkę ze swoim nazwiskiem na końcu stołu i po raz kolejny zrobiło jej się miło,

że została wliczona w to spotkanie dorosłych, zamiast razem z panną Cenas i dziećmi spożywać kolację w rodzinnej jadalni.

– Claire?

Odwróciła się i chociaż bardzo się starała zapanować nad reakcją, stanęła jak wryta.

– Suttonie...

Miał na sobie idealnie skrojony czarny frak. Idąc w jej stronę, poprawił muszkę. Wyglądał tak, że cieszyła się, iż jest kobietą. Nawet jeśli nie tą właściwą dla niego.

– Jesteś trudna do złapania sama.

Może to jej rozczarowanie wzięło górę albo powodowała nią zazdrość, ale nie mogła nie wytknąć mu tego sformułowania. Zwykle tak dobrze się wysławiał.

– Wydaje mi się, panie mecenasie, że chciał pan powiedzieć, iż trudno mnie złapać na osobności.

Pochylił głowę, jakby tak zwyczajnie przyznał się do swojego *faux pas* [38].

– Biorąc pod uwagę, o którą kobietę chodzi, i uwzględniając jej ostatnią odpowiedź, wydaje mi się, że jednak podtrzymam tamto stwierdzenie, Wysoki Sądzie.

Gdyby powiedział to jeszcze wczoraj, roześmiałaby się, ale dzisiaj już nie umiała. Powstrzymywało ją znamienne uczucie ucisku w gardle i widok jego gasnącego uśmiechu. Zachowywał się z taką swobodą. Po prostu umiał być sobą, co sprawiało, że ona – i najwyraźniej również wszyscy inni – chcieli przebywać w jego towarzystwie. Przebywać z nim.

– Claire... – Spuścił na chwilę wzrok, marszcząc brwi.

Ogarnęło ją niemiłe przeczucie, co do słów, które zaraz z pewnością usłyszy.

– Zdaję sobie sprawę, że to nie najlepszy czas, ale jest coś, co powinienem był już wcześniej ci powiedzieć. – Uniósł głowę i poważny wyraz jego oczu jeszcze mocniej ścisnął ją za gardło. – Cara Netta LeVert i ja...

– Suttonie! Tu jesteś! Szukałam cię...

W drzwiach pojawiła się młoda dama odziana w delikatną satynową suknię w perłowym odcieniu, której szarfa w kolorze oczu dziewczyny pięknie podkreślała jej drobną talię. Przefrunęła w ich stronę i wsunęła dłoń pod ramię Suttona, jakby ten gest był jakimś jej odruchem, a nie świadomym działaniem.

– Och... jak pięknie! – Przebiegła wzrokiem po nakryciach. – I popatrz... – Podeszła do stołu i ujęła jedną z winietek, należącą do madame LeVert, na której Claire ze szczególną uwagą oddała widok paryskiej uliczki. – Niesamowite! Matka będzie zachwycona, kiedy to zobaczy! U kogo pani Acklen je zamówiła?

– To panna Laurent je wykonała. – W głosie Suttona słychać było delikatną nutę dumy. – Jest bardzo zdolną artystką, oprócz tego, że sprawdza się doskonale jako osobista asystentka.

Claire zrobiło się miło wobec tego komplementu, zwłaszcza gdy wspomniała, jakie zdanie miał na jej temat na początku. I nagle przypomniała jej się tamta sytuacja, kiedy wypadł tyłem z altany. Ten obraz sprawił, że drgnęły w niej emocje, choć dobrze wiedziała, że powinna go wymazać z pamięci.

– Naprawdę, panno Laurent? – Cara Netta podeszła znów bliżej Suttona. – Pani maluje?

– Tak, ale obawiam się, że ostatnio niezbyt często. – Claire zmusiła się do uśmiechu. – W ostatnich tygodniach nie miałam wiele wolnego czasu.

– I podoba się pani praca jako *liaison* pani Acklen? Wyobrażam sobie, że to wyjątkowo wymagające stanowisko.

– Bardzo mi się podoba, panno LeVert. I jestem szczególnie wdzięczna za tę możliwość, jaką dała mi pani Acklen.

– Tak, spodziewam się. Mieszkanie tu w Belmont musi być dla pani niczym spełnienie marzeń.

Claire wyczuła w tej uwadze zawoalowany przytyk, choć nie zauważyła tego w słodkiej minie Cary Netty.

– To prawda, proszę pani, Belmont jest przewspaniałe. Można by powiedzieć, że to taki amerykański Wersal.

Dziwnie się czuła, zwracając się do Cary Netty per pani, bo ta młoda kobieta nie wydawała się od niej wiele starsza. Jednakże wymagała tego różnica w ich pozycji społecznej. Różnica, o jakiej przypominano jej dzisiaj dużo więcej razy niż podczas tych wszystkich tygodni, które do tej pory spędziła w Belmont.

– Panna Laurent pochodzi z Paryża – dorzucił Sutton, wypełniając ciszę. – Razem z rodzicami przybyła do Stanów, gdy miała dziewięć lat. Przeprowadziła się z Nowego Orleanu tej jesieni.

– Hmmm... – Uśmiech Cary Netty jeszcze bardziej się rozszerzył. – Widzę, że jesteś całkiem dobrze poinformowany w tej sprawie, Suttonie.

Claire pomyślała dokładnie to samo, z zaskoczeniem stwierdzając, że tak dobrze zapamiętał każdy szczegół, oraz dziwiąc się, że mówił to wszystko w tym towarzystwie. Widać było – przynajmniej ona to widziała – że Cara Netta nie cieszyła się z jej obecności.

– Pani Acklen zapewniała ponownie, panno Laurent, że może nam pani służyć swoimi talentami podczas naszego pobytu tutaj. Byłabym szczególnie wdzięczna, gdyby zgodziła się pani pomóc mi w pewnym... przedsięwzięciu.

Spojrzenie Suttona z boku na Carę Nettę nie uszło uwagi Claire i zastanawiała się tylko, czy to „przedsięwzięcie” będzie wiązało się z czyszczeniem czegoś... na przykład urynału.

– Oczywiście, panno LeVert. Z przyjemnością pani pomogę. Proszę mi tylko dać znać, kiedy pani będzie chciała.

Goście zaczęli wchodzić do jadalni i Cara Netta zerknęła za siebie, a zaraz się obróciła.

– Widzę, że nadszedł czas kolacji, panno Laurent. Miło się z panią rozmawiało.

Claire spojrzała najpierw na nią, a potem na Suttona i wiedziała już, co myślała Cara Netta, ale nie czuła się uprawniona, by ją poprawiać.

– W zasadzie – zaczął Sutton z nieco sztywnym uśmiechem – panna Laurent będzie z nami na kolacji.

Mina Cary Netty przygasła, ale tylko na moment.

– Cóż... to wspaniale. W takim razie mam nadzieję, że będziemy jeszcze mogły porozmawiać podczas posiłku.

Claire podziękowała jej, a następnie przeprosiła i odeszła. Pragnęła wierzyć, że motywy tej młodej damy były jak najbardziej szlachetne, ale coś w jej wnętrzu mówiło, że było wręcz przeciwnie.

Ze strony matki i sióstr pani Acklen słychać było wyrazy zachwytu, a potem, gdy tylko odnalazły swoje miejsca przy stole, dołączyły do nich jeszcze madame LeVert i Diddie. Komentowały winietki oraz upominki. Panowie z wyraźną przyjemnością zaciągali się zapachem cygar.

– Dziękuję, Adelicio, to bardzo szczodry gest.

– Chusteczki są przepiękne, Adelicio. To wszystko jest cudowne!

Pani Acklen przyjmowała podziękowania królewskim skinieniem głowy to tu, to tam, a Claire obserwowała ją, na wypadek gdyby jej pracodawczyni chciała ją przywołać. Ale nie wołała. Wkrótce rozmowy

wypełniły wszystkie kąty i Claire po prostu zajęła swoje miejsce – po przeciwległej stronie stołu od Suttona i Cary Netty i kilka miejsc dalej. Wtedy w wejściu pojawiła się pani Routh.

Jedno spojrzenie na twarz ochmistrzyni wystarczyło, by Claire już wiedziała, że coś jest nie tak.

28

Pani Routh zamaszystym krokiem minęła Claire i przeszła w stronę szczytu stołu, gdzie zasiadała pani Acklen. Pochyliła się, wyszeptała coś i nagle pani Acklen skrzyżowała wzrok z Claire. Prawie niezauważalnym uniesieniem brwi dała asystentce sygnał.

Claire odsunęła krzesło i miała się podnieść, gdy okazało się, że przycięła rąbek sukni nogą krzesła i wstając, uderzyła w stół, przez co zabrzęczała cała porcelana i kryształy. Rozmowy w jadalni zmieniły się w pomruk i wszyscy odwrócili wzrok w jej kierunku. Twarz Claire oblało gorąco i dając znać, że wszystko w porządku, spuściła oczy. Gwar rozmów natychmiast powrócił.

– Tak, pani Acklen? – wyszeptała, zbliżając się do pracodawczyni.

– Jest taka sprawa, panno Laurent. – Szept pani Acklen zrobił się ostry od niezadowolenia, choć uśmiech pani domu nie zniknął z ust. – Właśnie przyjechał pan Polk, by dołączyć do nas na kolacji. Nie sprawdziła pani dziś poczty, żeby zobaczyć, czy nie zmienił odpowiedzi?

– Tak, proszę pani, sprawdziłam. Nie przesłał...

– Cóż... – Pani Acklen uśmiechnęła się do matki, która siedziała dwa miejsca dalej, a następnie uniosła szklankę wody do ust, choć wcale nie piła. – Ale jest tu teraz i czeka w holu wejściowym.

– Rozumiem. – Claire myślała rozpaczliwie, co zrobić. – Pójdę natychmiast przygotować kolejne nakrycie, a potem...

– Dużo mniej rzucałoby się w oczy, panno Laurent, gdyby po prostu zjadła pani z panną Cenas i dziećmi w rodzinnej jadalni.

Claire poczuła w oczach piekące łzy i była zła sama na siebie, że aż tak ją to dotknęło.

– Tak, proszę pani, oczywiście.

– I mam nadzieję, że pomyślała pani o tym, by mieć przygotowane dodatkowe pudełko cygar.

Claire skrzywiła się. Już miała je kupić, lecz nie chciała marnować pieniędzy. Cóż za nieroztropność z jej strony!

– Przepraszam, ale...

I w tej właśnie chwili zobaczyła, jak Sutton podnosi się ze swojego miejsca z pudełkiem cygar w dłoni. Sama nie rozumiała skąd, ale wiedziała, co zamierzał.

– Tak, proszę pani. – Wzięła gwałtowny wdech. – Mam pudełko cygar dla pana Polka.

– W takim razie proszę to załatwić, panno Laurent. Szybko!

Claire podniosła się, przełykając łzy i nawet nie ważąc się spojrzeć w kierunku Cary Netty. Wiedziała, że młoda dama ją obserwuje. Z każdym krokiem Claire czuła krępującą uwagę ludzi, którzy ze wszystkich sił starali się sprawiać wrażenie, jakby wcale się nie gapili, choć to robili... i jakby wcale nie myśleli, podobnie jak ona, jak bardzo tu nie pasowała.

Kiedy doszła do swojego miejsca – albo raczej miejsca, które wcześniej miało być dla niej – pudełko cygar leżało już na wierzchu. Zniknęły gdzieś perfumowane chusteczki. Tak jak i Sutton. Była już przy drzwiach, gdy przypomniała sobie i zawróciła, by zabrać winietkę, na której widniało jej nazwisko. Ale karteczki również nie było. *Sutton*... – pomyślała.

W korytarzu spotkała Cordinę i całe zastępy służących idących w górę schodów. Ubrana na czarno i przepasana świeżym, wykrochmalonym fartuchem Cordina niosła srebrną tacę wyładowaną swoim popisowym pieczonym schabem. Kucharka wypięła pierś, mówiąc:

– Kolacja gotowa, panno Lołerent, i już ją... – Zmarszczyła czoło, przystając w korytarzu. – Co się stało, dziecko?

Claire pokręciła głową.

– W porządku. Wszystko dobrze. Ja tylko... – Zauważyła panią Routh, która prowadziła pana Polka korytarzem i uśmiechnęła się, a gdy przechodził obok, dygnęła nieco dłużej, tak by nie mógł widzieć jej twarzy. Podniosła się. – Wszystko dobrze, Cordino. A teraz, proszę, wnieś jedzenie. Pani Acklen jest już gotowa.

Obdarzywszy ją pełnym zrozumienia spojrzeniem, Cordina ruszyła dalej, a za nią cała jej świta. Claire zerknęła do rodzinnej jadalni i dostrzegła tam pannę Cenas z Williamem, Claude'em oraz Pauline, ale nie była już głodna. Przebiegła szybko przez wielki salon, marząc tylko o tym, by usłyszeć szczęk zamykanego za sobą zamka w drzwiach. Jednak kiedy skręciła za rogiem, zobaczyła Suttona, który czekał na nią w ciemnym korytarzu z nieotwartą paczką chusteczek w dłoni.

Nie potrafiła już dłużej powstrzymać łez. Zaczął coś mówić, ale uniosła dłoń i rzekła:

– Proszę, Suttonie. Nie teraz. Ja... – Wzięła wdech. – Doceniam to, co zrobiłeś, ale muszę po prostu pobyć trochę sa...

Pochwycił ją w uścisku i trzymał. Te silne ramiona dawały jej poczucie bezpieczeństwa. Wstrząsały nią kolejne fale szlochu. Trudno jej było złapać oddech, tak bardzo łkała. Najpierw przeraziło ją, jak głęboko czuła się zraniona. A potem uświadomiła sobie, że te łzy nie były wywołane tylko tą sytuacją z Suttonem i tym, co się stało przed chwilą i wcześniej tego dnia. To było tak, jakby każda łza, którą wstrzymywała od miesięcy albo i lat, uwolniła się teraz z uwięzi.

Tak bardzo starała się być silna dla swojej matki podczas jej choroby w tamtych ostatnich dniach. Później dla papy i dla siebie. Ale można być

silnym tylko przez jakiś czas, a potem... Wszystko pęka. I coś w środku niej też pękało. Coś, co wydawało się, że już nigdy nie da się pozbierać z powrotem, już nigdy nie będzie takie samo.

Skrępowana tym, że Sutton widzi ją w takim stanie, spróbowała się odsunąć, ale on tylko uścisnął ją mocniej. Wtedy otoczyła go ramieniem i trzymała tak, jak ostatnią stabilną podporę w jej życiu.

– Claire, tak mi przykro – wyszeptał jej nad uchem. – Znamy się z Carą Nettą od dawna. W ciągu ostatnich kilku miesięcy, podczas podróży po Europie, poznaliśmy się nieco lepiej. I zawarliśmy... pewne porozumienie. Takie, o którym powinienem był ci powiedzieć wcześniej. – Odsunął się nieznacznie, patrząc na nią tak, iż Claire wiedziała, że prędko tego nie zapomni. W jego spojrzeniu było coś nieodwracalnego i jakiś smutek. – Źle zrobiłem, że nic nie powiedziałem, i chciałem cię za to przeprosić, ale nie uczyniłem tego, gdyż...

Szybko zakryła mu usta dłonią.

– Nie musisz tego robić, Suttonie. Znam powód – wyszeptała, czując, że zaczyna ją boleć głowa. Chciała teraz po prostu położyć się i zwinąć w kłębek... na zawsze. – I uwierz mi, gdy powiem, że... rozumiem to.

Szukał wzrokiem jej spojrzenia.

– Naprawdę? – wyszeptał w końcu.

– Tak. – Nerwowo złapała oddech. – Ty i ja jesteśmy przyjaciółmi. Dobrymi przyjaciółmi i to dla mnie cenne. Ale... nie oczekuję nic ponad to. – Bo wiedziała, że on wcale nie był gotów, by jej to dać.

– Przyjaciółmi... – powtórzył to słowo, jakby nie był pewien, czy jeszcze może tak być.

W co zresztą ona sama też wątpiła, biorąc pod uwagę to, co czuła wobec niej Cara Netta.

Powoli puścił ją z objęć i zacisnął zęby.

– Dasz sobie radę?

Osuszyła policzki.

– Tak, będzie dobrze. Dołączę do was ponownie po kolacji. Po prostu... potrzebuję chwili.

Zerknął na opakowanie chusteczek, które trzymał w dłoni, i podał je Claire. Wzięła, czując, że napływa kolejna fala łez. Weszła przez drzwi sypialni i przystanąwszy, odwróciła się.

– Suttonie?

Zatrzymał się i obrócił w jej stronę.

– Dziękuję – wyszeptała. – Za... to. Za... pomoc.

Półmrok korytarza skrywał szczegóły jego twarzy, ale wydawało się jej, że dostrzegła uśmiech.

– Nie ma za co, Claire. Tak właśnie robią przyjaciele... Prawda?

~

– Jeśli pan pozwoli, panie Monroe, mam dosyć osobiste i... śmiałe pytanie.

Sutton przyglądał się Adelicii siedzącej naprzeciwko niego w karocy, próbując odgadnąć, o co zapyta teraz, gdy byli sami, co zdarzało się wyjątkowo rzadko od czasu przyjazdu pań LeVert.

– Jestem przyzwyczajony do pani bezpośredniości, pani Acklen. I szczerze wątpię, by mogło istnieć takie pytanie, od zadania którego udałoby mi się panią odwieść, skoro podjęła pani decyzję, żeby je zdać.

Natychmiast na jej twarzy pojawił się uśmiech.

– Przyjmuję to za pańską zgodę. – Zwróciła uwagę z powrotem na okno i Sutton zauważył przed nimi wjazd do Belmont. – Czy omawiał już pan z Carą Nettą plany co do ślubu, panie Monroe?

Czuł się tak, jakby ktoś przyłożył mu z pięści prosto w brzuch.

– Słucham?

– Ostrzegałam pana, że to będzie śmiałe pytanie.

– Śmiałe owszem, ale nie łamiące konwenanse.

Ciemna linia jej wąskiej brwi uniosła się lekko.

– Proszę zrozumieć motywację, która kryje się za tym pytaniem. Nie jest pan jedynie moim pracownikiem, panie Monroe. Jest pan *protégé* [39] mojego zmarłego męża i stara się pan o względy córki mojej najdroższej przyjaciółki. Uważam, że to daje mi pewne prawa w tej kwestii.

Zbierając w sobie całą cierpliwość, choć była na wyczerpaniu, Sutton modlił się w duchu o mądrość, której tak bardzo mu teraz brakowało.

– Uściślając, pani Acklen, oficjalnie nie staram się o względy Cary Netty. Doszliśmy do pewnego rodzaju porozumienia, ale nie...

– A jaka jest według pana definicja starania się o względy, panie Monroe?

Ciepło oblało całą jego twarz i szyję.

– Ale – mówił dalej nieustępliwie – nie rozmawialiśmy oficjalnie ani w żaden inny sposób o planach co do ślubu. Ja... – Zawahał się, zastanawiając się, ile powinien jej powiedzieć i czy mogła już podejrzewać go o uczucia wobec Claire. Adelicia była zarówno spostrzegawcza, jak i elokwentna, więc z tego względu postanowił, że podejdzie do tego tematu z zupełnie innej strony. – Nie chciałbym zmuszać Cary Netty do podejmowania pochopnej decyzji. W końcu Europa to... – Szukał właściwych słów.

– To całkiem inny świat? – podsunęła.

– Tak – odparł, czując na sobie jej uwagę. – I choć nie mam wątpliwości co do jej osoby czy charakteru, uważam, że zasługuje na to, by mieć więcej czasu, aby zastanowić się nad moją sytuacją.

Adelicia zmarszczyła czoło.

– Proszę nie mówić o sobie tak pogardliwie, panie Monroe. Może i prawda, że pańska pozycja finansowa jest ostatnio bardziej niepewna, ale to w niczym nie zmienia doskonałej materii pańskiego charakteru oraz cnót, które liczą się najbardziej. Wiem, że panie LeVert podzielają ten pogląd.

Ta uwaga sugerowała, że razem z madame LeVert za zamkniętymi drzwiami omawiały jego związek z Carą Nettą. Co wcale nie było dla niego zaskakujące, a jednak jednocześnie go irytowało.

Kareta weszła w zakręt i Adelicia skupiła się na widoku znajdującym się za oknem. To samo zrobił Sutton. Ostatnio nie czuł się dobrze – z innymi, a nawet z samym sobą. Przyczyny były różne i w większości poza jego kontrolą, co pogarszało całą sytuację.

Nie dostał do tej pory żadnych wiadomości od komisji rewizyjnej Armii Unii, ale każdego dnia na to oczekiwał. Na początku tego tygodnia pojechał późnym wieczorem na rodzinne ziemie, jak sobie tłumaczył, szukając pocieszenia... albo może otuchy. Zamiast tego wizyta ta tylko wzbudziła w nim na nowo bolesne wspomnienia, o których lepiej byłoby zapomnieć.

Jeśli chodziło o raport z Nowego Orleanu, którego wyglądał od znajomego, przyszedł telegram: „Otrzymałem zapytanie. Szukam dodatkowych informacji. Prześlę odpowiedź w ciągu najbliższych dwóch tygodni”. Nie miał ochoty czekać znowu tyle czasu, ale doceniał dyskretnie sformułowaną odpowiedź. I chociaż zdawało się, że zainteresowanie Adelicii wynikami tych poszukiwań zmalało, jego własne wcale nie.

Nie spodziewał się informacji, iż Claire była zbiegiem poszukiwanym za morderstwo albo kimś o równie dziwacznej przeszłości. Chciał po prostu dowiedzieć się o niej czegoś więcej, tak by zaspokoić w sobie ciekawość prawnika odpowiedzialnego za ochronę interesów Adelicii.

Oraz... trochę też własną ciekawość.

Karoca podskoczyła na koleinie i wspomniał, jak Claire płakała tamtego wieczoru i jak ją trzymał w ramionach. Skrzywił się, gdy przypomniał sobie, na jakiego głupca nieomalże wyszedł, kiedy gotów był jej wyznać, co do niej czuje, by wyjaśnić, dlaczego tak trudno mu było powiedzieć o porozumieniu z Carą Nettą.

Ale wtedy ona powiedziała coś, czego mógłby nigdy nie usłyszeć z jej ust i żyć szczęśliwie. „Ty i ja jesteśmy przyjaciółmi. Dobrymi przyjaciółmi”...

Zacisnął zęby. Tak właśnie było. W jej opinii. I wiedział, że sam również musiał zacząć tak na to patrzeć. Cara Netta LeVert oczekiwała na jego oświadczyny i powinien cieszyć się, że pojawiła się w jego życiu. Była urocza, życzliwa i miała tak czułe serce, które wręcz wołało do wrodzonego męskiego pragnienia, by ją chronić. Może i była nieustępliwa i nieznosząca sprzeciwu, gdy chodziło o jej wolę, ale któż się tak czasem nie zachowuje? Była szczerze oddana rodzinie i darzyła ojca uwielbieniem, czcząc każde jego słowo. Sutton dobrze wiedział, że tęskniła za tatą. Łatwo rozmawiało mu się z Carą Nettą – zawsze tak było. I zauważył, że niezależnie od tematu zawsze wracała do jego osoby. Do tego, nad czym pracował w kancelarii, co robił w tygodniu dla pani Acklen.

Choć nigdy nie wspominała o stadninie koni. Ani słowem.

Dwa razy w ciągu minionych dni próbował porozmawiać z nią o przyszłości ich związku. Za pierwszym razem zręcznie ominęła tę kwestię. Kolejnym przerwała im Diddie, chociaż Sutton wciąż się zastanawiał, czy to rzeczywiście był przypadek, czy raczej zamierzona ingerencja.

Kareta minęła oranżerię oraz wieżę ciśnień i ich oczom ukazała się rezydencja. Skąpana w październikowym słońcu, na tle bezchmurnego lazurowego nieba, posiadłość wyglądała raczej jak z olejnego obrazu, a nie

jak rzeczywisty budynek. Wtedy dotarło do niego, że łatwo mówić o „doskonałej materii charakteru oraz cnotach, które liczą się najbardziej”, kiedy ma się bezpieczną i niezachwianą sytuację finansową.

Adelicia poprawiła się na siedzeniu naprzeciwko i spojrzała w jego stronę.

– Może to nie mój interes, panie Monroe, ale słyszałam, że sprawa, w której współpracuje pan z mecenasem Holbrookiem, może okazać się całkiem lukratywna, jeśli uda się wam ją wygrać. Co też znacząco odmieniłoby pańską sytuację finansową, a tym samym pańskie możliwości, by ruszyć w dziedzinie... bardziej osobistych przedsięwzięć. – W głosie Adelicii wybrzmiewała otucha, a jednocześnie dało się wyczuć pewną żądzę plotek.

Sutton pochylił się w przód. Ufał jej, mimo to uważnie dobierał słowa.

– To możliwe. Jeśli wygramy, czego nikt w tym momencie nie może jeszcze założyć.

Tutejsi śledczy wyszukiwali przypadki kupna i sprzedaży setek dzieł sztuki w całym kraju. To była mozolna praca i udało im się dotrzeć do podrobionych obrazów, ale nie o to chodziło. Należało zidentyfikować fałszerzy oraz, co było jeszcze ważniejsze dla oskarżycieli, znaleźć oszustów, którzy negocjowali i ściągali pieniądze za swoje towary pod przykrywką sprzedaży oryginalnych dzieł sztuki. To zaś wydawało się na razie zupełnie nieosiągalne. Można by przypuszczać, że pośrednicy dzieł sztuki i kolekcjonerzy prowadzą skrupulatne rejestry, ale nawet na przykładzie Adelicii Sutton wiedział, że wcale tak nie było. Ile razy nalegał, żeby jej kolekcja sztuki została prawidłowo skatalogowana? I wciąż nie było to zrobione.

Okrążyli ostatni ogród i już odliczał sekundy, by opuścić cztery ściany karocy i zakończyć tę rozmowę, a potem udać się na porządną długą

przejażdżkę na grzbiecie Truxtona.

– Małżeństwo może być zbudowane na różnych fundamentach, panie Monroe.

Sutton spojrzał naprzeciwko, spodziewając się, że znów zobaczy jej uniesione brwi, jednak na twarzy Adelicii malowała się tylko szczerość.

– Niektóre mogą być bardziej wykalkulowane – kontynuowała. – Jak decyzja powzięta po głębokiej analizie. Inne podążają za głosem serca. Niech pan wybierze mądrze, bo każda z tych opcji ma swoją wartość... i cenę.

Skrzypienie kół powozu na ubitej ziemi wcięło się w jej radę i wtedy dotarło do niego, że być może mówiła o swojej własnej sytuacji, nie o nim. Zapytał o to, a ona pod osłoną uśmiechu odparła:

– Podejrzewam, że ta rada może dotyczyć nas obojga.

Wpatrywał się w nią.

– Rozważa pani trzeci ślub? – Zwrócił się myślami ku Luciusowi Polkowi.

Nic nie odpowiedziała.

– Wiem, że to dość śmiałe pytanie, pani Acklen, ale wydaje mi się, że znamy się na tyle, iż mogę sobie na nie pozwolić.

Zmrużyła oczy z rozbawieniem.

– Biorę to pod uwagę, panie Monroe, i na tym skończmy. Jednak wierzę z całego serca, że tworzyłby pan z Carą Nettą całkiem udaną parę. Wasze atuty wzajemnie się uzupełniają. Pan jest aż do bólu godny zaufania, a ona tak spontaniczna. Pan analizuje każdą decyzję, zanim zrobi pan jakiś krok, ona działa pod wpływem chwili i czerpie z życia garściami. – Uniosła ramię i zaraz je opuściła. – Gdyby pan był zainteresowany moją opinią na ten temat.

Skinął tylko głową, jednakże w myślach już kalkulował, jakie będą konsekwencje finansowe, gdyby po raz trzeci wyszła za mąż. Chciała, by przed ślubem Joseph Acklen podpisał ugodę – co też chętnie uczynił – zgodnie z którą majątek i dzierżawy wnoszone przez Adelicię w małżeństwo pozostały jej własnością. Jako zmyślny przedsiębiorca Joseph szybko potroił bogactwo, zatem jej fortuna nigdy nie była zagrożona. Sutton będzie naciskał, by jej trzeci mąż podpisał podobny dokument. Był oddany Josephowi – oraz Adelicii – i nie mógłby zgodzić się na cokolwiek innego.

Był jednak jeszcze inny element tej układanki. Taki, który dotyczył go osobiście. Jeśli Adelicia ponownie wzięłaby ślub, jej mąż najprawdopodobniej przejąłby rolę zarządcy, którą on piastował po śmierci Josepha. Oczywiście nie te prawne kwestie, chyba że byłby to prawnik – a Polk nim nie był. Ale jeśli chodzi o zarządzanie finansami Belmont, Sutton nie byłby już tu potrzebny.

Dlatego też, jeżeli uwzględnić fakt, że pewnie i tak straci swoje rodzinne ziemie, sprawa, nad którą pracował z Holbrookiem, była dla niego jeszcze ważniejsza. Jednak nawet wtedy zwycięstwo było tylko środkiem do osiągnięcia celu, dzięki któremu mógłby robić to, czego naprawdę w życiu pragnął.

Jednakże nie w sytuacji, gdy będzie miał u boku żonę, która nie będzie podzielała jego marzeń.

29

Następnego dnia wróciwszy późnym popołudniem z kancelarii prawniczej, Sutton zastał Carę Nettę oczekującą na niego w galerii sztuki, by udać się na spacer, o który prosiła.

Kiedy przechadzali się po terenach posiadłości, zasypywała go pytaniami o jego dzień, a on odpowiadał, rzucając od czasu do czasu ukradkowe spojrzenia na rezydencję. Zastanawiał się, gdzie była Claire. Czy wypatrywała zza zasłony któregoś z okien? A może dawała Pauline kolejną lekcję rysunku?

Gdy widywał ją ostatnio, wyglądała dobrze. Nie było pomiędzy nimi jakiegoś zakłopotania, ale zawsze gdzieś gnała – wypełniając życzenia pani Acklen i madame LeVert, a teraz również ucząc Pauline. Nie wiedział, czy w ogóle miała czas, by sama malować. Jednakże aukcja dzieł debiutujących artystów była dopiero w marcu. Wciąż jeszcze mogła zdążyć.

Okrążyli ogrody i zwrócili się w stronę stajni. Jak na październik nadal było dosyć ciepło, a jesieni niełatwo było zdobyć przewagę nad latem.

– Razem z mamą i Diddie omawiałyśmy następną podróż po Europie zaplanowaną na przyszłe wakacje, ale tym razem tylko na dwa lub trzy miesiące. Czyż to nie brzmi cudownie?

W tym momencie niczego chyba nie pragnął mniej. Ze skrępowaniem uświadomił sobie, że zeszłego lata pragnął uciec od Nashville oraz wspomnień wojny i dlatego z radością przyjął odmianę, jaką stanowiła Europa... i Cara Netta. Jednak myśl o ponownym tego rodzaju wyjeździe wcale go nie pociągała.

Nie chciał jej zranić, ale wiedział, że będzie lepiej, jeśli powie jej, co myśli na ten temat.

– W zasadzie kolejna taka podróż wcale nie wydaje mi się cudownym pomysłem. – Uśmiechnął się, by złagodzić swoją wypowiedź. – Obecnie jestem dużo bardziej skupiony... na sprawach po tej stronie oceanu.

– Ależ oczywiście, że tak – odparła szybko. – To zrozumiałe ze względu na wszystko, co cię obecnie zajmuje. To nawet... godne pochwały. – Posłała mu uśmiech. – Jestem pewna, że już w najbliższych dniach dostaniesz potwierdzenie, iż rzeczywiście twoje ziemie należą do ciebie. Wtedy będziesz mógł zacząć odbudowę rodzinnego domu.

– Chciałbym móc podzielać twoje pozytywne podejście do tej kwestii. Jednak nie spodziewam się, by komisja rewizyjna miała wydać korzystny dla mnie wyrok. Ich dotychczasowe orzecznictwo nie wskazywałoby na to.

– Ale twoje nazwisko jest szeroko poważane w Nashville. Nie mówiąc już o twojej własnej reputacji, Suttonie. Jestem pewna, że wezmą to pod uwagę.

Roześmiał się gorzko.

– Dla tych ludzi moje poważane nazwisko nie liczy się ani trochę bardziej niż dla mnie ich. Podobnie jak moja reputacja. – Robiło mu się niedobrze na myśl, że imię i honor jego ojca zostały skalane, i to przez niego.

Cara Netta nic nie powiedziała, a potem wskazała na klacze na pastwisku.

– Wiem, jak bardzo kochasz konie. Ja również. To kolejna rzecz, która nas łączy.

Kiwnął głową, słysząc w jej głosie wymuszony dobry humor.

– To prawda.

– Zastanawiałam się... – Przerwała, podnosząc na niego wzrok. – Nad tym, o czym rozmawialiśmy tamtego dnia w balonie unoszącym się nad ulicami Paryża. Pamiętasz?

– Oczywiście, że pamiętam, ale jestem zaskoczony, że ty też. Tak mocno byłaś wtedy uczepiona mojego ramienia. – Sutton zakręcił lekko ręką, jakby wciąż jeszcze go bolało, i uśmiechnął się szeroko. Przyglądał się jej bacznie z prawdziwą sympatią, czy jednak tak silne właśnie powinno być uczucie, jakim mężczyzna darzy swoją przyszłą żonę?

Jej uśmiech przygasł.

– Powiedziałeś wtedy, że uważasz, iż każdy mężczyzna... i kobieta... powinni spędzić życie, zajmując się tym, do czego stworzył ich Bóg. Że powinni robić dokładnie to – ni mniej, ni więcej.

Zaintrygowało go jej spojrzenie i to, dokąd dążyła.

– Masz bardzo dobrą pamięć.

– Zgadzam się z tym, co powiedziałeś, i wiem, że pewnego dnia będziesz najsławniejszym prawnikiem w Nashville. A kto wie, dokąd cię to jeszcze zaprowadzi? Może zostaniesz sędzią albo nawet senatorem? – Spuściła wzrok i zagryzła dolną wargę. Dopiero wtedy Sutton zauważył, iż była bardzo zdenerwowana.

Nie mówiła nic przez jakiś czas, a potem przysunęła się bliżej i położyła dłoń na jego ramieniu.

– Szkoda, że nie ma tu już taty, by mógł sam ci to przekazać. Z pewnością zrobiłby to lepiej niż ja. I wiem, że to byłaby dla niego wielka radość, gdyż... cenił cię ponad wszystko, Suttonie.

Sutton przesunął wzrok na miejsce, gdzie stykały się ich ręce, i zastanawiał się, skąd to podenerwowanie w jej głosie.

– Twój ojciec był wspaniałym człowiekiem. Bardzo go podziwiałem.

– Dlatego też to dopełnia tego idealnego obrazu... – Wzięła wdech, wstrzymała na chwilę powietrze, a potem je wypuściła. – Mama znalazła tu w Nashville dom. Chce go nam kupić. Jako prezent.

Mężczyzna znieruchomiał.

– Słucham?

– Wiem, że to dużo – powiedziała, wyrzucając z siebie szybko słowa. – I mam nadzieję, że nie wybiegam zbytnio przed... naszą obecną sytuację, ale mężczyzna o twoim statusie powinien mieć własny dom. W mieście. Wiem, że chcesz odbudować się na swoich rodzinnych ziemiach, i ja też tego pragnę, jednak wydaje się również sensowne, by mieć także dom w samym Nashville. A matka wie – tak jak i ja – jakie sukcesy osiągniesz w kancelarii, kiedy zostaniesz wspólnikiem. Pani Acklen mówi, że najprawdopodobniej będziesz najmłodszym wspólnikiem w historii. No i będzie na tyle miejsca, żeby twoja matka mogła tu wrócić i mieszkać z nami, jeśli tylko będziesz chciał.

– Caro Netto...

– I jest nawet stajnia, Suttonie. Co prawda niewielka, ale wystarczająco duża, żeby pomieścić cztery konie, więc będziesz mógł popołudniami i w weekendy zajmować się amatorsko swoim hobby, kiedy nie będziemy... – W jej fiołkowych oczach mignęła iskierka. – ...w operze albo na kolacji u jakiejś głowy państwa lub w towarzystwie dygnitarzy. A z czasem, jeśli będziesz nadal chciał, możemy kupić większą rezydencję, w której mógłbyś mieć własne rasowe konie, tak jak...

– Nie... Caro Netto.

Zamrugała.

– Ale... Myślałam, że będziesz zadowolony.

– Zadowolony z tego, że nie mam środków na utrzymanie ciebie na takiej stopie życiowej, do jakiej przywykłaś? I jakiej oczekujesz?

Ściągnęła brwi.

– Ja tego nie powiedziałam.

– Wiem, że nie. Jesteś zbyt szlachetną i dobrą kobietą, by to mówić. Jednakże to właśnie słyszę w tej... jakże hojnej ofercie ze strony twojej matki. I muszę kategorycznie odmówić.

Rozwarła usta.

– Ale czemu?

– Ponieważ mężczyzna chce być w stanie sam utrzymać swoją żonę i rodzinę, Caro Netto. Przynajmniej ten mężczyzna, przed którym stoisz.

– Ale to byłby po prostu ślubny prezent dla nas od mojej matki, Suttonie. I także od ojca, gdyby... – Urwała na moment. – Gdyby wciąż żył. – Odwróciła wzrok. – Większość mężczyzn, jakich znam, byłaby zadowolona z takiej propozycji i szczerze powiedziawszy... – Coś w jej twarzy zgasło. – Przyjęliby ją z wdzięcznością.

– W takim razie przykro mi, że cię rozczarowałem. A co się tyczy mojego hobby... – Słysząc swój defensywny ton, spróbował trochę złagodzić kolejne słowa. – Tak jak już ci tłumaczyłem wcześniej albo przynajmniej próbowałem... Kiedy podzieliłem się z tobą swoim marzeniem o stadninie koni, nie chodziło mi jedynie o to, że chciałem ją mieć. Ja chciałem ją prowadzić, sam szkolić rasowe konie.

Przez jej oblicze przemknął jakiś cień i Sutton już wiedział, że ona od początku rozumiała jego aspiracje... tylko po prostu nie chciała ich zaakceptować.

Wpatrywała się w niego przez dłuższy czas, a potem spuściła głowę. W jednej chwili Sutton zobaczył ich wspólne przyszłe lata. Mógł nieomalże poczuć na twarzy muśnięcie tych jeszcze nieprzeżytych wspomnień. Z jednej strony to byłoby proste – poślubiłby Carę Nettę, zostałby bogatym zięciem madame Octavii LeVert, miałby wspaniały dom w Mobile i drugi

w Nashville, i jeszcze inny na wybrzeżu. W krótkim czasie stałby się właścicielem stadniny, choć nigdy nie byłaby to taka, o jakiej marzył. Tak samo jak jego życie z Carą Nettą nie byłoby tym wymarzonym. A on nie byłby mężem, jakiego pragnęła. Nie tak naprawdę.

Najbardziej dziwiło go jednak, dlaczego ona tak go sobie upatrzyła. Cara Netta LeVert mogłaby wybierać spośród tylu mężczyzn. Bogatszych, o lepszym pochodzeniu...

„Małżeństwo może być zbudowane na wielu różnych fundamentach, panie Monroe” – tępym echem rozległa się w jego głowie uwaga Adelicii. Jakim małżeństwem byliby z Carą Nettą, gdyby nadal ubiegał się o jej rękę? Nie było prostej odpowiedzi na to pytanie, ale dużo bardziej trapiło go – czemu nie mógł zaprzeczyć, choćby nie wiadomo jak bardzo się starał – że gdyby Claire czuła do niego coś więcej niż tylko przyjaźń, nie stałby tu teraz, próbując uzasadnić swoje uczucia wobec Cary Netty.

To była bolesna prawda!

– Caro Netto... – Jak miał podzielić się z nią swoimi wątpliwościami tak, by jej nie zranić, by nie winiła się za to? – Przyjaźnimy się od bardzo dawna i nie mówię, że nie powinniśmy...

Wzięła go za rękę i ścisnęła mocno.

– Czy mówiłam ci kiedyś, co mój ojciec powiedział o tobie dzień przed swoją śmiercią?

Nieufnie pokręcił głową.

– Powiedział mi, że uważa cię za jednego z najlepszych ludzi, jakich kiedykolwiek poznał. I że jesteś dokładnie takim młodym człowiekiem, którego mógłby dla mnie wybrać.

Sutton zamrugał, czując, jakby rozdarła się zasłona. W tej właśnie chwili otrzymał odpowiedź – przynajmniej częściową – na swoje wcześniejsze pytanie o to, dlaczego tak go sobie upatrzyła. I okazało się, że

tak naprawdę wcale go sobie nie wybrała. Henry LeVert uczynił to za nią. Cara Netta po prostu podążała za życzeniem ojca, a nie za głosem własnego serca. To wiele wyjaśniało.

– Dziękuję, Caro Netto – wyszeptał. – Wiem, że bardzo kochałaś ojca. – Pokiwała głową, jeszcze mocniej ściskając jego rękę. – I robisz właśnie to, co według ciebie on chciałby, żebyś czyniła.

Skinęła ponownie, a potem znieruchomiała. Przyjrzała mu się badawczo.

Sutton dotknął jej policzka, widząc w oczach Cary Netty rodzące się zrozumienie.

– Ale tu chodzi o twój własny wybór. Musisz się wsłuchać w to, co mówi ci serce.

Dokładnie tak jak on sam.

– Ale ja słucham. Mówi mi, że będziemy wspaniałym małżeństwem, Suttonie. – W jej oczach pojawiły się łzy. – I że będziemy mieć cudowne wspólne życie. Szczęśliwe życie.

Zastanawiając się nad tym stwierdzeniem, Sutton doszedł do wniosku, że było prawdziwe. Trochę ich różniło, ale pod wieloma względami byli bardzo zgodni. Bardziej niż niejedno małżeństwo, jakie znał. Dobrze dogadywał się z madame LeVert, zaś Diddie mogła być mu siostrą, której nigdy nie miał. A jednak coś w środku nie pozwalało mu się zgodzić.

Dzwonek wzywający na obiad zadźwięczał w oddali i odwróciwszy się, dostrzegli, że Cordina macha do nich od strony domu. Podał Carze Netcie ramię. Wsparła się na nim i ruszyli z powrotem.

– Caro Netto, jeśli chodzi o to, o czym rozmawialiśmy... Myślę, że byłoby najlepiej, gdybyśmy dali sobie trochę czasu, żeby...

Zwróciła się w jego kierunku i położyła dłoń na jego piersi.

– Nie rozmawiajmy teraz o tym, Suttonie. Miałeś bardzo pracowity dzień i jeszcze bardziej pracowity tydzień. Masz teraz tyle na głowie. Zgadzam się... Dajmy sobie trochę czasu. – Jej uśmiech sprawiał wrażenie prawie przekonującego. – Cieszmy się po prostu swoją obecnością i... porozmawiamy o tym później.

Wiedział, że muszą dokończyć tę rozmowę, ale potrzebował czasu, by sobie to poukładać. I nie chciał zrobić nic, co mogłoby ją zranić. Pragnął tylko jej dobra, dobra ich obojga. Z czymkolwiek by się to nie wiązało.

Kiedy dotarli do głównego wejścia, stanęła przodem do niego, a na jej twarzy znów wymalował się entuzjazm, jakby to, co padło między nimi koło stajni, nigdy nie miało miejsca.

– Tak się cieszę na dzisiejszy wieczór – rzekła, wchodząc przed nim do wejściowego holu.

– Dzisiejszy?

Uśmiechnęła się i pacnęła go w ramię.

– Jedziemy do opery. Matka wszystko załatwiła. Zapomniałeś?

Ścisnęło go w żołądku na samą myśl o tym.

– Nie – odparł szybko. – Oczywiście, że nie.

Zerknęła na niego.

– Dobrze, tak. Zapomniałem.

Zanim weszli do gościnnej jadalni, wsunęła rękę w jego dłoń. Wszyscy już siedzieli i zwrócili się w ich stronę, a on poczuł się skrępowany wobec tego obrazu „szczęśliwej pary”, który niewątpliwie przedstawiali.

Zwłaszcza gdy napotkał wzrok Claire.

Dopiero pod koniec kolacji zaczął się zastanawiać... czy Claire również była zaproszona do opery? Przypuszczał, że tak. Każdego wieczoru towarzyszyła im w wielkim salonie, gdy Cara Netta grała, a wszyscy delektowali się deserami Cordiny.

Wstał i zasunął za sobą krzesło do stołu, próbując zdobyć uwagę Adelicii, ale jego pracodawczyni wraz z madame LeVert były pogrążone w jakiejś głębokiej rozmowie. Nie bardzo mógł zapytać o to Carę Nettę, a pytanie Diddie – która była nienaturalnie milcząca podczas kolacji – także nie wydawało się najlepszym pomysłem.

Dostrzegł, iż Claire rozmawia z Claude’em i Pauline, powoli kierując się w stronę wyjścia z jadalni.

– Claire?

Odwróciła się z opanowaną twarzą.

– Słucham, Suttonie?

Zapytała tak formalnie, że aż się zjeżył.

– Zastanawiałem się, czy... – A co zrobi, jeżeli ona odpowie: „nie”? Nie przemyślał tego dokładnie. – Czy jedziesz z nami dzisiaj do opery?

Uśmiechnęła się od razu i znacząco.

– Nie, nie jadę. Mam tutaj dużo pracy. Naprawdę będzie lepiej, jak zostanę i nadrobię zaległości.

Poczuł przypływ złości. Jak madame LeVert czy ktokolwiek, kto załatwiał bilety, mógł o niej zapomnieć?

– A może weźmiesz mój bilet, Claire. Wiesz, co sądzę na temat opery i...

– Nie, Suttonie – odparła stanowczo, kręcąc głową. – Nie.

– Och, Diddie, powiedz, że to nieprawda! – Zza ich pleców dobiegł głos madame LeVert. – Jaka szkoda! Tak czekałaś na to cały tydzień.

Sutton odwrócił się i spostrzegł kobiety zbite w grupę, a z nimi także Pauline.

– Co się stało? – zapytał.

– Diddie się źle czuje – odparła pani Acklen. – Więc nie będzie mogła nam towarzyszyć dzisiaj wieczorem.

Sutton zerknął na Diddie, która rzeczywiście była bardzo blada. Dostrzegł w tym pewną okazję i postanowił ją wykorzystać.

– Tak mi przykro, że nie czujesz się na tyle dobrze, by jechać, Diddie. Może jednak, żeby twój bilet nie przepadł, moglibyśmy nakłonić pannę Laurent, by pojechała za ciebie. Jeśli tylko się zgodzi.

Odwrócił się i dostrzegł błysk w oku Claire. Uśmiechnąwszy się, kiwnęła głową i w jednej chwili cały świat nabrał jedynie słusznego porządku.

– Suttonie – odezwała się słodko Cara Netta z drugiego końca pokoju. – Miło z twojej strony, że o tym pomyślałeś, ale... ja już zaprosiłam pannę Cenas, by pojechała zamiast Diddie. Poszła właśnie po swój szal i torebkę.

Coś ścisnęło Suttona w piersi, zwłaszcza iż wyczuł, że Cara Netta wiedziała dokładnie, co robi, albo raczej, co zrobiła. Nie chciała, żeby Claire pojechała. Claire uśmiechnęła się tylko, jakby to drobne zamieszanie nie było wcale istotne, ale w Suttonie odezwał się instynkt opiekuńczy. Jednakże najbardziej męczyło go, że to on sam przyczynił się do tego, iż Claire znalazła się w tak niezręcznej sytuacji.

– Przepraszam, Claire – wyszeptał.

– Nie masz za co przepraszać, Suttonie. Naprawdę wolę zostać tutaj. – Jej idealny uśmiech mógł przekonać wszystkich, ale nie jego.

I przysiągł sobie, że jakoś jej to wynagrodzi.

30

Claire zapukała lekko do drzwi pokoju *tête-à-tête*. Nie było odpowiedzi, więc wśliznęła się do środka i bezszelestnie zamknęła za sobą. Od kilku tygodni wkradała się tu skoro świt, żeby czytać. I gdyby nie czytała tego, co czytała, pewnie czułaby się winna.

Od tamtego wieczoru, kiedy została „zgubiona” – przynajmniej tak o tym myślała, gdy wspominała płacz, załamanie i wszystko to na oczach Suttona – poczuła w sobie tęsknotę do tych tekstów, które dawały jej matce pocieszenie i nadzieję w jej ostatnich godzinach.

Rodzinna Biblia Acklenów leżała na stoliku przed kominkiem. Claire przysunęła sobie bliżej krzesło, uważając, by nie zniszczyć dywanu. Pani Acklen powiedziała jej kiedyś, że ta Biblia nigdy nie opuszcza tego pokoju, ale wcale nie mówiła, że nie wolno jej czytać, więc dziewczyna doszła do wniosku, że nie robi niczego złego. Przecież to było Pismo Święte.

Znając jednak panią Acklen, Claire posunęła się jeszcze dalej i nigdy nawet nie przeniosła Biblii z tego stolika. Po prostu otwierała, czytała, a po skończeniu dbała, by wielka, oprawiona w skórę księga pozostała w takim stanie, jak przed jej przyjściem.

Sprawdziła dłonie, czy aby nie zostały na nich jakieś ślady po śniadaniu. Od czasu przyjazdu pań LeVert zaczęła jadać na dole w kuchni z Cordiną i pozostałymi służącymi, a nie w jadalni z rodziną i gośćmi. Tak było prościej.

Claire pochyliła się nad Pismem Świętym i wdychała zapach ręcznie olejowanej skóry oraz pokrytych wiekowym kurzem stronic. Kartki

szeleściły miło, gdy je przewracała.

Rodzaju, Wyjścia... Przeskoczyła kilka kolejnych ksiąg, szukając tej właściwej. Estery, Hioba, Psalmów...

To o psalmy najczęściej prosiła jej mama i Claire przeczytała je wszystkie ponownie już w zeszłym tygodniu, a teraz przeszła do kolejnych ksiąg. Planowała, że następnym razem, gdy wybierze się do miasta, kupi sobie własną Biblię. Ale nie jeździła tam często. Choć minęło trochę czasu i prawdopodobieństwo zetknięcia się z Antoine'em DePaulem było niewielkie, wciąż się tego obawiała. Jakże szybko to, na co pracowała – i co osiągnęła – tu w Belmont, mogłoby zostać stracone.

O, jest... Księga Izajasza.

Zaczęła czytać proroka Izajasza, gdyż spodobał się jej fragment, który wielebny Bunting zacytował zeszłej niedzieli. Szybko odkryła, że pierwsze pięć rozdziałów tej księgi wcale aż tak nie podnosiło na duchu, jak ten cytat, którym posłużył się pastor.

A jednak wciąż próbowała przebrnąć przez ten tekst.

– Rozdział szósty... – Odnalazła stronę i zaczęła czytać, ale zaraz przerwała i schyliwszy głowę, rzekła: – Dziękuję Ci, Panie, za to, że jesteś Chlebem żywym i... moim codziennym chlebem. – Podniosła wzrok, czując się prawie jak poetka. Tylko że to wcale nie były jej słowa. Nie była ich autorką. Zapożyczyła je od pewnego dżentelmena, którego słyszała, gdy modlił się na głos w kościele.

Czytała niezbyt głośno:

– „W roku śmierci króla – wpatrywała się w imię, nim je wymówiła – Ozjasza ujrzałem Pana siedzącego na wysokim i wyniosłym tronie, a tren Jego szaty wypełniał świątynię". – *Cóż za majestatyczny opis.* – „Serafiny stały ponad Nim"...

Gdy tak czytała, obrazy aniołów i świątyni nabierały kształtów i wyobrażała sobie tę scenę jak na obrazie, który chętnie by kiedyś namalowała...

– „Od głosu tego, który wołał, zadrgały futryny drzwi, a świątynia napełniła się dymem. I powiedziałem: «Biada mi! Jestem zgubiony!»”.

Znowu to słowo – pomyślała i przeszyło ją nazbyt dobrze znane uczucie.

– „Jestem zgubiony!” – powtórzyła cicho. – „Wszak jestem mężem o nieczy”... – Zmarszczyła brwi, bo kolejne określenie również było jej niemiło znajome. – „Nieczystych wargach” – dokończyła, a słowa odbijały się echem w jej sercu.

Czytała dalej, krzywiąc się delikatnie, jakby anioł, który wziął płonący węgiel z ołtarza, dotknął jej ust, a nie Izajasza.

– „Dotknął nim ust moich i rzekł: «Oto dotknęło to twoich warg: twoja wina jest zmazana, zgładzony twój grzech»”.

Jakiś ruch za oknem przykuł jej wzrok. Zobaczyła przechodzące Diddie i Carę Nettę. Zapewne szły na śniadanie.

Claire pomyślała o „przedsięwzięciu”, w którym Cara Netta oczekiwała jej pomocy – wykonanie albumu z wycinkami ulotek i pamiątek z ich rodzinnej podróży po Europie. Jednak Claire wiedziała, co tak naprawdę kryło się za tym żądaniem. To miało wskazać, gdzie jest jej miejsce jako podwładnej w Belmont, i pokazać jej wszystko, co Cara Netta przeżyła razem z Suttonem.

Także wspomnienia z tego wieczoru, gdy jechali do opery, choć było to ponad tydzień temu, wciąż były żywe. Wypłakała się, kiedy już wszyscy wyszli, a potem postanowiła sobie, że to koniec. Co się stało, to się nie odstanie, i pogodziła się z tym, że może zmieniać tylko to, co jest w jej zasięgu, ale nie zmagać się z tym, co niemożliwe. Miała swoje zadania do

wykonania – projekty dla pani Acklen, teraz także dla madame LeVert, oraz lekcje z Pauline, które szły coraz lepiej. Liczyła, że uda się jej znaleźć też czas dla siebie, by coś poszkicować, dokonać wyboru miejsca, które chciała przedstawić na pierwszym obrazie na aukcję.

Patrzyła przez okno, oczekując, że zobaczy Suttona towarzyszącego siostrom LeVert, ale najwidoczniej dziś go z nimi nie było.

Ostatnio rzadko się pojawiał. Domyślała się, że miał dużo pracy w związku ze sprawą, w którą był zaangażowany, oraz ze względu na interesy pani Acklen. Zastanawiała się, jaki był związek pomiędzy nim a Carą Nettą. Widziała ich dosyć często spacerujących razem, a także, oczywiście, podczas kolacji, ale poza tym starała się ich unikać, jak tylko to było możliwe. To był jej wybór, jednak wiedziała, że Cara Netta również tak woli. I wcale jej za to nie winiła. Czułaby dokładnie to samo na miejscu tej kobiety.

Trzymając w palcach krawędź strony, Claire wyobraziła sobie, że w jakichś innych okolicznościach może mogłaby nawet polubić pannę LeVert... gdyby ona nie kochała Suttona, a on jej.

Wróciła myślami do księgi i ponownie zagłębiła się w lekturze.

– Dzień dobry, panno Laurent.

Słysząc za plecami głos, Claire natychmiast wstała.

– Pani Acklen! Dzień dobry. – Dziewczyna zerknęła na otwartą Biblię, żałując teraz, że nie zapytała wcześniej o pozwolenie. – Nie słyszałam, że pani weszła.

– Tak, właśnie widzę. – Kobieta przeniosła wzrok z asystentki na Biblię i z powrotem. – Co pani czyta?

Claire stwierdziła, że oczywista odpowiedź nie ma sensu.

– Księgę Izajasza, proszę pani.

– Czytała ją pani wcześniej?

Claire zaprzeczyła ruchem głowy.

– Izajasz to jedna z moich ulubionych ksiąg. Choć trzeba przyznać, że chwilami trudna. Ale warta wysiłku. – Pani Acklen zmrużyła oczy. – Nie ma pani własnej Biblii, panno Laurent?

– Nie, proszę pani. Ja... – Przyznając się do tego, poczuła się jak najgorsza poganka, ale co miała odrzec na takie pytanie? – Moja Biblia... była w moich bagażach, więc pozwoliłam sobie skorzystać z pani egzemplarza. Mam nadzieję, że nie ma mi pani za złe.

– Pani bagaże wciąż jeszcze nie dotarły, panno Laurent?

Claire przygryzła wewnętrzną stronę policzka.

– Nic mi o tym nie wiadomo, szanowna pani.

– Cóż, zatem musimy natychmiast coś z tym zrobić. Proszę podać pani poprzedni adres panu Monroemu, a on wyśle wiadomość znajomemu w Nowym Orleanie, by sprawdził to dla pani. Zlecimy, żeby je przysłano prosto do Belmont.

– Proszę... Pani Acklen, nie chciałabym robić pani kłopotów.

– To są pani bagaże, panno Laurent. Pani ubrania. Pani osobiste rzeczy. Ma pani prawo, by je odzyskać. Nie może pani tak po prostu pozwolić, aby ktoś... w tym przypadku jakiś niekompetentny bagażowy zabrał je pani. Czy to nie jest dla pani oczywiste?

Claire stłumiła westchnienie.

– Tak, proszę pani. Dosyć oczywiste.

– Dobrze. A kiedy pani tu skończy, proszę przyjść do biblioteki. Mam kilka egzemplarzy Biblii. Dam pani jeden. Mam też dla pani zadanie na dzisiaj.

Na myśl o tym, że miała podać Suttonowi swój adres w Nowym Orleanie, Claire poczuła się w jednej chwili do końca zgubiona.

– Tak, pani Acklen. Zaraz tam będę. I... dziękuję pani.

Pani Adelicia zamknęła drzwi i Claire opadła z powrotem na krzesło. Wpatrywała się w otwartą księgę. To by było na tyle, jeśli chodzi o szukanie nadziei i pocieszenia.

– Tu jest Biblia, panno Laurent – rzekła pani Acklen zwrócona plecami do Claire, gdyż przeglądała półkę z książkami. – Na rogu biurka.

Dziewczyna sięgnęła po Pismo Święte leżące na stercie korespondencji. Gdzieś spod spodu wyzierał egzemplarz *New Orleans Picayune*. Od czasu, gdy znalazła artykuł o swoim ojcu, sprawdzała każdy numer, ale z ulgą stwierdziła, że już potem nie było żadnego wspomnienia o papie i galerii.

– Widzi ją pani, panno Laurent?

– Tak, proszę pani, widzę. – Claire wzięła oprawioną w jasną skórę Biblię i odczytała nazwisko wytłoczone złotymi literami na okładce: „Joseph Acklen”. – Dziękuję, pani Acklen. – Przesunęła palcem po srebrzonych krawędziach stron. Z pewnością sama nie kupiłaby sobie takiego ładnego wydania. – Dziękuję, że chciała się pani ze mną podzielić. Będę o nią dbać i oddam, jak najszybciej.

– Proszę ją zatrzymać, panno Laurent. Tak jak mówiłam, posiadam kilka egzemplarzy. A tu mam kopertę... – Kobieta zaczęła szukać pomiędzy dokumentami leżącymi na biurku. Po chwili westchnąwszy, rzekła: – Chyba zostawiłam ją w swojej sypialni. Pójdę po kopertę, a pani niech tymczasem poprosi Eliego o karetę.

– Karetę, szanowna pani?

– Tak. – Pani Acklen ruszyła w kierunku drzwi. – Chciałabym, żeby pojechała pani do miasta załatwić coś dla mnie.

Claire miała już zaprotestować, ale wiedziała, że nie było sensu. A liczyła na wolny czas na szkicowanie dziś po południu.

Pani Adelicia zatrzymała się w pół kroku i spojrzała za siebie.

– Czyżby miała pani jakieś inne pilne zajęcia na dzisiaj, panno Laurent?

Claire poczuła, że się rumieni.

– Oczywiście, że nie, pani Acklen. Z radością pojadę do miasta.

Wyszła za nią do wejściowego holu, gdzie spotkały Diddie i Carę Nettę idące od strony wielkiego salonu.

– Dzień dobry, pani Acklen – powiedziały, a następnie skłoniły się w kierunku Claire – panno Laurent.

Claire dygnęła.

– Dzień dobry, paniom.

Pani Acklen uścisnęła obie damy.

– A wy co robicie dzisiaj, moje drogie?

– Ponieważ za dwa dni wracamy do domu – uśmiech Diddie zbladł na chwilę – zamierzamy jechać na zakupy do miasta! To z pewnością nas pocieszy. – Uśmiechnęła się ponownie. – Eli już podstawia dla nas karetę.

– To cudownie! – Pani Acklen wskazała dłonią na Claire. – Panna Laurent właśnie miała jechać załatwić coś dla mnie w mieście. Czy nie miałybyście nic przeciwko, by wam towarzyszyła?

Claire nie potrafiła się powstrzymać.

– Ależ nie, nie chciałabym przeszkadzać. Mogę iść na piechotę. Jest taki piękny dzień. Wcale nie jest mokro – dodała, kierując tę uwagę w stronę swojej pracodawczyni. – I przyda mi się trochę ruchu.

Pani Acklen popatrzyła na nią, jakby urosło jej trzecie ucho. Diddie i Cara Netta stały tylko, patrząc bez słowa.

– Wydaje mi się – stwierdziła pani Acklen – że będzie padać. I jestem pewna, że Diddie i Cara Netta chętnie użyczą pani miejsca w karecie. – Spojrzała na siostry.

– Oczywiście, że tak, pani Acklen – wtrąciła Cara Netta, uśmiechając się słodko. – Poczekamy na panią przed wejściem, panno Laurent.

Claire wróciła do swojego pokoju po szal. Już sama perspektywa tego wyjazdu nie była jej miła, a teraz na dodatek będzie musiała znosić wspólną podróż z Carą Nettą.

Wrzuciła kilka monet do kieszeni sukni, ponieważ jeszcze nie miała torebki po stracie tamtej zostawionej w firmie przewozowej. Pani Adelicia bardzo dobrze jej płaciła, jednak ostatnie wydatki znacznie uszczupliły jej oszczędności. Najpierw szara suknia, potem płótna i farby, które zamówiła dwa tygodnie temu. A opłata za leczenie u doktora Denarda przekraczała jej najśmielsze wyobrażenia. Pani Acklen proponowała, że zapłaci za lekarza, ale Claire się uparła. To była jej wina i tym samym do niej należało pokrycie kosztów.

Wiedząc, że siostry czekają już na nią, przeszła pospiesznie do wielkiego salonu. Pani Acklen obiecała, iż będzie czekać tam na nią z kopertą, ale Claire zastała na miejscu panią Routh, która zeszła schodami ze swoją zwykłą, zgorzkniałą miną.

Trzymając się kurczowo postanowienia, by tym razem nie dać się onieśmielić, Claire przybrała na twarz uśmiech.

– Jak się pani dzisiaj miewa, pani Routh?

– Dobrze, panno Laurent. A pani?

– Całkiem dobrze. Dziękuję. – Claire dostrzegła kopertę w dłoni ochmistrzyni. – Czy to od pani Acklen?

Zaciskając wargi, kobieta wyciągnęła rękę w jej stronę.

– Ma to pani od razu dostarczyć pani Perry w składzie sukien. I proszę czekać na odpowiedź.

Claire przyjrzała się przesyłce. Na przodzie widniało nazwisko pani Perry starannie wykaligrafowane wzorowym pismem pani Adelicii. Obróciła kopertę.

– Jest zapieczętowana – stwierdziła, zastanawiając się, czemuż to pani Acklen pisała list sama, zamiast ją o to poprosić.

– Tak, jest zapieczętowana, panno Laurent – odparła kobieta. – Co też sugeruje, że jej zawartość jest przeznaczona wyłącznie dla pani Perry.

Uświadomiwszy sobie, co takiego insynuowała ochmistrzyni, Claire się zaczerwieniła.

– Rozumiem to, pani Routh – odrzekła. – Zastanawiałam się po prostu, czemu... – Widząc nieufność w spojrzeniu gospodyni, wiedziała, że cokolwiek by nie powiedziała i tak niczego to nie zmieni. – Przekażę ją pani Perry. Życzę miłego dnia, pani Routh.

Claire wyszła szybko do karety, po raz kolejny sama sobie zadając pytanie, dlaczego ta kobieta tak uparcie darzy ją nieufnością. Można było wręcz namacalnie wyczuć jej awersję i bolało ją to dużo bardziej, niż była skłonna przyznać.

Ta kilkukilometrowa droga do miasta wydawała się trwać dwa razy dłużej niż zwykle. To Diddie głównie zabawiała je rozmową i była bardzo miła, ale Claire nie miała wątpliwości, iż starsza siostra wiedziała, co młodsza myśli na jej temat.

Kiedy kareta zatrzymała się przed składem sukien, Claire wysiadła, korzystając z pomocy Armsteada, i z zaskoczeniem zobaczyła, że siostry także wychodzą.

– Pani Perry była jednym z naszych głównych celów dzisiaj – wyjaśniła krótko Diddie. – Przecież ona ma najlepsze suknie w mieście.

„I najdroższe” – miała ochotę dodać Claire, ale się powstrzymała. Uśmiechnęła się i puściła kobiety przodem, licząc, że sprawunki pani Acklen nie zajmą jej zbyt długo. Nie mogła się już doczekać powrotu do Belmont. Na piechotę. I sama. O ile tylko szare niebo wytrzyma.

Kiedy weszły do sklepu, zastały panią Perry przy klientce, więc Claire czekała z boku, podczas gdy Diddie i Cara Netta oglądały suknie. Ponad połowa kreacji w składzie była ciemna – szare, takie jak ta, którą sama kupiła, czarne jak noc i granatowe. Kolory żałoby. Kolory wojny.

– Przepraszam, że musiały panie czekać. – Pani Perry dołączyła do nich i przywitała się po imieniu z Diddie i Carą Nettą. – I panna Laurent, jak miło panią znów spotkać i to tak szybko. Czy przyjechała pani po kolejną suknię? Wczoraj dostarczono nam taki model, który idealnie by na pani leżał.

– Dzień dobry, pani Perry. Obawiam się, że nie dziś. – Claire wręczyła jej kopertę. – Przyjechałam w imieniu pani Acklen. Poprosiła mnie, żebym to dostarczyła i poczekała na pani odpowiedź.

Pani Perry przeczytała liścik i podniosła wzrok.

– Rozumiem, że nie czytała pani tego?

Claire spojrzała na nią, przypominając sobie znowu insynuacje pani Routh.

– Nie, proszę pani, oczywiście, że nie. Przesyłka była zapieczętowana.

Pani Perry wetknęła liścik z powrotem do koperty, a jej oblicze wręcz promieniało.

– W takim razie to ja mam zaszczyt przekazać pani te dobre nowiny, panno Laurent. Coś mi się wydaje, iż można powiedzieć, że w tym roku Święty Mikołaj odwiedził panią wcześniej, moja droga.

31

Claire nie mieściło się w głowie to, co zrobiła dla niej pani Acklen. Sześć sukni! Sześć! I wszystkie piękniejsze niż którakolwiek, jaką miała w życiu. Pani Perry dołączyła również asortyment różnej koronkowej bielizny – koszule, halki, pantalony i pończochy – wszystko to spakowane w oddzielnym pudle wyłożonym różowym papierem. A także wełniany płaszcz na nadchodzącą zimę i parę błyszczących czarnych trzewików w drugim pudle.

Claire jeszcze nigdy nie miała równie wspaniałych rzeczy ani też nikt nie potraktował jej tak po królewsku. Stała w drzwiach składu z sukniami, wpatrując się w gęstą ścianę deszczu, ale nie mogła pozwolić, by cokolwiek popsuło jej humor. Nie po tak cudownej niespodziance.

Przymiarki zajęły dużo więcej czasu, niż się spodziewała, więc pani Perry wielkodusznie zaproponowała jej lunch. Diddie i Cara Netta wyszły dwie godziny wcześniej, obiecując, że wrócą po nią w „Clarence” – jak zdrobniale Diddie określiła wynajętą karetę – więc Claire czekała.

Wtedy uświadomiła sobie, że być może powinna się czuć obrażona gestem pani Acklen, gdyż świadczył on o tym, że pracodawczyni uważała, iż Claire nie ubiera się stosownie do swojej pozycji. A jednak wcale nie czuła się obrażona. Jej wdzięczność przekraczała wszelkie granice i Claire nie mogła się już doczekać, kiedy wróci do Belmont, by właściwie podziękować swojej pracodawczyni. Pani Perry obiecała, że ukończy przeróbki w ciągu kilku dni i wyśle suknie do Belmont.

Claire dostrzegła karetę panien LeVert na końcu ulicy. Trudno byłoby ją przegapić. Clarence miała okrągły, przeszklony przód, co było bardzo stylowe i niewątpliwie kosztowne, nawet do wynajęcia. Ruszyła szybko w kierunku karocy i wsiadła z pomocą Armsteada. Nie zdziwiła się, gdy zobaczyła przewiązane wstążkami pudła ustawione jedne na drugich na siedzeniu obok.

Diddie i Cara Netta siedziały na miejscu przy przeszklonym froncie, co bardzo odpowiadało Claire. Ten, kto tam siedział, był na widoku, a tego wolałaby uniknąć. Wiedząc, że Cara Netta ją obserwuje, Claire strzepnęła kropelki deszczu z sukni i radosnym tonem zapytała:

– Udały się paniom zakupy?

– Tak. – Uśmiech Cary Netty zdawał się umiarkowanie przekonujący. – Choć zakładam, że pewnie nie tak bardzo jak pani.

Diddie posłała młodszej siostrze znaczące spojrzenie, a potem sprawdziła złoty damski zegarek przypięty do gorsetu sukni.

– Za kwadrans pierwsza. Może sprawdzimy, czy Sutton jest jeszcze w kancelarii? Mówiłam mu, że możemy wpaść do niego po drodze.

Cara Netta kiwnęła głową, a Claire przeniosła wzrok z jednej siostry na drugą.

– Nie wracamy do Belmont?

– Za chwilę – oświadczyła Diddie, stukając w okno. Zaraz pojawił się Armstead i dama przekazała mu wytyczne, a potem oparła się wygodnie. – To nie zajmie nam długo, panno Laurent. Obiecuję. I jestem pewna, po tym, gdy widziałam, jak bardzo pani Acklen panią ceni, że nie będzie ona pani żałować tej godzinki czy dwóch.

– Och! – ożywiła się Cara Netta. – Mogłybyśmy odwiedzić tę wspaniałą cukiernię, do której zabrał nas ostatnio Sutton. Mają tam najlepszy krem kokosowy.

Diddie przytaknęła i obie zaczęły rozmawiać, wchodząc sobie w zdanie i dokańczając jedna za drugą wypowiadane myśli, jak to zazwyczaj czyniły.

Zrezygnowana Claire osunęła się na oparcie. Gdy karoca toczyła się wzdłuż rzędu sklepów i biur, uświadomiła sobie, że okolica robi się bardziej znajoma. Kiedy stangret zatrzymał się przed czerwonym ceglanym budynkiem z mosiężną tablicą, na której widniał napis: „Kancelaria adwokacka Holbrook i Wickliffe”, zrozumiała, skąd to wrażenie.

Wyjrzała na zewnątrz, przypomniawszy sobie starszego mężczyznę, którego widziała w firmie przewozowej Brodericka, a potem tutaj, gdy wchodził do tego budynku.

– To tu pracuje Sutton?

Diddie przytaknęła.

– Holbrook i Wickliffe to najbardziej prestiżowa kancelaria adwokacka w mieście. Sutton pracował wyłącznie tutaj... dopóki nie zmarł pan Acklen. Potem Sutton przeprowadził się do Belmont, by pomóc pani Acklen w zarządzaniu.

– Myślałam, że pani o tym wiedziała – stwierdziła Cara Netta – skoro pani i Sutton to tacy... dobrzy przyjaciele.

Claire nie miała pojęcia, co mogłaby na to odpowiedzieć. Pierwszy raz zdarzyło się, że Cara Netta powiedziała jej cokolwiek tak bezpośrednio o Suttonie. A tym bardziej o niej i o Suttonie. I ten ton... jakby podważała to, czy rzeczywiście są tylko dobrymi przyjaciółmi.

– Cóż, wiedziałam, że Sutton pracuje w kancelarii adwokackiej w mieście... – Claire rzuciła okiem na budynek i zobaczyła, jak mężczyzna wychodzi właśnie głównymi drzwiami. Deszcz przestał padać i spoza chmur przezierała nadzieja na słońce. – Nie wiedziałam po prostu, że jest związany z tą akurat kancelarią. – I z tym starszym dżentelmenem, którego kiedyś spotkała.

– Pani Acklen powiedziała mamie, że Sutton w przyszłości zostanie pełnoprawnym wspólnikiem. – W głosie Cary Netty dało się wyczuć zaborczość. – Domyślam się, że już w nie tak odległej przyszłości.

Lekki uśmiech Diddie wyrażał poparcie.

– Pani Acklen bardzo go sobie ceni, tak jak i aktualni wspólnicy w kancelarii.

Claire patrzyła, jak Sutton ze skórzaną aktówką w dłoni zbiega schodami i poczuła ukłucie pragnienia skierowanego ku niemu. Ten kosmyk ciemnych włosów opadający na czoło i cień jutrzejszego zarostu, widoczny nawet o tak wczesnej porze, oraz ten uśmiech, który mógł stopić lód, nadawały mu szelmowski wygląd.

W każdym calu przypominał przyszłego wspólnika kancelarii... i zasługiwał na żonę o równym mu statusie społecznym. Claire zerknęła znów na Carę Nettę i od razu do głowy przyszło jej słowo: „rasowy”. Sutton cenił w życiu to, co najlepsze, i zasługiwał na to.

W ostatniej chwili Diddie sprawnie przesiadła się na tę stronę karety, gdzie była Claire, przesuwając pudła na bok i zostawiając miejsce obok Cary Netty dla Suttona. To było wyrachowane, choć Claire wiedziała, że nie w takim podłym sensie. Po prostu zrobiła to, co zrobiłby każdy świadomy, co czuje serce ukochanej siostry. Tak jak lato następowało po wiośnie, a zima po jesieni, wiadomo było, że Sutton i Cara Netta należą do siebie. Każdy, kto ich widział, mógł być o tym przekonany.

Claire poczuła znamienne ukłucie zazdrości. Dlaczego więc tak trudno jej było zaakceptować taki stan rzeczy?

– Witam, panie... – Sutton otworzył drzwi i zaczął wsiadać. – Panna Laurent! – Znieruchomiał na chwilę i Claire mogłaby przysiąc, że dostrzegła błysk w jego oczach. – Nie wiedziałem, że zamierza się pani dzisiaj wybrać na zakupy z pannami LeVert.

– W zasadzie ja też nie wiedziałam. – Claire zerknęła ukradkiem na Carę Nettę, która odwzajemniła spojrzenie... i to wcale nie radośnie. – Pani Acklen poprosiła mnie, żebym załatwiła pewne sprawunki dzisiaj rano w mieście, a panny LeVert były na tyle miłe, że zgodziły się dzielić ze mną karetę.

Sutton zajął miejsce obok Cary Netty i chwilę później powóz ruszył. Mężczyzna otworzył jedno z okien i Claire z przyjemnością zaczerpnęła świeżego powietrza, którego tak brakowało w tej kabinie.

Diddie i Cara Netta natychmiast i bez pytania zdały mu pełną relację z tego wszystkiego, co rano kupiły.

Kareta zatrzymała się krótko na jednej z arterii i Claire zauważyła, że przechodnie patrzą w ich stronę. Nic dziwnego, zważając, że jechali w Clarence... Albo ze względu na piękną parę, która siedziała za przeszkleniem.

Pojazd ruszył dalej, a siostry zasypywały Suttona pytaniami o jego dzień. Claire słuchała z zainteresowaniem, gdy odpowiadał, ale kiedy rozmowa zwróciła się na temat cukierni, skupiła wzrok na tym, co widać było przez okno, czyli na ciągnącym się tłumie pieszych.

Przedsiębiorcy spieszący się na kolejne spotkania, kobiety ściskające kurczowo swoje niemowlęta oraz podążające za nimi czarne nianie z koszami i pozostałymi dziećmi na ramionach. Czarnoskórzy mężczyźni zamiatający wejściowe werandy i dźwigający skrzynie na wozy – ich muskularne ramiona napinały się i błyszczały w słońcu. Chłopcy szukający zwady na rogach ulic, handlujący gazetami i przemoczonymi opakowaniami gotowanych orzechów arachidowych, a także inni, zawzięcie depczący po piętach eleganckim mężczyznom, dopraszając się, by za centa wypucować im buty.

A ona... siedziała w tej wspaniałej karocy, bo była zatrudniona jako osobista *liaison* pani Adelicii Acklen, z naręczem sukni, które mogłyby wypełnić całą garderobę, i z coraz bliższą perspektywą spełnienia marzeń o malowaniu. Życie czasami wydawało się takie niesprawiedliwe, potrafiło przybierać zupełnie nieoczekiwany obrót. Nawet gdy to wszystko zmieniało się na jej korzyść. Zwłaszcza wtedy... Ponieważ wiedziała, że na to nie zasługuje.

Kareta ponownie zwolniła i Claire przechyliła się nieco w przód, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Jej wzrok przykuł jakiś mężczyzna przechodzący przez ulicę. Ubrany był bardzo stylowo i poruszał się tak dystyngowanie. Zwrócony był do niej plecami, ale przystanął, obrócił się i znieruchomiał.

Dostrzegłszy nagle jego twarz, Claire poczuła, jakby leciała przed siebie, mimo że wcisnęła się mocno w tapicerowane oparcie.

32

Antoine DePaul! – powtarzała w myślach Claire z sercem w gardle. Musiała sobie sama przykazać, by oddychać. Słyszała szczebioczącą obok Diddie, ale nie była w stanie rozróżnić jej słów, bo tak huczało jej w uszach. Sutton skoncentrowany był na Carze Netcie, która całą uwagę skupiała na nim. Tymczasem cały świat Claire pikował w zawrotnym tempie.

Boże, proszę... Nie pozwól, aby zbliżył się do karety. Zacisnęła zęby, modląc się w duchu, by powóz ruszył. Żeby tylko ruszył! Nie odważyła się wyjrzeć ponownie przez okno. Modliła się dalej, w kółko, a serce waliło jej nieznośnie... by Antoine jej nie dostrzegł.

– Panno Laurent?

Claire odwróciła się i zobaczyła, że Diddie się w nią wpatruje. Tak jak i Sutton oraz Cara Netta.

Wyraz twarzy Suttona zrobił się wyjątkowo przenikliwy.

– Źle się pani czuje, panno Laurent?

Słyszała pytanie, ale nie umiała odpowiedzieć... ponieważ wiedziała, że w każdej chwili to życie, które odkryła w Belmont, mogło dobiec końca. A Antoine DePaul już dopilnuje, by nastąpiło to nagłe i brutalne rozwiązanie.

Kiedy tylko Sutton pochylił się w jej stronę, kareta ruszyła i żelazny ucisk w gardle trochę się rozluźnił. Wzięła wdech i rzekła:

– W porządku... panie Monroe. Dziękuję. – Za oknem cudownie przesuwały się witryny i piesi. – Chyba po prostu... zrobiło mi się trochę za

gorąco.

– Panno Laurent... – zaczęła Diddie, rzucając siostrze spojrzenie. – Jeśli pani chce, możemy wrócić do domu. I tak widziałam, że Cordina piekła wcześniej ciasteczka do herbaty.

Claire gotowa była ją za to przytulić.

– Jeżeli byłaby taka możliwość, panno LeVert, to wolałabym tak. O ile tylko możemy.

Claire kilka razy zerkała dyskretnie za siebie, kiedy wracali do Belmont, by upewnić się, że nikt ich nie śledzi. Obraz Antoine’a DePaula utkwił jej mocno w głowie, tak jak świadomość tego, iż wszystko może się diametralnie zmienić. Tłumaczyła sobie, że zapewne Antoine po prostu patrzył na Clarence. W końcu on też miał zamiłowanie do tego, co najdroższe i najbardziej ekstrawaganckie. Belmont był jednak ostatnim miejscem, w jakim mógłby jej szukać. Była pewna, że tam jest bezpieczna. Gdyby tylko mogła jeszcze przekonać w ten sposób to swoje rozedrgane wnętrze.

Kiedy dojechali do Belmont, Claire odszukała panią Acklen i przekazała wyrazy wdzięczności za tak hojny dar, jakim były dla niej suknie. Potem podczas kolacji w gościnnej jadalni starała się słuchać uważnie, gdy Diddie i Cara Netta relacjonowały wszystkim wydarzenia minionego dnia.

Uśmiechała się, kiedy trzeba, i wtrącała uwagi, gdy było to słuszne, ale w duchu wciąż na nowo przeżywała tę chwilę, w której zobaczyła Antoine’a... kiedy odwrócił się na tamtej ulicy i tak znieruchomiał. Wzdrygnęła się ponownie na samo to wspomnienie.

Pani Acklen wstała ze swojego miejsca u szczytu stołu.

– Może przeniesiemy naszą dalszą rozrywkę do wielkiego salonu? – Przechyliła głowę w stronę Cary Netty. – Po długich perswazjach panna

LeVert zgodziła się łaskawie, by ponownie nam coś zagrać.

Cara Netta skłoniła głowę, jakby przystawała na prośbę pani domu.

Claire wstała, świadoma, że Sutton na nią patrzy. Z ruchu jego warg wyczytała pytanie: „Wszystko dobrze?”. Uśmiechnęła się, ale tak lekko, i kiwnęła głową, a potem odwróciła wzrok, wiedząc, jak nieodpowiednio mogłaby zinterpretować taką wymianę Cara Netta, gdyby ją dostrzegła. Jednak fakt, że Sutton wykazał się troską, był dla niej bezcenny.

Cara Netta jak zawsze przepięknie grała. Jej palce przesuwały się płynnie po klawiszach, nawet w tych najtrudniejszych fragmentach. Claire chciałaby tak malować, jak ona grała. Pragnęła stworzyć coś takiego, co oddziaływałoby na innych ludzi. Co sprawiłoby, że przystaną i zwrócą swoją uwagę na portret albo pejzaż, jakąś scenę, która zaciekawi ich na tyle, że odszukają podpis w prawym dolnym rogu płótna i powiedzą: „Ach, tak... Claire Elise Laurent”.

Wpatrywała się w resztki kawy w porcelanowej filiżance i myślami zwróciła się ku swoim ogrodom wersalskim, zastanawiając się, gdzie może podziewać się teraz ten obraz. Co więcej, pragnęła móc go jeszcze kiedyś ujrzeć. Widok jej matki stojącej tam na skraju ogrodowej ścieżki, na wpół ukrytej pomiędzy bzami. *Maman... Brakuje mi ciebie. Tak bardzo* – pomyślała.

– Czy ma pani jakieś życzenie, panno Laurent?

Dziewczyna zamrugała ze zdziwieniem i uniosła głowę. Pani Acklen patrzyła na nią, tak samo jak pozostali.

– P-przepraszam, szanowna pani?

– Czy jest jakiś konkretny utwór, który chciałaby pani, aby Cara Netta zagrała?

– Przyjmuje zamówienia – wtrąciła Diddie. – I staramy się, jak możemy, żeby zapędzić ją w kozi róg.

Od razu do głowy przyszedł Claire jeden utwór i zanim to przemyślała, jej usta wypowiedziały tytuł.

– *Sonata Księżycowa*? – powtórzyła Cara Netta, zerkając na Claire przez ramię. – Rozumiem, że chodzi pani o pierwszą część sonaty cis-moll Beethovena. Z pewnością piękny utwór, ale... raczej niezbyt trudny jako wyzwanie, panno Laurent.

– Tak, podejrzewam, że nie – odparła cicho Claire, czując na sobie spojrzenia wszystkich osób w tym pokoju. – A może jednak prawdziwy sprawdzian pianistycznych umiejętności wcale nie leży w trudności, ale także w opanowaniu tego, co proste.

Cara Netta zaśmiała się.

– A czemuż tak miałoby niby być, panno Laurent?

Claire, ważąc słowa, rzekła:

– Proste kompozycje mogą okazać się całkiem skomplikowane przez to, że grająca osoba musi się bardziej postarać, by dobrze uchwycić zamierzone emocje. Przynajmniej tak mówił Beethoven: „Granie bez pasji”...

– ...„jest niewybaczalne” – dokończyła zdanie Cara Netta z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

Zaraz potem z tą samą miną odwróciła się i zaczęła grać. Najpierw cicho i delikatnie, następnie coraz bardziej budując napięcie. Każdy dźwięk był tak słodki, a melancholijne akordy tak idealnie czyste. I to tempo... mistrzowskie. Claire zamknęła oczy i pozwoliła, by muzyka – a także wszystkie wspomnienia, jakie za sobą pociągała – obmywała jej duszę. Po policzkach popłynęły łzy, ale nie zrobiła nic, żeby je powstrzymać. Cara Netta skończyła i ostatni dźwięk zawisł w powietrzu – pełen smutku i spokoju, trwając w tej przestrzeni niczym modlitwa. Po chwili rozpłynął się w ciszy, która spowiła pokój.

– Ten utwór – rzekła wreszcie pani Acklen – ma dla pani szczególne znaczenie, panno Laurent.

Claire pokiwała głową.

– Tak, szanowna pani – powiedziała szeptem, ocierając policzki. – To była ulubiona kompozycja mojej mamy... – Claire popatrzyła z powrotem na Carę Nettę i z dużo mniejszym wysiłkiem, niż mogła się spodziewać po tych ostatnich dniach, przybrała na twarz zupełnie szczery uśmiech. – Dziękuję, panno LeVert. To było doskonałe!

Przez dłuższą chwilę Cara Netta mierzyła ją wzrokiem, a następnie skłoniła głowę.

– Cała przyjemność po mojej stronie, panno Laurent. Dziękuję za to życzenie. To od dawna także mój ulubiony utwór, choć taki prosty...

Mijały kolejne sekundy.

W końcu Cara Netta odkaszlnęła, najwyraźniej próbując ożywić atmosferę.

– A teraz – rzekła, zwracając się do wszystkich – moja kolej, żeby sprawdzić, czy uda mi się zapędzić was w kozi róg! – Odwróciła się z powrotem do pianina i zaczęła grać. Dużo lżejszą muzykę w znacznie żywszym tempie.

Claude aż podskoczył z kanapy razem ze swoją młodszą siostrą.

– To proste! – zawołał. – *Wait for the Wagon*! [40] Panna Cenas nam to gra! – Claude i Pauline stłoczyli się razem z Diddie koło ławy do pianina. Nawet William podszedł bliżej, by posłuchać.

Widząc odpowiednią do tego okazję, Claire także się podniosła. Wieczór był jeszcze wczesny i na zewnątrz wciąż było jasno. Musiała się przejść. Może uda się jej wziąć blok rysunkowy i coś poszkicować. To był niezwykle kuszący pomysł.

Madame LeVert życzyła wszystkim dobrej nocy. Claire ponownie dziękowała pani Acklen za suknie i w tym momencie dostrzegła, że Sutton ruszył w jej stronę.

– Pani hojność jest nie do opisania, pani Acklen. Jeszcze nigdy nie miałam tak pięknych sukni. Bardzo dziękuję.

– Ależ proszę bardzo, panno Laurent. – Kobieta wydawała się szczerze ucieszona. – Jako moja osobista asystentka jest pani jakby reprezentantką mojej osoby. I w związku z tym pojawiają się pewne... oczekiwania związane z tą rolą, z czego bez wątpienia zdaje sobie pani sprawę. Od czasu przyjęcia urodzinowego Williama ludzie, widząc panią, widzą także mnie.

Claire nie pomyślała wcześniej o sobie w ten właśnie sposób. Że postrzegano ją jako podwładną – tak, ale jako reprezentantkę Adelicii Acklen? Czuła się zaszczycona tą uwagą. I przerażona.

– Kiedy była pani ostatnio w mieście – ciągnęła pani Acklen – by zamówić przybory malarskie...

Claire przeczesała pamięć, zastanawiając się, czy powinna się martwić.

– ...Pani Worthington zasłyszała pani rozmowę ze sprzedawczynią i podczas podwieczorku w zeszłym tygodniu opowiedziała mi oraz madame LeVert, z jaką uprzejmością i życzliwością potraktowała pani tę młodą dziewczynę. Pomimo że nie potrafiła poprawnie przyjąć pani zamówienia, a potem źle policzyła cenę.

Claire nawet nie wiedziała, że pani Worthington była wtedy w sklepie, a tym bardziej, że słyszała tamtą rozmowę.

– Niezbyt wiele osób poprawiłoby błąd w obliczeniach sprzedawcy, kiedy różnica wychodzi na korzyść klienta.

Claire wbiła wzrok w biało-czarny wzór na podłodze, nieco skrępowana wobec tej prawości, jaką jej właśnie przypisano.

– To był jej pierwszy dzień w pracy. Była taka podenerwowana...

– Ależ tak, tak, na pewno. – Pani Acklen złączyła dłonie czubkami palców. – Chciałam powiedzieć, że doceniam pani szczerość i gracją, z jaką się pani nosi, panno Laurent. Pani zachowanie, decyzje i każda, nawet najdrobniejsza uwaga rzucają światło również na moją osobę. Na całe Belmont.

Claire ledwie była w stanie się zmusić do kiwnięcia głową, gdy uświadomiła sobie daleko posunięte konsekwencje ostatniego stwierdzenia pani Acklen. Zwłaszcza wobec tego, do czego o mało co dzisiaj nie doszło. Teraz już koniecznie musiała się udać na spacer, by ukoić nerwy, więc życząc wszystkim dobrej nocy, przeprosiła i ruszyła w stronę swojego pokoju po szal.

Usłyszała za plecami kroki.

– Claire?

Odwróciła się na głos Suttona, zaskoczona, że za nią poszedł, ale jeszcze bardziej zdziwiła go jego ponura mina. Zwolnił kroku, gdy się zbliżył.

– Proszę uważać, panno Laurent, bo stąpa pani po wyjątkowo niebezpiecznym gruncie.

Z jeszcze bardziej napiętymi nerwami Claire próbowała dobrać słowa, by coś powiedzieć, by zapytać... gdyż zupełnie nie miała pojęcia, o co mu...

Powoli kącik jego ust uniósł się w uśmiechu.

– Mówię to dlatego, że chyba jeszcze nigdy nie widziałem, by Adelicia Acklen była kiedykolwiek z kogoś tak zadowolona. A to z kolei oznacza, że wysoko stawiasz nam wszystkim poprzeczkę.

Miała ochotę jednocześnie go zdzielić i uściskać. Uspokoiła się i nabrała powietrza w płuca.

– Cóż, cieszę się, że jest zadowolona.

– Zdradziła mi, że będzie organizować na wiosnę bal – powiedział, unosząc brew. – Rozumiem, że omówiła to już z tobą?

Claire kiwnęła głową.

– Ustaliłyśmy, że to będzie maj w przyszłym roku, a może nawet czerwiec. Więc mam jeszcze przynajmniej siedem miesięcy. Dużo czasu na czekające mnie przygotowania. Myślała, żeby zaprosić aż pięćset osób!

Uśmiechnął się.

– O tak, lista jej gości może być okazała.

Muzyka grana na pianinie w salonie ucichła i oboje odwrócili się, spoglądając w głąb korytarza. Rozległy się kolejne dźwięki i z powrotem zwrócili się do siebie. Claire zastanawiała się, czy on myślał to samo co ona – że mogli bezpiecznie rozmawiać, dopóki Cara Netta grała. Był na tyle spostrzegawczy, iż na pewno zauważył, że między nią a Carą Nettą dochodziło do tarć.

– Co się dziś stało, Claire? W mieście...

Zaskoczył ją tym pytaniem, ale tylko trochę. Była już coraz bardziej przyzwyczajona do jego bezpośredniego stylu bycia oraz – ku jej zakłopotaniu – do jego sprytnie zawoalowanych pytań.

– Myślę, że złożyło się na to parę rzeczy. Przymierzanie tych kolejnych sukni, potem ten zaduch w karecie...

– Jesteś pewna? Bo wyglądałaś na... zdenerwowaną.

„Wszak jestem mężem o nieczystych wargach”... – przypomniała sobie i odwróciła wzrok. Nie było mowy, żeby powiedzieć mu o Antoinie DePaulu. To byłoby jak położenie się na torach tuż przed nadjeżdżającym pociągiem. Jak więc miała mu odpowiedzieć i pozostać w zgodzie z prawdą? I wtedy to do niej dotarło. Jakże często obserwowała, gdy pani Acklen stosowała tę taktykę...

– Masz rację, Suttonie. Byłam czymś zdenerwowana... wtedy. – Spojrzała mu prosto w oczy. – Ale teraz już mi lepiej. Dziękuję, że pytasz.

Jakiś błysk rozbawienia mignął w jego wzroku. Mężczyzna znowu zaczął coś mówić, jednak ona uciszyła go spojrzeniem, widząc, kto stoi na końcu korytarza.

Sutton odwrócił się.

– Proszę mi wybaczyć, panie Monroe. – Pani Routh wyszła o krok do przodu. – Szuka pana panna Cara Netta, sir. Prosiła, bym powiadomiła pana, że czeka w saloniku.

Claire nawet tego nie zauważyła, ale faktycznie muzyka ucichła.

Mięsień szczęki drgnął na twarzy Suttona.

– Dziękuję... pani Routh. Proszę przekazać pannie Carze Netcie, że będę tam za chwilę.

– Dobrze, sir – odparła kobieta. – A czy mam posłać Eliego po karetę? Panna LeVert myślała, że wieczorem pojadą państwo we dwójkę do Wawrzynowego Zakątka. Jest tak uroczo na zewnątrz. Z przyjemnością mogę...

– Nie, pani Routh. Panna LeVert się myliła. Nie potrzeba karety. – Jego głos nabrał kategorycznego tonu. – Dziękuję.

Kobieta tylko skinęła głową w stronę Suttona, a następnie wycelowała przelotne, acz pełne satysfakcji spojrzenie w kierunku Claire.

Gdy ochmistrzyni się wycofała, Sutton odwrócił się, a na jego twarzy nie było śladu humoru. Przez chwilę nic nie mówił, jedynie wpatrywał się w jakiś punkt za plecami Claire.

Ona wiedziała, że lepiej byłoby nie pytać, jednakże nie mogła się powstrzymać.

– Co to jest Wawrzynowy Zakątek?

Bez mrugnięcia okiem skrzyżował z nią spojrzenie.

– To majątek ziemski rodziny Monroe. Przynajmniej na razie. – Jakiś cień przesunął się przez jego oblicze, a po nim nastąpiło zagubienie, które bardziej pasowałoby siedmioletniemu chłopcu niż mężczyźnie o posturze i sile Suttona. Pochylił głowę.

Chciała zapytać o więcej – dowiedzieć się, co rozumiał, mówiąc: „przynajmniej na razie” – ale towarzyszyło jej nieodparte wrażenie, że nie miał ochoty rozmawiać na ten temat.

– Jeszcze jedno, Claire. – Podniósł wzrok. – A potem będziesz mogła już cieszyć się w spokoju dzisiejszym wieczorem. To, co powiedziałaś Carze Netcie o jej grze... To było bardzo miłe z twojej strony. Zwłaszcza w świetle jej... oziębłego stosunku do ciebie.

A więc zauważył... Zastanawiała się, czy dostrzegł również jej zachowanie względem Cary Netty. Bo rzeczywiście wcale nie mówiła tego wbrew sobie, tylko po to, by po prostu być dla niej miła. Akurat dzisiaj nie musiała udawać.

– Naprawdę tak myślę, Suttonie. Cara Netta jest wyjątkowo utalentowana. Jest też... – Claire wierzyła w to, co mówiła, choć i tak trudno było to wypowiedzieć na głos. – Jest też bardzo miłą młodą damą.

– Tak, to prawda – rzekł, ale bez cienia uśmiechu. – Cóż, chyba już powinienem pozwolić ci wrócić do siebie.

Jednak nie ruszył się ani na krok. Przesunął wzrokiem po jej twarzy w taki sposób, że Claire zaschło w ustach. I gdyby nie zdrowy rozsądek, pewnie mogłaby pomyśleć, że chciał się pochylić i ucałować ją w policzek. Ale ona zachowała zdrowy rozsądek, a on się nie pochylił.

– Dobranoc, Claire. – Odwrócił się i odmaszerował w głąb korytarza, nie spoglądając nawet za siebie.

Patrzyła na niego, aż zniknął za rogiem.

– Dobranoc, Suttonie – wyszeptała, żałując bardziej niż kiedykolwiek wcześniej, że nie wzięła sobie do serca ostatnich słów matki.

~

– Pomyślałam, że wyjazd do Wawrzynowego Zakątka mógłby być miłym sposobem na spędzenie wieczoru, Suttonie. Rozrywką, jakiej ci trzeba. – Cara Netta podniosła na niego wzrok podczas rozmowy w saloniku. – Sprawiasz ostatnio wrażenie takiego... przytłoczonego. Moglibyśmy porozmawiać o domu, o twoich planach odbudowy.

Wyjazd do Wawrzynowego Zakątka był ostatnią rzeczą, jakiej pragnął Sutton, i trudno byłoby to nazwać potrzebną mu rozrywką. Każde odwiedziny tego miejsca wzbudzały w nim tę samą gorycz. Oczekiwanie, brak jakichkolwiek informacji – to wszystko dawało mu się we znaki.

– Właściwie wolałbym zostać tutaj, o ile nie masz nic przeciwko. Moglibyśmy iść na spacer, jeślibyś chciała. Byłaby okazja, żeby porozmawiać.

– Oczywiście, możemy. – Sięgnęła po swoje okrycie, mierząc go wzrokiem, jakby próbowała odczytać, co kryje się w jego głowie.

Sutton podał jej ramię, gdy schodzili frontowymi schodami rezydencji, a ciężar tego, co musiał jej powiedzieć, przytłaczał go boleśnie. Podjął już decyzję. Wiedział, co trzeba zrobić. Jego serce to potwierdzało, kiedy stał w korytarzu z Claire. Teraz musiał tylko to wykonać.

Cara Netta wsunęła swoją dłoń pod jego ramię i uśmiechnęła się, wskutek czego ciężar w jego wnętrzu wzrósł stokrotnie.

– Lubię z tobą przebywać, Suttonie. Gdziekolwiek byśmy nie byli. Właśnie mówiłam dziś Diddie, że to cudowne, jak staliśmy się sobie bliscy. I jak dobrze się dogadujemy – powiedziała, uścisnąwszy jego ramię. –

Pamiętasz tamto popołudnie w Paryżu, kiedy włóczyliśmy się po mieście, klucząc od jednej cukierni do drugiej, od muzeum do muzeum...

Sutton słuchał, kiwając odpowiednio głową od czasu do czasu, a ona opowiadała wspomnienia z tamtej podróży. Miał wręcz wrażenie, że mówi to wszystko na wypadek, gdyby zapomniał. Skierował ich z dala od domu, w dół zbocza, w stronę oranżerii, bo nie chciał ryzykować, że ktoś im przeszkodzi.

Z każdym krokiem ona coraz mocniej wczepiała się w jego ramię, a on zastanawiał się, czyżby wyczuwała, co zamierzał jej powiedzieć.

– A wtedy w Rzymie, kiedy poszliśmy do tej małej kawiarenki na rogu. Pamiętasz ją? Była...

– Caro Netto...

Stanął w miejscu, wziął jej dłonie w swoje i poczuł, jakby ktoś dźgnął go nożem prosto w serce, gdy dostrzegł tę wrażliwość w jej oczach. Wiedziała. Albo przynajmniej podejrzewała.

– Zrobiłbym prawie wszystko, żeby cię nie zranić. Mam nadzieję, że o tym wiesz.

Pokręciła głową, a jej wzrok stał się szklisty.

– Cokolwiek to jest, Suttonie, możemy przejść przez to razem. Tak sobie z tym radzą ludzie, którzy się kochają.

– Chciałbym, żeby to było takie proste, Caro Netto. Ale gdybym pozwolił, by nasz związek dalej się rozwijał... gdybyśmy wzięli ślub... to właśnie bym robił: raniłbym ciebie.

Jeszcze mocniej zacisnęła ręce.

– Jak możesz tak mówić? Bylibyśmy najwspanialszym małżeństwem w Nashville. Na całym Południu. Ja to wiem.

– Jesteś wyjątkową kobietą, ale...

Zaśmiała się bez humoru.

– Nigdy nic dobrego nie wychodzi ze zdania, które zaczyna się w ten sposób. – Wysunęła dłonie z jego uścisku i usiadła na najbliższej ławce.

Sutton zajął miejsce koło niej i ona przyglądała mu się przez chwilę.

– Czy to z powodu tego domu, który mama chciała nam kupić?

– Nie.

– Czy dlatego, że chciałam znowu jechać do Europy?

– Nie – odparł, szczerze pragnąc znaleźć odpowiednie słowa. – Nic z tych rzeczy. Chociaż... może trochę. – Jak miał być wobec niej szczery i nie zniszczyć jednocześnie całego ich świata? Był jej winien prawdę, tyle że prawda zdawała się tak bolesna i był pewien, że otworzy między nimi przepaść. – Jesteś piękną młodą kobietą. Miłą i troskliwą, hojną i inteligentną...

– A jednak widać, że to nie wystarcza. – Pochyliła głowę. – Gdyż jakoś wypadłam z twoich łask.

Pochylił się nieco, próbując odzyskać jej uwagę.

– Nie wypadłaś z łask, Caro Netto. Po prostu nie jestem tym mężczyzną, którego powinnaś poślubić. Gdybyś tylko przyjrzała mi się wystarczająco uważnie, dostrzegłabyś to. Możesz wybierać spośród tylu mężczyzn. Mężczyzn, którzy...

– Nie pragnę żadnego z nich.

– Ale to tylko dlatego, że nie szukałaś. Byłaś tak... zdecydowana na mnie. I szczerze powiedziawszy, nigdy nie rozumiałem dlaczego... aż do chwili, gdy wyjawiłaś mi, co powiedział ci ojciec.

– Znowu to – rzekła z westchnieniem.

– Wydaje mi się, że w ciągu minionego roku, a zwłaszcza podczas naszej podróży, oboje cierpieliśmy i czuliśmy się samotni, i pomyliliśmy przyjaźń z czymś więcej. Uważam, że ja również jestem w dużej mierze za

to odpowiedzialny. Nie powinienem był pozwolić na to, by to porozumienie trwało tak długo.

Podniosła gwałtownie wzrok.

– Więc to już jakiś czas temu zdecydowałeś, że mnie nie kochasz. I nic nie powiedziałeś!

Poczuł boleśnie napięte mięśnie karku i ramion.

– Caro Netto, to nie była moja decyzja. Musiałem... – Czuł, że zaczyna wszystko psuć. – Potrzebowałem po prostu czasu, żeby zrozumieć swoje uczucia, żeby jaśniej na to spojrzeć.

Odwróciła się bokiem do niego i nie mógł jej za to winić.

– Spójrz na mnie, Caro Netto.

Nie poruszyła się.

– Proszę – wyszeptał.

Zwróciła się ponownie ku niemu z pewnym ociąganiem.

– Nie jestem pod żadnym względem zamożnym człowiekiem – zaczął. – A skrawek ziemi, który do mnie należy, i tak pewnie wkrótce stracę. Nie przepadam za wyjściami do opery, a ta jedna podróż po Europie wystarczy mi na całe życie. – Westchnął. – I właściwie nie stać mnie było nawet na tę jedną. Zgadza się, jestem prawnikiem w prestiżowej kancelarii adwokackiej, jednakże... – Szukał odpowiednich słów, by jak najprościej określić swoje marzenia. – Tak naprawdę pragnę prowadzić stadninę koni.

Zamrugała, a na jej twarzy odbiło się upokorzenie, które choć subtelne, wyraźnie jednak mówiło samo za siebie.

– A moja żona – ciągnął dalej, najłagodniej, jak potrafił – o ile kiedykolwiek będę miał szczęście się ożenić, musiałaby także tego pragnąć. Tak bardzo jak ja.

Cara Netta popatrzyła na niego i był nieomalże w stanie dostrzec, jak kolejne warstwy „a mogło być” opadają i jedna po drugiej rozbijają się

o ziemię. Wraz z jego atrakcyjnością w jej oczach.

Wstała i on również. Wrócili spacerem w stronę rezydencji, nie dotykając się i nie mówiąc nic. Kiedy dotarli do galerii sztuki, ona odwróciła się, a na jej obliczu malowały się najróżniejsze emocje.

– O ile w ogóle moje słowa coś dla ciebie znaczą, Suttonie... – Po policzkach płynęły jej łzy. – Uważam, że popełniasz błąd. Myślę, że moglibyśmy razem mieć wspaniałe życie. Widziałam wiele udanych małżeństw, które łączyło dużo mniejsze uczucie, niż to obecne między nami.

Jej słowa go bolały. Nie dlatego, że nie były prawdziwe, lecz dlatego, iż w jakiś sposób wmówiła sobie, że takie małżeństwo jej wystarczy.

– Masz rację, Caro Netto, ale zasługujesz na dużo więcej.

Jej podbródek drżał, kiedy wpatrywała się w niego ze łzami w oczach. Kątem oka dostrzegł jakiś ruch, jednakże nie popatrzył w tamtą stronę, aż Cara Netta to zrobiła.

Z pól, w kierunku rezydencji, wracała Claire. Nawet jeśli ich zauważyła, nie dała po sobie znać.

– Zastanawiam się... – zaczęła Cara Netta. Jej głos był cichy, choć wcale nie dałoby się go określić teraz jako delikatny. – ...co panna Laurent sądzi na temat stadniny koni? Czy już może uzgodniłeś z nią te sprawy?

Obróciła się na pięcie i weszła do budynku.

Zaskoczony, choć świadomy, że jest winny zarzucanych mu czynów, Sutton czekał na zewnątrz, by miała czas dotrzeć do swojego apartamentu.

Później, gdy leżąc już w łóżku, wrócił myślami do ich przykrej wymiany zdań, wiedział, że dobrze uczynił... dla nich obojga. Może i mogliby razem mieć wspaniałe życie, ale okradałby Carę Nettę z tego życia – i tej miłości – na jakie zasługiwała.

Ponieważ zasługiwała na mężczyznę, który byłby podekscytowany za każdym razem, kiedy ona wchodziłaby do pomieszczenia, mężczyznę, któremu serce biłoby szybciej zawsze, gdy widziałby jej uniesioną wyzywająco w uporze brew. Mężczyznę, który chciałby ją osłaniać i chronić, który walczyłby ze wszystkich sił, by spełnić każde jej marzenie. Mężczyznę, który nie mógłby się doczekać, żeby ją ponownie dotknąć, nawet przypadkowo, kiedy będzie przechodzić koło niego. Mężczyznę, który nie spałby w nocy, wymyślając sposoby, jak o nią zabiegać i zdobyć jej serce, marząc, by wziąć ją w ramiona i całować, aż do utraty tchu.

Zasługiwała na mężczyznę, który będzie do niej czuł to, co on czuł do Claire.

33

Kolejnego poranka Claire zbudziła się później niż zwykle. Spała niespokojnie, śniąc o papie i Antoinie, że są wszyscy troje na tonącej łodzi. I co by nie zrobiła, nie umiała znaleźć ratunku. A najgorsze było to, że kiedy woda sięgała jej już po szyję, w odmętach pojawiły się płynące prosto na nią aligatory.

Było trochę po ósmej, gdy ubrała się i opuściła swój pokój. Najchętniej poszłaby na długi spacer, żeby rześkie poranne powietrze i słońce przegoniły te senne koszmary, ale szum rozmów dochodzących z rodzinnej jadalni podpowiadał jej, że byłoby to niegrzeczne.

Weszła do środka i rozmowa przy śniadaniu nagle ucichła.

Zanim zajęła miejsce, wyczuła już w pomieszczeniu jakieś wyczekiwanie.

– Dzień dobry – powiedziała półgłosem, zauważając jednocześnie, że nie podano jeszcze śniadania.

Dookoła stołu rozległy się odpowiedzi na jej powitanie. Pani Acklen i madame LeVert zajmowały miejsca przy jednym końcu stołu, obie rozpromienione. Diddie miała podobny wyraz twarzy, tak samo dzieci. Cara Netta zaś siedziała z podkrążonymi oczami i wyglądała, jakby spała równie niespokojnie, jak Claire, albo i gorzej. Sutton, podobnie jak Cara Netta, także nie podzielał wesołości pozostałych.

Uśmiechał się, ale w jakiś niepokojący dla Claire sposób. Rozwinęła swoją serwetkę, rozłożyła ją na kolanach i przyglądała się twarzom siedzących dookoła stołu osób. Z każdą sekundą jej nerwowość rosła.

W końcu pani Acklen pochyliła się w przód i oświadczyła:

– Wymyśliłam przewspaniały plan, panno Laurent! Wydaje mi się, że będzie się pani bardzo podobał!

Diddie wierciła się na krześle, a madame LeVert sprawiała wrażenie, jakby zaraz miała pęknąć. Cara Netta zerknęła na Suttona wzrokiem, którego Claire nie potrafiła zinterpretować.

– Będzie zabawa! – wypaliła po chwili Pauline, natychmiast zakrywszy usta pulchną rączką, a jej bracia zgromili ją spojrzeniami.

– W zasadzie to przyjęcie. – Pani Acklen z rozbawieniem posłała córeczce poważny uśmiech. – Na cześć madame LeVert. Urządzimy je tutaj w Belmont. To będzie wydarzenie towarzyskie tego sezonu! Do późna w nocy opracowywałam listę gości i menu. Jestem ciekawa pani pomysłów, panno Laurent, w kwestii zaproszeń, dekoracji i bukietów na stoły. Pozostaje jeszcze muzyka, oczywiście, oraz upominki dla gości, a także...

Pani Acklen mówiła dalej, a Claire, słuchając, czuła, że kręci się jej w głowie. Może dlatego, że tak źle spała, ale nie mogła wykrzesać z siebie entuzjazmu co do planowania kolejnego wielkiego wydarzenia. Nie wtedy, kiedy powinna malować. Jednak nie ważyła się nawet po sobie tego pokazać. W końcu do jej obowiązków w Belmont należało spełnianie wszelkich zachcianek swojej pracodawczyni.

Miała niecałe dwa tygodnie, by zaplanować przyjęcie urodzinowe dla czterdzieściorga siedmiorga dzieci i ich rodziców, a przygotowania do tego wydarzenia zajęły jej nieomal każdą minutę. Ale mając odpowiednią ilość czasu, żeby zaplanować przyjęcie, zadecydować o szczegółach i dograć to...

Myśli Claire stanęły gwałtownie. Usłyszała, jak pani Acklen wymieniła liczbę, ale była pewna, że musiała coś źle zrozumieć.

– Proszę wybaczyć, pani Acklen... o ilu gościach pani mówi?

Pani Adelicia przechyliła głowę na bok, jakby wyrażając niezadowolenie w związku z tym, że jej przerwano.

– Powiedziałam: tysiąc, panno Laurent. Może o kilka osób więcej... Dam pani jeszcze znać.

Claire ledwie była sobie w stanie wyobrazić taką liczbę ludzi skupionych w jednym miejscu. A tym bardziej w jednym domu. I to jeszcze w połączeniu ze stołami, upominkami, dekoracjami i zaproszeniami. Nie wspominając o kosztach! Spojrzała ponad stołem na Suttona, który prawie niezauważalnie skinął głową, jakby mówił jej: „Nie denerwuj się”.

– Ale proszę się nie martwić, panno Laurent. – Pani Acklen przywołała gestem kucharkę i dwie inne służące, które właśnie wnosiły śniadanie. – Przyjęcie będzie dopiero osiemnastego grudnia. Więc ma pani jeszcze całe siedem tygodni, żeby wszystko zorganizować!

~

Siedem tygodni! – przypomniała sobie Claire. Siedząc w damskim siodle na grzbiecie Atheny, skierowała zadziorną czarną klacz w górę zbocza, a w głowie kotłowały jej się rozmaite myśli. Siedem tygodni, żeby zaplanować przyjęcie na ponad tysiąc gości! „Wydarzenie towarzyskie tego sezonu” – jak to określiła pani Acklen.

Claire miała wrażenie, że jej głowa zaraz wybuchnie.

Uważała, że udało się jej dobrze ukryć frustrację, ale kiedy tylko śniadanie dobiegło końca, ruszyła prosto do stajni. Pani Adelicia jednak zdążyła ją złapać w wejściowym holu.

– Pani Worthington zaprosiła nas dziś na kawę, panno Laurent, i uznałam, że powinnyśmy przyjąć zaproszenie, zwłaszcza że panie LeVert opuszczają jutro rano Belmont...

Gdy tylko do Claire dotarły te słowa, zaczęła już układać wymówkę, dlaczego nie mogła jechać. Okazało się jednak, że wcale o nią nie chodziło. Zaproszenie dotyczyło jedynie pani Acklen oraz pań LeVert.

Athena wbiegła energicznie na szczyt wzgórza i Claire ściągnęła wodze, oddychając ciężko, choć był to miły dla niej wysiłek. I tak nie chciała iść na tę głupią kawę. Musiałaby wdawać się w grzeczne dyskusje na tematy, które jej nie interesowały i o których mało co wiedziała, sącząc lurowaty napój, która miał nijak się do bogatego smaku jej ulubionej *café au lait*... Westchnęła. Zatem, skoro wcale nie chciała tam jechać, dlaczego tak ją dotknęło to, że nie została zaproszona?

Skierowała Athenę na wprost, przez kępę sosen i białych brzóz, licząc, że ta ścieżka wiedzie tam, gdzie jej się wydawało. Pochyliła się w przód i poklepała klacz po szyi, ciesząc się z prędkości i siły tego zwierzęcia oraz z przyzwolenia pani Acklen, by mogła jeździć konno, gdy tylko będzie chciała. Nigdy wcześniej Claire nie mogła sobie pozwolić na tak wspaniałego wierzchowca.

Ta ostatnia myśl uczepiła się jej i trwała. I w tej chwili Claire zrozumiała powód swojej frustracji, który leżał w czymś dużo głębszym niż rozczarowanie brakiem zaproszenia na kawę. Ona nie pasowała do pełnego bogactwa i zaszczytów świata pani Adelicii. Nie miała prawa w nim być. Świat poczęstunków, wymyślnych jedwabnych sukni i wieczorów w operze był dla niej tak obcy, jak dla Atheny wyścigi rasowych koni na torze Nashville Burns Island.

Piękna czarna klacz zarzuciła głową, jakby chciała zaprotestować. Claire przesunęła dłonią po jej grzywie.

– To wcale nie sprawia, że jesteś mniej doskonałym koniem, ślicznotko – wyszeptała. – To po prostu sprawia... – Pomyślała o Suttonie i Carze Netcie. – ...że jesteś inna niż oni.

Spotkanie z Antoine’em DePaulem nie tylko przeraziło Claire. Zmusiło ją również do tego, żeby ponownie spojrzała na siebie: taką, jaką naprawdę była – Claire Elise Laurent, córka Gustave’a i Abelli Laurent. Jej ojciec był pośrednikiem dzieł sztuki, zarabiającym na sprzedaży fałszywych obrazów w podrzędnej galerii. A jej *maman* – utalentowaną, ale błądzącą artystką, która te obrazy malowała.

Claire poczuła w gardle napływ powstrzymywanego płaczu. Oprócz tego, że zobaczyła, kim jest, spotkanie z Antoine’em ukazało jej, kim chciała być. Sobą – tylko bardziej prawdziwą, bardziej uczciwą, bez tej przeszłości depczącej jej po piętach, bez poczucia, że w każdej chwili jej dawne „ja” może zostać odkryte i zniszczyć to nowe. Ale jak miała zostać taką osobą, jaką chciała być, bez poświęcenia tego wszystkiego, co teraz było jej tak miłe?

Ścieżka przed Claire otworzyła się na widok, którego oczekiwała. Kobieta zsiadła z siodła i stanęła blisko Atheny, trzymając ją za uzdę i patrząc ponad doliną. Czuła się taka mała i nieistotna, a jednak, jakoś dziwnie, wcale nie samotna jak niegdyś.

Poniżej rozciągało się Belmont. Rezydencja i otaczające ją tereny ukazywały zupełnie inny rodzaj splendoru, gdy patrzyło się na nie z tej wysokości. Jesień była już prawie w pełni i Claire żałowała, że nie dostała jeszcze tych płócien i farb, które zamówiła. Choć i tak nie miałaby teraz czasu na malowanie. Cóż za ironia losu! Była w idealnym miejscu, by tworzyć. Dosłownie otaczało ją piękno i pojawiła się szansa, że jej praca zostanie tu dostrzeżona przez wpływowych ludzi, a tymczasem nie miała materiałów. A i tak, gdy w końcu dotrą, nie będzie mogła znaleźć czasu, żeby malować. Czekało ją zaplanowanie „towarzyskiego wydarzenia tego sezonu”!

Wydała z siebie ni to śmiech, ni to westchnienie. Nadal wierzyła, że to Bóg doprowadził ją do Belmont, i była Mu za to wdzięczna. Dlaczego jednak przyprowadził ją do miejsca z takimi możliwościami, a teraz sprawił, że jest tak zajęta, iż nie może oddać się malarstwu? Chciała stworzyć coś, co nie poszłoby w zapomnienie. Co poruszyłoby serca ludzi tak, iż odczytaliby te żarliwe uczucia, jakie wlała w swoje dzieło, i dostrzegli jej talent.

Podrapała Athenę po szyi. Nie dość, że nie widziała zbyt wielu dowodów na Boże plany co do swojej kariery malarskiej, wydawało jej się również, że czas, jaki Bóg wybrał, był bardzo...

Rozległ się głośny tętent kopyt i Claire odwróciła się w stronę ścieżki, wzdłuż której rosły drzewa. Dostrzegła konia i jeźdźca na nim wspinających się na zbocze. Rozpoznawszy ich obu, uśmiechnęła się.

Sutton ściągnął wodze tuż obok niej i z zadyszką rzekł:

– Jesteś trudna do złapania sama.

Podniosła wzrok, osłaniając oczy od słońca.

– Ścigałeś mnie?

– Próbowałem. – Przechylił się w przód i oparł ramię na rożku siodła. – Wyruszyłyście z Atheną tak szybko.

– Nieprawda. Czekałam, aż pani Acklen i panie LeVert wyjadą na kawę. – Słysząc w swoim głosie defensywny ton, uśmiechnęła się i zerknęła na klacz. – Ta mała ślicznotka musiała wyładować swoje frustracje.

Sutton zsiadł z konia. Jego włosy były tak uroczo rozwiane przez wiatr.

– A co z tą tutaj małą ślicznotką... – Wyciągnął dłoń i pociągnął lekko za kosmyk włosów Claire. – Czy ona też wyładowywała swoją frustrację?

Dziewczyna poczuła, jak ścisnęło się jej serce. *To jest przyjaciel. To tylko przyjaciel* – powtarzała w głowie. Wspominając to uspokajające spojrzenie, jakie posłał jej podczas śniadania, pokręciła głową i odrzekła:

– Mam nadzieję, że moje uczucia nie były zbyt widoczne.

– Tylko dla mnie. Ja wiem, jakich oznak szukać.

Zmrużyła oczy, udając, że ją obraził.

– A cóż to ma znaczyć?

– Nie zamierzam wyjawiać ci moich sekretów. Wystarczy, że powiem, iż całkiem dobrze zamaskowałaś swój brak entuzjazmu.

– Wobec wszystkich poza tobą.

Mrugnął do niej.

– Poza mną.

Przywiązał wodze Truxtona do drzewa i Claire zrobiła to samo z wodzami Atheny.

Sutton postąpił kilka kroków naprzód.

– Ładnie tu, prawda? Najpiękniejsze widoki w całym Nashville.

Może to ta łagodność w jego głosie... albo to, że patrzył na okolice, tak jak ona wcześniej, w każdym razie Claire wcale nie miała wrażenia, żeby specjalnie próbował zmienić temat.

– Tak, to prawda. Chętnie bym to kiedyś namalowała.

– A właśnie, przypomniałaś mi... – rzekł. – Dostarczono twoje płótna i farby. Przyjechałem, żeby ci to powiedzieć. Kazałem Eliemu i Zeke’owi złożyć wszystko w twoim pokoju. Pomyślałem jednak, że pewnie chciałabyś o tym wiedzieć.

– Dziękuję, Suttonie. Miałam nadzieję, że wkrótce dotrą. – Nie mogła się już doczekać, żeby rozpakować przesyłkę. Jakże miło z jego strony, że przyjechał, aby ją o tym poinformować. Stał ze wzrokiem utkwionym w jakimś punkcie w oddali i zaczęła się zastanawiać...

– Na co patrzysz?

Cofnął się trochę w jej stronę i wskazując palcem, rzekł:

– Widzisz to wzgórze tam po lewej? Obok tego przelatującego właśnie ptaka?

Przysunęła się bliżej i spojrzała w kierunku, jaki wskazywała jego ręka.

– Tak, widzę.

– To Wawrzynowy Zakątek, moje rodzinne ziemie. Nasz dom stał dokładnie tam, za tym wzgórzem. Mój dziadek wybudował go w tysiąc osiemset siedemnastym, kiedy mój tata był małym chłopcem.

„Nasz dom stał” – rzekł. W czasie przeszłym. Spojrzała na niego ukradkiem i przypomniało jej się to, co mówił zeszłego wieczoru. Znów słyszała w jego głosie taki sam subtelny uraz jak wtedy.

– Moi dziadkowie wychowali w tym domu siedmioro dzieci.

Ze współczuciem odwzajemniła jego smutny uśmiech.

– A ile dzieci wychowali twoi rodzice?

Zwrócił się do niej przodem. Ich twarze znalazły się blisko siebie.

– Jedno. Chcieli więcej, ale... nigdy do tego nie doszło. – Opuścił rękę, obserwując ją tak uważnie, że aż przeszył ją dreszcz.

– Ja nie wiem, czy moi rodzice chcieli mieć więcej dzieci, czy nie – wyszeptała, uświadamiając sobie nagle, jakie to dziwne, że nie miała o tym pojęcia. Jednakże teraz, gdy była tak blisko niego, gdy widziała te drobne złote błyski w jego oczach, wcale nie była zainteresowana zgłębianiem tego tematu. – Ale jestem tylko ja.

Uśmiechnął się.

– Mogę się założyć, że to w zupełności im obojgu wystarczyło. Zwłaszcza twojemu ojcu, kiedy musiał zbywać zainteresowanych młodych mężczyzn.

Nawet nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo raniące były dla niej te słowa. A tym bardziej nie mówił ich z takim zamiarem.

Claire się odwróciła.

– Claire... – Próbował ponownie zwrócić jej uwagę, ale ona mu nie odpowiedziała. – Claire – wyszeptał tym razem, zmniejszając dzielący ich dystans.

Poczuła dotyk dłoni na twarzy i wiedziała, że jest zgubiona.

– Przepraszam. Nie powinienem był mówić z taką beztroską o twoim ojcu. Jestem...

– Nie, Suttonie. To... nie o to chodzi. – Usiłowała się uśmiechnąć i otrząsnąć z tego, ale pojedyncza łza zakręciła się w kąciku jej oka i spłynęła po policzku. – To nic takiego.

Otarł ją kciukiem i rzekł:

– To nie wygląda na „nic takiego”.

Pokręciła głową, bo nie chciała wyjawiać mu nic więcej.

Przysunął się bliżej. Rysy jego twarzy były napięte, jakby siłował się z czymś i przegrywał.

– Muszę ci coś powiedzieć – wyszeptał gardłowo. – O... mnie i Carze Netcie.

Cara Netta. To imię sprawiło, że nieco się cofnęła.

Napięte linie wokół jego oczu stały się jeszcze wyraźniejsze.

– Razem z Carą Nettą... rozmawialiśmy i... – W jego spojrzeniu odbiła się pewność. – Chciałbym, żebyś wiedziała, że to porozumienie między nami uległo zmianie.

– Zmianie? – zapytała szeptem Claire.

Patrzył na nią długo i pewnie.

– Byliśmy przyjaciółmi od wielu lat. I gdzieś w trakcie tej znajomości pomyliliśmy przyjaźń z... czymś więcej.

„Coś więcej” – to było dobre określenia na to, co czuła wobec niego. Coś więcej niż przyjaźń. Dużo więcej... Czegokolwiek jednak dotyczyła ta rozmowa z Carą Nettą, widać było, że sprawiło mu to ból. Claire widziała

to po żalu, który spowijał jego oblicze. I niewątpliwie ta rozmowa była bolesna również dla panny LeVert. Co też wyjaśniało jej powściągliwość rano podczas śniadania.

– Czy ona zgadza się z twoją opinią? O... waszej przyjaźni?

Nie odpowiedział od razu.

– Może teraz nie do końca. Lecz jestem pewien, że z czasem się zgodzi.

Nie znała dobrze Cary Netty, ale widząc, jak bardzo zabiegała o Suttona, Claire miała pewne wątpliwości, czy nastąpi to w najbliższym czasie. Jednak nie mogła zaprzeczyć, że poczuła ulgę na tę wiadomość, a nawet przypływ nadziei.

– Przepraszam cię jeszcze raz, Claire, jeśli to, że nie powiedziałem ci o niej wcześniej, mogło cię zranić. – Ujął w dłonie jej twarz, gładząc ją kciukiem po policzku, i nagle w jakiś niesamowity sposób pojedyncza, promieniująca w niej iskierka zamieniła się w płomień. – Przysięgam, że nigdy nie zamierzałem. Twoja... przyjaźń jest dla mnie bardzo ważna.

– Tak jak i twoja, Suttonie, jest dla mnie najważniejsza w życiu.

Jego kciuk znieruchomiał na jej twarzy. Claire odczytała w jego oczach zaskoczenie i przez krótką chwilę żałowała, że nie może cofnąć tych słów. Zaraz potem on się uśmiechnął, ale tylko trochę i bardziej widać to było po oczach niż po ustach. Zaś te usta...

I znów sprawiał takie wrażenie – że z czymś walczy, a błękit jego oczu nabrał głębszego wyrazu. Jego kciuk zsunął się z jej policzka na usta i przeciągnął lekko po dolnej wardze. Zamknęła oczy, sądząc, że może, gdy nie będzie go widzieć, nie będzie aż tak poruszona. Ale kiedy go nie widziała, mocniej odczuwała ten dotyk.

Jego ręce, tak silne, tak ciepłe... Jedną dłoń przesunął na jej kark i Claire odchyliła głowę, pewna, że zbocze osunęło się pod ich stopami. A potem jego wargi na jej policzku. Ach, jak to możliwe, że wciąż jeszcze

stała? Jego oddech był ciepły i lekko miętowy. Jego dłoń gładząca jej ramię tylko potęgowała uczucie miękkich kolan.

– Otwórz oczy – wyszeptał.

Ale nie chciała. Nie chciała, by to się kończyło.

– Claire... – Westchnął i jakimś cudem dało się słyszeć w tym dźwięku śmiech.

Niechętnie spełniła jego prośbę i to, co zobaczyła w jego oczach, odebrało jej oddech. Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że trzymał ją w ramionach, a ona obejmowała go za szyję. I że zamierzał ją...

Jego usta musnęły jej wargi. Najpierw leciutko, jakby się bał, że jej zaszkodzi, a potem pewniej i gorliwiej. Smakował miętą i słońcem i gdzieś głęboko w niej, w odciętym kordonem, zapomnianym środku, zaczęła powoli otwierać się nowa przestrzeń.

Może w ogóle otworzyła się po raz pierwszy. Tak... chyba tak było, bo jeszcze nikt nigdy nie dotknął w niej tego miejsca.

~

Sutton całował coraz intensywniej, a jej ochocza odpowiedź działała na niego elektryzująco. Wiedział, że musi, więc zaraz odsunął się, ale natychmiast zaczął tego żałować. Sam nie był pewien, komu z nich bardziej zaparło dech.

Widząc jej wciąż zamknięte oczy oraz rozchylone kształtne usta nie miał już żadnych wątpliwości, czy ona czuje do niego coś więcej niż tylko przyjaźń. Ucałował ją w policzek, a ona powoli uniosła powieki. Ścisnęło go w piersi na widok tej niewinności i pragnienia, jakie dostrzegł w jej spojrzeniu.

Pod wpływem chwili przyciągnął ją z powrotem do siebie i trzymał, przesuwając dłonią po jej karku, a potem wzdłuż kręgosłupa. Podziwiał, jak

bardzo do siebie pasowali. Ona złożyła głowę na jego piersi i otoczyła go ramionami w pasie. Gdyby miał wybierać pomiędzy całowaniem a trzymaniem jej w objęciach, z pewnością wybrałby całowanie, ale przytulanie jej również nie było złe.

– My z ojcem... – rzekła cicho, tuląc policzek do jego piersi. – Nie byliśmy sobie bliscy.

„Nie byliśmy sobie bliscy”. Tylko cztery słowa. A jednak tłumaczyły tak wiele i pomagały zrozumieć jej wcześniejszą reakcję.

– Tak mi przykro – wyszeptał.

– Jednakże z mamą miałam dobrą relację.

Poczuł, jak szybko wzięła wdech, i jeszcze mocniej otulił ją ramionami, pragnąc zabrać z jej głosu to cierpienie.

– Jak dawno temu odeszła?

– Już prawie osiem miesięcy. – Westchnęła. – Gruźlica.

– Bardzo mi przykro.

Powoli uniosła wzrok na jego twarz.

– Przedtem powiedziałeś, że twój dom stał. To znaczy, że już go tam nie ma?

Spojrzał w stronę Wawrzynowego Zakątka.

– Nie ma. Armia Unii spaliła go, tak jak i wszystko inne, doszczętnie... Tego samego dnia, gdy zamordowali mojego ojca.

Na jej obliczu odbiły się liczne pytania, a jednak nie mówiła nic, tylko czekała, cierpliwie się w niego wpatrując.

– Oficerzy federalni podjechali pod dom i kolejny raz żądali, żeby podpisał przysięgę wierności Unii. Żebyśmy obaj ją podpisali.

– Ale obaj odmówiliście?

Pokiwał głową.

– Mój ojciec służył w szpitalu i zajmował się rannymi. Jego rodzina, pacjenci i przyjaciele walczyli po stronie Konfederacji, ale on nie zgodził się stanąć z bronią w ręce przeciw swoim rodakom.

Sutton zapatrzył się ponad doliną w stronę domu, albo raczej tego, co niegdyś było jego domem. Opowiedział jej, jak znalazł zakrwawione ciało ojca i matkę, która osunęła mu się w ramiona.

– To ja byłem powodem, dla którego ojciec odmówił podpisania przysięgi. Powiedziałem mu, że gdyby zgodził się ją podpisać, zachowałby się jak... – Słowa utknęły mu w gardle. – Zachowałby się jak zdrajca wobec mnie i naszego nazwiska.

Na twarzy Claire odmalowało się cierpienie, jakby dzieliła z nim ciężar jego żalu.

– Nie ma dnia, żebym nie żałował, że mnie tam nie było, że nie mogłem interweniować, że nie powiedziałem mu, iż cokolwiek zrobi, nigdy nie będzie w moich oczach zdrajcą. – Sutton pochylił głowę. Gdyby tylko mógł cofnąć czas i przeżyć wszystko od nowa... To nie było w porządku, by ojciec płacił cenę za dumę syna. Wziął wdech i podniósł wzrok. – Teraz rząd zgłosił roszczenia do mojej ziemi i próbuje okrzyknąć ojca zdrajcą ojczyzny.

Claire cofnęła się, a w jej oczach płonął ogień.

– Ależ nie mogą tego zrobić! Wojna się skończyła. Nie mają prawa zabierać czegoś, co do nich nie należy.

Poczuł na ustach cień uśmiechu, gdy spróbował ją sobie wyobrazić przed sądem. Boże, miej w opiece sędziego, który zdenerwowałby tę kobietę.

– Skierowałem odwołanie do komisji rewizyjnej Armii Unii, ale to długa droga. A im dłużej to się ciągnie, tym mniej mam nadziei. Zatem... przygotowuję się do myśli, że wszystko stracę.

Sięgnęła po jego dłonie i uniósłszy je do ust, ucałowała. Jej delikatność, to, jak trzymała go za ręce, sprawiły, że ścisnęło go w gardle.

– M*aman* zawsze mówiła, że nic nie dzieje się bez powodu. – Powoli jej twarz rozświetlił uśmiech – słodki i promieniujący z jej oczu siłą, która daleka była od drżenia głosu. – Nie zawsze w to wierzyłam w przeszłości. Ale teraz tak... wierzę, że Bóg ma dla mnie plan. Nie wiem jaki... – Roześmiała się, ściskając jego dłonie. – Jednak wolę wierzyć, że ma. I będę w to też wierzyć dla ciebie.

Zmusił się, by przełknąć.

– Dziękuję, Claire. – Wiedział, że ona nie ma nawet pojęcia, ile to dla niego znaczyło, albo raczej, ile ona dla niego znaczyła. – Lepiej byłoby, żebym ja też w to wierzył. Dla nas obojga.

Zerknął ponad jej ramieniem i zobaczył, że Truxton i Athena stoją obok siebie, przeżuwając trawę. Wtedy przyszedł mu do głowy pomysł. Choć nie widział siniaka na biodrze Claire po jej upadku, wiedział od doktora Denarda, że był dosyć poważny. I chociaż nie chciał na nią naciskać, póki nie była jeszcze gotowa, bardzo pragnął już zacząć ich lekcje skoków. Popatrzył z powrotem na nią.

– Jak tam twoje biodro?

Zmieszała się.

– Zastanawiałem się po prostu, czy wyzdrowiałaś już na tyle, żeby zacząć te...

– Tak! – Rozpromieniła się i pisnęła lekko. – Jestem już zupełnie zdrowa. Kiedy możemy zaczynać?

34

Następnego dnia rano, stojąc pomiędzy Suttonem a panią Acklen pod portykiem głównego wejścia, Claire uniosła rękę w pożegnalnym geście, gdy kareta wioząca panie LeVert ruszyła z miejsca. Zasiadające przy oknach Diddie i Cara Netta wyciągnęły dłonie w rękawiczkach i machały. Cara Netta ledwie na nią spojrzała, kiedy się przed chwilą żegnały. Diddie również wydawała się nieco mniej serdeczna. Ale w tych okolicznościach to było dla Claire zrozumiałe. Podejrzewała, że Cara Netta powiedziała siostrze o tym, jak zmieniła się jej relacja z Suttonem. Jednakże po niezmienionym zachowaniu madame LeVert Claire wnioskowała, że córka jeszcze nic jej nie wyjawiła.

Widziała rano, jak Cara Netta i Sutton spacerowali po ogrodach, jednak już nie pod rękę. Sądząc po błysku w oczach panny LeVert podczas pożegnania z Suttonem, można byłoby pomyśleć, że to żal z powodu rozstania, lecz Claire znała prawdziwą przyczynę i współczuła tej kobiecie. Choć doznawała również ulgi w związku z jej wyjazdem.

Z radością powitała powrót dobrze znanej rutyny. Miała teraz przyjęcie do zaplanowania i w końcu musiała też znaleźć czas na malowanie. Chociaż czuła się nieco winna, gdy myślała o Carze Netcie, cieszyła się również z perspektywy spędzania znów czasu z Suttonem. Zwłaszcza po wczorajszym spotkaniu na wzgórzu.

Zerknęła na niego i widziała, że stoi ze spojrzeniem utkwionym w karetę, która okrążyła ostatni ogród u stóp wzgórza i zniknęła z widoku. Wiele by dała, aby się dowiedzieć, o czym myślał.

Jakby wyczuwając, że ona patrzy na niego, rozciągnął powoli usta w uśmiechu, ale nie spieszył się zbytnio, zanim przeniósł na nią wzrok. Jego uśmiech stał się teraz jeszcze bardziej serdeczny i Claire mogłaby przysiąc, że Sutton wyciągnął dłoń i jej dotknął. Choć wcale tego nie zrobił. Potrafił to wszystko uczynić samym spojrzeniem...

Nie mogła mu dać satysfakcji, żeby miał ostatnie słowo, więc uniosła brew, jakby chciała mu pokazać, że to nie robi na niej wrażenia. Na co on natychmiast odpowiedział, spuszczając powoli oczy na jej usta i wpatrując się w nie. Następnie podniósł wzrok i od razu było widać, o czym myślał. Claire musiała się oprzeć o najbliższy kamienny wazon.

Pani Acklen westchnęła. Była dzisiaj w nieco bardziej pochmurnym nastroju.

– „Przyjaciele to jedna dusza w dwóch ciałach” – zacytowała Adelicia i odwróciła się z powrotem w stronę domu. Claire zrobiła to samo, zastanawiając się, czy te emocje jej pracodawczyni wiązały się z wyjazdem pań LeVert, czy z czymś innym.

Sutton podał im obu ramię, kiedy wchodzili w górę schodów.

– Jestem przekonany, pani Acklen, że Arystoteles myślał dokładnie o pani i madame LeVert, gdy spisywał tę sentencję.

Pani Acklen uśmiechnęła się.

– Dziękuję, panie Monroe, ale nie jestem aż tak stara. Jeszcze.

Roześmiał się.

– Wie pani, że nie to miałem na myśli.

– Oczywiście, że wiem, sir, gdyż, jak wszyscy wiemy, pan nie ukrywa tego, co ma na myśli. Pan mówi to szczerze wprost, by wszyscy mogli to usłyszeć. – Pani Acklen rzuciła okiem na Claire i zdawało się, że trochę się rozchmurzyła. – Panna Laurent też już coraz lepiej sobie radzi w tej dziedzinie. Zapewne udziela jej pan prywatnych lekcji.

Claire poczuła, że Sutton ją szturchnął, i zrobiło jej się ciepło na twarzy.

– Tak, szanowna pani – odparł bez zająknięcia. – Pracuję z panną Laurent na osobności już od pewnego czasu. Jak sama pani wie, nie jest to łatwy przypadek, ale ostatecznie to doświadczenie... daje mi wiele satysfakcji.

Opierając się na jego ramieniu, Claire uszczypnęła go przez rękaw. Uśmiechnął się i wyciągnął rękę, by otworzyć drzwi.

– Panie Monroe, czy zamierza pan udać się dziś do swojego biura?

– Tak, pani Acklen, zamierzam. Muszę wziąć kilka dokumentów, a także wstąpić do urzędu pocztowo-telegraficznego.

– U mnie na biurku jest list do pani Holbrook w związku z inicjatywą, w którą obie jesteśmy zaangażowane. Czy mógłby go pan wziąć i przekazać jej mężowi?

Sutton zamknął za nimi drzwi.

– Z przyjemnością, szanowna pani.

Kiedy już byli w środku, pani Acklen przystanęła w holu i utkwiła wzrok w portrecie swojego nieżyjącego męża. Nic nie mówiła. Po prostu stała tak i patrzyła się, jakby w pomieszczeniu nie było nikogo poza nią.

Claire posłała Suttonowi spojrzenie, ale on także wpatrywał się w obraz. Wydawał się zupełnie niezakłopotany nagłą powściągliwością pani Adelicii, a nawet niezaskoczony.

– Panno Laurent? – zapytała cicho pani Acklen, ani na chwilę nie odwracając wzroku.

Dziewczyna zrobiła niewielki krok w przód.

– Słucham panią?

– Dzisiaj będziemy pracować w moich prywatnych pokojach. Musimy przejrzeć pudła listów i kartek. Chciałabym, by pomogła mi pani w stworzeniu czegoś wyjątkowego dla Octavii. Sprezentujemy jej to

podczas przyjęcia. Album z wycinkami... wspomnienia lepszych dni, które może już nie wrócą.

Claire dygnęła, skłaniając głowę.

– Dobrze, proszę pani. Oczywiście – powiedziała. Spojrzała na Suttona, który skinął w jej stronę bez słowa. – A może najpierw zejdę do kuchni i postaram się o filiżankę herbaty Cordiny? Zaraz bym ją pani przyniosła.

Pani Acklen odwróciła się, a jej wzrok błyszczał od powstrzymywanych łez.

– Byłoby wspaniale, panno Laurent. Dziękuję. Ale proszę odczekać godzinę albo dwie. Przyda mi się chwila odpoczynku. – Sięgnęła do drzwi i obejrzała się za siebie. – I proszę pamiętać, gdy będzie pani do mnie szła, żeby wziąć filiżankę także dla siebie.

~

– Cieszę się, że pan dzisiaj przyjechał, panie Monroe.

Sutton obrócił się na głos Bartholomew Holbrooka.

– Wstąpiłem tylko na chwilę, żeby wziąć parę dokumentów i sprawdzić pocztę, sir. Zostawiłem u recepcjonistki list od pani Acklen do pańskiej żony. Mówiła jednak, że nie ma pana dzisiaj po południu.

Holbrook przywołał gestem młodszego prawnika, aby wszedł do jego gabinetu, a potem pokazał, by zamknął drzwi. Sutton wykonał polecenie i usiadł na jednym z dwóch skórzanych foteli ustawionych przed biurkiem starszego wspólnika.

– Staram się najlepiej, jak mogę, by nie być na widoku i móc coś zrobić – stwierdził Holbrook i podał mu teczkę. – Jeden ze śledczych zatrudniony przez naszego klienta przyniósł to dzisiaj.

Sutton przejrzał folder, który zawierał kolejną listę miast i dat z wyszczególnionymi tytułami dzieł sztuki. Niektóre z nich, choć nie

wszystkie, miały też podane obok kwoty w dolarach.

– Nie chciałbym wyjść na pesymistę, sir, ale mamy już takie listy. Musimy zidentyfikować ludzi, którzy są w to zamieszani.

– Zgadza się, panie Monroe, lecz za każdym razem, kiedy pojawia się nowe miasto i nowe dzieło sztuki, to daje śledczym kolejną możliwość, by odkryć jakiś nowy trop. Dzięki temu też wzrastają szanse na odnalezienie tego... niewidzialnego agenta, który koordynuje sprzedaż wszystkich tych fałszywych obrazów i który zna podrabiających je malarzy. Przyznaję, to wszystko drobne kroczki. Ale właśnie w takich szczegółach można znaleźć potknięcie. Jakieś nazwisko zapisane w rejestrze gości, jakieś słowo rzucone dozorcy, który ma dobrą pamięć. – Holbrook postukał palcem w skroń. – Coś w końcu się pojawi. I to wkrótce. Ja to czuję!

Sutton chciałby podzielać jego entuzjazm. Jednak, jak dla niego, cała ta sprawa posuwała się zbyt wolno. Potrzebowali nazwisk. Głównie tego jednego człowieka, który pociągał za sznurki na szczycie. Reszta pójdzie z łatwością. Gdyby tylko mogli się dowiedzieć, kto nim był...

Po spotkaniu Sutton wziął dokumenty, których potrzebował, i sprawdził leżącą na biurku korespondencję. Nic od znajomego w Nowym Orleanie. Co mogło mu tak długo zająć? Ale był list od matki. Już samo jej pismo, tak chwiejne, wiele mu mówiło.

Sprawdził godzinę i otworzył kopertę.

Uśmiechnął się, czytając jej opis życia z Loreną, starszą siostrą... jak skarżyła się na jego ciotkę, że ograniczyła jej liczbę ciastek po obiedzie do dwóch, choć matka sama je upiekła. Pisała, że wiatr wieje głośniej tam w Karolinie Północnej niż w Nashville i ma dziwny zapach. I o tym, że kobiety w Kościele kompletnie nie znają się na kapeluszach oraz że strusie pióra nigdy nie wyjdą z mody, niezależnie od tego, co mówi żona pastora.

Och, mamo... – pomyślał, kręcąc głową. Wiedział, że trzeba to, co pisze, brać przez pół albo i lepiej. Matka zawsze miała tendencje do przesady i ekscentryczności, ale po śmierci ojca to jeszcze się wzmogło. Czytał dalej... I nagle zerwał się na równe nogi.

– Nie – wyszeptał, a potem przeczytał ostatnie zdanie na głos: – „A więc powiedziałam Lorenie, że jeśli ponownie spojrzy na mnie tak bezczelnie, od razu przeprowadzę się z powrotem do Nashville. Jeżeli nie skończyłeś jeszcze budowy nowego domu, to poproszę o dach nad głową panią Acklen. Jak sam wiesz, byłyśmy bliskimi przyjaciółkami i jestem pewna, że chętnie przyjmie mnie pod swoje skrzydła i obdarzy siostrzanymi uczuciami oraz życzliwością. Całuję Cię ciepło, najdroższy Willisterze, Mama”.

Jęknąwszy, opadł z powrotem na krzesło.

Jego matka – jakkolwiek by jej nie kochał – przy okazji ostatniej wizyty nieomalże doprowadziła panią Acklen do tego, że zaczęła pić. A pani Acklen zazwyczaj całkowicie powstrzymywała się od alkoholu. Nigdy nie były sobie bliskie. Ledwie się znały. To jego ojciec znał Acklenów i często o nich opowiadał podczas kolacji, stąd też zapewne jego matka uroiła sobie, że ona i Adelicia się przyjaźnią. Ale to było również wytworem niewinnej, acz znerwicowanej wyobraźni jego matki.

Sutton zauważył, że list datowano ponad tydzień temu. Chwycił pióro i kartkę i zredagował miłą, choć szybką odpowiedź.

Godzinę później, licząc na to, że matka nie wyruszyła jeszcze w podróż do Nashville, Sutton stał w kolejce na poczcie. Wręczył urzędniczce list, a ona podała mu inną kopertę.

– Właśnie to do pana przyszło, panie Monroe.

– Dziękuję, panno Prescott. – Sprawdził adres zwrotny... Nowy Orlean. *W końcu!* Nie chciał jednak czytać tego w zatłoczonym urzędzie. Wsunął

kopertę do kieszeni marynarki.

Ruszył ulicą w stronę kancelarii adwokackiej, gdzie zostawił karetę, ale przystanął na chwilę, bo pomyślał o tym, co już od jakiegoś czasu chciał zrobić. Wszystko, co ma albo co kiedyś miał, zależało od decyzji komisji rewizyjnej, a on już był zmęczony czekaniem. Tymi bezsennymi nocami pełnymi rozmyślań i zmartwień.

Zacisnąwszy zęby, odwrócił się i ruszył żwawo w kierunku biura pułkownika Wilmingtona.

Pieczęć z Nowego Orleanu widniejąca na kopercie skrytej w kieszeni marynarki oraz nazwisko wymienione w adresie zwrotnym nie zostawiały wątpliwości co do zawartości listu. Pozostało tylko pytanie... Czy był gotowy dowiedzieć się tego, co jego znajomy odkrył na temat Claire?

Kiedy dotarł do końca ulicy, skręcił w prawo i poszedł dalej. Dobrze uczynili z Adelicią, że poprosili o ten raport, jednak wciąż miał wrażenie, jakby robił to za plecami Claire. Czuł się tak zwłaszcza po ostatnim spotkaniu na szczycie wzgórza.

To, że był pod jej wrażeniem, to mało powiedziane. Rano, kiedy panie LeVert wyjeżdżały i uniosła wyniośle tę swoją drobną brew...

Uśmiechnął się sam do siebie, pewien, że ona nawet nie wiedziała, jaki miała na niego wpływ. Ale to dobrze. Zwłaszcza iż jego podstawowe zobowiązania w tej sytuacji – jako że oboje byli pracownikami pani Acklen – kierowały się ku Adelicii i ochronie jej interesów.

Pomyślał ponownie o tym, co mógł zawierać ten list. Czy Claire była tego świadoma, czy nie, ze wszystkich osób zatrudnionych w Belmont to ona znajdowała się na pozycji, z której można było najbardziej zaszkodzić Adelicii. Jako *liaison,* Claire miała dostęp do informacji – zarówno biznesowych, jak i osobistych – o których nie wiedział nikt inny. Oprócz niego. A poza tym wiedziała jeszcze to, co wyczytała i odpisywała

w ramach prywatnej i towarzyskiej korespondencji swojej pracodawczyni, a także podczas zarządzania jej osobistym kalendarzem.

Co jednak najważniejsze, zdobyła zaufanie Adelicii. Całkowite. Dzisiaj to do niego jasno dotarło. Tak samo jak to, że pani Acklen kierowała się podwójnymi względami, decydując się na zorganizowanie tego przyjęcia.

Nie wątpił, że miała szczere intencje, by uczcić osobę madame LeVert, ale podejrzewał również, jakim tropem podążał umysł jego pracodawczyni. Octavia LeVert była pięknością powszechnie kochaną na całym Południu, a reputacja Adelicii nieco ucierpiała w ciągu kilku minionych lat. Najpierw ze względu na fiasko z bawełną, następnie po tym, jak rozeszły się wieści o jej podróżach po Europie. A remont rezydencji w trakcie wyjazdu bynajmniej w tym nie pomógł.

Zwolnił kroku, kiedy znalazł się bliżej kolejnego skrzyżowania. Poczekał, aż przejedzie kareta, a potem szedł dalej w lewo. Najbardziej martwiło go, że podczas gdy Adelicia starała się poprawić własną reputację – używając do tego celu zdolności Claire – Claire z kolei chciała skorzystać ze wspaniałej pozycji społecznej pani Acklen, by osiągnąć swoje cele. Każda z nich, w rzeczywistości, wykorzystywała tę drugą. I był jeszcze on – dokładnie pośrodku między nimi.

Podniósł wzrok. Przed nim wyłonił się rządowy budynek i widok ten wydał mu się teraz jeszcze bardziej złowieszczy niż ostatnim razem, gdy tu był... jedynym, kiedy tu był. Sutton poczuł ucisk w żołądku.

W środku panował ruch pracowników i klientów, a w powietrzu dało się wyczuć zaduch i stęchliznę. Sutton dotarł do schodów i wspiął się na pierwsze piętro. Podszedł do sekretarki pułkownika Wilmingtona, przekonany, że nie będzie go pamiętała...

– Pan Monroe. – Uśmiechnęła się. – Wrócił pan.

Sutton odchrząknął zaskoczony.

– Tak, proszę pani, wróciłem. I chciałbym się zobaczyć z pułkownikiem Wilmingtonem, jeśli jest u siebie.

– Jest w gabinecie, panie Monroe, ale... – Zerknęła za niego na zamknięte drzwi, na których widniała tabliczka z nazwiskiem pułkownika. – Ale ktoś tam teraz u niego jest. Czy mógłby pan zaczekać? To nie powinno długo potrwać.

Wszystko w nim wręcz krzyczało, by wyjść, lecz odparł:

– Dobrze, proszę pani. Poczekam.

– Czy mogłabym się dowiedzieć, w jakiej sprawie chce się pan zobaczyć z pułkownikiem?

– Kwestie prawne. Jestem... z kancelarii Holbrook i Wickliffe.

To było prawdą, tylko nie akurat w związku z tą wizytą.

Kiedy sekretarka zaproponowała mu kawę albo herbatę, odmówił i usiadł. W głowie miał gonitwę myśli, choć serce biło mu w piersi ciężko i ospale.

Minęło dziesięć minut, potem dwadzieścia, a on z każdą sekundą był coraz bardziej podenerwowany i musiał czymś zająć myśli, więc wyjął z kieszeni kopertę i ją otworzył. Jeśli było coś, o czym powinien wiedzieć w sprawie Claire, stwierdził, że woli się o tym dowiedzieć prędzej niż później. Dla dobra Adelicii oraz dla własnego interesu.

Raport, ujęty w formie listu, był zaskakująco krótki, jak na tak długi czas przygotowania. Sutton przesunął wzrokiem przez tekst. Rodzice Claire, Gustave i Abella Laurent, pochodzili z Francji. To już wiedział. Jakieś dwa lata temu przeprowadzili się do Nowego Orleanu i prowadzili lokalną... galerię sztuki.

Zmarszczył czoło. *Galeria sztuki...* Tego nie wiedział. O tym Claire nic nie wspominała. Czytał dalej...

Na miejscu galerii był teraz sklep z pamiątkami, a państwo Laurent tylko wynajmowali ten budynek. Wedle raportu galeria była „pomniejszej rangi”. Sutton stwierdził, że dopyta jeszcze znajomego, ale domyślał się, że chodziło o to, iż zajmowali się sprzedażą dzieł mniej znanych artystów, przez co Gustave Laurent nie miał możliwości handlować z większymi galeriami. Tego właśnie Sutton ostatnio się nauczył, przygotowując się do sprawy.

Jednakże związek Claire z galerią wyjaśniał, gdzie nauczyła się malować. Przynajmniej poniekąd. Matka dziewczyny zmarła na gruźlicę osiem miesięcy temu. To już wiedział od Claire. I... Sutton uśmiechnął się sam do siebie. Abella Laurent była artystką. *To oczywiste* – pomyślał. Stąd ten talent Claire. Gustave Laurent zmarł... „w następstwie ran zadanych nożem podczas rabunku”. Zapewne rabunku galerii. Sutton jęknął przy kolejnych słowach.

Claire z pewnością nie wspominała o tych faktach. Nigdy nie pytał jej o to, jak zmarł jej ojciec, więc nie mógł powiedzieć, że ukrywała to celowo. A jednak wydawało się, że to dość ważny szczegół. Z drugiej strony, kiedy ludzie pytali go o jego ojca, czy był tak skory opowiadać dokładnie o tym, jak zmarł? Nietrudno było o odpowiedź.

Sutton wrócił pamięcią do dnia, gdy Claire zjawiła się po raz pierwszy w Belmont. Przyjechała około drugiego tygodnia września, czyli akurat wtedy, kiedy zmarł jej ojciec, zgodnie z raportem. To też zbiegałoby się z tym, co im powiedziała. Podczas rozmowy o pracę otwarcie wspomniała o śmierci ojca i także o tym, że stało się to w nieoczekiwanych okolicznościach.

Zastanawiał się nad tym chwilę, a potem przeczytał ostatni akapit.

Claire przez wiele lat uczyła się w szkołach z internatem. Znajomy udał się nawet do szkoły, gdzie była ostatnio, i rozmawiał z dyrektorką. Kobieta

mówiła, że Claire była „cicha, nieśmiała, wyjątkowo utalentowana malarsko, choć brakowało jej pewności siebie”. Nie do wiary. Dokładnie to samo powiedziała o niej Adelicia zaraz po ich pierwszym spotkaniu. „Brakuje jej tylko wiary w siebie”. To nie pasowało do tej Claire, jaką znał teraz, a jednak...

Podczas ich pierwszego spotkania mógłby ją podobnie opisać. Odwrócił stronę, ale to już był koniec raportu. Zdecydowanie pozostało kilka nierozwiązanych wątków, lecz najbardziej go niepokoiło, dlaczego Claire nie wspominała nic o tym, że jej rodzice mieli galerię sztuki?

Przejrzał znów raport i przyszło mu do głowy jedno z możliwych wyjaśnień. „Galeria pomniejszej rangi”... Być może w świetle elegancji Belmont i ogromu kolekcji sztuki Adelicii Claire wstyd było się przyznać do tak poślednich związków ze sztuką. To mogłoby wyjaśniać jej zachowanie tamtego wieczoru, gdy zapytał o kolację z Worthingtonami, chociaż...

Poczuł wyrzuty sumienia i znów utkwił wzrok w trzymanym w dłoni liście. Jeśli chciał być zupełnie szczery z Claire, będzie musiał jej powiedzieć, że szukał informacji na temat jej przeszłości. Co prawda pozostałym pracownikom tego nie mówił, ale ona to co innego. Claire nie była jak inni pracownicy. Jednak ona na pewno zrozumie. W końcu na tym polegała jego praca. Od samego początku nie ukrywał, że do jego obowiązków w Belmont należy ochrona interesów Adelicii. Chociaż...

To było, zanim stali się sobie tak bliscy i zanim ją całował. Samo wspomnienie tamtego pocałunku sprawiło, że oblało go gorąco.

Opanowawszy myśli, odznaczył w pamięci te fragmenty listu, co do których należało poszukać dalszych odpowiedzi – choćby dla zaspokojenia własnej ciekawości. Stwierdził jednak, że nic z treści tego raportu nie dawało podstaw, by potwierdzić podejrzenia pani Routh. Zatem

prawdopodobieństwo, że Claire Laurent zbiegłaby w środku nocy, niosąc pod pachą *Rut zbierającą pokłosie*, pozostawało wciąż w kategorii żartu.

Sprawdził zegarek kieszonkowy i miał już zamiar wyjść, kiedy otworzyły się drzwi gabinetu. Jakiś mężczyzna wyszedł i ukłonił się sekretarce, gdy ją mijał.

Kobieta, podniósłszy się, pokazała ręką Suttonowi, by dalej czekał. Weszła do gabinetu pułkownika i zaraz potem wróciła, patrząc na niego niewidzącym wzrokiem.

– Pułkownik Wilmington spotka się z panem, panie Monroe.

Sutton wiedział, że może to tylko jego wyobraźnia, ale miał wrażenie, że właśnie przed chwilą dowiedziała się czegoś na jego temat.

Zmuszając się, by stawiać nogę za nogą, przeszedł do gabinetu.

– Pan Monroe. – Pułkownik Wilmington wyszedł kilka kroków naprzód. Skinął krótko głową i wyciągnął rękę. – Jestem pułkownik Wilmington i podejrzewam, co pana tu sprowadza, sir.

Uścisnąwszy dłoń mężczyzny, Sutton przypomniał sobie, czego nauczył się od ojca, gdy był małym chłopcem: „To nie siła uścisku dłoni świadczy o mężczyźnie, synu. Każdy głupiec potrafi być mocny w rękach. To po sposobie, w jaki patrzy ci w oczy lub też nie patrzy, poznasz, kim jest ten człowiek. Na tej podstawie będziesz wiedział, czy jest wobec ciebie szczery, czy nie”.

I właśnie powaga malująca się na twarzy pułkownika, mocny i długi uścisk dłoni, wskazujący na ociąganie i żal, powiedziały Suttonowi wszystko, czego nie chciał wiedzieć.

35

Claire wchodziła po schodach prowadzących od wielkiego salonu na piętro, skupiając się jednocześnie na ciężkim srebrnym serwisie, który ustawiony miała na tacy, oraz na stopniach pokrytych miękkim czerwonym dywanem. A wszystko to pod czujnym wzrokiem królowej Wiktorii.

Gdy była w połowie drogi, tam gdzie schody rozdzielały się na dwie strony, portret angielskiej monarchini wydawał się jeszcze wyraźniej dominować, jakby sama królowa chciała kontrolować, który kierunek wybierze Claire. Ona zaś żałowała, że nie może się teraz zatrzymać i przyjrzeć dokładniej obrazowi. Jeszcze nigdy nie widziała go z tak bliska. Ale serwis herbaciany robił się coraz cięższy, a pani Acklen czekała.

Te rozdzielne schody były same w sobie dziełem sztuki – bogato zdobione mahoniowe balustrady oraz misternie wykonane białe tralki. Bliźniacze wnęki usytuowane po obu stronach w łuku ścian wypełniały marmurowe popiersie mężczyzny oraz wazon świeżych róż z ogrodu.

Wybrała schody po lewej i weszła po nich na galerię na piętrze.

Na górze panowała cisza. Rzędy wąskich prostokątnych okien ciągnące się tuż pod sufitem na całej długości galerii wpuszczały dużo światła. Dalej widać było kolejne schody, ale mniejsze. Podejrzewała, że prowadziły na wieżyczkę. Ach, jakże chciałaby móc tam też wejść. Mogła sobie tylko wyobrażać, jaki musiał być stamtąd widok...

Jednak wyobrażałaby sobie to dużo lepiej, gdyby nie bolały jej tak ramiona!

Ostrożnie postawiła tacę na małym stoliku, cały czas bacząc, by jej nie przechylić. Nic dziwnego, że Cordina tak na nią popatrzyła, gdy zaproponowała, że sama wniesie herbatę na górę. Sam ciężki srebrny imbryk, wypełniony po brzegi wrzątkiem, ważył pewnie pięć kilogramów. Nie wspominając o tacy, filiżankach, spodkach, cukiernicy i mleku oraz talerzu pełnym świeżo upieczonych drożdżowych bułeczek.

Rozglądając się na boki, by się upewnić, iż nikogo nie ma na korytarzu, Claire wsunęła do ust jedno ciastko. Niezbyt wytwornie, ale cóż... wypieki Cordiny były wyborne. Drobniutkie drożdżowe bułeczki posypane cukrem pudrem. Jak południowe *beignets*. Jak ona potrafiła to zrobić, że były jednocześnie tak wilgotne i...

– Mogę pani jakoś pomóc, panno Laurent?

O mało co się nie zadławiwszy, Claire gwałtownie się obróciła.

W drzwiach nieopodal stała pani Routh. Claire mogłaby przysiąc, że ta kobieta ma zdolność przenikania przez ściany. Zażenowana dziewczyna uniosła palec wskazujący, rozpaczliwie przeżuwając to, co miała upchane pod policzkami, i marząc o łyku herbaty. Choć wiedziała, że gdyby teraz nalała ją sobie do filiżanki, to tylko pogorszyłoby jej sytuację.

W końcu zdołała przełknąć całe ciastko i rzekła:

– Pani Routh... – Dysząc, jakby ukończyła właśnie maraton, otarła kąciki ust, świadoma podejrzliwego wzroku ochmistrzyni. – Pani Acklen poprosiła, żebym spotkała się z nią w jej prywatnych kwaterach i... – Claire rozejrzała się wokół siebie. – ...właśnie szukałam jej sypialni.

– Naprawdę? – Pani Routh się zbliżyła. – Bo wyglądało to tak, jakby właśnie zjadała pani drożdżową bułeczkę, panno Laurent.

Claire już miała zamiar przepraszać, ale zaraz się powstrzymała. Nie zrobiła absolutnie nic złego. Dlaczego zawsze musiała się płaszczyć przed tą kobietą?

Choć właściwie wiedziała dlaczego. Gdyż nie miała odwagi, żeby się jej postawić.

I w tej właśnie chwili, tak jakby zapadka w zamku trafiła we właściwe miejsce, coś się w niej zmieniło. Wyprostowała się i uniosła wzrok.

– Pani Acklen poprosiła, żebym spotkała się z nią w jej prywatnych kwaterach, pani Routh. Zaproponowałam, że przyniosę jej herbatę i, owszem, poczęstowałam się właśnie ciastkiem. Co, z pewnością, wcale nie jest grzechem.

Claire zamrugała, sama nie wierząc, że właśnie powiedziała to na głos, nawet się nie zająknąwszy. Była z siebie bardzo dumna, ale starała się tego po sobie nie okazać.

Pani Routh wpatrywała się w nią, ale wyraz jej twarzy nic nie zdradzał.

– Pani nonszalancja, jakkolwiek wcale mnie ona nie dziwi, panno Laurent, jest co najmniej niestosowna – mówiła cicho i spokojnie, a w jej głosie dało się wyczuć sarkazm. – Szczególnie jeśli uwzględni się pani pozycję tu w Belmont.

Na to stwierdzenie chwilowa duma Claire się ulotniła i te słowa, które podejrzewała, że będą ją prześladować przez cały czas pracy dla pani Acklen, powróciły. „Jest pani reprezentantką mojej osoby”...

Miała wrażenie, jakby właśnie podchodziła do egzaminu i go oblała. Pochyliła głowę. Była już zmęczona tymi spięciami z ochmistrzynią Belmont i wiedziała, że jeśli nie zdobędzie się teraz na odwagę, potem już tego nie zrobi.

– Pani Routh, doskonale zdaję sobie sprawę, że od pierwszej chwili, gdy się poznałyśmy, nie darzy mnie pani zbyt dużym poważaniem. Niejednokrotnie i niemal codziennie brutalnie mi to pani przypomina. Ale staram się, najbardziej jak mogę od początku mojego pobytu w Belmont. Ciężko pracuję każdego dnia. Wykonuję każde zadanie, które zleca mi pani

Acklen, i staram się szukać dodatkowych sposobów, aby jej pomóc. Mimo to mam wrażenie, że uparła się pani, by myśleć o mnie wszystko, co najgorsze. – W oczach Claire pojawił się zdradziecki błysk skrywanych uczuć. – I przysięgam na własne życie, że nie mam pojęcia dlaczego.

Pani Routh zamrugała i zamknęła oczy, a potem westchnęła, jakby również była zmęczona tymi wymianami zdań.

– Mam świadomość pracy, jaką pani wykonuje dla pani Acklen. I przeciwnie do tego, co pani sądzi, wcale nie chcę myśleć o pani źle. Ja po prostu pani nie ufam.

Czując się, jakby ziemia osunęła się jej spod nóg, Claire przyglądała się twarzy pani Routh.

– Ale ja... – Wypuściła powietrze z płuc. – Dlaczego? Nie rozu...

W korytarzu za jej plecami skrzypnęły drzwi. Ciche kroki...

– Ach... tu pani jest, panno Laurent – rzekła pani Acklen. – Zaczynałam się już martwić. Och, dobrze, przyniosła pani herbatę. Dzień dobry, pani Routh.

Ochmistrzyni spojrzała za Claire.

– Dzień dobry, pani Acklen. Wygląda pani na bardziej wypoczętą. Czy mogłabym w czymś pani pomóc albo...

Kiedy one rozmawiały, Claire odwróciła się, by podnieść tacę. Słyszała pełne oddanie w zachowaniu i sposobie zwracania się pani Routh wobec pracodawczyni. I to odkrycie rzuciło nowe światło na ich rozmowę sprzed chwili. Ochmistrzyni była jak lwica broniąca swoich młodych. Co, choć miłe, było jednocześnie zabawne. Adelicia Acklen nie była raczej bezbronnym lwiątkiem. Była silną, asertywną kobietą o ogromnym bogactwie i szerokich wpływach.

Przeciw czemu albo komu mogłaby potrzebować ochrony?

Przejście przez próg prywatnych pokoi pani Acklen było niczym wkraczanie do innego świata. Claire odłożyła tacę na stół, który wskazała jej pani Adelicia, ale nie umiała się nie gapić na otoczenie. Czuła, jakby weszła do krainy fantazji z jakichś odległych miejsc i czasów. Sama nie wiedziała, gdzie najpierw patrzeć. Ściany, od samej podłogi po sufit, zajmowały malowidła, na których jedne sceny przechodziły płynnie w kolejne, zdobiąc w ten sposób cały pokój, który dodatkowo upiększało dekoracyjne odcięcie oddzielające górne obrazy od dolnych. Każdy fragment ściany w tym przestronnym pomieszczeniu pokryty był obrazami.

Wspaniałe błękity i czerwienie oraz zielenie mchu podkreślały artystyczną interpretację scen z opowieści, którą Claire znała aż nazbyt dobrze.

– Nie jest pani przyzwyczajona do takiego wystroju – stwierdziła pani Acklen – ale ja go lubię. To z...

– *Les Aventures de Télémaque* [41] – wyszeptała Claire.

– *Oui, mademoiselle! Très bien!* [42] – Na twarzy pani Acklen błysnęło zaskoczenie. – Zastanawiałam się, czy może pani pozna. Zatem czytała pani tę powieść?

– Wielokrotnie. To była ulubiona książka mojej *maman*. Oraz moja. – A także wszystkich we Francji i większej części Europy. Najwyraźniej także Amerykanów.

Pani Acklen nalała herbaty Claire, a następnie sobie.

– Ta sama tapeta wisi w Hermitage, mieszczącym się niedaleko stąd domu byłego prezydenta Andrew Jacksona.

Dziewczyna kiwnęła głową. Miała wrażenie, że przedstawienie świątyni, szczególnie rząd korynckich kolumn z przodu, jakoś dziwnie przypomina Belmont. Odwracała się powoli, przyglądając się kolejnym scenom.

– Wspaniałe – wyszeptała, mówiąc nie tylko o malowidłach, ale o całym pokoju.

Łóżko z błyszczącego palisandru, przypominające wielkie sanie, nadawało sypialni dostojny ton, a dopasowane do niego stoliki, biurko i szafa jeszcze bardziej uwydatniały to piękno, podobnie jak marmurowy kominek i pozłacane lustro wiszące nad nim. Okna obramowywały aksamitne kotary, a wzorzysty olbrzymi dywan – Claire aż zamrugała – przyprawiał niemal o zawroty głowy.

– Możemy zaczynać, panno Laurent? Mamy wiele do zrobienia. – Pani Acklen skinęła głową w stronę pudeł po kapeluszach, ustawionych w kącie pokoju. Łącznie siedem pudeł o różnych rozmiarach, nieco zakurzonych od nieużywania. – Proszę je tutaj przysunąć, jeśliby pani mogła. Bliżej okien.

Wykonując polecenie, dziewczyna zwróciła uwagę, że pudła ważyły więcej, niż sobie wyobrażała. Idąc za przykładem pani Acklen, otworzyła jedno i zobaczyła, że było po brzegi czymś wypełnione, chyba wycinkami z gazet. Podobnie jak to, które odkryła jej pracodawczyni.

Po krótkiej dyskusji postanowiły, że Claire zacznie od posegregowania artykułów wedle tytułów gazet, a pani Acklen przejrzy je później, żeby zdecydować, które z nich wziąć do pamiątkowego albumu dla madame LeVert.

Claire rzucała jedynie okiem na każdy artykuł, jaki segregowała, bo nie chciała, by wyglądało to tak, że próbuje je czytać. Choć oczywiście to właśnie robiła. Nie chciała jednak, aby pani Acklen uznała ją za wścibską. Było to poniekąd zabawne, gdyż w zasadzie czytała po prostu to, co i tak kiedyś opublikowano.

Wiele wycinków pochodziło z lokalnej prasy, takiej jak *Union and American* oraz *Republican Banner*. Ale były też artykuły z *New York*

Herald czy *New Orleans Picayune* oraz periodyków z Atlanty, Mobile, a nawet Paryża, Rzymu czy Londynu.

Pracowały całe popołudnie w ciszy, którą przerywały tylko sporadyczne komentarze.

Pozostałe pudełka zawierały kartki pocztowe i listy, nie tylko od madame LeVert do pani Acklen, ale także od członków rodziny. Setki... może i więcej. Niektóre przewiązane wstążką i sznurkiem, lecz najwyraźniej – podobnie jak wycinki gazet – nie były pogrupowane pod względem daty, nawet pod względem roku. Choć pani Acklen była tak staranna w pozostałych dziedzinach życia, jej korespondencja, aż nazbyt obszerna, była zupełnie nieuporządkowana.

Pośród pudeł z listami i kartkami pocztowymi były też zaproszenia na przyjęcia oraz notki o ślubach i pogrzebach. Claire szybko zaznajomiła się z charakterem pisma poszczególnych członków rodziny i potrafiła całkiem dobrze przypasować autora danego listu wyłącznie na podstawie podpisu na kopercie.

– Wydaje mi się, panno Laurent... – Pani Acklen rozmasowała kark, a potem, zakrywając usta, ziewnęła. – ...że w bibliotece są jeszcze dodatkowe teczki. Jeśli nie, pan Monroe ma ich zapas w galerii. To też mi przypomniało...

Dziewczyna wyczuła, że zaraz pojawi się jakieś nowe zadanie.

– Chciałam z panią porozmawiać o galerii sztuki.

Claire przestała przeglądać trzymane w dłoni listy i skupiła całą uwagę na rozmówczyni.

– Nigdy nie miałam wszystkich dzieł sztuki w Belmont – tych w domu i w galerii – odpowiednio skatalogowanych. Pan Monroe namawia mnie do tego od pewnego czasu, ale... – Pani Acklen masowała skronie, mrużąc

oczy. – ...nigdy nie traktowałam tego jako aż tak koniecznego. Jednakże, gdyby mi pani pomogła... – Schowała twarz w dłoniach.

– Pani Acklen, czy wszystko w porządku?

– W porządku. To się czasem zdarza – odparła, nie podnosząc głowy.

– To?

– Ten ból głowy. – Westchnęła. – Zaczyna się tu – pomasowała czoło – a potem promieniuje do tyłu.

Claire wykrzywiła twarz w grymasie.

– Może to od zbyt długiego czytania?

– Doktor Denard mówi, że to newralgia. – Powoli uniosła głowę. Po jej oczach widać było zmęczenie i wciąż mrużyła powieki, jakby popołudniowe światło, choć tak delikatne, sprawiało jej ból. – Panno Laurent, czy mogłaby pani zabrać to wszystko do swojego pokoju i tam skończyć? Myślę, że mamy już wystarczająco dużo materiałów do albumu dla madame LeVert, czyż nie?

– Tak, proszę pani. Nawet więcej, niż trzeba. – Claire wstała i zebrała liczne stosy porozkładane po całym pokoju. Ostrożnie, żeby ich nie pomieszać, powkładała je do pudełek i wyniosła na korytarz. – Czy mogłabym pani jeszcze jakoś pomóc... zanim panią opuszczę?

Pani Acklen przeszła na łóżko i położyła się.

– Mam jakieś proszki, które zostawił mi doktor Denard. Są w miseczce na toaletce, o tam.

Claire otworzyła drzwi do pomieszczenia, które można byłoby określić garderobą, gdyby nie ogrom tego pokoju, pełnego sukni i kufrów. Przeszła w stronę toaletki i zauważyła kryształową misę, w której znajdowały się papierowe torebki z lekami, podobne do tych, w jakich jej matka trzymała medykamenty. Zdjęła półprzeźroczystą opaskę spinającą opakowanie i wyczuła nieznaczne wybrzuszenie znajdującego się w środku proszku.

Ostrożnie, by nie wysypać, odwróciła się do wyjścia i wtedy zatrzymała się nagle na widok portretu na ścianie.

36

Trzy anielskie twarzyczki wpatrywały się w Claire z takimi słodkimi minami pełnymi nadziei i obietnicy. Ubrane na biało dziewczynki, o takich samych ciemnych włosach, miały identyczne czekoladowobrązowe oczy. Drobne usteczka rozciągały się w jednakowym uśmiechu, a na ich podobnych buźkach w kształcie serca widniał figlarny błysk. Claire nie miała wątpliwości.

To były siostry.

Pchnięta jakąś niewidzialną ręką, dziewczyna zerknęła za siebie w stronę drzwi prowadzących do sypialni, a potem znów na obraz i poczuła, jakby ktoś wbił jej nóż prosto w serce. Położyła dłoń na piersi i od razu przypomniała sobie ów dzień, gdy razem z panią Acklen udały się na przejażdżkę. Fragmenty tamtej rozmowy powróciły z bolesną świadomością. „Uważa pani, że nie wiem, jak to jest stracić rodzica w pani wieku. I ma mi pani za złe, że zasugerowałam, iż to rozumiem”.

Zacisnęła mocno powieki, przypominając sobie swoją cierpką i egoistyczną odpowiedź, jakiej udzieliła pani Acklen. I wtedy pracodawczyni tak na nią popatrzyła... Claire wyczuła, że chciała wtedy coś jeszcze powiedzieć, a teraz już sama wiedziała. Ponieważ patrzyła na to, czego nie powiedziała pani Acklen. Że straciła nie tylko ojca i męża, ale także dwie córeczki, a została jej jedynie śliczna mała Pauline.

Claire wiedziała, że śmierć nie miała względu na wiek. Dzieci umierały. Rodzice umierali. Utrata bliskich nie była niczym niezwykłym, zwłaszcza

w tych czasach. Dopóki dotyczyło to innych. W przeciwnym razie wszystko wyglądało zupełnie inaczej.

Nie wiedzieć czemu, wydawało jej się, że bogactwo pani Acklen w jakiś sposób chroniło ją przed utratą bliskich.

Podeszła bliżej do portretu, na tyle blisko, że widziała pociągnięcia pędzla. To było mistrzostwo – jak te drobne kropeczki koloru, artystyczne plamy rozmazane przez włosie pędzla, połączone potrafiły wywołać tak silne emocje. I tak wielki żal.

– Panno Laurent... znalazła pani proszki?

– Tak, proszę pani – odparła pospiesznie Claire. – Już niosę.

Unikając wzroku pracodawczyni, dziewczyna wzięła filiżankę pani Acklen i napełniła ją do połowy letnim płynem z imbryczka. Dodała proszek i zamieszała, by się rozpuścił. Pomogła kobiecie wypić, a cała ta sytuacja wydawała jej się aż nazbyt znajoma. Pani Adelicia oparła się na poduszkach.

– Czy coś się stało, panno Laurent?

Claire pokręciła głową.

– Nie, proszę pani. Nic.

Na czole pani Acklen wyraźnie zarysowały się zmarszczki.

– Pani *maman*? – wyszeptała pytającym tonem.

Wiedząc, że to i tak tylko część tego, z czym zmagała się obecnie w sercu, Claire kiwnęła głową.

– Tak bardzo mi przykro, panno Laurent.

Claire ponownie zagryzła wargę, próbując powstrzymać słowa, które najwyraźniej żyły własnym życiem.

– Mnie też przykro... – Zerknęła przelotnie w stronę garderoby. Nie potrafiła zapomnieć widoku tamtych anielskich twarzyczek. – Z powodu pani córeczek.

Pani Acklen na chwilę zmarszczyła z konsternacją czoło.

– Aha... – Westchnęła. – Portret.

Claire wypuściła z drżeniem powietrze.

– Przepraszam za to, co powiedziałam... tego dnia na przejażdżce. Zachowałam się... – Pokręciła głową. – Ja nie wiedziałam – wyszeptała, a do oczu napłynęły jej łzy. – Ja po prostu nie wiedziałam.

Spojrzenie pani Adelicii również stało się szkliste.

– W porządku, panno Laurent. To było dawno temu.

Claire kiwnęła głową, jednak zaraz pomyślała o Pauline.

– Ale nie aż tak dawno. Pauline jest jeszcze mała.

Pani Acklen zamknęła na chwilę powieki.

– Na tym portrecie nie ma Pauline, panno Laurent. On przedstawia moje córeczki: Victorię... Adelicię... i Emmę. – Wydawało się, jakby nawet wypowiedzenie tych imion sprawiało jej ból. – Ten portret został namalowany ponad dwadzieścia lat temu. – Zdobyła się na drżący uśmiech. – Zanim w ogóle się pani urodziła. Jednak proszę mi wierzyć, czasami... – Wzięła gwałtowny wdech. – ...mam wrażenie, jakby minęła tylko chwila.

Claire patrzyła zdumiona. Trzy córki. Wszystkie odeszły.

– Były tak piękne.

– I wszystkie jak aniołki. Victoria miała sześć lat, a Adelicia cztery, gdy zmarły. Jedna po drugiej, w odstępie trzech dni. Bronchit i krup. Emma miała wtedy półtora roku. – Pani Acklen zamknęła na krótko oczy i Claire zastanawiała się, czy to lekarstwo zaczynało działać, czy przypływ wspomnień. – Emma zmarła na dyfteryt dziewięć lat później.

– Musiała pani przeżywać ogromną żałobę. A pani mąż...

Pani Acklen spojrzała na nią.

– Tak, Joseph przeżywał ten żal razem ze mną. Bardzo kochał Emmę, a ona jego. Ale nie był jej ojcem, ani Victorii, ani Adelicii. – Wskazała

dłonią na stolik koło łóżka.

Claire wzięła oprawioną w ramkę miniaturę przedstawiającą starszego mężczyznę. Nie rozpoznawała go i z pewnością nie był to ten człowiek z portretu w wejściowym holu.

– To był mój pierwszy mąż, Isaac Franklin. Wzięliśmy ślub, gdy miałam dwadzieścia dwa lata. – Sięgnęła po fotografię i pogładziła palcem ramkę. – Byliśmy wtedy na językach. On był dwadzieścia osiem lat starszy ode mnie.

Dziewczyna szybko przeliczyła.

– Mieliśmy razem czwórkę pięknych dzieci i przeżyliśmy siedem wspaniałych lat. Nasze trzecie dziecko... synek żył tylko kilka godzin. – Wpatrywała się w twarz pana Franklina z wyrazem cichej i odległej miłości. – Pan Franklin odszedł... sześć tygodni przed śmiercią Victorii i Adelicii.

Claire próbowała wymyślić coś, co mogłaby powiedzieć w tej sytuacji, ale wszystko wydawało się zupełnie nieprzystające do tej wielkiej tragedii.

– Bardzo często, przez wiele kolejnych lat, panno Laurent... – Pani Acklen mówiła teraz ledwie słyszalnym szeptem. – ...rozważałam, jak wiele otrzymujemy z Bożej dobroci. Tyle jest powodów do radości, za które powinniśmy być bardzo wdzięczni. A nawet kiedy nadchodzą nieszczęścia... należy pamiętać, że one też są z Bożego dopustu. – Westchnęła, a na jej ustach zagościł ślad uśmiechu. – Nie jest słusznym oczekiwanie, że otrzymamy wszystkie błogosławieństwa i żadnych udręk. Wtedy ten świat byłby zbyt rozkosznym miejscem i obawiam się, że wcale nie chcielibyśmy go opuszczać. – Jej powieki opadły. – A tak, jak jest... Chcę wierzyć, że przez to, iż On pozwala, byśmy nie mieli w tym życiu wszystkiego, usiłuje... w swojej dobroci oderwać nas od tego świata ku większemu szczęściu.

Claire siedziała kompletnie bez ruchu, nie ważąc się wydać najdrobniejszego dźwięku i czując, jakby przez ten krótki moment zdjęto zasłonę, która rozdzielała ją i tę kobietę. Bała się, że jakikolwiek najlżejszy ruch czy nawet sam oddech mógłby zniszczyć podniosłość tej chwili.

Cisza przedłużała się i w końcu pani Acklen otworzyła oczy i oddała oprawiony w ramkę dagerotyp.

Claire odłożyła go na miejsce na stoliku obok łóżka i pomogła swojej pracodawczyni ułożyć poduszki za głową.

– Czy mogłabym coś pani jeszcze podać, zanim panią opuszczę?

Pani Acklen pokręciła nieznacznie głową, ponownie zamykając oczy.

Claire miała już domknąć za sobą drzwi, gdy usłyszała wypowiedziane szeptem swoje imię. Zawróciła w głąb sypialni. Skrzypnięcie drzwi wydawało się wyjątkowo głośne w panującej ciszy.

– Dziękuję, panno Laurent, że pozwoliła mi pani... pamiętać.

~

Tego wieczoru Claire przyszła na kolację spóźniona parę minut. Straciła poczucie czasu, bo zaczytała się w artykułach prasowych i kontemplowała to, co powiedziała pani Acklen. Zatrzymała się pośrodku rodzinnej jadalni, ze zdziwieniem zauważając, że stół jest pusty... poza jednym nakryciem.

W kominku palił się niewielki ogień, a zapach drewna nadawał pomieszczeniu przytulny klimat. Zastanawiając się, czy przeoczyła jakieś specjalne wytyczne, Claire zajęła miejsce i rozłożyła serwetkę na kolanach.

Niecałą minutę później Cordina wkroczyła od strony kuchni, niosąc przykryty półmisek i wysoką szklankę lemoniady, wypełnioną jak zawsze lodem.

– Dobry wieczór, panno Lołerent. – Mrugnęła do Claire ze zwykłym sobie uśmiechem. – Z tego, com słyszała, to tylko pani dziś tutej je.

Wszystko dla pani.

Dziewczyna zerknęła na puste krzesła.

– A gdzie wszyscy pozostali?

Cordina postawiła przed nią talerz pełen jedzenia, którego wystarczyłoby dla dwóch osób.

– Lady źle się czuje, jak pani wie. To te bóle głowy, co je miewa od czasu do czasu. A panna Cenas z dziećmi zjedzą na mieście. Taka odmiana dla młodych za dobrą naukę, jak twierdzi panna Cenas. – Kucharka wskazała gestem na talerz Claire. – Chce pani trochę sałatki z kabaczka? Przyniosę pani. Będzie pasować do kotleta schabowego.

Claire pokręciła głową, bo nie była jakoś bardzo głodna.

– Nie, dziękuję. Wystarczy to, co już tu mam. – Zdobyła się na swobodny ton. – A nie wie Cordina przypadkiem, gdzie jest pan Monroe?

– Nie, proszę pani. Nie widziałam go od śniadania. Pani Routh powiedziała, że tylko pani będzie jadła. Może pani zyjść do kuchni, jak pani chce. Ale muszem panią ostrzec, że cały dzień piekłymy chleb i jest straszny gorąc.

Claire uśmiechnęła się w odpowiedzi.

– To chyba zostanę tutaj, jeśli mogę.

– Oczywiście, kochaniutka. – Cordina poklepała ją po ramieniu. – Może być całkiem miło posiedzieć tak sobie w ciszy. Proszę zadzwonić tym dzwonkiem, jakby co trzeba było, to usłyszę i przyjdę na górę.

Claire kiwnęła głową, choć wiedziała, że i tak nigdy nie użyłaby dzwonka.

– Dziękuję, Cordino.

Zmusiła się, by zjeść kawałek kotleta schabowego z purée ziemniaczanym, potem skosztowała słodkiego kremu z groszku

i kukurydzy, a następnie upiła łyk lemoniady i wtedy już całkiem wrócił jej apetyt. Choć i tak nie była w stanie zjeść nawet połowy tego, co jej podano.

Ogień w kominku trzaskał, zaś zegar tykał, odmierzając kolejne sekundy. Claire upajała się samotnością, aż jej pierwszy głód ciszy został zaspokojony. Siedziała jeszcze chwilę, a potem wzięła talerz i szklankę na dół do kuchni, delektując się drożdżowym aromatem świeżego chleba, który docierał do jej nosa, jeszcze nim przeszła przez drzwi.

– Dobry wieczór, panno Laurent! – przywitał ją Eli, odbierając od niej talerz. A kiedy wyciągnął rękę po szklankę, Claire żartobliwie ją odsunęła.

– Oddam, ale jak będę mogła dostać jeszcze trochę lemoniady. O ile oczywiście coś zostało.

Wyszczerzył zęby w uśmiechu, spoglądając na drugą stronę kuchni, gdzie jego żona doglądała pracy trzech innych kobiet.

– Zawsze mamy pod ręką słodką lemoniadę, panno Laurent. Takie wytyczne pani Acklen. – Przysunął się bliżej. – I mojej najdroższej żony także.

Claire uśmiechnęła się szeroko. Na początku była zaskoczona, gdy dowiedziała się, że Eli i Cordina są małżeństwem, ale teraz, kiedy znała ich trochę lepiej, nie potrafiła sobie wyobrazić, by mogło być inaczej.

Powrócił z pełną szklanką, a jego ogolona głowa błyszczała od potu. Cordina dobrze mówiła, że w kuchni było zbyt gorąco. Claire podziękowała mu i piła długo. Następnie wskazała dłonią na chrupiące bochny ułożone w rzędach na drewnianych stołach. Wystarczyłoby dla całej armii.

– Dla kogo to wszystko?

– To do sierocińca w mieście. Pani Acklen co miesiąc dostarcza tam jedzenie dla dzieci. Cordina zaproponowała, żebyśmy tym razem wzięli trochę jej chleba i pani Acklen bardzo się spodobał ten pomysł.

Sierociniec. Claire nie potrafiła sobie przypomnieć, by pani Adelicia wspominała coś o sierocińcu. A jeszcze dzisiaj rano była skłonna przyznać, że dość dobrze zna swoją pracodawczynię.

Wróciła na górę schodami i wyszła do ogrodów przed domem. Przywitał ją tam późnopaździernikowy wiatr – chłodny, ale jeszcze nie przejmujący – który wydawał się wyjątkowo miły po wizycie w gorącej kuchni. Liście na klonach porastających wzgórza zaczynały zmieniać kolory. W ciągu kilku najbliższych dni drzewa będą się mienić barwami ognia. Pomyślała o płótnach i farbach, które ostatnio jej dostarczono, a które czekały w pokoju, i poczuła świerzbienie w prawej dłoni gotowej, by chwycić za pędzel. Już wkrótce...

Zeszła ze zbocza aż do trzeciego ogrodu, a potem zatrzymała się i obejrzała za siebie, wyobrażając sobie ten wieczór, kiedy na przyjęcie na cześć madame LeVert zjedzie tu ponad tysiąc osób w całym swoim przepychu... gdy będą kręcić się po ogrodach i przyległych terenach, a później stłoczą się w wielkim salonie oraz pozostałych pomieszczeniach rezydencji. Wszystko ma się rozpocząć o ósmej wieczorem. Przynajmniej to zostało ustalone. I chociaż słabe żółte słońce nadal zwieszało się nad tym wiejskim pejzażem, wiedziała, że w połowie grudnia o tej porze będzie to wyglądało zupełnie inaczej.

Szła dalej w dół, żałując, że nie wzięła okrycia, choć nie na tyle, by miała teraz zawrócić.

Oczami wyobraźni widziała latarnie zawieszone w równych odstępach wzdłuż krętej drogi prowadzącej do rezydencji. Złotawe światło spowijające szlak i witające gości. A może jeszcze zespół instrumentów dętych w altanie najbliżej domu, tak by zaproszeni docierali pośród dźwięków kameralnej muzyki oraz...

Dostrzegła jeźdźca zbliżającego się drogą. Nie potrzebowała nawet spoglądać drugi raz. Pewnie podeszła na skraj dróżki, żeby się z nim przywitać.

– W końcu... – zawołała, kiedy Sutton ściągnął wodze, zatrzymując się koło niej. – Wrócił syn marnotrawny. – Cały tydzień czekała, by móc użyć tego określenia, którego się nauczyła w minioną niedzielę podczas kazania wielebnego Buntinga.

– Dobry wieczór, Claire.

„Dobry wieczór, Claire”? To miała być właśnie odpowiedź na jej zaczepkę. Raczej nie na to liczyła. I to tak oficjalnie. Od razu dostrzegła surowy wyraz jego twarzy pomimo wymuszonego uśmiechu. A w jego oczach nie widziała tego zwykłego ciepła.

– Czy wszystko dobrze, Suttonie?

Odwrócił wzrok.

– Tak. Mam za sobą po prostu długi dzień.

Zrobiła krok w jego stronę.

– Jeśli masz ochotę na kolację, chętnie pójdę po talerz i przyniosę ci do...

– Nie... dziękuję. Jadłem na mieście.

– Aha... – Kiwnęła głową. – Dobrze. – Ten wiaterek, który przed chwilą miło chłodził, przejął ją teraz ziąbem i chcąc się rozgrzać, pocierała ramiona.

Wskazał dłonią za siebie.

– Przyjechała dzisiaj ta rzeźba, którą pani Acklen zamówiła podczas podróży po Europie. Jedzie na wozie za mną.

Rzeźba! – pomyślała z ekscytacją Claire i zerknęła za jego plecy, ale nie widziała jeszcze transportu. W kontekście obecnego nastroju Suttona nie chciała też okazywać zbytniego entuzjazmu.

– Kto jest autorem?

Zerknął na nią, a potem roześmiał się – ostro i bez humoru.

– Niezła próba pozornej obojętności. Niezbyt przekonująca.

Zrobiła nadąsaną minę.

– Przepraszam, ale za bardzo kocham rzeźby i malarstwo i... to wszystko.

– Wiem – odparł cicho. – Wiem, że kochasz.

Melancholia w jego głosie nieco ją zaniepokoiła.

– Jesteś pewien, że wszystko dobrze?

W oddali dało się słyszeć skrzypienie drewnianych kół na ubitej drodze. Wóz nadjeżdżał.

Truxton zarżał i próbował się zerwać, ale Sutton utrzymał go na miejscu.

– Muszę otworzyć galerię, żeby wnieśli skrzynię do środka. Nie wiem, gdzie pani Acklen chce ją ustawić. Nie mówiłem jej, że już przyjechała.

Claire kiwnęła głową, gorąco pragnąc mu towarzyszyć, ale gdyby chciał jej obecności, poprosiłby ją. W tym momencie jednak wątpiła, by jej potrzebował. Uśmiechnęła się i zeszła z drogi.

Sutton jednak nie ruszył. Trzymając mocno Truxtona, spojrzał na nią i westchnął.

– Chcesz ze mną jechać?

Nie na takie zaproszenie liczyła... Miała już odmówić, ale przecież czekała na niego cały dzień. I w końcu to przecież było zaproszenie, choć nie do końca takie jak trzeba.

– Z chęcią!

Przesunął się do tyłu w siodle, wyjął nogę ze strzemienia i wyciągnął do niej rękę. Claire włożyła stopę w strzemię i chwyciła się ramienia Suttona.

Podniósł ją i posadził przed sobą, a potem trzymał mocno, kiedy układała suknię na koronkowych halkach.

Czując jego silny tors za plecami i ramię wokół pasa, starała się utrzymać równowagę, nawet gdy Sutton ponaglił Truxtona do galopu. Ogier poruszał się z taką gracją i siłą, że nieomal kręciło się jej w głowie. Jak by to było móc pędzić na jego grzbiecie przez pola? A tym bardziej skakać przez ogrodzenie? Nie mogła się już doczekać, kiedy Sutton nauczy ją skakać.

Kiedy byli bliżej galerii, Sutton ściągnął wodze i zabrał rękę z talii Claire.

Spojrzała za siebie i zapytała:

– Nasza pierwsza lekcja skakania w ten weekend nadal aktualna?

Nie odpowiedział od razu i jej nadzieja prysła.

– Nie... nie dam rady w ten weekend. Przepraszam. Może będzie czas w przyszłym tygodniu... albo jakoś niedługo.

Skupiła wzrok przed sobą, ciesząc się, że on nie widzi teraz jej twarzy.

– Rozumiem. W zasadzie... – Bardzo chciała brzmieć przekonująco. – To też lepiej dla mnie, bo mam dużo pracy z panią Acklen w związku z przyjęciem. Trzeba wiele zaplanować, jeśli chodzi o menu, kwiaty i zaproszenia...

Sutton zatrzymał się za galerią, ale nie schodził z konia.

Czuła na karku jego ciepły oddech i im dłużej tam siedzieli, nic nie mówiąc, tym bardziej docierało do niej, jak blisko siebie byli. Poczuła coś wokół kibici i zerknęła w dół. Jego ręka...

Zaciskał lekko palce na łuku jej biodra i Claire zamknęła oczy, a serce zabiło jej szybciej. Niespiesznie jego dłoń przesunęła się w górę boku i na plecy. Czule, jakby starał się wybadać tę drogę i ją zapamiętać. Czuła ciepło jego dotyku nawet przez suknię.

– Claire – wyszeptał. – Ja...

Wzdrygnęła się i oparła o niego. Miała wrażenie, że powietrze stało się rzadsze. Jego obecność tak blisko dawała jej szczególną przyjemność. I budziła pragnienie. Zwłaszcza gdy przypomniała sobie tamten pocałunek. To jak ją trzymał.

Jego dłoń znieruchomiała na jej plecach, a potem zniknęła. Nagle poczuła na skórze chłodną pustkę. Dopiero wtedy dostrzegła wóz zajeżdżający z tyłu budynku.

Bez słowa zsiadł z konia, a następnie pomógł jej. Przywiązał Truxtona przy słupku i poszedł szybko, by otworzyć galerię.

37

Dziękuję, panowie. – Sutton wymienił uścisk dłoni z każdym z pracowników, przekazując w tym geście na ich ręce całą swoją wdzięczność. – Dziękuję za troskę, z jaką zajęliście się tą przesyłką.

Oni zaś, wychodząc z galerii, dziękowali mu za hojność.

Stojąc w drzwiach, Sutton patrzył i czekał, aż powóz wyjedzie za róg budynku, a potem zawrócił do pomieszczenia, które służyło za magazyn. Ta rzeźba była szczególna i bardzo wyczekiwana przez Adelicię. Nie był jakimś znawcą sztuki, ale jego zdaniem to dzieło było najlepsze z całej jej kolekcji. I to nie tylko ze względu na osobiste znaczenie dla jego pracodawczyni.

Doszedł do magazynu... i przystanął w wejściu, by nacieszyć się widokiem.

Claire na czworaka zerkała przez szczeliny skrzyni, najwyraźniej próbując dojść, kto jest autorem. Zapewne zupełnie nie zdawała sobie sprawy z jego obecności.

Miał wielką ochotę powiedzieć coś głośno, żeby podskoczyła. Jednakże przyjemność obserwowania jej była dużo większa niż to pragnienie. Intrygowała go jej determinacja. Wszystko w niej go intrygowało. Przyszło mu do głowy, by przejść przez pokój i znów wziąć ją w ramiona.

Dlaczego po tym, gdy usłyszał to, co przekazał mu pułkownik Wilmington, cały czas myślał o Claire? Ale nie tylko o niej myślał. On

marzył o niej. O tym, żeby znów ją tulić, o miękkości jej warg, o tym, że jej śmiech – tak głęboki i spontaniczny – potrafi być zaraźliwy jak żaden inny.

Przed chwilą był już tak blisko, by ucałować ten jeden ponętny dołeczek na jej szyi, ale wiedział, że zrzuciłaby go z konia, gdyby tylko się odważył. I słusznie. Jednakże kiedy teraz na nią patrzył, na jej mały kształtny *derrière* wysunięty do góry – pokręcił głową – warto byłoby spaść z konia.

Jego wesołość nagle uleciała, gdy dotarło do niego, że znów to zrobiła... Nawet o tym nie wiedząc, poprawiła mu humor.

Pułkownik Wilmington ze współczuciem, ale wprost przekazał mu wyrok komisji rewizyjnej, który ustalono dzień wcześniej. I w ciągu pięciu minut nie tylko pozbawił go tej ziemi, którą Sutton powinien odziedziczyć – ziemi, którą jego dziadek zakupił i przekazał jego ojcu, a jego ojciec przekazałby jemu – ale też na zawsze splamił honor jego rodzinnego nazwiska.

Na podstawie oficjalnej wersji tamtych wydarzeń, tak jak podał to dowodzący wtedy unionista, co rzekomo podtrzymywali również towarzyszący mu wojskowi, jego ojcu postawiono zarzut zdrady ojczyzny. Sutton pochylił głowę. Jego ojciec, jeden z najbardziej łagodnych, życzliwych i pobożnych ludzi, jakich znał. I wszystko tylko dlatego, że odmówił podpisania jakiegoś świstka.

I tak jak już mówił mu wcześniej Holbrook, słusznie czy nie, decyzja komisji rewizyjnej była ostateczna i wiążąca.

Sutton przypomniał sobie słowa Claire, jakimi przywitała go po przyjeździe: „Wrócił syn marnotrawny”... Miał wrażenie, że to do niego pasowało, bo podobnie jak syn z przypowieści wrócił do domu z pustymi rękami i załamany, tak i on powracał do Belmont. Z tą różnicą, że nie czekał na niego ojciec. Ale Claire czekała.

Westchnęła i zwrócił z powrotem uwagę na nią. Nadal uparcie dążyła do osiągnięcia swojego celu.

– Upuściłaś coś, Claire?

Zerwała się na nogi z szeroko otwartymi oczami.

– Jak długo tu już stoisz?

Zebrał się na uśmiech.

– Nie jakoś strasznie długo. – Widząc jej zmarszczone czoło, podszedł do stołu warsztatowego i wziął łom.

– Och! Rozpakujemy ją dziś? – Jej twarz pojaśniała i równie szybko spochmurniała. – Ale czy nie powinniśmy poczekać na panią Acklen?

Sutton wsunął płaskie zakończenie łomu pod deskę.

– Zawsze sprawdzam rzeźbę, zanim ona ją zobaczy. I zwykle jeszcze przed odjazdem pracowników firmy transportowej. Ale ta... – Nacisnął mocniej i deska poluzowała się z trzaskiem. – ...jest szczególna. – Ponownie przyłożył łom. – Poza tym... ty tu jesteś.

Uśmiechnęła się i Sutton poczuł dziwne szarpnięcie w piersi.

Kolejne sztachety odchodziły od wieka skrzyni z cichą skargą. Usuwał je jedna za drugą, po czym odłożył łom na bok. Przyklęknęli oboje i razem zaczęli wyciągać słomę oraz inne materiały, które przykrywały rzeźbę. Gdy wyczuł chłodną gładkość marmuru, bez słowa odsunął się i pozwolił, by to ona dokończyła dzieła.

Wyglądała jak dziecko w Boże Narodzenie – bardzo skupione dziecko – i radość, jaką dawało mu oglądanie jej twarzy... Sama w sobie była dla niego prezentem. Zdjęła ostatnią warstwę słomy i zupełnie zamarła. Dobrze pamiętał, co czuł po raz pierwszy, kiedy zobaczył tę rzeźbę przedstawiającą dwójkę dzieci. Teraz był bardziej ciekaw, jak zareaguje Claire, gdy ją ujrzy.

Jej dolna warga drżała i kobieta zakryła usta dłonią... dokładnie tak, jak zrobiła Adelicia, kiedy widziała to dzieło po raz pierwszy.

– Zatytułowano ją: *Śpiące dzieci* – powiedział cicho, klękając obok niej. – Wyrzeźbił ją William Rinehart. Adelicia zakupiła ją w Rzymie, by uczcić pamięć swoich córek.

Claire wyciągnęła dłoń, a potem nagle zatrzymała się w pół ruchu i spojrzała na niego, jakby pytała o pozwolenie. Skinął głową, a ona ujęła delikatnie kamienny policzek jednego z dzieci. Wypuściła powietrze i rzekła:

– To jedna z najpiękniejszych rzeczy, jakie kiedykolwiek widziałam. Wyglądają jak... żywe.

Wykonana z białego marmuru rzeźba przedstawiała dwoje dzieci ułożonych w słodkiej drzemce. „We śnie śmierci” – Sutton przypomniał sobie słowa Rineharta. Dzieło było realistyczne w każdym detalu. Pulchne ramię jednego dziecka leżało słodko na piersi drugiego, a ich głowy podparte na poduszce, która, choć wykuta z kamienia, miała miękkie zagłębienia i gładkość satyny. Podobnie realistycznie wyglądał koc, którym okryte były dzieci.

Claire przykryła dłonią małą rączkę leżącą na piersi drugiego dziecka.

– Właśnie dzisiaj pani Acklen powiedziała mi o Victorii, Adelicii i Emmie. Oraz o synku, którego też straciła. – Pociągnęła nosem. – Czwórka dzieci. – Przeciągle wypuściła powietrze. – Nawet nie potrafię sobie wyobrazić, co musiała czuć.

Dotknięty jej reakcją Sutton wyciągnął chusteczkę z kieszeni i podał jej.

– Ta rzeźba nie jest dla uczczenia tamtych dzieci, Claire.

Odwróciła się i spojrzała na niego z konsternacją.

– Joseph i Adelicia mieli bliźniaczki. Urodziła je... – Wrócił myślami wstecz, przypominając sobie, że miał wtedy jakieś dwanaście lat. – ...chyba koło pięćdziesiątego drugiego... na plantacji Angola w Luizjanie. Dzieci

miały tylko dwa lata, gdy zmarły. W obu przypadkach to była szkarlatyna. W odstępie kilku tygodni.

Przypomniawszy sobie o szczególnej prośbie, jaką Adelicia skierowała do rzeźbiarza, Sutton pochylił się i sprawdził przód rzeźby. Rzeczywiście były tam imiona dziewczynek. Pokazał to Claire.

– „Laura i Corinne” – przeczytała szeptem Claire, przesuwając palcem po grawerze.

– A z tyłu... – Spojrzał, by się upewnić. – ...kazała napisać: „Bliźniaczki”. To też zrobił.

Dziewczyna, ocierając mokre policzki, przesunęła się, żeby popatrzeć.

– Mówiłeś, że pani Acklen nie wie jeszcze, że rzeźba dojechała.

– Nie, nie informowałem jej o tym. Sam nie wiedziałem, dopóki nie wyszedłem z... – W ostatniej chwili ugryzł się w język. – Z biura w mieście.

Claire kiwnęła głową.

– Wiesz może, czy ma już jakieś miejsce na nią?

– Nie mam pojęcia.

– Hm, ja mam pomysł – rzekła cicho, ponownie gładząc dłonią *Śpiące dzieci*. – Zleciłeś już zrobienie podstawy pod nią?

Pokręcił przecząco głową.

– A czemu pytasz?

– Gdyż chciałabym, Suttonie, zrobić coś specjalnego dla pani Acklen. W dowód mojego uznania. – Zaśmiała się, westchnąwszy. – Nie mogę jej nic kupić, czego by nie mogła sobie kupić sama.

Sutton rozumiał to aż nazbyt dobrze.

– Ale, jeśli mi pozwolisz, mogłabym dla niej zrobić to jedno. Potrzebuję tylko paru dni.

38

Na pewno masz na to teraz czas?

Słysząc ekscytację w głosie Claire, Sutton dopasował jej strzemię i zanim poprawiła suknię, z podziwem zerknął ukradkiem na jej zgrabną łydkę.

– To ja powinienem cię o to pytać. Zdaje się, że jesteś równie zajęta ostatnio, o ile nie bardziej.

Poprawiła się w siodle.

– Ledwie mogłam zmrużyć oko w nocy, tak o tym myślałam!

On również czekał z niecierpliwością na ich pierwszą lekcję i nawet pojechał wczoraj późnym wieczorem, żeby poustawiać na łące różnych rozmiarów kłody. I to wszystko po tym, jak niecałe pięć dni temu powiedział Claire, że nie będzie miał czasu na lekcje w tym tygodniu ani w najbliższych dniach. Odpowiedział jej tak w chwili frustracji i przeprosił później. I to dwa razy.

Potrzebował wspólnego czasu z nią. Przeciwności ostatnio uderzały w niego ze wszystkich stron, a ona pomagała mu utrzymać w równowadze te wszystkie elementy jego życia, które wydawały się rozsypywać.

Nie powiedział jej jeszcze o decyzji komisji rewizyjnej. Nikomu nie powiedział. Nawet Bartholomew Holbrookowi. Miał świadomość, że powinien, ale potrzebował też czasu, żeby pogodzić się z tą nową rzeczywistością. Choć w zasadzie nie miał wyboru. Utrata rodzinnej ziemi dotknęła go mocniej, niż mógł przypuszczać. W jakiś sposób czuł się też

tak, jakby cały czas tracił ojca. Razem ze smutkiem i żalem powrócił na nowo gniew... i głębokie poczucie rozczarowania samym sobą.

Nie podjął jeszcze decyzji, czy ma jej powiedzieć o raporcie od znajomego. Adelicia przeczytała go i stwierdziła, że jest usatysfakcjonowana – tak jak i on – a potem stwierdziła, że nie widzi potrzeby, by mówić o tym Claire: „To jest procedura, którą stosujemy wobec każdego pracownika, panie Monroe. Do tej pory nie trzeba było kogokolwiek o tym informować. Dlaczego teraz miałoby to być konieczne?”.

To, w jaki sposób Adelicia na niego popatrzyła, ten bystry ton, powiedziały mu, iż ona doskonale wie – albo przynajmniej podejrzewa – o naturze jego uczuć wobec Claire. Powiedział jej o wspólnej decyzji, jaką podjęli z Carą Nettą, by cofnąć porozumienie, i sprawiała wrażenie rozczarowanej. Ale trzeba przyznać z uznaniem, że nie poruszała już więcej tego tematu.

– Och... taki z ciebie przystojniak – szczebiotała uwodzicielsko Claire.

Sutton podniósł wzrok i dostrzegł, że głaskała Truxtona po szyi, zatapiając palce w jego grzywie. Westchnął. Wszystkie te kobiece czułości... zmarnowane na konia.

– W porządku, kapitanie Laurent. Kilka słów przypomnienia... – Ogier zarżał i rzucił głową, więc Sutton przytrzymał go za uzdę. – Truxton ma doświadczenie w skokach, zatem będzie już wiedział, co robić. To jest piękno nauki skakania na koniu, który jest wyszkolony. Jednakże kiedy ma jeźdźca...

– Takiego jak *moi* [43]– rzekła Claire z szerokim uśmiechem.

Sutton spojrzał na nią wzrokiem mówiącym: „Proszę, skup się”.

– Wyszkolono go tak, żeby cię słuchał. Więc jeśli nie będziesz pewna, koń też taki będzie.

Sprawdził ponownie strzemię. Obraz jej postaci przelatującej ponad ogrodzeniem wyraźnie powrócił w jego pamięci. Sprawiała wrażenie tak drobnej na grzbiecie Truxtona... I jeszcze jazda w damskim siodle. To zrozumiałe, ale wolałby, żeby skakała, jadąc okrakiem. – Chciałbym, abyś wykonała ten pierwszy skok – wskazał na najniższą stertę drewna, nie wyższą niż ćwierć metra – w spokojnym galopie. Skieruj się tam, tak jak ci pokazałem, a następnie zawróć. I pamiętaj, żeby...

– Wiem, Suttonie. Słuchałam. – Lekkim ruchem wodzy sprawiła, że Truxton zrobił unik, a potem się zaśmiała. – Jest taki mądry!

Sutton złapał za wodze.

– Jeśli chcesz, żebym cię uczył, Claire, musisz słuchać.

Spojrzała w dół z lekkim uśmieszkiem.

– Tak jest, sir... kapralu.

Sutton miał ochotę ściągnąć ją z siodła i... Westchnął. Sam nie wiedział, co by zrobił... Po prostu nie mógł wymazać z pamięci tamtego obrazu, gdy spadła.

Puścił wodze.

– Nie chcę po prostu, żeby znów coś ci się stało.

– Wiem – odparła ściszonym głosem. – Będę ostrożna. A teraz... – Uśmiechnęła się. Poranne słońce za jej plecami sprawiało, że jej włosy lśniły. – ...co jeszcze chciałeś mi powiedzieć?

– Zanim skoczysz, upewnij się, że nie trzymasz wodzy sztywną ręką. Złap się jego grzywy albo wytoku, jeśli stracisz równowagę. I trzymaj otwartą sylwetkę. Nie kładź się na jego szyi. – Spojrzał za siebie. – I pod żadnym pozorem nie ściągaj wodzy, Claire. Jeśli to zrobisz, koń natychmiast się zatrzyma, a ty polecisz. To właśnie się stało z Atheną.

Kiwnęła głową, słuchając z uważnym wyrazem twarzy.

– Może to brzmi jak oczywistość... – Uśmiechnął się, by załagodzić trochę atmosferę. – ...ale pamiętaj, żeby oddychać. Cały czas patrz przed siebie. Nie w dół ani nie w bok. To zakłóca twoją równowagę. Skup wzrok na czymś za przeszkodą, a nie na niej samej. Trzymaj nogi blisko, zablokuj prawą na kuli, tuż przed tym, jak się poderwiecie. Jestem pewien, że wyczujesz odpowiedni moment. – Przesunął dłonią po muskularnej łopatce Truxtona, licząc, że zaufany wierzchowiec dobrze poniesie amazonkę.

– Czy jeszcze coś? – Claire rzuciła mu zalotne spojrzenie.

– Tak, szanowna pani, jeszcze coś. – Klepnął solidnie konia w zad. – Miłej jazdy!

Z uśmiechem dziewczyna uderzyła szpicrutą i Truxton się zerwał. Sutton patrzył, gdy okrążali przeszkodę szerokim łukiem, tak jak jej mówił.

W niedzielę po nabożeństwie zasłyszał, jak grupa pań rozmawiała o „pannie Laurent”. Claire stawała się coraz częstszym tematem rozmów pośród śmietanki towarzyskiej. Przynajmniej pół tuzina znajomych Adelicii pań wynajmowało teraz własną *liaison*. I przynajmniej tyle samo mężczyzn – w wieku Adelicii lub starszych – dyskretnie wypytywało Adelicię o Claire, bo znali ją z widzenia w kościele lub „ze słyszenia z różnych źródeł”.

Czy mu się to podobało, czy nie – a raczej zupełnie nie – najbliższe przyjęcie na cześć madame LeVert będzie nieoficjalnym debiutem towarzyskim asystentki pani Acklen. Jej pierwszą prezentacją przed społeczeństwem Nashville. I choć wiedział, że gdy tylko Claire uświadomi sobie tę sytuację, nie będzie chciała tej uwagi, nie miał jednocześnie wątpliwości, że będzie błyszczeć.

Claire zawróciła i pochyliła się lekko w przód, gotując się do skoku, a następnie ponagliła Truxtona do galopu.

– Trzymaj pięty nisko – szeptał podenerwowany. *Wzrok prosto przed siebie*... Jedną z najtrudniejszych rzeczy w skokach było złapanie dynamiki ruchu konia. Czasem skok następował szybciej, niż się człowiek spodziewał.

Zostały trzy metry, dwa...

Bardzo ładnie...

Claire zniżyła dłonie, idealnie zachowując właściwą sylwetkę.

Luźna ręka...

W tej samej chwili, gdy to pomyślał, ręka dziewczyny poszła za wodzą, tak jak ją uczył, i Claire razem z Truxtonem przefrunęła ponad poprzeczką, pozostawiając jeszcze pół metra zapasu. Nawet ze swojego miejsca Sutton usłyszał śmiech.

– Udało mi się! – pisnęła radośnie, kiedy podjechała, a w jej oczach widać było wyraźny błysk.

Śmiał się.

– Tak, udało ci się. Jestem z ciebie taki dumny. Zrobiłaś wszystko idealnie.

Blask jej spojrzenia stał się jeszcze mocniejszy i dopiero po chwili dotarło do niego, że była bliska łez.

– Claire... – Wyciągnął do niej rękę i ujął jej dłoń. – Coś się stało?

– Nie... nic się nie stało. Wszystko... – Uścisnęła go. – ...jest w jak najlepszym porządku. – Wypuściła szybko powietrze i na nowo przepełniła ją energia. – Mogę spróbować jeszcze raz?

– A będę w stanie cię powstrzymać?

Obłok kurzu, jaki zostawiła za sobą, mówił mu, że nie.

~

Po kolacji dwa dni później Sutton zapukał do drzwi salonu zimowego.

– Pani Acklen?

– Proszę wejść.

Gdy tylko ją zobaczył na jednej z dwóch sof, od razu przypomniał sobie tamten dzień, kiedy wszedł podczas jej rozmowy z Claire. Uśmiechnął się na to wspomnienie oraz na myśl o tym, co Claire miała przygotowane dla pani Acklen w wejściowym holu.

– Mogę do pani dołączyć na chwilę?

– Proszę, panie Monroe. – Adelicia odłożyła na bok książkę, którą czytała. – Właśnie... się zastanawiałam...

Zajął miejsce naprzeciw niej.

– Nad czym?

– Nad życiem, panie Monroe, i nad tym, jak to wszystko do siebie pasuje. Oraz nad tym, dlaczego niektóre rzeczy dzieją się tak, a nie inaczej. Lub też się nie dzieją.

Sutton spojrzał na nią, sam nie wiedząc, czy przypadkiem nie usłyszała o decyzji komisji rewizyjnej. Niezbyt prawdopodobne, ponieważ omawiał to tylko z Bartholomew Holbrookiem, który otrzymał wczoraj pisemne powiadomienie z komisji. Sutton wiedział, że starszy prawnik nie ujawni treści, dopóki nie dostanie przyzwolenia.

Oparł się, próbując sprawiać wrażenie, iż jest mu wygodnie.

– Jak tylko znajdzie pani wytłumaczenie, pani Acklen, czy będzie pani mogła się ze mną tym podzielić?

Natychmiast się roześmiała.

– Z panem i ze wszystkimi innymi.

Uśmiechnął się, ciesząc się, że jednak nie wiedziała, choć miał świadomość, iż musi jej powiedzieć. Wkrótce. To, że stracił rodzinne ziemie, nie wpłynie na jej opinię na jego temat ani też nie zagrozi jego pozycji w Belmont, jakkolwiekby ona nie była tymczasowa w sytuacji,

gdyby Adelicia zdecydowała się ponownie wyjść za mąż. Nie martwił się także o to, że będzie chciała mu dać pieniądze na założenie stadniny koni. W ciągu minionych dwóch lat pomógł Adelicii wypracować metodę odsiewania tych inwestycji, które były pewne, od tych, które nie były. A według jego własnych kryteriów to z pewnością podpadłoby pod kategorię „tych, które nie były”. Poza tym chciał... musiał spełnić to marzenie sam.

Trzaskanie ognia w kominku zakłócało ciszę. Okna wychodzące na zachód wpuszczały resztki słabego listopadowego słońca wyzierającego zza budynku galerii sztuki. Zaczęła się jesień i lada chwila nadejdą święta Bożego Narodzenia i Nowy Rok.

Podniósł się.

– Czy mogłaby mnie pani zaszczycić, pani Acklen, i towarzyszyć mi do wejściowego holu?

Zmrużyła powieki, ale wstała i ujęła go pod ramię.

Sutton przystanął w wielkim salonie, zanim jeszcze dotarli do schodów.

– Rzeźba, na którą pani czekała, dotarła dwa dni temu.

Na jej twarzy odmalował się pytający wyraz.

– Mam nadzieję, że dobrze zniosła podróż?

– Tak, szanowna pani. – Zerknął w stronę korytarza. – Panna Laurent była ze mną przy otwieraniu. – Położył rękę na dłoni Adelicii. – Jej reakcja, gdy ujrzała ją po raz pierwszy – wyszeptał, przypominając sobie tamtą chwilę – była identyczna jak pani.

Adelicia zamknęła na moment oczy, jakby znów przeniosła się do atelier rzeźbiarza na drugim końcu świata.

– Nigdy nie zapomnę tamtej chwili, panie Monroe, kiedy po raz pierwszy zobaczyłam tę rzeźbę. Czułam się tak, jakby sam Bóg wyrzeźbił ją specjalnie dla mnie. Jako podarunek... – Westchnęła. – Takie pełne

czułości przypomnienie, że On sam opiekuje się moimi drogimi dziećmi... aż do chwili, gdy ja też będę mogła się z nimi spotkać.

Sutton uśmiechnął się, ciesząc się, że posłuchał Claire, która nalegała, by poczekali do czasu po kolacji, kiedy to dom będzie cichy, a dzieci pójdą już spać. Poprowadził Adelicię do wejściowego holu, gdzie czekała Claire. Choć wiedział, co planowała zrobić, był pod wielkim wrażeniem, gdy zobaczył jej rękodzieło.

To był idealny moment.

Gazowy płomień migotał w żyrandolu z brązu zawieszonym ponad ich głowami, a słabnące światło dzienne przeświecało przez rubinowe szkło weneckie w wejściowych drzwiach i naświetlach, przez co pomieszczenie skąpane było w różowym odcieniu. Ustawione pod portretem Adelicii i Emmy *Śpiące dzieci* leżały na cokole, na którym w artystyczny sposób udrapowano aksamitną tkaninę w kolorze ciemnej soczystej zieleni, a biały marmur wręcz świecił w delikatnym oświetleniu.

– Och... – Po tym ledwie słyszalnym okrzyku pani Acklen puściła jego ramię i podeszła bliżej. – Jest jeszcze piękniejsza, niż zapamiętałam. – Przesunęła dłonią po marmurowym kocu przykrywającym dzieci. – Ja pójdę do nich, ale one do mnie nie wrócą – wyszeptała łamiącym się głosem.

Sutton rozpoznał fragment z Pisma Świętego, który sparafrazowała – słowa króla Dawida, jakie wypowiedział po stracie syna. Podziwiał, jak Adelicia potrafiła wziąć te słowa do siebie. Kobieta spojrzała na niego.

– Dziękuję, panie Monroe. Wybór miejsca, sposób prezentacji... Sama nie zrobiłabym tego lepiej...

Sutton pokręcił głową.

– To wszystko zasługa panny Laurent, szanowna pani. Nie moja. To ona podała Eliemu wymiary postumentu i sama przygotowała dekorację

z tkaniny.

Adelicia odwróciła się do Claire, a po jej policzkach płynęły łzy, tak samo jak po twarzy dziewczyny.

– Z całego serca, panno Laurent... dziękuję – rzekła kobieta. – Dopóki żyję w Belmont, nie zmienię miejsca tej rzeźby.

39

Claire skończyła sumować wartości w kolumnie księgi rachunkowej, kiedy u drzwi biblioteki rozległo się pukanie. Szybko zapisała końcowy wynik, gdyż zupełnie nie ufała sobie w kwestii liczb.

– Proszę wejść...

– Dzień dobry, panno Laurent.

Poznając głos Eliego, uniosła głowę i poczuła promieniujący ból w karku. Dopiero po chwili mogła się skoncentrować na osobie odwiedzającego. Zbyt wiele godzin ślęczała pochylona nad liczbami i kwotami, poza tym dochodziło planowanie wraz z panią Acklen do późna w nocy, praca nad albumem dla madame LeVert, załatwianie nie tylko zespołu instrumentów dętych, ale całej orkiestry oraz omnibusów, które miały przywieźć i odwieźć gości, malowanie upominków – sto czternaście bombonierek, tym razem zawierających cukierki z obrazem Belmont dla najzacniejszych zaproszonych, a także niezliczone pozostałe obowiązki na wciąż wydłużającej się liście.

Ostatnie dni mijały jej niczym we mgle i nie miała pojęcia, jak jej się uda zdążyć ze wszystkim na czas.

Pocierając skórę na karku, Claire spojrzała na mężczyznę i odparła:

– Dzień dobry, Eli.

Podniósł płócienny worek.

– Przyszły pocztą kolejne odpowiedzi na zaproszenia, szanowna pani.

– Dziękuję. – Wskazała dłonią na stół w kącie pokoju. – Mógłby je Eli tam położyć? – Pięć tygodni temu zaadresowała i wysłała pięćset siedem zaproszeń, głównie skierowanych do par. Jeszcze do wczoraj, dwudziestego dziewiątego listopada, ośmiuset czterdziestu sześciu zaproszonych przysłało potwierdzenie.

Zerkając na worek, który służący miał w dłoni, przeczuwała, że nie znajdzie tam ani jednej odmowy. To też cieszyło ją, ze względu na panią Acklen, ale równocześnie zastanawiało.

Co do jednej, bez wyjątku, wszystkie panie, które przysłały odmowy na zaproszenie pani Adelicii na podwieczorek w zeszłym miesiącu, od razu przyjęły zaproszenie na przyjęcie dla madame LeVert. I Claire zachodziła w głowę, dlaczego wtedy powiedziały: „nie”, a teraz: „tak”. To raczej zbyt mało prawdopodobne, że wszystkie miały tamten dzień zajęty. Czyżby to obecność madame LeVert miała wpływ na ich decyzję? A jeśli tak było, to czy pani Acklen zdawała sobie z tego sprawę?

Claire wiedziała, że jeżeli odpowiedź na pierwsze pytanie była twierdząca, na drugie również musiała taka być. Ponieważ Adelicia Acklen była najbardziej inteligentną i bystrą osobą, jaką Claire kiedykolwiek poznała. A jednak myśl, że jej pracodawczymi specjalnie urządzała to przyjęcie na cześć madame LeVert, żeby wkupić się w łaski otoczenia, wydawała się niegodna Adelicii. Co więcej... nawet wyrachowana.

Ledwie Claire o tym pomyślała, a już poczuła się, jakby spoglądała w lustro, i wcale nie podobało jej się to, co ujrzała. Tylko że jej sytuacja była inna... przynajmniej tak sobie sama tłumaczyła. Choć nie była zadowolona z porównania, jakie podsuwało jej sumienie.

– Przepraszam, panno Laurent. Nie chciałbym odrywać pani od obowiązków... – rzekł Eli, położywszy egzemplarz gazety na biurku, po

czym wskazał. – ...ale przyjęcie pani Acklen zyskało dzisiaj kolejną wzmiankę w prasie.

Potrzebowała przerwy, więc wzięła gazetę do ręki.

– Dziękuję, Eli.

W tym samym periodyku cztery tygodnie temu ukazał się już artykuł, w którym zapowiedziano wydarzenie „tylko dla zaproszonych gości”, koordynowane przez „osobistą *liaison* pani Acklen”. W pierwszej chwili Claire czuła się nieco dotknięta tym, że autor nie wymienił jej nazwiska... byłoby jej miło zobaczyć je w druku. Ale zaraz potem powróciła myśl o Antoine’ie i cieszyła się na to niedopatrzenie dziennikarza.

Eli przystanął koło biurka.

– Czy potrzebuje pani czegoś, panno Laurent?

Claire zerknęła na księgę rachunkową, a potem westchnąwszy, pomasowała czoło.

– Najlepiej nową parę oczu, żeby sprawdzić te liczby.

Gdy tylko to rzekła, zaczęła żałować swoich słów. Eli umiał się dobrze wysławiać, potrafił czytać i pisać, co nie było powszechne wśród czarnoskórych, jako że wcześniej prawo zakazywało im się uczyć. Nie miała jednak pojęcia, jaki zakres obejmowała jego edukacja, a myśl, że mogła obrazić tego miłego mężczyznę, sprawiała, że...

– Będę zobowiązany, jeśli pozwoliłaby mi pani sprawdzić za panią te obliczenia, panno Laurent.

Claire podsunęła księgę w jego stronę i w dużo szybszym czasie, niż jej zajęło zsumowanie tych liczb, Eli sięgnął po ołówek i dokonał poprawki.

– Może mnie pani sprawdzić, ale jestem przekonany, że tak jest dobrze.

Claire zliczyła ponownie kolumnę, świadoma, że porusza ustami, dodając, i że zegar powoli tyka na kominku. W końcu zerknęła w górę.

– Dziękuję, Eli. I tak szybko to poszło.

Uśmiechnął się i skłonił w jej stronę.

– Zawsze miał Eli talent do liczb?

Wzruszył ramionami.

– Chyba można tak powiedzieć. To przychodzi mi zupełnie naturalnie.

Spojrzała na rzędy i kolumny liczb.

– Chciałabym, żeby mnie również przychodziło to naturalnie.

– Z przyjemnością zrobię dla pani te obliczenia później, panno Laurent. Jeśli tylko będzie pani chciała.

Claire uniosła głowę.

– Naprawdę? Mógłby Eli?

Rozciągnął usta w uśmiechu.

– Oczywiście, szanowna pani. Mógłbym. Kiedyś zajmowałem się rachunkami w biurze pana Franklina, jeszcze w Gallatin. Ale to było dawno temu.

– Pana Franklina – powiedziała Claire. – Pierwszego męża pani Acklen?

Eli kiwnął głową.

– Nie wiedziałam, że pracuje Eli dla pani Acklen tak długo.

– Tak, proszę pani. Jej pierwszy mąż kupił mnie jeszcze przed tym, jak się pobrali.

„Kupił mnie...” – na samo to słowo Claire się wzdrygnęła.

– Panno Laurent?

Claire odwróciła się i dostrzegła w wejściu Suttona.

– Pan Monroe, proszę, wejdź. – Wstała i wygładziła suknię.

– Czy w czymś przeszkodziłem?

– Oczywiście, że nie. Właśnie rozmawialiśmy.

– Jeśli pani wybaczy – wtrącił Eli – chyba już muszę iść na dół, żeby zobaczyć, czy Cordina nie potrzebuje mojej pomocy.

– W porządku. I dziękuję, za to, że zgłosił się Eli do tych rachunków. Będę wdzięczna za pomoc.

– Do rachunków? – podpytał Sutton.

Eli zatrzymał się w miejscu.

– Tak. – Claire skinęła dłonią, wyczuwając krytykę w zwięzłym pytaniu Suttona. – Eli zaproponował, że pomoże mi przy zliczaniu wydatków na przyjęcie. Nie wiem, czy wiesz, panie Monroe, ale Eli zajmował się rachunkami dla zmarłego pana Franklina.

Sutton spojrzał na służącego, który stał teraz ze wzrokiem wbitym w ziemię.

– Nie wiedziałem, że zajmował się Eli tym dla pana Franklina.

– Tak, sir. – Zerknął na mężczyznę. – Przez prawie osiem lat.

Na twarzy Suttona odmalowało się zaskoczenie, a potem podziw. Eli musiał to również dostrzec, gdyż uniósł nieznacznie brodę.

Sutton patrzył na Claire, jakby chciał się wytłumaczyć.

– Przeprowadzałem kontrolę ksiąg rachunkowych z Gallatin na początku mojej pracy dla pani Acklen. Te rachunki... – Sprawiał wrażenie, jakby słowa uwięzły mu w gardle. – To były najdokładniejsze i najlepiej uporządkowane zapisy, jakie kiedykolwiek widziałem.

Eli podniósł jeszcze wyżej głowę.

– Dziękuję, panie Monroe. Miło to słyszeć.

Minęła dobra chwila, zanim Sutton spojrzał na stojącego obok mężczyznę i w końcu odparł:

– Nie ma za co, Eli.

Skinąwszy głową, Eli wyszedł, a Sutton zamknął za nim drzwi. Z ręką na gałce patrzył na Claire.

– O co chodzi? – zapytała.

– Nie mów mi, że zapomniałaś o swoim najbliższym spotkaniu.

Zerknęła na zegar, przeszukując pamięć, a potem pokręciła głową, mówiąc:

– Przykro mi, ale...

Podszedł do biurka, wziął skórzaną aktówkę, którą pani Acklen podarowała jej w Święto Dziękczynienia, i otworzył ją.

– Trzynasty listopada. – Rzucił jej spojrzenie, sugerujące, jakoby ta data miała jakieś szczególne znaczenie.

– Wiem, jaki dzień mamy dzisiaj, Suttonie. Ale...

– Równo o dwunastej trzydzieści.

Doskonale zdawała sobie sprawę, że nie miała nic zapisanego na dzisiaj na dwunastą trzydzieści. Jej kolejne spotkanie z firmą specjalizującą się w dekoracyjnych lampionach i oświetleniu ogrodów było o wpół do drugiej. Mimo to grała dalej.

– A zatem cóż takiego, powiedz mi, mam zaplanowane na dwunastą trzydzieści?

– Lunch, panno Laurent. – Zatrzasnął aktówkę. – Ze mną.

Claire wyszła z nim na zewnątrz, do altany koło domu. Tej, z której „wypadł”. W środku znajdował się patchworkowy koc rozłożony na podłodze i obok koszyk pełen piknikowego prowiantu, czego domyśliła się po wystającym kawałku świeżego chleba. Kolejna rzecz, jaką zauważyła, sprawiła, że zrobiło jej się cieplej na sercu. Koc zdobiły czerwone i pomarańczowożółte liście klonu.

– Nie miałaś zbyt wiele czasu na malowanie – stwierdził. – Nie tyle, ile byś chciała. Więc pomyślałem, że przyniosę ci to, co zostało z jesiennych kolorów. Widziałem fragment obrazu w twoim pokoju. – Sprawiał wrażenie onieśmielonego. – Przyszedłem po ciebie któregoś dnia, ale cię nie było, a drzwi zostawiłaś otwarte. Ten przedstawiający wzgórze w kolorach ognia jest szczególnie piękny.

Claire pokręciła głową, wiedząc, że to było dalekie od jej najlepszego dzieła.

– Dziękuję, Suttonie, ale... nie wyszedł tak, jak chciałam.

Obrazowi wzgórza brakowało czegoś. Tak jak tym przedstawiającym ogród różany i rzeźby, które malowała w ogrodzie. Może chodziło o to mdłe popołudniowe światło, które nie inspirowało jej tak, jak to wcześnie rano... Ale poranki miała ściśle wypełnione obowiązkami. A może wyszła z wprawy, jeśli chodzi o uzyskanie odpowiedniej konsystencji farb albo dobór kolorów. Nie miała pewności. Wiedziała tylko, że nie była zadowolona. Z żadnego z nich. I żaden z nich nie zyskałby poważnego zainteresowania na aukcji, a tym bardziej nie zdobyłby dla niej sławy.

Potrzebowała więcej czasu, by dobrze malować. Dosyć szybko radziła sobie ze szkicem, ale malowanie portretu lub też pejzażu wymagało godzin, jeśli nie dni, wyczerpującego studium. Pomyślała o swoich ogrodach wersalskich. Ile czasu poświęciła na analizowanie stylu i techniki Brissauda, zanim je opanowała. Zanim przyswoiła je jako własne.

Sutton uniósł nieco jej podbródek.

– Obiecuję, że będziesz miała jeszcze czas, by częściej malować. Ale chciałbym, żebyś wiedziała, że robisz wspaniałą rzecz z tym przyjęciem. Zapowiada się ono na największe wydarzenie, jakie widziało Nashville. – Strącił pasmo włosów z jej ramienia. – I może byłaś zbyt zajęta, aby to zauważyć, ale pani Acklen znowu zaczęła otrzymywać zaproszenia. Odwiedza znajomych w mieście. Zanosi kwiaty i żywność ludziom z Kościoła. Od bardzo dawna nie widziałem jej tak szczęśliwej czy też tak... pełnej nadziei.

Claire zrobiło się miło na ten komplement, ale jej uwagę przykuło jedno.

– Znów otrzymuje zaproszenia? Co przez to rozumiesz?

Sutton odwrócił wzrok, jakby uświadomił sobie, że powiedział za dużo.

– Nie chodziło o nic szczególnego. Tylko o to... – Zrobił się nagle poważny. – Czasem ludzie o takim bogactwie i wpływach jak pani Acklen stają się przedmiotem plotek lub drwin obojętnie, czy sobie na to zasłużyli, czy nie. Jak sama widzisz... – Wskazał na otoczenie. – ...pani Acklen wyszła po wojnie na swoje. I niektórzy jej tego zazdroszczą.

Claire chciała go zapytać, czy on również jej zazdrościł, ale nie potrafiła się zdobyć na to pytanie.

– Chodziło mi o to – mówił dalej – że to zmieniło się dzięki tobie. I jestem ci za to ogromnie wdzięczny.

Stając na palcach, pocałowała go w policzek, licząc na to, że może w ostatniej chwili on się odwróci i trafi na jego usta, ale nie stało się tak. I sama stwierdziła, że to też wystarczy.

Rozmawiając podczas posiłku, szybko rozprawili się z pieczywem, plastrami szynki i sera. Na deser – a Cordina nalegała, by towarzyszył on każdemu posiłkowi – zjedli po jednej z drożdżowych bułeczek Cordiny. Została trzecia i oboje na nią zerkali.

– Możemy urządzić zapasy o to ciastko – rzekł i posłał jej takie spojrzenie, że cieszyła się z chłodnego powiewu.

Claire skoczyła w stronę ławki z boku altany i oparła łokieć na brzegu.

– Lubisz te bułeczki, co? – rzucił z uśmiechem.

Przypomniawszy sobie zagrywki z dzieciństwa, wyszczerzyła zęby w uśmiechu i zawołała:

– Jak nie przyjdziesz tu, zanim doliczę do trzech, zrzekasz się ciastka. Raz, dwa, trzy – dodała szybko.

Ale on zjawił się koło niej w mgnieniu oka. Oparł łokieć obok i złapał za jej dłoń.

– Widzę, że oszukujesz w zapasach tak samo jak w warcabach.

– Nie oszukiwałam w warcabach! Bezdyskusyjnie wygrałam!

– Kreolskie warcaby? Kreolskie?! – Posłał jej wymowne spojrzenie. – Nie ma czegoś takiego.

Zagryzła dolną wargę, aby się nie uśmiechać.

– My właśnie tak gramy w warcaby w Luizjanie.

Pokiwał głową.

– W takim razie ja ci pokażę, jak wyglądają zapasy w Tennessee. – Wsunął drugą rękę pomiędzy ich łokcie, a ona, idąc za jego przykładem, zrobiła to samo i złapała za jego przedramię. Następnie on pociągnął jej ramię i cała jej ręka znalazła się bliżej niego.

40

Claire cieszyła się z każdej płaszczyzny i każdego punktu, w których ich ciała się stykały – ich dłonie, ramiona, kolana. A jeszcze bardziej z intymności, jaką dawała im porośnięta winoroślą altana.

– Chcesz, żebym jeszcze raz liczyła? – Nie czekając na odpowiedź, zawołała: – Raz, dwa, trzy! – Nacisnęła na jego rękę, ale to nic nie dało. Nie mogła przestać się śmiać, co tym bardziej nie pomagało jej w zwycięstwie.

Sutton uśmiechnął się szerzej.

– To najbardziej żałosna próba oszustwa, jaką kiedykolwiek widziałem, panno Laurent.

Claire zachichotała, ale nadal naciskała, bardzo pragnąc wygrać i wiedząc, że jej czas i siły były policzone. Już i tak odczuwała zmęczenie wysiłkiem, podczas gdy Sutton wydawał się zupełnie spokojny. Jego ramię było jak z kamienia.

Podniosła się i uklęknęła na ławce, żeby mieć lepszą siłę nacisku, a on bez trudu przyciągnął jej rękę jeszcze bliżej. Muskał wargami jej zgięte palce, powoli i cierpliwie, a siły Claire jeszcze bardziej uleciały. Dotyk jego ust łaskotał ją, gdy całował jej dłoń, a następnie nadgarstek. W jego oczach zaś czaił się kpiarski uśmieszek.

– To, co pan wyprawia, panie Monroe... – Wzięła gwałtowny wdech. – ...w Luizjanie byłoby uznane za oszustwo.

Poczuła na skórze ciepło jego śmiechu i przeszyły ją dreszcze od stóp do głów.

– Szanowna pani, my, chłopaki z Tennessee, tak po prostu uprawiamy zapasy.

Ku własnemu zdziwieniu Claire zbliżyła się ponad łączącą ich plątaniną rąk i pocałowała go, pieszcząc jego wargi dokładnie tak samo, jak on przed chwilą jej dłoń.

– Ale to... – wyszeptał w trakcie pocałunku – to już na pewno byłoby uznane za oszustwo... w każdym stanie.

Claire uśmiechnęła się i cofnęła lekko, z uwielbieniem obserwując wyraz oszołomienia w jego oczach i to, że jego ramię zdecydowanie leżało na ławce pod jej ręką. Nawet nie zauważył.

– Dziękuję za drożdżową bułeczkę, Suttonie – szepnęła.

Zmarszczył czoło i spojrzał w dół.

– No nie wierzę!

Śmiejąc się, sięgnęła po ostatni wypiek, po czym ugryzła spory kęs i podała mu do ust resztę.

Spakowali wszystkie rzeczy piknikowe i odprowadził ją z powrotem do domu, ale wciąż mieli trochę czasu. Firma umówiona na kolejne spotkanie jeszcze nie dotarła. Claire z daleka dostrzegłaby nadjeżdżającą karetę.

W bibliotece Sutton wziął jedną z bombonierek, które malowała, i uważnie oglądał udekorowane pudełko.

– Masz wielki talent, Claire. Gdzie się nauczyłaś malować?

– W domu, od matki. Ale jej talent znacznie przewyższał moje zdolności. – Szukała pośród teczek na biurku tej, która była jej potrzebna na następne spotkanie. – Jak to mój ojciec często powtarzał, nie ma nic wyjątkowego w moim talencie. – Gdy tylko to wyznała, zacisnęła zęby.

Mijały kolejne sekundy i w końcu podniosła wzrok, licząc, że Sutton nie zwrócił na to uwagi.

Patrząc na nią bacznie, zapytał:

– Twój ojciec tak powiedział?

– Suttonie, ja... przepraszam. Nie powinnam mówić źle o nieżyjących.

Odłożył bombonierę na półkę z pozostałymi pudełkami.

– Oczywiście, Claire, nie jestem w stanie ocenić talentu twojej matki, jednak patrząc na to i na obrazy w twoim pokoju... – Pokręcił głową. – Raczej nie da się powiedzieć o twoim talencie, że jest przeciętny. I wybacz mi, ale... trudno mi jest sobie wyobrazić, że ojciec może mówić takie rzeczy córce.

Claire spuściła z powrotem wzrok na biurko i zaczęła na nowo przerzucać teczki, nawet nie wiedząc, czego jeszcze szukała. Po prostu nie chciała, by on widział jej łzy. Łzy za ojcem, o którym wiedziała, że nigdy jej nie kochał. Przynajmniej nie na tyle, by rzeczywiście to czuła. Przynajmniej w porównaniu z miłością matki. I z miłością panującą w tym domu – tą, jaką pani Acklen darzyła dzieci, a one ją, tą, którą darzyli się Eli i Cordina oraz służący, którzy w większości byli spokrewnieni.

– Claire?

– Tak? – odparła, nie podnosząc oczu.

– Wszystko dobrze?

– Tak... O! – Z wymuszonym uśmiechem wyjęła teczkę ze sterty. – Wiedziałam, że gdzieś to tutaj musiało być! – Pozbierała już emocje i podniosła wzrok, ale czułość w spojrzeniu Suttona nieomal na nowo ją rozłożyła. Widząc, że zamierzał coś powiedzieć, pokręciła przecząco głową. – Proszę, nie... – szepnęła, marząc, żeby zaraz przyjechała firma na spotkanie albo żeby Eli nagle zapukał do drzwi... cokolwiek, byle tylko uniknąć teraz tej rozmowy.

– Claire... – Głos Suttona był cichy i dawał poczucie bezpieczeństwa. – Wiesz, że możesz mi wszystko powiedzieć.

Dziewczyna westchnęła, żałując, że to nie jest prawda.

– Ja i ojciec... Jak już kiedyś mówiłam, nie byliśmy sobie zbyt bliscy, ale to nie tylko to. Łatwo tracił panowanie nad sobą i czasem...

– Czy wyrządził ci jakąś krzywdę?

– Nie – odparła, widząc gniew w jego oczach. – Nigdy mnie nie uderzył, jeśli o to ci chodzi. – *Pozwolił to zrobić Antoine'owi DePaulowi* – dodała w myślach. – Patrząc z perspektywy czasu, wydaje mi się, że on po prostu nie był szczęśliwym człowiekiem. A może... nie był zadowolony ze mnie... albo z mojej matki. – Pokręciła głową. – Sama nie wiem. Ale to już nie jest ważne, ponieważ go nie ma, a ja mam się dobrze. – Przybrała na twarz najdzielniejszy wyraz, na jaki było ją stać.

Podszedł bliżej.

– Twoja matka z takim talentem z pewnością żyła ze sztuki. Czy twój ojciec również?

Claire zorientowała się, że próbuje sklecić odpowiedź tak, by nie była obarczona ciężarem kłamstw, ale też nie mogła sobie pozwolić na lekkość prawdy.

– Moja matka była artystką, a mój ojciec... – Zerknęła w dół, jakby szukała kolejnej teczki. – Był pośrednikiem dzieł sztuki. On... – Zmusiła się, by podnieść wzrok. – Kupował i sprzedawał obrazy i rzeźby.

Sutton uśmiechnął się.

– Zdaje się, że chyba tym właśnie powinni się zajmować pośrednicy dzieł sztuki.

– Tak. – Uśmiechnęła się także, ale jakoś tak nie do końca naturalnie. Nie chciała mu mówić o tym, że jej rodzice prowadzili galerię sztuki. To byłaby zbyt szczegółowa informacja dla jej kurczącego się poczucia

komfortu. Jednak wiedziała, że jeśli on zapyta wprost, choć szanse na to nie były wielkie... *Och, Boże, proszę, by były niewielkie.* Wtedy powie mu wszystko.

– Twoi rodzice pracowali razem?

Wzniosła ku niebu kolejną modlitwę i kiwnęła głową.

– A gdzie?

Claire odwróciła się, jakby chciała wziąć coś, co leżało za nią, i zacisnęła mocno powieki, czując, że zaczyna się trząść. Miała wrażenie, że dokładnie znał odpowiedzi na te pytania, których ona nawet nie chciała słyszeć. Wzięła wdech i mając nadzieję, że się nie zająknie, odparła:

– Pracowali w galerii sztuki.

– Och, musiałaś być zachwycona. Mogłaś być w otoczeniu tylu dzieł...

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– To nie było tak, Suttonie. To znaczy nie tak jak w Belmont. To wszystko tutaj... – Wskazała dłonią na otaczający ich dom. – Dzieła, które zgromadziła pani Acklen... są znacznie lepsze niż jakikolwiek obraz czy rzeźba, którymi handlował mój ojciec lub też z którymi ja miałam styczność.

Przeszedł na jej stronę biurka.

– Mówiłaś mi już o śmierci twojej matki. Ale zastanawiam się, o ile nie wykraczam poza dopuszczalne granice i nie jest to dla ciebie zbyt bolesne... – ciągnął łagodnym głosem, nieco mocniejszym od szeptu. – Nigdy nie wspominałaś mi, jak zmarł twój ojciec...

Musiała sobie sama przykazać, by oddychać.

– Zmarł nieoczekiwanie, po tym jak opuściłam Nowy Orlean. Dowiedziałam się dopiero po przyjeździe do Nashville. – Patrzyła za czymkolwiek, czym mogłaby zająć ręce, ale nic takiego nie znalazła.

– Zatem... twój ojciec nie zmarł w wyniku długiej choroby, tylko raczej... nagle.

To nie było pytanie i mogłaby pomyśleć, że Sutton wiedział już dokładnie, co się stało tamtego dnia, gdy wyjechała z Nowego Orleanu. Ale to było absurdalne! Choć bardzo chciała zapomnieć o swojej przeszłości, czuła też mocno inne pragnienie w sercu – by już nigdy więcej nie kłamać. I nie wobec tego człowieka.

– To była kradzież z włamaniem. Do galerii. – Czuła się tak nierealnie, słysząc te słowa z własnych ust, a tamte sceny były wciąż żywe w jej pamięci. To, gdy klęczała nad ojcem, a krew plamiła jej dłonie. – Mój ojciec był ranny. Doktor powiedział mi, że wydobrzeje, że rany nie... – Wzięła głęboki wdech i spotkała się wzrokiem z Suttonem. – Nie zagrażają jego życiu. Ale... się mylił.

Mężczyzna wyciągnął dłoń i dotknął jej policzka.

– I wtedy po raz ostatni się z nim widziałaś, tego dnia, kiedy wyjechałaś?

Kiwnęła głową, a w oczach stanęły jej łzy.

Tętent końskich kopyt i skrzypienie wozu zapowiedziało przyjazd na spotkanie przedstawicieli firmy. Claire zgarnęła wszystko, czego potrzebowała, i już miała wyjść, ale Sutton zaskoczył ją, ujmując nagle za rękę.

– Cieszę się, że podsłuchałaś te kobiety tamtego ranka, gdy się po raz pierwszy spotkaliśmy – szepnął, całując jej dłoń.

Claire przeniknęło dziwne uczucie.

– A ja się cieszę, że zmusiłeś mnie do spowiedzi. – Zarówno wtedy, jak i teraz... Choć w głębi duszy żałowała, że Sutton nie zna jednak całej prawdy, tak by nie musiała się już więcej martwić i bać, iż sam się dowie.

Wiedziała, co należało zrobić, żeby tak się stało. Ale cena... Cena rosła z dnia na dzień.

Sutton przyciągnął ją bliżej i Claire wtuliła głowę w jego pierś, wsłuchując się w rytmiczne bicie jego serca. I mogłaby przysiąc, że w westchnieniu, które usłyszała, słychać było tyle samo ulgi, co w jej.

~

Kareta zatrzymała się przed wejściem do Belmont. Claire czekała, aż Eli pomoże wysiąść najpierw pani Acklen, a potem jej. Czuła się przytłoczona... tak wiele już zrobiła w ciągu ostatnich tygodni w ramach przygotowań na przyjęcie, a tyle jeszcze miała zaplanowane na najbliższe dwa dni.

Głównym wejściem wybiegli Pauline i Claude, by przywitać się z matką.

Claire bardzo polubiła lekcje rysunku z Pauline. Nawet Claude i William uczestniczyli w nich od czasu do czasu. Zgodnie ze słowami pani Acklen dziewczynka wykazywała zaskakujący talent jak na sześciolatkę.

– Miały panie miły wyjazd, pani Acklen? – Eli podał dłoń Claire i pomógł wysiąść z powozu.

– Tak, Eli – odparła zapytana, tuląc dzieci. – Jak najbardziej. Razem z panną Laurent zatwierdziłyśmy każdą ozdobę cukierniczą na stoły, każdy kwiat w doniczce i każdą kwitnącą kamelię.

– Na pewno się panie napracowały, szanowna pani. – Eli puścił oko w stronę Claire i przysunął się bliżej, gdy pani Acklen odeszła kawałek. – Jak się pani dzisiaj miewa, panienko Laurent?

– W porządku, Eli. Tylko jestem trochę zmęczona. – Co nie było do końca prawdą, bo czuła się wyczerpana. Nie pamiętała już, kiedy ostatnio była tak zmordowana.

Pani Acklen dopiero rano powiedziała jej, że będzie potrzebowała jej pomocy w mieście. Kto by pomyślał, że akceptacja ostatecznych wyborów zajmie tak długo? Claire miała tylko nadzieję, że remont podłogi w wielkim salonie zostanie ukończony zgodnie z tym, jak obiecał jej Sutton.

Zaledwie wczoraj odkryli, że legary podłogowe pod salonem są osłabione. Robotnicy pracowali w piwnicy całe popołudnie i zaraz rano, gdy damy wyjechały, wrócili, by stukać i pukać, i wnosić kolejne belki nośne. Pani Acklen wykazała zaskakującą powściągliwość wobec tej nowiny, ale dla Claire to był cios. Tylko że ona nie mogła się skarżyć.

Nawet w sytuacji, gdy czekało ją tyle pracy w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin, jej życie było jak marzenie dla większości ludzi. Łatwo było o tym zapomnieć, mieszkając tu, w Belmont. Ale poza rezydencją... Kiedy jechały przez Nashville w karecie, która zapewne kosztowała więcej, niż niejeden człowiek zarobił w ciągu całego życia, nie mogła się nadziwić, jak wiele dał jej Bóg od chwili, gdy pojawiła się w Belmont. A przecież wcale na to nie zasługiwała.

– Cała ta wrzawa z przyjęciem wkrótce ucichnie, panno Laurent. I będzie pani mogła wrócić do normalnej pracy. – Eli zmarszczył brwi. – I do pani malowania.

Claire skinęła głową, zastanawiając się, czy rzeczywiście kiedykolwiek będzie miała czas, by prawdziwie zająć się malarstwem. Zwłaszcza w sytuacji, gdy jutro miały przyjechać panie LeVert. Obawiała się ponownego spotkania z Carą Nettą.

– Ma pani talent od Boga – mówił dalej Eli. – I nie należy ukrywać czegoś takiego. Ludzie powinni to zobaczyć. To, co zrobiła pani dla Cordiny i kobiet w kuchni... – Pokręcił głową i cmoknął tak, jakby próbował świeżej bułeczki drożdżowej pieczonej przez jego żonę. – Teraz

jest tak, jakby miały tam na dole okna. Nawet nie czuć, że jest się pod ziemią.

Etykieta tego zakazywała, ale Claire odczuwała ochotę, by go uścisnąć. Tak dobrze się bawiła, malując te białe gipsowe ściany. Zrobiła to późno w nocy przy świetle latarni, gdy pomimo zmęczenia nie mogła spać i kiedy tak bardzo pragnęła malować, jednak nie miała możliwości skupić się na tyle, by stworzyć coś wartościowego.

Namalowała widoczki ogrodów różanych z altanami, rzeźbami i fontannami. Zmieściła tam nawet obraz stłoczonych ceglanych domków dla służby. To była dla niej niezła okazja do wprawek, bo malowała je w stylu François-Narcisse'a Brissauda. Oczywiście te obrazy nie zdobyłyby żadnej nagrody, ale uśmiech, jakim obdarzały ją pracujące tam kobiety za każdym razem, gdy wchodziła do kuchni, był balsamem na jej serce.

Jednakże do marca powinna namalować coś, co będzie na tyle wartościowe, by mogło zostać zgłoszone na aukcję.

– Dziękuję, Eli. – Zakryła dłońmi jego ręce, uśmiechając się, gdy zobaczyła jego rozwarte ze zdziwienia oczy. – Cała przyjemność po mojej stronie. Wy z żoną sprawiliście, że czułam się tu przyjęta. Tak, jakby to było moje miejsce.

Uścisnął jej dłoń w odpowiedzi.

– Ja to tak widzę, panno Laurent, że pani miejsce jest właśnie tu, w Belmont, szanowna pani. Bo gdyby tak nie było, dobry Bóg nie przyprowadziłby pani tutaj. On wie, co pani tu robi, nawet jak pani sama tego nie wie.

– Panno Laurent?

Claire podniosła oczy i dostrzegła, że Sutton stoi w portyku przy głównych drzwiach. Serce ścisnęło się jej radośnie. Tuż obok niego stała pani Acklen.

– Tak, panie Monroe?

– Potrzebna jest pani obecność, jak i pani Acklen, w wielkim salonie. Wciąż mamy... – Odwrócił szybko wzrok. – Cóż, najlepiej, jak same panie przyjdą i zobaczą.

Poczuła niemiły ucisk w gardle. Podczas śniadania obiecywał, że zdążą na czas. Ojej, jeśli jednak nie...

Ruszyła szybko w górę schodów i z zadyszką przeszła za nim i panią Acklen przez wejściowy hol. Dom był dziwnie cichy w porównaniu do uprzednio panującego tu poruszenia. Przygotowując się na najgorsze, weszła do wielkiego salonu i stanęła jak wryta.

41

Na środku pokoju stała przynajmniej półtorametrowa rzeźba anioła ustawiona na wypolerowanym marmurowym podeście. Z tyłu widać było elegancko złożone delikatne skrzydła wyrzeźbione z białego marmuru jak reszta nagiej anielskiej sylwetki. Claire była w stanie tylko tkwić w miejscu i gapić się bez słów.

– Może mnie pani uznać za winną, panno Laurent – rzekła pani Acklen, stojąca tuż obok – wszelkich pani trosk, jakie spowodowało stworzenie przez pana Monroego całego problemu z podłogą. Tym razem to ja chciałam zaskoczyć panią, wiedząc, jak bardzo podziwia pani takie rzeczy.

Z chłopięcym urokiem Sutton wskazał na rzeźbę.

– Przepraszam, jeśli panią zaniepokoiłem, panno Laurent. Musieliśmy wzmocnić podłogę pod wielkim salonem, żeby utrzymać ten ciężar.

Nagle troski ustąpiły i Claire rozpromieniła się w uśmiechu. Ci dwoje chcieli jej zrobić taką niespodziankę...

– Mają państwo moje wybaczenie. Dziękuję państwu, z całego serca.

Pani Acklen zachęciła ją gestem, by podeszła bliżej.

– Kupiłam ją w drodze powrotnej z Europy, w Nowym Jorku. Nosi tytuł *Peri*, z poematu Thomasa Moore’a *Raj i Peri*. Tak się cieszę, że zdążyła dojechać przed przyjęciem.

Claire obserwowała uważnie idealną formę ludzkiego ciała. Sądząc po długich, spływających włosach i lekkiej krągłości biustu, postać anioła była kobietą. Artysta gustownie resztę pozostawił wyobraźni widza.

– Kto jest autorem?

– Joseph Mozier, Amerykanin. I jak sam mi wyjaśnił – ciągnęła pani Acklen – anioł stoi u wrót raju. W prawej ręce trzyma łzy skruszonych grzeszników...

Claire przyjrzała się bliżej prawej ręce anielicy, którą ta trzymała przy boku z otwartą dłonią. Tak jak mówiła pani Acklen, na środku były trzy łzy.

– A w lewej dłoni trzyma jedno z naczyń leżących u brzegu jeziora, z którego piją odkupieni grzesznicy.

Wyrzeźbiona postać tuliła naczynie blisko piersi.

– Piękne – wyszeptała Claire, zachwycając się tym, jak wiele emocji potrafił wzbudzić ten rzeźbiarz. Nigdy nawet nie słyszała o Josephie Mozierze, a on tworzył takie dzieła.

– Tak... to prawda. – Oczy pani Acklen były wilgotne od emocji. – Podoba mi się zwłaszcza podpis z tyłu postumentu.

Claire pochyliła się, by go odczytać.

– „Radość, radość wieczna, zadanie wykonane. Bramy przekroczone, niebo wygrane”.

– Czyż to nie jest pokrzepiająca myśl? – Pani Acklen pogładziła łzy na dłoni anielicy. – Koniec ze smutkiem i poczuciem straty, tylko radość.

– Tak, proszę pani – wyszeptała Claire.

Ta myśl istotnie była miła, jednak cała jej uwaga skupiła się na naczyniu, które trzymała marmurowa postać. „Jedno z naczyń leżących u brzegu jeziora, z którego piją odkupieni grzesznicy”...

Podczas porannego czytania natrafiła na fragment o kobiecie, która była spragniona i przyszła zaczerpnąć wody ze studni. Jezus odpoczywał tam i powiedział do niej, że może jej dać wody żywej. Claire przełknęła, zastanawiając się, czy ta woda, którą wtedy obiecywał Jezus, była tą samą przedstawioną w naczyniu anielskim. A jeśli tak było, jak mogła jej zaczerpnąć?

~

Kolejnego wieczoru Claire, kładąc się do łóżka, nie mogła uwierzyć, że nadszedł już prawie dzień przyjęcia. Za niecałe dwadzieścia cztery godziny „największe przyjęcie, jakie widziało Nashville” – według relacji prasowej – będzie już w toku i ziszczą się te wszystkie tygodnie przygotowań i pracy.

Nie było późno, trochę po dziewiątej, ale wszyscy udali się wcześniej na spoczynek ze względu na jutrzejsze wydarzenie. Drżąc pod zimną pościelą, Claire nasunęła kołdrę pod brodę i czuła, że powieki ma tak ciężkie, że nie może już ich utrzymać.

U drzwi rozległo się pukanie.

Było jej chłodno w łóżku, ale wiedziała, że poza nim będzie jeszcze zimniej, więc przez chwilę się namyślała, a potem zawołała:

– Tak?

– To ja, Adelicia Acklen. Czy mogłabym z panią chwilkę porozmawiać, panno Laurent?

Claire zerwała się z posłania. Ogień w kominku się palił, ale drewniane podłogi bez dywanów, nie licząc tego jednego przed kominkiem, przenikał grudniowy ziąb. Miała gęsią skórkę, gdy sięgnęła po okrycie, które zarzuciła na ramiona.

Otworzyła drzwi i ujrzała panią Acklen odzianą w peniuar, stojącą nieco z boku z lampą oliwną w dłoni.

– Przepraszam, panno Laurent. Była już pani w łóżku?

– Nie, to znaczy... tak, proszę pani, byłam, ale jeszcze nie spałam.

– Czy mogłabym wejść?

– Oczywiście. – Claire otworzyła szerzej drzwi. – Czy coś się stało? – Dopiero wtedy dostrzegła, że pani Acklen ma przez ramię przewieszony pokrowiec na suknię.

Dama weszła do pokoju i rozejrzała się. Spięła ramiona i rzekła:

– Zimno tu, panno Laurent. Dlaczego pani nic nie powiedziała? Proszę dopilnować, by do końca tygodnia zamówiono i rozłożono dywany.

Claire zaczęła już mówić, że to niekonieczne, ale nagle uświadomiła sobie, że z zimna ledwie czuje stopy.

– Dobrze, proszę pani... Dziękuję, proszę pani.

– W co zamierza się pani ubrać na przyjęcie, panno Laurent?

Nie spodziewała się takiego pytania. Claire przeszła do małej szafy i wyjęła jedną z nowych sukni. Ciemnoszara, ta, którą Sutton nieraz chwalił, gdy ją miała na sobie.

– Wyczyściłam ją już dziś wieczorem i wypastowałam buty, więc jestem gotowa. – Pokazała suknię do inspekcji, wiedząc, jak mocno pani Acklen zwraca uwagę na zadbany wygląd.

– Jest bardzo ładna, panno Laurent, lecz wydaje mi się, że mam coś, co będzie lepiej pani – i na tę uroczystość – pasowało. Najpierw jednakże... – Pani Acklen rozłożyła pokrowiec na łóżku. – Chciałam przypomnieć pani, że jestem wielkim zwolennikiem trzymania się konwenansów. Na pewno to pani wie.

Claire skinęła głową na znak potwierdzenia.

– Jednakże są takie chwile w życiu, kiedy uważam, iż stosowanie się do oczekiwań społecznych może być... przytłaczające. A nawet obezwładniające. I wcale nie konieczne.

Choć miała ochotę kiwnąć głową, Claire w ogóle nie była pewna, na co tak naprawdę by się zgadzała, więc zamiast tego uniosła brwi i przechyliła lekko głowę na bok. Nauczyła się tego gestu od pani Acklen, a oznaczał on skupienie na rozmówcy, jakkolwiek bez wyraźnej aprobaty.

Pani Acklen zaśmiała się.

– Całkiem nieźle opanowała pani ten gest, panno Laurent – rzekła, przesuwając palcem wzdłuż krawędzi pokrowca. – Proszę pozwolić, że wyrażę się nieco jaśniej. Spędziłam większość życia w czerni. I teraz, gdy przeżywam kolejny okres, zaczęłam się zastanawiać, czy czas związany z tą tradycją nie jest trochę nie do końca przemyślany. Czy kiedy umrę, chciałabym, by Pauline nosiła na sobie wspomnienie mojej śmierci przez cały rok? Albo dwa? Czy chcę, by wciąż skupiała się na tym, że nie ma mnie już z nią? A może wolałabym, żeby, oczywiście, przeżyła po mnie żałobę, ale potem zaczęła żyć własnym życiem i żyła oraz ubierała się tak, by widać było, że cieszy się moim wiecznym dziedzictwem?

Claire wyczuła, że to było pytanie retoryczne. Jednak gdyby miała wyrazić swoje zdanie, od razu wybrałaby tę drugą odpowiedź.

– Oczywiście pod żadnym pozorem nie jest pani zmuszona, panno Laurent, by założyć tę suknię na przyjęcie, ale wydaje mi się, że wyglądałaby na pani cudownie. – Wyjęła strój z pokrowca. – I szczerze mam nadzieję, że ją pani założy.

42

Może pan być pewien, panie Monroe, że dopilnujemy, by wszystko było bezpieczne. Goście nawet nie będą wiedzieli, że tu jesteśmy.

– Dziękuję, Matthews. – Sutton uścisnął dłoń mężczyzny i po raz ostatni rozejrzał się po galerii. Wszystkie drzwi były zamknięte na klucz oprócz głównego wejścia, przez które miarowo napływali kolejni goście. Ostatnia kradzież w jednym z domów w mieście, i to w dodatku podczas spotkania towarzyskiego, skłoniła Suttona do wzmożenia zwykłej czujności. – Przyjdę tu jeszcze zobaczyć później wieczorem.

– Doskonale, sir.

Sutton wyszedł na zewnątrz w rześki grudniowy wieczór i czuł się, jakby przechadzał się po baśniowym świecie. Belmont było skąpane w kaskadach migotających świateł, a chłodne wieczorne powietrze dudniło wręcz od oczekiwania. Był na miejscu, kiedy firma od oświetlenia montowała setki latarni olejnych oraz swoich świecących wynalazków na całym przyległym terenie – rozwieszając je w ogrodach, na treliażach, wzdłuż ścieżek, począwszy od zwieńczonego bramą wjazdu do Belmont przez całą drogę, aż do wejściowych schodów. Jednak teraz widok zapalonych świateł był niesamowity.

To było coś cudownego. Jak nie z tego świata!

Mężczyzna skierował się w stronę rezydencji, lawirując pomiędzy karetami i omnibusami, z których na całej długości frontowego kolistego podjazdu wysiadali goście. Śmietanka towarzyska Nashville w całej swojej

krasie. Patrzył uważnie, gdzie stawiał kolejne kroki. Zwierzęta znaczyły teren szybciej niż Zeke i pozostali stajenni byli w stanie sprzątać.

Na terenie posiadłości porozmieszczane były ogromne żeliwne kotły do wypalania cukru, by ich ogniska rozpieszczały miłym ciepłem gości, którzy przechadzali się po ogrodach lub też czekali na wejście do rezydencji. A później, żeby ogrzać ich, gdy będą chcieli na chwilę odetchnąć chłodnym wieczornym powietrzem tak przyjemnym po opuszczeniu zatłoczonych pokoi i korytarzy domu.

Sutton przyglądał się temu wszystkiemu z podziwem. Claire Laurent była nieoceniona. A Adelicia Acklen będzie na ustach wielu w mieście przez całe miesiące, a może i nawet lata. Cokolwiek ją kiedyś dzieliło od towarzystwa w przeszłości, dzisiaj ulegnie zniszczeniu – wszelkie mury runą.

Tak jak zarządziła Claire, w każdym oknie domu płonęły świece, a z oddali dobiegały dostojne dźwięki zespołu instrumentów dętych. Tryle głównej trąbki były silne i wyraźne oraz doskonale rytmiczne.

Ostatnio widział Claire kilka godzin temu. Była stosunkowo spokojna i pilnowała, żeby wykonano wszystko co do najdrobniejszych szczegółów. Kiedy żegnała się z nimi, aby iść do siebie przygotować się, sprawiała wrażenie równie podekscytowanej co Adelicia i panie LeVert, które spędziły całe popołudnie za drzwiami sypialni na pierwszym piętrze rezydencji.

Wczoraj wieczorem widział się przez chwilę z Carą Nettą podczas kolacji, tuż po ich przyjeździe, ale relacje między nimi były raczej napięte. Nawet madame LeVert i Diddie zachowywały wobec niego pewną chłodną powściągliwość. Rozumiał to, mimo tego nadal uważał, iż podjął dobrą decyzję. Dla wszystkich.

Widząc rękodzieła Claire na każdym kroku, przypomniał sobie tamtą rozmowę w bibliotece i to, co usłyszała od swojego ojca. Sutton nie mógł w to uwierzyć. Wierzył oczywiście, że było tak, jak mówiła, ale trudno mu było pojąć, jak ojciec mógł powiedzieć coś takiego o córce. A po cierpieniu malującym się w oczach Claire wnosił, że słowa Gustave'a Laurenta raniły ją niejednokrotnie.

W świetle tego odkrycia postanowił, że nie będzie wspominał o raporcie dotyczącym jej przeszłości. Otrzymał odpowiedzi na wszystkie pytania, więc jego, a także pani Acklen, wątpliwości zostały rozwiane.

– Monroe!

Sutton odwrócił się i dostrzegł pana Holbrooka, który zmierzał ścieżką ze swoją żoną, Mildred, pod rękę.

– Dobry wieczór, sir, pani Holbrook. – Dołączył do nich i ruszyli razem.

Oczy Mildred błyszczały w złotym blasku świateł latarni.

– Jeszcze nigdy nie widziałam czegoś tak pięknego! Pani Acklen tym razem naprawdę przeszła samą siebie. Już nikt z nas nigdy nie ośmieli się urządzić przyjęcia w Nashville!

Sutton poczuł przypływ dumy.

– To osobista *liaison* pani Acklen, panna Claire Laurent, przygotowała wszystko na ten wieczór, co do najdrobniejszych szczegółów. Przekażę jej państwa komplementy, pani Holbrook.

– Byłoby mi miło, gdybym mogła zostać przedstawiona tej pannie Laurent, jeśli byłaby taka możliwość. Wtedy z pewnością sama bym jej to powiedziała.

Sutton pokiwał głową.

– Myślę, że będę mógł to załatwić.

– Czy otrzymałeś ostatnio jakieś wieści od twojej drogiej matki? – zapytał Holbrook.

– Dostałem list dwa dni temu. – Sutton usłyszał swoje nazwisko i skinął głową, witając nowo przybyłych gości. – Ma się dobrze. I... przynajmniej na razie... – Posłał im spojrzenie, świadom, że oni znają ekscentryczną naturę jego matki. – Twierdzi, że jest zadowolona z życia ze swoją siostrą i nie myśli o przyjeździe do Nashville aż do najbliższej jesieni.

Ku znacznej uldze syna.

U wejścia do rezydencji było tłoczno, ale w końcu udało im się dostać do środka i muzyka grana przez zespół instrumentów dętych na trawniku przed wejściem ucichła, a do ich uszu dotarły słodkie dźwięki orkiestry smyczkowej, która czekała na nich w wielkim salonie.

Stoły i krzesła zdobiły cynamonowe saszetki i poduszki, nadając pomieszczeniu przytulną atmosferę. Wszystkie stoły wieńczyły kamelie w doniczkach i cukiernicze ozdoby, a poinsencje dodawały kolorystycznego akcentu.

Goście zbici w grupkę stali przed *Rut zbierającą pokłosie* i nie brakowało pomruków oraz uniesionych brwi. Natomiast państwo Holbrookowie przystanęli, by podziwiać *Śpiące dzieci*, ale Sutton poszedł dalej. W oddali mignęły mu Adelicia i pani LeVert na podium na końcu wielkiego salonu, skąd witały gości. Obok nich to samo robiły Diddie i Cara Netta. Adelicia prezentowała się tak promiennie w sukni, którą miała na sobie, gdy przedstawiano ją na dworze Napoleona...

Kobiety wyglądały po królewsku, bo i też tak je postrzegano w Nashville. Otoczone były znaczną atencją gości i Sutton z zadowoleniem zauważył liczne grono mężczyzn zabiegających o uwagę Cary Netty.

Przystanął, rozglądając się w poszukiwaniu Claire ponad głowami zgromadzonych. I nagle, niczym rozstępujące się wody Morza Czerwonego, tłum się rozdzielił, znikając w pobocznych pokojach i robiąc miejsce w korytarzu. Wtedy właśnie ją zobaczył...

Stała u wejścia do wielkiego salonu, odziana w lekko opalizującą niebieską suknię, i patrzyła na niego przez ramię – przez odsłonięte ramię.

Powietrze uleciało mu z płuc. Wiedział, że już do końca życia – a teraz modlił się, żeby było to bardzo długo – nie zapomni, jak pięknie Claire wyglądała tego wieczoru. A ten jej kuszący uśmiech... Trochę żartobliwy, ponętny, jakby kryła jakiś sekret, którego nie powinna wyjawić, ale za namową powie tylko jemu.

W sześciu susach był już przy niej, marząc, by móc musnąć nosem delikatną kolumnę jej szyi albo kremowe łuki ramion. Tak naprawdę jednak uniósł tylko jej dłoń do ust.

– Wyglądasz... olśniewająco – wyszeptał i obdarzył ją pocałunkiem.

Jej policzki spąsowiały.

– A ty... zjawiłeś się w samą porę. – Ściszyła głos. – Jestem śmiertelnie przerażona. Nie znam tu nikogo.

– Ależ znasz! Znasz mnie.

Przechyliła głowę na bok i uśmiechnęła się, lecz on i tak wyczuwał jej zdenerwowanie. Podał jej ramię, a ona, przyjąwszy je, stanęła bliżej u jego boku.

Nie ukrywał, że patrzy na nią.

– Ta suknia wygląda na tobie przewspaniale.

Zakołysała się na boki, sprawiając, że koralikowe frędzle naszyte na gorsecie sukni i rękawach zatańczyły.

– Prawda, że piękna? Dostałam ją wczoraj wieczorem od pani Acklen.

Sutton bardzo się starał nie gapić tam, gdzie nie powinien. Widział już wcześniej kobiety z odkrytymi ramionami. W salonie pełno było takich dam, ale jeszcze nigdy nie widział tak Claire. Ona przecież nosiła żałobę. Zaskoczyło go trochę, że Adelicia popierała noszenie podobnej sukni. Jednakże nie sądził, by ktokolwiek poza Belmont wiedział o śmierci

rodziców Claire, a nikt z domu nie będzie jej miał za złe tego wieczoru i tej sukni. Nie po tym wszystkim, co zrobiła, odkąd tu jest.

Przysunął się bliżej i wyczuł nutkę zapachu bzu w jej włosach. Większość była upięta, ale pojedyncze kosmyki zwisały luźno, tworząc obramowanie dla jej twarzy i opadając na plecy. Efekt był powalający.

– Panie Monroe?

Odwrócił się.

– Pani Holbrook...

Szybko przedstawił sobie obie damy, zastanawiając się, gdzie też zniknął jej mąż. Również jemu chciał zaprezentować Claire.

Dziewczyna dygnęła.

– Bardzo mi miło, pani Holbrook.

– Cała przyjemność po mojej stronie, panno Laurent. Kiedy pan Monroe powiedział nam, że to pani stoi za tym wszystkim, wiedziałam, że muszę panią poznać. Jestem przewodniczącą Ligi Kobiet w Nashville i mamy nasz doroczny poczęstunek tej najbliższej...

– Pani Holbrook. – Sutton pokręcił głową, ledwie powstrzymując uśmiech. – Jak często zwracała nam pani uwagę, że z pani mężem zajmujemy się interesami podczas takich wydarzeń? A teraz sama pani...

– Ja po prostu nawiązuję znajomość, panie Monroe... – Pani Holbrook zatrzepotała powiekami. – Więc proszę nie mieć nam za złe i pozwolić nam, damom, porozmawiać przez chwilkę. Lepiej niech pan znajdzie mojego męża i trzyma go z dala od intryg.

– Dobrze, szanowna pani, ale zanim pójdę, czy mógłbym zamienić słówko na osobności z panną Laurent? – Na jej twierdzące skinienie Sutton wziął Claire na bok. – Czy zaszczyci mnie pani pierwszym tańcem, *mademoiselle*?

– Ojej... – Dziewczyna zrobiła kapryśną minę. – Tak mi przykro, *monsieur*. – Następnie z uśmiechem dodała: – Zarezerwowałam dla pana pierwsze dwa tańce.

Ach ta kobieta!

– Czy wiesz, co to znaczy: „udusić kogoś gołymi rękami”, Claire?

– Wiem. To właśnie mam ochotę ci zrobić prawie każdego dnia, Willisterze.

Sutton odprowadził ją z powrotem do pani Holbrook i oddalił się z szerokim uśmiechem.

Ściskając szklankę cydru w dłoni, Sutton odnalazł Bartholomew Holbrooka w najlepszym kącie wielkiego salonu, tam gdzie lekko podniesiony stopień dawał idealny widok na taneczną przestrzeń pokoju. Mężczyzna trzymał w jednej dłoni kieliszek, a w drugiej dwie drożdżowe bułeczki Cordiny. Chyba cytrynowe, sądząc po wyglądzie.

Starszy prawnik sączył szampana, uważnie obserwując gości.

– Nie powiedziałeś jeszcze pani Acklen, prawda? – Jego niski głos był bliski szeptu.

– Nie, nie powiedziałem.

Sutton nie musiał pytać, co miał na myśli. On też patrzył uważnie na salę, zwracając uwagę na to, kto mógłby usłyszeć ich rozmowę.

Holbrook w niemym toaście podniósł kieliszek w stronę przechodzącego obok dżentelmena.

– Decyzja komisji rewizyjnej zostanie wkrótce upubliczniona, panie Monroe. Może już nawet w przyszłym tygodniu. I jak nam obu dobrze wiadomo... wieści się szybko rozchodzą.

– Powiem jej wkrótce. Nie chciałem, żeby coś popsuło jej ten wieczór. – *Jej albo Claire* – dodał w myślach, obawiając się wyjawić dziewczynie

prawdę jeszcze bardziej niż Adelicii. Miał nadzieję, że to nie umniejszy go w jej oczach, tak jak umniejszało w jego własnych.

Pan Holbrook zerknął na niego.

– Wybacz mojej żonie, że jest łasa na plotki i raczy się nimi pełnymi garściami, oraz mnie, że od czasu do czasu skubnę coś z jej talerza, ale powiedziała mi, iż doszły ją słuchy, że rozwiązaliście z panną Henriettą Caroline LeVert wasze porozumienie.

Sutton skinął twierdząco, wcale się nie dziwiąc, że to się rozniosło.

– Tak było lepiej.

– Czy to opinia podzielana przez obie strony?

Gdyby to pytanie pochodziło od kogoś innego, uznałby je za wścibstwo, ale ten człowiek był mu tak bliski jak własny ojciec.

– Tak, sir. Albo będzie z czasem.

Holbrook tylko skinął głową, zakręciwszy płynem w kieliszku.

– Jakieś nowiny w sprawie fiaska z bawełną?

Sutton upił łyk cydru, wyczuwając coś mocniejszego poza zwykłymi przyprawami.

– Do marca powinniśmy już coś wiedzieć. Jadę do Nowego Orleanu na początku roku, żeby sprawdzić, jak to tam wygląda.

– Jeśli potrzebujesz kogoś do pomocy, jestem wolny. Nigdy nie odmawiam ciepłych *beignets*. – Uśmiechając się szeroko, wgryzł się w drożdżową bułeczkę.

Sutton uśmiechnął się i rozejrzał za Claire. Zauważył ją po drugiej stronie pokoju i od razu wzmogła się jego czujność. To by było na tyle, jeśli chodziło o zdenerwowanie spowodowane faktem, że nikogo nie znała. Pięciu – ach, nie, nawet sześciu – mężczyzn kręciło się koło niej, a ich przymilne uśmiechy byłyby bardziej na miejscu na szkolnym podwórku, nie zaś w wielkim salonie. Claire powiedziała coś i wszyscy panowie się

zaśmiali. Potem pokręciła głową i spojrzała w kierunku Suttona. Domyślił się, że ktoś poprosił ją o pierwszy albo drugi taniec.

Nie chciał się do tego przyznać, ale był zazdrosny. Każdy z nich, poza jednym mężczyzną, mógłby być jej ojcem, choć Sutton wiedział, że w ostateczności to nie miało znaczenia. Dwaj byli wdowcami. I wszyscy, bez wyjątku, byli bardzo majętni.

Dostrzegł Luciusa Polka rozmawiającego z Adelicią i choć na początku nie zamierzał dziś poruszać tego tematu z Holbrookiem, stwierdził, że to całkiem odpowiedni czas. Ponieważ w wypadku ponownego wyjścia za mąż Adelicii, jego stanowisko zarządcy w Belmont uległoby natychmiastowemu rozwiązaniu.

– Sir, jakiś czas temu wspominał pan, iż jest pewien, że mógłby mi zapewnić etat w kancelarii. Czy myśli pan, że nadal byłaby taka możliwość... w najbliższej przyszłości?

Pan Holbrook przestąpił z nogi na nogę.

– W przyszłości tak. W najbliższej przyszłości... niestety nie.

Sutton spojrzał na niego.

– Nie licząc tej sprawy, którą razem prowadzimy – rzekł cicho starszy prawnik – liczba spraw w kancelarii znacznie spadła w ostatnich miesiącach. Znak czasów. Wszyscy to mówią. Ale stało się jeszcze coś, czego, szczerze mówiąc, się nie spodziewałem. W ciągu najbliższego tygodnia pracę w kancelarii zacznie zięć Wickliffe’a. Ten młody mężczyzna jest z zawodu księgowym, jednak nie mógł znaleźć posady. Żona na utrzymaniu, a teraz jeszcze dziecko w drodze... – Mężczyzna pokręcił głową. – Brakuje pracy i rodziny muszą zatroszczyć się o swoich, wiesz, jak jest. – Przerwał, jakby właśnie dotarło do niego to, co powiedział. – Przepraszam, synu. Nie chciałem, by zabrzmiało to...

– Nie musi pan, sir. Proszę. Rozumiem to.

– Twoja pozycja w Belmont przecież się nie zmieniła, prawda?

Wiedząc, że nie może mu powiedzieć o tym, iż Adelicia rozważa trzecie małżeństwo, Sutton zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie, sir. Nie zmieniła.

– Dobrze, dobrze. – Holbrook chwycił go za ramię. – Cieszę się, że to słyszę. Gdyż obawiam się, że jeszcze trochę potrwa, zanim nasza kancelaria będzie mogła przyjąć kogoś na etat. Ale pamiętaj, że może być od czasu do czasu jakaś praca. A jeśli wygramy sprawę, nad którą pracujemy, to też może znacznie zmienić perspektywy.

– Dziękuję, sir. Doceniam pańskie względy.

I tak rzeczywiście było, ale Sutton nie mógł się otrząsnąć z wrażenia, że balansuje na trójnogu, z którego dwie nogi zostały już spod niego wykopane, a pozostała jest popękana i powiązana cienkim sznurkiem.

– Czy mówi ci coś nazwisko Samuel Broderick?

– Nie, sir. A powinno?

– Prowadzi tu w mieście firmę przewozową. Przejął ją po ojcu kilka lat temu. Znałem starszego Samuela całkiem dobrze. Porządny człowiek. Działałem z nim w paru miejskich inicjatywach. Ale jego syn...

– Potoczył się daleko od jabłoni?

Sutton dostrzegł, jak Holbrook zmrużył oczy.

– Mój wewnętrzny sąd wciąż nad tym obraduje, ale jeśli miałbym obstawiać, jakbym miał coś poza moją starą, pomarszczoną skórą, to postawiłbym wszystko na to, że Broderick jest przegniły do szpiku kości.

– A na jakiej podstawie formułuje pan taką opinię?

– Głównie to przeczucie.

Sutton roześmiał się, podejrzewając, że ta rozmowa dotyczy ich aktualnej sprawy.

– Co, oczywiście, świetnie da się utrzymać w sądzie, sir.

– Zdziwiłbyś się, gdybyś wiedział, ile spraw na przestrzeni lat wygrałem, mając na początku jedynie przeczucie.

Holbrook wgryzł się w drugą drożdżową bułeczkę.

Sutton patrzył na znajdującą się na przeciwnym krańcu pokoju Claire.

– Mógłby mi pan coś opowiedzieć o tym swoim przeczuciu?

– Cóż, wydaje mi się... – odrzekł cicho starszy mężczyzna – że Samuel Broderick współpracuje z kimś w transporcie fałszywych dzieł sztuki. I że ten ktoś może być związany z galerią w Nowym Jorku, która sprzedała naszemu klientowi falsyfikat Rafaela.

Sutton odwrócił się i spojrzał obok niego.

– I to wszystko na podstawie przeczucia?

– Tak, ale proszę pamiętać, panie Monroe... – Holbrook puścił mu oko. – Nie mamy żadnych namacalnych dowodów. Jeszcze... – Ugryzł bułeczkę i zwrócił się w stronę gości.

Sutton jednak stał, gapiąc się. Gdyby to, co powiedział mu właśnie starszy prawnik, okazało się prawdą, mogłoby doprowadzić śledczych do celu. Dzięki czemu on i Holbrook dostaliby dowody, których potrzebowali, by ruszyć ze sprawą.

Holbrook przestał przeżuwać.

– Ta młoda dama tam... – Wskazał dyskretnym skinieniem. – Ta piękna, otoczona wielbicielami. Wiesz kto to?

Sutton miał teraz w głowie gonitwę myśli, ale podążył za jego wzrokiem i uśmiechnął się.

– Oczywiście, że wiem. To panna Claire Laurent, osobista *liaison* pani Acklen. To ta młoda dama, którą chciała poznać pańska żona. – Claire odwróciła się w jego stronę i posłała mu rozbawione spojrzenie, a on nie mógł się już doczekać, kiedy zaczną grać do tańca.

Mijały kolejne sekundy i Sutton poczuł na sobie czujny wzrok starszego prawnika.

– Gdybym był ślepy, panie Monroe, mógłbym zapytać, czy zna pan dobrze tę młodą damę.

Sutton nie potrafił ukryć szerokiego uśmiechu.

– Jesteśmy z panną Laurent... bliskimi znajomymi.

– Aha... – Holbrook kiwnął głową.

– A cóż ma znaczyć to „aha”, sir?

– Nic takiego. Po prostu się zastanawiałem.

– Pan nigdy się po prostu nie zastanawia ot tak sobie, sir.

– Od czasu do czasu, panie Monroe, w sytuacji, gdy widzę kogoś tak pięknego... zdarza mi się. – Uśmiechając się, pan Holbrook włożył do ust resztę drożdżowej bułeczki.

Muzyka grana przez orkiestrę ucichła, a dyrygent odwrócił się i zapowiedział, by goście znaleźli sobie partnerki do pierwszego tańca. Tradycyjnie – walca.

Sutton sprawnie przeszedł przez tłum. Najtrudniej mu było przebić się przez mur wielbicieli Claire, ale gdy tylko jego spojrzenie spotkało się z jej, sama przecięła drogę w jego stronę. Zaprowadził ją na parkiet i skłonił się przed nią. Ona dygnęła i posłała mu uśmiech, który skrzętnie schował na później.

I chociaż nigdy nie przepadał za przyjęciami czy też balami, teraz cieszył się na dźwięki muzyki oraz na taniec i okazję, gdy mógł trzymać tę kobietę w ramionach.

43

Od tylu tygodni Claire wyobrażała sobie tę chwilę. Już za nią niekończące się listy zadań, oprócz tego jednego – by nie nastąpić Suttonowi na nogę. Trzymając lewą dłoń na jego prawym ramieniu, wzniosła ku niemu wzrok, w milczeniu odliczając. *Raz-dwa-trzy, dwa-dwa-trzy, trzy-dwa-trzy, cztery-dwa-trzy*.

– Przestań liczyć – szepnął.

– Nie liczę.

– Poruszasz ustami.

Posłała mu znaczące spojrzenie, a on się uśmiechnął. Zacisnął mocniej w dłoni jej palce i rzekł:

– Po prostu daj się poprowadzić.

Poczuła mocniejszy nacisk dłoni na plecach i Sutton przyciągnął ją bliżej. Ich ciała się nie stykały, ale od czasu do czasu, gdy się obracali, jego udo ocierało się o jej nogę. Wyglądał tak elegancko w tym czarnym fraku z wzorzystym fularem. Pasmo ciemnych włosów opadało mu swobodnie na czoło. A te oczy...

– Wyglądasz... niesamowicie – szepnęła.

Roześmiał się lekko.

– Spokojnie mogę cię zapewnić, że jeszcze nikt nigdy mi tego nie mówił.

– Hm, ale to prawda. Jesteś najprzystojniejszym mężczyzną w tym pomieszczeniu.

I znów ten uśmiech.

– A co z salonikiem? A ci na zewnątrz?

Udała, że się zastanawia.

– Nie miałam okazji im się dokładnie przyjrzeć. Z pewnością to uczynię i wtedy dam ci znać.

Walc dobiegł końca i zaczął się kadryl. Kiedy wybrzmiały ostatnie dźwięki skocznej muzyki, Claire czuła, że wpadła w rytm, i wcale nie miała ochoty odstępować Suttona. Ale brak zmiany partnera byłby uznany za nietakt. W przypadku ich obojga.

Lista panów chętnych na taniec z nią była prawie do końca zapełniona i po kolejnych czterech tańcach z czterema różnymi mężczyznami czuła, że potrzebuje trochę świeżego powietrza, a także czegoś chłodnego do picia. Skłoniła się i podziękowała partnerowi, z którym tańczyła – panu Waverly’emu, starszemu dżentelmenowi, który pachniał tonikiem do włosów oraz naftaliną i najwyraźniej czerpał nieopisaną przyjemność z opowiadania jej o tym, jak wiele lukratywnych interesów było w jego posiadaniu. Claire dyskretnie uwolniła się od jego towarzystwa i wychodząc na zewnątrz, wzięła szklankę ponczu żurawinowego.

Nocne powietrze było wspaniałe. Zatrzymała się przed schodami wejściowymi, by ogarnąć wzrokiem widok. Latarnie oświetlające tereny rezydencji dawały fascynujący efekt. Dużo ładniejszy, niż sobie wyobrażała. Wszystko cudownie do siebie pasowało.

Próbowała smakowitych wypieków, klopsików, nadziewanych grzybów oraz wielu innych przystawek, tak iż cudem było, że jeszcze w ogóle mieściła się w sukni. A kolacja, którą miano podać o północy, a którą Cordina przygotowała z pomocą dodatkowo najętych kucharek, zapowiadała się równie wyśmienicie.

Wzięła wdech i powoli wypuściła powietrze, rozciągając ramiona. Pani Acklen powiedziała jej, by nie martwiła się kosztami. Claire przyglądała się

swojej pracodawczyni przez większość wieczoru i miała wrażenie, że jest raczej zadowolona. Claire widziała ją wcześniej w tańcu z Luciusem Polkiem, ale ku jej zaskoczeniu tylko raz. Kiedy o tym myślała, zdała sobie sprawę, że pan Polk nie był zapraszany na kolacje w Belmont w ciągu ostatnich tygodni...

Przybyła kolejna fala gości i Claire zeszła na bok. Stała w ciemności, osłonięta od blasku lamp karet. Nie czuła się jeszcze gotowa, by wrócić do środka.

– Ja też byłam zdumiona, gdy się o tym dowiedziałam. – Jakiś damski głos dobiegł ją od strony położonego niżej trawnika. – I z tego, co słyszałam, teraz został bez niczego. Zapewne właśnie to stało się powodem, że ona tak szybko to zakończyła, co zresztą jest zrozumiałe, uwzględniając jej bogactwo. Teraz to on ma dużo niższą pozycję społeczną.

– A słyszałaś o jego ojcu? – odparł mężczyzna gardłowym szeptem. – Zdradził Konfederację. To prawda, że odmówił podpisania przysięgi, ale był sympatykiem – wypowiedział te ostatnie słowa, jakby to było coś wulgarnego. – Słyszałem też, że leczył Murzynów Acklenów tu, w Belmont. Założę się, że pani Acklen nawet o tym nie wiedziała. A teraz ona wciąż kryje pod własnym dachem syna tego mężczyzny. Gdyby ktoś mnie pytał, to uważam, że sam zbiera żniwo występków swego ojca...

Głosy ucichły i Claire poczuła, że zabrakło jej tchu. Próbowała dostrzec, kim była rozmawiająca poniżej para, jednak skryła ich ciemność. *Sutton* – pomyślała od razu. To o nim musieli rozmawiać. Jednakże to, co mówili, nie miało sensu. Chyba że... Otrzymał wiadomość od komisji rewizyjnej i jeszcze jej nie powiedział.

Ale przecież obiecał, że powie, gdy tylko będzie wiedział.

Uświadomiwszy sobie, że długo jej już nie było, wróciła do środka akurat w chwili, gdy Cordina ze służącymi wnosiły z kuchni do gościnnej

jadalni półmiski z jedzeniem. Doleciał do niej smakowity aromat pieczonej wołowiny i indyka. Sprawdziła godzinę na najbliższym zegarze. Dochodziła północ. Cordina nigdy się nie spóźniała.

– Panna Laurent?

– Pan Stanton! – Jej drugi partner taneczny tego wieczoru, pan Andrew Stanton, radził sobie na parkiecie bardzo dobrze, zwłaszcza jak na swój wiek. Nie chodziło o to, że był stary, ale Claire domyślała się, że miał przynajmniej czterdzieści pięć lat. Uśmiechnęła się, bo mile wspominała jego wcześniejsze towarzystwo, pamiętała też, że to jego modlitwę słyszała w kościele i potem przyswoiła ją sobie. – Mam nadzieję, że przyjemnie pan spędza wieczór, sir.

– Tak. A to w znacznej mierze dzięki pani talentom, o czym poinformowała mnie pani Acklen.

– Ależ nie. – Pokręciła lekko głową. – Ja się tylko nauczyłam, że jednym z sekretów osiągnięcia sukcesu jest wiedzieć, kogo poprosić o radę.

Roześmiał się.

– A mnie dojście do tego zajęło prawie czterdzieści osiem lat, panno Laurent. Co oznacza, że ma pani przewagę.

Czterdzieści osiem – niewiele się myliła.

Machnął ręką.

– Właśnie zamierzałem pójść po coś do picia i zastanawiałem się...

– Och! Oczywiście, panie Stanton. – Powinna była mu coś zaproponować. Przecież to był nie tylko jeden z honorowych gości pani Acklen, ale też jeden z najbogatszych mężczyzn w Nashville. – Chętnie panu coś przyniosę. Czy woli pan coś zimnego, czy może grzany cydr?

Na jego twarzy powoli pojawił się nieśmiały uśmiech.

– W zasadzie, panno Laurent, byłbym zaszczycony, gdyby pozwoliła mi pani przynieść sobie coś do picia. Może moglibyśmy wtedy znaleźć jakiś

cichy zakątek. O ile oczywiście pani rezerwacje taneczne i obowiązki na to pozwolą.

Claire powoli uświadomiła sobie znaczenie jego propozycji i nie wiedziała, co ma odpowiedzieć. Tak naprawdę nie chciała się zgadzać, a jednak nie mogła po prostu odmówić.

– Bardzo chętnie. Dziękuję.

– Coś na ciepło czy zimne? – zapytał.

– Zimne, proszę. Zdecydowanie.

Claire patrzyła za nim, gdy odchodził, i stopniowo docierało do niej, że stojący obok goście wpatrują się w nią. Zastanawiała się, o czym myśleli.

– Tu pani jest, *mademoiselle* Laurent. – Sutton pojawił się u jej boku z lampkami szampana w obu dłoniach. Wyciągnął jedną w jej stronę. – Mam nadzieję, że masz ochotę się napić.

– Suttonie, ja... – Zaczęła już wyciągać rękę po napój, gdy zobaczyła powracającego pana Stantona. Również niosącego dwa kieliszki.

Sutton przysunął się bliżej.

– Dobrze się czujesz, Claire? Wyglądasz trochę...

– Tu pani jest, panno Laurent! – Pan Stanton podał jej szampana. – Pan Monroe! Jak się pan dzisiaj miewa?

Claire przyjęła z ulgą fakt, że obaj już się znają, jednak i tak czuła się bardzo niezręcznie. Powoli upiła łyk z kieliszka na wysokiej nóżce.

– Dobrze, panie Stanton. Miło pana znów spotkać, sir. – Sutton ukradkiem odłożył jedno naczynie na stolik za plecami.

– Mnie również. – Pan Stanton sączył szampana, najwyraźniej nie zauważając niczego. – Właśnie gratulowałem przed chwilą pannie Laurent organizacji przyjęcia. Jest wspaniałe. Słyszałem dzisiejszego wieczoru znamienne doniesienia na temat pańskiej osoby.

Sutton zrobił się nagle poważny.

– Czyżby, sir?

Widząc reakcję Suttona, Claire nie miała już wątpliwości, że to, co wcześniej podsłuchała, było prawdą. Zastanawiając się, dlaczego zataił przed nią tę informację, próbowała włączyć się do rozmowy, ale pan Stanton nie dał jej szans.

– Pani Acklen bardzo pochlebnie wyraża się o pańskich usługach, panie Monroe. – Mężczyzna wzniósł kieliszek. – Nic dziwnego, że sobie tak dobrze radzi, mając za sterami dwoje takich ludzi.

Śmiech Suttona zdawał się nieco naciągany.

– Ale pan dobrze wie, panie Stanton, że jedyną osobą za sterami tutaj jest pani Acklen. Ja jedynie podnoszę żagiel, gdy ona zarządzi.

– A ja tylko zmywam pokład – dodała Claire, wznosząc swoją lampkę.

Cała trójka się roześmiała.

– Cóż... – Sutton skłonił się. – Jeśli państwo wybaczą... – Przeniósł wzrok na pana Stantona. – Dziękuję za życzliwe słowo, sir.

Starszy pan uścisnął jego dłoń.

– Dobrze było pana znów spotkać, Monroe.

Sutton odszedł, nie obejrzawszy się nawet za siebie, i Claire w głębi serca odczuła dziwną pustkę.

– Możemy? – Pan Stanton wskazał dłonią na gabinet.

Spędzili wspólnie czas nad lampką szampana, potem także podczas kolacji, aż orkiestra dała znak na toast. Razem z pozostałymi gośćmi Claire i pan Stanton stłoczyli się w wielkim salonie, a pani Acklen dziękowała wszystkim za obecność i liczne komplementy dotyczące „baśniowego oświetlenia” w ogrodach.

– A teraz... – mówiła dalej. – Chciałabym przedstawić naszego wielce szanownego gościa honorowego, madame Octavię Walton LeVert... – Wśród zebranych rozległ się aplauz. – ...i przekazać wyrazy szczególnej

wdzięczności za naszą osobistą przyjaźń i to wszystko, co uczyniła dla całego Nashville.

Claire zarumieniła się z dumą, gdy jej pracodawczyni obdarowała madame LeVert pamiątkowym albumem. Dama przekartkowała go, a następnie podziękowała ze wzruszeniem.

Pani Acklen uniosła książkę i opisała, co jest w środku, a potem spojrzała w stronę Claire.

– Chciałabym podziękować mojej zaufanej osobistej asystentce, pannie Claire Laurent, za to, że wykonała ten wyjątkowy prezent dla najdroższej mi przyjaciółki, oraz za jej pomysłowość przy organizowaniu dzisiejszego wielkiego wydarzenia.

Rozległy się brawa i Claire dygnęła. Miło jej było słyszeć z ust pani Acklen publiczne wyrazy uznania za jej pracę. Złowiła nieme „popatrz, popatrz” pana Stantona, wyczytane z ruchu warg, tak jak i życzliwe skinienia dookoła, i cieszyła się tą chwilą.

Pani Acklen podjęła dalej mowę, zachęcając, by wznieść toast na cześć madame LeVert, po czym rozdano lampki szampana. Razem z pozostałymi Claire uniosła w pozdrowieniu kieliszek, szukając wzrokiem wśród tłumu Suttona, z którym to właśnie pragnęła dzielić ten moment.

Wyczuła czyjąś uwagę na sobie i odwróciwszy się, napotkała spojrzenie jakiegoś starszego dżentelmena po drugiej stronie salonu. Dopiero po chwili zdołała go rozpoznać, choć nie miał na sobie czarnego cylindra, i w mgnieniu oka dotarło do niej, gdzie już go kiedyś spotkała. I cała jej wewnętrzna radość nagle uleciała.

Uniósł swój kieliszek i uśmiechnął się po przyjacielsku, bez cienia groźby, mimo to Claire poczuła ostrzegawczy dreszcz na wspomnienie tego dnia, kiedy rozmawiała z nim w firmie przewozowej Brodericka i gdy potem widziała go jeszcze na stopniach prowadzących do kancelarii

Holbrook i Wickliffe. Zauważyła, że obok niego stoi Mildred Holbrook, i nagle, jak w chybotliwym rzędzie kostek domino, urywki pozornie niepowiązanych ze sobą wiadomości ustawiły się na swoich miejscach i po raz kolejny przypomniało się jej, w jak niepewnej sytuacji się znajdowała.

Dlaczego, skoro Bóg przyprowadził ją do Belmont, jak to mówił Eli, wciąż coś jej przypominało o tym, że wcale tu nie pasowała?

Kwadrans po piątej rano, po ostatnim walcu, tłum zaczął się przerzedzać, ale tylko nieznacznie. Claire ujęła Suttona pod ramię.

– Coś mi się wydaje, że oni nie chcą wyjechać – wyszeptała tak, żeby nikt inny nie usłyszał.

– To twoja wina. Zrobiłaś zbyt huczne przyjęcie.

Uśmiechnęła się, żałując, że nie może teraz wziąć go na bok i powiedzieć mu o tym, co podczas minionego wieczoru zasłyszała na jego temat. Nie tylko po to, by o tym porozmawiali, ale także, by on wiedział, że decyzja komisji rewizyjnej dotarła już do szerszej publiki albo wkrótce dotrze. A jednocześnie zdawała sobie sprawę, że miał prawo wstrzymać się z poinformowaniem jej o tym do czasu, aż będzie gotowy.

Rozejrzała się wokół, starając się mieć na oku starszego dżentelmena, którego widziała podczas toastu. Jak domniemała, pana Holbrooka. Może akurat się uda, że nie spotkają się ponownie. A nawet jeśliby ją pamiętał, tłumaczyła sama sobie, to żadne przestępstwo znaleźć się w firmie przewozowej.

Sutton dotknął lekko jej ramienia.

– Mogę cię na chwilę zostawić?

– Oczywiście. – Patrzyła za nim, gdy oddalał się w stronę saloniku.

– Panno Laurent, zorganizowała pani cudowne przyjęcie.

Claire odwróciła się i dostrzegła Mildred Holbrook, a obok niej tego mężczyznę, i zamarła.

– Dziękuję, pani Holbrook. Mam nadzieję, że miło spędzili państwo czas.

– Och, w rzeczy samej, moja droga. Mówiłam już wcześniej Adelicii, że to przyjęcie będzie się wspominać przez wiele najbliższych lat. – Kobieta wskazała gestem na swojego towarzysza. – Wydaje mi się, że pani i mój mąż jeszcze się nie spotkali. – Dokonała prezentacji.

Starszy pan skłonił głowę.

– Miło mi panią poznać, panno Laurent.

– I wzajemnie, sir. – Claire dygnęła, z całego serca pragnąc, by okazało się, że on jej nie pamięta, jednakże jego przenikliwy wzrok wskazywał, że było wręcz przeciwnie.

– Och! – westchnęła pani Holbrook. – Muszę jeszcze wziąć swój płaszcz.

– Proszę pozwolić... – rzekła Claire, z radością przyjmując wymówkę, by opuścić ich towarzystwo. – Przyniosę go pani. To żaden problem.

– Nonsens. – Starsza kobieta poklepała ją po dłoni. – Wiem dokładnie, gdzie jest.

Z sercem w gardle dziewczyna patrzyła za oddalającą się panią Holbrook.

– Zatem, panno Laurent – zaczął pan Holbrook, uważnie się jej przyglądając – jak się pani podoba praca w charakterze osobistej asystentki Adelicii Acklen?

– Bardzo, sir. – Dziewczyna wymieniła z nim przelotnie spojrzenie. – Doceniam tę szansę, jaką mi daje.

– Słyszałem z szczególnie wiarygodnego źródła, że świetnie się pani sprawdza.

– Dziękuję, sir. Z pewnością można powiedzieć, że bardzo mnie to angażuje. – Claire domyślała się, że tym „szczególnie wiarygodnym

źródłem” był Sutton, zwłaszcza że pracowali w tej samej kancelarii.

Pani Holbrook wróciła do nich już w płaszczu zapiętym pod samą brodę i z czarnym cylindrem męża w dłoni.

– Jestem gotowa, mężu, więc jeśli chcesz, możemy jechać.

Pan Holbrook nałożył kapelusz.

– Może wkrótce się znów spotkamy, panno Laurent. – Odwrócił się w stronę żony, a potem zerknął jeszcze za siebie i pobłażliwie puścił Claire oko. – Na przykład gdybyśmy oboje mieli jakiś towar do przesłania.

Poczuła nieznośny ucisk w żołądku. Zaśmiała się i pożegnała parę z wymuszonym uśmiechem. Teraz już nie miała żadnych wątpliwości w kwestii tego, czy mężczyzna pamiętał albo czy był obdarzony przenikliwym umysłem.

Ruszyła w stronę wejściowego holu, po drodze życząc gościom dobrej nocy. Przez otwarte drzwi do saloniku dostrzegła Suttona i przesunęła się nieznacznie w lewo, by zobaczyć, z kim rozmawiał.

Pan Stanton – stwierdziła z zaskoczeniem.

Sutton zerknął w jej kierunku i Claire szybko odwróciła wzrok, ale zaraz spojrzała jeszcze raz, akurat w chwili, gdy obaj wymieniali uścisk dłoni. Sutton wrócił do niej, jednak Claire wyczuła jakąś zmianę w jego zachowaniu.

– Wyglądasz, jakbyś zaraz zamierzała się ulotnić po kryjomu – szepnął.

– A ty wyglądasz, jakbyś się czymś martwił.

Pokręcił głową.

– Nic się nie stało.

Po drugiej stronie salonu stała Cara Netta otoczona zastępem wielbicieli, tak jak przez cały wieczór. Zdawało się, że nie jest ani trochę zmęczona. Dostrzegłszy panią Acklen, Claire trąciła Suttona.

– A kim jest ten dżentelmen u boku pani Acklen? – zapytała. – Tańczyła z nim co najmniej trzy razy tego wieczoru.

Spojrzał przelotnie w tamtym kierunku.

– To doktor William Cheatham. Znają się z Adelicią od lat. Jest miejscowym lekarzem... i wdowcem. Podobnie jak twój pan Stanton.

Claire od razu wychwyciła dziwną nutę w jego głosie.

– Mój pan Stanton? Ależ z ciebie żartowniś, Willisterze. – Choć użyła jego pierwszego imienia, na jego ustach nie pojawił się ten uśmiech co zwykle.

– Claire, nie powinno cię dziwić zainteresowanie twoją osobą. Jesteś pełną życia, piękną, młodą kobietą. Mężczyzna musiałby być ślepy, by tego nie dostrzec.

Wiedziała, że to miał być komplement, ale wcale to tak nie brzmiało.

Świt znaczył różową linią wschodni horyzont i pozostali goście wsiadali właśnie do karet i omnibusów. Claire zaś nie mogła się już doczekać, by znaleźć się w swoim łóżku.

Sutton skinął.

– Coś mi się zdaje, że któreś z nas, albo i oboje, jesteśmy wezwani na mostek kapitański.

Odwróciła się i zobaczyła, że w ich stronę zmierza pani Acklen.

– Cieszę się, że was widzę. – Ich pracodawczyni wskazała gestem, żeby przeszli w bardziej odosobnione miejsce. – Rozmawiałyśmy z madame LeVert i mam wspaniałe wieści. Muszę to od razu powiedzieć!

Claire poczuła przerażenie. Jeśli te „wspaniałe” wieści wiązały się z planowaniem kolejnego przyjęcia w najbliższym czasie...

– Postanowiłam, że pojedziemy wszyscy do Nowego Orleanu! – Pani Acklen złożyła razem dłonie na sukni. – Całą rodziną. Będziemy tam pierwszy raz po wojnie. I oczywiście chciałabym, żeby pani też pojechała,

panno Laurent. Czeka nas tam dużo pracy. Panie LeVert wyjeżdżają z Belmont pojutrze, ale Octavia przekazała mi, że z radością dołączą do nas podczas naszego wyjazdu. Zatrzymamy się w Saint Charles Hotel i będziemy mogli przez kilka tygodni cieszyć się urokami miasta, zanim pojedziemy na plantację. Czyż to nie brzmi cudownie?

W rzeczywistości Claire czuła, że jest bliska płaczu. I to w tym momencie. Na oczach Suttona, członków orkiestry, którzy pakowali swoje instrumenty, oraz służących zbierających brudne naczynia. Ale zdawała sobie sprawę, że nie może sobie na to pozwolić. Czując na sobie uważne spojrzenie pani Acklen, wiedziała, że musi umiejętnie dobrać kolejne słowa.

44

Claire naprawdę bardzo się starała, żeby w jej głosie nie dało się słyszeć zawodu.

– Kiedy chciałaby pani, żebyśmy wyjechali, pani Acklen? Mam nadzieję, że nie od razu.

– Nie, nie, panno Laurent. Nie od razu. Najpierw spędzimy kameralne święta w Belmont, a potem wyjedziemy. I wrócimy nie później niż w połowie marca.

Claire czuła, jakby cała krew odpłynęła jej z głowy.

– Ale... to bardzo długo.

Z uśmiechu pani Acklen zniknęło zadowolenie.

– Nowy Orlean był pani domem, panno Laurent – zauważyła. – Café du Monde, Dzielnica Francuska... Myślałam, że będzie się pani cieszyć z perspektywy powrotu do tamtych miejsc. I że będzie pani wdzięczna za taką możliwość.

Zabolała ją ta reprymenda. Przecież tak ciężko pracowała na to dzisiejsze przyjęcie, mało spała, starała się zaspokoić surowe wymagania swojej pracodawczyni. Teraz potrzebowała czasu, by malować! Czy nie należało jej się choć tyle? Miała zaledwie trzy miesiące do marcowej aukcji dzieł sztuki. Już pomijając fakt, że wcale nie chciała wracać do Dzielnicy Francuskiej, gdzie zza każdego rogu wyzierały duchy przeszłości.

– Ależ jestem wdzięczna, pani Acklen. Naprawdę. Proszę nie traktować mojego wahania jako objawu niewdzięczności. Chodzi po prostu o to, że...

– Panna Laurent jest skromna.

Claire popatrzyła na stojącego u jej boku Suttona.

– Po prostu nie chciała się przyznać – rzucił łagodnie karcące spojrzenie w jej stronę – że pani Holbrook poprosiła ją, by pomogła w przygotowaniu dorocznego wiosennego poczęstunku dla Ligi Kobiet w Nashville na początku marca. Czyż nie, panno Laurent?

Czując na sobie uważny wzrok pani Acklen, Claire zastanawiała się, czy Sutton próbuje jej pomóc, czy ją zupełnie pogrążyć.

– Tak, to prawda. Pani Holbrook rzeczywiście poprosiła mnie, żebym spotkała się z nią, by omówić taką możliwość, ale powiedziałam jej, że najpierw będę musiała zapytać pani o pozwolenie, pani Acklen – wyjaśniła. – Nigdy nie powzięłabym podobnej decyzji bez pani zgody.

Sutton pokiwał głową.

– I wie pani, jak Liga Kobiet w Nashville będzie pani wdzięczna za wypożyczenie im Claire. Te kobiety będą w pewnym sensie bardzo pani zobowiązane.

Pani Acklen i Sutton wymienili znaczące spojrzenia.

– Również, szanowna pani – ciągnął dalej Sutton – jeśli postanowi pani, że panna Laurent zostanie tutaj, mogłaby zająć się skatalogowaniem wszystkich dzieł sztuki. Już od lat namawiałem panią, by to uczynić. Nie tylko ze względu na ubezpieczenie, ale też dla potomności.

Obserwując wyraz twarzy pani Acklen, Claire czuła, że dama się waha.

– Jeśli zostałabym, proszę pani, miałabym też czas, żeby uporządkować pani dokumenty. I skończyć przegląd tych wszystkich pudeł wycinków z gazet i rodzinnych pamiątek. Mogłabym nawet stworzyć z nich pamiątkowy album dla pani!

Pani Acklen zaczęła kiwać głową.

– Madame LeVert poprosiła mnie, żeby przygotować artykuł do *Queens of American Society*, książki, która ma zostać wydana w przyszłym roku.

Wygląda na to, że autorka chciałaby zamieścić też rozdział na mój temat. Coś w rodzaju biografii.

Claire się uśmiechnęła.

– Gratulacje, pani Acklen. Mogłabym napisać dla pani szkic tego tekstu, jeśliby pani chciała. A potem wysłałabym go pani pocztą do recenzji.

Pani Acklen zrobiła przerwę, przyglądając się im obojgu.

– Nie myślcie sobie, że nie wiem, co robicie... bo dobrze wiem.

Claire przełknęła ciężko. Sutton zaśmiał się pod nosem.

– Pani, panno Laurent, bardzo chce wziąć udział w aukcji debiutujących artystów. A pan, panie Monroe, wydaje się zdecydowany, żeby jej w tym pomóc. I choć jestem pierwsza do tego, by zachęcać młodych, aby podążali za swoimi marzeniami, myśl o tym, że któryś z moich pracowników stanie się obiektem krytyki i osądów innych nie napawa mnie entuzjazmem. Zwłaszcza w przypadku kogoś, kto tak blisko ze mną współpracuje.

Pani Acklen skupiła wzrok na Claire.

– Świat sztuki, który nie jest pani całkiem obcy, panno Laurent, jest bardzo kapryśny i subiektywny, a często okrutny. Wystarczyło posłuchać niezbyt cichych szeptów gości podczas tego przyjęcia, by się o tym przekonać. I chociaż ma pani talent, nie chciałabym, żeby zbyt wysoko pani mierzyła, a potem patrzyła, jak inni kruszą w drobny pył pani marzenia.

Claire nie wiedziała, jak ta kobieta to robiła. W jednym momencie budowała i rujnowała.

– Zapewniam panią, p...

Jej pracodawczyni wzniosła dłoń.

– Rozważę to wszystko i dam pani znać o mojej decyzji do Bożego Narodzenia.

Claire dygnęła z przyzwyczajenia.

– Dziękuję, pani Acklen.

Sutton skłonił głowę, a na jego ustach tlił się uśmiech.

– Dziękuję, szanowna pani.

Pani Acklen odeszła dostojnie korytarzem.

– Dziękuję ci, Suttonie – wyszeptała Claire. – Ona zawsze bierze pod uwagę twoje rady.

– Nie zawsze.

– Mnie od razu by odmówiła.

Popatrzył na nią.

– To dlatego, że nie chce, byś cierpiała. – Jego spojrzenie wypełniła tkliwość. – Tak jak ja.

~

Claire potrząsnęła pudełkiem.

– Chcesz być pierwszy czy ja mam...?

Sutton zerknął na nią znad swojej *café au lait*, którą dla niego przygotowała.

– Damy przodem. Jak zawsze.

Uśmiechając się szeroko, potrząsnęła przewiązaną wstążkami paczuszką, a następnie rozdarła papier. Cieszył się, że wstrzymali się z wymianą prezentów gwiazdkowych do czasu, aż wszyscy inni udali się na spoczynek. Przeszli do małego gabinetu, gdzie panował miły zapach jedliny ze świątecznej dekoracji upiętej na gzymsie kominka, a palący się ogień nadawał pomieszczeniu przytulny klimat.

Kris Kringle [44], jak nazywano go w rodzinie Acklenów, odwiedził dzieci dziś rano i choć Adelicia uśmiechała się podczas rozpakowywania prezentów oraz potem w trakcie kolacji, na którą składały się świeże ostrygi, ryba i owoce przywiezione z Nowego Orleanu, Sutton wiedział, że marzyła, by ten dzień się już skończył. Tak samo jak on. Nie wiedzieć

czemu, wspomnienia najbliższych, którzy odeszli, zawsze wracały w takie dni jak Boże Narodzenie.

Sam czas wspólnego świętowania był miły i w domu panował przyjemny spokój, jednak Sutton odczuwał radość, że w końcu może być tylko z Claire. Zwłaszcza że ich wspólne dni były już policzone.

Adelicia rano oświadczyła, że zgadza się, by Claire została, co spotkało się z zachwytem asystentki. I chociaż cieszył się jej szczęściem, było mu trochę żal. Planował wyjechać w interesach do Nowego Orleanu na dwa tygodnie, ale teraz stwierdził, że lepiej będzie, jeśli zostanie tam dłużej. By dać Claire czas na malowanie, katalogowanie dzieł sztuki i wypełnienie innych zadań z wciąż wydłużającej się listy obowiązków, które wymyślała Adelicia...

A także po to, by dać jej czas i wolność, której potrzebowała... aby dokonać wyboru.

Od przyjęcia tydzień temu rzesze wielbicieli przysyłały jej kwiaty, łakocie i bileciki. Tak jak się spodziewał. Niemal codziennie przychodziło coś nowego. Choć wcale nie zamierzał tego robić, zerknął tylko przez ramię, żeby zobaczyć bukiet kwiatów, które pan Stanton przysłał dziś rano.

Stanton wziął go na bok tamtego wieczoru, gdy odbywało się przyjęcie, i zapytał w tajemnicy, czy aby jakiś mężczyzna przed nim nie ma aspiracji do uczuć panny Laurent. Andrew Stanton był dżentelmenem i starszym oficerem, z którym wspólnie walczyli podczas wojny, i Sutton znał go na tyle, by wiedzieć, że Stanton nie będzie zabiegał o Claire, gdyby on odparł: „Ależ, tak, sir. Właśnie to ja kocham tę młodą damę. Bardziej, niż umiem wyrazić. Więc jakby był pan tak dobry i schował tę swoją zacną reputację, wspaniałe posiadłości i majątek oraz pańskie dobre nazwisko i zszedł mi z drogi”...

Ale, oczywiście, nie powiedział niczego takiego. Nie mógłby. Czuł, że nie ma prawa zamykać przed Claire takich drzwi. Drzwi, których zamknięcie mogło należeć tylko do niej, nie do niego.

I nieważne, jak bardzo się starał, nie potrafił przestać porównywać Andrew Stantona i Claire... do Isaaca Franklina i Adelicii. Podobna różnica wieku, obaj mężczyźni odnoszący sukcesy i majętni. I z tych nielicznych wspomnień, jakimi Adelicia podzieliła się z nim na temat Isaaca Franklina na przestrzeni lat, oraz na podstawie jego zdjęcia, które wciąż trzymała przy łóżku po tak długim czasie, wnioskował, że to małżeństwo zostało zawarte z miłości.

– Och, Suttonie! – Claire wstała i uniosła przed sobą fartuch malarski. – Jest wspaniały! Dziękuję ci! – Pochyliła się i ucałowała go w policzek... na tyle długo, że mógł sobie wiele wyobrazić, a potem narzuciła na siebie fartuch. Zlecił uszycie go specjalnie dla niej. Pani Perry w sklepie z sukniami pomogła mu w dobraniu rozmiaru. – Będę go zawsze zakładać do malowania. – Przesunęła się płynnie na środek pokoju i przyjęła pozę.

Wiedział, że ten obraz zostanie w jego głowie na długo.

– Chciałbym, żebyś mi namalowała kiedyś taki widok.

Oboje się roześmiali i Claire usiadła z powrotem obok niego.

Przysunęła bliżej prezent znajdujący się u jego stóp.

– Teraz twoja kolej.

Podniósł pakunek, udając, jakby ciężar go przygniótł.

– Ja już wiem, co to jest.

Zmrużyła oczy.

– To dwudziestoczterotomowa seria na temat tego, jak oszukiwać w warcaby.

Zachichotała, a następnie przesunęła wzrok z jego twarzy na pudełko, a potem znów na niego.

Odwinął papier i podniósł pokrywkę... i nie mógł uwierzyć własnym oczom. Patrzył to na nią, to na zawartość. To był płaszcz, ale nie jakiś zwykły. Sutton wstał i wyciągnął z pudełka długi, skórzany kowbojski płaszcz. Trzymał go przed sobą i gapił się, czując się zupełnie jak mały chłopiec. Był on dokładnie taki, jak wyobrażali sobie z Markiem w zabawach, kiedy udawali, że walczą z dzikimi Indianami.

– Pomyślałam, Suttonie, że jeśli masz prowadzić stadninę rasowych koni, powinieneś mieć do tego odpowiedni płaszcz.

Zażenowany tym, że miał tak ściśnięte gardło, i żałując, że nie powiedział jednak Andrew Stantonowi, że ktoś już zabiega o serce Claire, potrząsnął głową.

– Claire, to nazbyt wiele.

– Przymierz! – Skoczyła na nogi i przytrzymała mu nowy strój, by mógł wsunąć dłonie w rękawy. – A teraz się obróć. – Wykonał polecenie, a ona cofnęła się o krok. Mierzyła go wzrokiem. – Ach, Suttonie... – Zakryła usta dłonią. – Wiedziałam, że będzie na tobie dobrze leżał, ale... – Jej spojrzenie stało się teraz wyraźnie poufałe, w tym najlepszym znaczeniu.

Trzymając lewą rękę luźno wzdłuż boku, odchylił prawą dłonią połę płaszcza, jakby sięgał po broń przypiętą nisko na biodrach, tak jak robili to kiedyś w zabawie z Markiem. Położył dłoń na fikcyjnym colcie, zmrużył powieki i najlepiej, jak umiał, rzekł niskim głosem z kowbojskim akcentem:

– Dobry, szanownej pani. – Szarpnął za wyimaginowane rondo kowbojskiego kapelusza. – Jestem szeryfem i widzę, że jest tu pani nowa.

Roześmiali się razem i Sutton usiadł z powrotem obok niej na kanapie, po raz pierwszy ciesząc się, że meble w tym pokoju były tak wąskie. Przesunął dłonią po wysokogatunkowej skórze, nawet się nie ważąc myśleć, ile musiał ją kosztować ten płaszcz. Dużo więcej niż jego prezent.

Wobec niepewnej perspektywy pracy i nieznanych zarobków obrał bardziej skromną drogę w tej kwestii. Teraz jednak tego żałował.

– To najlepszy prezent bożonarodzeniowy, jaki dostałem od dwudziestu lat... od czasu, gdy obaj z kolegą dostaliśmy drewniane strzelby. – Pamiętał to, jakby to było wczoraj.

Ze wszystkiego, co posiadał, a co stracił tamtego pamiętnego dnia, kiedy unioniści spalili jego rodzinny dom, to właśnie ta pamiątka z dzieciństwa była jednym z przedmiotów, których najbardziej mu brakowało.

– Niech zgadnę – rzekła. – Bawiliście się w kowboi i Indian.

– Czasem. Ale zazwyczaj razem z Markiem na zmianę byliśmy szeryfem i rabusiem. Ciekawiej było odgrywać rolę rabusia.

– Tylko że szeryf był lepszym strzelcem.

Zerknął na nią.

– Też się w to bawiłaś?

– Nie, ale naczytałam się wystarczająco dużo tanich powieści, żeby wiedzieć, co się dalej dzieje.

Odchylił głowę na oparciu kanapy.

– Razem z Markiem pochłanialiśmy je na okrągło, a potem łapaliśmy za strzelby i biegliśmy na zewnątrz. Mieliśmy przyjaciela, nazywał się Danny Ranslett, który też bawił się z nami. Tylko że Danny miał prawdziwą strzelbę w wieku około siedmiu lat i... – Gwizdnął nisko. – ...żeby jeszcze ten chłopak umiał strzelać.

– Czy nadal się widujecie?

– Daniel wyprowadził się na zachód zaraz po wojnie. A Mark... – Sutton zamknął na chwilę powieki. – Zmarł tuż obok mnie, podczas bitwy pod Franklin. Daniel tej nocy stracił najmłodszego brata. Niedaleko od miejsca, gdzie upadł Mark.

Oparła głowę na jego ramieniu.

– Tak mi przykro – wyszeptała. – To wtedy zostałeś ranny?

Kiwnął głową.

– Dostałem w ramię pociskiem typu Minié. – Instynktownie sięgnął do tego miejsca. – Na początku nawet tego nie poczułem. Trzymałem Marka... próbując zatamować krwotok, i starałem się dosłyszeć, co do mnie mówił. Ale... – Wziął gwałtowny wdech. – Ale nie mogłem. Miałem wrażenie, jakby cały świat się rozpadał. – Emocje zacisnęły się pętlą na jego gardle. Nie chciał o tym teraz rozmawiać. Nie w noc Bożego Narodzenia.

Splotła ramię z jego ramieniem i przysunęła się bliżej. Otarł oczy, ciesząc się, że ona nie widzi jego twarzy. Ogień na kominku palił się coraz słabszym płomieniem, tworząc fantastyczny teatr cieni na ścianach.

Przesunęła palcem wskazującym po jego otwartej dłoni. Łaskotało go to, ale nie chciał, by przerywała. Czekał, aż był pewien, że głos mu się nie załamie.

– Spotkałaś matkę Marka tamtego wieczoru na przyjęciu. To pani Holbrook. Nie wiem, czy w ogóle poznałaś jej męża?

Jej palec zamarł na jego dłoni.

– Tak, poznałam. Przelotnie.

– Polubiłabyś Bartholomew Holbrooka. Jest dla mnie niczym ojciec od czasu, gdy zmarł mój tata.

– Naprawdę? Jesteście sobie aż tak bliscy?

Kiwnął twierdząco.

– Pracujemy teraz razem nad jedną sprawą. Tak wiele się od niego uczę. Nie daj się zmylić jego dobrotliwej powierzchowności. Jest wyśmienitym prawnikiem. I nieustępliwym, jeśli chodzi o dotarcie do prawdy.

Nic nie powiedziała. Dopiero po chwili pochyliła się w przód.

– Suttonie... jest coś, o czym muszę ci powiedzieć. Coś... co zasłyszałam. O tobie.

Popatrzyła na niego i zobaczył to w jej spojrzeniu. Rozczarowanie samym sobą wzmogło się w nim jeszcze bardziej.

– Od jak dawna wiesz?

Pochyliła głowę.

– Słyszałam, jak ktoś rozmawiał w ten wieczór, gdy było przyjęcie. I muszę ci wyznać, Suttonie, że byłam bliska wyznania ci tego tyle razy, ale zawsze stawiałam się w twojej sytuacji i czułam...

– Litość dla mnie? – Wstał i zrzucił z siebie płaszcz. – Powinnaś była mi powiedzieć, Claire, że wiesz.

Ona również się podniosła.

– Zdaję sobie sprawę, że powinnam, ale wiedziałam, że będzie ci przykro, że ja wiem. – Zrobiła krok w jego stronę. – Dla mnie to nie ma znaczenia, Suttonie... jaką decyzję podjęła komisja rewizyjna. To nic nie zmienia, czy masz ziemie, czy nie.

– Ale dla mnie tak.

W jej westchnieniu było zrozumienie. Sięgnęła po jego dłoń i przyciągnęła ją do swojej twarzy. Zamknąwszy oczy, wcisnęła w nią policzek, a potem ją ucałowała. Żyły Suttona przeszył ogień i wzmógł się jeszcze bardziej, gdy Claire podniosła na niego wzrok. Ciężko mu było pohamować swoje pragnienia.

Ona była tak olśniewająca, urzekająca, inteligentna, dowcipna... i dobra, na wszelki możliwy sposób. Nic dziwnego, że przyciągała uwagę zamożnych znajomych Adelicii. A wszyscy oni byli dużo bogatsi od tego, na co on kiedykolwiek mógł liczyć... nawet gdyby odzyskał z powrotem swoje ziemie. Claire zasługiwała na to, co najlepsze, a co mógł jej zaoferować majętny mężczyzna.

Wszystko, czego on... nie mógł. Sam stał przed wyborem małżeństwa dla majątku lub z miłości. Podjął decyzję i nie żałował, a teraz Claire zasługiwała na tę samą możliwość.

Żeby jeszcze miał na tyle siły, by jej na to pozwolić.

~

– Przygotowałam wczoraj wieczorem jeszcze kilka notatek, które umieściłam później w pani aktówce, panno Laurent.

– Tak, proszę pani. – Claire otworzyła przed panią Acklen drzwi frontowe. – Zapoznałam się już z nimi i wszystko zrozumiałam. – Dziewczyna zeszła za nią po schodach, niosąc jej torbę do karety, gdzie czekały już dzieci i panna Cenas. Zerknęła za siebie, zastanawiając się, gdzie może być Sutton.

Wymieniła z nim pożegnalny uścisk już wcześniej, w trakcie oficjalnego pożegnania z rodziną, ale nie na takie coś liczyła.

– Dlaczego pani z nami nie jedzie, panno Claire? – zapytał mały Claude, marszcząc brwi.

Claire rozcierała zmarznięte ramiona. Powinna była narzucić na siebie płaszcz.

– Ponieważ muszę tu zostać i wykonać pracę dla twojej mamy. Ale powinieneś koniecznie za mnie zjeść dwie *beignets* w Café du Monde. A ty, Pauline, ćwicz rysunek podczas wyjazdu. Dobrze? – Kiedy Claire napotkała wzrok Williama, puściła mu tylko oko, a ten „niebędący już dzieckiem” młodzieniec wyszczerzył zęby w odpowiedzi.

Z pomocą Eliego pani Acklen wspięła się do karety, a potem spojrzała w dół na Claire.

– Proszę być ostrożną, panno Laurent. Jak tylko czegoś będzie pani potrzebowała, niech się pani zwróci do Eliego albo Cordiny. Oni na pewno

pomogą.

– Przypilnujemy jej, pani Acklen. – Eli udał, że salutuje. – Proszę się nie martwić, droga pani. I proszę przekazać nasze pozdrowienia wszystkim w Angoli.

– Panno Laurent!

Claire odwróciła się i dostrzegła, że w portyku stoi Sutton.

– Czy mogłaby pani tu przyjść? Muszę jeszcze pani pokazać jedną rzecz. – Zniknął ponownie w domu.

Pani Acklen westchnęła.

– Powinniśmy już jechać, panno Laurent. Proszę mu powiedzieć, żeby się pospieszył!

Claire pobiegła w górę schodów, bo dostrzegła błysk zniecierpliwienia w oczach pracodawczyni.

– Suttonie?

Nie było go w holu.

– Jestem w gabinecie.

Stanęła w wejściu i zobaczyła, że on stoi pod oknem. Ucieszyła się, widząc, że miał na sobie płaszcz, który dała mu na święta.

– Jeśli obawiasz się, że nie będę umiała odpowiednio skatalogować dzieł sztuki, Suttonie, obiecuję, zrobię wszystko dokładnie tak, jak mi pokazałeś...

Przeszedł zamaszystym krokiem obok, zamknął drzwi, a następnie przyciągnął ją mocno do siebie. Zanurzył dłonie w jej włosach i odchylił lekko jej twarz, by ich usta mogły się spotkać. Całował ją, długo i powoli, nie zważając na czas, którego nie mieli. Ale w tym momencie Claire było to już obojętne. Ach, jakże bardzo pragnęła go pocałować podczas przyjęcia, a potem tamtego wieczoru, gdy wymieniali się podarunkami, a potem jeszcze...

Owinęła ręce na jego szyi, rozkoszując się uczuciem tej bliskości i nie mniej zapachem skórzanego płaszcza.

Ta chwila trwała jednak bardzo krótko i zaraz ich usta się rozłączyły. Trzymał ją mocno, tak mocno, jak jeszcze nigdy wcześniej.

– Uważaj na siebie, gdy mnie nie będzie – powiedział gardłowym głosem.

– Dam sobie radę. To ty będziesz w podróży. Ty musisz na siebie uważać.

Odsunął się nieznacznie i z czułością przesunął kciukiem po jej dolnej wardze.

– Wiem, że to nie było w porządku, że cię tak zaskoczyłem.

– Jak najbardziej w porządku. Przecież to ja oszukuję w warcaby.

Roześmiał się.

– Tak, ty. I nie tylko w warcaby.

Przeszła z nim do holu wejściowego.

– Zobaczymy się za dwa tygodnie.

– Jeśli o to chodzi... – Przystanął w drzwiach frontowych i spuścił wzrok. – Możliwe, że nie będzie mnie trochę dłużej, niż na początku zakładałem.

– Dlaczego?

– Mam trochę pracy dla Adelicii, plus kilka spraw z kancelarii. – Spotkał się z nią spojrzeniem, ale tylko przelotnie. – A ty potrzebujesz czasu, żeby skatalogować dzieła sztuki i wypełnić wszystko z tej czterdziestosiedmiopunktowej listy od Acklen.

Claire uśmiechnęła się, gdyż wiedziała, że tak trzeba.

– Chciałbym też, żebyś miała czas na malowanie, Claire. Czas dla siebie samej. – Dopiero wtedy na nią spojrzał. – Ostatnio nie miałaś go zbyt

wiele. Taki czas, żebyś mogła się zastanowić i zająć tym, co naprawdę chciałabyś robić.

– To bardzo szlachetne z twojej strony, Suttonie, ale szczerze powiedziawszy... najchętniej spędziłabym go z tobą.

Uśmiechnął się jakoś tak tęsknie, ale jego wzrok... W oczach widać było coś zupełnie innego. Po krótkim uśmiechu sięgnął po swoją torbę podróżną, a Claire odruchowo wyciągnęła ręce w jego stronę. Upuścił torbę i otoczył dziewczynę ramionami. Ściskała go tak mocno, jak potrafiła, wtulając się w niego i pragnąc, by zapamiętał jej dotyk... oraz to, jak do siebie pasują.

Otworzyły się drzwi wejściowe i Eli natychmiast spuścił oczy.

– Przepraszam, panie Monroe, ale lady pana prosi. – Zamknął drzwi, nie czekając na odpowiedź.

Claire pierwsza zwolniła uścisk, z radością zauważając, że Sutton również tego nie chciał.

– Jak długo cię nie będzie?

– Sam nie wiem. – Podniósł ponownie bagaż.

– Możemy do siebie pisać?

Otworzył drzwi i uśmiechnął się nieznacznie.

– Tak, możemy.

– Codziennie?

Uśmiechnął się szerzej, ale jakoś ze smutkiem.

– Będzie mi ciebie brakować – szepnął, a potem zatknął jej kosmyk za ucho i cmoknął w czoło. – Do zobaczenia wkrótce.

I pojechał.

45

Czując się nieco niezręcznie, Claire stała przed wejściem do pokoju Suttona w galerii sztuki i trzymała rękę na gałce. Minęły dwa tygodnie od jego wyjazdu, a wydawało się, jakby to było dużo dłużej. Napisał, prosząc, by znalazła teczkę na jego biurku, i instruując, że odbierze ją od niej posłaniec, ale nawet mając jego pozwolenie, czuła się jak intruz.

Gałka bez trudu przekręciła się w jej dłoni. Sutton mówił, że nie będzie zamknięte. Nie było takiej potrzeby, bo drzwi do galerii zawsze były zamykane – co też szczególnie podkreślał, gdy przekazywał jej klucze.

Zawiasy zaskrzypiały.

Pokój spowijał półmrok, ale Claire szybko odsłoniła kotary. Do wnętrza wlało się popołudniowe światło i od razu zaskoczyło ją, jak skromnie udekorowane było to pomieszczenie. Zaraz jednak uświadomiła sobie, że to nie chodziło o brak mebli czy wyposażenia. Po prostu porównywała ten pokój do wystroju rezydencji, gdzie na każdym blacie czy gzymsie królowały kryształowe wazy, miniaturowe rzeźby i inne bibeloty. Prostota i uporządkowanie panujące w sypialni Suttona bardzo do niego pasowały.

Teczka była na wierzchu biurka, dokładnie w tym miejscu, które podał. Claire odwróciła się już, by wyjść, gdy wyczuła jakąś delikatną woń i przystanęła. Wzięła ponownie wdech, ale zapach uleciał. Pod wpływem nagłego impulsu, pragnąc czegoś namacalnego, co by jej o nim przypominało, podeszła do szafy, otworzyła ją i wtuliła twarz w jedną z jego koszul. Napawała się zapachem wawrzynu i przypraw korzennych,

słońca i pól, i czegoś zdecydowanie męskiego... Zamknęła oczy i starała się to dobrze zapamiętać.

Od czasu, gdy wyjechał, napisał do niej dwa razy. Ona pisała do niego niemal codziennie. Wieczorem, zanim udawała się do łóżka. Jego pierwszy list został nakreślony w Café du Monde w Nowym Orleanie i Claire czuła się bardzo nieswojo na myśl, że Sutton był tak blisko domu, gdzie mieściła się jej rodzinna galeria sztuki. W następnym liście donosił, iż wyjeżdżają na plantację Angola, jakieś dwieście kilometrów od Nowego Orleanu, więc odetchnęła z ulgą.

Uśmiechnęła się na wspomnienie postscriptum, które dodał ostatnio: „Staraj się nie usnąć podczas kazań wielebnego Buntinga. Choć doszły mnie słuchy, że są tam bardzo wygodne ławki”.

Kiedy czytała jego listy, miała wrażenie, jakby siedzieli obok siebie i rozmawiali. Niejednokrotnie śmiała się lub odpowiadała na głos na to, co wyczytała. Pomiędzy obowiązkami wobec pani Acklen i pracą nad sprawą prowadzoną z panem Holbrookiem – czegokolwiek ona dotyczyła – reszta jego dni była równie wypełniona. Ale jej ulubione fragmenty były zawsze na końcu, gdy pisał, że modli się za nią, co też przypominało jej, by jeszcze gorliwiej modlić się za niego.

Na stoliku obok jego łóżka były dwa oprawione w ramki miniaturowe portrety przedstawiające mężczyznę i kobietę. Zapewne jego rodzice. Rysunek mężczyzny mógłby równie dobrze być wizerunkiem Suttona za kilka lat. Podobieństwo było uderzające. Oblicze kobiety najlepiej opisywało słowo „delikatna”. Jej rysy były łagodne i lekko zaokrąglone, bez żadnych ostrości. Piękna...

Claire pogładziła dłonią poduszkę Suttona, zastanawiając się po raz kolejny, czy był jeszcze jakiś inny powód poza interesami, który zatrzymał go na tak długo. Co do jednego miała pewność – trudno mu było wyjechać.

Widziała to na jego obliczu, wyczuwała w jego zachowaniu. I jakkolwiek dziwnie by to nie brzmiało, akurat to pomagało jej przeżyć tę rozłąkę.

Postanowienie komisji rewizyjnej w sprawie rodzinnych ziemi Suttona ukazało się w *Nashville Banner* niedługo po jego wyjeździe. Na pierwszej stronie. I nie było pochlebne dla jego ojca. W zasadzie raczej bardzo dyskredytujące. Dlatego też Claire cieszyła się, że Sutton był daleko stąd, chociaż na pewno przeczytał już ten artykuł, bo pani Acklen zaleciła, by wysyłano jej prasę do Angoli.

~

Claire skończyła na dzisiaj katalogowanie dzieł sztuki, a następnie wyjęła szkicownik oraz ołówki i ruszyła w stronę pól mocno udeptaną ścieżką. Postawiła wyżej kołnierz. Jej oddech tworzył obłoczki pary w chłodnym styczniowym powietrzu.

W ostatnich dniach wypracowała sobie stały rytm. Budziła się jeszcze przed wschodem słońca i czytała w pokoju *tête-à-tête*. Cieszyła się, kiedy napotykała fragmenty Pisma Świętego, które pani Acklen podkreśliła w podarowanym jej egzemplarzu Biblii. Czytanie wersetów, które ktoś inny uznawał za ważne, dawało niesamowity obraz danej osoby.

Po śniadaniu w kuchni z Elim i Cordiną malowała do późnego poranka, cały czas szukając tego jednego idealnego miejsca, które mogłaby uwiecznić na obrazie wystawionym na zbliżającej się aukcji. Pozostałą część dnia poświęcała na pracę nad różnymi zadaniami wytyczonymi przez panią Acklen oraz nad skatalogowaniem bezcennej kolekcji sztuki swojej pracodawczyni. Zaś godziny wieczorne... wtedy czuła się najbardziej samotna. Skończyła już czytać książkę o Aleksandrze Wielkim oraz *Raj i Peri* Thomasa Moore’a, a także kilka innych pozycji. Bo tylko czytanie książek i pisanie do Suttona mogło wypełnić aż tyle czasu.

Zimne powietrze sprawiało, że trudno jej było oddychać. Ruszyła ścieżką wzdłuż strumienia, aż doszła do ulubionego wapiennego głazu, który wystawał ze zbocza. Usiadła na tej naturalnej ławeczce i zasłuchała się w melodię wody przelewającej się przez skały, która mówiła do niej jakimś odwiecznym językiem. Upajała się przez chwilę tym idealnym spokojem.

Jakieś kolorowe poruszenie w dole nurtu przykuło jej uwagę i Claire dostrzegła kardynała szkarłatnego o jasnoczerwonych piórach, które wyraźnie odbijały się na tle monotonii zimy. Ptak sfrunął w dół i usiadł na brzegu, w miejscu, gdzie było głębiej i woda była spokojniejsza. Napił się i odleciał.

Wpatrując się w tamto miejsce, Claire wspomniała ostatnią prośbę matki – to, jak chciała oblewać jej ciało wodą – ten obraz był wciąż żywy w jej pamięci. Zaraz potem przypomniała sobie Peri, anielicę tulącą do piersi naczynie na wodę, i odruchowo z trudem przełknęła. *Boże Ojcze, czy ugasisz to pragnienie, które noszę w sobie...?*

Siedziała jeszcze chwilę, aż słońce zaczęło opuszczać się na nocny spoczynek i Claire musiała wracać do rezydencji. Dopiero gdy ruszyła, poczuła, jak bardzo skostniałe ma kończyny.

Cordina przywitała ją w wejściowym holu.

– Bój się Boga, dziecko, jakie ty masz policzki! Przemarznięta do szpiku kości. – Ujęła twarz Claire w ciepłe dłonie i ta zadrżała. – Zaraz panience przyniosę kolację, panno Laurent. Przyszła do pani paczka. Leży na stole w gabinecie.

– Dziękuję Cordinie.

Nie rozbierając się z płaszcza, Claire pobiegła do gabinetu, ale jej serce stanęło, gdy zobaczyła wymyślne opakowanie i wstążkę. Gdyby to była przesyłka od Suttona, byłaby zapakowana tak jak na poczcie.

W tym wypadku mogła się łatwo domyślić, od kogo pochodził ten prezent.

Poza pierwszym popołudniem, gdy Andrew Stanton przyjechał do niej w odwiedziny, do tej pory dwukrotnie jadała z nim kolację. Starszy mężczyzna przesyłał jej kwiaty i czekoladki oraz inne łakocie już trzy razy od czasu przyjęcia. Otworzyła paczkę.

Książka. Ale nie byle jaka książka. Przesunęła dłonią po okładce i otworzyła ją. Pierwsze wydanie *Przygód Telemaka*, jakie ukazało się... w 1699 roku! Przeczytała załączony bilecik: „Dla Pani, Panno Laurent, w dowód naszej przyjaźni i ku pamięci Pani najdroższej Matki. Ślę serdeczności i oczekuję z niecierpliwością naszej kolejnej kolacji, Andrew Stanton”.

Pokręciła głową, obejmując tym gestem jednocześnie podziw nad zabytkowością książki oraz hojnością pana Stantona. Cóż za życzliwy, szlachetny i autentyczny człowiek. Wspominała mu o tej książce tylko raz, mówiąc, że to ulubiona lektura jej i jej *maman*.

Pozostali mężczyźni, którzy, ku zaskoczeniu Claire, przesyłali jej podarunki po przyjęciu, zaprzestali wysiłków, by zdobyć jej uwagę, ale nie pan Stanton. Był skromny i bezpretensjonalny. Łatwo się też z nim rozmawiało. Od czterech lat był wdowcem i zaskakiwała ją jego szczerość.

– Kiedy zmarła moja droga Libba – wyznał jej kiedyś – sama myśl o tym, że miałbym się ponownie ożenić, była mi obca, ale z biegiem lat, gdy mój żal zmalał, zaczynam coraz bardziej dopuszczać do siebie taką możliwość.

Ponieważ on był wobec niej szczery, potraktowała go podobnie, wyznając, że choć miła jej jest ich przyjaźń, na razie nie myśli o zamążpójściu. Kiedy to mówiła, starała się jak najlepiej dobrać słowa,

a jego stateczne, pełne zrozumienia kiwnięcie głową było znakiem, że zrozumiał.

Teraz zaczynała mieć wątpliwości.

Po kolacji tego dnia Claire ostrożnie odwracała stronice cennego egzemplarza *Przygód Telemaka*, wracając do ulubionych fragmentów, i wspominała malowidła ścienne w sypialni Adelicii, choć wiedziała, że nie może – nie powinna – zatrzymać tej książki. Odda ją panu Stantonowi przy najbliższej okazji, razem z głębokimi wyrazami wdzięczności i wyjaśnieniem, dlaczego nie mogą się dalej widywać. Kwiaty i słodycze to jedno, ale prezent o takiej wartości był czymś zupełnie innym.

A takie „zupełnie coś innego” było jej mile widziane jedynie od Suttona.

~

Któregoś poranka w kolejnym tygodniu, gdy styczniowe słońce wstydliwie wychynęło wraz ze świtem, Claire otuliła się ciepło i ruszyła do stajni. Zeke obiecał osiodłać i przygotować do jazdy Athenę. Ale kiedy dziewczyna wyszła zza rogu, zobaczyła, że to wcale nie Athenę Zeke trzymał za wodze.

– Dobry, panno Claire. – Chłopiec uśmiechnął się szeroko, aż jego uszy się poruszyły. – Jak się pani miewa?

Claire zerknęła na niego, następnie na Truxtona. Nie zamierzała jeździć na koniu Suttona bez pozwolenia.

– Prosiłam cię, byś osiodłał Athenę, Zeke.

– Tak, psze pani. Ale pan Monroe powiedział mi co innego, nim wyjechał. Kazał pani zrobić niespodziankę. Więc... – Chłopak rzucił okiem na ogiera, a potem znów na nią. – Niespodzianka!

Zaśmiała się i przeszył ją dreszcz. Nie umniejszając siły Atheny, jazda na Truxtonie była jak ujeżdżanie czworonożnej lokomotywy. Kto by pomyślał, że Sutton aż tak jej ufa. Zaraz też przypomniało się jej coś i sięgając do kieszeni płaszcza, rzekła:

– Cordina przysłała ci coś drobnego.

Zeke wziął zawiniątko okryte ścierką i uniósł do nosa.

– Pachnie jak jej bułka. – Powąchał ponownie. – Ze smażonym kurczakiem!

Claire skorzystała z jego pomocy przy wejściu na siodło. Od razu poczuła pod sobą siłę mięśni rasowego konia.

Bardzo się starała, by jej kolejne pytanie brzmiało naturalnie.

– Znalazłeś ostatnio coś nowego w ziemi?

Uśmiechnąwszy się szeroko, sięgnął do kieszeni, po czym wyciągnął dwudziestopięciocentówkę, kilka metalowych guzików oraz wgniecioną pokrywkę od puszki po tytoniu do żucia.

– Cały czas wykopuję coś nowego. Ja zawsze powtarzałem panu Monroemu, że tu musi być zakopany skarb, ale on tylko kręci głową. – Zeke wrzucił znaleziska z powrotem do kieszeni. – Jak pani myśli, kiedy on wróci?

Claire spojrzała w dół, czując niemiły ucisk w środku.

– Nie wiem. – Bo chociaż pytała Suttona o to w prawie każdym liście, on nie dał jej żadnej odpowiedzi.

Truxton reagował na jej najdrobniejsze polecenia z ogromną zwinnością i prędkością, gdy mknęli razem ponad polami. Zimny wiatr kąsał policzki Claire i palił ją w płucach, ale myśl o marzeniu Suttona rozgrzewała jej serce wielkim żarem.

Ogier pokonał strumień, jakby to była tylko szczelina w ziemi, a ona wzbiła się z nim, tak jak nauczył ją Sutton. Nie potrafiła tego wyjaśnić, ale

w tym momencie czuła się jeszcze bliżej Suttona niż kiedykolwiek wcześniej.

Skierowała konia na szczyt wzniesienia i ściągnęła wodze, oddychając ciężko. Patrzyła na rozciągające się pod nią Belmont, a w oddali Nashville, i zapragnęła bardzo, by to ten piękny widok ująć na płótnie. Namalowała jak dotąd cztery różne ujęcia pejzażu na łące. Posuwała się w pracy nad udoskonaleniem warsztatu, ale powoli. Kładła się spać, myśląc, że nowy obraz rokował już nadzieje na sukces, jednakże kolejnego poranka budziła się i widziała, czym był naprawdę – czymś, co każdy turysta spacerujący po Dzielnicy Francuskiej mógłby kupić od ulicznego artysty. Dobre, ale nie na tyle, by wziąć udział w aukcji, do której zostało już tylko trochę ponad miesiąc.

„Twój talent nie wyróżnia się niczym”... Chociaż bardzo starała się uciszyć ten głos w sercu, opinia jej ojca prześladowała ją nawet zza grobu i potępiała jej wysiłki, nawet zanim Claire przygotowała paletę. I jakaś część w niej obawiała się, że być może to on miał rację. Być może była po prostu przeciętną malarką... albo raczej fałszerką.

Kiedy słońce zaczęło rozciągać złote palce ponad widokami u jej stóp, zmrużyła mocno oczy, próbując ujrzeć to wszystko w formie idealnego chóru pociągnięć pędzla na kanwie. *Boże Ojcze, pomóż mi stworzyć coś wartościowego. Godnego udziału w aukcji i cennego w opinii krytyków...* Już nawet w chwili, gdy te słowa zrodziły się w jej sercu i wzniosły ku niebu, miała wrażenie, że są do niczego. Żałowała, że nie ma koło niej Suttona. On wiedziałby, jak ułożyć tę modlitwę, kiedy ona nie umiała dobrać odpowiednich słów.

~

Dwa dni później nastał luty i ogrody w Belmont spowiła dziesięciocentymetrowa pokrywa śniegu. Claire wniosła do małego gabinetu dwa ostatnie pudła po kapeluszach wypełnione listami i pamiątkami. Chciała przejrzeć je do końca, by móc zacząć pracę nad pamiątkowym albumem dla pani Acklen. Nie wspominając nawet o tym, że czekało ją jeszcze dokończenie biografii do rozdziału na temat pani Acklen w książce *Queens of American Society*.

Na kanapie przed kominkiem, z filiżanką herbaty, otworzyła pierwsze pudło i zobaczyła na wierzchu zaproszenie, które zaprojektowała na przyjęcie ku czci madame LeVert. Uśmiechnęła się. Pani Acklen musiała je tu wsunąć przed wyjazdem do Nowego Orleanu.

ZAPROSZENIE

Pani Adelicia Acklen ma zaszczyt zaprosić na przyjęcie ku czci madame LeVert, które odbędzie się we wtorek 18 grudnia i rozpocznie o godzinie 8 wieczorem.

Pani Acklen kazała jej, by było krótkie i eleganckie. Claire pokazała jej szkic, oczekując, że spotka się z licznymi sugestiami, ale kobieta zaaprobowała go bez najdrobniejszej zmiany. Przeżywając na nowo tamto poczucie satysfakcji, Claire odłożyła zaproszenie na stertę przedmiotów przeznaczonych do pamiątkowego albumu.

Natykała się na tak wiele rzeczy, które poruszały jej serce. Powiadomienie o pogrzebie Emmy Franklin, listy od różnych członków rodziny... Potem jej wzrok padł na wycinek z gazety obok stosu. Jej uwagę przykuł nagłówek.

FRANCIS ROUTH UNIEWINNIONY

Francis Routh? Czyżby ten człowiek... miał coś wspólnego z pracującą w Belmont panią Routh?

Claire sprawdziła datę. 18 lipca 1842 roku. Pierwsza strona *Nashville Banner*. Przebiegła wzrokiem wprowadzający akapit i spłoniła się, ponieważ miała wrażenie, jakby czytała nie swój pamiętnik.

46

Claire zapoznała się z treścią artykułu, choć wciąż wydawało się jej, że nie powinna, mimo iż sama sobie tłumaczyła – tak jak kiedyś, gdy opracowywała wycinki z gazet – że przecież to i tak było podane do publicznej wiadomości. Co prawda ponad dwadzieścia lat temu, ale było.

Po kolejnej apelacji Francis Routh z Nashville został uniewinniony od zarzutów oszustwa w obrocie ziemią w Luizjanie, za co od dwóch lat był skazany na karę więzienia. Routh został zwolniony ze stanowego zakładu karnego Luizjany drugiego dnia bieżącego miesiąca po dwudziestu sześciu miesiącach odbytej kary, która została zasądzona na okres trzech lat.

Claire przesunęła wzrok na kolejny akapit i następne słowa zaczęły się jej rozmazywać.

W wyniku pogarszającego się stanu zdrowia od chwili rozpoczęcia kary więzienia Routh zmarł w zeszłym tygodniu na zapalenie płuc w domu swojego bliskiego wspólnika i byłego partnera finansowego, Isaaca Franklina. Ze względu na karę więzienia męża oraz stratę domu i firmy żona Routha zamieszkała u państwa Franklinów w Fairview w Gallatin.

Od samego początku Routh utrzymywał, że jest niewinny. Jego obydwaj synowie zmarli wcześniej, a teraz on owdowił żonę, panią Abigail Routh z Nashville.

Reszta tekstu traktowała o domniemanych zarzutach z ubiegłych lat. Claire oderwała wzrok od druku i zapatrzyła się w jakiś nieokreślony punkt przed sobą.

Mąż pani Routh. To musiało być...

Pukanie do uchylonych drzwi sprawiło, że Claire poderwała głowę. Szybko ukryła artykuł pośród stosu innych wycinków.

– Pani Routh – rzekła z wymuszonym uśmiechem.

Ochmistrzyni weszła do gabinetu z kopertami w dłoni. Dostrzegła stertę wycinków z gazet i na moment zawiesiła na niej wzrok.

– Przyszła poczta, panno Laurent.

– Dziękuję. – Claire wstała i wyszła jej naprzeciw. – Miło, że zechciała mi ją pani przynieść. – Pani Routh odwróciła się do wyjścia. Wydawała się ostatnio bardziej milcząca, jakby nieobecna, ale Claire nie pytała o powód. Aż do dziś była po prostu wdzięczna za ten akt łaski.

Wróciła na kanapę i w zamyśleniu przejrzała koperty, licząc, że ochmistrzyni nie widziała, co ostatnio czytała. Był tam list od pani Holbrook – niewątpliwie dotyczący zbliżającego się dorocznego poczęstunku Ligi Kobiet. Claire rozpoznała też na kolejnej kopercie pismo pana Stantona, ale od Suttona nie przyszło nic.

Coraz mocniej docierało do niej, że starsza kobieta nadal stoi w drzwiach, więc siląc się na zwykły ton, rzekła:

– Czy mogę jeszcze w czymś pani pomóc, pani Routh?

Ochmistrzyni miała na twarzy stoicki spokój, jednak jej postawa zdradzała wahanie, jakby jednocześnie chciała i nie chciała czegoś powiedzieć. Wyprostowała się bardziej.

– Chciałabym tylko przekazać pani, panno Laurent, że... – Pani Routh sprawiała wrażenie, jakby zjadła ćwiartkę cytryny. – Że to, co zrobiła pani... dla pani Acklen – wypowiedziała to nazwisko z taką czcią – jeśli chodzi

o tę rzeźbę dzieci... – Wskazała dłonią na wejściowy hol i uciekła wzrokiem. Następnie, zapewne uświadomiwszy sobie, że naruszyła swoją kardynalną zasadę mówiącą, iż należy patrzeć na tego, z kim się rozmawia, z powrotem zwróciła spojrzenie. – To było bardzo szczodre, panno Laurent. – Wypowiedziała ostatnie zdanie szybko, jakby zaciskając zęby i licząc, że niczym ból przy zastrzyku szybko minie.

Claire nie miała wątpliwości, że widać było po niej zaskoczenie.

– Dziękuję... pani Routh. Bardzo miło, że mi to pani mówi. Cieszę się, że mogłam to zrobić. Jestem przede wszystkim wdzięczna za to wszystko, co pani Acklen uczyniła dla mnie.

Blady uśmiech ochmistrzyni wydawał się prawie fałszywy.

– Tak jak i ja, panno Laurent, za jej wielką hojność wobec mnie. – Natychmiast obróciła się i zamknęła za sobą drzwi, ale jeszcze przedtem rzuciła po raz ostatni okiem na stos artykułów na kanapie, a następnie na Claire.

Dziewczyna przez kilka chwil wpatrywała się w zamknięte drzwi z nieodpartym wrażeniem, że najwyraźniej źle oceniła tę kobietę.

~

Był czwartkowy wieczór, gdy kareta zjechała z głównej drogi i ukazał się dom pana Stantona. Claire tłumaczyła sobie, że nie powinna być zaskoczona wielkością i elegancją rezydencji. Wiedziała, że Andrew Stanton był zamożny. Wysiadła z karety z pomocą jego lokaja. W kieszeni płaszcza miała zawinięty w papier egzemplarz *Przygód Telemaka*.

W wejściu przywitał ją służący, a pan Stanton spotkał się z nią w salonie.

Ucałowawszy ją w dłoń, rzekł:

– Panno Laurent, dziękuję, że zgodziła się pani ze mną tu dzisiaj spotkać. Pomyślałem, że to będzie miła odmiana zjeść kolację w domu, a nie na mieście.

Pozwoliła, by pomógł jej zdjąć płaszcz.

– Oczywiście. Bardzo ucieszyło mnie pańskie zaproszenie.

Zaproponował kolację jeszcze w zeszłym tygodniu, ale Claire była zbyt zajęta katalogowaniem dzieł sztuki w galerii i malowaniem w każdej wolnej chwili. Jej wzrok od razu przykuły obrazy na ścianach. Zapewne oryginały, a wszystko pędzla znanych artystów.

– Łączy pana z panią Acklen podobne zamiłowanie do sztuki.

– Nieraz się zdarzało, że przebijaliśmy się wzajemnie na aukcji. Ma wyborny gust.

– Podobnie jak pan, sir.

Andrew Stanton był życzliwym, przystojnym mężczyzną o srebrzących się na skroniach włosach i szczerym spojrzeniu. Rozmowa z nim podczas kolacji przychodziła jej bez trudu. Po posiłku przeszli do salonu na kawę, gdzie od kominka rozchodziło się miłe ciepło.

Usiadła na sofie, a on obok niej.

– Ma pan wspaniały dom.

– Jest jeszcze wspanialszy, gdy jest w nim pani.

Odwrócił wzrok, jakby sam był zaskoczony tym, że to powiedział, i Claire poczuła w sercu ostrzegawczy impuls.

– Panno Laurent... – Uśmiechał się niepewnie. – Claire... – podjął, trochę pytającym tonem.

Kiwnęła głową.

– Zdaję sobie sprawę, że jestem dla ciebie starcem. Bo tak właśnie jest, w porównaniu z twoją młodością. Ale wierzę, że starość i młodość mogą się czasem uzupełniać. I wierzę, że tak będzie... w naszej sytuacji.

– Panie Stanton, ja...

– Byłbym zaszczycony, gdybyś mówiła mi po imieniu.

Ugryzła się w język i skinęła głową.

– Andrew... ja naprawdę lubię twoje towarzystwo, ale... – Wzięła głęboki wdech, przywołując słowa, które przygotowała na tę okazję. – Obecnie nie biorę pod uwagę związku o takim charakterze, jakiego ty oczekujesz. W zasadzie... – Nie chciała go skrzywdzić. – Wydaje mi się, że byłoby lepiej, gdybyśmy się już więcej nie spotykali.

Z zaskoczeniem zauważyła, że on się uśmiechnął.

– Bardzo starannie dobrane słowa i świetnie przygotowane, Claire. – Na jego twarzy pojawił się wyraz zrozumienia. – Już od tamtej chwili, kiedy mnie opacznie zrozumiałaś i myślałaś, że chcę, byś przyniosła mi coś do picia na przyjęciu, byłaś wobec mnie szczera. Podziwiam to w tobie. I chociaż cenię sobie naszą przyjaźń, byłoby niedopatrzeniem z mojej strony, gdybym nie wyznał, że to nie wszystko, co do ciebie czuję. Ani też wszystko, na co liczę, że mogłabyś kiedyś do mnie poczuć.

Ciszę przerwał trzask w kominku i teraz jedyne słowo, które kołowało jej w głowie, to: „szczera”. To ostatnia rzecz, o jaką można ją było posądzić. Wobec niego... Wobec Suttona... Wobec wszystkich. Ale właśnie tego pragnęła teraz bardziej niż czegokolwiek innego w życiu.

– Andrew...

Wzniósł dłoń.

– Nie musisz już nic więcej dzisiaj mówić. Nie planowałem poruszać tego tematu, chociaż cieszę się, że to wyszło. – Z prawdziwie dżentelmeńską kurtuazją ucałował jej dłoń, a następnie podniósł się i zamówił karetę. – Odwiozę cię do Belmont.

Pomógł jej założyć płaszcz, a ciężar w kieszeni przypomniał Claire o czymś jeszcze.

Wyjęła książkę.

– Doceniam bardzo ten gest, ale nie mogę. – Odłożyła ją na stolik.

Natychmiast wręczył jej książkę z powrotem.

– To był prezent, Claire. Pomiędzy przyjaciółmi. Bez jakichś dalszych oczekiwań.

Widząc jego determinację, nie spierała się. On tymczasem sięgnął po swój płaszcz i rękawiczki. Podróż powrotna do Belmont przebiegła w ciszy i kiedy wyjechali zza zakrętu i ich oczom ukazał się oświetlony blaskiem księżyca zarys rezydencji, Claire poczuła tęsknotę za domem. Taką, której już dawno nie przeżywała. Tylko że nie chodziło o miejsce. Chodziło o osobę.

Kareta zatrzymała się przed frontowymi schodami w chwili, gdy Eli schodził po nich z latarnią w dłoni. Pomógł dziewczynie wysiąść z powozu, a Andrew odprowadził ją do drzwi.

– Czy wiesz może, kiedy pani Acklen zamierza wracać?

– Wydaje mi się, że za kilka tygodni, ale nie później niż w marcu, by zdążyć na aukcję dzieł sztuki.

– Mówiła mi, że planujesz w tym roku wziąć udział w aukcji dzieł debiutujących artystów. Nie mogę się tego doczekać. Pan Monroe również głosi peany na twój temat ze względu na twój talent. I na wszystko inne.

Claire podniosła wzrok.

– Pan Monroe mówił ci coś o mnie?

Twarz Andrew przybrała nieco płochliwy wyraz.

– Tak, chociaż... trochę to na nim wymusiłem. Wziąłem go na bok podczas przyjęcia i powiedziałem mu, że chciałbym cię lepiej poznać. Zapytałem też, czy jakiś inny dżentelmen nie ma planów wobec twoich uczuć.

Serce Claire zabiło nierówno. Przypomniała sobie, że widziała ich rozmawiających w saloniku i wymieniających uściski dłoni.

– Jeśli to nie będzie niegrzeczne z mojej strony, czy mogłabym wiedzieć, co dokładnie odparł pan Monroe?

Andrew odpowiedział dopiero po chwili.

– Wspominał, że jesteś najwspanialszą młodą damą, jaką kiedykolwiek poznał, i że nie widzi żadnego powodu, dla którego nie powinienem nawiązać z tobą bliższej znajomości. – Przyglądał się jej w świetle pojedynczej latarni, którą na portyku zapalił Eli. – Jednakże... dostrzegam jeden taki powód. Właśnie teraz. W twoich oczach.

Claire spuściła wzrok, ale pan Stanton podniósł z powrotem jej brodę wyżej.

Na jego twarzy powoli pojawił się delikatny uśmiech rezygnacji.

– Sutton Monroe jest wielkim szczęściarzem, Claire. Czy on wie?

– Co wie...? – zapytała szeptem.

– Że go kochasz.

Płacz ścisnął ją w gardle. Pokręciła głową, a potem wzruszyła ramionami.

On nie mówił nic przez chwilę, a potem ucałował ją niewinnie w czoło.

– Dziękuję, Claire, za piękny wieczór. I za dar twojej przyjaźni.

Claire stała w holu wejściowym z dłonią wzniesioną w pożegnalnym geście, gdy kareta ruszała z podjazdu. Włożyła rękawiczki do pustych kieszeni. Egzemplarz *Przygód Telemaka* leżał bezpiecznie na stoliku w holu Andrew.

Potem poszła prosto do swojego pokoju i napisała w liście do Suttona, że razem z panem Stantonem „porównała zeznania” i już chce, by Sutton wrócił do domu.

I nie tylko do domu, ale do niej.

~

Claire wśliznęła się przez kościelne wrota i skierowała przejściem w stronę ławki pani Acklen.

Wielebny Bunting zajął miejsce na ambonie.

– Witam was, Bracia i Siostry. Powstańmy na rozpoczęcie modlitwy i pierwszą pieśń.

Wsunąwszy się do ławki, Claire chwyciła za śpiewnik, bo nie znała jeszcze słów wszystkich pieśni. Kiedy modlitwa dobiegła końca i zaczęła płynąć muzyka organowa, Claire dołączyła do chóru pozostałych wiernych. Od razu jednak zwróciła uwagę, że brakuje jej głębokiego tenoru Suttona.

Wysłała mu list w piątek, dzień po tamtej kolacji z Andrew Stantonem, więc wiedziała, że jeszcze nie mógł go dostać. Zazwyczaj trwało to prawie dwa tygodnie, zanim poczta doszła... czasem nawet dłużej, w zależności od pogody.

– Proszę, otwórzcie Biblię na Księdze Jeremiasza, a dokładniej na rozdziale osiemnastym. W postawie stojącej wsłuchujmy się w czytanie świętego Słowa Bożego.

Claire otworzyła Biblię. Jeremiasz był tuż po Izajaszu, którego do tej pory czytała, więc bez trudu odnalazła właściwą księgę. Podążała wzrokiem za tekstem, gdy wielebny Bunting czytał na głos:

– „Zstąpiłem więc do domu garncarza, on zaś pracował właśnie przy kole. Jeżeli naczynie, które wyrabiał, uległo zniekształceniu, jak to się zdarza z gliną w ręku garncarza, wyrabiał z niego inne naczynie, jak tylko podobało się garncarzowi”.

Naczynie z gliny? Garncarz? Od razu się zaciekawiła i zagłębiła w dalszą lekturę.

– „Wtedy Pan skierował do mnie następujące słowo: «Czy nie mogę postąpić z wami, domu Izraela, jak ten garncarz? – wyrocznia Pana. Oto bowiem jak glina w ręku garncarza, tak jesteście wy, domu Izraela, w moim ręku»”. – Wielebny Bunting przerwał. – A błogosławieni są ci, którzy słuchają Słowa Bożego i strzegą go.

Przez świątynię przeszedł pomruk „Amen” i wierni zasiedli w ławkach. Claire jeszcze raz prześledziła ten fragment, gdy pastor zaczął mówić. To było coś, co do niej trafiało. Trudy tworzenia w glinie. W ciągu ostatnich tygodni wielokrotnie próbowała stworzyć coś wartościowego. Coś, co sprawiłoby, że ludzie by przystanęli i zwrócili na to uwagę. Tak jak jej *Jardins de Versailles*. Powoli wypuściła powietrze z płuc. To było pocieszające, że Pan rozumiał jej frustrację. Tylko że teraz to ona była gliną. I patrząc na to z dalszej perspektywy, czuła się nieco niekomfortowo.

– Może jesteś tu dzisiaj i zastanawiasz się nad tym, jak w twoim życiu objawia się Boża dobroć – mówił dalej wielebny. – A może zastanawiasz się, dlaczego On dopuścił do tak trudnych chwil. Kiedy przychodzą uciski – a będą przychodzić – powinniśmy się nastawić, by przyjąć je jako wolę Bożą. Gdyż albo uznajemy, że Bóg jest Królem, albo nie. Albo jest Panem tego wszystkiego, albo nie. Nie ma innej możliwości.

Znowu ten motyw... – pomyślała Claire, wspominając to, co pani Acklen powiedziała w swojej sypialni tamtego popołudnia kilka tygodni temu. Zaczynała wierzyć, że pani Acklen i pastor mieli rację. Chociaż trudno jej było myśleć o Bogu, który jako władca celowo darzy ludzi radością... i cierpieniem. Coś jej tu zgrzytało.

Kiedy wielebny zachęcił zgromadzonych, by wstali i odśpiewali pieśń, ucieszyła się, że zna ją na pamięć. Odłożyła śpiewnik i dołączyła do chóru. Bogate dźwięki organów to wznosiły się, to opadały, a ona zamknęła oczy, napawając się muzyką i treścią.

– Czy malowałabyś, gdybyś wiedziała, że malujesz tylko dla mnie?

Otworzyła oczy, pewna, że słyszała szept, nie wiedząc tylko, skąd dochodził, czy z ławki przed nią, czy za nią. Ludzie w rzędzie przed nią nie patrzyli w jej stronę, tak jak i ludzie za nią... dopóki nie zaczęła się im przypatrywać. Szybko odwróciła się z powrotem, ale mimochodem zerkała na boki, by sprawdzić, kto się do niej zwracał. Nikogo jednak nie dostrzegła.

Muzyka organowa stopniowo cichła i wielebny Bunting podjął modlitwę. Stwierdziwszy w końcu, że pewnie tylko się jej zdawało, Claire pochyliła głowę i oczami wyobraźni zobaczyła jak żywy obraz garnka na kole garncarskim. Widziała, jak koło się obraca, a ręce artysty – silne i poznaczone licznymi czerwonobrązowymi plamami – formują i kształtują gliniany garnek według własnego uznania.

Czy malowałabyś, gdybyś wiedziała, że malujesz tylko dla mnie?

Claire wzięła gwałtowny wdech, słysząc tym razem z wyraźną jasnością ten odwieczny szept, jednak nie uchem, lecz sercem. Przeszły ją dreszcze i złapała się mocniej ławki przed sobą, choć wcale nie czuła lęku. Wręcz przeciwnie. Jeszcze nigdy nie doświadczała takiego pokoju ani takiej miłości.

Nie otworzyła oczu. Nie musiała. Przytknęła tylko dłoń do ust, by nie wypowiedzieć na głos tego słowa, które miała na wargach...

Jezus.

Później wieczorem, gdy była już w łóżku, leżała w ciemności, żałując, że nie ma tu Suttona, że nie może z nim porozmawiać, opowiedzieć mu, co się stało rano – teraz, póki te wszystkie szczegóły były tak żywe w jej pamięci. Ale przecież mogła mu opowiedzieć...

Wyszła spod ciepłego przykrycia, zapaliła lampę oliwną na stoliku i szybko przebiegła przez pokój do biurka po pióro i papier. Następnie

czmychnęła z powrotem, ciesząc się z grubych dywanów, które przykrywały teraz drewnianą podłogę. Usadowiła się na łóżku i naciągnęła mocniej rękawy koszuli nocnej, by okryć ręce.

Pisała długo, tak iż nawet minęła północ, a słowa wylewały się z niej niczym deszcz spływający na parapety za oknem. Gdy tamto pytanie, które usłyszała rano, pojawiło się po raz pierwszy, nie wiedziała co, albo raczej kto to jest. Kiedy jednak usłyszała je po raz drugi, wiedziała, że to On pyta. Chociaż mimo tego jakaś drobna cząstka w niej wolała, żeby nie pytał... ponieważ wcale nie była jeszcze pewna swojej odpowiedzi.

Kiedy skończyła pisać list do Suttona, zobaczyła, że zapełniła siedem stron. Zebrała je razem i odłożyła na bok, po czym wzięła czystą kartkę, tym razem pisząc do Niego, do tego, który szeptał. Pisała, aż zaczęła ją boleć ręka, a mięśnie szyi i ramion całkiem zesztywniały. Spisywała myśli, których nigdy nikomu nie wyjawiła i czułaby się skrępowana, gdyby to ktoś przeczytał. Pytała o *maman*, o ojca i o to, dlaczego – skoro Bóg dał jej talent do malowania, jakkolwiek by on nie był lichy – nie robił z tym nic dalej?

Gdy zgasiła lampę o wpół do czwartej, wyczerpana wtuliła twarz w chłodną poduszkę i chwyciła się kurczowo wspomnienia Jego głosu. Modliła się, by nigdy nie zapomnieć tego uczucia, którego doświadczyła rano. To była idealna, bezgraniczna miłość. Przekraczająca wszystko, co do tej pory znała. Zastanawiała się także nad konsekwencjami Jego pytania: „Czy malowałabyś, gdybyś wiedziała, że malujesz tylko dla mnie?”. Czy to znaczyło, że płótno, które wystawi na aukcji – ten konkretny obraz, nad którym pracuje i który zamierza zgłosić – nie zostanie dobrze przyjęte? A może w ogóle nie będzie przyjęte? Czy to znaczyło, że jej praca nigdy nie zdobędzie uznania, którego tak pragnęła? A może coś zupełnie innego? Sama nie wiedziała.

Wiedziała jedynie, że pragnęła takiej miłości w życiu. I niezależnie od tego, ile ją to ma kosztować, odpowiedź na to niewypowiedziane pytanie Jezusa... brzmi: „Tak”.

47

Był poniedziałkowy poranek. Stukot stalowych kół toczących się po kilometrach żelaznej wstęgi wybijał rytmiczne tykanie wewnętrznego zegara w sercu Suttona. Żałował, że pociąg nie może jechać szybciej. Wyjechał z plantacji Angola w sobotę rano, zaledwie w godzinę po otrzymaniu telegramu od Bartholomew Holbrooka. W końcu jakieś znaczące posunięcie w ich sprawie!

Śledczy dotarli do nazwiska pośrednika dzieł sztuki, który brał udział w sprzedaży dwóch falsyfikatów, jakie obecnie były w ich posiadaniu. I okazało się, że ten człowiek przebywa w Nashville. Nie został jeszcze aresztowany i starszy prawnik nie wymienił jego nazwiska w telegramie, ale to nie miało znaczenia. Wystarczyło, że doszli już tak daleko. Gdyby tylko wygrali tę sprawę...

Holbrook miał rację... ileż drzwi może mu to otworzyć. A on potrzebował otwartych drzwi, gdyż stawało się coraz bardziej prawdopodobne, że dni jego pracy w Belmont były policzone. Doktor William Cheatham przyjeżdżał w odwiedziny do Angoli trzykrotnie w ciągu minionych dwóch miesięcy i relacja pomiędzy medykiem a Adelicią najwyraźniej nabrała bardzo osobistego charakteru.

Nie dziwił go ten związek. Oboje od lat byli przyjaciółmi, zaś doktor Cheatham z pewnością był zdolny zająć się kwestiami zarządzania majątkiem. Ku wielkiej uldze Suttona Adelicia zgodziła się, że jeśli ona i William zdecydują się na ślub, w ramach ochrony jej interesów

finansowych podpiszą intercyzę, podobnie jak to miało miejsce w przypadku Josepha Acklena.

Sutton nadal będzie pełnił rolę jej osobistego prawnika, ale nie będzie już potrzeby, by mieszkał dalej w Belmont. Gdzie zatem zamieszka? Nie miał rodzinnej ziemi. Żadnego domu. I chociaż odłożył trochę pieniędzy, kwota ta wydawała się zbyt mała w porównaniu do tego, co potrzebował, by się odpowiednio urządzić. Jeśli jednak wygrają ten proces...

Sprawdził zegarek kieszonkowy, choć wiedział dobrze, że minutnik przesunął się tylko o dziesięć minut od czasu, gdy ostatni raz sprawdzał godzinę. Pociąg był jakieś pół godziny od Nashville. Sutton poznawał już tereny i już się trząsł ze zniecierpliwienia, by jak najszybciej znaleźć się w mieście. Żeby pracować nad ich sprawą, ale też... żeby zobaczyć się z Claire.

Minęły prawie dwa miesiące, a ona w przesłanych listach wspomniała o Andrew Stantonie zaledwie dwukrotnie i to tylko mimochodem. Próbował wyczytać coś między wierszami, zastanawiając się, czy starszemu mężczyźnie udało się zrobić na niej dobre wrażenie, czy nie. I choć Stanton był wspaniałym człowiekiem, Sutton modlił się w duchu, by mu się nie udało.

Ponieważ po tym czasie, gdy mógł jedynie wyglądać jej listów, stwierdził, że zachował się jak głupiec, zostawiając ją w ten sposób. Oczywiście, potrzebowała czasu, żeby spojrzeć w głąb własnego serca, ale on też to czynił i wiedział, że jego serce pragnęło jej. Gdyby jeszcze teraz potrafił znaleźć sposób, by móc ją utrzymać... Jeśliby sama miłość mogła wystarczyć, nie miał wątpliwości, że do końca życia będzie miał ją czym obdarowywać. Jednak Claire była warta czegoś więcej i chciał jej dać wszystko, na co zasługiwała.

Położył dłoń na walizce artysty, którą zrobił dla niej w ciągu ostatnich tygodni. Nic szczególnego. Tylko takie coś, gdzie mogłaby nosić mniejsze podobrazia podczas wędrówek w poszukiwaniu najlepszego pleneru. Nie robił już w drewnie od wielu lat i podobała mu się każda chwila spędzona na tej pracy. Jednocześnie nie mógł się doczekać wyrazu twarzy Claire, kiedy jej to podaruje.

Rozległ się gwizd pociągu zapowiadający stację Nashville. Jak dla niego wciąż jednak jechali zbyt wolno.

~

Z torbą przewieszoną przez ramię, sztalugą i białą parasolką wetkniętą pod pachę Claire ruszyła w dół grzbietu wzniesienia z wilgotnym od farb obrazem. Może to piękne słońce albo nieoczekiwane pojawienie się wiosny, ale nie mogła się pozbyć nadziei.

Tak samo jak tego, że była mokra od potu. Zatrzymała się u stóp wzgórza i zdjęła płaszcz, a potem uniosła włosy na karku. Ach, cóż za cudowny powiew. I pomyśleć, że jeszcze kilka dni wcześniej padał śnieg. Pogoda w Tennessee...

Ponieważ położyła się późno po tym, jak długo pisała w nocy, myślała, że pośpi trochę dłużej niż zwykle. Mimo to zbudziła się już kwadrans po siódmej, rześka i gotowa do malowania.

Marząc o szklance słodkiej lemoniady z lodem, którą przygotowywała Cordina, Claire usłyszała równie orzeźwiający dźwięk. Zarzuciła znów na ramię swój ładunek i ujęła delikatnie obraz za drewniane krosno, a następnie ruszyła przez łąkę w stronę strumienia.

Stając rano na szczycie wzniesienia, patrzyła ponad łąkami na rezydencję Belmont i wtedy poczuła, że coś przyciąga jej wzrok ku oddalonym wzgórzom, gdzie kiedyś znajdował się rodzinny dom Suttona.

Wtedy wreszcie dotarło do niej, co naprawdę chce ująć na obrazie, i to namalowała. Parasolka pomogła jej rozproszyć ostre słoneczne światło i odpowiednio ukazać rzeczywiste kolory, ale i tak już czekała, by móc namalować ten pejzaż jeszcze raz, aż uda jej się go właściwie oddać.

Zerkała na płótno, uważając, aby pozostałe po zimie trawy nie ocierały się o świeżą farbę. Idąc tak, z wciąż rosnącą pewnością słyszała, jak jej wewnętrzna odpowiedź nabierała mocy. *Będę malować, jakbym miała malować tylko dla Ciebie*.

Spodziewała się, że Sutton dostanie jej list w ciągu kilku najbliższych dni, i modliła się, by jej apel sprawił, że szybciej wróci. Wyobraziła go sobie ponownie podczas przyjęcia dla madame LeVert, kiedy rozmawiał z Andrew Stantonem, i chociaż wydawało się jej, że rozumiała jego motywacje, wciąż miała ochotę porządnie nim potrząsnąć, by się opamiętał.

Gdy tylko dostrzegła wystający ze zbocza wapienny głaz, poczuła się tak, jakby spotkała starego dobrego przyjaciela. Oparła płótno bezpiecznie o skałę i położyła obok resztę rzeczy. Następnie uklęknęła nad strumieniem i zanurzyła w nim dłoń. Lodowaty chłód był niczym dotyk nieba. Piła, aż do ugaszenia pragnienia.

Pod wpływem chwili zdjęła trzewiki i pończochy, a następnie, siedząc, wsunęła stopy do wody. Odchyliła się w tył, kładąc na trawie twarzą w stronę słońca, i westchnęła tak, jakby w tym wydechu wypuściła z siebie wszystko to, co kumulowało się w niej od miesięcy, a może nawet lat. Kiedy tak leżała, przypomniała się jej twarz matki. Żałowała, że nie ma już przy sobie pamiątkowego medalionu z zegarkiem, ale nawet bez niego potrafiła wciąż przywołać w głowie uśmiech *maman*.

Czas mijał i czekała ją praca, więc wstała i sięgnęła po botki oraz pończochy, ale wstrzymała się, gdy dostrzegła głębokie rozlewisko w dole rzeki. Zerknęła za siebie, a potem na boki. Tu było tak odludnie. Była sama.

Zanim doszła do brzegu, rozpięła już przód sukni. Odłożyła ją na bok, później przyszła kolej na krynolinę i halki, aż stanęła w samej koszuli i pantalonach. Ruszyła do dzieła i wzięła gwałtowny wdech, gdy woda otoczyła jej kostki, a potem, gdy wchodziła coraz głębiej, łydki i talię. Kiedy woda sięgnęła jej piersi, wiedziała, że nie mogła i nie zawróci, ale, och... jakże było zimno!

Wzięła głęboki wdech, zamknęła oczy i zanurzyła się pod powierzchnię. Na kilka krótkich sekund cały świat zniknął jej z oczu. To pragnienie, by być czystą, i tęsknota za tym, żeby pogrzebać stare życie, w zamian za przenikającą na wskroś jej serce obietnicę nowego, wyparły wszelką pokusę zwątpienia.

Nie wiedziała, jak ma teraz zbudować od podstaw swój świat, tak by nie zniszczyć go całkiem, ale ufała, że Garncarz będzie wiedział, pokaże jej wszystko i nada kształt, taki, jaki dla niej przewidywał.

~

Kiedy przed oczami Suttona ukazało się Belmont, ściągnął wodze, pragnąc dać klaczy z miejskich stajni trochę wytchnienia, a także sobie czas na ponowne przećwiczenie tego, co zamierzał powiedzieć Claire, gdy tylko ją zobaczy. „Wybacz mi, że byłem takim głupcem” to trochę za mało, a jednak były to pierwsze słowa, jakie przyszły mu do głowy.

W niemal każdym liście wypytywała o jego powrót, więc był pewien, że za nim tęskniła, ale fakt, że wrócił bez zapowiedzi, a także to, że nie wiedział, jaka była sytuacja pomiędzy nią a Andrew Stantonem, sprawiał, że czuł się nie na miejscu, i wcale nie było mu z tym dobrze.

Klacz zaczęła się niecierpliwić, więc popędził ją w górę zbocza, w stronę rezydencji.

Zatrzymał się na chwilę w kancelarii w mieście, by porozmawiać z Holbrookiem, ale ten wyszedł wcześniej na jakieś spotkanie. Co też bardzo nie rozczarowało Suttona. Osoba, którą naprawdę pragnął zobaczyć, była w Belmont. A przynajmniej taką miał nadzieję.

Dostrzegł Eliego w portyku z przodu. Starszy mężczyzna miał już uniesioną rękę w geście pozdrowienia. Spotkali się na frontowych schodach.

– Witamy w domu, panie Monroe. Nie wiedziałem, że dzisiaj pan wróci, sir. Posłałbym dla pana karetę do miasta.

Sutton zsiadł z konia i podał służącemu wodze.

– Witaj, Eli. Nie ma problemu. Wyjechałem z Angoli wcześniej, niż planowałem.

– Mam nadzieję, że to nic poważnego? Czy wszystko w porządku u pani Acklen i dzieci?

– Wszystko dobrze i Acklenowie mają się świetnie. Po prostu miałem pewną sprawę do załatwienia. Moje walizki powinny wkrótce dojechać ze stacji.

– Doglądnę ich, sir.

Sutton ruszył w stronę domu.

– Czy panna Laurent jest w środku?

– Nie, sir. Wyszła wcześniej dziś rano. Jestem pewien, że ma się dobrze, ale właśnie zamierzałem wysłać Zeke’a, żeby sprawdził, czy nic się jej nie stało.

– Czy nic się jej nie stało? A dokąd się udała?

Eli wskazał ręką w dal.

– Aż za łąki, w stronę strumienia, tak jak zawsze, sir. Miała ze sobą cały sprzęt do malowania. Chodzi tylko o to, że zwykle wracała o tej porze na lunch.

Sutton wziął od niego z powrotem wodze klaczy.

– Pojadę tam i znajdę ją. – Z siodła spojrzał jeszcze i rzekł: – Jeśli pojawi się tu przede mną, niech jej Eli powie, że wróciłem i muszę z nią porozmawiać.

Cień uśmiechu błąkał się na ustach mężczyzny.

– Dobrze, panie Monroe. Uczynię to. I, sir...?

Sutton ściągnął klacz, gdy Eli podszedł bliżej.

– Jeśli wolno mi coś panu powiedzieć...

Sutton potwierdził ruchem głowy, ale miał dziwne wrażenie, że starszy mężczyzna i tak by to powiedział.

– Pański ojciec zaliczał się do najszlachetniejszych ludzi, panie Monroe. Nieważne, co teraz inni mogą o nim mówić... albo pisać, sir. My, tu w Belmont, którzy znaliśmy doktora Monroego, nadal darzymy go szacunkiem. Ja darzę go ogromnym szacunkiem, sir. – Eli lekko pochylił głowę. – Tak samo jak i jego syna.

Sutton odwrócił wzrok. Najwyraźniej Eli czytał artykuł w prasie. Zupełnie nie rozumiał, dlaczego opinia tego człowieka o jego ojcu, a także o nim, poruszyła go aż tak bardzo. Miał ściśnięte gardło, więc dopiero po chwili odparł:

– Dziękuję, Eli. Miło mi to słyszeć.

Starszy mężczyzna uniósł prawą rękę i wskazał na szeroką bliznę, która rozciągała się od podstawy kciuka, przez nadgarstek i na drugą stronę dłoni.

– Gdyby nie lekarska pomoc pańskiego ojca, sir, wiele lat temu straciłbym dłoń. Odwiedzał mnie codziennie przez miesiąc, a potem jeszcze raz na tydzień przez kilka kolejnych miesięcy. Był tutaj w przeddzień... – Eli skłonił głowę. – W przeddzień tego, gdy został zamordowany, sir. Powiedział mi wtedy, tak jak zawsze, że jest bardzo z pana dumny. I teraz

też byłby z pana dumny, sir, gdyby widział, jak pan sobie z tym wszystkim radzi.

Sutton czuł, że teraz nie powinien się odzywać. Zdobył się jedynie na kiwnięcie głową w geście podziękowania. Odjechał w stronę strumienia, czując na policzkach chłodny powiew. Od dnia, gdy jego ojciec zginął, nosił w sercu wspomnienia tego człowieka razem z własnym żalem. Zawsze był dumny z tego, że jest synem doktora Stephena Monroego, ale nigdy bardziej niż w tej chwili. I chociaż nie potrafił tego wytłumaczyć, był pewien, że jego ojciec również o tym wiedział.

Sutton sprawdził najpierw łąkę, a potem podniósł wzrok w stronę wzniesienia. Nie sądził jednak, by Claire mogła dojść aż tak daleko na piechotę. Ruszył ścieżką prowadzącą w dół do strumienia i wtedy to usłyszał... Śpiew.

Poznał, że to ona, bo niejednokrotnie stał obok niej w kościele i podziwiał jej piękny głos. Tym piękniejszy teraz, gdy nie słyszał go od tak dawna. Zsiadł z konia, zawiązał wodze klaczy wokół sosnowej gałęzi i ruszył za głosem.

Dostrzegł ją ułamek sekundy wcześniej niż ona jego i aż wytrzeszczył oczy. Ona tylko pisnęła i skryła się za skałą.

Nie mógł powstrzymać śmiechu wobec tego, co zastał, choć wcale nie rozumiał, dlaczego biegała w samej bieliźnie. I to jeszcze na dodatek mokrej.

– Co ty tam robisz?

– A co ty tu robisz?

Nie poddał się, nadal rechocząc. Zwłaszcza że ona teraz wyglądała sponad skały.

– Trochę jeszcze za wcześnie na pływanie, Claire.

– Ja nie pływałam, Suttonie. Ja... – zaczęła się tłumaczyć. Wtedy dopiero uśmiechnęła się do niego i uniosła dłoń. – Nie zbliżaj się ani na krok!

Ruszył przed siebie tylko po to, by sprawdzić, co zrobi.

– Suttonie!

Dała z powrotem nura za skałę, ale mógł usłyszeć jej chichot.

– Ja tylko żartuję. Nie podejdę do ciebie bliżej. Chyba że... mógłbym w czymś pomóc.

– Mogłeś pomóc, zawiadamiając mnie, że wracasz do domu.

– To była taka... spontaniczna decyzja. – Wyglądała tak cudownie, zerkając na niego zza skały. – Ale tak naprawdę, Claire, co mógłbym zrobić, żeby ci pomóc?

– Możesz się obrócić i poczekać na mnie na górze.

Odwrócił się, ale nie mógł się powstrzymać, by jej jeszcze trochę dokuczyć.

– Liczyłem na powitalny uścisk.

– Suttonie!

Śmiejąc się, odszedł, tak jak go poinstruowała.

Kilka minut później pojawiła się na górze. Gdy zobaczył, ile rzeczy niosła, podszedł szybko, by ją odciążyć. Wziął od niej torbę i sztalugę, a także próbował wziąć obraz, zerkając na niego ukradkiem.

– Claire, to jest absolutnie...

Odwróciła płótno, by nie widział.

– Mogę to zrobić lepiej. Wiem, że mogę.

– Jestem pod wrażeniem tego, co zdążyłem dostrzec.

I tak rzeczywiście było, ale ona nadal trzymała obraz odwrócony, więc nie naciskał.

– Wolałabym, żebyś poczekał i zobaczył, kiedy skończę, jeśli nie masz nic przeciwko – wyjaśniła zmieszana.

– W porządku. – Odłożył jej rzeczy koło skały. – Ale czy mogłabyś to na chwilę tam odstawić? – Wskazał dłonią, ciesząc się, że zastosowała się do tego bez kwestionowania jego prośby.

Kiedy obróciła się w jego stronę, zbliżył się do niej i ujął jej twarz w dłonie. Jej szelmowski uśmiech dawał mu nadzieję. Położyła dłoń na jego sercu i spłynęło na niego nagle tak silne poczucie, że jest na właściwym miejscu, jakiego jeszcze nigdy wcześniej nie doświadczył. Wcale nie było widać, by Andrew Stanton poczynił jakieś postępy w ich relacji.

– Witaj, Claire – wyszeptał.

Jej oczy skrzyły się, a dolna warga drżała w uśmiechu.

– Witaj, Suttonie.

Skłonił głowę na spotkanie jej ust i pocałował ją – powoli, nie spiesząc się, tak jak o tym marzył często podczas minionych dwóch miesięcy. Rozkoszował się faktem, iż przysunęła się bliżej i odchyliła delikatnie głowę, by ich usta stopiły się jeszcze pełniej.

– Przepraszam, że tak długo mnie nie było – wyszeptał, cofając się nieznacznie. – Wiem, że powinienem ci to wyjaśnić, i tak zrobię, w szczegółach, ale później. Teraz chciałbym, żebyś wiedziała, że po prostu starałem się dać ci...

– Wiem, co chciałeś zrobić... głuptasie.

Gapił się na nią.

– Pan Stanton powiedział mi o waszej rozmowie podczas przyjęcia. – Przesunęła przekornie palcem wzdłuż linii jego szczęki. A potem przez usta. – Rozumiem, że nie dostałeś mojego listu?

– Nie, żadnego listu. – Pocałował ją ponownie, tym razem już nie tak lekko, ale gdy tylko wsunęła palce w jego włosy, przerwał pocałunek, drżąc.

– Tęskniłam za tobą – rzekła szeptem.

– A ja za tobą. – Wyciągnął dłoń i ujął w palce wilgotne pasmo włosów, co miało być marną próbą rozluźnienia napięcia. Wskazał do tyłu na strumień. – Co ty tam robiłaś?

– Modliłam się... i słuchałam. Albo przynajmniej się starałam. – Uśmiechnąwszy się, odszukała jego spojrzenie, a potem spuściła głowę. Kiedy w końcu ponownie podniosła wzrok, jej oczy były wilgotne, choć na twarzy malowało się zdecydowanie. – Bo ja w życiu, a zwłaszcza w ciągu ostatnich lat, robiłam, Suttonie, rzeczy, z których nie jestem dumna.

Czekał, ważąc znaczenie tych słów na podstawie jej spojrzenia.

– Nie ma nikogo, kto nie zrobiłby czegoś, czego później żałuje, Claire.

– Wiem, ale ja chciałabym pogrzebać tamte sprawy, zostawić je za sobą, raz na zawsze. – Wydała z siebie ni to śmiech, ni to westchnienie. – Jeśli w ogóle to, co mówię, ma sens.

Wyciągnął dłoń i dotknął jej twarzy. Te niebieskie oczy tak bardzo go pociągały.

– Ma – wyszeptał, bo tak wiele razy czuł tę samą potrzebę. – Ja często tu przychodzę, żeby się pomodlić i przemyśleć różne rzeczy.

Jej oczy błysnęły, gdy pojedyncza łza spłynęła po policzku. Otarł ją kciukiem.

– Oczywiście, zazwyczaj jestem wtedy ubrany.

Śmiejąc się razem, wrócili do rezydencji, a Claire mówiła przez całą drogę. Opowiadała mu, jak już prawie skończyła katalogować dzieła sztuki pani Acklen, ile malowała i że wcale nie była pewna, czy ma już coś nadającego się na aukcję... co oczywiście według niego nie było prawdą.

Cieszył się każdym szczegółem. Tak samo jak wtedy, gdy wielokrotnie czytał jej listy przed udaniem się na spoczynek.

– Jeśli mowa o aukcji dzieł sztuki... – wtrącił, kiedy brała oddech. – Zostałaś już przyjęta przez komitet, by móc zgłosić swój obraz.

– Dziękuję, Suttonie, że pomogłeś mi to załatwić.

Pokręcił głową.

– To tylko twoja zasługa. Członkowie komitetu byli na przyjęciu dla madame LeVert i już same twoje upominki dla gości przekonały ich o twoim talencie. – Stwierdził, że nie będzie jej nic mówił o opłacie wstępnej. Sam wypełnił wniosek i pokrył za nią koszty. – W ciągu całego tygodnia będą spotkania, a w tym dwie aukcje – dla debiutantów, a potem oddzielna dla uznanych artystów.

Pokiwała głową, trzymając ukradkowo płótno tyłem do niego.

– Zaczynam się denerwować już na samą myśl o tym.

– Świetnie wypadniesz, Claire. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. – Zaraz przyszła mu kolejna myśl. Coś, czym nie chciał się z nią dzielić w liście, kiedy nie miał możliwości zobaczyć jej reakcji. – Gdy byliśmy w Nowym Orleanie, odwiedziłem galerię sztuki, która należała do twoich rodziców i... gdzie mieszkałaś.

Zwolniła kroku, kiedy doszli do rezydencji.

– Naprawdę?

– Mam nadzieję, że nie jesteś zła. Byłem któregoś popołudnia w Café du Monde i nie umiałem powstrzymać ciekawości.

Eliego nie było przed wejściem, więc Sutton uwiązał klacz do słupka i wszedł do środka za Claire. Doszli do wielkiego salonu i dopiero wtedy Claire obróciła się, a na jej twarzy znów malował się ten sam wyraz zdecydowania.

– Suttonie, czy moglibyśmy... porozmawiać?

Wyciągnął rękę i uścisnął jej dłoń.

– Myślałem, że właśnie to robimy.

– Wiem, ale... jest coś, co chciałabym ci powiedzieć. Coś, co... muszę powiedzieć.

Ucałował jej zmarszczone od zmartwienia czoło, przeciągając ten pocałunek na tyle, iż wyczuł lawendowy zapach jej włosów.

– Oczywiście, że możemy porozmawiać – odparł. – Może poprosimy Cordinę, by podała nam kolację w...

– Suttonie – wyszeptała i krótkim skinieniem głowy wskazała na schody za nim.

Obrócił się.

– Willisterze? Czy to ty?

Głos dotarł do niego tuż przed tym, nim zobaczył ją schodzącą po stopniach.

– Mama?

48

Sutton spotkał się z matką u stóp schodów i uścisnął ją na powitanie. Sam nie mógł uwierzyć, że to ona. I że jest aż tak szczupła.

– Mamo, co ty tutaj robisz?

Ucałowała go w policzek i poklepała lekko.

– Och, Willister, przystojny jak zawsze. – Jej bladoniebieskie oczy wypełniały emocje. – Tak jak twój najdroższy ojciec. Boże świeć nad jego duszą! – Zaraz jej wzrok przesunął się wyraźnie za niego i twarz matki nabrała tego wyrazu, który znał aż nazbyt dobrze. – Domyślam się, że ta miła młoda dama to... – Posłała mu nienaturalnie szeroki uśmiech i minęła go.

Widząc, dokąd to wszystko zmierza, Sutton ruszył za nią.

– Mamo, nie zrozumia...

– To zapewne Cara Netta. – Matka pochwyciła Claire w mocnym uścisku.

Patrząc szeroko rozwartymi oczami, Claire nic nie powiedziała, ale Sutton wyczuł, iż czeka, że on to wyjaśni.

– Och, moja droga... – Dama cofnęła się, by jej się lepiej przypatrzeć. – Wygląda pani... cudownie. Proszę pozwolić, że przyjrzę się dokładniej mojej przyszłej synowej. – Zakręciła dłonią w powietrzu i Claire posłusznie obróciła się wokół własnej osi, wymieniając spojrzenie z Suttonem w trakcie tego obrotu.

– Mamo – powiedział trochę dobitniej. – To nie jest...

– Jest pani absolutnie wspaniała, moja droga. Z listów od syna wiem też, że jest pani również utalentowaną pianistką. I obeznaną w świecie. A pani matka, madame LeVert! Nie mogę się już doczekać, by ją poznać. Mój syn wejdzie do tak szacownej rodziny. Jestem przekonana, że zostaniemy z pani matką bliskimi przyjaciółkami, tak jak przez wiele lat z Adelicią...

Delikatnie, acz stanowczo, Sutton ujął dłoń matki.

– To nie jest Cara Netta, mamo. To jest panna Claire Laurent. Jest osobistą asystentką pani Acklen i moją – zająknął się przy tym określeniu – bardzo bliską przyjaciółką... W zasadzie nawet kimś więcej. Znacznie więcej – dodał, widząc lekki błysk w oczach Claire, który jednak natychmiast zniknął, gdy jego matka spojrzała na nią podejrzliwie.

Claire dygnęła krótko.

– Pani Monroe, miło mi panią poz...

– To nie jest Cara Netta?

– Nie, mamo – odparł Sutton, starając się nie dać po sobie poznać zdenerwowania.

Lekarze mówili, że jej wrażliwemu stanowi emocjonalnemu najlepiej służą normalność i brak wzburzeń. Zapomniał jednak, jak bardzo umiała być uparta.

– Ale... widziałam, jak ją całujesz.

– Tak, to prawda.

– Co zatem wyprawiasz, skoro jesteś zaręczony z Carą Nettą?

– Suttonie, może powinnam was zostawić i...

– Ależ, młoda damo, dlaczego zwracasz się do mojego syna, pana Willistera Suttona Monroego, tak poufale? – Matka obróciła się w jego stronę. – Czyż nie mówiłeś, że to asystentka pani Acklen? A więc tutejsza pracownica? Jej pozycja wymaga, by...

– Mamo! Twoje zachowanie jest nie na miejscu.

Sutton zauważył, że jej podbródek drży, i pożałował swojego surowego tonu.

– Cóż... – Przycisnęła dłoń do gorsetu sukni. – Bardzo mi przykro, że moja obecność jest ci tak niemiła, synu.

– Tego nie powiedziałem. Cieszę się, że znów cię widzę. – I tak naprawdę uważał, przynajmniej w ogólnym rozumieniu. Co do szczegółów jednak... – Po prostu mnie zaskoczyłaś. Myślałem, że napiszesz, by mnie powiadomić, że przyjeżdżasz.

– Pisałam do ciebie, synu – rzekła. – Mówiłam ci, że jeśli ciotka Lorena spojrzy na mnie jeszcze raz z taką wyniosłością, wyjeżdżam. – Wyprostowała wątłe ramiona. – I tak też uczyniłam. Spakowałam swoje rzeczy, kupiłam bilet na pociąg i wróciłam do domu. Na dobre.

– Na dobre? – powtórzył.

– Tak. – Spojrzała w stronę Claire, skrzywiła się i natychmiast zlekceważyła jej obecność, odwracając głowę. – A teraz, jak już tu jesteś, Willisterze, chciałabym wiedzieć, kiedy zabierzesz mnie do domu. Wiem, że jesteś zajęty, bo pisałeś w listach, ale na pewno odbudowałeś już do tego czasu nasz rodzinny dom.

Sutton nie wiedział, jak zacząć i co odpowiedzieć na to pytanie. I z pewnością nie chciał tego robić na oczach Claire, mimo że znała prawdę.

– Możemy porozmawiać o tym później, mamo. A teraz pozwól, że pomogę ci się urządzić w pokoju gościnnym.

– Ja już się szczęśliwie ulokowałam w pokoju na piętrze. Dziękuję, synu. – Ruszyła w stronę schodów, a potem jeszcze się odwróciła i posłała srogie spojrzenie w kierunku Claire. – Proszę przynieść mi do pokoju imbryk herbaty i coś do jedzenia.

– Mamo, panna Laur...

– Z przyjemnością, pani Monroe – odparła Claire słodkim głosem.

Sutton poczekał, aż kroki matki było słychać na piętrze, po czym rzekł:

– Claire. – Westchnął, wiedząc, że musi sprawdzić, co u matki, a jednocześnie nie chcąc zostawiać Claire bez wyjaśnienia. – Sam nie wiem, co powiedzieć. Przepraszam za to wszystko. Nie miałem pojęcia, że przyjeżdża.

– W porządku, Suttonie. Naprawdę. Rozumiem.

Ale widział, że nie rozumiała.

– Wydaje mi się, że wspominałem ci już kiedyś, że moja matka ma bardzo wrażliwą konstrukcję psychiczną, a jednocześnie jest trochę ekscentryczna. – Zerknął w stronę schodów. – I to najwyraźniej jeszcze się pogłębiło. Jest całkiem nieźle, gdy wszystko przebiega zgodnie z jej oczekiwaniami, ale nie potrafi się pogodzić ze zmianami.

– Lub też... – Claire się uśmiechnęła. – ...ze służącymi o niższej pozycji, którzy pozwalają sobie na poufałość wobec jej syna.

Odpowiedział uśmiechem, wiedząc, że nie mówi poważnie. Jednak to, co się dopiero stało, wcale nie było dla niego śmieszne.

– Nie powiedziałem matce o zmianie, jaka zaszła w moim związku z Carą Nettą, bo wiedziałem, że to ją zdenerwuje. I szczerze myślałem, że to było bez znaczenia... wtedy. Bo jej tu nie było. Jednakże... – Westchnął. – Teraz jest. I o ile mnie intuicja nie myli, ulokowała się w prywatnych pokojach Adelicii Acklen.

~

Niosąc ostrożnie tacę, Claire ruszyła w górę schodów prowadzących od kuchni. Pani Monroe była tu od tygodnia i do tej pory nie mówiła jej nic poza: „Tak, proszę” i „Nie, dziękuję”, chyba że czegoś chciała. Wtedy zaś –

Claire uśmiechnęła się sama do siebie – słownictwo Eugenii Monroe bywało znacznie bardziej rozbudowane.

Sutton wyraźnie czuł się źle z powodu całej tej sytuacji, ale jej to wcale aż tak nie przeszkadzało. Eugenia bywała wymagająca, a nawet szorstka i najwyraźniej jej nie lubiła, choć Claire wyczuwała, że to nie była osobista niechęć do niej, lecz awersja wynikająca z dezaprobaty, jaką ta kobieta darzyła jej związek z Willisterem.

Gdy tylko Claire dotarła do szczytu schodów, minęła oficjalną jadalnię i ruszyła w stronę pokoju gościnnego na końcu korytarza. Uświadamiając sobie wrażenie samotności bijące od pani Monroe i wiedząc, przez co ta kobieta musiała przejść, współczuła jej. Tak jak na obraz składały się setki pociągnięć pędzla, tak też ludzkie charaktery poznaczone były życiowymi doświadczeniami – tymi dobrymi i tymi złymi. I jeśli się nie wie, co ktoś przeżył, nie można powiedzieć, że tak naprawdę zna się tę osobę i akceptuje ją taką, jaka jest.

Potrzeba było czasu i cierpliwości, a także przebaczającego serca, o które modliła się dla Suttona na tę chwilę, gdy wyzna mu prawdę. Co też zamierzała zrobić dzisiaj. Zbyt dobrze wiedziała, że można komuś przebaczyć, a mimo to nie chcieć mieć z tą osobą nic wspólnego.

Ona przebaczyła wszystko Antoine’owi DePaulowi, a jednak życzyła sobie, by go już nigdy więcej nie widzieć.

Nie wiedziała, co Sutton zaplanował na dzisiejszy wieczór. Nie chciał jej powiedzieć. Przykazał jedynie, by była gotowa na piątą trzydzieści i założyła suknię, którą miała na sobie podczas przyjęcia dla madame LeVert. Już sama ta wskazówka wzbudzała w niej nadzieję od pięciu dni.

Trzymając ostrożnie tacę, zapukała do drzwi pokoju gościnnego.

– Wejść.

Przekręciła gałkę i dostrzegła panią Monroe pod oknem.

– Dzień dobry, proszę pani. Cordina przyrządziła na lunch swojego słynnego kurczaka z kluseczkami. Czy mam położyć pani tacę na stole?

– Tak, proszę.

Pani Monroe nie odrywała wzroku od jakiegoś punktu w oddali.

– Jest pani pewna, że nie chce zjeść posiłku na którejś z frontowych werand? Na zewnątrz jest pięknie.

– Nie, dziękuję.

Claire ułożyła na stole tacę, zerkając ukradkiem. Matka Suttona była jej wzrostu, jednak dużo szczuplejsza, bardziej wątła i miała złociste włosy. Nosiła się z taką elegancją, która świadczyła o wychowaniu i manierach osoby przyzwyczajonej do przepychów w życiu.

– Czy trzeba jeszcze czegoś, pani Monroe?

– Nie, dziękuję.

Claire dygnęła.

– Miłego dnia w takim razie. – Wzięła tacę po śniadaniu, którą przyniosła rano, i uśmiechnęła się, zamykając drzwi.

– Co pani robi, kiedy pani rano wychodzi, panno Laurent?

Claire zatrzymała dłonią drzwi przed zamknięciem i nieomal upuściła tacę z wrażenia, słysząc coś więcej niż trzy słowa z ust tej kobiety.

– Maluję, proszę pani. Olejne pejzaże na płótnie. – Poprawiła pustą porcelanową filiżankę na tacy. – Czasem wychodzę do ogrodów przed domem, czasem na łąkę, a jeszcze innym razem, tak jak dzisiaj, idę na wzgórze. – Skinęła w stronę oranżerii po drugiej stronie posesji. – Z tego wzniesienia rozciąga się piękny widok. – Stwierdziła, że nie będzie dodawać, iż widać stamtąd rodzinne ziemie rodziny Monroe.

– Ma pani w ogóle talent?

Claire uśmiechnęła się, świadoma, że nie powinna ją zaskakiwać obcesowość tej kobiety.

– Zależy kogo zapytać, proszę pani. Niektórzy ludzie widzą w tym, co maluję, piękno i podoba im się to.

„Biorąc pod uwagę, że nie mamy czasu, będzie musiało wystarczyć”... Jej uśmiech zbladł, gdy w pamięci powróciły krytyczne słowa ojca. Czy jego opinia zawsze będzie na nią czyhała w ukryciu?

– Ale jestem pewna, że znajdą się inni, którzy będą myśleć inaczej. Maluję po prostu najlepiej, jak potrafię. – *I maluję tak, jakbym malowała tylko dla Niego* – miała ochotę dodać, ale to przemilczała.

Pani Monroe nic nie odparła.

Claire pomyślała o pani Broderick, starszej kobiecie w firmie przewozowej, oraz o jej wątłości i słabej pamięci, ale tu sprawy wyglądały inaczej. Matka Suttona wcale nie była tak posunięta w latach. Claire wydawało się, że rozmowa dobiegła końca, więc odwróciła się do wyjścia.

– Kiedyś malowałam – rzekła cicho pani Monroe, nadal wpatrując się w widok za oknem. – Byłam w zasadzie całkiem niezła. Tak mi mówił mąż... wielokrotnie. Straciłam wszystkie swoje prace w pożarze.

Nieprzygotowana na tak szczere wyznanie, Claire nie wiedziała, jak powinna zareagować. Przypomniała sobie jednak, jak bardzo bolała ją utrata jej *Ogrodów wersalskich*.

– Może, pani Monroe, o ile pani zajęcia pozwolą... chciałaby pani pójść kiedyś ze mną rano w plener.

Eugenia Monroe spojrzała na nią niepewnie, więc Claire szybko dodała:

– Byłoby mi miło, proszę pani, spędzić ten czas w towarzystwie innej artystki.

Kobieta zatrzepotała jedynie powiekami i odwróciła się znów do okna.

– Miłego dnia, panno Laurent. Dziękuję za lunch.

~

Claire czuła się jak w bajce.

Patrzyła ponad stołem nakrytym białym obrusem na Suttona, który wyglądał tak przystojnie w czarnym fraku z białą muchą. Potem rozejrzała się wokół eleganckiej kreolskiej restauracji, w której jedli kolację. Mieli stolik z widokiem na rzekę Cumberland i kiedy słońce opuściło się niżej, na powierzchni wody tworzyły się złote zmarszczki.

Pochyliła się w przód i cichym głosem stwierdziła:

– Obawiam się, że to wszystko strasznie dużo kosztuje.

Naśladując jej gest, również szeptem rzekł:

– A ja obawiam się, że to nie twoje zmartwienie.

Uśmiechnęła się, ale jednocześnie poczuła, że jej żołądek zaciska się z nerwów. Tak samo, jak za każdym razem, gdy zastanawiała się, jak on zareaguje, kiedy wyzna mu prawdę o galerii sztuki swoich rodziców i o tym, że malowała falsyfikaty. Będzie musiała również przyznać się przed panią Acklen i planowała, że poprosi Suttona, jeśli tylko się zgodzi, by jej towarzyszył.

Kiedy *maître d'hôtel* [45] przedstawił kartę deserów, już miała odmówić, ale zobaczyła specjalność restauracji.

– Poproszę *beignets*.

– Dla mnie również – dorzucił Sutton.

Poczekała, aż kelner się oddali.

– To był wspaniały wieczór, Suttonie, i bardzo miła niespodzianka. Dziękuję.

Mrugnął do niej porozumiewawczo i upił łyk wody.

– Zostały dwa dni do aukcji.

Udała przerażenie, a potem uśmiechnęła się szeroko. Czuła się trochę rozczarowana, że pani Acklen nie wróciła jeszcze z Angoli i nie będzie licytować jej obrazu, co jej się czasem głupio marzyło.

– Nawet jeśli nic z tego nie wyjdzie, Suttonie, chciałabym, żebyś wiedział, jak bardzo się cieszę z tego, że ty we mnie wierzysz. I w mój talent. Bardzo mi miło ze względu na to wszystko, co dla mnie uczyniłeś, odkąd tu jestem.

Zmrużył żartobliwie oczy.

– Czyżbyś planowała gdzieś wyjeżdżać?

– Nie. – Zaśmiała się lekko, a nerwowy uścisk jeszcze bardziej się wzmógł.

Kelner nalał im kawy i Claire sączyła ją powoli, delektując się bogatym aromatem cykorii. Tak jak w Café du Monde.

– Zazwyczaj nie poruszam kwestii interesów podczas kolacji, ale... – Sutton wyjął z kieszeni kopertę i podał ją Claire. – Właśnie dzisiaj to otrzymałem.

Dziewczyna wyciągnęła z koperty kartkę. Jakiś prawniczy dokument, którego nagłówek głosił: *Stan Luizjany przeciwko pani Adelicii Franklin Acklen*. Nie rozumiała całej tej prawniczej terminologii, ale wyłapała niektóre wyrażenia i kiedy dotarła do końca akapitu, zaczynała się uśmiechać.

Niezbyt głośno, mając na uwadze pozostałych klientów przy sąsiednich stolikach, skwitowała:

– Wygrałeś sprawę bawełny! – Podniosła filiżankę w toaście. – Gratuluję, mecenasie.

Stuknął się z nią filiżanką.

– Przynajmniej na razie wygraliśmy. Jestem pewien, że powód wniesie apelację. Jednak... dziękuję, że świętujesz to ze mną.

Patrząc na niego, dostrzegła w jego oczach to, co sama czuła: że choć był dobry w tym, co robił, prawo nie było tym, czego najbardziej pragnął.

I ponownie w sercu modliła się, by Bóg otworzył Suttonowi drzwi do spełnienia jego marzenia.

Przesunęła z powrotem kopertę w jego stronę. Chciała mu jeszcze zadać kilka pytań w tej sprawie, ale nie w restauracji, gdy ktoś mógł ich usłyszeć.

Kelner przyszedł z deserem. Claire rozkoszowała się każdym kęsem, ledwie się powstrzymując, by nie oblizać palców z cukru pudru.

Gdy wyszli, zobaczyli, że Armstead nie wrócił jeszcze z karetą.

Sutton sprawdził zegarek kieszonkowy, a następnie podał jej ramię.

– Może się przejdziemy? Armstead nas znajdzie.

Claire zgodziła się i dołączyła do niego.

– Jeśli chodzi o tę sprawę, którą wygrałeś, jest coś, nad czym się zastanawiam, odkąd przeczytałam o tym w wycinku gazety, jaki zachowała pani Acklen... – Rzuciła na Suttona okiem. – Czy byłeś z nią? W Luizjanie?

Powoli rozciągnął usta w uśmiechu.

– Tak, przez jakiś czas. I muszę przyznać, że to był niesamowity widok. Jak patrzyłem, kiedy prowadziła te negocjacje... – Pokręcił głową. – To też nie był łatwy czas w jej życiu. Dopiero co straciła pana Acklena. Wtedy gdy zmarł, nie widziała go od półtora roku.

– Dlaczego tak długo? – Claire skinęła w stronę mijającej ich pary.

– Wojna. Kiedy upadł Fort Donelson, wiedzieliśmy wszyscy, że to tylko kwestia czasu, aż zdobędą Nashville. Adelicia namawiała go, by wyjechał, zanim się to stanie. Myślała, że jest bardziej potrzebny na plantacjach w Luizjanie i że tam będzie bezpieczniejszy. I rzeczywiście, tydzień po jego wyjeździe unioniści zdobyli Nashville i zaczęli tropić zagorzałych secesjonistów – powiedział te ostatnie słowa z nutą goryczy i Claire dobrze rozumiała dlaczego. – Na ich liście znalazła się Adelicia i oczywiście pewnie wymieniono by też Josepha. Tak jak mojego ojca.

Claire zwolniła kroku, zrównując się z nim.

– Ostatni list, który otrzymała od Josepha, datowany był na późne lato sześćdziesiątego trzeciego. Napisał jej, że konfederaci skonfiskowali wszystkie muły i konie i obawia się, iż spalą prawie trzy tysiące bel bawełny, żeby nie przeszła we wrogie ręce. Joseph zmarł miesiąc później na malarię, pozostawiając Adelicię w Nashville z fortuną ulokowaną w bawełnie, którą miano puścić z dymem w Luizjanie.

Doszli do zakrętu i Sutton skręcił w prawo.

Claire zerknęła za siebie.

– Jesteś pewien, że Armstead da radę nas odnaleźć? Może powinniśmy wrócić.

– Powiedziałem mu, że możemy się wybrać na spacer. – Sprawdził ponownie zegarek kieszonkowy. – Mamy jeszcze trochę czasu.

Szli dalej tym samym tempem i Claire wyobrażała sobie panią Acklen, gdy usłyszała wiadomość o śmierci drugiego męża po tych wszystkich stratach, jakich do tamtej pory doświadczyła.

– A więc odwiozłeś ją do Luizjany?

Kiwnął głową.

– Dostałem specjalną przepustkę z mojej jednostki i zabrałem ją oraz jej kuzynkę Sarah na plantację, gdzie Adelicii udało się jakoś przekonać konfederatów, by przypilnowali dla niej bawełnę. Obiecała im, że wyśle ją do Anglii i tam sprzeda, co też uczyniła. Ale musiała ją jakoś przetransportować do Nowego Orleanu, a konfederaci nie mieli wozów. A więc, w środku wojny, zdołała namówić jakichś urzędników z Unii, żeby pożyczyli jej zaprzęgi i powozy, by mogła przewieźć bawełnę nad rzekę.

– Gdzie z kolei – uzupełniła jego historię Claire – cała bawełna została załadowana na statek i wysłana do Europy, a tam sprzedana za małą fortunę. – Przysunęła się bliżej. – To już wyczytałam z relacji prasowych.

Szli jeszcze przez jakiś czas. Dłoń Suttona leżała na jej ręce spoczywającej na jego przedramieniu. W końcu dotarli do rogu ulicy. Monroe zatrzymał się i zwrócił do niej przodem.

– Wiem, że ten miniony tydzień nie był dla ciebie łatwy... odkąd tu jest moja matka. Chciałbym ci podziękować za to, że byłaś dla niej tak cierpliwa.

– Nie musisz tego wciąż powtarzać, Suttonie. To twoja matka i cieszę się, że mogę to robić.

Dotknął pasemka włosów na jej czole.

– Powiedziała mi, że zaprosiłaś ją, by dołączyła do ciebie rano, gdy malujesz.

– Wyznała, że kiedyś malowała. Pomyślałam, że może byłoby jej miło, gdyby znów miała do tego okazję.

– Chyba byłem jeszcze chłopcem, gdy po raz ostatni widziałem jej rysunki. To ona stworzyła te portrety, które mam w ramkach koło łóżka.

– Naprawdę? Jestem pod wrażeniem.

Przyznała się, że była w jego pokoju więcej niż raz, kiedy przebywał w Luizjanie. Wtedy też on się przyznał, że zabrał *joujou* z gzymsu na kominku w jej sypialni tamtego dnia, gdy wyjeżdżał. Ona nawet nie zauważyła brakującego bibelotu.

– Dziękuję, że zgodziłaś się dzisiaj ze mną zjeść kolację, Claire, i przepraszam, że kazałem ci przejść całą tę drogę aż tutaj na piechotę, ale... – Poprowadził ją za zakręt i wskazał na ulicę. – Chciałem ci zrobić niespodziankę.

Widząc, co było przed nią, Claire pisnęła cicho i zarzuciła mu ramiona na szyję.

49

Wzdłuż chodnika, który prowadził do Teatru Adelphi, stali goście oczekujący na wejście do opery. Claire była tak dumna, że idzie u boku Suttona. Chociaż nie pamiętała większości nazwisk mijanych par, rozpoznała wiele małżeństw spotkanych w trakcie przyjęcia dla madame LeVert i pozdrawiała ich niemym skinieniem głowy, gdy zauważała, że akurat patrzą w jej kierunku.

– Co dziś grają? – zapytała szeptem.

Podchodząc do wejścia, skinął w kierunku plakatu i Claire poczuła przeszywający ją dreszcz. *Faust*!

Uścisnęła Suttona mocno za ramię.

– Będę wszystko rozumiała!

– Wiem. – Objął ją lekko w pasie, gdy wchodzili. – Będziesz więc mogła wytłumaczyć mi te fragmenty, których wcześniej nie rozumiałem.

Kiedy byli już we foyer, bileter poprowadził ich w górę krętych schodów i w głąb wąskim przejściem, wzdłuż którego ciągnęły się sznurem kolejne drzwi. Przy końcu korytarza młodzieniec przystanął i otworzył jedne z nich, ukazując ustronną lożę na balkonie z widokiem na scenę.

– Czy pani Acklen dołączy do nas dzisiaj, panie Monroe?

– Nie. Dziś będziemy tylko my we dwoje.

– Dobrze, sir. Życzy sobie pan podczas antraktu ten sam poczęstunek co zwykle?

Sutton skinął głową i wsunął banknot w dłoń mężczyzny.

Claire stała w wejściu i zachwycała się widokiem. Złote brokatowe kurtyny z lambrekinami zdobiły obie strony sceny, a ponad nią migotały żyrandole z brązu. Orkiestra zaczęła stroić instrumenty. Kakofonia dźwięków o różnej barwie i wysokości uciszała powoli szmer rozmów na widowni.

Sutton stanął za nią i pogładził czule jej ramiona.

– Obiecaj mi, że będziesz zakładać tę suknię przynajmniej raz na tydzień.

Splotła palce z jego palcami i ściskając mu dłoń, rzekła:

– Suttonie, to wszystko jest tak... – Nie potrafiła znaleźć słów.

Odprowadził ją na fotel i zajął miejsce obok niej, a potem się jeszcze przysunął.

Claire dostrzegła ruch poniżej, na parterze. Ktoś do nich machał.

– Och! – Trąciła towarzysza. – Tam jest pani Holbrook. – Odmachała dyskretnie w odpowiedzi.

Sutton skinął głową na powitanie.

– Jej mąż mówił mi, że była bardzo zadowolona z tego, co przygotowałaś na doroczny poczęstunek Ligi Kobiet. Chcieliby kiedyś zaprosić nas na kolację.

– Pan i pani Holbrookowie? – zapytała Claire, przypominając sobie słowa starszego prawnika, które skierował do niej podczas przyjęcia.

– Nie... prezydent z panią prezydentową – rzekł Sutton. Spojrzał na nią i uśmiechnął się szeroko. – Oczywiście, że pan i pani Holbrookowie.

Zmusiła się do uśmiechu, ciesząc się, że zgaszono światła na widowni, bo znów towarzyszył jej ten niemiły ucisk w środku, który przypominał jej, że musi mu jeszcze powiedzieć. Tylko nie wiedziała, jak ma to teraz zrobić, by nie zepsuć tego wieczoru.

– Suttonie – szepnęła.

Odwrócił się w jej stronę.

– Czy mógłbyś jutro zarezerwować dla mnie trochę czasu, żebym mogła z tobą porozmawiać? Chodzi o coś bardzo ważnego.

Ucałował jej dłoń.

– Oczywiście. Już się nie mogę doczekać.

Kiedy chwilę potem podniosła się kurtyna, Claire z załzawionymi oczami przechyliła się, chcąc ucałować go w policzek, ale on w ostatnim momencie odwrócił głowę i pochwycił jej usta.

– Kocham cię, Claire – wyszeptał.

Głos na moment uwiązł jej w gardle z obawy, czy jutro będzie czuł to samo.

– Ja też cię kocham, Suttonie – odparła po chwili szeptem, modląc się w duchu o siłę, by przyjąć to, co ma być, i jednocześnie dziękując za tego kochanego mężczyznę i za odosobnienie, jakie dawała im prywatna loża.

~

Z torbą malarską przewieszoną przez ramię i walizką artysty w dłoni Claire schodziła w dół zbocza, nucąc arię z *Fausta*. Wczorajsza opera wyzwoliła w jej sercu wszystkie możliwe emocje. Śmiała się, płakała i wstrzymywała oddech, ściskając dłoń Suttona aż do bólu, jak jej później wyznał.

Walizka artysty, którą dla niej zrobił Sutton, była świetna. Miała specjalny mechanizm, który podtrzymywał blejtram na miejscu, dzięki czemu mogła go z łatwością przenosić, nie obawiając się zniszczenia. A dzisiaj to było szczególnie ważne, bo obraz, który miała w środku, był tym, który zamierzała przesłać przez gońca na jutrzejszą wystawę aukcyjną.

Siedem razy malowała tę konkretną scenę i za każdym spod jej pędzla wychodziło coś innego. Jednakże pejzaż, który teraz ukończyła, był bez

wątpienia tym, który powinna wysłać. Wiedziała to z całą pewnością, ponieważ – choć czuła z tego powodu przerażenie – to był jedyny obraz z tych siedmiu, którego nie namalowała w stylu François-Narcisse'a Brissauda, tylko we własnym.

Szła szybkim krokiem z powrotem w stronę rezydencji i widziała, jak ogrodnicy pielęgnują przyległe tereny, troszcząc się o ogród zimowy – choć był teraz w okresie spoczynku – by przygotować wszystko najlepiej, jak to możliwe na powrót pani Acklen pod koniec tygodnia, akurat na czas aukcji dla uznanych artystów.

Choć Claire była gotowa na jej przyjazd, nie potrafiła sobie wyobrazić, że staje przed Adelicią Acklen i wyznaje jej prawdę. Wyjawienie tego wszystkiego dzisiaj przed Suttonem będzie i tak wystarczająco trudne...

Odłożyła walizkę i torbę w kącie holu wejściowego pod rzeźbą *Śpiących dzieci*, gdy do jej uszu dotarła stłumiona rozmowa.

– Panno Laurent? Czy to pani?

Rozpoznając głos pani Monroe, Claire weszła do pokoju *tête-à-tête*. I kiedy tylko ujrzała, kto siedział obok matki Suttona, poczuła, jakby krew przestała płynąć w jej żyłach.

– Wuj Antoine... – To imię bezwiednie opuściło jej usta.

– *Bonjour, ma petite!* [46] – powiedział mężczyzna, podnosząc się z kanapy. Wyglądał bardzo elegancko i jak najbardziej na miejscu w tym otoczeniu.

Pani Monroe przeciągnęła się.

– Uwielbiam, kiedy on tak mówi. Jest taki uroczy!

Claire patrzyła wielkimi oczami, zbyt zaskoczona, by cokolwiek powiedzieć.

Antoine DePaul przeszedł przez pokój i nachylił się, jakby chciał ją ucałować w policzek, ale dziewczyna odwróciła głowę. Jego uśmiech ani

nie drgnął.

– Dawno się nie widzieliśmy, Claire. Jak się masz, moja droga?

– Co ty tu robisz? – wycedziła ściszonym głosem.

– Przyjechałem odwiedzić moją krewną – odparł na tyle głośno, że każdy w holu mógł usłyszeć. – W końcu ty i ja jesteśmy rodziną.

Serce waliło jej w piersi, gdy wskazała dłonią, mówiąc:

– Chciałabym porozmawiać z tobą na osobności.

Antoine wrócił na kanapę i zajął miejsce obok pani Monroe.

– Chyba jednak wolę ten pokój, Claire. Jest taki... – Rozejrzał się wokół. – ...pełen przepychu.

Od otwartych okien rozległ się tętent końskich kopyt i serce Claire ścisnęło się jeszcze bardziej. Wyjrzała na zewnątrz i z ulgą stwierdziła, że to nie Sutton, tylko Zeke. Gdyby Sutton dowiedział się prawdy w ten sposób, pewnie myślałby, że mówi mu to tylko dlatego, że została przyparta do muru.

– Czekasz na kogoś, Claire? Może na tego dżentelmena, z którym cię widziałem wczoraj wieczorem?

Zwróciła na niego wzrok.

– Podobała ci się opera? Wydawało mi się, że tak, z tego, co widziałem ze swojego miejsca. Pod tobą, trochę z tyłu. Z kolei ta prywatna loża, w której siedziałaś, była dość ciemna i zdawałaś się bardzo... – Posłał jej znaczące spojrzenie. – Hm, powiedzmy, chwilami zaangażowana?

Claire poczuła, jak jej twarz oblewa ciepło.

– Panno Laurent – zaczęła pani Monroe, najwyraźniej nie rozumiejąc, do czego odnosił się niezapowiedziany gość. – Proszę powiedzieć Cordinie, żeby przygotowała dodatkowe nakrycie, aby pani wuj mógł do nas dołączyć na lunch.

– Chciałabym, aby to było możliwe, pani Monroe, ale... – Skrzyżowała spojrzenie z Antoine’em. – On nie będzie mógł zostać na lunch. Ma spotkanie w mieście. Prawda, wuju?

Patrzył jej w oczy, jakby rozważając swoje możliwości, a potem wstał.

– Chyba powinienem już jechać. Madame Monroe... – Skłonił się i ucałował jej dłoń. – *Au revoir* [47], moja droga. Miło mi było panią poznać i dowiedzieć się wszystkiego o życiu w Belmont. Jaka szkoda, że nie miałem okazji poznać pani Acklen. Może wrócę któregoś dnia.

– Och, tak, koniecznie. – Pani Monroe poklepała go po dłoni. – To najmilsza kobieta. Jesteśmy najdroższymi przyjaciółkami.

Trzęsąc się w środku, Claire wyszła za nim do wejściowego holu i zamknęła za sobą pokój *tête-à-tête*. Otworzyła drzwi frontowe, po czym pokazała mu wyjście, ale on nie zważał na jej gest.

Przyglądał się *Rut zbierającej pokłosie*, a potem sprawiał wrażenie, jakby rozglądał się po pomieszczeniu.

– Całkiem nieźle wylądowałaś, Claire.

– Powinieneś już wyjść.

– Wyjdę, jak tylko dostanę to, po co przyszedłem.

– Nie zamierzam ci niczego dawać. I niczego też stąd nie zabierzesz.

Zrobił głęboki wdech.

– Chociaż... propozycja lunchu brzmi całkiem apetycznie.

– Proszę – rzekła, sama się brzydząc swojego błagalnego tonu. Zamknęła drzwi wejściowe, tak by nikt nie wpadł na nich bez zapowiedzi. – Nie masz prawa tu być.

Uniósł brew.

– A ty?

Zacisnęła dłoń na gałce drzwiowej. Ileż to razy sama sobie zadawała to pytanie? I nazbyt dobrze znała odpowiedź.

Czuła bezradność, zdanie na jego łaskę. Tak to się miało skończyć? Po tym, gdy podjęła decyzję, że wyzna prawdę. Po tym, jak błagała Boga, żeby uczynił z niej coś więcej, niż ona była w stanie. Oddychała ciężko, próbując opanować wewnętrzne rozedrganie.

– Nie będę już więcej dla ciebie malować. Tak jak mówiłam papie, nie będę.

Popatrzył na nią przez chwilę, a potem rzekł drwiąco:

– Oczywiście, że będziesz. Jeśli nie chcesz, żebym porozmawiał z twoją pracodawczynią... – Rzucił okiem na portret. – Panią Adelicią Franklin Acklen – wypowiedział to nazwisko powoli, akcentując wyraźnie każdą sylabę. – Domyślam się, że ona jeszcze nie wie o naszym rodzinnym biznesie, który prowadziliśmy w Nowym Orleanie.

– Twoim biznesie... i papy. Nie moim.

– Ty byłaś w to równie zaangażowana jak my, Claire Elise. Wiedziałaś o tym wtedy i wiesz teraz. Widzę to w twoich oczach. – Potrząsnął głową, jakby wyrażając nad nią litość. – Nigdy nie umiałaś dobrze kłamać.

– W przeciwieństwie do ciebie i papy – odparła, bojąc się, że w każdej chwili ktoś może ich tu zastać.

Zrobił krok w jej stronę.

– Pani Acklen jest bardzo zamożna i potrafię sobie wyobrazić, że jako jej osobista asystentka – jak mi to wyjaśniła miła pani Monroe – masz dostęp do jej osobistych rachunków bankowych. Sądząc po tej nienawiści, która teraz widnieje w twoim spojrzeniu, jestem przekonany, że będziesz w stanie zapłacić mi ładną sumkę, żeby się mnie pozbyć. Nie mam racji?

– Nie mam dostępu do pieniędzy pani Acklen i nawet gdybym miała, nie...

– To go zdobądź, Claire. Bo jeśli nie, twój udział w naszych sprawach w Nowym Orleanie ujrzy światło dzienne w bardzo niekorzystnych

okolicznościach i cały świat, jaki sobie tu stworzyłaś, bardzo szybko się rozpadnie. Nie chodzi mi tu tylko o to, że stracisz pracę. Fałszerze są ścigani sądownie, tak jak i pośrednicy sztuki, którzy sprzedają ich prace. A może nie brałaś tego pod uwagę?

Claire nie wiedziała, co odpowiedzieć. Zdawała sobie sprawę, że to, co robiła, nie było dobre, i była gotowa się do tego przyznać, i ponieść konsekwencje, albo przynajmniej tak jej się wydawało. Ale... sprawa sądowa... jak i... możliwość pójścia do więzienia? To była cena, której nie uwzględniła.

Kątem oka dostrzegła jakiś ruch i zamarła, ale gdy popatrzyła w tamtą stronę, nie dostrzegła nikogo. Tylko podobizna pani Acklen spoglądała na nią z góry, z portretu. Przypomniało się jej, co Sutton powiedział o Adelicii dzielnie stawiającej czoła dwóm armiom, walczącej o to, co do niej należało, i modliła się, by mieć choć trochę takiej siły i odwagi. Co Adelicia Acklen zrobiłaby, gdyby groziło jej aresztowanie? Kara więzienia? Claire mogła się tylko domyślać...

Gałka drzwiowa obróciła się pod jej dłonią. W panice, lecz nie mając innego wyjścia, otworzyła drzwi.

Eli popatrzył na nią, a potem na Antoine’a.

– Czy wszystko w porządku, panno Laurent?

– Tak – wydusiła z siebie sztucznym głosem. – Wszystko w porządku. Tylko... mój gość właśnie wychodzi. Potrzebuje swojego konia.

Eli przyjrzał się badawczo Antoine’owi.

– Dobrze, proszę pani. Już go przyprowadzę.

– Dziękuję, Eli.

Odwróciła się i zobaczyła, że Antoine przesuwa palcem po linii ramion Rut i w dół ramienia aż do delikatnej prawej dłoni, gdzie misternie

wyrzeźbione palce otwierały się na zewnątrz. Claire podeszła bliżej, obawiając się, by nie chciał zniszczyć rzeźby.

Mężczyzna ruszył w stronę drzwi i zatrzymał się koło niej.

– Myślę, że pięćset dolarów na razie wystarczy, Claire. Skontaktuję się z tobą pod koniec tygodnia i zorganizuję spotkanie.

– Powiedziałam ci już, że tego nie zrobię.

Uśmiechnął się.

– Masz czas do piątku. Wykorzystaj go mądrze i pamiętaj, nie jestem ani tak cierpliwy, ani tak głupi jak twój ojciec. – Dotknął jej twarzy, ale ona się cofnęła. – Może i masz urodę po matce, Claire, ale nigdy nie będziesz miała jej talentu. Twój był i zawsze będzie tanią podróbką. – Uszczypnął ją mocno w brodę. – *À bientôt, ma petite* [48].

Minął ją zamaszystym krokiem. Claire stała przy drzwiach i dopiero gdy zniknął za ostatnim zakrętem prowadzącym do głównej bramy, odważyła się wziąć oddech. „Do zobaczenia wkrótce” – powiedział jej na odchodnym. I – niech Bóg ma ją w opiece – wierzyła mu.

50

Kolejnego dnia rano Claire odczytała liścik, który Sutton wsunął jej pod drzwiami gdzieś w nocy, i wiedziała, że zbiera żniwo tego, co sama zasiała.

Najdroższa Claire,

wybacz mi, że nie mogę tu być, kiedy wstajesz. Razem z panem Holbrookiem od samego rana mamy spotkania z przedstawicielami władz. Opowiem ci wszystko wieczorem, ale na razie chcę tylko, byś wiedziała... że te modlitwy, które wznosisz w mojej intencji – oraz intencji tej sprawy – są nad wyraz skuteczne. Spotkamy się wieczorem na aukcji, będę wyglądał w tłumie twojego uśmiechu.

Twój zawsze wierny kapral,

Sutton

Claire przetarła oczy ze snu – albo raczej z jego braku. Okazało się, że przez tę sprawę z panem Holbrookiem nie tylko nie mógł zjeść z nią wczoraj lunchu, ale też wyjechał dzisiaj na cały dzień. Westchnęła. To była dla niej kara za to, że nie wyjawiła mu prawdy wcześniej.

Budziła się w nocy, przypominając sobie o wizycie Antoine’a. Na początku się martwiła, co się stanie, jeśli on wróci do Belmont, ale wiedziała, że nie wróci. Bo wystarczyło jej jedno słowo, by zrobiła mu to, czym on straszył ją. Nie, nie będzie próbował się z nią kontaktować, tak jak groził, ale kiedy się dowie, że ona nie da mu pieniędzy, zniszczy ją na odległość. W prosty, czysty i bezpieczny dla niego sposób.

Jednakże czy tak naprawdę był w stanie wyrządzić jej większą krzywdę niż jej własne przyznanie się? Pewnie tak, ale tylko w jeden sposób... jeśli udałoby mu się najpierw porozumieć z Suttonem. A na to nie zamierzała mu pozwolić.

~

– Czy mogę jakoś pani pomóc? – zapytała recepcjonistka zza biurka.

– Tak – odparła Claire. Miała nerwy napięte do granic możliwości. – Biorę udział w aukcji dla debiutujących artystów i powiedziano mi, bym przyszła się tutaj zarejestrować.

– Pani nazwisko?

– Panna Claire Elise Laurent.

Gdy młoda pracownica przesuwała piórem wzdłuż krawędzi strony, Claire odwróciła się i obserwowała hol Centrum Sztuki Worthington w poszukiwaniu Suttona. Było tam morze twarzy, ale żadna z nich nie należała do niego.

Wstąpiła do kancelarii po drodze do Centrum Sztuki, licząc, że go zastanie, lecz sekretarka powiedziała, że wyszedł z biura po południu. Nie mógł przecież zapomnieć o aukcji. Przynajmniej tak jej się wydawało. Był jednak zajęty obecnością matki, a potem tą sprawą...

– Jest, panno Laurent.

Claire wróciła wzrokiem.

– Wygląda na to, że wszystkie pani informacje są w porządku, oprócz jednej – rzekła recepcjonistka. – Musi pani wypełnić i podpisać certyfikat oryginalności. Ma to na celu potwierdzenie, że jest pani rzeczywiście autorką tego zgłoszonego obrazu i że jest to pani własne oryginalne dzieło.

Claire wpatrywała się przez jakiś czas w formularz i przenikała ją świadomość powagi tej chwili. Być może pierwszy raz w życiu. To był

prawdziwie jej obraz, na zawsze, nie żadna kopia ani podróbka, ani falsyfikat. Wypełniła dokument i złożyła na dole podpis.

Recepcjonistka sprawdziła papier.

– To tyle, panno Laurent. Życzę szczęścia!

– Szczęście nie ma tu nic do rzeczy.

Claire obróciła się i z ulgą zobaczyła, że to Sutton... choć obok niego stali pan i pani Holbrookowie.

Uśmiechnął się ze zmieszaniem.

– Martwiłaś się, że nie zdążę?

– Nie, oczywiście, że nie – odparła, a potem zobaczyła, jak na nią patrzył. – No może troszkę.

Pani Holbrook uścisnęła ją krótko.

– To takie ekscytujące, panno Laurent. Pani pierwsza aukcja. Nie mogę się już doczekać, żeby zobaczyć pani obraz. Na pewno świetnie się sprzeda.

– A później – wtrącił pan Holbrook – zabieramy panią i pana Monroego na kolację, by to uczcić. My stawiamy!

Claire uśmiechnęła się, choć wieczór nie zapowiadał się tak, jak planowała.

– To bardzo miłe z państwa strony. Dziękuję.

Sutton podał jej ramię i Claire wsparła się na nim. Wskazał gestem, aby starsze małżeństwo weszło przed nimi do auli, a potem pochyliwszy się w jej stronę, rzekł:

– Pan Holbrook uparł się, że przyjdą z nami, by być tu z tobą. Mam nadzieję, że ci to zbytnio nie przeszkadza. Obiecuję, że ci to wynagrodzę.

Widząc szczerość w jego spojrzeniu, Claire się zawstydziła.

– Nie, Suttonie, w porządku. Ty tu jesteś i to jest dla mnie najważniejsze. – Niektóre obrazy oprawione w ramy zostały już wniesione na scenę, ale nie było wśród nich jej dzieła.

W wejściu młody mężczyzna wręczał każdemu program.

Było tłoczniej, niż Claire się spodziewała. Wybrali cztery krzesła obok siebie na środku sali. Kiedy Sutton zabawiał rozmową pana i panią Holbrook, Claire przeczytała program, zwracając szczególną uwagę na nazwiska artystów. Gdy dostrzegła własne u dołu pierwszej kolumny, przesunęła palcem po czcionce i przepełniła ją satysfakcja.

Rozmowy w auli ucichły, kiedy tylko na podium wszedł jakiś dżentelmen.

– Witam państwa w Centrum Sztuki Worthington na dwudziestej drugiej dorocznej licytacji dla debiutujących artystów w Nashville. Po pierwsze, pragniemy podziękować panu i pani Worthingtonom za ich hojny wkład w sztukę, dzięki któremu możemy dziś spotkać się w tym pięknym budynku. Część dzisiejszego dochodu zasili Fundację Tennessee na rzecz...

Claire wypatrywała, aż dostrzegła w tłumie panią Worthington. W tym samym momencie dama spojrzała na nią i uśmiechnęła się. Claire odpowiedziała uśmiechem, niemal w tym samym momencie podskoczyła na dźwięk młotka aukcyjnego, który dawał znak na rozpoczęcie aukcji.

Licytator stał przed podium.

– Pierwsza pozycja do licytacji to obraz olejny na płótnie zatytułowany *Ukochany świt*. Autorem jest pan Adam Marcus Avery z Gallatin w stanie Tennessee.

Claire zerknęła ponad głowami widzów, żeby lepiej przyjrzeć się oprawionemu w ramy pejzażowi. *Powalający* – pomyślała i odchyliła się na oparcie, wiedząc już, że nie miała szans.

– W przypadku wszystkich obrazów naszych debiutujących artystów – ciągnął licytator – zaczynamy licytację od dwóch dolarów. I proszę pamiętać, połowa uzyskanej kwoty trafia do artysty, a druga na cele charytatywne, zatem licytujcie często i odważnie.

Po auli przetoczył się śmiech.

Licytator rozpoczął aukcję i nagle tabliczki z numerami zaczęły się pojawiać nie wiadomo skąd, to wznosząc się, to opadając, tak szybko, że Claire nie wiedziała nawet, gdzie patrzeć w następnej chwili, jaka kwota padła i jakim cudem licytatorowi udawało się to wszystko śledzić. To było takie fascynujące!

Dopiero po chwili zobaczyła, że na kolanach Suttona też leży tabliczka z numerem. Z tyłu było wypisane nazwisko Acklen.

– Czy pani Acklen zamierza licytować któryś z tych obrazów? – zapytała szeptem.

Sutton tylko popatrzył na nią z uśmiechem i Claire poczuła przypływ nadziei.

– Trzydzieści dwa dolary po raz pierwszy, trzydzieści dwa dolary po raz drugi... – Rozległ się dźwięk młotka. – *Ukochany świt*... sprzedany za trzydzieści dwa dolary, trafia w ręce pana Daniela Worthingtona.

Pani Worthington rozpromieniła się w uśmiechu i kiwała głową w stronę swoich sąsiadów, jakby to ona sama namalowała ten olejny obraz.

Kilku następnym dziełom daleko było do tej kwoty, za jaką sprzedano *Ukochany świt*, i Claire miała coraz bardziej ponure myśli w kwestii oczekiwań wobec własnego dzieła. Jednakże kolejne pozycje znów wywołały burzę i ponownie przepełniła ją nadzieja. *Będę malować, jakbym malowała tylko dla Ciebie. Będę malować, jakbym malowała tylko dla Ciebie...* – powtarzała w kółko w głowie, przypominając sobie, że niezależnie od tego, co się stanie, malowała ten obraz z takim celem i zrobiła wszystko, co w jej mocy. I wszystko, na co ją było stać.

W końcu wniesiono na scenę jej dzieło.

– Ostatnia pozycja to obraz olejny na płótnie zatytułowany... *Amerykański Wersal*. Autorką tego dzieła jest panna Claire Elise Laurent

z Nashville w stanie Tennessee.

Widząc swój obraz tam na scenie i słysząc wyczytane na głos swoje nazwisko, Claire się wzruszyła. Sutton sięgnął w jej stronę i uścisnął jej dłoń.

Licytator rozpoczął od dwóch dolarów i tabliczki z numerami zaczęły swój taniec. Claire czuła się, jakby była w powozie, nad którym utracono kontrolę. Serce waliło jej szybko. Trzymała się krawędzi siedziska, sama nie wiedząc, gdzie ma patrzeć.

– Mamy trzynaście dolarów. Czy ktoś da czternaście?

Już trzynaście dolarów! – pomyślała z rosnącą ekscytacją.

Znów podjęto licytację. Czując, że ktoś ją obserwuje, Claire rozejrzała się i zauważyła, że w ich stronę patrzy pani Worthington. Uśmiechnęła się, ale dama szybko się odwróciła. Jednak kiedy tylko podniosła się stawka, kobieta ponownie patrzyła ukradkiem. Claire spojrzała na numerek pani Acklen, który leżał na kolanach Suttona, i dopiero wtedy do niej dotarło, że pani Worthington sprawdzała, czy Sutton zamierza licytować ten obraz dla pani Acklen... zanim ona sama zalicytuje.

– Mamy *Amerykański Wersal* za trzydzieści dwa dolary. Czy ktoś da trzydzieści trzy? Jeśli tak, to *Amerykański Wersal* byłby dziś najwyżej notowaną pozycją na tegorocznej licytacji debiutujących artystów.

Podniosła się tabliczka. I kolejna. I jeszcze jedna. Ale tabliczka Suttona wciąż leżała bezczynnie na jego kolanach.

Claire pochyliła głowę, starając się po prostu skupić na tej chwili. Jej pierwsza licytacja. I pierwszy własny obraz. Pod jej nazwiskiem. Pomyślała o mamie i pożałowała, że ona nie może tego zobaczyć. Choć prawdopodobnie, ale tylko prawdopodobnie, mogła.

– Proszę państwa, mamy trzydzieści dziewięć dolarów. Czy ktoś da czterdzieści?

Sutton wzniósł tabliczkę Adelicii.

Claire odwróciła się, spojrzawszy na niego, ale on patrzył przed siebie, uśmiechając się. Adelicia Acklen licytowała jej pejzaż! Claire ledwie mogła usiedzieć na miejscu. Zaraz potem znów poczuła to spojrzenie. Obejrzała się i dostrzegła, że pani Worthington teraz również ją licytuje.

– Mamy czterdzieści jeden dolarów. Ktoś da czterdzieści dwa?

Sutton ponownie wzniósł tabliczkę i Claire zaczęła się zastanawiać, jaki limit ustaliła pani Acklen.

– Jest czterdzieści dwa dolary... czterdzieści trzy po mojej lewej!

Claire popatrzyła na drugą stronę przejścia. Tabliczka z numerem pani Worthington wciąż skakała w górę.

– Czterdzieści siedem dolarów. Czterdzieści osiem. – Licytator wskazywał to jedną, to drugą dłonią. – Czterdzieści dziewięć. Pięćdziesiąt! Pięćdziesiąt jeden?

Sutton po raz kolejny podniósł tabliczkę i Claire zaczęła już myśleć o wszystkich przysługach, jakie może jeszcze wyświadczyć pani Acklen. Uporządkuje jej szuflady w komodzie. Wykaligrafuje etykietki z łacińskimi nazwami dla każdego kwiatka, krzaczka i roślinki, które pani Acklen miała na prawie dwustu metrach kwadratowych swojej oranżerii.

O zwycięstwo walczyły już teraz tylko dwie tabliczki. Acklen i Worthington. Raz jedna, raz druga. Raz jedna, raz druga.

– Panowie i panie, mamy już sześćdziesiąt jeden dolarów. Czy będzie sześćdziesiąt dwa?

Bez zastanowienia Sutton wzniósł tabliczkę, skoncentrowany na licytatorze.

– Jest sześćdziesiąt dwa dolary. Czy ktoś da sześćdziesiąt trzy?

Tabliczka pani Worthington lojalnie poszybowała w górę.

Licytator się uśmiechnął.

– Wygląda na to, że spędzimy tu całą noc.

Wszyscy się roześmiali. W auli pozostały już teraz tylko miejsca stojące i robiło się coraz goręcej.

– Żeby tak nie było – podjął licytator – dam każdemu z licytujących kartkę papieru i chciałbym, by napisali państwo najwyższą kwotę, jaką państwo mogą zaoferować. Tylko proszę o rozwagę, moi drodzy, bo nie będzie kolejnej szansy. Ten, kto wygra tę licytację, zostanie dumnym posiadaczem *Amerykańskiego Wersalu*.

Dwóch młodzieńców ruszyło przejściem z kartkami i piórami. Dla Suttona i dla pani Worthington. Napisali kwoty. Sutton podając cenę Adelicii, choć Claire nie zobaczyła ile, i obaj posłańcy zanieśli oferty licytatorowi, który zerknął na nie z szerokim uśmiechem, a następnie podniósł młotek i stuknął nim, mówiąc:

– *Amerykański Wersal*... sprzedany za dziewięćdziesiąt cztery dolary, czym uzyskuje najwyższą cenę, jaką osiągnął jakikolwiek debiutujący artysta w historii tej aukcji, i idzie do... pana Suttona Monroego.

Bez słowa Claire odwróciła się w jego stronę, ale Sutton tylko się uśmiechnął i mrugnął do niej.

– Nie musisz wiedzieć wszystkiego, panno Laurent.

51

Suttonie... – Claire obróciła się na krześle i mocno go przytuliła, wciąż nie mogąc uwierzyć w to, co właśnie zrobił. Jak to możliwe, że jej serce było tak przepełnione, a jednocześnie tak złamane?

– To były pieniądze na twoją stadninę – wyszeptała.

– Te pieniądze to inwestycja – odparł, muskając w pocałunku jej włosy. – I to jedna z ważniejszych dla mnie.

– Wybaczcie, proszę, że przerywam... – Pani Holbrook przechyliła się w ich stronę, wskazując dyskretnie dłonią. – Wydaje mi się, że inni czekają, by pogratulować. Wam obojgu.

Claire odwróciła się i fakt, najwyraźniej tworzyła się przed nimi kolejka. Przez kilka najbliższych chwil przyjmowali z Suttonem gratulacje. W końcu podeszli też pan i pani Worthingtonowie.

Claire dygnęła przed tą parą, zauważając ponury wyraz twarzy damy.

– Proszę państwa, chciałam podziękować za to, że licytowali państwo mój pejzaż. Jestem szczególnie zaszczycona.

Pan Worthington kiwnął w uznaniu głową.

– Nie ma za co, panno Laurent. Choć muszę przyznać... – zerknął na żonę – że życie z panią Worthington w ciągu kilku najbliższych dni nie będzie należało do najprzyjemniejszych. Ona już zdążyła nawet wybrać miejsce w salonie na pani obraz.

Claire nie mogła w to uwierzyć.

– Proszę pozwolić, pani Worthington, że ja również podziękuję – wtrącił Sutton – za tę żywiołową licytację.

– Proszę bardzo, panie Monroe. – Wyraźną irytację spowodowaną przegraną przełamał drobny promień uśmiechu. – A pan pozwoli, że w dobrej wierze skieruję do pana ostrzeżenie... Kolejnym razem będę licytować dużo wyżej.

Sutton się uśmiechnął, skłoniwszy się lekko.

– Wezmę to pod uwagę, szanowna pani.

– I może to pan również przekazać Adelicii – dodała lekko wyzywającym tonem. – O ile planuje wziąć udział w kolejnej licytacji w tym tygodniu?

– Jakżeby inaczej, szanowna pani. Pani Acklen właśnie pojutrze wraca do Belmont. Otrzymałem od niej dziś rano telegram.

Claire poszła z Suttonem i państwem Holbrookami do kasy w korytarzu, z boku głównej auli. Sutton wyciągnął książeczkę czekową z wewnętrznej kieszeni płaszcza i Claire znów pomyślała o tym, jak wiele zapłacił za jej obraz.

– Dla ciebie namalowałabym za darmo – rzuciła szeptem.

– Teraz mi to mówisz! – Puścił do niej oko, a potem podał młodej kobiecie w okienku czek.

Piękna urzędniczka uśmiechnęła się... – Claire zauważyła, że trochę bardziej do Suttona niż do niej. – ...i za chwilę wróciła z innym czekiem.

– Proszę bardzo, panno Laurent. To pani udział. – Wręczyła Claire czek, wciąż patrząc na Suttona. – I jeszcze... pan Brownley, kustosz, zaprasza pana, panie Monroe, oraz pańskich gości na zamkniętą wystawę dzieł sztuki, które wezmą udział w licytacji pod koniec tego tygodnia. Wystawa już jest dostępna tam dalej, w głębi korytarza. Zostanie też podany poczęstunek dla gości.

Sutton zerknął na Claire, a potem na pana i panią Holbrooków.

– Mamy ochotę?

Claire spojrzała na panią Holbrook, licząc, że będzie zainteresowana, i uśmiechnęła się, gdy starsza kobieta pokiwała entuzjastycznie głową.

– Zdaje się, że panie wyrażają zgodę, panie Monroe – rzekł pan Holbrook i wskazał dłonią na korytarz.

W galerii Claire wzięła Suttona na bok i podała mu czek.

– Proszę... chcę ci to dać. W końcu to twoje.

Podniósł obie ręce.

– To twoje pieniądze, Claire. I możesz z nimi zrobić, co zechcesz.

– Ale nie czuję się z tym dobrze, Suttonie. Proszę cię tylko...

– Jezusieńku, ratujże! – rzekł cicho. – Tyn człowiek odziera mnie z całyj radości.

Claire się uśmiechnęła, bo wciąż pamiętała, jak Cordina przyłapała ich, gdy jedli śniadanie w jej kuchni. Miała wrażenie, że tamten poranek był wieki temu. Teraz czuła się zupełnie inną osobą. Nigdy nawet nie wyobrażała sobie, że tak to się wszystko potoczy. Była szczególnie wdzięczna za tego mężczyznę i za nowe życie, które dał jej Bóg.

Jednak niezależnie od poczucia wdzięczności wiedziała, że było jeszcze coś, co musi zrobić.

Sutton uniósł jej dłoń do ust.

– Włóż ten czek do swojej kieszeni w sukni, gdzie jego miejsce. Coś mi się zdaje, że będziesz potrzebowała tych pieniędzy na kolejne płótna i farby.

Spełniła jego polecenie, ale gdy tylko się odwrócił, by dołączyć do państwa Holbrooków, dotknęła jego ręki, mówiąc:

– Suttonie... jest coś, o czym musimy porozmawiać. Czy moglibyśmy gdzieś iść, proszę... tylko my we dwoje?

Dotknął jej policzka.

– Czy wszystko w porządku?

Czułość odbijająca się w jego głosie dotknęła ją do głębi.

– Tak – wyszeptała, a potem kręcąc głową, dodała: – I nie.

Jego twarz spochmurniała. Spojrzał na drugi koniec galerii.

– Pooglądamy jeszcze chwilę obrazy z Holbrookami, a potem przeprosimy ich, wymawiając się od kolacji, i pojedziemy prosto do domu.

Kiwnęła głową.

– Dziękuję.

Galeria była większa, niż Claire podejrzewała, i stanowiła labirynt pokoi. Zanim obeszli całość, zrobiło się dużo tłoczniej.

Pani Holbrook otoczyła ją ramieniem.

– Moja droga, czy dobrze się pani czuje? Nagle pani zamilkła.

– Chyba jestem po prostu przemęczona, pani Holbrook. – Claire rzuciła okiem na Suttona, który natychmiast się włączył.

– Dziękujemy bardzo za zaproszenie na kolację, ale pewnie wrócimy dzisiaj po wystawie do domu, jeśli nie mieliby państwo nic przeciwko.

Państwo Holbrookowie zapewnili ich, że nie ma problemu. Gdy wychodzili z galerii, podszedł do nich jakiś siwowłosy mężczyzna.

– Panie Monroe, proszę pozwolić, że jeszcze osobiście wyrażę moją wdzięczność za tak hojną ofertę.

– Nie ma za co, panie Brownley. – Sutton wymienił z nim uścisk dłoni, a potem wskazując na niego, dodał: – Pan Brownley jest od kilku lat kustoszem Centrum Sztuki. Proszę pozwolić, że przedstawię...

Gdy Sutton przeszedł do Claire, dziewczyna dygnęła.

– Miło mi pana poznać, panie Brownley.

– Cała przyjemność po mojej stronie, panno Laurent. Gratuluję pani dzisiejszego sukcesu. I proszę mi wybaczyć, że to powiem, ale gdy tylko zobaczyłem pani *Amerykański Wersal*, nie mogłem uwierzyć, że jest pani debiutującą artystką. Zarówno mój ojciec, jak i mój dziadek byli kustoszami, więc spędziłem w otoczeniu sztuki całe życie. Ta elegancja

stylu, uczucia przelane na płótno, te pociągnięcia pędzla... – Pokręcił głową. – Jest pani wyjątkowo utalentowana jak na tak młodą osobę, panno Laurent.

Claire poczuła się nieswojo wobec jego pochwał.

– Miło mi to słyszeć, sir. Dziękuję. – Zerknęła na Suttona, który najwyraźniej wyczuwał jej skrępowanie. Następnie odwróciła wzrok, byleby tylko nie patrzeć na pana Brownleya...

I wtedy dopiero go zobaczyła... wystawiony na sztalugach w najdalszym kącie ostatniej sali.

– S-skąd ma pan ten obraz? – wyszeptała, czując potężny ucisk w piersi.

– Och... – westchnął nabożnie pan Brownley. – Licytacja tego pejzażu to prawie że zaszczyt dla naszej galerii, panno Laurent. To sam François-Narcisse Brissaud. *Jardins*...

– ...*de Versailles* – dokończyła, ruszając w stronę obrazu, przyciągana postacią na wpół ukrytej w bzach matki stojącej na skraju ogrodu.

Zaraz potem zamarła i obróciła się, rozglądając się po twarzach otaczających ją ludzi, pewna, że zaraz dostrzeże Antoine’a, ale go nie widziała. W tym momencie przypomniała sobie artykuł prasowy... wszystkie dzieła sztuki zostały tamtego wieczoru skradzione z galerii w Nowym Orleanie. Powoli zwróciła wzrok na *Jardins*. Czyżby?

Pan Brownley podszedł do niej.

– Czy zna pani dzieła Brissauda, panno Laurent?

Obdarzyła go wątłym uśmiechem, tak sztucznym jak obraz, przed którym stali. Tak sztucznym jak ta chwila. A jednak, wiedziała, że nie była już tą samą kobietą, która to namalowała. Bóg ją zmienił. Nadal pragnęła malować najbardziej ze wszystkich rzeczy na świecie, ale chciała to robić tak, by ktoś oglądając jej pracę, widział samego Boga.

Czując na sobie uwagę pana Brownleya, odwróciła się i westchnąwszy, odparła:

– Tak, proszę pana. Dość dobrze znam dzieła Brissauda. – Wyczuwając obok obecność Suttona, spojrzała na niego. – Jednakże... – Spuściła nieco z tonu tak, by tylko on słyszał. – To nie jest oryginalny obraz.

Marszcząc brwi, Sutton spojrzał na kustosza, a potem na pana Holbrooka i zwrócił się do niej:

– Ależ oczywiście, że to jest oryginał, Claire. – Jego powściągliwy wyraz twarzy kazał jej jeszcze bardziej ściszyć głos. – Galeria posiada certyfikat potwierdzający autentyczność.

Claire pokręciła głową.

– Jakie by to nie były papiery, Suttonie, są podrobione. Tak jak ten obraz.

– Skąd to wiesz?

– Wiem, gdyż... – Widząc pytanie w jego oczach i wiedząc, jak bardzo jest oddany prawdzie, rozumiała, ile będzie ją kosztowało wyznanie prawdy. Rozumiała też, że musi zapłacić tę cenę. Płacz ściskał ją w gardle, jakby nie dopuszczając słów. – Wiem, gdyż... to ja go namalowałam.

52

Sutton złapał Claire za ramię i delikatnie odciągnął na bok, licząc, że kustosz nic nie usłyszał.

– Co masz na myśli, mówiąc, że to ty go namalowałaś? – wyszeptał. Zdawał sobie sprawę z utkwionego w nim surowego spojrzenia Holbrooka oraz tego, że z drugiej strony sali patrzy się na nich ubrany po cywilnemu śledczy.

W jej oczach stanęły łzy.

– To, co próbowałam ci cały czas powiedzieć. – Spuściła wzrok i splotła ręce przed sobą. – Zanim przyjechałam do Belmont... – Zacisnęła mocniej wargi, rozglądając się wokół. – Zajmowałam się fałszerstwem – wyszeptała ledwie słyszalnym głosem – dla mojego ojca w naszej galerii. Tak samo, jak to wcześniej czyniła moja matka.

Sutton mógłby przysiąc, że ziemia się pod nim osunęła. Ona zajmowała się fałszerstwem?! Spojrzał na Brissauda, a później znów na nią. To był jakiś absurd! Jakaś cząstka w nim chciała się roześmiać, ale nie mógł. Nie teraz, gdy ona tak na niego patrzyła. Jakby rozpadała się od środka. Mówił dalej cicho:

– Claire... ty chyba nie mówisz poważnie.

Łzy zaczęły płynąć jej po policzkach.

– Przepraszam, Suttonie. Tak bardzo cię przepraszam.

Sam pomysł, że Claire malowała falsyfikaty, był wystarczająco absurdalny. Ale że namalowała akurat ten obraz... po tym wszystkim, co

przeszli, by ściągnąć go tutaj, do tej galerii, w tym konkretnym czasie... to było dla niego za dużo.

– Panie Monroe... – Pan Brownley podszedł, zaniepokojony jego miną. – Czy coś się stało, sir? Panna Laurent wydaje się podenerwowana i obawiam się, że zbytnio zwracamy uwagę.

Sutton uświadomił sobie, że coraz więcej odwiedzających patrzy się na nich.

– Proszę wybaczyć, panie Brownley.

Wiedząc o jaką stawkę szło podczas najbliższej licytacji i mając na uwadze te wszystkie miesiące pracy zarówno śledczych, jak i jego oraz Holbrooka, które doprowadziły ich do tego punktu, wiedział, że musi coś wymyślić. I to szybko.

– To wszystko moja wina, sir – rzekł to na tyle głośno, by ci, którzy byli najbliżej, usłyszeli. – Powiedziałem pannie Laurent coś, co ją zdenerwowało. Zachowałem się bezdusznie, przepraszam. – Odwrócił się z powrotem do Claire i uścisnął jej dłoń. – Czy przebaczy mi pani, panno Laurent?

Wyraz konsternacji trwał tylko chwilę i zaraz Claire skinęła, choć w jej oczach nadal widać było brak zrozumienia.

Odwrócił się znowu do kustosza.

– Czy mógłby pan zaprowadzić nas w jakieś bardziej ustronne miejsce, panie Brownley? Tak, żebym mógł to zrekompensować pannie Laurent?

Brownley spojrzał na tę dwójkę, a następnie uśmiechnął się do odwiedzających, jakby chciał powiedzieć: „Ach... ci młodzi zakochani!”.

– Oczywiście, panie Monroe. Proszę za mną.

Kustosz poprowadził całą ich czwórkę bocznymi drzwiami do sali konferencyjnej, po czym zamknął za nimi drzwi. Sutton kazał Claire usiąść, a potem zajął miejsce koło niej. Ona była okropnie roztrzęsiona i on czuł

się tak samo. Tyle myśli bombardowało jego głowę. A jedna z nich najgorsza... jeżeli Claire rzeczywiście podrabiała obrazy, czego innego mogła się jeszcze dopuścić? To na nim przecież spoczywała odpowiedzialność za ochronę majątku Adelicii Acklen, a tymczasem nie dotarł do prawdy na temat Claire. W ogóle.

Holbrookowie usiedli po drugiej stronie stołu.

– Czy mógłby mi pan wyjaśnić, co się tam stało, panie Monroe?

Sutton podniósł wzrok. Na twarzy Bartholomew Holbrooka malowało się zdenerwowanie.

– Przepraszam, sir – odparł. – Nie udało mi się zbyt dobrze zachować w tamtej sytuacji...

– To nie była wina Suttona, panie Holbrook, a moja... – Claire wzięła z drżeniem wdech. – To wszystko moja wina.

– Dobrze, panno Laurent... – Starszy mężczyzna zwrócił się do niej z miną i tonem głosu doświadczonego prawnika. – Proszę w takim razie czynić honory i nam wszystko wyjaśnić.

Sutton słuchał, gdy opowiadała panu i pani Holbrook dokładnie to, co wyznała mu przed chwilą. W jej głosie było to samo rozbicie i poczuł niemiły uścisk w środku, kiedy znów to usłyszał.

Pani Holbrook pobladła.

– Pani podrobiła ten obraz? Brissauda? – Zerknęła na męża. – To chyba niemożliwe.

Pan Holbrook nic nie powiedział.

Claire znowu się rozpłakała.

– Główną działalnością naszej galerii była sprzedaż „oryginałów”. – Aż się wzdrygnęła na to słowo. – Europejskich mistrzów. W istocie to moja matka, a później ja malowałyśmy je w naszej galerii w Nowym Orleanie. Następnie mój ojciec kupował podrobione certyfikaty potwierdzające

autentyczność i albo sprzedawał obrazy na miejscu, albo przesyłał do różnych galerii w całym kraju. Czasem też za granicę. Moja matka w ostatnich latach podrabiała wielu artystów, ale jej specjalnością... i moją również... był François-Narcisse Brissaud.

Sutton odsunął się z krzesłem od niej, by móc ją obserwować, gdy mówiła. Opowiedziała im szczegółowo wszystko o galerii, rodzicach i o tym, kiedy po raz pierwszy dowiedziała się, czym tak naprawdę się zajmowali. Następnie opisała lata w szkole z internatem, po których wróciła do pracy w „rodzinnej firmie".

– Ile obrazów pani własnoręcznie podrobiła, panno Laurent? – zapytał Holbrook.

Sutton widział, jak poruszają się jej usta, tak jak zawsze to czyniła, gdy liczyła w pamięci.

– Malowałam *Jardins de Versailles* pięć razy, w tym ten. I może jeszcze jakieś dwadzieścia albo dwadzieścia pięć obrazów w ciągu tych ostatnich dwóch lat. Nie liczę tu obrazów, które kopiowałam i sprzedane były jako kopia.

– Czy kiedykolwiek sprzedawałaś sama te obrazy? – zapytał Sutton, licząc w duchu na jedną odpowiedź.

– Nie, to papa zawsze się tym zajmował. I kazał mi wychodzić z galerii, gdy przyjmował klientów.

– Więc nigdy ich nawet nie widziałaś? – ciągnął. – Czy byłabyś w stanie ich zidentyfikować? – *Albo oni ciebie* – dodał w myślach.

– Nie.

– Zatem podrabiała pani obrazy w ciągu minionych dwóch lat? – podjął Holbrook.

– Zaczęłam, gdy matka była chora, niedługo po tym, jak skończyłam szkołę. – Opowiadała o bliskiej relacji z matką, a brak jakiegokolwiek

komentarza na temat ojca mówił sam za siebie. – Opłaty za lekarzy i medykamenty były zbyt wysokie. Powiedziałam papie, że uważam, iż jej stan poprawiłby się, gdybyśmy wysłali ją do sanatorium. Odparł wtedy, że to wiele kosztuje, więc pracowałam jeszcze ciężej i malowałam szybciej. Jednakże... – Pokręciła głową. – Nie zgodził się, by ją tam posłać.

– I zmarła? – wtrąciła pani Holbrook z wahaniem.

Claire skinęła głową.

– Ponad rok temu.

– Tak mi przykro, moja droga – wyszeptała dama. – Musi jej pani bardzo brakować.

– Tak, ale czasem, gdy trzymam w dłoni pędzel, czuję, jakby była tuż obok mnie.

Pani Holbrook wyciągnęła prawą rękę.

– To była obrączka ślubna mojej mamy. Czuję tak samo, kiedy mam ją na palcu.

Jakiś cień uśmiechu przemknął przez twarz Claire, ale szybko zniknął.

– Moja mama podarowała mi przed śmiercią pamiątkowy medalion z zegarkiem, jednak straciłam go pierwszego wieczoru, gdy przybyłam do Nashville. – Westchnęła. – Wróciłam później do tamtej firmy przewozowej, by go odszukać, ale... zniknął.

– Firmy przewozowej – rzekł Holbrook, a jego nastroszone brwi się uniosły.

-Tak, sir – odparła Claire. – To było właśnie wtedy, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy. W firmie przewozowej Brodericka.

– Co? – Sutton aż wychylił się do przodu. – Widział ją pan w...

Holbrook wzniósł dłoń.

– Może pan zostawić na później tę przyganę za to, że nie ujawniłem przed panem tej informacji. Kiedy zobaczyłem na tym przyjęciu, jak bardzo

jesteście w sobie zakochani, pomyślałem, że lepiej, jak się wstrzymam, i nadal uważam, że słusznie uczyniłem.

Sutton poczuł na sobie wzrok Claire, ale nie popatrzył na nią.

– Wracając... – zwrócił się Holbrook do Claire. – Pamiętam dobrze tamto popołudnie, panno Laurent, ale nie rozumiem, jaki miała pani związek z tamtą firmą.

– Nie miałam... i nie mam. Byłam tam po prostu, żeby odnaleźć swoją torebkę. Pan Broderick kierował w moją stronę niemile widziane umizgi już pierwszego wieczoru, gdy przyjechałam, na co ja, chwyciwszy torbę, uciekłam. Dopiero kolejnego dnia rano w kościele, gdzie spotkałam Suttona, uświadomiłam sobie, że zapomniałam torebki.

Choć Sutton nigdy nie widział na oczy Samuela Brodericka, miał ochotę go udusić gołymi rękami.

– Claire... a co ty tam robiłaś tego pierwszego wieczoru? Dlaczego w ogóle tam poszłaś?

– Ponieważ tam mój ojciec i jego wspólnik załatwili mi nocleg po przyjeździe do miasta.

Sutton wymienił znaczące spojrzenie z Holbrookiem.

– Twój ojciec miał wspólnika?

– Tak.

– A jak się nazywał ten wspólnik, panno Laurent? – zapytał Holbrook.

– Antoine DePaul.

Sutton poczuł niemiły ucisk w środku i widział, że starszy prawnik doświadczył tego samego.

– O co chodzi? – zapytała Claire. – Czy coś się stało?

Sutton spojrzał na Holbrooka, jakby oczekując na jego przyzwolenie, i gdy mężczyzna skinął, rzekł:

– Ta sprawa, nad którą pracujemy od tylu miesięcy z panem Holbrookiem i w której tak gorliwie zanosiłaś za mnie modlitwy...

Dziewczyna przybrała nieufny wyraz twarzy.

– Współpracujemy ze śledczymi, by w imieniu klienta wytropić sfałszowane dzieła sztuki. W zasadzie teraz już kilku klientów. Gromadzimy dowody do zbliżającego się procesu, ale mężczyzna, którego poszukujemy, nazywa się Sebastian Perrault. Czy coś ci mówi to nazwisko?

Pokręciła głową, zaprzeczając.

Sutton skinął.

– Większość falsyfikatów w kraju z ostatnich dziesięciu lat prowadzi do tego człowieka i jego szerokiej siatki współpracowników. Perrault jest właścicielem kilku galerii, wszystkich dość niewielkich, z wyjątkiem Galerii Perrault w Nowym Jorku.

Nagle na jej obliczu mignęło coś zagadkowego.

– Poczekaj... – Zapatrzyła się gdzieś w dal. – Galeria Perrault... Nowy Jork. Chyba już widziałam to nazwisko... – Oprzytomniała, a w jej oczach widać było błysk. – Tego pierwszego wieczoru w Nashville. Wskazówki, które napisał mi Antoine, były na kawałku papeterii z nazwą tej galerii.

Sutton próbował uśmiechnąć się życzliwie.

– Niestety, to zbyt mało, by ustalić związek pomiędzy tymi ludźmi. Perrault przeprowadza wiele interesów z galeriami zarówno w kraju, jak i za granicą.

– Jak dobrze zna pani tego Antoine’a DePaula, panno Laurent? – zapytał Holbrook, spoglądając na nią sponad złączonych czubkami palców dłoni. – Jakim jest człowiekiem?

– Znałam go, odkąd miałam dziewięć lat, albo przynajmniej tak mi się wydawało. Był nam tak bliski jak członek rodziny. – Westchnęła z żalem. – I był mi jak wujek. Wiele podróżował, w ostatnich latach jeszcze częściej,

a kiedy przyjeżdżał, za każdym razem przywoził prezenty z podróży. – Zmrużyła oczy i zaśmiała się bez cienia humoru. – Choć, jakby na to tak spojrzeć z perspektywy czasu... zawsze wydawał najwięcej pieniędzy na siebie. Miał bzika na punkcie butów. – Pokręciła głową. – Jego ulubione były ze skóry aligatora.

Sutton wyprostował się nagle na krześle. Razem z Holbrookiem gapili się na siebie i powoli na ich twarzach pojawiły się uśmiechy. Nawet pani Holbrook, która do tej pory siedziała w milczeniu, wyprostowała się.

– Wybredny, jeśli chodzi o garderobę – rzekł Sutton, przypominając uwagę, którą przeczytał w zeznaniu świadka pod przysięgą. – I zawsze chlubił się...

– Swoimi butami – dokończył za niego Holbrook. – Próżność... a imię jego Sebastian Perrault. Lub też... Antoine DePaul.

Claire patrzyła to na jednego, to na drugiego.

– Myślicie, że Antoine to... Perrault?

– Mógłbym postawić na to mój najlepszy czarny cylinder, panno Laurent. Wracając do pani opowiadania, mówiła pani, że DePaul zorganizował pani nocleg w firmie przewozowej Brodericka. Domyślam się, że przyjechał do Nashville niedługo po pani?

Claire potwierdziła skinieniem głowy.

– Mieszkał u Samuela Brodericka. Tego dnia, gdy wróciłam po swój medalion z zegarkiem, widziałam jego rzeczy. Przypuszczam, że nadal tu jest.

– Miejscowe służby obserwują firmę Brodericka już od tygodni – wyjaśnił z westchnieniem Sutton. – Ani śladu tego człowieka.

– W takim razie to może was zainteresować... – oświadczyła Claire z niepewną miną. – Antoine DePaul widział nas, Suttonie, w operze tamtego wieczoru i... wczoraj pojawił się w Belmont.

Sutton o mało co nie spadł z krzesła.

– Perrault był w Belmont?!

– Miałam ci powiedzieć dziś rano, ale... okazało się, że już cię nie było. Przyjechał, chcąc zmusić mnie, bym znów dla niego malowała. Kiedy mu odmówiłam, zagroził, że wyjawi moją przeszłość pani Acklen, chyba że mu zapłacę pięćset dolarów. – Pochyliła się w przód. – Ja i tak chciałam to wszystko wyznać tobie, Suttonie, i pani Acklen, nawet przed jego zjawieniem się, daję słowo.

Sutton czuł, że Holbrook go obserwuje, oczekując na jego reakcję, więc skinął potakująco.

– To prawda, usiłowała kilka razy ze mną porozmawiać, ale... wciąż nam coś przeszkadzało. – Spojrzał na nią. Chciał dodać, że może mogła bardziej próbować, lecz widząc w jej oczach to rozbicie, powstrzymał się. – Czy Antoine DePaul mówił coś jeszcze?

– Kiedy powiedziałam mu, że nie mam dostępu do takich pieniędzy, stwierdził, że skontaktuje się ze mną w ciągu tygodnia.

Sutton i Holbrook ponownie wymienili spojrzenia i Sutton czuł, że myślą o tym samym. Sebastian Perrault ma ponownie skontaktować się z Claire. A gdyby ona pomogła im – a na tę możliwość jak najbardziej wskazywało jej obecne zachowanie – byliby tak blisko ujęcia Sebastiana Perraulta jak jeszcze nigdy.

Tylko że Claire również zostanie w to uwikłana.

53

A czy mogę zapytać... co się ze mną stanie? – rzekła Claire.

Miała pochyloną głowę, więc Sutton nie widział twarzy, słyszał jednak obawę w jej głosie. I choć bardzo chciał ją zapewnić, że wszystko będzie dobrze, natura prawnika nie mogła mu na to pozwolić. Zbyt wiele wiedział w tym temacie. Widząc prawie niezauważalne skinienie głową Holbrooka, Sutton zwrócił się w jej stronę.

– Claire...

Podniosła na niego wzrok i widział wyraźnie na jej twarzy silne pragnienie, by być silną, choć nie dał się na to nabrać.

Poskromiwszy swoje uczucia, skupił się na faktach.

– Fałszerstwo jest przestępstwem karanym przez prawo federalne. Jednakże, w związku ze specyfiką twojej sytuacji, można by rzec, że znalazłaś się w dość korzystnej pozycji ze względu na pewien przymus, jaki wywarto na ciebie, byś malowała falsyfikaty, oraz twoje wyraźne wysiłki, aby tego zaprzestać. Każda odpowiedzialna ława przysięgłych zasiadająca...

– Ława przysięgłych?! – dopytała.

– Jeśli do tego dojdzie, to tak. – Kątem oka dostrzegł, że pan Holbrook pokiwał głową. – Ale każda odpowiedzialna ława przysięgłych uwzględni to wszystko podczas ustalania wyroku, zwłaszcza jeśli oskarżony, czyli w tym wypadku ty, pomoże w dostarczeniu dowodów. Co też...

– Zrobię, co tylko będziecie chcieli – rzuciła szybko, przesuwając się na krawędź krzesła. – Powiem wam wszystko... I tak chciałam to uczynić. – Jej wzrok znów stał się szklisty. – Wiem, że to, co robiłam, było złe, więc

proszę nie traktować tego, co powiem, jako wymówki. Dawniej, zwłaszcza wtedy, gdy mama bardziej podupadła na zdrowiu, wydawało mi się, że nie mam wyboru. Jednakże wszyscy mamy jakiś wybór. Teraz to wiem. I chcę myśleć, że jeśli przyszłoby mi stawać ponownie przed takim wyborem, tym razem podjęłabym lepszą decyzję.

– I dlatego też – podjął Sutton – uważam, że w twoim wypadku ława przysięgłych będzie skłonna wydać łagodniejszy wyrok.

– Cóż, zgadzam się z oceną pana Monroego, panno Laurent. – Holbrook wstał i rozprostował się. – Ale będzie pani musiała wyrazić zgodę na zeznawanie w sądzie przeciwko Sebastianowi Perraultowi, co oznacza, że znów się pani z nim spotka.

– To nie będzie dla mnie problemem, sir.

Układając sobie w głowie to wszystko, czego dowiedział się w ciągu minionej godziny, Sutton przyglądał się Claire, która dalej odpowiadała na pytania starszego prawnika. Walczyła o to, aby utrzymać matkę przy życiu i robiła, co mogła, by to osiągnąć. Przyszła mu do głowy inna kobieta – wraz z obrazami wozów wyładowanych bawełną – i nie mógł zaprzeczyć podobieństwu.

– Jeśli zaszłaby taka konieczność, panno Laurent – kontynuował Holbrook – co jest bardzo prawdopodobne, czy byłaby pani w stanie udowodnić, że to pani namalowała tego Brissauda?

– Tak, sir. Mogę. Brissaud jest znany z tego, że wielokrotnie malował jeden widok, ale za każdym razem dodawał jakiś inny szczegół. Ja dodałam na tym obrazie moją matkę. Jest namalowana w lewym dolnym rogu, w ogrodzie.

Kręcąc głową, Sutton włączył się do rozmowy.

– To miły gest, Claire, ale niezbyt nada się w sądzie.

Uniosła brodę.

– W chwili zdenerwowania na ojca podpisałam ten obraz swoim nazwiskiem. Można odkryć, że pod farbą w prawym dolnym rogu znajduje się mój podpis, który potem został zamalowany podrobionym. A jeśli to nie wystarczy, proszę obejrzeć tył płótna. Musiałam umocnić przędzę na dole w prawym rogu, ale to może dostrzec... tylko ktoś wprawny.

Przyjąwszy to wyzwanie, Bartholomew Holbrook podniósł się i wyszedł. Wrócił kilka minut później, a na jego twarzy malował się wyraz satysfakcji.

– Jeden ze śledczych chciałby jeszcze z panią porozmawiać, panno Laurent. Tylko nie tutaj. W jego gabinecie.

Claire wstała.

– Czy mogłabym wiedzieć, co się stanie z tym obrazem?

Sutton przytrzymał dla niej krzesło.

– Zostanie zatrzymany jako dowód i przedstawiony podczas procesu. Dlaczego pytasz?

– Po prostu ma dla mnie szczególne znaczenie.

Holbrook zaśmiał się cicho.

– Obawiam się, że ma też szczególne znaczenie dla miłośnika Brissauda, który kupił go trzy miesiące temu w Nowym Jorku. Zanim dowiedział się, że to kopia i stracił zainwestowane pieniądze.

Claire zmarszczyła czoło.

– Czy będzie mógł odzyskać te środki?

Sutton czuł, że to pytanie skierowała do niego.

– To zostanie ustalone w sądzie. – Dopiero wtedy zaświtało mu w głowie. – Claire, a czy ty wiesz, za ile sprzedano tego Brissauda?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Skradziono go tamtego wieczoru, gdy wyjechałam z Nowego Orleanu.

Sutton już miał otworzyć drzwi, ale jeszcze się zatrzymał.

– Twoje *Jardins de Versailles* sprzedano w Nowym Jorku za prawie cztery tysiące dolarów. – Jej usta rozwarły się mimowolnie. Podobną minę miała pani Holbrook. – Hm, w takim razie mój *Amerykański Wersal* to była prawdziwa okazja!

~

Sutton od wielu lat znał Adelicię i dla niej pracował, ale jeszcze nigdy nie widział jej tak milczącej, tak zamarłej, tak dogłębnie zszokowanej. Dobrze znał to uczucie.

Jedynie dźwięk głosu Claire i sporadyczne łkania, gdy opisywała ponownie swoją historię, rozbrzmiewały w gęstej i ciężkiej ciszy. Sutton wyczuł, że ze wszystkich sił starała się siedzieć prosto i trzymać głowę wysoko, mimo iż płacze.

Stał nieco z tyłu. Odmówił miejsca siedzącego, bo wolał być tam, skąd mógł je obie obserwować. I choć był ogromnie zaskoczony, gdy dowiedział się, co zrobiła Claire, podziwiał jej opanowanie i wytworność po trudnych przeżyciach minionych dwóch dni. Składała kolejne zeznania bez słowa skargi, a wszystkie identyczne co do najdrobniejszych szczegółów. Wiedział jednak, jak bardzo obawiała się tego spotkania z Adelicią.

– Proszę więc pozwolić, że ponownie zapewnię, pani Acklen, jak bardzo mi przykro, że ukrywałam przed panią prawdę i postawiłam panią w obecnej sytuacji. Jestem bardzo wdzięczna... – Głos Claire zaczął się łamać i dopiero po chwili odzyskała opanowanie. – Za tę możliwość, jaką mi pani dała w Belmont. I za to, w jaki sposób otworzyła pani przede mną swój dom i serce. Chciałabym móc odpłacić się za to czymś innym niż wstyd i... wystawienie na publiczne pośmiewisko.

Prasa już zdążyła podchwycić tę historię i oczywiście, jako że Claire była osobistą asystentką Adelicii Acklen, teksty ukazały się w obu przypadkach na głównych stronach. Były to w większości oparte na faktach relacje usiane takimi określeniami jak „falsyfikat” i „podróbka”.

Claire, zakończywszy swoją wypowiedź, pochyliła głowę. Jednak Adelicia wciąż tylko patrzyła. Sutton chciał, by coś powiedziała, bo ta cisza raniła i przeszywała nawet jego.

Razem z Claire wiele rozmawiali o tym, czego się dopuściła, ale nie o ich związku. Kochał ją – nie mógł temu zaprzeczyć i nie chciał, w tej sprawie nic się nie zmieniło. W środku, w każdym razie. Jednak potrzebowali czasu, żeby to wszystko sobie poukładać. Jednego natomiast był pewien – ta Claire Laurent, którą kochał, nie była tą samą osobą, która malowała tamte falsyfikaty. Dała mu list, w którym spisała myśli po tym, jak usłyszała wyraźnie w głowie tamto pytanie. Choć trudno byłoby określić listem to, co mu wręczyła. To było raczej coś, jak wylanie serca na te kartki, wylanie, które dało mu głębszy wgląd w jej osobę, takie intymne zajrzenie w jej duszę. Bardzo sobie to cenił.

Tak jak łaknął zemsty w swojej sytuacji, pragnął gorąco miłosierdzia w sytuacji Claire. Wymiar sprawiedliwości wcale nie był tak pewny, jak mu się niegdyś wydawało, i teraz interesowała go bardziej niezasłużona łaska.

Adelicia wzięła powoli wdech i po chwili wypuściła powietrze.

– Panno Laurent...

Claire uniosła głowę.

– Kiedy zatrudniałam panią jako moją osobistą asystentkę, powierzyłam pani nie tylko moje sprawy osobiste i interesy, ale także moje dzieci, moją rodzinę, służących, dom i moją reputację. Jadała pani przy moim stole, spała w moim domu i siedziała pani obok mnie w kościelnej ławce. Nie wiem, czy mówiłam pani, że będzie pani mnie reprezentowała, że kiedy

ludzie na panią popatrzą, będą widzieć mnie, że wszystko, co pani zrobi, odbije się także na mnie. Czy to brzmi dla pani znajomo, panno Laurent?

Sutton wiedział, że Adelicia miała prawo tak się zwracać do Claire, ale jakaś cząstka w nim mimo to wzdrygnęła się, pragnąc ją chronić.

– Tak, pani Acklen – odparła Claire cichym głosem przepojonym szacunkiem. – Mówiła to pani, a ja splamiłam ten wizerunek i jest mi ogromnie przykro.

Adelicia oparła dłonie na biurku. Ten kobiecy gest dziwnie pasował do jej ostrego niczym brzytwa tonu.

– Życie mnie nauczyło, że dla ludzi w sferze publicznej nie ma możliwości prywatnych pomyłek. Wszystko, co czynimy, podległa krytyce. I trzeba się nauczyć żyć ponad tym, panno Laurent... nawet gdy rani to tak dogłębnie, iż wydaje się nam, że ta rana się nigdy nie zagoi.

Sutton wyczuł w głosie Adelicii lekkie wahanie na końcu zdania, choć jej mina wcale tego nie potwierdzała.

– Zagoi się, panno Laurent. Sam Bóg namaści to miejsce, jeśli tylko mu pani pozwoli. Wyzdrowieje pani i pójdzie dalej. I będzie pani mocniejsza o to doświadczenie.

Sutton wiedział, że niektórzy – w tym znajomi Adelicii – upajali się tą krępującą dla niej sytuacją. Wiedział też, że w jakiś sobie znany sposób Adelicia wykorzysta to i użyje dla polepszenia swojej reputacji i swojego majątku, tak jak to zawsze czyniła.

– I jeszcze coś, co powinna pani zapamiętać na przyszłość, panno Laurent – kontynuowała Adelicia pouczającym tonem. – Niech pani nie pozwoli, by ktokolwiek mówił pani, co ma pani o sobie sądzić... oprócz samego Boga. Proszę patrzeć na siebie Jego oczami i przez pryzmat Jego siły, a wtedy dostrzeże pani, kim pani może być pomimo tego, kim pani jest teraz. – Uniosła ciemną brew. – A jeśli będzie pani patrzeć na siebie tylko

swoimi oczami, będzie się pani mierzyć z pytaniami i wątpliwościami, a także kaprysami tych, którzy wcale nie chcą dla pani jak najlepiej, tak jak tego panią w brutalny sposób nauczyło doświadczenie.

Mijał czas i w końcu Claire się podniosła. Podeszła do biurka i z takim wdziękiem oraz pokorą, że Sutton aż nabrał gwałtownie powietrza, skłoniła się głęboko z nisko pochyloną głową. Broda Adelicii zadrżała lekko, zanim Claire się wyprostowała i bez słowa ruszyła w stronę drzwi.

Adelicia wstała zza biurka.

– A czy mogę wiedzieć, dokąd się pani wydaje, że może pani iść, panno Laurent?

Claire stanęła i spojrzała za siebie z ręką na gałce drzwiowej.

– Moje rzeczy są już spakowane i – wskazała na Suttona – pan Monroe zaproponował, że odwiezie mnie do miasta. Pastor i jego żona zaoferowali mi pokój u siebie, aż proces dobiegnie końca.

– To byłoby dla mnie bardzo kłopotliwe, panno Laurent. Ponieważ podczas mojego wyjazdu do Angoli została tu pani najwyraźniej po to, by włóczyć się po górach i dolinach, malując pejzaże, a tymczasem czeka nas ogrom pracy.

Claire nabrała gwałtownie powietrza.

– Ale... miałam wrażenie, że...

– Że zwolnię panią z pani obowiązków?

Claire pokiwała głową, spoglądając czujnie na swoją pracodawczynię.

– W takim razie to fałszywe wrażenie, panno Laurent. – Przez jakiś czas Adelicia milczała i ostatnie brzemienne w znaczenie słowa zawisły w powietrzu. – Co, jak mniemam – dodała po chwili – nie ma i odtąd już nie będzie miało większej wagi.

Claire czknęła od płaczu, gdy napłynęła kolejna fala łez. Sutton patrzył raz na jedną, raz na drugą kobietę, ani trochę niezaskoczony. Czuł

jednocześnie, że sam też miał ściśnięte serce.

– Dz-dziękuję. Sama... nie wiem, jak mam wyrazić...

– Tak, tak – rzekła pani Acklen, wykonując lekceważący gest ręką. – Może mi pani podziękować później, ale proszę najpierw pozwolić, że powiem pani... wam obojgu, że dwudziestego siódmego czerwca będziemy mieć przyjęcie weselne tu, w Belmont. Moje i doktora Cheathama.

Sutton uniósł brwi, choć to też go bardzo nie zdziwiło.

– Gratulacje z okazji zrękowin, szanowna pani.

– Dziękuję, panie Monroe. Czeka nas również razem sporo pracy do tego czasu. A dla pani, panno Laurent, przygotowałam już listę gości. – Adelicia uśmiechnęła się słodko i podała Claire notatnik. – Zamierzamy zaprosić naszych najbliższych znajomych, jakieś dwa tysiące osób. Tak mniej więcej.

Claire przyglądała się przez chwilę notesowi, a potem otarła łzy.

– To będzie dla mnie sama przyjemność zaplanować pani wesele, pani Acklen. I mamy jeszcze trzy miesiące... – Zdobyła się na niepewny uśmiech. – Co ja zrobię z taką ilością czasu?

– Podejrzewam, że część spędzi pani w sądzie. Mam nadzieję, że ma pani dobrego prawnika, panno Laurent.

Claire pokiwała głową.

– Tak, proszę pani. Będzie mnie reprezentował pan Holbrook.

Sutton poczuł na sobie spojrzenie Adelicii.

– W zasadzie, panno Laurent... jest pewna zmiana co do adwokata w pani przypadku.

Claire spojrzała na niego, a w jej oczach ukazał się cień nadziei.

– Cóż... – Adelicia zmierzyła ich oboje wzrokiem. – Wygląda na to, że pani los spoczywa w najlepszych rękach, panno Laurent.

– Tak – szepnęła Claire. – To prawda.

Sutton i Claire byli już prawie za drzwiami, gdy usłyszeli dobrze znajome wołanie.

– Jeszcze jedno, panno Laurent. – Siedząca przy biurku Adelicia zwróciła na nią stanowcze spojrzenie. – To prawda, że przebaczenie jest przymiotem silnych osób, ale akurat w tej kwestii wolałabym, by nie stawiała mnie pani przed kolejną taką próbą. Czy wyraziłam się jasno?

– Wystarczająco, proszę pani.

Sutton zamknął za nimi drzwi, ale jeszcze przedtem zauważył, że usta Adelicii drgnęły nieznacznie w uśmiechu.

Epilog

Czwartek, 27 czerwca 1867 roku
Rezydencja Belmont

Claire zerknęła przez frontowe okno galerii sztuki na setki stołów przykrytych obrusami i rozstawionych w ogrodach, a następnie na niekończące się sznury migotających świateł rozpostartych pomiędzy wszystkimi drzewami, krzewami, treliażami i altanami.

– Mam nadzieję, że nie będzie padać.

– Padać? – zapytał zza jej pleców Sutton. – W wieczór przyjęcia weselnego pani Adelicii Hayes Franklin Acklen Cheatham? Po tym, jak wszystko idealnie zaplanowałaś? Niebiosa nie będą śmiały.

Odwróciła się i zobaczyła, że patrzył na nią. A to jego spojrzenie sprawiło, że zrobiło jej się cieplej na sercu.

Zawiesił *Amerykański Wersal* w galerii sztuki, jednakże tabliczka obok oprawionego w ramy obrazu wyraźnie poświadczała, kto jest właścicielem.

„AMERYKAŃSKI WERSAL” OLEJ NA PŁÓTNIE, 1867
AUTOR: CLAIRE ELISE LAURENT
GOŚCINNIE W GALERII SZTUKI BELMONT
DZIĘKI ŻYCZLIWOŚCI WILLISTERA SUTTONA MONROEGO

Willister. Specjalnie użył pełnego imienia, żeby wywołać na jej twarzy uśmiech. I to działało.

Stał przed obrazem i Claire podeszła do niego. Ostatnie trzy miesiące minęły jak jeden dzień, a jednocześnie bardzo się dłużyły. Trochę przez proces, trochę przez planowanie przyjęcia weselnego doktora i pani Cheatham, ale przede wszystkim dlatego, że musieli razem z Suttonem ponownie odnaleźć swoją drogę.

I wcale nie było łatwo. Fakt, że nie potrafiła być od początku wobec niego szczera, był dla niego takim rozczarowaniem, jak przewidywała. Wciąż jednak trzymała się nadziei, że z czasem to uczucie, jakie do niej żywił, kiedyś powróci. Bo jej uczucia do niego wciąż rosły w siłę.

Wskazał na *Amerykański Wersal*, a dokładniej na drzewo, które namalowała tuż za rezydencją Belmont, gdzie widać było chłopca klęczącego na ziemi.

– Skąd wiedziałaś, że to ja zakopuję te rzeczy dla Zeke’a?

– Bo kiedyś widziałam cię z okna mojej sypialni.

Roześmiał się.

– Ty spryciulo. Ale ty też ukrywałaś coś dla niego... gdy byłem w Angoli.

– A czemu tak sądzisz?

– Ponieważ po moim powrocie pokazał mi wszystko, co znalazł, i były tam rzeczy, których ja nie ukrywałem. Ja nigdy nie zakopywałem srebrnych monet.

Claire powstrzymała uśmiech.

– Mogły tam być od wielu lat.

– Niezbyt prawdopodobne, panno Laurent. – Sięgnął po jej rękę i splótł z nią palce. – Kolejnym razem, jak będziesz chciała, żeby coś wyglądało na stare... – Uniósł jej dłoń do ust i ucałował. – ...postaraj się to trochę przybrudzić, zanim zakopiesz. – Jego oddech był tak ciepły, a usta tak miękkie. – I wybierz monety, które nie zostały wybite w zeszłym roku.

Claire roześmiała się, a w jej oczach płonął ogień. Skupiła wzrok na ich połączonych dłoniach. Nie dotykał jej w ten sposób od tamtego wieczoru po aukcji.

– Dziękuję ci jeszcze raz, Suttonie – wyszeptała. – Za to, że reprezentowałeś mnie w sądzie.

Odwrócił jej dłoń wnętrzem do góry i przesunął palcem po delikatnych liniach.

– Dziękuję, że byłaś takim wspaniałym świadkiem. Twoje zeznania w tej sprawie były przełomowe.

W sądzie okazało się, że grabież w galerii w Nowym Orleanie była ustawiona. Nie wiedziała jednak, czy jej ojciec był w to zamieszany. Antoine wziął wypłatę z ubezpieczenia dzieł sztuki, podając się za głównego właściciela, z czego uzyskał prawie dwadzieścia tysięcy dolarów. Oczywiście, większość tych obrazów była podrobiona, o czym towarzystwo asekuracyjne nie wiedziało.

Proces ciągnął się przez dziesięć tygodni i pozostawał przez ten czas na ustach całego Nashville, a także wszystkich gazet na wschód od Missisipi. Kolejne ławy przysięgłych, różne podczas poszczególnych przesłuchań, jednogłośnie orzekały na korzyść licznych powodów. Antoine DePaul został także oskarżony o spowodowanie śmierci jej ojca, ale ze względu na brak wystarczających dowodów orzeczono jego niewinność. Później jednak postawiono mu liczne zarzuty oszustwa, tak jak i drugiemu pośrednikowi sztuki z Galerii Perrault, i obaj mężczyźni oczekiwali teraz na wyrok. Podobnie jak Samuel Broderick młodszy, który został uznany za winnego drobnych oszustw.

Claire bez trudu mogła sobie wyobrazić, że Antoine DePaul był oszustem, choć wciąż ciężko jej było uwierzyć, że mógł się posunąć do

morderstwa. Nie mieściło jej się w głowie, by był zdolny do zabicia jej ojca. Podejrzewała jednak, że tego się już nigdy nie dowie.

Zeznawała przeciwko Antoine’owi w sądzie i wtedy to właśnie widziała go po raz ostatni. I wcale nie pragnęła tego więcej.

Niedługo po procesie kancelaria Holbrook i Wickliffe stała się kancelarią Holbrook, Wickliffe i Monroe. Ten zaskakujący obrót spraw był możliwy dzięki temu, że Sutton miał tak znaczący wkład w tę sprawę. Teraz ta nazwa brzmiała znacznie lepiej. I choć Claire wiedziała, że to nie był życiowy cel Suttona, zdawała sobie sprawę, że to jeden z kroków, a każdy kolejny zmieniał perspektywy. Kto wie, co dalej ześle im Bóg?

Ława przysięgłych była wyjątkowo wyrozumiała w jej sprawie. Potwierdzała to jej „kara” zasądzona na okres najbliższego roku. Miała trzy razy w tygodniu prowadzić zajęcia w Centrum Sztuki Worthington dla dzieci, które zamierzały uczyć się malarstwa. Pierwszego dnia pojawiło się trzydzieścioro sześcioro dzieci.

Udało jej się „niewinnie nadmienić” wobec pani Worthington o wyjątkowych zdolnościach w rysowaniu pani Monroe i pani Worthington niezwłocznie zaprosiła oficjalnie Eugenię Monroe, by również prowadziła zajęcia w Centrum Sztuki. Claire wiedziała, że pani Monroe wciąż wolałaby za synową Carę Nettę, ale zamierzała ją przekonać... Gdy tylko uda jej się przekonać serce Suttona.

Sutton wskazał na jedną z altan na obrazie.

– Na początku tego nie widziałem.

Wiedziała, że nie mówił o altanie, ale o dwojgu ludzi, którzy stali w środku. Obraz był zamazany, w zasadzie były to tylko cienie, ale jedna z osób wyglądała, jakby właśnie miała wypaść – przynajmniej tak było w jej zamyśle.

– To jak ukryte skarby – wyszeptał. – Te wszystkie detale zamieszczone na tym obrazie. Podobnie jak na przyjęciu, które zaplanowałaś dla Williama.

Nie myślała wcześniej o tym w ten sposób. „Ukryte skarby”. Tak jak to wszystko, czego nauczył ją Bóg w tym ostatnim czasie.

Po zakończeniu procesu wszystkie podrobione dzieła sztuki, które były dowodami w sprawie, zostały sprzedane na aukcji. Prosiła Suttona, by sprawdził kilka razy, ale nie pojawiła się nigdzie informacja o jej *Ogrodach*. Tak, jakby nigdy nie istniały.

Stwierdziła jednak, że pewnie tak miało być. Ponieważ ten obraz nigdy nie był jej. Nie tak naprawdę.

Bóg dał talent i wizję na ten właśnie obraz François-Narcisse’owi Brissaudowi, nie jej. Ona po prostu to sobie przywłaszczyła. Skradła to nie tylko Brissaudowi, ale też klientowi, który kupił płótno, myśląc, że jest oryginalne. Okradła Boga, Dawcę wszystkich talentów. A także samą siebie, ponieważ się oszukiwała, zamykając sama siebie na łaskę słuchania niesłyszalnego głosu Boga, czekania na Jego prowadzenie, by mógł pokazać jej, co zrobić z tym talentem, jaki od niego otrzymała.

Zwróciła uwagę na górną część obrazu – tę, której namalowanie zajęło jej najdłużej. I przypomniała sobie, ile trudu kosztowało ją każde najdrobniejsze pociągnięcie pędzla, każdy poranek, gdy wstawała przed świtem, by wspiąć się na wzniesienie, czekać na światło i te bezcenne ulotne chwile, podczas których mogła ująć piękno słońca wschodzącego ponad wzgórzem, gdzie niegdyś stał rodzinny dom Suttona.

Ale to obraz wpisany we wschód słońca należał do jej ulubionych fragmentów, choć był ledwie zauważalny. Nawet ona musiała się mocno wpatrywać, by to dostrzec... wysoki tron wzniesiony pośród niebios.

Sutton sięgnął po płaszcz przewieszony przez oparcie krzesła.

– Lepiej już chodźmy. W przeciwnym razie lady zacznie nas szukać.

Zbliżał się zmierzch, gdy przemierzali ramię w ramię ten krótki odcinek w stronę rezydencji. Latarnie rzucały migotliwe błyski pośród ogrodów, a orkiestra smyczkowa stroiła właśnie instrumenty na trawniku przed domem. Kiedy Claire z Suttonem dotarli po schodach na portyk, odwrócili się i zauważyli pierwszą karetę. A za nią kolejną i kolejną...

Z całego kraju napływał niekończący się sznur gości zaproszonych na przyjęcie weselne doktora i pani Cheatham, których związek małżeński ponad tydzień temu pobłogosławił wielebny Bunting podczas prywatnej uroczystości w rezydencji.

Sutton westchnął u jej boku.

– Tym razem zaprosili dwa tysiące gości.

Roześmiała się i pokręciła głową.

– I prawie każdy przyjął zaproszenie!

Za ich plecami otworzyły się frontowe drzwi i z wnętrza wyszedł Eli odziany w czarny frak.

– Dobry wieczór, panie Monroe, panno Laurent.

Claire dygnęła.

– Wygląda Eli bardzo elegancko.

Skłonił się w pas.

– Ależ dziękuję, szanowna pani. Pani również wygląda uroczo, jak zawsze. A pan, panie Monroe... jak się pan dziś miewa?

– Dobrze, Eli. Dziękuję.

Claire ruszyła do środka, ale nagle przystanęła, gdy spostrzegła, że Sutton nie idzie. Odwróciła się.

– Chciałem Eliemu podziękować... – Sutton na chwilę spuścił wzrok. – Za to, co Eli powiedział kiedyś o moim ojcu. I za to... – Sutton podniósł głowę. – Za to że wyjawił mi Eli jego słowa. To znaczyło dla mnie więcej,

niż się Eliemu wydaje. – Powoli wyciągnął rękę w stronę mężczyzny i służący uścisnął jego dłoń.

Claire wyczuła powagę tej chwili. Zapytała o to Suttona, kiedy weszli do wnętrza, ale on tylko się uśmiechnął.

– Opowiem ci o tym innym razem.

– Panno Laurent...

Claire odwróciła się i spostrzegła panią Cheatham w powłóczystej sukni z białego jedwabiu, a na jej ramiona spływał pięknie welon wykończony brukselską koronką. Prawdziwie po królewsku jej głowę zdobił diadem z brylantami – ślubny prezent od cesarza i cesarzowej Francji, którzy zostali zaproszeni na przyjęcie, ale uprzejmie odmówili.

– Wygląda pani tak promiennie, pani Cheatham.

– W zupełności zgadzam się z tym stwierdzeniem, szanowna pani – dorzucił Sutton.

– Miło mi to słyszeć. – Uśmiechając się, pani Cheatham zwróciła się w stronę Eliego, który stał teraz koło *Rut zbierającej pokłosie* oraz sztalugi przykrytej czarnym suknem. – Tak samo jak cieszę się z tego – dodała, wskazując dłonią.

W odpowiedzi na to Eli z rozmachem zdjął zasłonę.

Claire nie była w stanie uwierzyć własnym oczom. Jej *Jardins de Versailles* z jej *maman*.

– Skąd pani to ma?

Ale kiedy spojrzała na Suttona, już wiedziała, i kochała go w tej chwili jeszcze bardziej. Gdy tylko podeszła bliżej, dostrzegła jej własne nazwisko w prawym dolnym rogu. Przez krótką chwilę czuła się tak, jakby znalazła się znów w swoim pokoju nad galerią, patrząc na Dzielnicę Francuską i marząc o tym, by pewnego dnia jej nazwisko widniało na jakimś arcydziele.

– I żeby pani wiedziała, panno Laurent... – Pani Cheatham podeszła bliżej. – Ten obraz należy teraz do mnie, ale może go pani oglądać, jeśli tylko będzie miała pani ochotę.

– Moja droga żona z pewnością nie powiedziała pani – wtrącił doktor Cheatham, dołączając do nich razem z Claude'em i najmłodszą Pauline oraz swoimi nastoletnimi dziećmi, Richardem i Mattie – że o mały włos nie pobiły się z panią Worthington podczas licytacji.

Pani Cheatham uciszyła go szybko.

Sutton roześmiał się tylko, rzucając:

– Szkoda, że nie mogłem tego widzieć.

Żałując również rzeczonego widoku, Claire poczuła na talii dotyk dłoni Suttona.

– Oto właśnie twój niewyróżniający się niczym talent – szepnął jej do ucha.

Mattie Cheatham wtuliła się w bok nowej mamy, trzymając za rękę Pauline. Claire widziała, jak bliska już stała się ich relacja. Joseph przyjechał teraz z internatu do domu i razem z Williamem oraz Claude'em wciągali Richarda Cheathama w swoje żarciki kierowane do dziewcząt. To się nazywa dom pełen dzieci.

– Panie Monroe... – Doktor Cheatham uścisnął życzliwie ramię Suttona. – Adelicia mówiła mi, że ma pan talent do koni. Kupiłem ostatnio dwa surowe ogierki czystej krwi i byłbym wielce zobowiązany, gdyby mógł pan je wziąć do siebie na szkolenie. Oczywiście, o ile będzie miał pan czas. Wynagrodziłbym to panu od razu lub też uczynił prawny zapis, by dostał pan część dochodów z przyszłych wygranych. Wybór należy do pana.

Na twarzy Suttona pojawił się uśmiech, który stopił serce Claire.

– Będę zaszczycony, sir. Dziękuję.

Na stoliku z boku stała uroczyście wystawiona, należąca do Adelicii Cheatham, książka *Queens of American Society*, otworzona na stronie, gdzie opublikowano zdjęcie pani Cheatham. Obok zaś był pamiątkowy album, który przygotowała dla niej Claire. Na blacie leżał też drugi egzemplarz tej samej publikacji, tym razem otworzony w innym miejscu. Claire podeszła bliżej.

– Czy miała już pani okazję przeczytać część dotyczącą pani Cheatham, panno Laurent?

Claire obróciła się. Obok niej stała pani Routh z okularami spuszczonymi do połowy nosa.

– Ach... tak, pani Routh, czytałam. – Nie zamierzała się przyznawać, że właściwie to ona napisała każde wydrukowane tam słowo. Tylko pani Cheatham o tym wiedziała. – Jej życie jest tak pełne doświadczeń...

– To prawda. – Ochmistrzyni przesunęła dłonią po otwartej stronie, a jej palec wskazujący zatrzymał się na ostatnim akapicie. – To było bardzo miłe ze strony pani Cheatham, że tak życzliwie o mnie wspomniała.

Claire pokiwała głową, dokładnie wiedząc, co było tam napisane. Jednocześnie odnosiła wrażenie, iż pani Routh podejrzewa, że to nie jej pracodawczyni to napisała.

– Pani Cheatham bardzo sobie panią ceni, proszę pani. Podobnie jak wiele innych osób. Ale... – Napotkała spojrzenie kobiety. – Mam nadzieję, że pani sama o tym doskonale wie.

Pani Routh zamknęła książkę i przytuliła ją do piersi.

– Wiem – wyszeptała. – Tak samo jak mam nadzieję, że „inne osoby” wiedzą, iż również je cenię.

Jakiś czas później, po toaście na cześć pana i pani młodej oraz po zakończeniu walca, Claire zauważyła, że pani Cheatham ją przywołuje. Ruszyła przez wielki salon, mijając rzeźbę *Peri*.

– Tak, proszę pani?

– Panno Laurent, dlaczego światło na wieżyczce nie jest zapalone dla gości? Jestem pewna, że umieściłam to na pani liście obowiązków.

– Nie, proszę pani – odparła delikatnie Claire. – Omawiałyśmy kwestię wieżyczki na początku tygodnia. Biorąc pod uwagę remont na górze, wyraźnie powiedziała pani, że wolałaby, aby goście nie...

– Wygląda na to, że któraś z nas nie słuchała wystarczająco uważnie, panno Laurent. Wszyscy służący są zajęci. Czy mogłaby się pani zająć tym osobiście? I to od razu.

Claire przechyliła głowę.

– Z radością, pani Cheatham. – Wiedziała, że na pewno dobrze zrozumiała wcześniej swoją pracodawczynię, ale pamiętała o wszystkim, co zrobiła dla niej ta kobieta, dlatego też bez słowa wspięła się po schodach, wypatrując Suttona i licząc, że mógłby jej przy tym pomóc. Widziała, że tańczył przed chwilą ze swoją matką, ale teraz nigdzie go nie było. Jednak zapalała już kiedyś na górze latarnie. Poradzi sobie i tym razem.

Na piętrze wzięła lampę olejną i zapałki, po czym ruszyła w górę kolejnych schodów. Otworzyła drzwi na wieżyczkę i weszła do środka.

– W końcu...

Podskoczyła na dźwięk głosu, jednak zaraz potem zobaczyła Suttona... A uśmiech, który malował się na jego twarzy, zdradzał, że została specjalnie wrobiona. Bardzo szczęśliwie wrobiona.

– Dlaczego światło na wieżyczce nie jest zapalone dla gości? – przedrzeźniała słowa pracodawczyni. – Jestem pewna, że umieściłam to na pani liście obowiązków.

Zaśmiał się, biorąc od niej lampę i zapałki. Potem odstawił je na stolik, którego zwykle tu nie było. Tak samo jak butelki szampana chłodzącej się w lodzie oraz dwóch kieliszków.

– Była bardzo otwarta na współpracę, gdy powiedziałem jej o swoich zamiarach wobec ciebie.

Claire uniosła ze zdziwieniem brew.

– Pan ma wobec mnie jakieś zamiary, panie Monroe?

Przyciągnął ją blisko siebie.

– A mam. – Pochylił się i ucałował ją delikatnie w usta. – I to raczej bardzo prawe.

Uśmiechnęła się, jednak on spoważniał.

– Claire, potrzebowałem trochę czasu, żeby to sobie uporządkować. Przede wszystkim chciałem, byśmy mieli już za sobą ten proces. – Bawił się w palcach pasemkiem jej włosów na skroni. – Pokochałem cię już od tej chwili, gdy razem ukrywaliśmy te głupie wskazówki. I ze wszystkich sił musiałem się powstrzymać, żeby cię nie pocałować tamtego wieczoru w galerii sztuki. Tak bardzo... tego pragnąłem.

Pogładziła palcem jego wargi.

– Tak samo jak teraz?

Jego gwałtowny wydech powinien być wystarczającym ostrzeżeniem. Wziął ją w ramiona, uniósł lekko i tuląc do siebie, całował mocno, podpierając od tyłu jej głowę. Potem stopniowo opuścił ją, aż jej stopy znów dotknęły podłoża. Ale Claire ledwie była w stanie oddychać, nie wspominając nawet o utrzymaniu się na nogach. Zaśmiała się oszołomiona.

– Musisz wiedzieć, że ja pokochałam cię pierwsza. To stało się tego samego wieczoru, gdy wypadłeś z altany, a to było wcześniej niż ukrywanie wskazówek.

Jego głęboki śmiech koił jej serce.

– Przecież to nie wyścigi.

– Och... popatrz – wyszeptała i zerknęła przez okno na rozciągające się poniżej ogrody. – Stąd jest jeszcze piękniej.

– Claire... wydaje mi się, że to należy do ciebie.

Odwróciwszy się, dostrzegła, że coś jej podawał. Naszyjnik? Nie, to nie wyglądało...

– Och, Suttonie!

To był medalion z zegarkiem po matce. Zacisnęła dłoń na pamiątce.

– Skąd go masz? – Ale kiedy tylko to wyrzekła, znała już odpowiedź. – On go miał... prawda?

Sutton potwierdził skinieniem głowy.

– Zawiesiłem go dla ciebie na łańcuszku razem z czymś, co już dawno chciałem ci ofiarować.

Powoli z łańcuszka zsunął się pierścionek i mimo że uśmiech Suttona zbladł, jej twarz się rozpromieniła.

– Claire, moje serce od dawna należy do ciebie. Czułbym się najbardziej na świecie zaszczycony, jeśli zgo...

– Tak – odparła szybko. – Zgadzam się.

Jego usta uniosły się w uśmiechu.

– Miałaś poczekać – wyszeptał – aż skończę mówić. Długo to ćwiczyłem.

– Nie aż tak długo, jak ja czekałam, żebyś o to zapytał. – Zerknęła na pierścionek, a następnie na niego.

On wsunął jej go na palec, a potem ją przytulił, a ona poddała się jego pocałunkom. Nie potrafiła sobie nawet wyobrazić, jak może wyglądać całe życie z Willisterem Suttonem Monroem, ale cieszyła się tym i równie mocno czekała, by zobaczyć, jakie arcydzieło Bóg chce uczynić z ich wspólnego życia.

Drodzy Czytelnicy!

Od pierwszej chwili, gdy odwiedziłam rezydencję Belmont, wiedziałam, że będę chciała napisać o tym wspaniałym domu i ludziach, którzy tam żyli. Ponieważ Belmont stanowiło „tło” dla tej powieści, zadałam sobie wiele trudu, by trzymać się wiernie historii. Jednakże pozwoliłam sobie na pewną swobodę literacką w stosunku do niektórych postaci historycznych oraz co do planu piwnic rezydencji, które obecnie nie są mieszkalne ani też otwarte dla zwiedzających. Więcej informacji na temat szczegółów historycznych i zdjęć rzeźb Adelicii możecie znaleźć na mojej stronie internetowej www.tameraalexander.com.

Adelicia bardzo ceniła sztukę i tak jak przedstawiłam to w powieści, w latach sześćdziesiątych XIX wieku była jedną z najbogatszych kobiet w Stanach Zjednoczonych. Zalążek jej bogactwa pochodził od jej męża, Isaaca Franklina, zamożnego plantatora i handlarza niewolnikami. Już sama ta historia mogłaby służyć za inspirację powieści. Chciałam włączyć te szczegóły jej biografii i na początku tak zrobiłam. Jednakże, czego autorzy szybko się uczą, jeśli dany wątek nie jest konieczny dla fabuły, należy go usunąć. Tak też się stało z tym... podczas przepisywania. Mimo to wydaje mi się, że to ważne elementy życia Adelicii oraz historii Belmont.

Co do pytania, które Claire usłyszała w powieści: „Czy malowałabyś, jeśli wiedziałabyś, że malujesz tylko dla mnie?”, to wywodzi się ono z mojego osobistego doświadczenia. W 2003 roku, kiedy przedstawiłam wydawcy pomysł na swoją pierwszą powieść, redaktor przeczytała kilka początkowych rozdziałów i powiedziała, że chciałaby to zobaczyć po

ukończeniu. Więc zabrałam się do pracy, by ją ukończyć. Wtedy to podczas niedzielnego nabożeństwa uwielbienia usłyszałam wyraźnie w sercu pytanie: „Czy pisałabyś tę książkę, jeśli wiedziałabyś, że piszesz tylko dla Mnie?”.

W tamtej chwili byłam pewna dwóch rzeczy. Że to był niesłyszalny głos Boży, coś, czego doświadczyłam tylko kilka razy w życiu, oraz... że redaktor nie przyjmie tej książki. Mimo to poświęciłam cały kolejny rok na pisanie, a następnie wysłałam wydruk. Zaledwie po miesiącu otrzymałam odmowną odpowiedź. Jednakże... zyskałam dzięki temu bezcenne doświadczenie.

Po pierwsze, nauczyłam się, że tylko to, co robimy dla Boga, może przetrwać. To, czego nauczył mnie podczas pisania mojej pierwszej opublikowanej powieści *Rekindled*, zostanie już na zawsze w moim sercu. A po drugie, już od początku swojej kariery pisarskiej wiedziałam, dla kogo piszę. I tak jak Claire, zdecydowałam, że nigdy o tym nie zapomnę.

Adelicia Acklen nie prowadziła pamiętników, albo nie przetrwały one do naszych czasów. Jednakże mamy jej odręcznie pisane listy do przyjaciół i rodziny, a także doniesienia prasowe opisujące szczegółowo wystawne przyjęcia i kolacje, które organizowała. Pewnego wieczoru w trakcie pracy nad powieścią bardzo męczyłam się nad dialogiem pomiędzy Adelicią a Claire i wtedy przypomniał mi się list, który Adelicia napisała do swojej siostry Corinne w 1860 roku. Odnalazłam go w plikach i... och, cóż to była za chwila! Słowa Adelicii pasowały idealnie, bez najdrobniejszej poprawki, do rozmowy w mojej powieści. Był to niewątpliwie palec Boży (zob. rozdział 36, akapit rozpoczynający się słowami: „Bardzo często, przez wiele kolejnych lat...”).

Próba oddania czyjegoś charakteru bez znajomości tej osoby wcale nie jest łatwa i może prowadzić do nadinterpretacji, a jednak podczas

poszukiwań materiałów do książki szybko się nauczyłam, że te nieme ślady, które po sobie zostawiamy – listy, zachowane pamiątki, a nawet nasze nabytki – tworzą obraz tego, kim jesteśmy. Albo też, dla tych, którzy przyjdą po nas, tego, kim byliśmy.

Nigdy nie należy lekceważyć tego, kto patrzy na nasze życie i jak wiele osób ma na nie wpływ. Wątpię, by Adelicia Acklen kiedykolwiek wyobrażała sobie, że ktoś napisze powieść o jej życiu i jej ukochanym Belmont prawie sto dwadzieścia pięć lat po jej śmierci. A jednak tak się stało.

Ja i Wy, wszyscy zostawiamy po sobie niezapomniane wrażenia. Trzeba nam zatem autentycznie żyć wiarą, by wskazywać innym Chrystusa. W końcu to przecież chodzi tylko o Niego.

Do zobaczenia kolejnym razem.

Tamera

Ef 2,10

Podziękowania

Mojemu mężowi, Joemu – za to, że był mi jak pierwszy redaktor, czytając początkową wersję. Słuchałeś, kiedy mówiłam (i mówiłam, i mówiłam) Ci o charakterystyce postaci i splotach wydarzeń, i nigdy nie brakowało Ci cierpliwości ani entuzjazmu, nawet gdy ja już ich nie miałam.

Kelsey i Kurtowi – za waszą miłość, wiadomości i uściski na zachętę oraz za to, że mam przywilej i szczęście być waszą mamą.

Tacie – za to, że wnosisz taką radość do naszego życia i dodajesz otuchy.

Markowi Brownowi, kustoszowi rezydencji Belmont – za szczegółowe informacje na temat chronologii wydarzeń w życiu Adelicii Acklen, za umożliwienie dostępu do osobistych dokumentów dotyczących historii rodziny, za odpowiedzi na moje niekończące się e-maile i pytania oraz za podzielenie się miłością do historii i podziwem dla Adelicii Acklen.

Karen Schurrer i Charlene Patterson, moim redaktorkom w wydawnictwie Bethany House – za to, że tak dobrze wykonujecie swoją pracę i pomagacie mi wyłuskać sens z gąszczu szczegółów.

Deborah Raney – za to, że czytałaś pierwsze wersje powieści i dawałaś mi rady oraz sugestie. Przede wszystkim jednak za to, że jesteś cudowną, niosącą pokrzepienie osobą.

Natashy Kern, mojej wyjątkowej agentce – za to, że dałaś z siebie wszystko. Przeszłaś samą siebie w związku z tą książką i muszę

powiedzieć, że dzięki tobie stałam się lepszą pisarką (choć mam trochę mniej włosów na głowie).

Mandisie – za twoją płytę CD *What If We Were Real*. Słuchałam jej wielokrotnie podczas pisania tej powieści i czerpałam inspirację z tych tekstów i z twojego talentu wokalnego.

Moim czytelnikom – za to, że wiernie czytacie i dzielicie się ze mną tym, jak te podróże do fikcyjnego świata przemieniają wasze życie. To takie krzepiące! Modlę się, żebyście podczas lektury zbliżali się do Chrystusa, tak jak ja to czynię w trakcie pisania. W końcu tu przecież chodzi tylko o Niego.

I Jezusowi Chrystusowi – za odkupienie tej zagubionej duszy i zostawienie niezapomnianego wrażenia na wieki.

- [1] Vieux Carré – inna nazwa Dzielnicy Francuskiej w Nowym Orleanie, w dosłownym tłumaczeniu z francuskiego oznacza „stary plac” (o ile nie zaznaczono inaczej, wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).
- [2] *Où es-tu?* (fr.) – Gdzie jesteś?
- [3] *oui* (fr.) – tak
- [4] *Jardins de Versailles* (fr.) – ogrody wersalskie
- [5] *maman* (fr.) – mama
- [6] Laudanum – dawna nazwa nalewki z opium, stosowanej w leczeniu wielu chorób (przyp. red.).
- [7] *Beignets* (ang.) – przysmak typowy dla Nowego Orleanu, będący odmianą pączków.
- [8] *Bonjour, madame!* (fr.) – Dzień dobry pani!
- [9] *ma chère* (fr.) – moja droga
- [10] *Je suis désolé* (fr.) – Przepraszam; przykro mi
- [11] *excusez-moi* (fr.) – przepraszam bardzo
- [12] *À quelle heure arrive le train*? (fr.) – O której godzinie przyjeżdża pociąg?
- [13] *Oui, monsieur* (fr.) – Tak, proszę pana
- [14] *Parlez-vous français?* (fr.) – Czy mówi pan po francusku?
- [15] *un peu* (fr.) – trochę
- [16] *Oui, mademoiselle Laurent* (fr.) – Tak, panno Laurent
- [17] *pâtisseries* (fr.) – cukiernie
- [18] *croissants* (fr.) – rogaliki
- [19] *café au lait* (fr.) – kawa z mlekiem
- [20] *pain au chocolat* (fr.) – drożdżowa bułeczka z czekoladą
- [21] *De lege lata* (łac.) – zwrot określający obowiązujące prawo.
- [22] *De lege ferenda* (łac.) – zwrot używany na określenie ewentualnych przyszłych zmian w obowiązującym ustawodawstwie.
- [23] Por. Rz 12,19.
- [24] *Liaison* (fr., ang.) – rodzaj asystentki, osoba na tym stanowisku ma reprezentować osobę zlecającą w kontaktach z innymi podmiotami.
- [25] *tour de force* (fr.) – mistrzowski wyczyn
- [26] *Merci beaucoup, mademoiselle* (fr.) – Dziękuję bardzo, panienko

- [27] *Oui, madame* (fr.) – Tak, proszę pani
- [28] *touché* (fr.) – trafione; określenie wyrażające aprobatę
- [29] *Petits fours glacés* (fr.) – małe ciasteczka z ciasta biszkoptowego i marcepanu pokryte lukrem.
- [30] *per se* (łac.) – sam przez się, sam z siebie
- [31] *bona fide* (łac.) – w dobrej wierze
- [32] *papier mâché* (fr.) – masa papierowa
- [33] *ensemble* (fr.) – komplet, ubranie
- [34] *Merci beaucoup, l'amour de moi* (fr.) – Dziękuję bardzo, moja miłości
- [35] *Sans souci* (fr.) – beztroski
- [36] *derrière* (fr.) – tył, tyłek
- [37] *décolletage* (fr.) – dekolt
- [38] *faux pas* (fr.) – błąd
- [39] *protégé* (fr.) – protegowany
- [40] *Wait for the Wagon* – amerykańska piosenka folkowa popularna w latach pięćdziesiątych XIX wieku w Nowym Orleanie.
- [41] *Przygody Telemaka* – powieść François Fénelona, opublikowana w 1699 roku.
- [42] *Oui, mademoiselle! Très bien!* (fr.) – Tak, panienko! Bardzo dobrze!
- [43] *moi* (fr.) – ja
- [44] Kris Kringle – określenie na Świętego Mikołaja (ang. Santa Claus) przyjęte w niektórych regionach Stanów Zjednoczonych, a pochodzące z tradycji niemieckich.
- [45] *Maître d'hôtel* (fr.) – główny kelner, szef służby restauracyjnej
- [46] *Bonjour, ma petite!* (fr.) – Dzień dobry, moja mała!
- [47] *Au revoir* (fr.) – Do widzenia
- [48] *À bientôt, ma petite* (fr.) – Do zobaczenia wkrótce, moja mała